



JODI
PICOULT

ŚWIADECTWO
PRAWDY

Prószyński i S-ka

JODI PICOULT



ukończyła wydział nauk humanistycznych na Uniwersytecie Princeton i pedagogikę na Uniwersytecie Harvarda. W 2003 roku otrzymała nagrodę New England Book Award za całokształt twórczości. Jest autorką dziesięciu powieści m.in.: „Bez mojej zgody” (2005 r.) i „Zagubiona przeszłość” (2006 r.).

W oborze na farmie amiszów w Pensylwanii znaleziono zwłoki noworodka. Lokalna społeczność jest w szoku – w wyniku dochodzenia policyjnego o odebranie dziecku życia zostaje oskarżona jego domniemana matka, osiemnastoletnia Katie Fisher, niezamężna dziewczyna z rodziny amiszów. Sprawę Katie przyjmuje Ellie Hathaway, rozzarowana swoją pracą adwokatka z wielkiego miasta. Po raz pierwszy w swojej karierze spotyka się z wymiarem sprawiedliwości rządzącym się innymi zasadami niż ten, który zna na wylot. Zagłębiając się w świat amiszów, musi znaleźć sposób, aby dotrzeć do swojej klientki i porozumieć się z nią w jej języku. Praca nad tą zawiłą sprawą prowadzi ją także w głąb własnego ja, a kiedy jeszcze pojawi się w jej życiu mężczyzna z przeszłości, Ellie stanie oko w oko ze swoimi najtajniejszymi lękami i pragnieniami...

„Począwszy od jej pierwszej powieści udało, że w swojej twórczości Picoult nie zamierzała koncentrować się na drobiazgach. Jej utwaga skupiona jest przede wszystkim na prawdzie i miłości, które wyznaczają niezwykłe granice w życiu. Zmusza czytelnika, żeby obserwował pozornie beztrojnych ludzi, którzy odkrywają smutną różnicę między tym, co myśleli, że wiedzą, a tym co wiedzą naprawdę”.

Orlando Sentinel Tribune

PLATKI
500
00000

Cena 32 zł

Informacje o naszych książkach
www.proszynski.pl

ISBN 83-7649-391-2



9 788374 693455

JODI PICOULT

ŚWIADECTWO PRAWDY

Przełożył Michał Juskiewicz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału PLAIN TRUTH

Copyright © 2000 by Jodi Picoult Ali rights reserved

Ilustracja na okładce

AGE / East News

Konsultacja medyczna

dr Anna Maria Bonder

Redakcja

Magdalena Koziej

Redakcja techniczna Anna Troszczyńska

Korekta

Mariola Będkowska

Łamanie

Aneta Osipiak

ISBN 83-7469-345-2

Wydawca

Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pi

Druk i oprawa

Drukarnia Wydawnicza
im. W.L. Anczyca S.A.
30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

Cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia

Mojemu tacie, Myronowi Picoult,
który nauczył mnie, jak być oryginalną.

Niewielu jest ludzi na tym świecie, którzy potrafią kichać jak
kaczka, szukać igły w stogu siana, układać marne kalambury...
i tak bezgranicznie ubóstwiać swoje córki.
Kocham Cię.

Podziękowania

Przy pisaniu tej książki zaciągnęłam kolejne liczne długi wdzięczności. Dr Joel Umlas, dr James Umlas i dr David Toub służyli mi swoją rozległą wiedzą medyczną. Dr Tia Horner i dr Stuart Anfang wprowadzili mnie w tajniki psychiatrii sądowej oraz klinicznych wywiadów psychiatrycznych. Dr Catherine Lewis oraz dr Neil Kaye pomogli mi zrozumieć, co stoi za zabójstwem noworodka. Mój teść, Karl van Leer, kiedy zadzwoniłam do niego z pytaniem, jak inseminuje się krowy, wyjaśnił mi wszystko, a głos nawet mu nie drgnął. Kyle van Leer zobaczył kiedyś „księżyc-ciasteczko” i pozwolił mi go sobie pożyczyć. Teresa Farina w tempie ekspresowym przepisywała moje teksty. Dr Elisabeth Martin znalazła listerie i pomagała mi przetrwać autopsje. Steve Marshall zabierał mnie na polowania na duchy. Brian Laird opowiedział mi historię o trollach. Allegra Lubrano, kiedy cała w nerwach dzwoniłam do niej „z jednym szybkim pytankiem”, wyszukiwała dla mnie różne zapomniane, zakurzone ustawy. Kiki Keating, perła wśród adwokatów, znalazła czas, żeby pojechać ze mną do Lancaster, gdzie nocami urządzałyśmy niekończące się burze mózgów, odsłuchując nagrane wywiady. Timowi van Leerowi jestem wdzięczna za wszystko. Dziękuję Jane Picoult, która sama określiła, jak ma wyglądać wyrok sądowy - za zrozumienie i za wskazówki. Laurze Gross dziękuję za to samo oraz za to, że jest najprawdopodobniej jedyną osobą w całym przemyśle wydawniczym, która chciałaby, żebym pisała jeszcze szybciej. Dziękuję Emily Bestler oraz Kipowi Hakali - na dobry początek pięknej znajomości, a także Camille McDuffie - do trzech razy sztuka! Wiele zawdzięczam publikacjom Johna Hostetlera i Donalda Kraybilla, gdyby zaś nie pomoc wszystkich tych osób, które poznałam w mieście Lancaster w Pensylwanii, ta książka na pewno nie mogłaby powstać. Nieoceniony wkład w jej ostateczny kształt

miały także panie Maribel Kraybill, porucznik Renee Schuler, a przede wszystkim Louise Stoltzfus, która sama jest doskonałą pisarką. W ostatniej kolejności składam stokrotne podziękowania wszystkim amiszom, których poznałam, mężczyznom, kobietom i dzieciom; za to, że przyjęli mnie na krótką chwilę do swojego świata, otwierając przede mną serca oraz drzwi swoich domów.

I

Jestem mały chrześcijanin.
Mam być dobry i łagodny,
Szczery, prosty i pogodny,
W każdym czynie swym cierpliwy,
W każdym słowie swym uczciwy.
Bo Bóg patrzy i się dowie
Co ja myślę i co robię.

Szkolna rymowanka amiszów

Rozdział pierwszy

Niejeden raz śniło jej się, że widzi swoją młodszą siostrzyczkę, martwą, unoszoną przez wody rzeki toczące się pod lodem, ale tej nocy po raz pierwszy Hannah próbowała się wydostać. Widziała jej oczy, mętne, szeroko otwarte; czuła, jak jej paznokcie drapią grubą, zimną taflę. Obudziła się, wyrwana nagle ze snu. To nie była zima, tylko ciepła lipcowa noc. Pod dłońmi nie czuła już lodu; palce przesunęły się po skłębionym prześcieradle na jej własnym łóżku. A jednak wiedziała, że tak samo jak w jej śnie, ktoś próbuje się uwolnić, przejść na drugą stronę.

Przygryzła wargę, czując, jak pięść zaciśnięta w jej brzuchu zwiera się jeszcze mocniej. Starając się nie zwracać uwagi na zalewający ją falami ból, wstała i najciszej jak umiała, wyszła bosą w ciemną noc.

Kot miauknął przeraźliwie, kiedy stanęła, zdyszana, na progu obory. Nogi trzęsły się pod nią, jakby to nie były nogi, ale dwie wierzbowe wityki. Położyła się ostrożnie na sianie w najdalszym kącie zagrody dla cielnych krów, przyciągając kolana do siebie. Pękate, nabrzmiące samice łypnęły okrągłymi, smętnymi ślepiami w jej kierunku, po czym odwróciły łby, jakby rozumiały, że tego, co tu się będzie działo, lepiej nie widzieć.

Wbiła wzrok w czarno-białe łaty na bokach stojących w zagrodzie holenderek, wpatrując się tak intensywnie, że zaczęły pływać jej przed oczami. Zaciśnęła zęby na rąbku podwiniętej koszuli nocnej. Poczowała nagły nacisk, a jej ciało skrzywiło się w ciasny lej. Miała wrażenie, że wywraca się na drugą stronę i nagle przypomniała sobie dziurę w płocie z drutu kolczastego stojącym nad strumieniem, tę samą, która służyła jej i Hannah za przejście.

Najpierw trzeba było ułożyć ciało pod odpowiednim kątem, a potem przeciskać się na łokciach i kolanach, sapiąc i stękając, aż wreszcie jakimś cudem wypadało się po drugiej stronie.

Skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło. Pomiędzy jej udami, na skopanym, zakrwawionym sianie, leżało dziecko.

Aaron Fisher przewrócił się z boku na bok pod kołdrą i spojrzał na budzik stojący na szafce obok łóżka. Był cicho jak makiem zasiał; to po prostu czterdzieści pięć lat uprawiania ziemi i dojenia krów zrobiło swoje. Budziły go już najłżejsze odgłosy: stąpienie łamiące kilka łądyg zboża na polu, zmiana w melodii wygrywanej przez wiatr, tarcie szorstkiego języka krowiej matki o grzbiet nowo narodzonego cielęcia.

Poczuł, jak materac za jego plecami się ugina. Sara uniosła się na łokciu, a jej długi warkocz zwinął się na ramieniu, podobny do marynarskiej liny.

- Was ist letz? Co się stało?

To nie mogły być zwierzęta, nie spodziewali się pierwszego cielaka wcześniej niż za miesiąc. Złodziej z kolei narobiłby więcej hałasu. Aaron poczuł, jak żona oplata go ramieniem w poprzek klatki piersiowej, przytulając się do jego pleców.

- Nix. Nic - mruknął, nie wiedząc, czy tym jednym słowem chce przekonać Sarę, czy też samego siebie.

Wiedziała, że tę fioletową spiralę, opadającą zwojami aż do brzucha dziecka, trzeba przeciąć. Drżącymi dłońmi zdołała dosięgnąć kołka obok wejścia do zagrody. Wisiały tam stare nożyce, poplamione rdzą i oblepione żdźbłami siana. Chodziły ciężko; pępownina poddała się dopiero za drugim cięciem i opadła, tryskając krwią. Przerażona tym widokiem, zacisnęła palcami jej koniec, rozglądając się gorączkowo za czymś do podwiązania.

Grzebiąc wolną ręką w sianie, natrafiła na krótki kawałek szpagatu do wiązania snopków. Pospiesznie owinęła nim przeciętą pępowninę. Krwawienie osłabło, potem ustało zupełnie. Z westchnieniem ulgi opadła na siano, opierając się na łokciach. I w tej chwili dziecko zaczęło płakać.

Wzięła je na ręce, przytulając mocno i kołyszac. Jedną nogą zaczęła podgarniać siano, usiłując zamaskować ślady krwi. Dziecko otworzyło usta i zacisnęło ssące wargi na jej bawełnianej koszuli nocnej.

Wiedziała, czego ono chce, czego potrzebuje, ale nie mogła mu tego dać. Gdyby to zrobiła, to nagle wszystko stałoby się prawdą.

Zamiast tego podsunęła mu mały palec, czując, jak maleńkie szczęki pracują z wielką siłą. Sama zaś - tak jak nauczono ją robić w najtrudniejszych, najcięższych sytuacjach - zaczęła się modlić słowami, które potarzała już od tyłu miesięcy.

- Panie - wyszeptana - proszę, spraw, żeby tego nie było.

Obudziło ją pobrząkiwanie łańcuchów. Na dworze było jeszcze ciemno, ale dojne krowy, posłuszne swojemu wewnętrznemu zegarowi, zaczęły już wstawać w zagrodach. Pomiędzy ich zadnimi nogami, niczym księżycy w pełni, wisiały pękate od mleka wymiona, poznaczone siatką błękitnych żył. Choć czuła się nieludzko zmęczona i obolała na całym ciele, to wiedziała, że kiedy mężczyźni przyjdą do dojenia, nie może jej już tutaj być. Zerknąwszy w dół, pomiędzy nogi, stwierdziła, że stał się cud: siano, przedtem zalane krwią, było świeże i czyste. Tylko tam, gdzie siedziała, widniała jedna, jedyna maleńka plama, natomiast to, co miała w rękach, zasypiając - nożyce i noworodek - znikło bez śladu.

Wstała z trudem i w nabożnym podziwieniu uniosła wzrok ku dachowi obory.

- Denke - szepnęła i wybiegła w szary mrok.

Podobnie jak inni młodzi amisze, Levi Esch nie chodził już do szkoły. Zakończył nauki na ósmej klasie, kiedy miał czternaście lat, a teraz trwał w zawieszeniu pomiędzy dzieciństwem a wiekiem, kiedy zgodnie z religią amiszów będzie mógł przyjąć chrzest. Tymczasem zatrudnił go właściciel gospodarstwa mlecznego, Aaron Fisher, któremu zabrakło syna do pomocy. Levi dostał tę pracę dzięki rekomendacji swojego starszego kuzyna Samuela. Samuel praktykował u Fisherów już piąty rok, a ponieważ, jak było wiadomo, miał się niedługo żenić z córką Fisherów i zakładać własne gospodarstwo, wszystko wskazywało na to, że Leviego czeka awans.

Dzień pracy zaczynał się dla niego o czwartej nad ranem, tak jak na każdej farmie mleczarskiej. Nadal było ciemno choć oko wykol. Levi nie mógł dostrzec zbliżającej się bryczki, którą jechał Samuel, ale kiedy dobiegł go nikły brzęk uprzęży, chwycił swój słomiany kapelusz z szerokim rondem i wypadł z domu na dwór. Po chwili siedział już na koźle obok Samuela.

- Cześć - wydyszał.

Kuzyn skinął głową, ale nie odezwał się ani słowem, nie spojrział nawet na niego.

- Co się stało? - zakpił Levi. - Katie nie dała ci wieczorem buzi na do widzenia?

Samuel skrzywił się gniewnie i trzepnął go w głowę, strącając jego kapelusz do pudła wozu.

- Może byś tak się zamknął? - warknął.

Jechali w milczeniu. Wiatr szeptał w zbożu porastającym pole, które nierówną linią ciągnęło się wzdłuż drogi. Po niedługim czasie Samuel zajechał na podwórko Fisherów. Levi zsiadł z kozła i grzebiąc czubkiem buta w miękkiej ziemi, czekał, aż kuzyn wyprzęgnie i odprowadzi konia na pastwisko. Potem obaj ruszyli do obory.

Lampy, które zapalano do porannego udoju, były zasilane agregatem, podobnie jak próżniowe dojarki zakładane krowom na wymiona. Wewnątrz zastali już Aarona Fishera. Klęczał przy jednej z krów i przecierał jej dójki wodą z jodyną, a potem osuszał je kartkami wyrywanych ze starej książki telefonicznej.

- Dzień dobry - przywitał się z Samuelem i Levim.

Nie powiedział im, co mają robić, bo sami dobrze wiedzieli. Samuel wziął taczkę, ustawił ją pod silosem i zaczął mieszać paszę. Levi zajął się wybieraniem nawozu spod krów, od czasu do czasu spoglądając w stronę kuzyna i marząc o tym, żeby być już starszym pomocnikiem.

Drzwi się otworzyły. Do obory wszedł wolnym krokiem ojciec Aarona. Elam Fisher nie mieszkał razem ze wszystkimi w domu, ale zajmował niewielką przybudówkę zwaną grossdawdi haus. Przychodził pomagać przy udoju, lecz Levi, jak wszyscy, dobrze znał niepisane reguły: uważać, żeby staruszek nie dźwigał żadnych ciężarów, żeby się nie przemęczał i żeby cały czas był święcie przekonany, że Aaron nie może się bez niego obejść, chociaż było akurat wręcz przeciwnie.

- Chłopcy - zagrzmiał Elam tubalnym głosem i nagle urwał, stając jak wryty pośrodku obory; zmarszczył nos i potrząsnął długą białą brodą.
- No proszę, mamy nowego cielaka.

Aaron wstał, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

- Nie. Zaglądałem do zagrody. Elam potrząsnął głową.

- Czuć cielakiem.

- Czuć, ale Leviego - zażartował Samuel, podsypując pierwszej krowie świeżej paszy. - Dawno się nie kąpał.

Kiedy go mijał, pchając przed sobą taczki, Levi zamachnął się na niego, ale trafił nogą w krowi placek i wylądował na siedzeniu w rowie na odpadki. Zgrzytnął zębami, słysząc rechot Samuela.

- Nie wałkoń się - zląkał go Aaron, chociaż i jemu uśmiech krzywił już usta. - Samuelu, daj mu spokój. Levi, wydaje mi się, że Sara zostawiła twoje zapasowe ubranie w siodłami.

Levi wstał niezgrabnie, czując, jak płoną mu policzki. Minął Aarona, stojącego obok tablicy, na której zapisywano kredą, kiedy która krowa będzie się cielić i wszedł do klatki, gdzie przechowywano derki i uprzęże dla koni pociągowych i mułów pracujących na farmie. Panował tutaj wzorowy porządek, jak zresztą w całej oborze. Na ścianach wisiała pajęcza sieć plecionych skórzanych cugli, a na półkach poukładano zapasowe podkowy i słoje z maścią dla zwierząt.

Levi rozejrzał się, ale niczego nie znalazł, po chwili jednak dostrzegł coś jasnego w stercie końskich derek. No, to ma jakiś sens, pomyślał. Jeśli Sara Fisher uprała moje rzeczy, to przecież nie osobno, tylko razem ze wszystkim. Uniósł ciężki pasiasty koc. Pod spodem leżały jego zapasowe spodnie i koszula koloru szmaragdowego, zwinięta w kulę. Pochylił się, chcąc odrzucić koc do końca i spojrzął w nieruchomą twarzyczkę nowo narodzonego dziecka.

- Aaronie! - Levi wyhamował z poślizgiem obok gospodarza, dysząc ciężko. - Chodźcie tam, szybko.

Powiedział tylko tyle i wrócił pędem do komórki. Aaron wymienił spojrzenie z ojcem, po czym obaj pobiegli za chłopcem, a w ślad za nimi Samuel.

Levi pochylał się nad stołkiem, na którym piętrzyła się wysoka sterta derek dla koni. Na jej szczycie leżało niemowlę zawinięte w koszulę chłopca.

- Chyba... chyba nie oddycha - powiedział Levi.

Aaron podszedł bliżej. Już bardzo dawno nie widział tak małego dziecka. Dotknął je. Jego gładka buzia była zupełnie zimna. Ukląkł i nachylił głowę, mając nadzieję usłyszeć oddech maleństwa. Położył dłoń na jego klatce piersiowej.

W końcu się odwrócił.

- Biegnij do Schuylerów i poproś, żeby pozwolili ci zatelefonować - polecił Leviemu. - Wezwij tu policję.

- Wypchaj się - oświadczyła Lizzie Munro swojemu dowódcy. - Nie jadę oglądać nieprzytomnego niemowlaka. Wyślij tam karetkę.

- Już są na miejscu. Chcą, żeby przyjechał detektyw.

Lizzie przewróciła oczami. Jako sierżant dochodzeniówki napatrzyła się już w życiu na ratowników z pogotowia i poczyniła pewną obserwację, mianowicie taką, że co roku przyjmują tam młodszych. I głupszych.

- To jest robota dla pogotowia, Frank - powtórzyła.

- Niby tak, ale coś mi tam nie gra. - Porucznik podał jej kartkę z zapisanym adresem.

- Fisher? - Lizzie zmarszczyła brew, odczytując nazwisko i nazwę ulicy. - Amisze?

- Na to wygląda.

Lizzie westchnęła, chwytając w jedną rękę swoją przepastną czarną torbę, a w drugą odznakę.

- Dobrze wiesz, że to strata czasu - zawyrokowała. Miała już w przeszłości do czynienia z amiszami. Najczęściej były to grupki nastolatków ze wspólnoty Amiszów Starego Zakonu, którzy zebrali się u kogoś w stodole, żeby sobie popić, potaćzyć i w ogóle porozrabiać. Raz albo dwa zdarzyło jej się odebrać zeznanie od amisza-przedsiębiorcy, któremu ktoś włamał się do domu. Jednak ogólnie rzecz biorąc, amisze rzadko miewali kontakt z policją. Ich wspólnota istniała sobie dyskretnie, niezauważalnie, zanurzona w otaczającym ją świecie, niby bańka powietrza nieprzenikalna dla cieczy, w której się unosi.

- Zbierz tylko zeznania od świadków, a ja już ci to wynagrodzę - obiecał Frank, otwierając przed Lizzie drzwi. - Specjalnie wyszukam jakiś smakowity czyn karalny, taki w sam raz dla ciebie.

- Obejdzie się bez kumoterstwa - ofuknęła go Lizzie, ale nawet kiedy już wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę farmy Fisherów, wciąż jeszcze się uśmiechała.

Na podwórzu Fisherów stały radiowóz, karetka i bryczka. Lizzie wysiadła, podeszła do drzwi domu i zapukała.

Nikt nie odpowiedział, ale po chwili dobiegło ją pozdrowienie, które wypowiedział ktoś za jej plecami. Głos był kobiecy, o modulowanej, dialektalnej intonacji zmiękczającej spółgłoski. Odwróciła się i ujrzała kobietę średnich lat, w stroju typowym dla amiszów - lawendowej sukni przepasanej czarnym fartuchem - szybkim krokiem zmierzającą w jej kierunku.

- Jestem Sara Fisher. W czym mogę pani pomóc?

- Sierżant Lizzie Munro, wydział dochodzeniowo-śledczy.

Sara Fisher skinęła poważnie głową i zaprowadziła Lizzie do komórki, gdzie było już dwóch ratowników z pogotowia. Klęczeli nad niemowlęciem. Lizzie przykucnęła obok.

- Co tam macie?

- Noworodek, niedawno urodzony. Kiedy tu przyjechaliśmy, nie oddychał i nie miał pulsu. Próbowaliśmy reanimować, nie udało się. Znalazł go pomocnik farmera, zawiniętego w tę zieloną koszulę i przykrytego derką. Trudno stwierdzić, czy urodził się żywy, czy martwy, w każdym razie ktoś próbował go ukryć. Jeden z waszych kręci się przy krokach. Od niego pewnie dowiesz się czegoś więcej.

- Zaraz, zaraz. Ktoś chciał ukryć to dziecko zaraz po urodzeniu?
- Zgadza się. Mniej więcej trzy godziny temu - mruknął potakująco ratownik.

Nie stąd, ni zowąd zwyczajna „robotka dla pogotowia” skomplikowała się daleko bardziej, niż Lizzie skłonna była się spodziewać, zaś najbardziej prawdopodobny podejrzany stał tuż obok, nie dalej jak trzy kroki od niej. Podniosła wzrok i spojrzała na Sarę Fisher, która przyglądała się całej scenie, oplótszy się ciasno ramionami.

- Nie żyje? - zapytała i wzdrygnęła się.
- Obawiam się, że tak, pani Fisher.

Lizzie otworzyła usta, chcąc zadać pytanie, ale przeszkodził jej zgłuszony odgłos przestawianych urządzeń gospodarczych.

- Co to? - zdziwiła się.
- Mężczyźni kończą doić krowy.
- Doić krowy? - Lizzie uniosła brwi ze zdziwienia.
- Trzeba to zrobić - odpowiedziała cicho Sara. - Mimo wszystko.

Nagle Lizzie ogarnęło ogromne współczucie dla tej kobiety.

Życie biegnie dalej, nie zatrzymuje się nad śmiercią - i właśnie Sara Fisher powinna wiedzieć o tym najlepiej. Położyła dłoń na jej ramieniu i nie mając pewności co do stanu psychicznego swojej rozmówczyni, powiedziała łagodnym głosem:

- Wiem, że to dla pani bardzo trudne, ale muszę zadać kilka pytań na temat pani dziecka.

Sara Fisher uniosła wzrok i spojrzała jej prosto w oczy.

- To nie jest moje dziecko - odparła. - Nie mam pojęcia, skąd się tutaj wzięło.

Pół godziny później Lizzie pochyliła się do ucha fotografa policyjnego.

- Same miejsca, nic więcej - ostrzegła go. - Amisze nie lubią, jak robi im się zdjęcie.

Fotograf skinął głową. Obszedł z aparatem komórkę, a potem zrobił kilka zbliżeń zwłok dziecka.

Przynajmniej rozumiem teraz, po co mnie tu wezwali, pomyślała Lizzie. Martwy, niezidentyfikowany noworodek, porzucony przez nieznaną matkę. I do tego gdzie? Na farmie amiszów.

Zdażyła już porozmawiać z sąsiadami Fisherów, małżeństwem luteranów. Oboje zapewnili ją solennie, że nigdy w życiu nie słyszeli u nich nawet podniesionych głosów, co się zaś tyczyło dziecka, to byli w kropce; w ogóle nie mieściło im się w głowie, skąd mogło się ono wziąć. Ich dwie nastoletnie córki - jedna z nich parująca z kolczykami w nosie i w

pępku - miały alibi na miniony wieczór, ale zgodziły się poddać badaniom ginekologicznym, aby można je było wykluczyć z grona podejrzanych.

Natomiast Sara Fisher odmówiła zgody na badania.

Lizzie stała pod ścianą mleczarni, rozmyślając nad wszystkim, czego się dowiedziała. Patrzyła, jak Aaron Fisher przelewa mleko z małej, ręcznej blaszanki do dużej stągwi. Był to wysoki, ciemnowłosy mężczyzna; ramiona miał węzłowate od mięśni wyrobionych pracą w gospodarstwie. Skończył przelewać, odstawił blaszankę i odwrócił się do Lizzie - teraz mógł poświęcić jej całą swoją uwagę.

- Moja żona nie była w ciąży, pani sierżant - powiedział.

- Czy jest pan tego pewien?

- Sara nie może już rodzić. Tak orzekli lekarze, po tym, jak ostatni poród niemalże zakończył się dla niej tragicznie.

- A państwa dzieci, panie Fisher... Gdzie one były, kiedy znaleziono tego noworodka?

Przez twarz mężczyzny przemknął cień, niknąc momentalnie, ledwie Lizzie zdążyła go zauważyć.

- Jedna córka spała na piętrze. Drugiej... nie ma tutaj.

- Wyprowadziła się?

- Nie żyje.

- Ile lat ma ta córka, która spała na piętrze?

- Osiemnaście.

Słyszac to, Lizzie podniosła głowę. Ani Sara Fisher, ani ratownicy nie wspomnieli choćby jednym słowem, że w tym domu mieszka jeszcze jedna dojrzała kobieta.

- Czy to możliwe, że była w ciąży, panie Fisher?

Gospodarz poczerwieniał tak mocno, że aż się przestraszyła, że coś się stało.

- Przecież nie ma jeszcze męża.

- To nie jest konieczny warunek, proszę pana.

Aaron Fisher spojrzał kobiecie-detektywowi prosto w oczy. W jego wzroku był chłód.

- Dla nas jest.

Dojenie czterdziestu mlecznych krów ciągnęło się w nieskończoność, lecz wcale nie dlatego, że przybyło jeszcze kilku policjantów. Samuel wypuścił jałówki na pastwisko, zamknął za nimi bramę i ruszył w kierunku domu. Wiedział, że powinien pomóc Leviemu przy poranym zamiataniu obory, ale zdecydował, że ten jeden raz praca może poczekać.

Nie zadał sobie nawet trudu, żeby zapukać, ale od razu otworzył drzwi i wszedł jak do siebie, jakby cały ten dom, wraz z młodą kobietą

krzątającą się w kuchni, już należał do niego. Stał na progu, przyglądając się jej profilowi, zarysowanemu piękną linią w promieniach słońca, które barwiły jej miodowe włosy czystym złotem. Wodził za nią oczami, patrząc na jej ruchy, szybkie i zręczne. Właśnie przygotowywała śniadanie.

- Katie - pozdrowił ją, wchodząc do środka.

Odwrociła się błyskawicznie, spłoszona, a tyżka wypadła jej z ręki i wylądowała w misce pełnej ciasta na naleśniki.

- Samuel! Co dziś tak wcześnie? - Zerknęła ponad jego ramieniem, jakby spodziewała się zobaczyć wielką armię ciągnącą w ślad za nim. - Mama powiedziała, że mam zrobić tyle jedzenia, żeby starczyło dla wszystkich.

Samuel podszedł do niej i zabrał miskę, odstawiając ją na stół. Wziął ją za obie ręce.

- Nie wyglądasz najlepiej.

- Dzięki za komplement - skrzywiła się. Przyciągnął ją do siebie.

- Wszystko w porządku?

Podniosła na niego wzrok. Jej oczy miały lazurowy kolor oceanicznych fal, które widział kiedyś na okładce magazynu podróżniczego. Tak też właśnie wyobrażał sobie nieskończoną głębię oceanu. To te oczy pierwsze przykuły jego uwagę, sprawiły, że dostrzegł Katie w tłumie ludzi zgromadzonych na mszy. Patrząc w nie, wierzył święcie, że dla tej jednej kobiety zrobi wszystko, nawet za sto lat.

Odsunęła się od niego i zaczęła przewracać naleśniki.

- Znasz mnie nie od dziś - powiedziała rwącym się głosem. - Zawsze się denerwuję, kiedy widzę tych Englishers*.

- A ilu ich tam jest? Tylko paru policjantów - powiedział z troską Samuel do jej pleców. - Ale pewnie będą chcieli z tobą porozmawiać. Wszystkich wypytują.

Odłożyła łypatkę i odwróciła się z ociąganiem.

- Co oni tam znaleźli, w tej oborze?

- To mama nic ci nie mówiła?

Katie powoli potrząsnęła głową, a Samuel zawahał się przez chwilę, rozdarty pomiędzy dwiema sprzecznościami: z jednej strony wiedział, że Katie w dobrej wierze oczekuje, że usłyszy od niego prawdę, z drugiej zaś pragnął za wszelką cenę utrzymać ją jak najdłużej w beztroskiej niewiedzy. Przeczesał palcami swoje słomkowe włosy, stawiając je na sztorc.

* Na określenie człowieka spoza swojej wspólnoty, czyli „ze świata”, amisz używają słowa Englisher czyli „Anglik” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- No, dobrze. Znaleźli noworodka. Nieżywego.

Jej oczy, te niesamowite lazurowe oczy zrobiły się okrągłe jak spodki, a potem Katie opadła bezsilnie na jedno z kuchennych krzesel.

- Aha - jęknęła, zszokowana.

W mgnieniu oka był przy niej, porwał w objęcia i zaczął szeptać do ucha, że zabierze ją stąd i niech się dzieje, co chce, do licha z policją. Kiedy poczuł, jak mięknie w jego ramionach, załała go triumfalna radość - tyle dni boczyła się na niego, odpychała od siebie, ale wreszcie z tym koniec, i to jaki piękny koniec! Nie minęła jednak chwila, a Katie zeszywniała i odsunęła się od Samuela.

- Nie czas teraz na to - złała go. Wstała z krzesła i powylączyła wszystkie palniki gazowej kuchenki, po czym stanęła przed nim, obejmując się rękoma w pół. - Samuelu, chciałabym, żebyś mnie zabrał w jedno miejsce.

- Dokąd tylko zapragniesz - obiecał.

- Pokaż mi to martwe niemowlę.

- Krew - potwierdził lekarz sądowy, klęczący w zagrodzie dla cielnych krów, pochylony nad maleńką, ciemną plamą. - I łóżysko. Ale nie krowie, sądząc po rozmiarach. Tutaj niedawno rodziła jakaś kobieta.

- Czy dziecko było martwe?

Zawahał się przez chwilę.

- Tego nie mogę stwierdzić bez autopsji - ale przecucie mówi mi, że nie.

- Czyli umarło... tak po prostu?

- Tego też nie powiedziałem.

Lizzie wyprostowała się, przysiadając na piętach.

- Mam uwierzyć, że ktoś je zabił? Odpowiedzią było wzruszenie ramion.

- Twoja głowa w tym, żeby się tego dowiedzieć.

Lizzie szybko policzyła w pamięci. Od narodzin do śmierci dziecka upłynęło bardzo niewiele czasu, można więc było z dużym prawdopodobieństwem założyć, że winna była jego matka.

- Jak to było? Ktoś je zadławił?

- Raczej udusił. Na szyi nie ma śladów. Do jutra podeślę ci wstępne wyniki autopsji.

Lizzie podziękowała lekarzowi sądowemu i opuściła miejsce przestępstwa, a policjanci z patrolu zajęli się jego zabezpieczeniem. Zupełnie nagle to, co wyglądało na zwykłe porzucenie noworodka, zamieniło się w

potencjalnie prawdopodobne morderstwo, a to już stanowiło wystarczający argument, aby uzyskać u sędziego okręgowego nakaz pobrania próbki krwi; zdobyte w ten sposób dowody w jednoznaczny sposób wskazywałyby sprawcę zbrodni.

Zatrzymała się, słysząc skrzypnięcie drzwi. W półmroku obory stał wysoki blondyn - rozpoznała w nim jednego z pomocników gospodarza - a wraz z nim młoda kobieta. Blondyn skinął Lizzie głową.

- To jest Katie Fisher - przedstawił nieznaną.

Była to piękna dziewczyna, pełna tego krzepkiego, germańskiego powabu, który Lizzie zawsze kojarzył się z wiosną i świeżo zebraną śmietaną. Miała na sobie tradycyjny strój Amiszów Starego Zakonu: suknię z długimi rękawami i czarny fartuch, sięgający aż za kolana. Jej białe stopy pokrywała twarda, zrogowaciała skóra; Lizzie nigdy nie mogła się nadziwić dzieciakom amiszów, biegającym w lecie na bosaka po drogach wysypanych żwirem, ale tak właśnie się u nich robiło. Na dodatek dziewczyna była ledwie żywa ze strachu, dało to się wyczuć z daleka.

- Cieszę się, że przyszedł, Katie - powiedziała Lizzie łagodnym głosem. - Rozglądałam się za tobą, bo chcę ci zadać kilka pytań.

Słyszając to, Katie przysunęła się bliżej swojego blondwłosego koleśka, który pospieszył z wyjaśnieniami:

- Katie całą noc spała. Nie wiedziała w ogóle, że coś się stało. Dopiero ja jej o wszystkim powiedziałem.

Lizzie chciała zagadnąć o to Katie, ale uznała, że w tym momencie nic do niej nie dotrze. Dziewczyna nieruchomym wzrokiem patrzyła ponad jej ramieniem, przyglądając się, jak ratownicy pod kierunkiem lekarza sądowego zabierają zwłoki noworodka z komórki. Nagle wyszarpnęła się Samuelowi i wybiegła z obory. Lizzie poszła w ślad za nią, aż na ganek domu.

Była to dosyć gwałtowna reakcja na śmierć. Ciekawe, co ją spowodowało, zastanawiała się Lizzie, patrząc, jak Katie ze wszystkich sił usiłuje się opanować. Gdyby to była zwykła nastolatka, zachowanie tego typu można by uznać za świadectwo winy, ale Katie Fisher była córką amiszów i myślała w zupełnie inny sposób niż dziewczęta w jej wieku. Kto urodził się wśród amiszów i wychowywał w hrabstwie Lancaster w Pensylwanii, nie oglądał ani dzienników telewizyjnych, ani filmów dla dorosłych. Nie słyszał o tym, że na świecie zdarzają się gwałty, morderstwa, że mężowie katują swoje żony. Kto wychował się wśród amiszów, mógł na widok martwego noworodka zareagować szczerym, panicznym strachem.

Z drugiej strony, w ostatnich latach odnotowano wiele wypadków, kiedy to nastoletnie matki ukrywały się z ciążą, a po porodzie pozbywały

się problemu razem z dzieckiem. Nie były w najmniejszym stopniu świadome tego, co zrobiły. Zdarzało się to wszędzie, bez względu na pochodzenie, kolor skóry czy religię.

Katie zasłoniła twarz dłońmi i płakała, oparta o słup podtrzymujący dach.

- Przepraszam - załkała. - To dziecko... Zwłoki... Przypomniała mi się moja siostra.

- Ta, która umarła? Dziewczyna skinęła głową.

- Utopiła się. Miała siedem lat.

Lizzie rozejrzała się. Dookoła ciągnęły się pola, zielone morze falujące na wietrze. W oddali zarżał koń, a po chwili inny mu odpowiedział.

- Wiesz, co się dzieje, kiedy rodzi się dziecko? - zapytała cicho Lizzie.

- Mieszkam na wsi - odparła Katie, patrząc na nią spod oka.

- Rozumiem, ale kobieta to nie zwierzę i jeśli po porodzie pozostaje bez opieki lekarskiej, naraża się na poważne niebezpieczeństwo. - Lizzie zawiesiła głos. - Katie - zapytała po chwili - czy chciałabyś może coś mi powiedzieć?

- Nie urodziłam dziecka. - Katie spojrzała policjantce prosto w oczy. - Nie byłam w ciąży. - Ale Lizzie patrzyła w dół, na podłogę. Na pociągniętych białą farbą deskach widniała rdzawoczerwona plama. A na gołej łydce Katie wiła się wężykiem cienka strużka krwi.

Rozdział drugi

ELLIE

Bohaterami moich koszmarów były dzieci. A konkretnie - sześć dziewczynek. Dwie miały ciemne włosy, a cztery jasne. Spod szkolnych fartuszków w szkocką kratę - to barwa Szkoły Podstawowej Świętego Ambrożego - sterczały ich chude kolana, na nich leżały kurczowo splecione dłonie. Trzeba wam wiedzieć, że te dzieci na moich oczach dorosły w jednej chwili; był to moment, kiedy przewodniczący ławy przysięgłych ogłosił uniewinnienie mojego klienta, dyrektora ich szkoły, mężczyzny, który je molestował.

Był to największy wyczyn w mojej karierze adwokackiej. Pracowałam wtedy w sądzie w Filadelfii. Kiedy zapadł ten wyrok, mój telefon rozdzwonił się jak głupi; znalazłam się w kręgu zainteresowania ludzi ze świecznika, którzy z moją pomocą mieli nadzieję znaleźć luki w prawie i upchnąć w nich własne grzeszki. Tego samego dnia, kiedy przysięgli ogłosili werdykt, Stephen zabrał mnie wieczorem do Victor's Cafe na kolację, która kosztowała tyle, że można by za to kupić używany samochód. Kierownikowi sali powiedział, że nazywam się Jeannie Cochran. Zawiadomił mnie, że dwaj starsi wspólnicy w jego firmie, najbardziej prestiżowej w całym mieście, zapraszają mnie na rozmowę.

- Stephen - odpowiedziałam zdumiona - kiedy pięć lat temu byłam u was na rozmowie kwalifikacyjnej, oświadczyłeś mi, że nie wyobrażasz sobie związku z kobietą, która pracuje z tobą w jednej firmie.

- Ellie - wzruszył ramionami - pięć lat temu to było co innego.

I miał rację. Pięć lat wcześniej dopiero zaczynałam karierę.

Pięć lat wcześniej wierzyłam, że na uniewinnieniu korzysta przede wszystkim klient, a nie adwokat, czyli ja. Pięć lat wcześniej o takiej okazji

jak oferta pracy w firmie Stephena mogłam sobie najwyżej pomarzyć. Uśmiechnęłam się do mego.

- To o której mam to spotkanie?

Po jakimś czasie przeprosiłam go i poszłam do toalety, która miała własną obsługę w postaci cierplivej pani siedzącej obok stoliczka z bezpłatnymi kosmetykami do makijażu, lakierem do włosów i perfumami. Zamknęłam się w kabinie i zaczęłam płakać; łałam gorzkie łzy, wspominając sześc dziewczynek w sądzie i ten materiał dowodowy, który z powodzeniem udało mi się ukryć, a także na myśl o adwokatce, którą chciałam być dawno temu, kiedy dopiero skończyłam prawo i byłam tak zasadnicza, że za nic w świecie nie podjęłabym się prowadzenia takiej sprawy, a nawet gdyby, to na pewno nie stanęłabym na głowie, żeby ją wygrać.

Wróciłam do umywalni i zaczęłam myć ręce. Podwinęłam rękawy marynarki, namydliłam dłonie i tarłam skórę do czerwoności; po wierzchu, między palcami, pod paznokciami. Nagle poczułam, że ktoś klepie mnie po ramieniu; za mną stała pani z obsługi, trzymając w dłoni płócienny ręcznik. Spojrzenie jej ciemnych jak kasztany oczu było twarde i dobitne.

- Kochana - usłyszałam - są takie plamy, które nigdy nie zejną.

W moich koszmarach przewijało się jeszcze jedno dziecko, lecz ani razu nie zobaczyłam jego twarzy. To było moje dziecko, to, którego nigdy nie miałam i, wszystko na to wskazywało, że nigdy mieć nie będę. Ludzie często żartują sobie z zegara biologicznego, ale kobiety takie jak ja czują go w sobie - chociaż muszę przyznać, że kiedy był jeszcze zaledwie budzikiem, nie słyszałam go wcale. Dopiero w momencie, gdy jego tykanie zaczęło odliczać wybuch bomby, dotarło do mnie, że on istnieje i cały czas chodzi. Czekał, zwlekaj, czekał, zwlekaj, a potem bum! i nic już nie zrobisz, nic nie poradzisz.

Chyba jeszcze nie wspomniałam, że żyłam wtedy ze Stephenem już od ośmiu lat.

Następnego dnia po uniewinnieniu dyrektor od Świętego Ambrożego przysłał mi dwa tuziny czerwonych róż. Stephen wszedł do kuchni akurat wtedy, gdy upychałam je w koszu na śmieci.

- Dlaczego to robisz?

Odwróciłam się do niego, powoli.

- Powiedz, czy ciebie też to dręczy, że kiedy raz przekroczysz granicę, to już nie ma powrotu?

- Jezu, znowu ten Konfucjusz. Nie możesz powiedzieć, o co ci chodzi?

- Właśnie mówię. Chcę wiedzieć, czy cię to boli. Tutaj - dotknęłam palcem piersi w miejscu, gdzie biło moje wciąż jeszcze obolałe serce. - Chcę wiedzieć, czy zdarza ci się czasem spojrzeć na ludzi, którzy siedzą po przeciwnej stronie sali sądowej, tych ludzi, którym jakiś kryminalista zrujnował życie. Powiedz mi, czy myślisz o nich, kiedy wiesz dobrze, że twój klient jest winny, winny jak wszyscy diabli?

Stephen wziął do ręki swój kubek na kawę.

- Przecież ktoś musi go bronić. Tak działa nasz system prawny. A ty, skoro masz takie czułe serduszek, to może zgłoś się do pracy w biurze prokuratora okręgowego? - Wyjął różę z kosza, ułamał łodyżkę i zatknął mi kwiat za ucho. - Musisz przestać o tym myśleć. A może byśmy tak podjechali na plażę i wskoczyli do morza? - Pochylił się bliżej ku mnie. - Nago?

- Seks to nie jest plaster z opatrunkiem, Stephen.

Cofnął się o krok.

- Och, przepraszam. To było już tak dawno, że zdążyłem zapomnieć.

- Nie chcę teraz dyskutować akurat o tym.

- I nie ma takiej potrzeby. Mam już córkę, dwadzieścia jeden lat w tym roku.

- Ale ja nie mam. - Te słowa zawisły w powietrzu, ulotne, lecz nie do przeoczenia, jak bańka mydlana na ułamek sekundy przed pęknięciem. - Posłuchaj mnie. Potrafię zrozumieć, dlaczego mężczyzna nie chce przywrócić sobie płodności po wazektomii, ale można przecież inaczej...

- Nie można. Nie zamierzam patrzeć, jak przeglądasz do poduszki katalogi banków nasienia. Nie zamierzam też spowiadać się opiece społecznej, która musi wściubić nos we wszystko, od zeznań podatkowych po szufladę z bielizną, zanim wyda mi pozwolenie na adopcję jakiegoś małego Chińczyka, którego rodzice porzucili na szczycie góry, żeby umarł z zimna...

- Przestań, Stephen! Co ci się stało?

O dziwo, Stephen uciszył się w jednej chwili i usiadł, zaciskając wargi. Widać było, że jest wściekły.

- Tego nie musiałaś mówić - odezwał się po długiej chwili milczenia. - Naprawdę mnie uraziłaś.

- Czym?

- Powiedziałaś... że mnie posrało!

Spojrzałam mu w oczy.

- Powiedziałam: „Co ci się stało”.

Stephen zamrugnął, a potem wybuchnął śmiechem.

- Co ci się stało? No nie! Źle cię zrozumiałem.

Nie pierwszy raz i nie ostatni, pomyślałam, ale ugryzłam się w język i nie powiedziałam tego na głos.

Kancelarie firmy Pfister, Crown i DuPres zajmowały trzy piętra nowoczesnego wieżowca ze szkła i stali, stojącego w centrum Filadelfii. Na spotkanie ze współnikami stroiłam się kilka godzin, cztery razy zmieniając koncepcję, zanim wybrałam taki kostium, w którym najbardziej wyglądałam na kobietę sukcesu. Użyłam więcej antyperspirantu niż zazwyczaj. Wypiłam bezkofeinową kawę, bo bałam się, że od prawdziwej będą mi się trzęsły ręce. Przejechałam w myśli trasę do biurowca w centrum i przeznaczyłam sobie na dojazd prawie godzinę, chociaż to było nie więcej niż dwadzieścia pięć kilometrów.

Dokładnie o godzinie jedenastej rano wślizgnęłam się za kierownicę swojej hondy.

- Starszy współnik - mruknełam pod nosem, zerkając we wsteczne lustro. - Pensja minimum trzysta tysięcy rocznie. - Wsunęłam na nos okulary przeciwsłoneczne i ruszyłam na autostradę.

Stephen zostawił mi w samochodzie kasetę ze swoją specjalną składanką, która miała, jak to się wyraził, „dawać kopa”. Słuchał jej zawsze, kiedy jeździł do sądu. Uśmiechając się lekko, włożyłam kasetę do odtwarzacza, a samochód momentalnie zaczął dudnić w rytm bębnow. Rozkręciłam głośność prawie do oporu, tak, że ledwie usłyszałam wściekły klakson ciężarówki, której zajechałam drogę, zmieniając pasy jak w slalomie.

- Oj - westchnęłam, zaciskając palce na kierownicy, która w tym samym momencie szarpnęła mi się w rękach. Chwyciłam ją mocniej, ale to dało tylko tyle, że samochód targnął się jak wierzgający mustang. Poczuję, jak z gardła do żołądka spływa mi chłodna strużka strachu; momentalnie ogarnęła mnie panika, która przychodzi wtedy, gdy człowiek uświadamia sobie, że właśnie zdarzyło się coś fatalnego i najzwyczajniej w świecie nie starczy mu już czasu, żeby zrobić cokolwiek. We wstecznym lusterku zobaczyłam, jak potężna ciężarówka, trąbiąc zajadle, zawisa nad moim samochodem, który w tym momencie zadygotał konwulsyjnie i stanął pośrodku autostrady, jakby wjechał na ścianę. Dookoła, ze średnią prędkością stu kilometrów na godzinę, zaczęły śmigać inne pojazdy.

Zamknęłam oczy w oczekiwaniu na huk i wstrząs. Nie doczekałam się.

Pół godziny później, wciąż jeszcze na miękkich nogach, stałam obok Boba, właściciela i ojca chrzestnego warsztatu napraw samochodowych „U Boba”, wysłuchując wykładu na temat tego, co stało się z moim samochodem.

- Najkrócej można powiedzieć, że wszystko się stopiło - poinformował mnie Bob, wycierając dłonie w kombinezon. - Pękła miska olejowa, silnik się zapiekł i części się pozwierały jedna z drugą.

- Pozwierały się - powtórzyłam powoli. - A jak je można porozwierać?

- Nie można. Trzeba kupić nowy silnik. To będzie jakieś pięć, sześć tysięcy.

- Pięć, sześć... hej! - Zatrzymałam go, bo odwrócił się i najwidoczniej chciał już sobie pójść. - A co ja mam zrobić, dopóki nie wymienię silnika?

Zerknął na mój kostium, walizkę, buty na szpilkach.

- Niech se pani kupi trampki.

Zadzwoił telefon.

- Nie odbiera pani? - zapytał mechanik, a do mnie dopiero teraz dotarło, że to dzwoni w przepastnych głębiach mojego neseseru. Przypomniałam sobie o umówionym spotkaniu i jęknęłam. Było już piętnaście minut po czasie.

- Gdzie ty się podziewasz, do diabła? - warknął Stephen, kiedy odebrałam.

- Samochód mi się rozkraczył na środku autostrady. Wyprzedzałam ciężarówkę.

- Cholera, Ellie! Czy ty nie wiesz, od czego są taksówki?

Byłam tak wstrząśnięta tym, co usłyszałam, że nie mogłam wykrztusić ani słowa. Żadnego „Boże, nic ci się nie stało?”, żadnego „Mam do ciebie przyjechać?”. Spojrzałam na Boba, który kręcił głową nad masą poskręcane metalu, która jeszcze do niedawna pracowała w moim samochodzie w charakterze silnika i poczułam, jak ogarnia mnie jakiś dziwny spokój.

- Dzisiaj nie dam rady przyjechać - powiedziałam do słuchawki. Stephen westchnął głęboko.

- Spróbuję namówić Johna i Stanleya, żeby spotkali się z tobą w innym terminie. Powinni się zgodzić. Oddzwonię.

Połączenie się urwało, zanim jeszcze zdążyłam odsunąć telefon od ucha. Rozłączyłam się, nie myśląc o tym, co robię i wróciłam do samochodu.

- Mam dla pani dobrą wiadomość - oznajmił Bob. - Taką mianowicie, że po wymianie silnika będzie pani miała w gruncie rzeczy nowy samochód.

- Lubiłam ten stary.

Mechanik wzruszył ramionami.

- Może pani sobie myśleć, że to ten stary, tylko z nowym sercem.

Nagle przed oczami stanęła mi ta ciężarówka, która o mały włos nie rozjechała mnie na autostradzie. Zobaczyłam znów, jak ostro skręca, żeby mnie ominąć, w uszach zabrzmiał jej buczący klakson, a potem szum samochodów, które rozdzieliły się jak fale rzeki opływające tkwiący w nurcie kamień. Poczułam zapach rozgrzanego asfaltu, podobnego do tafla jeziora marszczoną łagodnym wiatrem; moje szpilki grzęzły w nim, kiedy schodziłam na poboczne autostrady, kuśtykając na chwiejnych nogach. Byłam raczej daleka od tego, żeby wierzyć w przeznaczenie, ale tym razem naprawdę niewiele brakowało. To musiał być znak, zupełnie jakbym potrzebowała zatrzymać się na chwilę i zobaczyć, że zmiierzam w niewłaściwym kierunku. Kiedy nawalił mi samochód, zadzwoniłam na policję i do kilku warsztatów, ale nawet nie przyszło mi do głowy, żeby porozmawiać ze Stephenem. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że jeśli sama sobie nie pomogę, to nikt inny tego nie zrobi. Mój telefon odezwał się ponownie.

- Dobra wiadomość. - Stephen nie dał mi nawet dojść do słowa. - Nasze szychy zgodziły się przełożyć spotkanie na szóstą po południu.

W tym momencie zrozumiałam, że muszę wyjechać.

Stephen pomógł mi zapakować bagaże do samochodu.

- Świetnie cię rozumiem - powiedział, chociaż to nie była prawda. - Potrzebujesz trochę czasu dla siebie, zanim weźmiesz następną dużą sprawę.

Potrzebowałam trochę czasu, żeby zastanowić się, czy w ogóle będę chciała wziąć jeszcze jakąkolwiek sprawę, ale w coś takiego Stephen nie uwierzyłby nigdy w życiu. Nie kończy się studiów prawniczych, nie trafia na łamy „Law Review”, a kiedy nadarzy się życiowa szansa, nie haruje się jak wół po to, żeby potem mieć wątpliwości co do obranej ścieżki kariery. Z drugiej strony, gdybym mu powiedziała, że mogę już nie wrócić, na pewno by się z tym nie pogodził. W to nie mogłam wątpić, bo sama czułam podobnie. Przeżyliśmy razem osiem lat - co prawda bez ślubu, ale jednak razem.

- Zadzwoń, jak już będziesz na miejscu? - zapytał i pocałował mnie, nie czekając na odpowiedź. Po chwili nasze usta rozdzieliły się niczym pękający szew, a ja wsiałam do samochodu i odjechałam.

Kto inny w mojej sytuacji - mam tu na myśli kobietę ze złamanym sercem, w wielkiej życiowej rozterce i z całkiem pokaźną, świeżo

wpłaconą sumą na koncie - wybrałby się pewnie zupełnie gdzie indziej. Na Kajmany, do Paryża, może nawet na wędrowną śladami własnej duszy w Góry Skaliste. Dla mnie zawsze było jasne, że jeśli mam lizać rany, to tylko w Pensylwanii, w miasteczku Paradise. W dzieciństwie jeździłam tam co roku w lecie, na tydzień. Mój stryjeczny dziadek miał farmę w tej okolicy, ale musiał wyprzedawać po kawałku swoją ziemię. Robił to aż do śmierci, a potem do domu wprowadził się jego syn Frank, który obsiał pola trawą i otworzył warsztat stolarski. Frank był w wieku mojego ojca. Jego żona miała na imię Leda. Wzięli ślub na długo przed moim urodzeniem.

Nie da się opowiedzieć, co robiłam podczas tych wakacji w Paradise, ale na całe życie zapamiętałam ów wielki spokój, który przenikał dom Franka i Ledy, tę bezproblemową łatwość, z jaką wszystko się tam odbywało. Początkowo wydawało mi się, że dzieje się tak, ponieważ Frank i Leda nigdy nie doczekali się dzieci, później jednak zrozumiałam, że chodzi o coś innego. To była zasługa Ledy, jej charakteru, który zadziwiała temu, że wyrosła wśród amiszów.

Latem w Paradise nie sposób było nie natknąć się na amiszów, którzy stanowili nieodłączny element krajobrazu hrabstwa Lancaster. Tych „prostych ludzi”, jak na siebie mówili, widywało się w konnych bryczkach na pełnych samochodów ulicach, można się było napatrzeć na ich staroświeckie stroje w kolejce w sklepie spożywczym, odwzajemnić ich wstydlive uśmiechy, kiedy kupowało się świeże warzywa na ich farmach. W takiej właśnie sytuacji dowiedziałam się, że Leda była kiedyś jedną z nich. Przyjechałyśmy na farmę, żeby kupić słodką kukurydzę. Kiedy czekałyśmy, aż ktoś ją przyniesie, nagle usłyszałam, jak Leda zaczyna rozmawiać z kobietą, której miałyśmy zapłacić, ale nie po angielsku - w niemieckim dialekcie, który, jak się później dowiedziałam, nosił nazwę Pennsylvania Dutch*. Dla mnie, jedenastoletki, widok Ledy (która na oko nie różniła się ode mnie i od całej reszty Amerykanów) postępującej się jakimś germańskim narzeczem był zdumiewający. Po chwili poczułam, jak ciotka wsuwa mi w dłoń dziesięć dolarów.

- Podaj pieniążki tej pani, Ellie - poprosiła mnie, chociaż stała nie dalej jak o krok i mogła zrobić to sama.

* Pennsylvania Dutch (ang., także Pennsylvania Dietsch lub Pennsylvania German) - dosł. niemczyzna pensylwańska, język ojczysty potomków imigrantów z Niemiec i Szwajcarii, którzy przybyli do Ameryki w XVII i XVIII w.; zaliczają się do nich także amisze oraz mennonici. Słowo Dutch, które we współczesnej angielszczyźnie oznacza wyłącznie Holendra, historycznie odnosiło się do wszystkich narodów europejskich używających dialektów zachodniogermańskich.

Po drodze do domu opowiedziała, mi o tym, że urodziła się wśród prostych ludzi i żyła z nimi, dopóki nie zdecydowała się wyjść za Franka, który nie był amiszem. Według zasad ich religii Ledę od tego momentu obowiązywał bann, czyli ograniczenie kontaktów z amiszami. Nie zabroniono jej rozmawiać z przyjaciółmi ani też z rodziną, ale nie mogła jadać z nimi przy jednym stole. Wolno jej było siedzieć obok nich w autobusie, ale podwieźć własnym samochodem - już nie. Mogła kupować od nich wszystko, czego jej było potrzeba, ale samej transakcji musiał dokonać za nią ktoś trzeci. Tym razem padło na mnie.

Jej rodzice, siostry i bracia - wszyscy żyli w promieniu piętnastu kilometrów od jej domu.

- Wolno ci ich odwiedzać? - zapytałam.

- Tak, ale rzadko to robię - odparła. - Kiedyś mnie zrozumiesz, Ellie. Żyję z daleka od nich, ale nie ze względu na siebie. To nie mnie jest z tym trudno, ale im.

Leda czekała już na mnie na dworcu w Strasburgu. Wysłałam z pociągu, taszcząc dwie walizki - i wpadłam prosto w jej wyciągnięte ramiona.

- Ellie, Ellie - usłyszałam śpiewny głos ciotki. Pachniała pomarańczami i windekssem, płynem do szyb; jej szerokie ramię było wręcz stworzone do tego, aby złożyć na nim głowę. Skończyłam już trzydzieści dziewięć lat, ale w jej objęciach miałam znów jedenaście.

Poszłyśmy razem w stronę niewielkiego parkingu.

- Powiesz mi teraz, co się stało?

- Nic się nie stało. Chciałam was zobaczyć.

Leda prychnęła.

- Przyjeżdżasz tutaj tylko wtedy, gdy zaczynają puszczać ci nerwy. Stephen zrobił coś nie tak? - Nie odpowiedziałam. Leda zmrużyła oczy. - A może nic nie zrobił i w tym właśnie problem?

Westchnęłam.

- Nie chodzi o Stephena. Prowadziłam ciężką sprawę i... muszę trochę odpocząć.

- Przecież wygrałaś. Mówili o tym w telewizji.

- Wygrana to nie wszystko.

Ku mojemu zaskoczeniu Leda nic nie odpowiedziała. Na autostradzie zasnęłam. Obudziłam się gwałtownie, dopiero kiedy wjechałyśmy na podjazd.

- Przepraszam - powiedziałam, zawstydzona. - Nie chciałam tak odpłynąć.

Leda z uśmiechem poklepała mnie po ręce.

- Możesz tu odpoczywać, ile tylko zechcesz.
- Nie będę siedzieć długo, na pewno. - Zabrałam swoje walizki z tylnego siedzenia i poszłam za nią na ganek.
- I tak miło, że wpadłaś, bez różnicy, na dwa dni czy na dwa tygodnie - powiedziała Leda. Nagle przekrzywiła głowę, nadstawiając ucha. - Telefon dzwoni. - Pchnęła drzwi i wbiegła do środka, żeby odebrać. - Halo?

Postawiłam walizki na podłodze i przeciągnęłam się, bo czułam ból w plecach. Kuchnia ciotki Ledy, jak zwykle wysprzątana na wysoki poziom, wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałam: na ścianie kawałek płótna z próbkami haftu, na półce słoik-świnka z ciastkami, na podłodze linoleum w czarno-białą szachownicę. Kiedy zamknęłam oczy, bez wysiłku wyobraziłam sobie, że nigdy stąd nie wyjechałam, a najtrudniejszą decyzją dzisiejszego dnia ma być wybór miejsca na popołudniową drzemkę - drewniany leżak na tyłach domu czy skrzypiąca huśtawka na zamkniętym ganku? W głosie Ledy, rozmawiającej przez telefon, dało się wyczuć zdziwienie; najwyraźniej nie spodziewała się, że ta osoba kiedyś do niej zadzwoni.

- Już dobrze, Saro, cicho... - szeptała uspokajająco do słuchawki. - Was ist letz?

Udało mi się pochwycić tylko pojedyncze słowa tego obcego języka: an Kind... er hat an Kindgfuna... es Kind va dodt*. Usiadłam ciężko na kuchennym stołku, czekając, aż Leda skończy rozmawiać.

Odwiesiła słuchawkę, ale przez długą chwilę nie zdejmowała z niej dłoni. Potem odwróciła się do mnie, błada i wstrząśnięta.

- Ellie, bardzo cię przepraszam, ale muszę gdzieś pojechać.
- Mam ci w czymś...?
- Zostań - przerwała mi. - Przyjechałaś tutaj odpocząć.

Przyglądałam się przez okno, jak wycofuje samochód z podjazdu. Leda poradzi sobie z każdym problemem, pomyślałam. Zawsze tak było. Położyłam nogi na sąsiednim stołku i uśmiechnęłam się do siebie. Kwadrans w tym raj** i proszę, od razu mi lepiej.

* Dziecko... Znalazł dziecko... Nieżywe.

** Nazwa Paradise znaczy po angielsku „raj”.

Rozdział trzeci

- Neh! - wrzasnęła Katie, usiłując kopnąć ratownika z pogotowia, który chciał pomóc jej wsiąść do karetki. - Ich will net gay!

Lizzie przyglądała się, jak dziewczyna stawia zaciekły opór. Dół jej sukienki, uszytej z soczyście zielonego materiału, był teraz cały pokryty czarnymi plamami krwi. Obok ciasnym półkolem stali, wstrząśnięci, jej rodzice, Samuel oraz Levi. Wysoki blondyn wystąpił o krok, zaciskając zęby.

- Postaw ją na ziemi - rozkazał płynną angielszczyzną.

Ratownik spojrzał na niego.

- Kolego, ja tu jej pomagam. - W końcu udało mu się wciągnąć Katie do środka. - Państwo mogą jechać z nią - zwrócił się do Fisherów.

Sara Fisher chwyciła męża za przód koszuli, zalewając go potokiem błagalnych słów w języku, którego Lizzie nie rozumiała. Aaron potrząsnął głową, po czym odwrócił się i odszedł, wołając do siebie pozostałych mężczyzn. Jego żona ostrożnie wdrapała się na tył karetki i ujęła dłoń córki, szepcząc coś do niej. Po chwili Katie się uspokoiła. Ratownicy zamknęli dwuskrzydłowe drzwi i karetka ruszyła długim podjazdem, sypiąc spod kół kamykami i wzburzając tumany pyłu.

Lizzie, chociaż wiedziała, że musi jechać do szpitala, żeby porozmawiać z lekarzami, którzy będą badali Katie, nie ruszyła się z miejsca. Obserwowała Samuela, który nie poszedł za Aaronem Fisherem, tylko stał, jakby wrósł w ziemię, patrząc za karetką, dopóki nie znikła mu z oczu.

Świat mijał ją z ogromną prędkością. Nad głową widziała mknące szybko kreski białego, fluorescencyjnego światła, wyglądające zupełnie jak przerywana linia na środku drogi, kiedy wygląda się przez tylne okno

jadącej bryczki. Nosze, na których leżała, zatrzymały się nagle. U wez-głowia rozległ się czyjś głos: „Uwaga, na trzy... raz, dwa, trzy!” i uniosła się w powietrze, lądując łagodnie na zimnym, lśniącym stole.

Ratownik poinformował wszystkich, że pacjentka nazywa się Katie i - Boże drogi! - że miała krwawienie. Zobaczyła nad sobą twarz jakiejś kobiety, przyglądającej jej się uważnie.

- Katie? - usłyszała jej głos. - Mówisz po angielsku?
- Ja - mruknęła.
- Jesteś w ciąży?
- Nie!
- Czy możesz nam powiedzieć, kiedy miałas ostatni okres?

Jej policzki zapłonęły głęboką czerwienią i odwróciła głowę, nie mówiąc ani słowa.

Światła i dźwięki tego dziwnego szpitala atakowały jej zmysły. Fa-lowwały jasne parawany; ze wszystkich stron dobiegały sygnały i terkoty; rozlegały się ludzkie głosy, rozproszone, ale w niepojęty sposób zsynchronizowane, zupełnie jak pobożne hymny śpiewane w kanonie.

- Ciśnienie osiemdziesiąt na czterdzieści - mówiła jedna pielę-gniarka.

- Puls sto trzydzieści.
- Częstość oddechów?
- Dwadzieścia osiem.
- Pani Fisher - lekarz zwrócił się wprost do matki Katie - czy pani

córka była w ciąży?

Sara, oszołomiona szpitalnym rozgardiaszem, nie powiedziała ani słowa, patrzyła tylko na niego.

- Jezu... - westchnął. - Rozbierzcie ją.

Katie poczuła, jak ciągną ją za ubranie, dotykają bielizny.

- To jest część sukienki, nie mogę znaleźć guzików - poskarżyła się jedna z pielęgniarek.

- Nie ma guzików, wszystko spięte szpilkami. A to co...?

- Rozetnijcie, jeśli trzeba. Chcę dostać wyniki badania ze-wnętrznych narządów płciowych, gonadotropinę kosmówkową z moczu i morfologię. Badanie grupy krwi wysłać do banku krwi. - Twarz lekarza ponownie zawisła nad Katie. - Katie, będę teraz badał twoją macicę. Ro-zumiesz? Leż spokojnie, muszę dotknąć cię między nogami...

Wystarczyło, że poczuła pierwszy, delikatny dotyk i od razu zaczęła wierząc.

- Unieruchomić - polecił lekarz. Dwie pielęgniarki przypięły ją strzemionami za kostki do stołu. - Nie bój się, leż spokojnie. Nic ci nie zrobię. - Po policzkach Katie popłynęły łzy. Lekarz zaczął

dyktować pielęgniarce z notatnikiem: - Mamy tu coś, co wygląda na odchody krwawe, a oprócz tego miękką, niekurczącą się macicę, wielkości typowej dla dwudziestego czwartego tygodnia ciąży i chyba rozwarcie szyjki macicy. Trzeba zrobić USG, żeby wiedzieć, co się dzieje. Co z tym krwawieniem?

- Jeszcze nie ustało.
- Wezwijcie ginekologa-położnika.

Jedna z pielęgniarek położyła między nogami Katie garść kostek lodu zawiniętych w bawełnianą chustę.

- Tak będzie ci lepiej, kotku - szepnęła.

Katie chciała się jej przyjrzeć, ale nie mogła, bo do rąk i nóg jak z waty dołączyły teraz problemy z widzeniem: zaczęło jej się двоić i troić w oczach. Pielęgniarka zauważyła co się dzieje i przykryła ją jeszcze jednym kocem. Katie żałowała, że nie może znaleźć słów, aby jej podziękować, powiedzieć, że najbardziej potrzebuje teraz kogoś, kto nie pozwoli jej się rozsypać na kawałki tu, na miejscu, na tym stole - ale wszystkie myśli, które kłębiły się w jej głowie, były w języku jej dzieciństwa.

- Nic ci nie będzie - uspokajała ją pielęgniarka.

Katie zerknęła ukradkiem na matkę i zemdlała, wierząc, że to naprawdę jest możliwe.

Kiedy stały już na peronie, mama wcisnęła jej do ręki pięć dwudziestodolarówek.

- Pamiętasz, na jakiej stacji się przesiadasz? - Katie skinęła potakująco głową. - Gdyby go nie było na dworcu, zadzwoń do niego. - Pogładziła Katie po policzku. - Tym razem możesz, jeśli będzie trzeba.

Nie musiała dodawać, bo obie dobrze o tym wiedziały, że skorzystanie z telefonu będzie zdecydowanie najmniejszym z jej grzechów. Katie jechała zobaczyć się ze swoim bratem - po raz pierwszy, odkąd Jacob wyprowadził się z domu. Miała dopiero dwanaście lat, a on mieszkał tam, gdzie studiował - w mieście State College.

Jej matka rozejrzała się nerwowo, patrząc, kto jeszcze czeka na peronie. Nie można było dać się zauważyć innym amiszom, bo wtedy Aaron mógłby się dowiedzieć, że żona i córka go oszukały.

Długi, lśniący pociąg linii Amtrak wtoczył się na stację. Katie uściśnęła mamę mocno.

- Szkoda, że nie jedziesz ze mną - wyszeptwała przez zaciśnięte zęby.

- Nie potrzeba. Jesteś już duża.

Obie wiedziały, że Katie miała na myśli zupełnie co innego. To, że- by Sara pojechała z nią do State College, nie wchodziło w grę.

Byłaby wtedy winna nieposłuszeństwa wobec męża. Tego zrobić nie mogła. Wysłanie córki i siostry w dowód matczynej miłości -to było już i jeszcze na granicy. Zresztą Katie nie przyjęła do tej pory chrztu w kościele amiszów, wspólnocie, którą kierował Ordnung - ścisły porządek. To właśnie jego zasady zabraniały Sarze wsiąść do samochodu razem ze swoim wyklętym synem. Zabraniały jej jeść przy tym samym stole co on.

- Pojedziesz - powiedziała córce, uśmiechając się krzywo - a potem wrócisz i wszystko mi o nim opowiesz.

W pociągu Katie siedziała sama; zamknęła oczy, żeby nie widzieć spojrzeń ciekawskich ludzi, pokazujących ją sobie palcami, gapiących się na jej ubranie i czeppek. Splotła dłonie na podołku i wspominała ostatni raz, kiedy widziała Jacoba; oczyma duszy znów zobaczyła, jak wychodzi z domu, żeby już nie wrócić, z głową otoczoną aureolą światła odbitego od jego miedzianej czupryny.

Kiedy pociąg wjeżdżał na dworzec w State College, Katie przycisnęła nos do szyby, szukając twarzy brata w morzu tych obcych, angielskich. Była, rzecz jasna, obyta z widokiem nieamiszów, ale nawet na najbardziej ruchliwej z ulic wschodniego Paradise nie zdarzyło się jej jeszcze, aby w zasięgu wzroku nie było przynajmniej jednej, dwóch osób ubranych tak jak ona, mówiących jej językiem. Stroje ludzi czekających na tym peronie mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, aż w głowie się kręciło. Zauważyła kilka kobiet w topach i szortach, tak krótkich, że praktycznie wszystko miały na wierzchu. Przeraził ją widok młodego mężczyzny, noszącego łańcuch, który spinał kołczyk w uchu z kółkiem w nosie.

Nigdzie nie było widać Jacoba.

Wysiadła z pociągu i powoli obróciła się dookoła, bojąc się, że ten rozfalowany tłum spieszących dokądś ludzi wessie ją, porwie ze sobą. Nagle ktoś poklepał ją po ramieniu.

- Katie?

Za nią stał jej brat. Katie zarumieniła się ze zdziwienia. Nagle stało się oczywiste, dlaczego go przeoczyła w tym tłumie. Wypatrywała przecież chłopaka w szerokim słomianym kapeluszu i czarnych spodniach na szelkach, tymczasem Jacob, którego teraz miała przed oczami, był gładko ogolony i miał na sobie kraciastą koszulę z krótkim rękawem do spodni koloru khaki.

Wpadła w jego ramiona, obejmując go najmocniej, jak umiała; dopiero teraz dotarło do niej, jak samotna czuła się bez niego w domu.

- Mam bardzo za tobą tęskni - wydyszała, nie mogąc złapać tchu. - Mam jej wszystko opowiedzieć, jak wrócę.

- Ja też się za nią stęskniłem. - Brat objął ją ramieniem i razem

zaczęli przedzierać się przez tłum. - Urosłaś chyba z pół metra - zauważył.

Wyszli z dworca. Jacob poprowadził Katie do małego, niebieskiego samochodu stojącego na parkingu. Stała jak wryta, nie mogąc oderwać od niego oczu.

- To mój wóz - powiedział cicho. - Naprawdę jesteś zdziwiona? A czego się spodziewałaś?

Prawdę mówiąc, nie spodziewała się niczego poza tym, że brat, którego kochała, a który wyrzekł się swojej religii, aby móc studiować, wciąż będzie żył w taki sam sposób, jak oni w domu - tylko gdzieś indziej, nie w Paradise. To, co teraz zobaczyła - obce ubranie i ten samochodek - przypomniało jej słowa ojca: niemożliwe, żeby Jacob zachował prostotę serca jak prawdziwy amisz, jeśli będzie dalej się kształcił. Zaczęła się zastanawiać, czy ojciec przypadkiem nie miał racji.

Jacob otworzył przed nią drzwi, a sam usiadł za kierownicą.

- Dat nie wie, że pojechałaś do mnie? Co mu powiedziałyście?

Kiedy Jacob został wyklęty z kościoła amiszów, umarł w nielitościwych oczach swojego ojca. Aaron Fisher za nic w świecie nie pozwoliłby jej na odwiedzin u brata, tak samo jak zabroniłby żonie pisać listy do syna i dawać je po cichu Katie do wysłania - gdyby tylko o tym wiedział.

- Że jestem u ciotki Ledy.

- Sprytnie. Nie zmusi się, żeby z nią porozmawiać, a w każdym razie zdążyś wrócić, zanim się przemoże i wszystko się wyda. - Jacob uśmiechnął się cierpko. - My wyklęci musimy trzymać się razem.

Katie złożyła dłonie na podolku.

- Powiedz, czy to było tego warte? - zapytała cichym głosem. - Te twoje studia? Masz tu wszystko, czego byś chciał?

Jacob przez długą chwilę patrzył jej w oczy.

- Nie mam wszystkiego, bo was tutaj nie ma.

- Wiesz, że możesz wrócić. Kiedy tylko chcesz. Uczynisz wyznanie winy i będziesz mógł wrócić.

- Wiem, ale tego nie zrobię. - Widząc zachmurzoną minę siostry, Jacob sięgnął i pociągnął za długą tasiemkę przytrzymującą na głowie jej kapp, czepek. - Hej. Przecież to ja. Ten sam łobuz, który wypchnął cię z łódki do stawu, na rybach, pamiętasz? A pamiętasz, jak posadziłem ci zabę na głowie?

Katie uśmiechnęła się lekko.

- W sumie chyba by mi nie przeszkadzało, gdybyś się trochę zmienił.

- To rozumiem - roześmiał się. - Mam coś dla ciebie. - Sięgnął na

tylne siedzenie, gdzie leżała paczka owinięta w szary papier i przewiązana czerwoną wstążką. - Chcę, żebyś mnie teraz dobrze zrozumiała. Kiedy przyjeżdżasz tutaj do mnie, to chciałbym, żeby to było dla ciebie jak wakacje. Jak ucieczka. Może dzięki temu nie będziesz kiedyś musiała podejmować tej samej decyzji co ja: wszystko albo nic. - Przyglądał się, jak Katie rozwiązuje kokardkę i odwija z papieru parę wygodnych legginsów, jasnożółtą koszulkę z krótkim rękawem i rozpinany bawełniany sweterek haftowany w kwiaty.

- Och! - Katie, wbrew własnej woli zaintrygowana, przesunęła palcami po misternym hafcie zdobiącym kołnierz swetra. - Ale przecież mi tego nie...

- To tylko na twój pobyt tutaj. Jeśli koniecznie chcesz chodzić w tym, co zawsze, będzie ci trudniej. A zresztą... Nikt się przecież nie dowie, że zmieniłaś ubranie, Katie. Pomyślałem sobie, że może chciałabyś trochę pobawić się w kogoś innego, kiedy przyjeżdżasz do mnie. Być taka jak ja. Spójrz... - Opuścił daszek po stronie pasażera; przed oczami Katie zawisło małe lustro. Przyłożył sweter do jej ramion, żeby mogła się przejrzeć.

Na policzki Katie wypłynął rumieniec.

- Jacob, jakie to jest piękne.

Nawet on sam był zdumiony; tych kilka wypowiedzianych w nabożnym zachwycie słów sprawiło, że dojrzał w niej zupełnie inną osobę, podobną do tamtych, od których w dzieciństwie i wczesnej młodości zawsze trzymał się z daleka.

- To prawda - skinał głową. - Tak samo piękne jak ty.

Do biura prokuratora okręgowego Lizzie zadzwoniła z samochodu, w drodze do szpitala.

- George Callahan - usłyszała w słuchawce szorstki męski głos.

- No, proszę, kto by pomyślał, że trafię na samego kierownika. A gdzie twoja sekretarka?

George zaśmiał się, kiedy poznał, z kim rozmawia.

- Nie wiem, Lizzie - odpowiedział. - Pewnie poszła przypudrować nos. Chcesz, to cię zatrudnię na jej miejsce?

- Nie dam rady. Za bardzo się uwijam przy łapaniu przestępców, żebyście mieli kogo sądzić.

- I za to ci muszę podziękować. Dzięki tobie mogę być pewny swojej posady.

- W takim razie komfortowo posłuchaj: w miejscowym gospodarstwie amiszów znaleźliśmy w oborze martwe niemowlę. Moim zdaniem coś się tutaj nie zgadza. Jadę właśnie do szpitala, żeby porozmawiać

z prawdopodobną podejrzaną i chciałam cię uprzedzić, że w najbliższej przyszłości możesz prowadzić oskarżenie.

- W jakim wieku było dziecko i gdzie je znalezione? - George przestawił się na tryb zawodowy.

- To był noworodek, natrafiono na niego kilka godzin po porodzie. Leżał przykryty końskimi derkami - powiedziała Lizzie. - Wszyscy przesłuchani zeznają, że w domu nie spodziewano się dziecka.

- Urodziło się martwe?

- Lekarz sądowy uważa, że nie.

- W takim razie należy przypuszczać, że to matka porzuciła je po porodzie. - George błysnął dedukcją. - Powiedziałaś, że masz jakiś trop - przypomniał.

Lizzie zawahała się przez chwilę.

- George, ja wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale w tej rodzinie amiszów jest pewna osiemnastolatka, która przysięga na wszystkie świętości, że nie była w ciąży, a trafiła właśnie do szpitala z objawami krwotoku z pochwy.

Zapadła pełna zaskoczenia cisza.

- Lizzie - powiedział w końcu George - przypomnij sobie, kiedy ostatni raz zdarzyło ci się aresztować amiszka pod zarzutem popełnienia przestępstwa.

- Wiem, ale cały materiał dowodowy wskazuje właśnie na nią.

- Masz więc dowody?

- Jeszcze nie...

- To je zdobądź - przerwał jej stanowczym tonem - i wtedy do mnie zadzwoń.

Obok stanowiska do przyjmowania pacjentów stał lekarz rozmawiający z przybyłą przed chwilą specjalistką ginekologiem-położnikiem; opisywał jej, co zastanie na ostrym dyżurze.

- To mi wygląda na atonię macicy i pozostałości tkanek płodowych - zauważyła lekarka, rzuciwszy okiem na kartę pacjentki. - Przebadam ją, a potem zrobimy rozszerzenie i łyżeczowanie. Co z dzieckiem?

- Ratownicy z pogotowia, którzy ją przywieźli - odpowiedział lekarz z ostrego dyżuru, zniżając głos - mówią, że nie przeżyło.

Lekarka skinęła głową, po czym znikła za parawanem, gdzie leżała Katie Fisher.

Lizzie, która przysłuchiwała się rozmowie, siedząc pod ścianą na jednym ze stojących rzędem plastikowych krzeseł nieokreślonego koloru, wstała. Trzeba było zabrać się do zbierania dowodów, których zażądał

George. Dzięki Bogu, pomyślała, za instytucję detektywa w cywilu; funkcjonariusz w mundurze, żeby wyciągnąć od lekarza jakąkolwiek poufną informację, musiałby najpierw okazać mu wezwanie do sądu w charakterze świadka. Podeszła do lekarza z ostrego dyżuru.

- Przepraszam - zagadnęła go, szarpiąc nerwowo fałdy swojej bluzki - czy wie pan może, jak się czuje Katie Fisher?

Spojrzał na nią uważnie.

- A kim pani jest?

- Rozmawiałam z nią, kiedy zaczęło się to krwawienie. - To przecież nie było kłamstwo. - Chciałam się dowiedzieć, czy nic jej nie będzie.

Lekarz potrząsnął głową, marszcząc brwi.

- Raczej nie, powinna wrócić w pełni do zdrowia, ale naprawdę byłoby dla niej lepiej, gdyby urodziła w szpitalu.

- Panie doktorze - uśmiechnęła się Lizzie - nawet pan nie wie, jak wiele to dla mnie znaczy.

Leda pchnęła drzwi do sali, w której leżała jej siostrzenica. Po wejściu zobaczyła Katie, śpiącą spokojnie na łóżku z uniesionym zagłówkiem, a na krześle w kącie - Sarę, siedzącą cicho i bez najmniejszego ruchu. Widząc, kto wszedł, Sara zerwała się i podbiegła do Ledy, rzucając się jej na szyję.

- Całe szczęście, że przyjechałaś - załkała, ściskając siostrę z całych sił.

Leda przyjrzała się Sarze, zatrzymując spojrzenie na jej głowie. Tyle lat czesania się na dwie strony, związywania włosów w ciasny kok, nakrywania ich czepkiem mocowanym szpilką - efektem była łysa bruzda rosnąca z roku na rok niczym wezbrany strumień rozlewający się coraz szerzej, podobna do ciemniczka noworodka, tak samo różowa i delikatna. Leda ucałowała tę łysinkę i odsunęła się od Sary.

Siostra zalała ją potokiem mowy, jakby już od długiego czasu słowa gotowały się w niej, bezskutecznie szukając ujścia:

- Doktorzy twierdzą, że Katie urodziła dziecko. Musieli zrobić operację, żeby zatrzymać krwawienie.

Leda zasłoniła usta dłonią.

- Ty miałaś to samo, kiedy urodziła się Hannah.

- Ja, ale Katie miała niesamowite szczęście. Będzie mogła jeszcze rodzić. Ja już nie mogę.

- Powiedziałaś lekarzowi, że miałaś wyciętą macicę?

Sara potrząsnęła głową.

- Nie. To była lekarka. Nie podobała mi się. Nie chciała uwierzyć, kiedy Katie mówiła, że nie była w ciąży.

- Saro, ci lekarze-Anglicy... Oni robią specjalne testy ciążowe. To są naukowe metody. Testy nie kłamią, bo nie mogą. A Katie mogła skłamać. - Leda urwała, wahając się przez chwilę, po czym zapytała ostrożnie: - Niczego nie zauważyłaś? Nie zmieniła się jej figura?

- Nie!

Ale Leda wiedziała, że to nie jest żaden dowód. U niektórych kobiet, zwłaszcza wysokich, jak Katie, ciążę widać wyraźnie dopiero po kilku miesiącach. Katie ubierała się i rozbierała na osobności. Pod kloszowatym fartuchem trudno byłoby zauważyć zaokrąglony brzuch, zaś rosnący obwód w talii nie stanowił problemu, ponieważ tradycyjne kobiece ubrania amiszów, spinane szpilkami, można było z łatwością dopasować.

- Gdyby miała jakieś kłopoty, na pewno by mi o tym powiedziała - upierała się Sara.

- I co wtedy, jak ci się wydaje? - zapytała Leda. Jej siostra odwróciła wzrok.

- Aaron umarłby ze zgryzoty.

- Możesz mi wierzyć, że Aaron nie złamie się jak trzcina na wietrze. I lepiej, żeby zaczął się oswajać z tym, co się stało, bo to dopiero początek.

Sara westchnęła.

- Kiedy tylko Katie wróci do domu, na pewno odwiedzi ją biskup. - Podniosła oczy na siostrę. - Możesz z nią o tym porozmawiać? O tym, że grozi jej Meidung?

Leda osłupiała i opadła bezsilnie na krzesło obok łóżka.

- Odsunięcie od wspólnoty? Saro, ja nie mówię o karze, którą wymierzy jej kościół. Policja znalazła zwłoki noworodka, a Katie skłamała, zeznając, że to nie ona była jego matką. Mogą pomyśleć, że to nie było jej jedyne kłamstwo.

- Chcesz powiedzieć, że u tych Anglików nie wolno mieć nieślubnych dzieci? Że to dla nich jest przestępstwo? - spytała Sara z oburzeniem.

- Przestępstwem jest porzucić dziecko, zostawić je, żeby umarło. Jeżeli policja udowodni, że dziecko urodziło się żywe, Katie będzie miała poważne kłopoty.

Sara wyprostowała się, sztywna jak kij.

- Bóg sprawi, że wszystko się wyjaśni. A jeśli nie zechce tego uczynić, wtedy posłusznie pogodzimy się z Jego wolą.

- Z wolą Boga? A może Aarona? Jeśli Katie zostanie aresztowana, a ty posłuchasz męża i zamiast załatwić dla niej kogoś, kto będzie jej bronił w sądzie, nadstawisz drugi policzek, to twoja córka skończy w więzieniu. Na wiele lat. Może nawet nigdy stamtąd nie wyjdzie. - Leda

pogładziła siostrę po ramieniu. - Pozwolisz odebrać sobie jeszcze jedno dziecko? Jak długo to ma trwać? Sara usiadła na skraju łóżka, ujęła w ręce bezwładną dłoń Katie, spłotła mocno palce z palcami córki. Teraz, w szpitalnej koszuli nocnej, z rozpuszczonymi włosami opadającymi swobodnie na ramiona, Katie nie wyglądała jak dziecko amiszów. Nie różniła się niczym od pierwszej lepszej młodej dziewczyny.

- Ledo - szepnęła Sara - ja nie umiem poruszać się w tym świecie. Leda położyła dłoń na ramieniu siostry.

- Ale ja umiem.

- Detektyw Munro? Ma pani czas, żeby chwilę porozmawiać?

Nie miała, lecz mimo to skinęła głową funkcjonariuszowi wydziału kryminalnego policji stanowej. On i jego koledzy całe popołudnie przeszukiwali gospodarstwo Fisherów centymetr po centymetrze. Lizzie, kiedy tylko udało jej się ustalić, że Katie Fisher pozostanie w szpitalu przynajmniej do rana, natychmiast udała się do sędziego okręgowego, aby zdobyć nakaz rewizji domu wraz z całym obejściem oraz pobrania próbki krwi Katie celem przeprowadzenia testów DNA. Starając się pozbierać rozproszone myśli, zajęte tysiącem spraw, które jeszcze pozostały do zrobienia, Lizzie uczyniła wysiłek, aby skupić uwagę na tym, co mówi do niej funkcjonariusz ze stanówki.

- Co tam macie?

- Trzeba przyznać, że trudno było znaleźć jakiegokolwiek ślady - padła odpowiedź.

- I to was tak dziwi? - uśmiechnęła się oschle. - W tym wydziale nie pracują proste krawężniki. Wszyscy jesteście po studiach.

Wezwała kryminalnych z najwyższą niechęcią, ponieważ zawsze spoglądali z góry na miejscowych policjantów, a do tego mieli paskudny zwyczaj przejmowania kierownictwa nad śledztwem, nie oglądając się na to, kto dowodzi. Faktem jednak było, że w kwestii technik śledczych policja z East Paradise nie mogła się z nimi mierzyć; po prostu przewyższali ich praktyką.

- Mielście jakieś problemy z ojcem dziewczyny? - zapytała.

Detektyw wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie widziałem się z nim. Dwie godziny temu zabrał muły i poszedł na pole. - Wręczył Lizzie zapieczętowaną plastikową torbę na dowody. W środku znajdowała się biała koszula nocna, u dołu poplamiona krwią. - To leżało zwinięte pod łóżkiem dziewczyny. Do tego na stawie za domem znaleźliśmy ślady krwi.

- Urodziła dziecko, umyła się w stawie, ukryła ubranie i wróciła do łóżka.

- No proszę, faktycznie potraficie myśleć. Proszę ze mną, chcę pani coś pokazać. - Zaprowadził Lizzie do komórki, gdzie znaleziono zwłoki noworodka. Przykucnąwszy, wskazał palcem na wgłębienie w podłodze, które po bliższym przyjrzeniu okazało się śladem stopy. - To jest nawóz. Nie zdążył jeszcze zaschnąć, co oznacza, że ten odcisk jest całkiem świeży.

- Można ustalić, kto go zostawił, zidentyfikować tak jak odciski palców?

Detektyw ze stanówki potrząsnął głową.

- Nie, ale można zmierzyć rozmiar stopy. To jest kobieca siódemka, szerokość podwójne „E”. - Skinął na stojącego obok kolegę, który podał drugą torbę na dowody. Była w niej para brzydkich tenisówek. Detektyw włożył gumowe rękawiczki i wyjął lewy but z pary, wywijając język, żeby pokazać Lizzie metkę. - To są tenisówki damskie, szeroka siódemka - oznajmił. - Znaleziliśmy je w szafie Katie Fisher.

Podczas jazdy powrotnej bryczką do domu Levi nie powiedział ani słowa. Samuel zdawał sobie sprawę, że to dla jego kuzyna nie lada wysiłek. Przemówił, kiedy konie stanęły przed jego domem, nie mogąc już dłużej się powstrzymać.

- I co teraz, jak myślisz? - zapytał.

- Nie wiem. - Samuel wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że nic jej nie będzie - powiedział Levi poważnym tonem.

- Ja też - odparł Samuel i słysząc, jak głos mu się łamie, odkaszlnął, żeby tamten nie zauważył. Chłopak przez chwilę patrzył na starszego kuzyna, a potem zeskoczył z kozła i pobiegł do domu.

Samuel cmoknął na konie i ruszył dalej, ale nie skręcił w drogę wiodącą do domu swoich rodziców; musieli już usłyszeć o tym, co stało się z Katie i na pewno będą go wypytywać. Pojechał do miasta i stanął przed sklepem Zimmermanna, handlarza artykułami żelaznymi, ale zamiast wejść do środka, okrążył budynek i wyszedł na pole kukurydzy ciągnące się daleko w kierunku północnym. Zerwał kapelusz z głowy i ruszył pędem przed siebie, ściskając go w rękach. Biegł, nie zważając na łodygi smagające go po twarzy i piersiach. Biegł, dopóki w uszach nie za tętnił ogłuszający łomot jego serca, dopóki mógł złapać oddech, dopóki mógł cokolwiek czuć.

Wtedy rzucił się na pole i leżał tak na plecach, dysząc ciężko. Błądził wzrokiem po sinoniebieskim wieczornym niebie i nie próbował ocierać ani powstrzymać łez.

Kiedy Leda wróciła do domu, zastała w kuchni Ellie, przeglądającą numer „Good Housekeeping”.

- Wszystko w porządku? - zapytała Ellie ciotkę. - Wybiegłaś, jakby się paliło. - Spojrzała w jej oczy, wyblakłe, rozbiegane, pełne bólu. - Widzę, że nie wszystko w porządku.

Leda opadła na krzesło. Torebka zsunęła jej się z ramienia i wylądowała na podłodze. Nie próbowała jej przytrzymać ani podnieść. Zaciśnęła powieki, nie mówiąc ani słowa.

- Zaczynam się bać. - Ellie zaśmiała się nerwowo. - Co się stało?

Leda wstała, prostując się z wyraźnym trudem i otworzyła lodówkę. Wyjęła ogórki, sałatę, marchew. Położyła na kuchennym stole. Umyła ręce, wyciągnęła ze stojaka nóż do warzyw i zaczęła je kroić w równiutkie kawałeczki.

- Zjemy sałatkę do obiadu - powiedziała. - Co ty na to?

- Ja na to, że jest dopiero trzecia po południu. - Ellie podeszła, wyjęła jej z ręki nóż i cierpliwie poczekała, aż ciotka spojrzy jej w oczy. - Mów.

- Moja siostrzenica leży w szpitalu.

- Przecież masz tylko mnie... Ach. - Ellie doznała nagłego olśnienia: Leda mówiła o tej rodzinie, o której nigdy dotąd nie wspominała. O tych, od których odeszła. - Jest... chora?

- Urodziła dziecko i mało brakowało, a umarłaby przy porodzie.

Ellie poczuła, że brak jej słów. Nie potrafiła sobie wyobrazić gorszego losu dla kobiety niż urodzić, a potem nie móc cieszyć się tym cudem.

- Ona ma dopiero osiemnaście lat, Ellie. - Leda położyła ciężko dłonie na desce do krojenia. - I nie ma męża - dodała po chwili wahania.

W umyśle Ellie powoli zajaśniał obraz młodej, niezamężnej dziewczyny, usiłującej pozbyć się niechcianego dziecka.

- Usunęła ciążę? - zapytała.

- Nie, urodziła.

- Oczywiście, oczywiście - szybko powiedziała Ellie, uświadamiając sobie, że jej ciotka odebrała wychowanie, które raczej nie czyniło z niej orędowniczki prawa kobiet do przerywania ciąży. - Który tydzień?

- Trzydziesty drugi.

- Osiem miesięcy? - Ellie zrobiła wielkie oczy.

- Okazało się, że nikt nawet nie podejrzewał, że Katie może być w ciąży, dopóki nie znaleziono zwłok dziecka.

Ellie poczuła, jak przebiega ją dreszcz, delikatny jak najmniejsza iskierka, ale go zbagatelizowała. W końcu dziewczyna, o której mowa, to

była córka amiszów, a nie jakaś narkomanka z Filadelfii, która wpadła nie wiadomo z kim.

- Urodziło się martwe - domyśliła się. - Współczuję.

Leda odwróciła się do niej plecami. Przez chwilę milczała jak głaz.

- Kiedy jechałam ze szpitala do domu - odezwała się wreszcie - obiecywałam sobie, że tego nie zrobię, ale Kocham Katie tak samo mocno jak ciebie. - Wzięła głęboki oddech. - Ellie, istnieje taka możliwość, że dziecko urodziło się żywe.

- Nie. - Słowo wypowiedziało się samo, wyrwało z głębi gardła, rozżarzone niczym bryła węgla w palenisku. - Nie mogę tego zrobić. Nie prosz mnie o to.

- Nie znam nikogo innego oprócz ciebie. Ta rodzina to nie są ludzie obeznani z prawem. Jeżeli pozostawimy wszystko w rękach mojej siostry, to Katie pójdzie do więzienia bez względu na winę czy niewinność, bo nie będzie się bronić. To nie leży w jej naturze. - Leda spojrzała na Ellie, jej oczy płonęły. - Oni mi ufają. A ja ufam tobie.

- Po pierwsze, twoja siostrzenica nie została formalnie oskarżona. Po drugie, nawet gdyby postawiono jej oficjalne zarzuty, ja nie mogłabym jej bronić. Nic o niej nie wiem, nie wiem, kim jest, jak żyje.

- Powiedz mi, czy ty mieszkasz na ulicy, jak ci handlarze narkotyków, których broniłaś? A może w zamożnej posiadłości, jak ten dyrektor, którego ostatnio ławnicy oczyścili z wszystkich zarzutów?

- To było coś innego, dobrze o tym wiesz. - Ellie wiedziała, że w tej chwili nieważne jest, czy siostrzenica Ledy ma prawo do fachowej obrony prawniczej. Tak samo mało ważne było to, że w przeszłości zdarzało już jej się bronić ludzi oskarżonych o równie odrażające przestępstwa. Narkotyki, pedofilia, napady z bronią w ręku - żadna z tych rzeczy nie dotykała Ellie osobiście.

- Zrozum, że ona jest niewinna! - wykrzyknęła Leda.

Dawno temu, kiedy Ellie zastanawiała się, kim zostanie, wybrała zawód adwokata, myśląc o tym, żeby pomagać pokrzywdzonym. Od tamtej pory, wśród ludzi, których broniła, na palcach jednej ręki mogłaby policzyć tych naprawdę niesłusznie oskarżonych. Teraz zaczęła zdawać sobie sprawę, że większość jej klientów była winna wszystkich stawianych im zarzutów - chociaż każdy z nich miał dla siebie idealne usprawiedliwienie i był gotów wykrzykiwać je wielkim głosem do upadłego. Ellie, choć daleka była od uznania słuszności tych czynów, klasyfikowanych zresztą jako przestępstwa, to w pewien sposób zawsze potrafiła

zrozumieć, co skłoniło jej klientów do ich popełnienia. W tym zaś momencie swojego życia nie potrafiła sobie wyobrazić, jakim cudem zdołałaby zrozumieć kobietę, która zamordowała własne dziecko. Bo przecież jest tyle innych kobiet, które nad wszystko na świecie pragną zostać matkami.

- Nie mogę podjąć się obrony twojej siostrzenicy - powiedziała Ellie cicho. - Zrobiłabym jej tylko niedźwiedzią przysługę.

- Proszę cię tylko, żebyś się nad tym zastanowiła.

- Nie będę się nad tym zastanawiać. Postaram się zapomnieć, o co mnie prosiłaś - oznajmiła Ellie i wyszła z kuchni, uciekając jak najdalej, żeby nie widzieć rozczarowania malującego się na twarzy Ledy.

Zwalista sylwetka Samuela wypełniła szczelnie drzwi do szpitalnej salki. Widok ten przypomniawszy Katie, jak nieraz, stojąc obok niego na otwartym polu, czuła, że mimo wszystko brakuje jej przestrzeni. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Wejdz, proszę.

Zbliżył się do jej łóżka, przesuując nerwowo w palcach rondo słomianego kapelusza, jak materiał pod stopką maszyny do szycia. Pochylił głowę, a jego policzki zabarwiły się czerwienią.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała Katie. Samuel podsunął sobie krzesło i usiadł tuż obok niej. Przygryzła wargę.

- Gdzie twoja mama?

- Pojechała do domu. Ciocia Leda zamówiła dla niej taksówkę, bo Mam nie chciała wracać z nią jej samochodem.

Samuel skinął głową. Rozumiał, o co chodzi. Kiedy zachodziła potrzeba pojechania gdzieś dalej lub gdy droga prowadziła przez autostradę, po której nie wolno jeździć bryczką, amiszę korzystali z usług specjalnych przedsiębiorstw taksówkarskich, prowadzonych przez członków lokalnych wspólnot mennonickich*. Rozumiał także, dlaczego Sara Fisher nie chciała wsiąść do samochodu siostry; czuła, że to nie w porządku, ponieważ Ledę obowiązywał bann.

- A... jak tam w domu? - zapytała Katie.

- Dużo pracy - odparł Samuel, starannie dobierając słowa. - Dzisiaj

* Mennonici - powstały w Zurychu na początku XVI w. radykalny odłam protestantów, nazwany od imienia założyciela, lidera holenderskich anabaptystów Menno Simmonsa. Przez trzysta lat emigrowali do Pensylwanii, a także ościennych stanów USA oraz do Kanady i Ameryki Południowej. Amiszę są odłamek szwajcarskich mennonitów z drugiej połowy XVII w.

zrobiliśmy trzecie sianokosy. - Po chwili dodał z wahaniem: - Policja wciąż się u nas kręci. - Zapatrzył się w zaciśniętą dłoń Katie, różową i drobną na tle koca ze sztucznego włókna. Ujął ją delikatnie w ręce, pozwolił unieść do twarzy.

Katie pogładziła go po policzku; odpowiedział na pieszczotę, lgnąc do jej ręki. Oczy miała błyszczące, kiedy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał ją, kładąc palec na jej wargach.

- Cicho... - poprosił. - Nie teraz.

- Ale na pewno coś słyszałeś - szepnęła Katie. - Chcę, żebyś...

- Nie słucham, co ludzie gadają. Wysłucham tylko tego, co ty mi powiesz.

Katie przełknęła z wysiłkiem.

- Samuelu, nie urodziłam żadnego dziecka.

Przypatrywał się jej przez długą chwilę, potem ścisnął ją za rękę.

- Dobrze - odpowiedział.

Katie spojrzała mu bystro w oczy.

- Wierzysz mi?

Samuel sięgnął ku jej nogom, wygładził koc, otulił ją ciepło, tak jak układa się dziecko do snu. Spojrzał na jej włosy, spływające kaskadą na ramiona i nagle uświadomił sobie, że od czasu, gdy oboje byli mali, nie widział, jak lśnią, rozpuszczone.

- Muszę - odpowiedział.

Tak się złożyło, że biskup okręgu Elama Fishera był także jego kuzynem. Stary Ephram Stoltzfus zrosł się na dobre ze społecznością i nawet przewodząc lokalnej wspólnoty, był do dyspozycji każdego: często zdarzało się, że zatrzymywał bryczkę, żeby z kimś porozmawiać albo zostawiał pług na środku pola, kiedy zobaczył kogoś, komu chciał coś doradzić. Elam Fisher odwiedził go już wcześniej i opowiedział o zajściu na ich farmie; Ephram wysłuchał go z uwagą i odrzekł, że w tej sprawie musi poradzić się innych. Elam sądził, że chce on omówić tę sprawę z diakonem okręgu bądź też z dwoma pastorami, ale zapytany o to, biskup potrząsnął przecząco głową.

- Poradzę się naszych handlowców - powiedział. - Oni się orientują, jak działa policja Anglików.

Tuż po kolacji, kiedy Sara sprzątała już ze stołu, za bramą zatrzymała się bryczka biskupa Ephrama. Elam i Aaron spojrzeli po sobie, po czym wyszli go przywitać.

- Witajcie, Ephramie - pozdrowił Aaron, uściśnawszy rękę gościa, kiedy ten skończył już wiązać konia.

- Witajcie, Aaronie. Jak zdrowie Katie?

Aaron zamartł na ułamek sekundy, nie zdoławszy ukryć zaskoczenia.

- Podobno nic jej nie będzie.

- Nie odwiedziłeś jej w szpitalu? - zapytał Ephram. Aaron odwrócił wzrok.

- Neh.

Biskup pochylił głowę. Jego biała broda zapłonęła w blasku zachodzącego słońca.

- Przejdziemy się? - zaproponował.

Poszli we trzech do ogródka warzywnego Sary. Elam usiadł na kamiennej ławce i gestem zaprosił biskupa, aby zajął miejsce obok niego, ale Ephram potrząsnął głową. Zapatrzył się na wysokie tyczki z pomidorami i pnące łodygi fasoli, nad którymi kłębiła się chmara robaczków świętojańskich, migoczące mrowie, garść gwiazd rzucona w powietrze.

- Pamiętam, że kiedyś, przed laty, zaszedłem raz tutaj i zobaczyłem, jak Jacob i Katie uganiają się za świetlikami - powiedział Ephram. - Łapali je do słoika - zaśmiał się. - Jacob powiedział mi, że chce zrobić latarkę amiszów. Masz z nim kontakt, Aaronie? - zapytał.

- Nie i nie życzę sobie, aby było inaczej - odparł Aaron.

Ephram potrząsnął głową.

- Jacob został wykluczony z naszego kościoła, ale nie z twojego życia.

- Dla mnie to jedno i to samo.

- I tego właśnie nie pojmuję. Wiesz dlaczego? Bo przebaczenie to pierwsza ze wszystkich reguł.

Aaron spojrzał biskupowi w oczy.

- Czy po to do nas przyjechałeś? Żeby porozmawiać o Jacobie?

- Cóż, prawdę mówiąc, nie - przyznał Ephram. - Po mojej porannej rozmowie z Elamem wybrałem się do Johna Zimmermanna i Martina Lappa. Oni wyjaśnili mi, że jeśli policjanci spędzili u was cały dzień, to z całą pewnością Katie jest podejrzana. W tym momencie wszystko zależy od tego, czy dziecko urodziło się żywe czy nie. Jeżeli tak, wtedy Katie poniesie winę za jego śmierć. - Spojrzał na Aarona, marszcząc brwi. - John i Martin radzili, żebyś porozmawiał z adwokatem, bo inaczej możesz dać się zaskoczyć.

- Moja Katie nie potrzebuje adwokata.

- I ja w to wierzę - przytaknął biskup - jednak w wypadku, gdyby było inaczej, wspólnota nie opuści jej w biedzie. - Po chwili wahania dodał: - Rozumiecie, rzecz jasna, że przy najbliższej okazji nie będzie mogła przystąpić do Stołu Pańskiego.

Elam uniósł na niego wzrok.

- Nie przyjmie komunii? Tylko tyle? A bann? Nie będzie odsunięta od wspólnoty?

- Rzecz jasna, będę musiał jeszcze porozmawiać z Samuelem, a później wszystko przemyśleć. - Ephram położył dłoń na ramieniu Aarona. - Nie pierwsza to młoda para, która nie potrafiła w cierpliwości doczekać nocy poślubnej. Nie muszę też chyba dodawać, że śmierć dziecka to straszna tragedia. Cierpienie jest jednak równie mocnym spoiwem dla związku małżeńskiego jak szczęście. Zaś co do podejrzeń, które padły na Katie - cóż, chyba żaden z nas w to nie wierzy, prawda?

Aaron odwrócił się od biskupa, strząsając jego dłoń ze swojego ramienia.

- Dziękuję, Ephramie, ale nie wynajmiemy adwokata dla Katie i nie będziemy uganiać się po sądach dla Englishers. To nie w naszym zwyczaju.

- Powiedz mi, Aaronie, dlaczego zawsze wyznaczasz innym ludziom granice, które są zmuszeni przekroczyć? - westchnął Ephram. - Coś takiego - o, to dopiero nie jest w naszym zwyczaju.

- Wybaczcie, mam dużo pracy. - Aaron skinął głową biskupowi, skłonił się ojcu i ruszył szybkim krokiem w stronę obory.

Dwaj starsi mężczyźni w milczeniu odprowadzali go wzrokiem.

- Już kiedyś z nim rozmawiałeś na ten sam temat - przypomniał Elam Fisher.

Biskup uśmiechnął się smutno.

- Ja. I tak samo jak dziś miałem wtedy wrażenie, że mówię do ściany.

Katie spała w szpitalu. Śniło jej się, że spada, spada z nieba, jak ptak z przetrąconym skrzydłem, a ziemia wybiega jej na spotkanie. Serce utkwilo jej w gardle, dławiąc krzyk. Dopiero w ostatniej sekundzie dotarło do niej, że ma przed sobą swoją oborę, pola, dom. Zamknęła oczy i poczuła uderzenie, które rozbiło cały krajobraz w drobny mak; kiedy ponownie rozejrzała się dookoła siebie, nie wiedziała, gdzie jest, nie rozpoznawała niczego.

Usiłując przebić wzrokiem otaczającą ją ciemność, Katie z wysiłkiem usiadła na łóżku. Z jej ciała, niczym korzenie, wyrastały przewody i plastikowe rurki. Brzuch miała obolały i tkliwy, nogi i ręce ciężkie jak z żelaza.

Sierp księżycy przeciął na pół niebo posypane szczyptą gwiazdnego pyłu. Katie wsunęła ręce pod pościel, objęła dłońmi brzuch.

- Ich hab ken Kind kaht - szepnęła.

Nie urodziłam żadnego dziecka. Na koc spadły pierwsze łzy.

- Ich hab ken Kind kaht. Ich hab ken Kind kaht - powtarzała Katie raz za razem, aż w końcu te krótkie słowa, ta anielska kołysanka, zaczęły krążyć niczym krew w jej żyłach.

Kilka minut po północy zahuczał nagle faks w mieszkaniu Lizzie, która ćwiczyła właśnie na mechanicznej bieżni. Z nadmiaru adrenaliny do późnej nocy nie mogła zmrużyć oka, postanowiła więc wykorzystać okazję i zażyć nieco ruchu, a przy okazji zmęczyć się na tyle, aby móc zasnąć. Słyszając sygnał, wyłączyła bieżnię i podeszła do faksu, czekając, zdyszana i zlana potem, aż maszyna dostarczy jej wiadomość. Na widok nagłówka zakładu medycyny sądowej jej serce zabiło jeszcze mocniej.

Do świadomości zaczęły stopniowo docierać domagające się uwagi informacje.

Płeć: męska. Wiek: 32 tygodnie. Długość całkowita 39,2 cm, długość ciemieniowo-pośladkowa 26 cm. Test wodny... Rozszerzone przewodniki pęcherzykowe płuca... Plamy na skórze koloru od różowego do ciemnej czerwieni... Oba płuca unosiły się na powierzchni wody, częściowe i nieregularne napowietrzenie wykluczone. W uchu środkowym obecne powietrze. Górna warga posiniała, na dziąsłach wykryto bawełniane włókna.

- Boże jedyny... - szepnęła, drżąc na całym ciele. Miała już w życiu kilkakrotnie do czynienia z mordercami. Rozmawiała z człowiekiem, który za paczkę Cameli zadźgał nożem właściciela sklepu całodobowego, z chłopakiem, który zgwałcił w akademiku kilka studentek, a potem zostawił je na zakrwawionej podłodze, kiedyś nawet zdarzyło jej się poznać kobietę maltretowaną przez męża-tyrana, która pewnej nocy, kiedy zasnął, strzeliła mu z pistoletu prosto w twarz. W obecności takich ludzi zawsze ulegała wrażeniu, że gdyby można ich było otworzyć, tak jak rosyjskie lalki-matrioszki, w środku znalazłoby się rozżarzony, dymiący kawałek węgla.

Tymczasem ta dziewczyna, córka amiszów, nie miała w sobie nic takiego.

Lizzie zrzuciła z siebie strój do ćwiczeń i poszła do łazienki, pod prysznic. Zanim ta dziewczyna zostanie zatrzymana, pouczona o przysługujących jej prawach i formalnie oskarżona... Zanim to nastąpi, Lizzie chciała spojrzeć Katie Fisher w oczy i zrozumieć, co kryje się w jej sercu.

Przyjechała do szpitala o czwartej nad ranem, ale pomimo wczesnej godziny Katie nie spała. Była sama. W jej szeroko otwartych błękitnych oczach zamigotało zdziwienie na widok policjantki.

- Dzień dobry - powiedziała. Lizzie przysiadła obok niej na łóżku.
- Jak się czujesz?
- Lepiej - padła cicha odpowiedź. - Wracają mi siły.

Lizzie zerknęła na książkę rozłożoną na kolanach dziewczyny. To była Biblia.

- Samuel mi przywiózł - wyjaśniła Katie, widząc jej zmarszczone brwi. - A może tu nie wolno czytać Biblii?

- Wolno, oczywiście, że wolno - uspokoiła ją Lizzie, czując, jak jej piramida dowodów, starannie wznoszona od dwudziestu czterech godzin, zaczyna chwiać się w posadach, zetknąwszy się z jedną prostą prawdą: ta dziewczyna należy do amiszów. Czy ten fakt mógł odeprzeć wszelkie zarzuty, czy był na tyle istotny, aby obalić ową górę obciążających argumentów? - Katie, czy lekarz ci wyjaśnił, co się z tobą stało?

Katie uniosła wzrok. Założyła palcem miejsce, gdzie skończyła czytać i zamknęła Biblię, szeleszcząc stronicami, po czym skinęła głową.

- Kiedy rozmawialiśmy wczoraj, usłyszałam od ciebie, że nie urodziłaś dziecka. - Lizzie wzięła głęboki wdech. - Zastanawiam się, dlaczego tak powiedziałaś.

- Bo nie urodziłam żadnego dziecka.

Lizzie potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- W takim razie skąd ten krwotok?

Katie oblała się rumieńcem aż po samą szyję i kołnierz szpitalnej koszuli nocnej.

- Mam teraz swoje dni - powiedziała cicho.

Odwróciła głowę, usiłując zapanować nad sobą. - Być może jestem prosta, pani detektyw, ale nie głupia. Sądzi pani, że mogłabym urodzić dziecko i nie wiedzieć o tym?

W jej słowach zabrzmiały taka szczerść i powaga, że Lizzie, gdyby nie siedziała, na pewno cofnęłaby się o krok. Gdzie popełniłam błąd?, zapytała siebie w myślach. Przesłuchiwała już w życiu setki ludzi, setki kłamców, lecz nikt nigdy nie zabił jej takiego klina jak Katie Fisher. Wyjrzała przez okno, gdzie horyzont wzbierał wrzącą czerwienią i rozumiała, na czym polega cała różnica. W tym nie było ani krztyny udawania; Katie Fisher święcie wierzyła w to, co mówi.

Lizzie odchrząknęła, szykując się do ataku z innej strony.

- Zadam ci dziwne pytanie, Katie... Czy miałas już kontakty seksualne?

Policzki dziewczyny, o ile to możliwe, zapłonęły jeszcze głębszą czerwienią.

- Nie.
- Czy twój przyjaciel, ten blondyn, powie mi to samo, gdy go o to zapytam?

- Proszę pytać - padła wyzywająca odpowiedź.
- Sama widziałaś wczoraj to dziecko - powiedziała Lizzie, dławiąc się własną frustracją. - Skąd ono się wzięło?

- Nie mam pojęcia.
- No, dobrze. - Lizzie pomasowała skronie. - Czyli to nie było twoje.

Na twarzy Katie zajaśniał szeroki uśmiech.

- To właśnie próbuję pani powiedzieć.

- To jest jedyna podejrzana - wyjaśniła Lizzie, przyglądając się, jak George Callahan napycha sobie usta tartymi pieczonymi kartoflami smażonymi z cebulą. Spotkali się na rozmowę w tanim barze, który miał tę zaletę, że znajdował się w połowie drogi pomiędzy East Paradise a biurem prokuratora okręgowego. Zdaniem Lizzie jedyną reklamą tego zakładu mogłoby chyba stanowić zapewnienie, że serwuje się tu wyłącznie dania podbijające cholesterol o sto procent. - Jedz tak dalej, a zawał masz jak w banku - dodała ponuro, marszcząc brwi.

George machnął lekceważąco dłonią.

- Jak tylko zauważę pierwsze objawy arytmii, zaraz składam u Boga wniosek o odroczenie sprawy.

Lizzie odłamała kawałek babeczki i wróciła do swoich notatek.

- Mamy zakrwawioną koszulę nocną, mamy odcisk stopy o wielkości pasującej do rozmiaru buta noszonego przez Katie, mamy zeznanie lekarza z ostrego dyżuru, który stwierdził, że jest pierworódką oraz orzeczenie lekarza sądowego o tym, że dziecko wykonało pierwszy oddech. Do tego krew pobrana od niej pasuje do śladów krwi znalezionych na skórze noworodka. - Wsunęła kawałek ciastka do ust. - Założę się o pięćset dolców, że wyniki testów DNA dodatkowo potwierdzą jej związek z dzieckiem.

George otarł usta serwetką.

- Lizzie, ja się zgadzam, że to są mocne dowody, ale nie wiem, czy można tym uzasadnić oskarżenie o nieumyślne spowodowanie śmierci.

- Zaczekaj, przed nami gwóźdź programu. Lekarz sądowy stwierdził, że usta noworodka były posiniaczone, a na dziąsłach i w gardle znalazł drobinki włókien.

- Jakich włókien?

- Dopasowali je do koszuli, w którą dziecko było zawinięte. Według lekarza sądowego jedno z drugim wskazuje na to, że zostało ono uduszone.

- Uduszone? To nie jest nastolatka z New Jersey, której wody odeszły w pasażu handlowym, urodziła w toalecie i poszła dalej na zakupy. Ci amiszę pewnie nawet much nie zabijają. Założę się o każde pieniądze.

- W zeszłym roku, kiedy przyłapaliśmy dwóch młodych amiszów na handlu kokainą, sprawa trafiła na pierwsze strony ogólnokrajowych dzienników - odparowała Lizzie. - Uważasz, że „Sześćdziesiąt minut” nie zainteresuje się morderstwem? - Z satysfakcją zauważyła, że oko prokuratora zabłysło, kiedy na jednej szali spoczęło jego osobiste zdanie względem oskarżenia dziewczyny z rodziny amiszów, na drugiej zaś - szum wokół jego osoby, którego mógł być pewien, gdyby podjął się prowadzenia tak głośnej sprawy. - W oborze na farmie amiszów znaleziono martwego noworodka, a osiemnastolatka, która mieszka na tej farmie, właśnie urodziła dziecko - powiedziała cicho. - Zestaw jedno z drugim, George. Mnie też to się nie podoba, ale nawet ja nie mam żadnych wątpliwości co do tego, jakie zarzuty należy postawić tej dziewczynie. I powiem ci, że trzeba się spieszyć. Ona dzisiaj wychodzi ze szpitala.

George pieczołowicie pokroił sadzone jaja w równą kosteczkę, po czym odłożył nóż i widelec na brzeg talerza, nie tknąwszy ani kęsa.

- Jeżeli uda nam się udowodnić, że dziecko zostało uduszone, to mamy zabójstwo pierwszego stopnia. Umyślne, zamierzone, dokonane z premedytacją. Dziewczyna ukrywała ciążę, urodziła, a potem pozbyła się dziecka. - Podniósł wzrok na Lizzie. - Przesłuchałaś ją?

- Tak.

- No i?

Skrzywiła się.

- Wciąż nie chce uwierzyć, że urodziła dziecko.

- A co to ma znaczyć, do diabła?

- Upiera się przy swojej wersji.

George zmarszczył brwi.

- Czy ona twoim zdaniem wygląda na wariatkę?

Lizzie była świadoma tego, że wariat w sensie prawnym to ktoś zupełnie inny niż w potocznym tego słowa znaczeniu, ale tym razem nie wydawało jej się, żeby George z rozmysłem wskazywał na tę różnicę.

- Wygląda jak zwyczajna dziewczyna z sąsiedztwa. Tylko tak się składa, że zamiast V.C. Andrewsa czyta Biblię.

- Aha - westchnął George. - No, to będzie proces.

Sara Fisher wzięła kapp leżący na kocu i umocowała go szpilką na głowie córki.

- No i już. Gotowe.

Katie opadła z powrotem na łóżko. Za chwilę miała się zjawić wolontariuszka, z fotelem na kółkach, aby zawieźć ją na parter, do wyjścia. Przed kilkoma minutami pożegnała się z lekarzem, który wypisał ją ze szpitala, a mamie dał tabletki, na wypadek, gdyby ból powrócił. Skuliła się, obejmując rękami brzuch.

Ciocia Leda położyła jej dłoń na ramieniu.

- Jeśli nie czujesz się na siłach, żeby wrócić do domu, możesz pomieszkać u mnie.

Katie potrząsnęła głową.

- Denke. Muszę wrócić. Chcę wrócić. - Uśmiechnęła się lekko. - To bez sensu, wiem.

Leda objęła ją mocno.

- Wydaje mi się, że ja potrafię dostrzec w tym więcej sensu niż ktokolwiek inny.

Drzwi się otworzyły. Katie skoczyła na równe nogi, nie mogąc się doczekać, aż wyjdzie ze szpitala. Czekala ją jednak niespodzianka: zamiast młodej wolontariuszki, której się spodziewała, do salki weszło dwóch umundurowanych policjantów. Sara cofnęła się, wystraszona i zatrzymała obok łóżka, gdzie stały Leda i Katie, zjednoczone lękiem.

- Katie Fisher? - padło pytanie.

Czując, jak kolana drżą jej pod spódnicą i halką, odpowiedziała:

- To ja.

Jeden z policjantów ujął ją delikatnie pod ramię.

- Mamy nakaz aresztowania. Zostałaś oskarżona o morderstwo noworodka znalezione w oborze twojego ojca.

Drugi policjant zbliżył się do niej. Katie wyciągnęła gorączkowo szyję, usiłując spojrzeć ponad jego ramieniem, pochwycić spojrzenie matki.

- Masz prawo zachować milczenie - wyrecytował. - Wszystko, co powiesz, może być i będzie użyte przeciwko tobie przed sądem. Masz prawo do adwokata...

- Nie! - krzyknęła Sara, wyciągając ręce, kiedy policjanci wyprowadzali jej córkę na korytarz. Pobiegła za nimi, nie zwracając uwagi ani na zaciekawione spojrzenia personelu oddziałowego, ani na wołania swojej siostry.

Leda dogoniła ją dopiero na dole, przy wejściu do szpitala. Zobaczyła, jak Katie zanosi się płaczem, wyciągając ręce do mamy, a jeden z policjantów kładzie dłoń na jej czepku i nieledwie siłą zgina dziewczynę

wpół, wpychając na tylne siedzenie radiowozu.

- Może pani jechać za nami do sądu okręgowego - poinformował Sarę uprzejmym głosem, po czym sam wsiadł do samochodu.

Radiowóz odjechał. Leda objęła siostrę.

- Zabrali mi dziecko - łkała Sara. - Zabrali mi dziecko.

Leda zdawała sobie sprawę, że Sara niechętnie zgodziła się na jazdę jej samochodem, ale czasu było niewiele i sytuacja wymagała poświęceń. Zresztą, jazda samochodem z kimś, kogo obowiązywał bann, była i tak daleko mniej przerażająca niż perspektywa wysłuchania oficjalnego oskarżenia własnej córki o morderstwo

- a to właśnie czekało Sarę.

- Zaczekaj - powiedziała Leda, parkując przed swoim domem.

- Pójdę tylko po Franka. - Zostawiła Sarę w samochodzie i wbiegła do środka.

Frank siedział w salonie, oglądając powtórkę jakiejś telenoweli. Wystarczyło mu spojrzeć w twarz żony; natychmiast zerwał się z fotela, łapiąc Ledę za ramiona.

- Coś się stało? Nic ci nie jest?

- Policjanci zabrali Katie do sądu okręgowego. Oskarżyli ją o morderstwo. - Ostatnie słowa przepęłniły czarę. Leda, która trzymała się dzielnie przed siostrą, rozkleiła się kompletnie w ramionach męża. - Ephram Stoltzfus zebrał od przedsiębiorców ze wspólnoty dwadzieścia tysięcy dolarów na adwokata dla Katie, ale Aaron nie chce przyjąć ani centa.

- Dostanie obrońcę z urzędu, nie bój się, kotku.

- Nie. Aaron będzie chciał, żeby nadstawiła drugi policzek. A po tym, jak zachował się wobec Jacoba, Katie nie ośmieli mu się przeciwstawić. - Leda oparła czoło o pierś męża. - Ona nie ma szans na wygraną. Trafi do więzienia, chociaż jest niewinna.

- A jak to było z Dawidem i Goliatem? - przypomniał jej Frank, ocierając kciukiem łzy z policzka żony. - Gdzie Sara?

- Czeka w samochodzie.

- To chodźmy. - Frank objął Ledę w pasie.

W chwilę po ich wyjściu drzwi do salonu się otworzyły. Stała w nich Ellie ubrana w krótkie spodenki i bluzeczkę bez rękawów. Kiedy Leda wpadła do domu, ona była akurat w pokoju obok. Wiązała właśnie tenisówki, bo chciała się przebiec. Słyszała każde słowo. Z twarzą niezdradzającą żadnych uczuć Ellie podeszła do wysokiego, panoramicznego okna i patrzyła, jak samochód ciotki wycofuje się z podjazdu, a potem znika w oddali.

Katie musiała wsunąć ręce pod blat stołu, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo się trzęsą. Szpilka, która przytrzymywała jej kapp w miejscu, została w radiowozie i teraz czepek sterczał chwiejnie na samym czubku głowy, zsuwając się przy każdym poruszeniu. Mimo to nie zdjęłaby go za nic w świecie, a już z całą pewnością nie w tej chwili, bo podczas modlitwy należy mieć głowę nakrytą, a od momentu, gdy radiowóz ruszył spod szpitala, nie przestała się modlić nawet na chwilę.

Niedaleko, tuż obok, stał drugi stół, taki sam jak ten, przy którym ją posadzono. Siedział przy nim jakiś mężczyzna i przyglądał się jej, zmarszczywszy brwi. Katie zachodziła w głowę, czym też mogła go aż tak rozniewać. Przed nią, na podwyższeniu, za trzecim, masywnym stołem, zasiadał jeszcze jeden mężczyzna, ubrany w czarną szatę i dzierżący w dłoni drewniany młotek. W momencie, gdy Katie zobaczyła, jak na salę rozpraw wchodzi ukradkiem jej mama w towarzystwie cioci Ledy i wuja Franka, młotek opadł z wielkim hukiem.

Mężczyzna z młotkiem spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

- Czy mówi pani po angielsku?

- Ja - odpowiedziała Katie i zaczerwieniła się. - Tak.

- Została pani oskarżona na terenie stanu Pensylwania o zabójstwo pierwszego stopnia. Oskarża się panią, Katie Fisher, o spowodowanie dnia jedenastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku śmierci noworodka z rodziny Fisherów. Czyn ten popełniony został umyślnie, zamierzenie i z premedytacją na farmie należącej do rodziny Fisherów, znajdującej się w powiecie East Paradise hrabstwa Lancaster. Akt oskarżenia obejmuje również morderstwo trzeciego stopnia. Oskarża się panią...

Potok angielszczyzny spadł na nią jak ulewny deszcz, zbyt intensywny, aby mogła zrozumieć wszystko po kolei. Straciła orientację pośród złanych w jeden nieprzerwany strumień słów. Zamknęła oczy, chwiejąc się lekko.

- Czy rozumie pani przedstawione zarzuty?

Nie rozumiała nawet pierwszego zdania, ale mężczyzna w czarnej szacie wyraźnie czekał na odpowiedź, ona zaś nauczyła się już jako dziecko, że Englishers lubią, żeby im przytakiwać.

- Tak - odpowiedziała.

- Czy ma pani adwokata?

Katie wiedziała dobrze, że jej rodzice, podobnie zresztą jak wszyscy amisz, uważają procesowanie się w sądzie za czynność z gruntu pozbawioną sensu. Od czasu do czasu, bardzo rzadko, zdarzało się, że jakiś

amisz otrzymywał wezwanie i stawał przed sądem w charakterze świadka - lecz nigdy nie zrobiłby tego z własnej, nieprzymuszonej woli. Katie obejrzała się przez ramię na mamę, przy czym znów przekrzywił się jej czepek.

- Nie życzę sobie mieć adwokata - odpowiedziała cicho.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, co to oznacza, panno Fisher? Czy podjęła pani tę decyzję za namową rodziców? - Katie spuściła wzrok. - To jest bardzo poważne oskarżenie, młoda damo. Sądzę, że powinna mieć pani adwokata. Jeżeli przyjmie pani usługi obrońcy z urzędu...

- To nie będzie konieczne.

Katie, a wraz z nią reszta zgromadzonych, odwróciła głowę w kierunku, skąd dobiegło to zdanie, wypowiedziane spokojnym, pewnym siebie głosem. Przejściem pomiędzy ławkami szła żwawym krokiem kobieta ostrzyżona krótko, po męsku, ubrana w nienagannie skrojony niebieski kostium oraz pantofle na szpilkach. Nie zadawszy sobie trudu, aby spojrzeć w stronę Katie, postawiła swój neser na stole obrony i skinęła głową sędziemu.

- Nazywam się Eleanor Hathaway i jestem adwokatem oskarżonej. Panna Fisher nie potrzebuje korzystać z usług obrońcy z urzędu. Przepraszam za spóźnienie, panie sędzio. Czy mogę prosić o pięć minut rozmowy z moją klientką?

Sędzia machnął przyzwalająco dłonią. Zanim Katie zdążyła się zorientować, co właściwie zaszło, nieznamoma kobieta, ta Eleanor Hathaway, chwyciła ją pod ramię i postawiła na równe nogi. Podreptała spiesznie za nią, przytrzymując na głowie swój kapp. Kiedy były już na środku sali i szły przejściem pomiędzy ławkami, zobaczyła, jak ciocia Leda macha w ich kierunku. Uniosła dłoń w odpowiedzi - i w tej chwili dotarło do niej, że to entuzjastyczne pozdrowienie nie było przeznaczone dla niej, ale dla pani Hathaway.

Adwokatka zaprowadziła Katie do maleńkiego pokoju, w którym przechowywano materiały biurowe i zamknęła za nią drzwi, opierając się o nie plecami.

- Przepraszam cię za ten improwizowany wstęp. Jestem Ellie Hathaway. Ty zaś jesteś Katie i mam nadzieję, że nie ma tutaj mowy o żadnej pomyłce. Ponieważ będziemy miały jeszcze mnóstwo czasu na pogawędkę, teraz zapytam cię tylko o jedną rzecz: dlaczego nie chciałaś wziąć adwokata?

Katie otworzyła usta, zamknęła je, otworzyła ponownie i znów zamknęła. Powtórzyła to kilka razy, zanim udało jej się wyartykułować odpowiedź:

- Dat... Mój ojciec by sobie tego nie życzył.

Na Ellie jej oświadczenie nie zrobiło żadnego wrażenia, przewróciła tylko oczami.

- Na razie, kiedy sędzia cię o to zapyta, nie przyznasz się do winy. Potem sobie o wszystkim porozmawiamy. Teraz sprawa oskarżenia. Zarzuty są na tyle ciężkie, że nie dostaniesz kaucji, jeżeli nie uda nam się w jakiś sposób obejść klauzuli o dowodzie i domniemaniu.

- Nic... nie rozumiałam.

Ellie wyjaśniła, nie unosząc głowy znad pliku papierów, które przebiegała wzrokiem:

- To znaczy, że jeśli kogoś oskarży się o morderstwo, a dowody są jednoznaczne lub domniemanie jest słuszne, to oskarżony nie może liczyć na zwolnienie za kaucją, tylko idzie na rok do aresztu i tam czeka na proces. Rozumiesz? - Katie przełknęła i przytaknęła skinieniem głowy. - Więc teraz musimy znaleźć jakąś furtkę w przepisach.

Katie spojrzała na tę kobietę, która stanęła nagle u jej boku, przybyła na ratunek, niosąc swoją broń - słowa ostre jak sztych miecza.

- Nie urodziłam żadnego dziecka.

- Rozumiem. I nieważne, że dwaj lekarze specjaliści oraz cały personel szpitala, nie wspominając już o miejscowej policji, twierdzą co innego?

- Nie urodziłam żadnego dziecka.

Ellie powoli podniosła głowę.

- No cóż - powiedziała - widzę, że sama będę musiała znaleźć tę furtkę.

Kiedy Ellie i Katie wróciły na salę rozpraw, sędzia, który spokojnie obcinał sobie paznokcie, przerwał swoją czynność i zmiotł to, co obciął, na podłogę.

- Zdaje mi się, że mieliśmy przejść do pytania o winę.

Ellie wstała.

- Moja klientka nie przyznaje się do winy, wysoki sędzie.

Sędzia odwrócił głowę w stronę prokuratora.

- Panie Callahan, czy oskarżenie zaleca wyznaczenie kaucji?

George wstał sprężystym ruchem.

- Wysoki sędzie! Kodeks karny stanu Pensylwania nie przewiduje wyznaczenia kaucji dla oskarżonych o zabójstwo pierwszego stopnia, toteż oskarżenie również tego nie zaleci.

- Wysoki sędzie - sprzeciwiła się Ellie - jeśli wolno mi zauważyć, to litera ustawy nie przewiduje wyznaczenia kaucji tylko w przypadkach,

kiedy, pozwolę sobie zacytować, „dowody są jednoznaczne lub domniemanie jest słuszne”. Nie jest to bynajmniej zalecenie ogólne. Podobnie w tym szczególnym przypadku oskarżenia o zabójstwo pierwszego stopnia nie można żadną miarą powiedzieć, że dowody winy są jednoznaczne ani też, że domniemanie o winie jest słuszne. Prokurator okręgowy istotnie zebrał szereg poszlak, w tym oświadczenie lekarskie stwierdzające, że panna Fisher była w ciąży i urodziła dziecko oraz protokół policyjny opisujący, jak doszło do znalezienia martwego noworodka na farmie jej rodziców, niemniej jednak brakuje naocznych świadków tego, co działo się z dzieckiem od momentu jego narodzin do chwili zgonu. Nie będziemy wiedzieli, w jaki sposób doszło do tej śmierci, dopóki moja klientka nie stanie przed sądem na uczciwym procesie, do którego ma prawo. - Ellie uśmiechnęła się krzywo do sędziego. - Wysoki sędzie, wymienię cztery główne argumenty przemawiające za wyznaczeniem kaucji w tym wypadku. Po pierwsze, moja klientka została oskarżona o popełnienie brutalnego przestępstwa, bez względu na fakt, że należy ona do wspólnoty amiszów, którzy nie uznają przemocy i od zawsze znani są z tego, że nie dopuszczają się brutalnych czynów. Po drugie, przynależność do społeczności amiszów oznacza silniejszą więź z miejscem zamieszkania niż w przypadku większości oskarżonych stających przed sądem. Religia mojej klientki oraz wychowanie, które otrzymała, wykluczają ryzyko jej ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości. Po trzecie, skończyła ona dopiero osiemnaście lat i nie posiada żadnych środków finansowych koniecznych do podjęcia takiej ucieczki. Po czwarte zaś i ostatnie, moja klientka jest osobą niekaraną. W dniu dzisiejszym nie tylko po raz pierwszy staje przed sądem w charakterze oskarżonej, ale również po raz pierwszy ma do czynienia z wymiarem sprawiedliwości w ogóle. Wysoki sędzie, wnioskuję o zwolnienie mojej klientki za kaucją, pod surowymi warunkami. Sędzia pokiwał z namysłem głową.

- Czy zechce nam pani wyjawić, jakie warunki ma na myśli?

Ellie wzięła głęboki wdech. Z najwyższą przyjemnością spełniłaby życzenie sędziego, ale tak się złożyło, że jeszcze się nad tym nie zastanowiła. Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę, gdzie siedzieli Leda i Frank, a pomiędzy nimi ta kobieta w stroju amiszów - i nagle wszystko stało się jasne.

- W pełnym poszanowaniu prawa prosimy wysoki sąd o wyznaczenie kaucji pod następującymi zastrzeżeniami: Katie Fisher zamieszka na farmie swoich rodziców, ale otrzyma zakaz opuszczania powiatu East Paradise i będzie musiała pozostawać pod nieustannym nadzorem któregoś z członków rodziny. Natomiast co do kaucji, uważam, że dwadzieścia

tysięcy dolarów stanowi stosowną kwotę.

Prokurator zaśmiał się głośno.

- To jakiś absurd, wysoki sędzie! Ustawa o kaucji stwierdza wyraźnie, jak należy postępować w wypadku zabójstwa pierwszego stopnia. W Filadelfii przestępców na tych pokazowych procesach sędzi się tak samo, więc pani Hathaway nie może wymawiać się niewiedzą. Gdyby dowody nie były jednoznaczne, akt oskarżenia z pewnością brzmiałby inaczej. Jest oczywiste, że Katie Fisher nie może zostać zwolniona za kaucją.

Sędzia zmierzył wzrokiem najpierw oskarżyciela, potem obrócił, na końcu zaś Katie.

- Coś państwu powiem. Przychodząc dziś rano do pracy, nie miałem najmniejszego zamiaru zrobić tego, co zaraz uczynię. Zanim jednak wezmę pod rozwagę warunki proponowane przez panią Hathaway, muszę wiedzieć, czy ktoś zgodzi się przyjąć na siebie odpowiedzialność za Katie Fisher. Chcę, żeby jej ojciec poręczył własnym słowem, że pozostanie ona pod nieustającym nadzorem. - Zwrócił wzrok w stronę ławek. - Panie Fisher, uprzejmie proszę wstać.

Leda podniosła się z miejsca.

- Nie ma go tutaj, wysoki sędzie - powiedziała, odchrząknawszy. - To jest matka Katie. - Pociągnęła siostrę z całej siły, zmuszając do powstania.

- Dobrze. A zatem, pani Fisher, czy zgodzi się pani przyjąć całkowitą odpowiedzialność prawną za swoją córkę?

Sara wbiła wzrok w podłogę. Jej odpowiedź była tak cicha, że sędzia musiał wyteńczyć słuch, aby pochwycić jej słowa. - Nie.

- Słucham? - Zamrugał ze zdziwienia oczami. Sara uniosła na niego oczy lśniące od łez.

- Nie mogę.

- Ale ja mogę, wysoki sędzie - powiedziała Leda.

- Czy mieszka pani z rodziną? Zawahała się przez chwilę.

- Mogę się wprowadzić.

- Aaron się nie zgodzi! - odezwała się wściekłym szeptem Sara, potrząsając głową.

Sędzia zabębnił niecierpliwie palcami po blacie.

- Czy na sali jest obecny jeszcze ktoś z rodziny panny Fisher, kto zgodzi się otoczyć ją nadzorem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a nie pozostaje w konflikcie z kościołem amiszów ani też z ojcem oskarżonej?

- Ja się tego podejmę.

Zdziwiony, od kogo usłyszał ową deklarację, sędzia spojrzął na Ellie i zobaczył, że adwokatka sama nie posiada się ze zdziwienia, że to właśnie ona ją wygłosiła.

- Dziękuję za poświęcenie, pani mecenas, ale potrzebny nam członek rodziny.

- Wiem o tym. - Ellie z wysiłkiem przełknęła ślinę. - Jestem kuzynką oskarżonej.

Rozdział czwarty

ELLIE

Kiedy George Callahan zerwał się z miejsca i wielkim głosem zawołał „Sprzeciw!”, musiałam z całej siły się powstrzymać, aby nie odkrzyknąć „Popieram”. Po jakie лихо się w to pakuję? Przyjechałam do East Paradise kompletnie wypalona; ostatnią rzeczą, o jakiej mogłam zamarzyć, było prowadzenie sprawy tej dziewczyny, a teraz proszę, zgłosiłam się jeszcze na ochotnika do pilnowania jej dzień i noc. Przez mgłę niedowierzania dobiegł mnie głos sędziego odrzucającego sprzeciw prokuratora i przyjmującego mój wniosek; wyznaczył kaucję w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów i zamknął mnie w więzieniu, które sama dla siebie otworzyłam.

Frank i Leda wyrosli przede mną jak spod ziemi. Leda uśmiechała się przez łzy, a Frank mierzył mnie poważnym spojrzeniem swoich ciemnych oczu.

- Na pewno chcesz to zrobić, Ellie? - zapytał. Leda odpowiedziała za mnie.

- Oczywiście, że chce. Przecież ratuje naszą Katie.

Zerknęłam w bok, na dziewczynę skuloną na krześle. Nawet nie zmieniła pozycji. Odkąd wyszłyśmy z pokoiku na zapleczu, gdzie odbyłyśmy tę naszą krótką pogawędkę prezentacyjną, nie odezwała się ani słowem. Dopiero teraz rzuciła mi jedno krótkie spojrzenie, w którym wyraźnie dostrzegłam wielką pretensję. Zjeżyłam się momentalnie. Co ona sobie wyobraża? Że ja robię to dla siebie? Dla dobrego samopoczucia?

Zmrużyłam oczy i już chciałam wygarnąć jej od serca, ale zamknęłam usta, czując na ramieniu miękki dotyk czyjejś dłoni. Przede mną stała starsza, sterana życiem wersja Katie Fisher, ubrana od stóp do głów w szczegółowo dopracowany kostium amiszów, czekając, aż zwróci na nią uwagę.

- Moja córka pani dziękuje - powiedziała z wahaniem. - I ja także pani dziękuję. Ale mój mąż nie zgodzi się, aby pod naszym dachem zamieszkał ktoś, kto jest Englischer.

I wtedy Leda wybuchła.

- Skoro biskup Ephram sam radził, że trzeba porozmawiać z angielskim prawnikiem, to zgodzi się też, żeby ten sam prawnik podjął się nadzoru nad Katie, jeśli to jest wymóg zwolnienia za kaucją. Cała wspólnota jest skłonna na jakieś odstępstwa od zasad dla dobra Katie, więc może i ty chociaż raz weź ich stronę, zamiast ślepo stać u boku swojego upartego męża!

Nigdy w życiu nie słyszałam jeszcze, żeby Leda podniosła głos, a teraz byłam świadkiem, jak wrzeszczy na swoją siostrę, która wprost kuli się przed nią ze strachu.

- Chodź, Ellie. - Leda wzięła mnie pod ramię. - Musisz się spakować. - Ruszyła do wyjścia, zatrzymując się po drodze tylko raz, żeby obejrzeć się przez ramię na Sarę i jej córkę. - Słyszeliście, co powiedział sędzia. Katie nie może odstępować Ellie na krok. Idziemy.

Nie opierałam się, kiedy Leda wyprowadziła mnie z sądu. Na plecach przez cały czas czułam palący wzrok Katie Fisher.

Droga na farmę Fisherów prowadziła wzdłuż strumienia, który odbijał potem w bok, obiegając dookoła ich pola; stanowił on naturalną granicę tego czterdziestohektarowego gospodarstwa. Krajobraz mienił się tutaj kolorami niczym w kalejdoskopie: jasnozielone liście kukurydzy, czerwone silosy, a w górze rozpięta czasza nieba, błękitna jak jajo drozda. Lecz na moje zmysły najbardziej podziałał zapach, o kompozycji równie unikalnej co woń miasta: koński pot, kapryfolium, bogaty, ostry aromat zaoranej ziemi. Kiedy zamknęłam oczy i napełniłam płuca powietrzem, zadziałał jakiś czar: znów miałam jedenaście lat i byłam na wakacjach w Paradise.

Podwieźliśmy Franka do domu, skąd zabraliśmy moje walizki i ruszyliśmy dalej. Jazda zabrała godzinę, zanim Leda wreszcie skrzyła w długą zwirowaną drogę wiodącą do domu Fisherów. Przez okno zobaczyłam dwóch mężczyzn powożących zaprzęgiem mułów, które ciągnęły po łące jakąś staroświecką maszynę olbrzymich rozmiarów - Bóg jeden wie, co to było. Zauważyłam tylko, że zbiera z ziemi wiechcie siana i podrzuca je do góry. Słyszając, że coś nadjeżdża drogą, wyższy farmer obejrzał się, ściągnął lejce i zdjął kapelusz, żeby obetrzeć czoło. Osłaniając oczy przed słońcem, przyjrzał się samochodowi Ledy, a potem oddał lejce temu drugiemu, mniejszemu, sam zaś rzucił się pędem w stronę domu.

Leda zajechała na podwórko i nie upłynęło dziesięć sekund, a on już tam był. Ja i ciotka wysiadłyśmy pierwsze. Po nas z tylnego siedzenia wydobyły się Sara i Katie. Nieznajomy, barczysty blondyn, zaczął coś mówić. Nie rozumiałam ani słowa - i wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że ta staranna angielszczyzna, którą Katie zademonstrowała przed sądem, nie jest językiem ojczystym ani dla niej, ani dla tych ludzi, wśród których miałam od teraz mieszkać. Sara odpowiedziała młodzieńcowi równie niezrozumiale.

Po żwirze trudno było iść w szpilkach. Zdjęłam marynarkę, bo zaczął dokuczać mi upał i przyjrzałam się człowiekowi, który przybiegł nas przywitać.

Jak na piekielnego tatuśka, którego mi odmalowano in absentia w sądzie, był o wiele za młody. Pomyślałam, że może to brat, ale w tej chwili zauważyłam, że nieznajomy patrzy na Katie wzrokiem co prawda pełnym uczucia, ale bynajmniej nie braterskiego. Spojrzałam z kolei na nią, ale w jej oczach nie dostrzegłam niczego podobnego.

Nagle w potoku obcej mowy wyłowiłam znajome słowo: moje imię. Sara wskazała mnie blondynowi, uśmiechając się z zakłopotaniem, po czym skinęła głową. Nieznajomy wyjął moją walizkę z bagażnika i postawił obok siebie na ziemi. Wyciągnął do mnie rękę.

- Jestem Samuel Stoltzfus - przedstawił się. - Dziękuję, że zechciała się pani zaopiekować moją Katie.

Zauważył, że Katie zamarła, słysząc ten zaborczy zaimek, czy nie? Czy w ogóle ktoś oprócz mnie to dostrzegł?

Odwrociłam się, bo dobiegło mnie podzwanianie uprząży i podkutyh kopyt. Ktoś właśnie wprowadzał konia do stajni. Zobaczyłam żyłatego mężczyznę o mięśniach jak postronki i gęstej rudej brodzie, która dopiero zaczynała się srebrzyć tu i ówdzie. Miał na sobie czarne spodnie i białoniebieską koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Obrzucił nas wszystkich spojrzeniem, marszcząc brwi na widok samochodu Ledy i zniknął w stajni, ale po chwili wrócił na podwórze.

Nie zwracając uwagi na nikogo, podszedł prosto do Sary i zaczął do niej mówić cichym, ale stanowczym głosem. W ich języku. Sara opuściła głowę, wierzbowa witka ugięta wiatrem. Ale w tym momencie Leda ruszyła się z miejsca, podeszła i odezwała się wprost do niego. Wskazała na Katie, potem na mnie i pogroziła pięścią. W końcu, z rozbieganymi od frustracji oczami, chwyciła mnie za ramiona i popchnęła Aaronowi Fisherowi przed same oczy.

Widywałam już mężczyzn wychodzących z siebie po usłyszeniu wyroku skazującego ich na dożywocie, patrzyłam w puste oczy zmaltretowanej kobiety, opowiadającej przed sądem, jak została napadnięta, ale

nigdy jeszcze nie widziałam takiej obojętności jak ta, która odmalowała się na twarzy tego człowieka. Miał się przede mną na baczności, jakby spodziewał się, że cierpienie go złamie, roztrzaska na tysiąc kawałków. Jakby widział we mnie odwiecznego wroga. Jakby wiedział, w głębi serca, że już przegrał. Wyciągnęłam rękę.

- Miło mi.

Aaron Fisher odwrócił się, nie próbując mnie nawet dotknąć. Podszedł do córki - i cały świat przestał dla nich istnieć. Kiedy oparł czoło o jej czoło i zaczął szeptać coś do niej ze łzami w oczach, odwróciłam wzrok, żeby zapewnić im tę odrobinę prywatności. Wreszcie Katie skinęła potakująco głową i ruszyli razem w stronę domu. Aaron szedł obok, obejmując ją ramieniem.

Samuel, Sara i Leda udali się zwartą grupą w ślad za nimi, dyskutując z ożywieniem w tym swoim dialekcie. Zostałam sama na podwórzu, czując, jak wiatr przylepia mi do pleców moją jedwabną bluzkę bez rękawów, a słońce wypala na ramionach nowe piegi. Za drzwiami stajni rozległo się głucho tupnięcie kopytem i ciche rżenie.

Przysiadłam na jednej z walizek, twarzą w stronę domu.

- Z wzajemnością - mruknęłam cicho. - Mnie również miło państwa poznać.

Ku mojemu zdumieniu dom Fisherów nie różnił się w zasadzie niczym od domu, w którym się wychowałam. Podłoga była z twardego drewna, a chodziło się po barwnych chodnikach-szmaciakach obszytych frędzlami. W kącie stał fotel na biegunach z oparciem nakrytym złożoną narzutą z jasnych skrawków. W misternie rzeźbionym kredensie za szymbami widać było kolekcję różnorodnej holenderskiej porcelany: od salaterek po filiżanki. Spodziewałam się chyba cofnąć w czasy serialu „Domek na prerii” - koniec końców miałam do czynienia z ludźmi, którzy dobrowolnie wyrzekli się wszelkich nowoczesnych wygod. Tymczasem w kuchni zobaczyłam i piekarnik, i lodówkę, a nawet pralkę - podobną miała moja babcia w latach pięćdziesiątych. Wpadłam w konsternację i chyba było to po mnie widać, bo natychmiast podeszła do mnie Leda.

- Wszystko działa na gaz. Oni nie mają nic przeciwko sprzętom AGD. Chodzi o elektryczność. Czerpanie prądu z sieci komunalnej oznacza kontakt ze światem zewnętrznym. - Pokazała mi lampę ze zbiornikiem na propan w podstawie i cienkimi rurkami do prowadzenia gazu. - Aaron pozwoli ci zostać. Nie podoba mu się to, ale się zgodził.

Skrzywiłam się ironicznie.

- To cudownie.
- Tak właśnie będzie - uśmiechnęła się Leda. - Coś mi mówi, że możesz się zdziwić.

Fisherowie i Samuel zostali w kuchni. Rozmawiałam z ciotką Ledą sam na sam w pokoju wyglądającym z grubsza jak salon. Były tutaj półki z książkami w jakimś nieznanym mi języku - sądząc po kroju liter, był to niemiecki. Na jednej ścianie wisiało starannie wykaligrafowane drzewo genealogiczne; dostrzegłam na nim imię „Leda” tuż nad imieniem „Sara”.

Nie ma telewizji, telefonu, nie ma wideo. Na kanapie nie leży najnowszy numer „Wall Street Journal”, a z głośników wieży nie dobiegają miękkie jazzowe dźwięki. W całym domu pachniało woskiem do czyszczenia o zapachu cytrynowym i było tak ciepło, że aż poczułam duszności. Serce zaczęło mi walić w piersi. W co ja się wpakowałam?

- Ledo - oznajmiłam stanowczo. - Nie dam rady.

Nic nie odpowiedziała. Usiadła na kanapie obitej brązowym sztrukssem, absolutnie nijakiej. Na poręczach i oparciu leżały koronkowe ochraniacze. Kiedy ostatni raz widziałam coś takiego?

- Musisz mnie stąd zabrać. Coś wymyślimy. Mogę mieszkać u ciebie i codziennie rano tutaj przyjeżdżać. Umówię się na spotkanie ex parte z sędzią i znajdziemy jakąś alternatywę.

Leda położyła dłonie na kolanach.

- Kogo ty się tak boisz? - zapytała. - Ich czy może tylko samej siebie?

- Nie gadaj głupot.

- Głupot? Ellie, ty jesteś perfekcjonistką. Przywykłaś do rozkazywania. Obracasz wszystkie okoliczności na swoją korzyść. Cały problem w tym, że nagle znalazłaś się w miejscu równie obcym co bazar w Kalkucie.

Opadłam na kanapę obok niej, chowając twarz w dłoniach.

- O Kalkucie przynajmniej coś tam kiedyś czytałam.

Leda poklepała mnie po plecach.

- Kotku, pracowałaś z mafijnymi bossami, a nie należysz do mafii.

- Kiedy broniłam Jimmy'ego Pisano, pseudonim Odyniec, nie musiałam z nim mieszkać pod jednym dachem.

Na to Leda już nie miała odpowiedzi. Milczała przez chwilę, potem westchnęła.

- To przecież tylko proces, Ellie, nic więcej. A ty, żeby wygrać, zawsze byłaś gotowa na wszystko.

Zajrzałyśmy przez otwarte drzwi do kuchni, gdzie przy zlewie stały ramię w ramię Katie i Sara - moje kuzynki w dalszej linii.

- Gdyby to był tylko proces i nic więcej, nie byłoby mnie tutaj.

Leda skinęła głową, przyznając mi rację co do tego, że obecna sytuacja wymaga ode mnie zrobienia czegoś, czego zwykle nie robię - i uświadamiając sobie jednocześnie, że powinna zrewanżować mi się tym samym.

- Dobrze - powiedziała. - Udzielę ci pierwszej lekcji. Zasady ogólne: pomagaj każdemu, nie czekając, aż cię poprosi. Dla amiszów, prostych ludzi, liczy się to, co ktoś robi, a nie to, co mówi. Ich nie interesuje, że nie znasz się na uprawie roli ani na krowach. Ważne, żebyś starała się pomóc.

- Mniejsza o pracę na farmie. Ja przecież nie mam pojęcia, co to znaczy być amiszem.

- I nikt nie będzie tego od ciebie wymagał. Nie potrzebujesz żadnych wiadomości. To są tacy sami ludzie jak ty, jak ja. Niektórzy są spokojni, inni porywczy, jedni z chęcią ci pomogą, drudzy udadzą, że cię nie widzą. Turyści widzą w amiszach albo świętych, albo regionalną ciekawostkę. Jeśli chcesz zasłużyć na akceptację tej rodziny, musisz ich traktować jak normalnych ludzi.

Wstała gwałtownie, jakby te słowa o akceptacji ją samą zabołały.

- Pojadę już - oznajmiła. - Aaron Fisher jest niezadowolony, że musi cię gościć, ale jeszcze bardziej drażni go moja obecność.

- Nie możesz mnie teraz zostawić!

- Ellie - powiedziała Leda łagodnie - nic ci nie będzie. Ja jakoś przeżyłam, tak czy nie?

Zmrużyłam oczy.

- Ty się stąd wyprowadziłaś.

- I ty też nie będziesz tu mieszkać wiecznie. Tylko o tym nie zapominaj, a doczekasz się prędzej, niż ci się wydaje. - Zaciągnęła mnie z powrotem do kuchni. Rozmowa ucichła jak nożem uciął i wszyscy spojrzeli na mnie z niejakim zaskoczeniem; najwidoczniej nie spodziewali się zobaczyć mnie ponownie. - Będę się zbierać - powiedziała Leda. - Katie, pokażesz Ellie swój pokój?

Uderzyła mnie ta propozycja, bo tak zazwyczaj robią dzieci, kiedy krewni przyjeżdżają w odwiedziny albo kiedy mają własnych gości: prowadzą ich do siebie, na swoje terytorium. Chwałę się domkiem dla lalek, kolekcją kart z bejsbolistami. Katie przywołała na twarz wymuszony uśmiech.

- Proszę - skinęła mi głową, ruszając w stronę schodów.

Uściskałam Ledę na pożegnanie, szybko i mocno, po czym wyprostowałam się i poszłam za Katie, nie oglądając się za siebie, chociaż bardzo tego chciałam.

Gdy szłam w ślad za Katie, rzuciło mi się w oczy, że dziewczyna opiera się ciężko o poręcz schodów. Cóż, nic dziwnego, przecież niedawno urodziła dziecko. Większość kobiet po porodzie leży kilka dni w szpitalu, a ona biega i zabawia się w panią domu. Kiedy doszliśmy na piętro, zatrzymałam ją.

- Dobrze... Dobrze się czujesz?

Posłała mi puste spojrzenie.

- Wszystko w porządku, dziękuję.

Odwrociła się i poszliśmy dalej, do jej pokoju. Panowały w nim czystość i porządek, i nikt nie domyśliłby się, że tutaj mieszka nastolatka. Żadnych zdjęć Leonarda Di Caprio, żadnych pluszowych maskotek porzrzucanych po całej podłodze, na toaletce próżno szukać baterii pojemniczków z błyszcznikiem do ust. Ściany kompletnie gołe. Jedynym osobistym akcentem w całym pokoju były dwie narzuty ze ścinków we wszystkich kolorach tęczy, przykrywające dwa identyczne łóżka.

- Może pani spać na tym - wskazała Katie, a ja podeszłam do jednego z łóżek i usiadłam, zanim jeszcze dotarło do mnie, co powiedziała. Jej się wydawało, że na czas pobytu na tej farmie zamieszkam z nią w jednym pokoju. W jej pokoju.

O, do diabła, nie ma mowy. Wystarczy, że w ogóle muszę tutaj mieszkać. Jeśli nawet w nocy nie mogę mieć chwili dla siebie, to nic z tego nie będzie. Wzięłam głęboki wdech, szukając grzecznych słów, żeby jej oznajmić, że nic mnie nie zmusi do dzielenia z nią pokoju. Ale Katie nie patrzyła wcale na mnie, bo chodziła po pokoju. Pogładziła wysokie oparcie krzesła, poprawiła swoją narzutę, a na koniec uklękła i zajrzała pod łóżko. Po chwili wyprostowała się, ale nie wstała; przysiadła na piętach na podłodze.

- Zabrali moje rzeczy - powiedziała cichym głosem.

- Kto?

- Nie wiem. Ktoś tu był i zabrał moje rzeczy. Koszulę nocną. Buty.

- To na pewno...

- Nic pani nie wie na pewno - przerwała mi rozdrażnionym, oskarżycielskim tonem.

A do mnie nagle dotarło, że jeśli zamieszkamy razem i będziemy spały w jednym pokoju, to nie będę jedyną osobą, która nie zdoła ustrzec swoich tajemnic.

- Chciałam tylko powiedzieć, że na pewno policjanci przeszukali twój pokój i znaleźli coś, co uznali za wystarczający dowód, aby cię oskarżyć. - Katie usiadła na swoim łóżku, wtuliła głowę w ramiona. - Posłuchaj mnie. Zacznijmy od tego: opowiedz mi, co się stało wczoraj rano.

- Ja nikogo nie zabiłam. I nie urodziłam żadnego dziecka.
- To już mówiłaś - westchnęłam. - No dobrze. Możesz wcale nie mieć ochoty mnie tutaj znosić, a i ja z całą pewnością mogłabym znaleźć sobie tysiąc przyjemniejszych rozrywek, ale tak się jednak złożyło, że dzięki uprzejmości pana sędziego Gormana spędzimy trochę czasu razem. Zazwyczaj proponuję moim klientom taki układ: ja nie pytam, czy są winni przestępstwa, o które się ich oskarża - nigdy, ani razu - a klient w zamian za to odpowiada mi szczerze na każde inne pytanie. - Pochyliłam się, żeby spojrzeć jej w oczy. - Chcesz mi powiedzieć, że nie zabiłaś tego dziecka? Proszę bardzo. Absolutnie mnie to nie obchodzi, bo w sądzie i tak będę cię bronić, bez względu na to, co sama o tym wszystkim myślę, bo adwokat nie osądza swoich klientów. Ale jeśli dalej będziesz kłamliwie się upierać, że w ogóle nie rodziłaś - czego dowiedziono ponad wszelką wątpliwość - to mnie w końcu zdenerwujesz.

- Ja nie kłamię.

- Mogę ci wymienić przynajmniej trzech ekspertów w dziedzinie medycyny, którzy złożyli zeznania do akt sprawy, potwierdzając, że twoje ciało nosi znaki niedawnego porodu. Jeśli chcesz, pokażę ci wyniki badań krwi, które mówią to samo. Jak możesz się upierać, że nie urodziłaś tego dziecka?

Jako adwokat nie musiałam o to pytać, bo znałam odpowiedź z góry - Katie mogła się upierać przy swojej wersji, ponieważ po prostu święcie w nią wierzyła. Ale zanim choćby dopuszczę możliwość złożenia wniosku o uznanie niepoczytalności oskarżonej, muszę mieć stuprocentową pewność, że Katie Fisher nie robi mnie w konia. Ta dziewczyna nie zachowuje się jak wariatka, wręcz przeciwnie, funkcjonuje zupełnie normalnie.

- A jak pani może twierdzić, że mnie pani nie osądza? - odparowała Katie.

Zaskoczyła mnie tym. Jakbym dostała prosto w twarz. Ja, adwokat doskonały, zawodowiec mogący się pochwalić listą wygranych spraw długą na łokieć i równie imponującym spisem referencji, popełniłam pierwszy kardynalny błąd: w myślach skazałam własną klientkę jeszcze przed rozpoczęciem uczciwego procesu, do którego ma ona gwarantowane prawo. Uczciwego procesu, w którym to ja mam ją reprezentować. Dziewczyna skłamała, upierając się, że nie urodziła dziecka, a ja nie mogłam tego przeskoczyć i założyłam, że to nie było jej jedyne kłamstwo, tym samym upodabniając się sposobem myślenia do oskarżyciela, choć jestem przecież obrońcą.

Bez zmruczenia oka broniłam gwałcicieli, morderców i pedofilów.

Różnica polega na tym, że moja obecna klientka zabiła własne nowonarodzone dziecko, a ja, ponieważ coś takiego po prostu nie mieści mi się w głowie, chciałam, żeby skończyła w więzieniu.

Zamknęłam oczy. Rzekomo, rzekomo zabiła, upomniałam się.

- Może nie potrafisz sobie przypomnieć, co się stało? - zapytałam, celowo łagodząc ton głosu.

Katie uniosła na mnie oczy, okrągłe i błękitne jak ocean.

- W czwartek wieczorem położyłam się spać. Wstałam w piątek rano i zesłam na dół, żeby zrobić śniadanie. To wszystko. Nic więcej się nie stało.

- Nie przypominasz sobie, żebyś zaczęła rodzić. Nie przypominasz sobie, żebyś poszła do obory.

- Nie.

- Czy ktoś widział, że przespałaś całą noc?

- Nie wiem. Spałam i nikogo nie widziałam.

Z głębokim westchnieniem zabębniłam dłońmi po materacu, na którym siedziałam.

- A ta osoba, która śpi tutaj? Nie mogłaby tego potwierdzić?

Cały kolor odpłynął z twarzy Katie; wyglądało na to, że to jedno pytanie zrobiło jej większą przykrość niż wszystkie inne razem wzięte.

- Tutaj nikt nie śpi.

- Nie przypominasz sobie, żebyś czuła, jak wydajesz na świat dziecko - ciągnęłam głosem głuchym od dławiącej frustracji. - Nie przypominasz sobie, żebyś je przytuliła do piersi, a potem zawinęła w tę zieloną koszulę.

Katie nagle zaczęła wodzić wzrokiem za moimi rękami. Podążyłam za jej spojrzeniem. Trzymałam obie ręce uniesione w taki sposób, jakbym tuliła do siebie małe dziecko.

Katie patrzyła na mnie przez długą chwilę.

- Ma pani dzieci?

- Rozmawiamy o tobie, a nie o mnie - przypominałam jej, ale wystarczyło mi jeden raz spojrzeć jej w oczy. Ona wiedziała, że ja też nie mówię prawdy.

Na ścianach wisiały dwa wieszaki na ubrania, ale w pokoju nie było żadnej szafy. Sukienki Katie zajmowały jeden wieszak, składający się z deski z trzema kołkami; drugi, taki sam, ale pusty, znajdował się na przeciwległej ścianie. Moja walizka, wypchana po brzegi dzinsami, bluzeczkami i letnimi sukienkami na ramiączkach, leżała otwarta na łóżku. Po chwili namysłu wyjęłam jedną sukienkę, powiesiłam ją na kołku i z powrotem zamknęłam walizkę na suwak.

Kiedy wsuwałam ją za fotel na biegunach stojący w rogu, rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - odpowiedziałam.

Do pokoju weszła Sara Fisher, niosąc stos ręczników, zza którego ledwo było widać jej twarz. Położyła je na komodzie.

- Czy ma pani wszystko, czego potrzeba?

- Tak, dziękuję. Katie mnie oprowadziła. Sara skinęła mi sztywno głową.

- Kolacja jest o szóstej - poinformowała i odwróciwszy się do mnie plecami, ruszyła do drzwi.

- Pani Fisher! - zawołałam za nią odruchowo, zanim zdążyłam się powstrzymać. - Wiem, że jest pani ciężko.

Matka Katie przystanąła na progu, opierając się jedną ręką o framugę.

- Mam na imię Sara.

- Dobrze. Zatem, Saro - uśmiechnęłam się, co prawda wymuszenie, ale przynajmniej jedna z nas się starała - jeśli chcesz mnie zapytać o cokolwiek, co ma związek z procesem twojej córki, to proszę, nie krępuj się.

- Mam jedno pytanie. - Spojrzała na mnie, krzyżując ręce na pierśsiach. - Czy jesteś pewna swej wiary?

- Czy co jestem?

- Jesteś anglikanką? Katoliczką?

Potrząsnęłam głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- Co ma wspólnego moje wyznanie z tym, że bronię Katie w sądzie?

- Wielu ludzi tutaj do nas przyjeżdża. Wydaje im się, że chcą żyć naszym prostym życiem. Upatrują w tym rozwiązania wszystkich swoich problemów - parsknęła Sara kpiącym tonem.

- Ja nie przyjechałam tutaj, żeby żyć jak amisy - odparowałam, zszokowana jej zuchwałością. - Jeśli mam być szczerą, moja noga nigdy by tutaj nie powstała, gdyby nie fakt, że dzięki mnie twoja córka nie siedzi w więzieniu.

Stałyśmy tak, patrząc sobie w oczy. Rozmowa utknęła w martwym punkcie. W końcu Sara odwróciła się, wzięła kołdrę, która leżała w nogach jednego z łóżek, rozłożyła ją i zaczęła składać z powrotem.

- Skoro nie jesteś anglikanką ani katoliczką, to w co wierzysz?

Wzruszyłam ramionami.

- W nic.

Sara zamarła, przyciskając kołdrę do piersi, zdumiona moją odpowiedzią. Milczała, ale słowa nie były potrzebne. Wiedziałam, co ona myśli: niby dlaczego mnie się wydaje, że to Katie potrzebuje pomocy?

Po tej konfrontacji z Sarą przebrałam się w szorty i koszulkę z krótkim rękawem. Niedługo potem na górę przyszła Katie; chciała się położyć i odpocząć. Z miejsca się zorientowałam, że jest to w tym domu wydarzenie bez precedensu. Żeby mogła pobyć sama, wybrałam się na spacer. Po drodze przystanąłam w kuchni i poinformowałam Sarę, która już zabrała się do przygotowywania kolacji, że idę obejrzeć farmę i okolicę.

Nie sądzę, żeby dotarło do niej choć jedno moje słowo. Stała jak wryta i wodziła tylko wzrokiem po moich rękach i łydkach, jakbym była gołą. Coś mi mówiło, że tak właśnie mnie widzi. W końcu splonęła rumieńcem i odwróciła się, jak pchnięta sprężyną, z powrotem do kuchennego blatu.

- Tak, tak - bąknęła. - Idź, idź.

Obeszłam grządkę z malinami, która zaczynała się za silosem z paszą i ciągnęła dalej, w stronę pól. Pozwoliłam sobie zajrzeć do obory, gdzie zobaczyłam krowy stojące na łańcuchach przy do jarkach, patrzące na mnie leniwym wzrokiem. Ostrożnie przesunęłam palcem po lśniącej taśmie policyjnej zabezpieczającej miejsce przestępstwa, rozglądając się w poszukiwaniu wskazówek. Po wyjściu z obory włóczyłam się tu i ówdzie, aż wreszcie trafiłam nad strumień i tam już zostałam.

Kiedy w dzieciństwie przyjeżdżałam do ciotki Ledy i wuja Franka, nad ich strumykiem potrafiłam tkwić godzinami. Leżałam na brzuchu, obserwując, jak wodne insekty ślizgają się po powierzchni nurtu, a ważki plotkują w najlepsze, wisząc nieruchomo w powietrzu. Zanurzałam jeden palec i przyglądałam się, jak woda rozdziela się na dwie strużki, żeby go ominąć, a dalej zlać znów gładko w jedną całość. Czas rozciągał się, jakby był z gumy; wydawało mi się, że niedawno tutaj przyszłam; aż nagle zapadał zmierzch.

Strumień na farmie Fisherów był węższy niż ten, który oglądałam co roku, dorastając. W gorze jego biegu znajdował się próg z mikroskopijnym wodospadem. Dno w tym miejscu było zasłane tak grubą warstwą plechy i żdzbeł siana, że aż grząskie - widomy znak, że tu bawiły się dzieci Fisherów. Na drugim końcu, w dole biegu, strumień rozlewał się, tworząc naturalny staw ocieniony konarami wierzb i dębów.

Wzięłam w palce rozwidloną gałązkę i uniosłam ją ponad nurtem, jakby za pomocą różdżki można było znaleźć źródło pomysłów na poprowadzenie obrony mojej klientki. Cóż, nawet gdybym na nic nie wpadła, zawsze mogę próbować dowieść, że Katie jest lunaticzką - w końcu sama mi się przyznała, że nie pamięta, co się działo od momentu, gdy zasnęła, do momentu, gdy się obudziła.

Była to modna i w ostatnich latach całkiem skuteczna strategia, a sprawa, w którą się wplątałam, zapowiadała się na sporą sensację, więc całkiem możliwe, że nie pozostanie mi nic lepszego.

Poza próbą dowiedzenia lunatyizmu istniały dwie możliwości: albo Katie to zrobiła, albo tego nie zrobiła. Chociaż prokurator nie ujawnił jeszcze niczego, trzeba założyć, że nie oskarżyłby jej, gdyby nie dysponował dowodami winy. W takim razie do mnie należało ustalenie, czy popełniając zabójstwo, Katie była w pełni władz umysłowych. Jeżeli nie, mogłabym próbować powołać się na brak poczytalności - ale w Pensylwanii taka sztuczka rzadko kiedy się udaje. Trudno w ten sposób doprowadzić do uniewinnienia oskarżonego.

Westchnęłam. Łatwiej by mi było wykazać, że dziecko samo umarło.

Rzuciłam gałązkę na ziemię i zaczęłam się zastanawiać. Prokurator może powoływać na świadków dowolną liczbę lekarzy sądowych, którzy będą dowodzić, że noworodek został zamordowany, a ja znajdę dla nich konkurencję pod postacią ekspertów, którzy powiedzą, że umarł z zimna, że urodził się za wcześnie - medycyna zna tysiące przyczyn śmierci w takiej sytuacji. Można będzie wykazać, że do tragedii doszło nie dlatego, że Katie działała z rozmysłem, ale ponieważ jako osoba niedoświadczona nie zaopiekowała się noworodkiem jak należy. Nieumyślne spowodowanie śmierci dziecka - chyba nawet ja potrafiłabym wybaczyć coś takiego.

Poklepałam się po kieszeniach i zaklęłam pod nosem. Nie przewidziałam, że mogę potrzebować kawałka papieru i czegoś do pisania. Najpierw muszę znaleźć patologa i sprawdzić wiarygodność raportu lekarza sądowego. Może nawet powołam na świadka obrony jakiegoś dobrego położnika - miałam przy ostatnim procesie jednego czarodzieja, dokonał cudów dla mojego klienta. I ostatnia rzecz: podczas składania zeznań Katie będzie musiała zaprezentować adekwatnie sugestywny żal z powodu tej przypadkowej tragedii.

Rzecz jasna, najpierw będzie musiała się przyznać, że to ona.

Jęknęłam, odwracając się na plecy. Słońce zaświeciło mi prosto w oczy i musiałam zamknąć powieki. A może po prostu poczekam, aż prokurator ujawni swoje dowody i wtedy zadecyduję, jak mam sobie radzić?

Nagle dobiegł mnie lekki szelest i urywek jakiejś piosenki, niesiony wiatrem. Wstałam, marszcząc brwi i ruszyłam wzdłuż strumienia, który w tym miejscu zakręcał. Głos dochodził mniej więcej znad stawu. Podeszłam bliżej, mijając zakręt.

- Kto tu jest? - zawołałam.

Jakiś czarny kształt mignął mi przed oczami, niknąc momentalnie w zagonie kukurydzy, który sięgał aż nad samą wodę. Nie zdążyłam zobaczyć, kto to był. Podbiegłam bliżej, na skraj pola, rozgarnęłam rękami łodygi, liście i kolby, mając jeszcze nadzieję dostrzec winowajcę, ale spłoszyłam tylko stadko polnych myszy, które przebiegły po moich tenisówkach, kryjąc się wśród pałek wodnych porastających brzeg stawu.

Wzruszyłam ramionami. W końcu i tak nie szukałam tutaj towarzystwa. Już się zbierałam, żeby wrócić do domu, gdy nagle zauważyłam wiązkę polnych kwiatów, mały, zgrabny bukietik leżący na północnym skraju stawu, tuż za kręgiem cienia rzucanego przez smukłe konary rosnącej tam wierzby. Przykłękałam obok, muskając palcami płatki trybuli, obuwnika, rudbekii. Ciekawe, dla kogo te kwiaty, pomyślałam, próbując przebić wzrokiem zagon kukurydzy.

- Mieszkaś pod naszym dachem - Sara wręczyła mi miskę pełną niełuskanego grochu - więc będziesz pomagać.

Rzuciłam na nią krzywe spojrzenie, połykając ciętą odpowiedź, że przecież chyba samą swoją obecnością pomagam; dzięki mojemu poświęceniu Katie może teraz siedzieć w tej kuchni, nad taką samą miską z grochem, który łuskała zresztą z niebywałym zapałem. Poobserwowałam ją przez chwilę, a potem wzięłam jeden strąk i wbiłam w niego kciuk. Otworzył się bez trudu, równiutko, tak samo jak w rękach Katie.

- Neh... Englische Leit... Lus mich gay! - dobiegł nas zza okna głos Aarona Fishera, cichy, ale stanowczy. Sara wytarła ręce o fartuch i wyjrzała na podwórze. To, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersiach; wybiegła z kuchni tak jak stała.

A po chwili rozległy się głosy mówiące po angielsku.

- Nie ruszaj się stąd - z miejsca rozkazałam Katie, a sama wyszłam na dwór. Zobaczyłam Aarona i Sarę, zasłaniających twarze dłońmi przed wycelowanymi w nich obiektywami kamer. Naprzeciwko kłębił się tłumek dziennikarzy i kamerzystów, którzy wybrali sobie ten moment, aby najechać ich dom. Jeden wóz transmisyjny beczelnie zaparkował tuż obok bryczki Fisherów. W powietrzu krzyżowały się dziesiątki pytań o wszystko: poczynając od tego, czy Katie naprawdę była w ciąży, kończąc na płci zmarłego noworodka.

Uśpiły mnie sielankowa cisza i spokój panujące na tej farmie; udało mi się zapomnieć, że taka sensacja jak oskarżenie nastoletniej córki amiszów o zabójstwo pierwszego stopnia musi natychmiast przeniknąć do mediów.

Nagle zabłysło mi w głowie wakacyjne wspomnienie. Któregoś lata przyjechałam do ciotki Ledy z aparatem, bo właśnie zamarzyło mi się, że zostanę fotografką. Szłyśmy sobie dokądś razem, kiedy zobaczyłam amiszka jadącego bryczką. Natychmiast wycelowałam w nic nie podejrzewającego brodacza obiektyw swojego kodaka, ale ciotka zasłoniła go dłonią, tłumacząc mi, że amiszki poważnie traktują biblijny zakaz czynienia wizerunków i dlatego nie lubią, jak się ich fotografuje.

- No to co? - powiedziałam wtedy, urażona. - I tak mogę zrobić zdjęcie.

Ku mojemu zaskoczeniu, Leda skinęła potakująco głową - i miała przy tym tak smutną minę, że schowałam aparat z powrotem do futerału.

Aaron umilkł. Nie prosił już dziennikarzy, żeby sobie poszli. Spokojny z natury, nie potrafił zrobić sceny, a poza tym bardzo mądrze uznał, że jeśli sam wystawi się na cel, to uda mu się w ten sposób osłonić Katie przed ich wścibstwem. Odchrząknawszy, zbliżyłam się do tego zbiegowiska.

- Proszę mi wybaczyć, ale znajdują się państwo na terenie prywatnym.

Jednemu z reporterów rzucił się w zawodowe oczy jaskrawy kontrast pomiędzy strojami Aarona i Sary a moimi krótkimi spodniami i koszulką.

- A pani to kto?

- Sekretarz prasowy - prychnęłam. - Oznajmiam państwu, że wszyscy jesteście winni wtargnięcia na prywatną posesję, co stanowi wykroczenie trzeciego stopnia, za które grozi kara do jednego roku pozbawienia wolności oraz grzywna w wysokości dwóch tysięcy pięciuset dolarów.

Dziennikarka w dopasowanym różowym kostiumie zmarszczyła czoło, usiłując coś sobie skojarzyć.

- Pani to ta adwokatka! Z Filadelfii!

Przyjrzałam się mikrofonowi w jej dłoni. Tak jak się tego spodziewałam, na kostce widniało logo filadelfijskiej sieci; dziewczyna pracowała zatem w jej lokalnym oddziale.

- W chwili obecnej ani moja klientka, ani jej rodzice nie udzielają żadnych komentarzy - oświadczyłam. - Natomiast w kwestii prowokacyjnego oskarżenia złożonego przez prokuraturę... - Zatoczyłam ręką krąg, z uśmiechem na twarzy wskazując oborę, dom, cichą i senną okolicę. - Cóż, powiem tylko tyle, że farma amiszów to nie jest filadelfijska melina, a tutejsze dziewczęta to nie bandytki. Na pozostałe fakty, obawiam się, musicie państwo poczekać, najlepiej na schodach gmachu sądu. - Obrzuciłam reporterski tłumek chłodnym, wyważonym spojrzeniem. - A

teraz udzielię państwu darmowej porady prawnej - rozsądnie będzie się stąd oddalić.

Oddalili się z ociąganiem, całym stadem, zupełnie jak wilki. Zawsze mi je zresztą przypominali. Poszłam za nimi aż do bramy i stałam tam, dopóki ostatni samochód nie zniknął mi z oczu. Potem wróciłam zwirową drogą biegnącą lekko pod górę, Fisherowie nie ruszyli się z miejsca. Czekali na mnie.

Aaron odezwał się szorstko, wbijając wzrok w ziemię:

- Może przyjdzie pani kiedyś zobaczyć, jak się doi krowy.

Zrozumiałam, że serdeczniej szych wyrazów wdzięczności nie mogę się od niego spodziewać.

- Przyjdę - odrzekłam. - Chętnie.

Sara podała na kolację tyle jedzenia, że starczyłoby tego chyba dla całej wspólnoty amiszów, a nie tylko dla jej niedużej rodziny, nawet z dodatkowym gościem. Na stole łądowała miska za miską: kurczak z kłuskami i jarzynami w sosie, do tego mięso gotowane do takiej miękkości, że rozpadało się przy najlżejszym dotknięciu widelcem; były i przekąski na zaostwienie apetytu, i pieczywo, i pikantne, duszone gruszki. Na środku stołu - niebieski dzban pełen mleka. Ciekawe, pomyślałam, jak to się dzieje, że ci ludzie jedzą trzy takie posiłki dziennie, a nie tyją.

Oprócz tej trójki, którą poznałam, mieszkał z nimi jeszcze jeden starszy mężczyzna, który nie zadał sobie trudu, aby się przedstawić, ale sprawiał wrażenie, że orientuje się dobrze, kim jestem. Sądząc z podobieństwa, był to ojciec Aarona; zdaje się, że zajmował niewielką dobudówkę na tyłach domu. Kiedy zasiedliśmy do stołu, pochylił głowę, wywołując natychmiastową, dziwaczną reakcję kinetyczną, bo cała reszta zrobiła to samo i zaczęła się cicho modlić nad jedzeniem. Zrobiło mi się dziwnie; nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni modliłam się przed posiłkiem. Poczektałam, lekko spięta, aż podniosą opuszczone głowy i sięgną po miski. Katie wzięła dzban z mlekiem i napełniła swoją szklankę, po czym podała dalej, w prawo, czyli do mnie.

Prawdę mówiąc, nigdy nie przepadałam za mlekiem, ale zdawałam sobie sprawę, że nie byłoby najmądrzej przyznawać się do tego na farmie mleczarskiej. Nalałam sobie trochę i podałam dzban Aaronowi Fisherowi.

Cała rodzina rozmawiała przy stole po swojemu, śmiejąc się w najlepsze i biorąc dokładki, kiedy talerze robiły się puste. W końcu Aaron przeciągnął się na krześle i beknął sobie od serca. Wytrzeszczyłam oczy, zszokowana takim faux pas, ale jego żona rozpromieniła się tylko, jakby

właśnie usłyszała wyrazy najwyższego uznania.

Oczyrna duszy zobaczyłam długi ciąg posiłków takich jak ten, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i siebie - codziennie w roli obcej osoby przy stole. Nagle Aaron coś powiedział. Dopiero po chwili zorientowałam się, że mówi do mnie. Cały czas w Pennsylvania Dutch. Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Pickle? - zapytałam po angielsku, starannie wymawiając głoski. - Mam panu podać?

Zadarł podbródek, minimalnie.

- Ja - odpowiedział.

Położyłam obie dłonie na stole.

- Byłabym wdzięczna, gdyby w przyszłości zechciał pan zadawać mi pytania w moim własnym języku, panie Fisher.

- U nas przy stole nie mówi się po angielsku - wtrąciła Katie.

Odpowiedziałam jej, nie zdejmując wzroku z twarzy jej ojca:

- Trzeba będzie zacząć.

O dziewiątej wieczorem myślałam, że zacznę chodzić po ścianach. Nie mogłam nawet skoczyć do wypożyczalni po jakiś film, a choćbym i mogła, to przecież w tym domu nie było telewizora, nie mówiąc już o magnetowidzie. Książek, co prawda, była cała półka, ale wszystkie po niemiecku - elementarz, jakieś „Zwierciadło męczennika” i sto innych tytułów, których nie umiałam nawet wymówić jak należy. Znalazłam wreszcie gazetę po angielsku - nosiła tytuł Die Botschaft - i zagłębiłam się w sprawozdaniach z końskich targów i tegorocznych omłotów zboża.

W pewnym momencie, jakby wezwana bezdźwięcznym biciem dzwonu, cała rodzina zebrała się w pokoju. Przychodzili jedno po drugim i siadali, pochylając głowy. Aaron Fisher popatrzył na mnie pytającym wzrokiem. Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, otworzył niemiecką Biblię i zaczął czytać na głos.

Nigdy nie byłam przesadnie religijna, więc w tej rodzinie, całkiem dosłownie żyjącej Słowem Bożym, poczułam się rzucona na głęboką wodę. Odetchnęłam głęboko i spojrzałam na swoją gazetę, nie koncentrując wzroku. Litery zaczęły pływać mi przed oczami, a ja ze wszystkich sił starałam się oprzeć wrażeniu, że jestem poganką.

Nie upłynęły dwie minuty, kiedy Katie wstała z krzesła i podeszła do mnie.

- Idę już spać - oznajmiła. Odłożyłam gazetę.

- To ja też pójdę.

Kiedy wyszłam z łazienki przebrana w jedwabną piżamę, Katie, w długiej białej koszuli nocnej, siedziała na swoim łóżku i czesała sobie włosy. Rozpuszczone, sięgały jej niemalże do pasa, falując łagodnie za każdym pociągnięciem szczotki. Usiadłam po turecku na swoim łóżku i zapatrzyłam się na nią, opierając podbródek na dłoni.

- Kiedyś mama mnie czesała - przerwałam po chwili ciszę.

- Naprawdę? - Katie zerknęła na mnie.

- Naprawdę. Codziennie wieczorem rozdzielanie poplątanych kosmyków. Nie znosiłam tego. - Przejechałam ręką po swojej krótkiej fryzurze. - A to jest moja zemsta.

Katie uśmiechnęła się.

- My nie mamy takiego wyboru. Nie obcinamy włosów.

- Nigdy?

- Nigdy.

Miała naprawdę śliczne włosy, i nie musiała, tak jak ja, codziennie walczyć z supłami na głowie.

- A gdybyś chciała się ostrzyć? - zapytałam.

- Po co? Wyglądałabym inaczej niż wszyscy. - Katie odłożyła szczotkę, co oznaczało ostateczny koniec rozmowy i wśliznęła się pod kołdrę. Wychyliła się jeszcze na chwilę z łóżka, żeby zgasić gazową lampę. Pokój pograżył się w nieprzeniknionej ciemności.

- Ellie?

- Hmm?

- Jak tam jest, gdzie ty mieszkasz?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Głośno. Jest więcej samochodów. Człowiekowi wydaje się, że dzień i noc pod oknem coś jeździ, trąbi, hamuje z piskiem. I jest więcej ludzi. A z drugiej strony trudno tam znaleźć krowę albo kurczaka, nie mówiąc już o słodkiej kukurydzy, chyba, że takiej w puszcze. Ale ja już nie mieszkam w Filadelfii. Przeprowadzam się i na razie nigdzie nie mieszkam.

Myślałam, że zasnęła, bo bardzo długo nic nie mówiła.

- Nieprawda - odezwała się w końcu. - Teraz mieszkasz z nami.

Obudziłam się nagle, myśląc, że znów miałam ten sam koszmar z dziewczynkami ze swojej ostatniej sprawy, ale nie: pościel była równa, wygładzona tak, jak wtedy, gdy się kładłam, a moje serce biło równo i powoli. Spojrzałam na łóżko Katie - puste, kołdra odrzucona. Wstałam natychmiast. Zeszłam boso na dół, zajrzałam do kuchni, potem do salonu; i wtedy usłyszałam delikatne szcęknięcie zamka w drzwiach i ciche kroki na ganku.

Poszła nad staw, tam, gdzie ja byłam w ciągu dnia. Ruszyłam w ślad za nią, nie zdradzając się, trzymając taki dystans, żeby móc widzieć i słyszeć, co robi. Usiadła na małej ławce z kutego żelaza ustawionej pod wielkim dębem i zamknęła oczy.

Znów lunatykuje? A może z kimś się umówiła?

Czy to tutaj Katie i Samuel odbywali swoje schadzki? Czy to tu rozpoczęło się nowe życie?

- Gdzie jesteś? - Dobiegł mnie jej szept. Dwie myśli jednocześnie zaświtały mi w głowie. Po pierwsze, dziewczyna jest zupełnie przytomna, nie może więc spać; po drugie - rozumiem, co ona mówi. - Dlaczego się chowasz przede mną?

Wie, że ją śledziłam. Do kogo innego mówiłaby po angielsku? Wyszłam zza wierzby i stanęłam przed nią.

- Powiem ci, dlaczego się chowam. Ale najpierw ty mi powiedz, po co tutaj przyszłaś.

Katie zerwała się na równe nogi. Jej policzki pociemniały, nabiegłe krwią. Była tak wystraszona, że odruchowo cofnęłam się aż na sam brzeg stawu, mocząc sobie dół spodni od piżamy.

- Niespodzianka - powiedziałam chłodno.

- Ellie! Dlaczego nie jesteś w łóżku?

- To chyba ja powinnam o to spytać ciebie. I jeszcze chyba o to, na kogo tutaj czekasz. Może na Samuela? Chcecie uzgodnić, co będziecie mówić, zanim go zaproszę na pogawędkę?

- Nic nie będziemy uzgadniać...

- Na miłość boską, Katie, przestań kręcić! Urodziłaś dziecko. Oskarżono cię o morderstwo. Ja zgodziłam się ciebie bronić, a ty coś kombinujesz za moimi plecami, wymykasz mi się w środku nocy. Mam w tym o wiele większe doświadczenie od ciebie, więc pozwól, że coś ci powiem: kiedy ktoś wymyka się po nocy, to znaczy, że ma coś do ukrycia. I tak się też dziwnie składa, że kiedy ktoś kłamie, to z zasady tak samo ma coś do ukrycia. Zgadnij, która z nas podpada pod obie te kategorie? - Po policzkach Katie potoczyły się łzy. Zebrałam w sobie całą stanowczość i skrzyżowałam ręce na piersi. - Mów. Czekam.

Potrząsnęła głową.

- Nie umówiłam się z Samuelem.

- Dlaczego mam ci uwierzyć?

- Bo mówię prawdę!

- Jasne - prychnęłam. - Nie umówiłaś się z Samuelem. Wyszłaś zaczerpnąć świeżego powietrza. A może to taki wasz obyczaj, którego jeszcze nie poznałam?

- Nie przyszłam tu spotkać się z Samuelem. - Katie uniosła na mnie wzrok. - Nie mogłam spać.

- Słyszałam, że do kogoś mówisz. Pytałaś go, dlaczego się chowa. Katie pochyliła głowę.

- Ją.

- Słucham?

- Ją. Nie przyszedłam tutaj do chłopaka, tylko do dziewczyny.

- Nieźle pomyślane, ale masz pecha. Jakoś nie widzę tu dziewczyny. Chłopaka co prawda też nie, ale coś mi mówi, że jeśli tu pięć minut poczekam, to zobaczę się z pewnym wysokim blondynem.

- Przyszedłam tu szukać mojej siostry, Hannah. - Katie urwała z wahaniami. - Śpisz w jej łóżku.

Szybko policzyłam w myślach wszystkich znanych mi członków rodziny. Nie widziałam w domu drugiej dziewczyny; trudno też było mi sobie wyobrazić, że Leda nigdy by nie wspomniała, że Katie ma rodzeństwo.

- Dlaczego w takim razie nie było jej na kolacji? Dlaczego nie przyszła na wieczorną modlitwę?

- Bo... Bo nie żyje.

Cofnęłam się jeszcze o krok, łądując już obiema stopami w wodzie.

- Nie żyje - powtórzyłam.

- Ja. - Katie spojrzała mi w oczy. - Utopiła się w tym stawie. Miała siedem lat, a ja jedenaście. Była zima, przyszliśmy tu na łyżwy, a ja miałam jej pilnować, ale lód się pod nią zarwał... - Otarła oczy i nos rękawem koszuli nocnej. - Chciałaś, żebym powiedziała ci wszystko, całą prawdę. Przychodzę tutaj rozmawiać z Hannah. Czasami nawet ją widuję. Nikomu o niej nie mówiłam, bo jakby Mam i Dał się dowiedzieli, że widzę duchy, to by było, że jestem ferhoodled. Ale ona tu jest, Ellie. Przysięgam ci.

- Tak samo przysięgałaś, że nie urodziłaś dziecka - mruknęłam pod nosem.

Katie odwróciła się ode mnie.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz. Nikt mnie nigdy nie rozumiał, tylko...

- Tylko kto?

- Nieważne - odburknęła upartym tonem.

Rozłożyłam ręce.

- No to proszę. Zawołaj ją. Hej, Hannah! - krzyknęłam. - Chodź, pobawimy się! - Odczekałam chwilę dla efektu, potem wzruszyłam ramionami. - Zabawne. Nikogo nie widzę. Kto by pomyślał.

- Nie przyjdzie, kiedy ty tutaj jesteś.

- Wygodne rozwiązanie - skomentowałam.

Katie patrzyła na mnie wojowniczo, oczy jej pociemniały, a z całej sylwetki biło niezachwiane przekonanie.

- Powtarzam ci, że widziałam Hannah po śmierci. Słyszę jej głos, kiedy wieje wiatr. Widzę ją, jak jeździ na łyżwach, tam, na drugim brzegu stawu. Jest prawdziwa jak ja, jak ty.

- Chcesz mi wmówić, że przyszłaś tutaj, bo wierzysz w duchy?

- Wierzę, że Hannah tutaj jest - poprawiła Katie.

Westchnęłam.

- Coś mi się zdaje, że wierzysz w wiele rzeczy, które niekoniecznie muszą być prawdą. Wracaj do łóżka, Katie. - Rzuciłam na odchodnym przez ramię, nie patrząc nawet, czy idzie za mną.

Kiedy usnęła na dobre, wstałam i wyszłam na palcach z pokoju, zabrawszy ze sobą torebkę. Na podwórku wyciągnęłam komórkę. Jak na ironię, w Lancaster County sygnał był całkiem przyzwoity, a to dzięki niektórym co bardziej postępowym amiszom, którzy doszli do porozumienia i zgodzili się, aby na ich ziemi stanęły wieże z nadajnikami sieciowymi - dostawali za to tyle, że nie musieli siać oziminy. Dotknęłam kilku klawiszy i przyłożyłam telefon do ucha, czekając, aż w słuchawce odezwie się znajomy, choć na wpeł przytomny głos.

- Tak?

- Coop, to ja.

Mogłabym przysiąc, że w tej chwili usiadł w łóżku, zrzucając z siebie kołdrę.

- Ellie? Jezu... Ile to już...? Dwa lata? I dzwonisz... Boże, o trzeciej rano?

- Wpół do trzeciej. - Zналиśmy się z Johnem Josephem Cooperem IV od prawie dwudziestu lat. Oboje skończyliśmy Penn State, pensylwański uniwersytet stanowy. Wiedziałam, że będzie marudził, bez względu na porę, ale i tak mi wybaczy. - Posłuchaj mnie. Potrzebuję twojej pomocy.

- Aha. To nie dzwonisz towarzysko? O trzeciej nad ranem?

- Nie uwierzysz, skąd dzwonię. Mieszkam u rodziny amiszów.

- Wiedziałem. Nie mogłaś o mnie zapomnieć, więc rzuciłaś wszystko w diabły i wybrałaś proste życie.

Roześmiałam się.

- Coop. Udało mi się o tobie zapomnieć już dziesięć lat temu, gdzieś tak w okolicach twojego ślubu. Musiałam tutaj zamieszkać, bo takie były warunki zwolnienia za kaucją mojej klientki. Oskarżono ją o zamordowanie noworodka, jej własnego dziecka. Chcę, żebyś dokonał ekspertyzy psychiatrycznej.

Usłyszałam, że powoli odetchnął.

- Ellie, ja nie jestem psychiatrą sądowym, tylko najzupełniej przeciętnym podmiejskim głowologiem.

- Wiem, ale... Co tu dużo mówić, ufam ci. A twoje orzeczenie potrzebne mi poza protokołem, mam pewne przeczucie i muszę je sprawdzić, zanim ostatecznie zadecyduję, jak ją z tego wyciągnąć.

- Ufasz mi?

Wstrzymałam oddech, pozwalając pracować pamięci.

- Mniej więcej. Więcej, jeśli sprawa nie dotyczy mnie osobiście. W jego głosie usłyszałam wahanie.

- Możesz przywieźć ją w poniedziałek?

- Nie bardzo. Jej nie wolno opuszczać farmy.

- To ma być wizyta domowa?!

- Fermowa, jeśli wolisz.

Wyobraziłam sobie, jak zaciska powieki i opada z powrotem na poduszkę. Zgódź się, powtarzałam w myślach.

- Znajdę czas dopiero w środę - odpowiedział wreszcie.

- Może być.

- A pozwolą mi wydoić krowę?

- Sprawdzę, co da się zrobić.

Pomimo dystansu wyczułam, że się uśmiechnął.

- Ellie - oznajmił - umowa stoi.

Rozdział piąty

Aaron wszedł szybkim krokiem do kuchni i usiadł przy stole. Sara, obracając się w doskonale zgranym rytmie, postawiła przed nim kubek kawy.

- Gdzie Katie? - zapytał, marszcząc brwi.
- Jeszcze śpi - odpowiedziała Sara. - Nie chciałam jej budzić.
- Śpi? O tej porze? Przecież jest Gemeesunndaag. Trzeba jechać,

bo się spóźnimy.

Sara wsparła się dłońmi o blat kuchenny, jakby chciała wyrównać jego idealnie gładką plastikową powierzchnię. Wyprostowała plecy, zbierając siły, aby sprzeciwić się mężowi, na co pozwalała sobie tak niesłychanie rzadko, że wszystkie poprzednie razy mogłaby policzyć na palcach jednej ręki.

- Katie chyba nie powinna dzisiaj iść do kościoła - powiedziała.

Aaron postawił kubek na stole.

- Oczywiście, że pójdzie.
- Aaronie, ona jest grenklich. Widziałeś, jak wczoraj wyglądała, przez cały dzień.

- Nie, nie jest chora.

Sara opadła na krzesło po przeciwnej stronie stołu.

- Ludzie już wiedzą o tym dziecku. I o Angielce.
- Biskup słyszał, co Katie ma do powiedzenia i jej wierzy. Jeśli zdecyduje, że Katie powinna się wypowiedzieć, to najpierw przyjdzie z nią porozmawiać.

Sara przygryzła wargę.

- Ephram usłyszał od Katie, że nie zabiła tego dziecka i że to w ogóle nie było jej własne. Uwierzył w to pierwsze, ale czy wierzy w drugie? - Aaron nie odpowiedział. Sara sięgnęła przez stół i dotknęła jego ręki. - A ty?

Przez chwilę milczał.

- Widziałem to dziecko, Saro. Dotykałem go. Nie wiem, skąd się tam wzięło. - Krzywiąc się, dodał: - Ale wiem, że Katie i Samuel nie byłiby pierwszą parą, która nie czekała, aż połączy ich przysięga małżeńska.

Sara potrząsnęła głową, mruganiem powstrzymując łzy.

- Na pewno czeka ją Meidung, czuję to - powiedziała. - Nawet jeśli wyzna wszystko i wyrazi skruchę, to na jakiś czas otrzyma bann.

- Tak, ale potem wszyscy jej przebaczą i z radością powitają z powrotem.

- Czasami - Sara zacisnęła wargi - wcale nie musi tak być.

Wspomnienie Jacoba, ich najstarszego syna, nagle błysnęło pomiędzy nimi płomieniem tak jasnym, że Aaron aż cofnął się z krzesłem. Sara nie wypowiedziała imienia pierworodnego, ale przywołała jego ducha w domu, gdzie od lat uważano go za zmarłego. Wystraszona, uciekła wzrokiem. Tym większe było jej zdziwienie, kiedy usłyszała odpowiedź męża, wypowiedzianą cichym, łamiącym się głosem:

- Jeśli Katie zostanie dzisiaj w domu - szepnął Aaron – jeśli będzie symulować chorobę i nie pokaże się ludziom na oczy, zaczną gadać. Pomyśl, że nie wychyla nosa z domu, bo ma coś do ukrycia. Lepiej będzie dla niej, jeśli zachowa się tak, jak każdej normalnej niedzieli.

Sara skinęła głową, czując bezbrzeżną ulgę, ale słysząc dalsze, równie ciche słowa Aarona, zmartwiła.

- Ale jeśli kościół nałoży na nią bann, ja stanę najpierw po stronie swojego kościoła, bo on ma pierwszeństwo przed moim dzieckiem.

Kilka minut przed ósmą Aaron zaprzął konia do bryczki. Katie wspięła się na tylne siedzenie, a żona zajęła miejsce obok niego na koźle. Ujął lejce w dłonie i w tej chwili na podwórze wybiegła Angielka.

Wyglądała jak nieboskie stworzenie. Kępki potarganych krótkich włosów sterczały na wszystkie strony, a na policzku czerwieńiał odcisnięty ślad po poduszce. Tyle dobrego, pomyślał Aaron, że włożyła długą bawełnianą sukienkę, a nie to, co wczoraj po południu, tę bluzkę i te spodnie, w których wszystko było widać.

- Hej! - krzyknęła szaleńczo adwokatka, wymachując rękami, żeby nie pozwolić im odjechać. - A wy dokąd?

- Do kościoła - odparł Aaron obojętnym tonem.

Ellie skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie wolno. To znaczy, wam wolno, proszę, jedźcie. Wasza córka zostaje.

- Moja córka pojedzie do kościoła, tak jak co niedzielę, od samego urodzenia.

- Katie wyszła z aresztu za kaucją pod warunkiem, że pozostanie pod moją ciągłą opieką. Tak zdecydowały władze stanu Pensylwania. Nigdzie się stąd nie ruszy beze mnie.

Aaron spojrział na żonę i wzruszył ramionami.

Jak się okazało, największym spośród wielu błędnych wyobrażeń, które Ellie miała na temat bryczek amiszów, było to, że niewygodnie nimi jeździć. Miarowy chód konia rozkosznie kołysał całym pojazdem, działając usypiająco na zmysły, a przeciąg wionący przez otwarty przód i tylne okno łagodził lipcowy skwar. Mijające ich samochody z turystami najpierw czaiły się za bryczką, wyczekując odpowiedniego momentu, żeby zgrzytnąć biegiem i z ryczącym silnikiem wyrwać do przodu.

Koń truchtał z prędkością nie większą niż dwadzieścia kilometrów na godzinę, czyli na tyle wolno, aby Ellie mogła policzyć krowy na mijanym pastwisku albo przypatrzeć się trybuli, bujnie porastającej pobocze. Widoki roztaczały się za oknem, zamiast rozmazywać w pędzie. Ellie, której większość życia upłynęła w pośpiechu, nie posiadała się ze zdumienia.

Wypatrywała kościoła i była bardzo zaskoczona, kiedy Aaron skęcił na drogę wiodącą do prywatnego gospodarstwa. Ni stąd, ni zowąd dołączyli do długiej, posępnej procesji konnych powozów. Na końcu drogi nie było świątyni, dzwonnicy, strzelistej wieży - tylko stodoła i zwykły wiejski dom. Aaron zatrzymał bryczkę. Sara zsiadła z kozła. Katie trąciła Ellie ramieniem.

- Idziemy - szepnęła.

Adwokatka wysiadła niezgrabnie z pojazdu i wyprostowała się, stanąwszy na ziemi.

Dookoła, jak okiem sięgnąć, było dobrze ponad setkę amiszów; jedno po drugim wyskakiwali z bryczek, chodzili w tę i z powrotem po podwórzu, witali się i cicho rozmawiali. Dzieci uganiały się dookoła matczynych spódnic i ojcowskich nóg. Podciągnięty wóz z sianem stał się tymczasowym żłobem dla tych wszystkich koni, które przywiozły rodziny amiszów do kościoła. Kiedy pojawiła się Ellie, natychmiast w jej stronę pomknęły zaciekawione spojrzenia, zaczęły się szepty, chichoty, pokazywanie palcami.

Tylko jeden raz w życiu czuła się tak jak teraz: dawno temu, w Afryce, dokąd wyjechała jeszcze na studiach, aby budować wioskę w

ramach projektu uczelnianego. Nigdy wcześniej i nigdy później nie miała wyraźniejszej świadomości wszystkich różnic dzielących ją od innych ludzi.

Nagle drgnęła, czując, jak ktoś wsuwa jej dłoń pod ramię.

- Chodź. - Katie pociągnęła ją na drugi koniec podwórza jakby nigdy nic, jakby codziennie jakiś Engländer towarzyszył jej na spacerze.

Zatrzymała się na widok wysokiego mężczyzny o białej, krzaczastej brodzie i przenikliwym jastrzębim spojrzeniu.

- Witaj, Katie - pozdrowił, ściskając ręce dziewczyny.

- Witajcie, biskupie. - Ellie, stojąca blisko, dostrzegła, że Katie drży na całym ciele.

- Domyślam się, że pani jest adwokatem. - Biskup Ephram przeszedł na angielski i uniósł głos na tyle, żeby usłyszeli go wszyscy ciekawscy, bez ustanku strzygący uszami. - To dzięki pani Katie do nas wróciła. - Wyciągnął rękę. - Wilkom.

I oddalił się w kierunku stodoły, gdzie zaczęli zbierać się mężczyźni.

- Jak to dobrze, że to zrobił! - szepnęła Katie. - Ludzie nie będą myśleć o tobie na nabożeństwie.

- A gdzie to się odbędzie? - Ellie wciąż nie mogła zrozumieć. - Pod gołym niebem?

- W domu. Każdej niedzieli inna rodzina urządza nabożeństwo.

Ellie obrzuciła sceptycznym spojrzeniem niewielki dom o szalowanych ścianach.

- Ci wszyscy ludzie mają się tam pomieścić? Nigdy w życiu.

Zanim Katie zdążyła odpowiedzieć, podeszły do nich dwie dziewczyny, złapały ją za ręce i zasypały natarchywymi pytaniami; zdążyły już usłyszeć plotki. Katie potrząsnęła głową i zaczęła je uspokajać. Po chwili dostrzegła, że Ellie stoi kilka kroków dalej i najwyraźniej czuje się nie na miejscu.

- Chcę wam kogoś przedstawić - powiedziała. - Poznajcie się: Mary Esch, Rebeka Lapp, a to jest Ellie Hathaway, moja... - Urwała, nie wiedząc, co powiedzieć.

Ellie uśmiechnęła się cierpko, słysząc jej wahanie.

- Jej adwokat - odpowiedziała. - Bardzo mi miło.

- Adwokat? - sapnęła Rebeka, jakby zamiast nazwy zawodu usłyszała jakieś brzydkie słowo. - A po co jest adwokat?

Kobiety zaczęły ustawiać się luźnym rzędem i jedna po drugiej zniknąć za drzwiami. Na początku szły młode niezamężne dziewczęta; widok Ellie towarzyszącej jednej z nich był dla zgromadzenia nieco szokujący.

- Nie wiedzą, co z tobą zrobić - wyjaśniła Katie. - Jesteś gościem,

więc powinnaś iść z tym, kto cię przyprowadził, ale z drugiej strony, nie jesteś ochrzczona.

- Zaraz będzie po kłopotcie - oznajmiła Ellie, wsuwając się śmiało pomiędzy Katie a Rebekę. - No i już. Proszę.

Jedna ze starszych kobiet, niezadowolona, że ktoś spoza wspólnoty idzie na samym początku, pogroziła jej palcem.

- Spokojnie - mruknęła Ellie. - Zasady są po to, żeby je łamać.

- Tutaj jest inaczej - powiedziała Katie, mierząc ją poważnym spojrzeniem.

Katie nigdy tak naprawdę nie rozumiała, w jaki sposób diabeł kusi ludzi, dopóki nie zaczęła regularnie odwiedzać Jacoba na studiach. Praca Lucyfera wydała się jej najprostsza pod słońcem - skoro ma się w rękę takie narzędzia, jak na przykład discman albo lewisy 501... Nie uważała bynajmniej, że jej brat stoczył się w otchłań grzechu - po prostu nagle dotarło do niej, jak to możliwe, że jeden archanioł spadający z nieba może bez wielkiego trudu chwycić i pociągnąć za sobą następnego, a ten następnego i tak dalej.

Podczas jednej z wizyt u brata, kiedy miała piętnaście lat, Jacob powiedział, że ma dla niej niespodziankę. Tym razem już na dworcu wręczył jej ubranie na zmianę i poczekał, aż przebierze się w toalecie. Potem poszli na parking, ale nie było tam jego samochodu, tylko duży kombi pełen studentów.

- Ej, Jake! - krzyknął jeden z nich, opuszczając okno. - Miałeś przyprowadzić siostrę, a ty paradujesz z jakąś laską!

Katie odruchowo spojrzała na brata. Szedł przecież prosto, nie utykał ani nic... Jacob odpowiedział znajomemu, przerywając potok jej myśli.

- Ona ma piętnaście lat - poinformował go stanowczym tonem.

- O, to grozi za nią paragraf! - zawołała dziewczyna siedząca obok tamtego chłopaka, odciągając go od okna i całując prosto w usta.

Katie stanęła z wytrzeszczonymi oczami. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała z tak bliska, jak dwoje ludzi się całuje, i to publicznie; Jacob musiał ją pociągnąć za rękę, żeby się wreszcie ruszyła. Wsiadł pierwszy do samochodu i zrobił miejsce dla siostry, odpychając tych w środku, a potem, kiedy dołączyła, wyrzucił z siebie serię obcych imion. Próbowwała je zapamiętać, ale wlatywały jej jednym uchem, a wylatywały drugim. Wreszcie samochód ruszył, pulsując ciężko w rytm jakiejś piosenki Stonesów, rozhuśtany poczynaniami parki siedzącej w tyle.

Po jakimś czasie zajechali na kolejny parking. Katie zobaczyła wysoką górę, a u jej podnóża - ośrodek narciarski.

- Zdziwiona? - zapytał Jacob. - No, co ty na to?

Katie przełknęła ślinę.

- Co ja na to? Że nie wiem, co Mam i Dat powiedzą, jak wrócę ze złamaną nogą. Jak im się z tego wytłumaczę.

- Niczego sobie nie złamiesz. Nauczę cię.

I faktycznie ją uczył - mniej więcej przez dziesięć minut. Potem zostawił siostrę na stoku z grupką siedmiolatków trenujących pod okiem instruktora i sam poleciał z tymi swoimi kumplami ze studiów na sam szczyt góry. Katie raz za razem zjeżdżała pługiem po łagodnym zboczach, a na dole czekała w kolejce do wyciągu orczykowego, wypatrując Jacoba, osłoniwszy dłonią oczy. Ale brat gdzieś zniknął. Cały ten świat był dla niej obcy: biały, śliski i usiany jak papier kropkami ludźmi, którzy omijali ją szerokim łukiem. Tak właśnie sobie wyobrażała życie kogoś, kto otrzyma bezterminowy bann i nagle zostanie sam jak palec, utraciwszy wszystkich, na których mu zależy.

Podniosła głowę, przyglądając się wyciągowi krzeselkowemu. Można wtedy, oczywiście, jeśli ktoś potrafi, zrobić to samo co Jacob: zmienić się w kogoś zupełnie innego. Katie nie miała pojęcia, w jaki sposób udało mu się przeprowadzić tę przemianę tak gładko, jakby nigdy nie mieszkał gdzie indziej niż teraz i nie znał innego życia niż to obecne.

Jakby tylko to nowe życie się dla niego liczyło.

Zalał ją nagły, palący gniew; to ona i mama tak się starają, noszą go w sercu - a on sobie w najlepsze popija piwo i śmiga po śniegu. Odpięła wypożyczone narty i pomaszzerowała z powrotem do ośrodka, zostawiając je na stoku.

Siedziała tam nie wiadomo jak długo i wyglądała przez okno. Zanim znalazł ją Jacob, słońce z całą pewnością wisiło już niżej. Wpadł do środka, ściskając w rękach jej narty.

- Himmel, Katie! - krzyknął na nią, z nerwów używając Dietsch, ich ojczystej niemieckiej mowy. - Nie wolno zostawiać nart byle gdzie. Wiesz, ile trzeba zapłacić, jak się je zgubi?

Powoli, Katie odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nie, nie wiem. Nie wiem też, ile się płaci za wypożyczenie. I w ogóle, jeżeli już o tym mowa, to nie mam również pojęcia, ile kosztuje skrzynka piwa, a już z całą pewnością nie potrafię powiedzieć, po co w ogóle jechałam tu do ciebie taki szmat drogi!

Wstała i ruszyła do wyjścia, ale narciarskie buty były dla niej za duże i za ciężkie, więc dogonił ją po kilku krokach.

- Masz rację - powiedział cicho. - Z nimi spotykam się codziennie. To ciebie nigdy nie widuję.

Katie usiadła na ławce przy stojącym nieopodal stole ogrodowym i oparła podbródek na pięściach.

- Po co mnie tutaj zabrałeś?

- Chciałem ci coś pokazać. - Katie opuściła wzrok. Widząc to, Jacob wyciągnął do niej rękę. - Spróbuj jeszcze raz. Ze mną. Pojedziemy wyciągiem, krzeselkowym.

- O, nie.

- Będziemy razem, obiecuję.

Pozwoliła wyprowadzić się na zewnątrz, przypiąć sobie z powrotem narty i zaciągnąć do kolejki czekających na wyciąg. Żartował sobie, przekomarzał się z nią i w ogóle był w każdym calu sobą, tym samym bratem, którego miała w pamięci. Zaczęła się zastanawiać, która z jego twarzy jest prawdziwa, a która to tylko czyste udawanie. A potem wyciąg porwał ich ponad wierzchołki najwyższych drzew, skąd widać było drogi prowadzące do stoku, a nawet najbliższe budynki uniwersytetu.

- Piękne - wyszeptła Katie.

- To właśnie chciałem ci pokazać - powiedział cicho Jacob. - Że Paradise to tylko maleńka kropka na mapie.

Nie odpowiedziała. Jacob pomógł jej wysiąść, a potem pokazał, co dalej. Słuchając jego wskazówek, powoli zjechała, ale nie mogła przestać myśleć o tym rozległym widoku rozciągającym się z góry. Trudno jej też było oprzeć się wrażeniu, że czułaby się o wiele bezpieczniej, gdyby mogła znów stanąć na samym dole, nie widząc niczego, jakby była zupełnie ślepa.

Gdyby to był zwykły niedzielny poranek, pomyślała Ellie, czytalibyśmy ze Stephenem „New York Timesa” w łóżku, zajadając bajgle i krusząc na pościel; może nawet włączylibyśmy sobie jakiś jazzik i pokochali się trochę. Tymczasem siedziała wciśnięta pomiędzy dwie młode dziewczyny, czekając na rozpoczęcie pierwszego w swoim życiu nabożeństwa na modłę amiszów.

Katie miała rację; dom pomieścił wszystkich przybyłych. Meble podsuwano, żeby było gdzie ustawić długie kościelne ławy bez oparć, które przyjechały tutaj na wozie, a które najwidoczniej przewożono co niedziela z domu do domu. Dzięki szerokim drzwiom i złożonym ściankom działowym pomiędzy pokojami niemalże każdy mógł ze swojego miejsca widzieć centralną część domu, gdzie mieli stanąć odprawiający nabożeństwo. Kobiety i mężczyźni siedzieli razem, w jednym pokoju, ale po przeciwnych stronach, pary małżeńskie oraz starsi z przodu. W kuchni

matki kołysały niemowlęta; najmłodsze z nich miały nie więcej niż kilka tygodni. Starsze dzieci siedziały cierpliwie z rodzicami, chłopcy u boku ojców, dziewczynki z mamami. Ellie wzdrygnęła się, kiedy Rebeka zmieniła pozycję, przyciskając ją jeszcze bliżej do ramienia Katie; w jej nozdrza bił zapach potu i mydła oraz ulotna woń zwierząt.

W końcu pomieszczenie zapełniło się do końca; nikogo więcej nie dałoby się już tam wcisnąć. W znaczącej ciszy, która zapadła, Ellie czekała, aż rozpocznie się nabożeństwo. Czekwała długo. Nikomu się nie spieszyło, a ona najwidoczniej jako jedyna była zdania, że najwyższy już czas, żeby coś zaczęło się dziać. Rozejrzała się dookoła. Przez pokój przebiegła fala szeptów:

- No, powiedz.
- Nie... ty powiedz.

Wreszcie jakiś starszy mężczyzna uniósł się z miejsca i wypowiedział jakiś numer. W jednej chwili otworzyło się sto książek do nabożeństwa. Katie, trzymająca na podolku tom zatytułowany Ausband, odwróciła go lekko w stronę Ellie, tak aby adwokatka mogła widzieć druk.

Ellie westchnęła; kiedy wejdiesz między wrony... Uznawała mądrość tego przysłowia, tym bardziej że jej śpiew całkiem udanie przypominał krakanie. Niemniej jednak, nawet gdyby posiadała sztukę solfeżu, miała marne szanse zaznajomić się z melodią, bo w książce do nabożeństwa nie było nut, tylko same słowa. Ellie nie znała ani jednego hymnu amiszów; prawdę mówiąc, w ogóle nie znała żadnych hymnów. Jeden ze starców zaczął śpiewać falsetem, powoli i miarowo, a reszta podjęła za nim. Ellie zauważyła, że mężczyźni odprawiający nabożeństwo - biskup Ephram, dwaj pastory i jeszcze jakiś człowiek, którego widziała po raz pierwszy - wstali i weszli po schodach na piętro domu. Mają szczęście, skurczybyki, pomyślała sobie.

Ta sama myśl uderzyła ją znowu pół godziny później, kiedy pierwszy hymn dobiegł końca, a zgromadzeni, posiedziawszy kilka minut w zupełnej ciszy, zaczęli kolejną pieśń, zatytułowaną Loblied. Ellie zamknęła oczy; nie mogła się nadziwić, skąd ci ludzie biorą siłę, żeby móc usiedzieć prosto na tych ławkach bez oparcia. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była w kościele, ale gdy biskup oraz trzej kaznodzieje zeszli wreszcie z powrotem na dół, aby rozpocząć pierwsze, wprowadzające kazanie, miała absolutną pewność, że nabożeństwo, w którym wtedy uczestniczyła, dawno zdążyłoby się już skończyć.

- Liebie Bruder und Schewstern... Drodzy bracia i siostry...
- Gelobet sei Gott und der Vater unssers Herrn Jesu Christi...

Błogosławiony niech będzie Bóg, Ojciec naszego Pana Jezusa Chrystusa...

Katie, widząc, że Ellie już przysypia, zaczęła cichym szeptem tłumaczyć jej, co się dzieje.

- Teraz on przeprasza za to, że nie jest dobrym kaznodzieją i mówi, że nie chce zabierać czasu temu drugiemu bratu, który wygłosi główne kazanie.

- Skoro jest taki kiepski - odszepnęła Ellie - to dlaczego w ogóle to robi?

- Wcale nie jest taki kiepski. Chce tylko pokazać, że nie nosi pychy w sercu.

Ellie skinęła głową ze zrozumieniem. Starszy człowiek przedstawił się jej teraz w zupełnie innym świetle.

- Und wann dir einig sin lasset uns bede - rozległy się jego słowa i wszyscy zgromadzeni - oprócz Ellie - jak jeden mąż padli na kolana.

Adwokatka spojrzała na Katie, klęczącą ze spuszczoną głową, na nisko pochylone czoła kaznodziejów, na oblewające ją po same kolana morze czepków i schludnie przystrzyżonych czupryn. Bardzo powoli jej kolana dotknęły podłogi.

Nagle, w środku nocy, pokój Katie zalało jasne światło. Poderwana dreszczem ekscytacji, usiadła na łóżku, po czym wyskoczyła z niego i szybko się ubrała. Kiedy chłopak jeździł w sobotnią noc, aby zalecać się do dziewczyny, najczęściej brał ze sobą mocną latarkę, którą świecił w jej okno na znak, żeby wykradła się z domu, do niego. Katie zarzuciła na siebie ciepły szal - był luty, a na dworze trzaskał mróz - i na palcach zeszła po schodach, myśląc o oczach Johna Beilera, ciepłych i złotych niczym liście buku jesienią.

Rzecz jasna, zamierzała zrobić mu wymówkę, że wyciąga ją po nocy z domu na taki mróz, ale tylko po to, żeby potem, kiedy już zgodzi się z nim pójść, szturchnąć go raz czy dwa, dając do zrozumienia, że nie mówiła poważnie. Przypomniała sobie, że jej najlepsza przyjaciółka, Mary Esch, pozwoliła już Kędzierzawemu Joe Yoderowi pocałować się w policzek. Ostrożnie uchyliła boczne drzwi i wyszła na ganek; jej oczy jaśniały, a dłonie, wilgotne od potu, zięły. Odwróciła się z uśmiechem błędzącym na ustach i stanęła twarzą w twarz ze swoim bratem.

- Jacob! - wykrztusiła. - Co ty tu robisz? - Natychmiast poderwała głowę, wbijając wzrok w okno sypialni rodziców. Dość by miała kłopotów, gdyby ją nakryli z kawalerem; trudno jej było nawet wyobrazić sobie, co zrobiłby ojciec, dowiedziawszy się, że Jacob jest w domu. Ale

brat pospiesznie przyłożył palec do ust, złapał ją za rękę i pociągnął na ścieżkę wiodącą nad strumień. Pobiegli, szybko i cicho.

Jacob zatrzymał się nad brzegiem stawu i rękawem swojej puchowej kurtki oczyścił ze śniegu stojącą tam ławeczkę. Widząc, że Katie trzęsie się z zimna, zdjął kurtkę i otulił nią siostrę. Zapatrzyli się w czarny lód, gładki niczym jedwab i tak idealnie przejrzysty, że widać było przez niego popłatane źdźbła zamrożonej trawy moczarowej.

- Byłaś już tu dzisiaj? - zapytał Jacob.

- A jak myślisz? - Przyszła z samego rana, pamiętając, że minęło już pięć lat. Nagle poczuła, jak na jej policzki biją rumieńce i uniosła dłonie do twarzy, zdjęta palącym wstydem; jak mogła być tak samolubna, żeby marzyć o Johnie Beilerze, kiedy wszystkie swoje myśli powinna skupić na Hannah! - Nie mogę uwierzyć, że przyjechałeś.

Spojrzał na nią gniewnym wzrokiem.

- Jak co roku. Zawsze przyjeżdżam, tylko jeszcze nigdy nie dałem ci znać.

Katie wytrzeszczyła oczy na brata.

- Zawsze przyjeżdżasz?

- W każdą rocznicę jej śmierci. - Znów odwrócili głowy w stronę czarnego oka stawu, przyglądając się wierzbowym gałęziom szurającym po lodzie za każdym powiewem kąsającego wiatru. - Jak tam mama? - zapytał Jacob.

- Tak samo jak co roku zimą. Dziś była trochę grenklich, poszła wcześniej spać.

Brat odchylił głowę do góry i spojrzał w niebo, rozciągnięte szeroko, usiane gwiazdami.

- Kiedyś wciąż ją słyszałem, jak płacze pod moim oknem, tam, na ganku, na huśtawce. I myślałem sobie, że gdybym wtedy nie siedział w domu z nosem w książkach, to nie doszłoby do tego.

- Wiesz, co Mam powiedziała? Że taka była wola Pana i że skończyłoby się tak samo, gdybyś nawet poszedł wtedy z nami na łyżwy, a nie został w domu i czytał swoje książki.

- Powiem ci coś. To był jedyny raz, kiedy miałem wątpliwości, czy warto się tak wysilać, żeby dalej się uczyć. Jakby śmierć Hannah miała być dla mnie karą.

- Karą? Za co? - Katie z wysiłkiem przetłknęła ślinę. - To mnie Mam kazała jej pilnować.

- Miałeś jedenaście lat. Skąd mogłaś wiedzieć, co robić?

Katie zamknęła oczy. W jej uszach znowu zabrzmiał dźwięk sprzed lat, ogłuszający rumor pękającego lodu, jakby płyty tektoniczne rozsunęły

się z łoskotem, uwalniając hordy ryczących potworów z głębin ziemi. Zobaczyła Hannah, puszając się jak paw, że udało się jej po raz pierwszy samodzielnie przywiązać łyżwy do butów, mknącą jak błyskawica na drugi brzeg stawu i błyskającą srebrnymi ostrzami spod rąbka zielonej spódnicy. „Patrz, patrz na mnie!”, wołała siostra, ale Katie nie słuchała, zatopiona w marzeniach o fantastycznym, lśniąącym kostiumie olimpijskiej łyżwiarki figurowej, którą widziała na okładce gazety, na stoisku przy kasie w sklepie. Nagle rozległ się krzyk i trzask; zanim zdążyła się odwrócić, Hannah była już w wodzie i ześlizgiwała się pod lód.

- Próbowała się czegoś złapać - powiedziała Katie cicho. - Powtarzałam jej, żeby się trzymała i próbowałam wyłamać długą gałąź, tak jak Dał nas uczył, ale nie mogłam jej sięgnąć, a ona wciąż płakała. Za każdym razem, kiedy spoglądałam za siebie, widziałam jej rękawiczki trochę bliżej krawędzi lodu. A potem już jej nie było. Po prostu zniknęła. - Spojrzała na brata, wstydząc się przyznać, że rozmyślała tego dnia o światowych rzeczach, a jej myśli były tak samo godne potępienia, jak to wszystko, co uczynił on sam. - Byłaby teraz starsza niż ja wtedy.

- Ja też za nią tęsknię, Katie.

- To co innego. - Wbiła wzrok w podolek, połykając łyzy. - Najpierw Hannah, potem ty. Dlaczego wciąż tracę tych, których najbardziej Kocham?

Jacob położył dłoń na jej dłoni. Po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy Katie rozpoznała w nim swojego brata. Patrzyła na tego gładko ogolonego chłopaka w miejskim zimowym ubraniu, z krótko przyciętymi włosami koloru miedzi - i zamiast niego widziała Jacoba w koszuli i spodniach na szelkach, bez kapelusza, wysiadującego na stryszku na siano, gdzie chował się ze swoimi szalonymi marzeniami, aby studiować angielskie podręczniki do szkoły średniej. Nagle serce zabiło jej mocniej w piersi i poczuła dreszcz biegnący po plecach. Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła na lodzie szczupłą dziewczęcą postać, śmigającą lekko tam i z powrotem, sypiącą śniegiem spod stóp. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że rozwiany szal, spódnica i twarz dziewczyny nie zasłaniały ani zaśnieżonego pola rozciągającego się za nią, ani gałęzi wierzby rosnącej na drugim brzegu stawu, przypominających dłonie o długich, chciwych palcach.

Katie nie wierzyła w duchy. Wszyscy ludzie jej podobni dzielili jedno przekonanie: że ciężką pracą w tym życiu można zasłużyć na nagrodę po śmierci. Życie według zasady „czekaj i bądź dobrej myśli” nie zostało w światopoglądzie miejsca na zbłąkane dusze ani na zjawy.

Z bijącym mocno sercem, Katie wstała z ławki i ostrożnie wyszła na lód, tam, gdzie widziała ślizgającą się Hannah. Jacob coś krzyczał, ale ledwie go słyszała. Nauczono ją wierzyć, że Bóg wysłuchuje modlitw - i teraz już wiedziała, że to prawda, bo dziś, w tym momencie, wrócili do niej brat i siostra.

Wyciągnęła rękę, szepcząc „Hannah?”, ale palce chwyciły tylko powietrze. Zadrżała, kiedy przezroczyta spódnica siostry owinęła się wokół jej własnych butów.

Silne dłonie ściągnęły ją z lodu, na bezpieczny brzeg stawu.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - Jacob syknął jej do ucha. - Odbiło ci?

- A ty nic nie widziałeś? - Gorąco pragnęła, żeby przytaknął, modliła się o to, bojąc się, że oszalała.

- Co miałem widzieć? - Jacob zmrużył oczy. - Coś tam jest?

Hannah, stojąca na środku stawu, wzniosła ręce ku nocnemu niebu.

- Nic - odpowiedziała Katie, a oczy jej lśniły. - Nic tam nie ma.

Nabożeństwo wydawało się nie mieć końca; w tym stwierdzeniu było naprawdę niewiele przesady. Ellie nie mogła wyjść ze zdumienia, że dzieci - mając za sobą czytania z Pisma Świętego i bite dwie godziny głównego kazania - siedzą cichutko jak myszki i ani pisną. W pewnym momencie po sali zaczęła krążyć nieduża miska z krakersami, a do tego szklanka wody; z poczęstunku korzystali rodzice, którzy przyszli na nabożeństwo z maluchami. Ellie, żeby się czymś zająć, liczyła, ile razy kaznodzieja ociera chustką pot z czoła; identyczna biała chustka służyła dziewczynce, która za jej pomocą zabawiała swoją młodszą siostrę, wiążąc dla niej supełkowe myszki i laleczki.

Czując, jak ogólny poziom energii w pomieszczeniu wzrasta, zorientowała się, że nabożeństwo dobiega końca. Zgromadzeni wierni wstali, aby otrzymać błogosławieństwo, a kiedy biskup wypowiedział imię Jezusa, znów padli na kolana. Ellie tym razem nie ukłękła, stała, mając silne poczucie wyobcowania. Kiedy usiadła z powrotem obok Katie, zauważyła, że dziewczyna siedzi spięta, sztywno, jakby kij połknęła.

- Co się stało? - zapytała szeptem, ale Katie potrząsnęła tylko głową, zaciskając wargi.

Właśnie przemawiał diakon. Katie wyciągnęła szyję, łowiąc każde jego słowo, aż w końcu przymknęła oczy, a na jej twarzy rozlała się ulga. Kilka rzędów z przodu Ellie dostrzegła Sarę, która w tym momencie opuściła głowę na pierś. Adwokatka dotknęła kolana Katie i palcem narysowała na nim znak zapytania.

- Nie ogłosili spotkania członków kościoła - mruknęła dziewczyna, a w jej głosie perliła się radość. - Nie będzie się dziś nikogo karać.

Ellie przyjrzała się jej w zamyśleniu. Żeby wykręcić się zarówno „angielskiemu” wymiarowi sprawiedliwości, pomyślała, jak i systemowi kar stosowanemu przez jej własny lud, Katie musiałaby mieć chyba dziewięć żywotów, jak kot. Po odśpiewaniu kolejnego hymnu nastąpiło rozesłanie wiernych; po trzech i pół godzinach nabożeństwo dobiegło końca. Katie pomknęła do kuchni, żeby pomóc w przygotowaniu poczęstunku. Ellie chciała iść za nią, ale zaplątała się beznadziejnie w grupkę witających się znajomych. Ktoś zaprowadził ją do stołu, przy którym jedli kaznodzieje oraz biskup i poprosił, aby usiadła.

- Nie - podziękowała, potrząsając głową. Nawet dla niej było całkiem jasne, że tutaj obowiązywała ścisła kolejność przy stole, a ona żadną miarą nie powinna jeść przed innymi.

- Jest pani naszym gościem - powiedział biskup Ephram, wskazując dłonią ławę.

- Muszę znaleźć Katie.

Nagle poczuła na ramionach czyjeś silne dłonie. Uniosła wzrok; Aaron Fisher prowadził ją z powrotem do stołu.

- To jest zaszczyt - wyjaśnił, patrząc jej prosto w oczy. Nie mówiąc już ani słowa, Ellie opadła na wskazaną ławę.

Jeszcze nigdy w życiu Katie nie widziała czegoś takiego jak zakończenie roku akademickiego na Pensylwańskim Uniwersytecie Stanowym. Była to wielka feeria barw, punktowana błyskami fleszów, które raz po raz napędzały jej strachu. Kiedy Jacob, odziany w dostojną czarną togę i biret, maszerował po swój dyplom, Katie klaskała najgłośniej ze wszystkich. Przepelniała ją duma z brata - uczucie obce amiszom, lecz tutaj, w tym uczelnianym świecie, wśród Englishers, słuszne i sensowne. Co więcej, studia zajęły Jacobowi tylko pięć lat, łącznie z tym pierwszym rokiem, poświęconym na opanowanie przedmiotów z programu szkoły średniej, których nigdy się nie uczył. I chociaż Katie w głębi serca nie rozumiała, po co komu więcej niż osiem klas, kiedy i tak trzeba w końcu będzie założyć rodzinę i zająć się domem, to nie mogła zaprzeczyć, że bratu to właśnie było potrzebne. Nieraz czytał jej na głos ze swoich książek, kiedy przyjeżdżała do niego, a ją, zanim zdążyła się obejrzeć, już porywały rozterki Hamleta, Holden Caulfield oczyma duszy przypatrujący się swojej siostrze na karuzeli i Gatsby wyciągający ręce do samotnego zielonego światła.

Nagle, całkiem zniecka, absolwenci wyrzucili birety w górę; chmara czarnych nakryć głowy zawisła w powietrzu niczym stado szpaków spłoszonych postukiwaniem młotków przy stawianiu stodoły. Katie uśmiechnęła się, widząc Jacoba spieszącego ku niej.

- Świetnie się spisałeś. - Uściskała brata. - Gut, gut!

- Dzięki, że przyjechałaś. - Jacob rozejrzał się i nagle wydał okrzyk, dostrzegłszy kogoś stojącego nieco dalej, po drugiej stronie trawnika. - Chodź, chcę ci kogoś przedstawić. - Zaprowadził ją do mężczyzny, który był wyższy nawet niż on sam; stał ubrany w podobną czarną togę, ale z błękitną szarfą na ramieniu. - Adam!

Wysoki mężczyzna odwrócił się i wyszczerzył zęby.

- Dla ciebie doktor Sinclair.

Był nieco starszy niż brat Katie; domyśliła się tego, zauważywszy zmarszczki w kącikach jego oczu, które nasunęły jej także myśl, że ten człowiek śmieje się często i z całego serca. Miał włosy koloru plastra miodu i niemalże takie same oczy. Ale to zupełnie inna rzecz sprawiła, że Katie nie mogła oderwać od niego wzroku; kiedy spojrzała mu w oczy, spłynęło na nią uczucie wszechogarniającego spokoju, jakby ten jeden Englisher miał duszę prostych ludzi.

- Adam obronił doktorat - wyjaśnił jej Jacob. - Od niego wynajmuję dom.

Katie skinęła potakująco głową. Wiedziała, że Jacob, od kiedy został asystentem na Penn State i zaczął prowadzić zajęcia, przeprowadził się z akademika na terenie uczelni do niewielkiego domu w mieście. Wiedziała, że jego właściciel planował wyjazd na jakieś badania i że zostały mu jeszcze dwa tygodnie; do tego czasu mieli mieszkać pod jednym dachem. Nie знаła jednak jego nazwiska, podobnie jak nie miała pojęcia, że są na świecie tacy ludzie, w których towarzystwie, nawet stojąc tak daleko jak w tej chwili, ma się wrażenie, że wypełniają sobą całą przestrzeń, aż nie ma czym oddychać.

- Wie bist du heit - powiedziała i zaczerwieniła się, zła na siebie, że przywitała się z nim w Dietsch.

- Ty musisz być Katie - odpowiedział na jej powitanie. - Jacob opowiadał mi o tobie. - I wyciągnął do niej rękę zapraszającym gestem.

Ni stąd, ni zowąd przypomniały jej się historie, które czytał jej brat: o Hamlecie, Holdenie Caulfieldzie, o Gatsbym i zrozumiała, jasno i wyraźnie, że rozwiązywanie takich emocjonalnych łamigłówek to wiedza równie przydatna w życiu co umiejętność uprawiania warzyw czy roz-wieszania bielizny. Zaciekało ją nagle, w jakiej dziedzinie ten człowiek

zdobył swój doktorat. Powoli, niespiesznie, podała dłoń Adamowi Sinclairowi i odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech.

Po powrocie do domu i zjedzeniu obiadu, Aaron i Sara wybrali się z wizytą do krewnych i sąsiadów, co stanowiło tradycyjne niedzielne zajęcie amiszów. Ellie, natrafiwszy na upchnięty w jakimś zakamarku cały komplet powieści Laury Ingall z serii „Mały domek”, zasiadła do lektury. Czuła się zmęczona; ten bardzo długi poranek wytrącił ją z równowagi, a do tego nieustanny, rytmiczny tupot końskich kopyt, dochodzący od strony głównej drogi, przyprawiał ją o migrenę.

Katie skończyła zmywanie, przyszła do salonu i przysiadła na krześle tuż obok Ellie. Zamknawszy oczy, zaczęła nucić łagodnym głosem.

Ellie rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

- Można cię prosić?

- O co?

- Żebyś nie śpiewała mi piosenek, jak czytam.

- To nie jest piosenka - najeżyła się Katie. - A jak ci przeszkadza, to idź sobie gdzie indziej.

- Ja tu byłam pierwsza - przypomniała jej Ellie, czując się jak dziewczynka z siódmej klasy. Wstała jednak z miejsca i poszła sobie. Przy drzwiach obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Katie idzie za nią.

- Zmiłuj się! Przecież masz teraz cały pokój dla siebie!

- Mogę cię o coś zapytać? Wiem, bo Mam mi powiedziała, że kiedyś przyjeżdżałaś tutaj na lato i mieszkowałaś na takiej samej farmie jak nasza. Ciocia Leda jej o tym mówiła. To prawda?

- Prawda - przytaknęła Ellie z ociąganiem, nie mogąc zrozumieć, do czego dziewczyna zmierza. - A co?

Katie wzruszyła ramionami.

- Bo jakoś nie widzę, żeby ci się tutaj podobało. To znaczy u nas, na farmie.

- Farma mi odpowiada. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do niańczenia swoich klientów. - Westchnęła w duchu, widząc urażoną minę Katie. - Przepraszam. To było nie na miejscu.

Katie spojrzała jej w oczy.

- Nie lubisz mnie.

Ellie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Przecież w ogóle cię nie znam.

- Ja ciebie też. - Katie skrobnęła czubkiem buta drewnianą podłogę. - Wiesz, my tutaj spędzamy niedzielę inaczej niż inne dni.

- Zauważyłam. Nie ma robót domowych.
- Są, ale jest też czas na odpoczynek, na przyjemności. - Katie uniosła na nią wzrok. - Pomyślałam sobie, że my we dwie też mogłybyśmy spędzić tę niedzielę inaczej niż zwykłe dni.

Ellie poczuła ukłucie niepokoju, nie wiedząc, co ta dziewczyna chce jej zaproponować. Ucieczkę? Papierosa? Podarowanie sobie nawzajem kilku godzin niczym nieskrępowanej swobody?

- Pomyślałam sobie - ciągnęła dalej Katie - że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. Tylko na dziś, do wieczora. Mogłabyś udawać, że poznałaś mnie przypadkiem, podczas wizyty na tej farmie, gdzie mieszkałaś w dzieciństwie, a nie tak, jak było naprawdę.

Ellie odłożyła książkę. Gdyby udało jej się pozyskać przyjaźń Katie i skłonić ją do szczerych zwierzeń, to być może ekspertyza Coopa nie byłaby jej wcale potrzebna.

- Kiedy byłam mała - zaczęła powoli - żaden z moich kuzynów nigdy mnie nie pobił w puszczeniu kaczek.

Na twarzy Katie zajaśniał uśmiech.

- Myślisz, że nie wyszłaś z wprawy?

Wybiegły z domu, popychając się nawzajem i popędziły przez pole. Zatrzymały się nad brzegiem stawu. Ellie poniosła z ziemi gładki, płaski kamyk i cisnęła go na wodę, licząc odbicia. Naliczyła pięć.

- Ma się jeszcze to oko. - Strzepnęła dłonią.

Katie też wzięła do ręki kamyk. Cztery, pięć, sześć, siedem kaczek. Odwróciła się do Ellie z szerokim uśmiechem.

- Niektórzy mają ich dwoje - zaśmiała się.

Ellie spróbowała jeszcze raz, koncentrując się mocno. W chwilę później Katie poszła w jej ślady.

- Ha! - zapiąła Ellie. - Wygrałam!

- Nieprawda!

- Nie mów! Rzuciłam o cały metr dalej!

- Ja widziałam co innego. - Katie nie chciała się zgodzić.

- Jasne. Ostatnio jesteś przecież stuprocentowo wiarygodnym naczynym świadkiem.

Katie zamarła, a Ellie znów westchnęła, tym razem głośno.

- Przepraszam - powiedziała. - Trudno mi zapomnieć, dlaczego naprawdę tutaj jestem.

- Chyba dlatego, że mi wierzysz?

- Niekoniecznie. obrońca bierze honorarium za to, żeby ławnicy uwierzyli we wszystko, co im powie. A to, co obrońca mówi ławnikom, wcale nie musi pokrywać się z tym, czego dowiedział się od klienta. - Uśmiechnęła się, widząc zdumioną minę Katie. - Chyba pierwszy raz słyszysz o czymś takim.

- Nie rozumiem, dlaczego sędzia nie może po prostu stwierdzić, kto mówi prawdę.

Ellie zerwała źdźbło tymotki, przygryzła je zębami.

- To nie jest aż tak proste. Chodzi o to, że ludzie muszą bronić swoich praw. A czasem nawet dla sędziego nie wszystko jest oczywiste.

- Dla nas, prostych ludzi, wszystko jest oczywiste - powiedziała Katie. - Jeśli żyjesz tak, jak nakazuje Ordnung - to zawsze masz rację. Jeśli złamiesz zasady, wspólnota cię odrzuci.

- A w naszym angielskim świecie taki Ordnung nazywa się komunizm - odparowała Ellie, ale zamyśliła się na chwilę. - A jeśli - podjęła - nie zrobiłaś niczego złego? Jeśli oskarżają cię o złamanie jakichś zasad, chociaż jesteś absolutnie niewinna?

Katie zaczerwieniła się.

- Kiedy odbywa się spotkanie kościoła w sprawach dyscypliny, oskarżony członek wspólnoty także otrzymuje głos i może opowiedzieć swoją wersję wydarzeń.

- W porządku. A kto mu uwierzy? - Ellie wzruszyła ramionami. - To właśnie jest zadanie dla obrońcy. To on przekonuje ławę przysięgłych, że klient wcale nie musi być winny zarzucanego mu przestępstwa.

- A jeśli jednak jest winny?

- To i tak zostaje uniewinniony. Takie rzeczy też się czasem zdarzają.

Katie otworzyła szeroko usta ze zdziwienia.

- Przecież to kłamstwo.

- Nie. Tak wygląda praca rzecznika prasowego. Na czyny zarzucone oskarżonemu można patrzeć pod różnym kątem. Terminu „kłamstwo” używa się tylko wtedy, gdy to klient powie nieprawdę. A adwokaci... Nam wolno usprawiedliwiać klienta w dowolny sposób.

- Czyli, że... potrafiłabyś skłamać w mojej obronie?

Ellie spojrzała jej w oczy.

- A będę musiała?

- Wszystko, co ci powiedziałam, to prawda.

Ellie usiadła po turecku na trawie.

- W takim razie chciałabym wiedzieć, czego mi jeszcze nie powiedziałaś.

Z ziemi poderwał się wróbel, rzucając przelotny cień na twarz Katie.

- My, prości ludzie, nie kłamiemy - powiedziała dziewczyna chłodno. - Kłamstwo sprawia, że stanąwszy przed zgromadzeniem, nie umiemy się bronić. Dlatego w naszym świecie nie ma miejsca dla adwokatów.

Ku własnemu zdziwieniu Ellie roześmiała się głośno.

- Mnie to mówisz? Nigdy w życiu nie czułam się bardziej nie na miejscu niż u was. Pasuję tutaj jak wół do karety.

Katie przesunęła wzrokiem po sylwetce adwokatki, tenisówek i letniej sukience, kończąc na niewielkich, rozkołysanych kolczykach. Wszystko w niej tchnęło skrępowaniem - nie chciała nawet usiąść wygodnie i wyciągnąć nóg na trawie, jakby się bała, że twarde źdźbła podrapia jej łydki. W przeciwieństwie do stonki turystycznej, której całe chmary przetaczały się przez okręg Lancaster, przygnane nadzieją rzuconia okiem, choćby przelotnie, na amiszów, Ellie nigdy nie marzyła o tej przygodzie. Zgodziła się zrobić cioci Ledzie przysługę, która nagle w gnieniu oka zmieniła się w poważne zobowiązanie.

Katie rozumiała dobrze, co czuje Ellie. Pamiętała swoje wizyty u Jacoba, kiedy to nowoczesny strój nigdy nie zdołał jej zmienić w zwykłą nastolatkę. We własnych oczach Ellie mogła uchodzić za orędowniczkę indywidualizmu, ale tak zwane bycie sobą w kulturze, gdzie cała reszta innych Englishers ze wszystkich sił dąży do tego, aby być sobą, różni się przecież zasadniczo od tego samego bycia sobą realizowanego w kulturze, gdzie wszyscy usiłują być tacy sami.

W świecie pełnym ludzi człowiek może czuć się ogromnie samotny.

- Wiem, jak można temu zaradzić - powiedziała głośno Katie. Uśmiechając się szeroko, wstała i nabrawszy w dłonie wody ze stawu, chlapnęła nią na Ellie.

Adwokatka podskoczyła, parskając jak kot.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Wasser. - Katie chlapnęła na nią jeszcze raz. Ellie zasłoniła się rękami.

- Wase? Aha, wasze! Ale zaraz - nasze? Co nasze?

- Nie „wase”. Wasser. To po naszymu „woda”.

Ellie pojęła w lot, o co chodzi. Przyjęła ten mały dar i pozwoliła mu zapuścić korzenie.

- Wasser - powtórzyła, a potem pokazała palcem pole. - Tytoń? - zapytała.

- Duvach. - Katie rozpromieniła się, słysząc, jak Ellie powtarza nowe słowo. - Gut! Die Koo - powiedziała, wskazując gestem pasącą się nieopodal czarno-białą holenderkę.

- Die Koo.

Katie wyciągnęła do Ellie rękę.

- Wie bist du heit. Jak się masz?

Ellie powoli poszła w jej ślady, zaglądając głęboko w oczy Katie, po raz pierwszy od momentu, kiedy przyjechała do sądu. Beztroskie słoneczne

popołudnie, niefrasobliwa lekcja Dietsch, języka amiszów - nagle gdzieś się ulotniły; pozostały tylko one, dwie kobiety połączone uściskiem dłoni, odurzone graniem świerszczy, świadome tego, że zaczynają wszystko od początku.

- Ich bin die Katie Fisher - odezwała się Katie cichym głosem.
- Ich bin die Ellie Hathaway - odpowiedziała Ellie. - Wie bist du heit.

- Pójdę kupić popcorn, zanim film się zacznie - powiedział Jacob, wstając z fotela. Katie zaczęła szperać po kieszeniach, szukając pieniędzy, które Mam zawsze przysyłała synowi za jej pośrednictwem, ale on tylko potrząsnął głową. - Ja stawiam. Adam, miej na nią oko.

Katie zgarbiła się w fotelu, zła, że uważa się ją za dziecko.

- Mam siedemnaście lat. Czego on się boi? Że mu ucieknę?

Adam, siedzący obok niej, uśmiechnął się.

- Prędej tego, żeby ktoś mu nie ukradł jego ślicznej siostrzyczki.

Katie zaczerwieniła się aż po same włosy.

- Nie wydaje mi się - skwitowała. Przywykła raczej do tego, że chwali się ją za dobrze wykonaną pracę, a nie za urodę. No i czuła się niezręcznie, siedząc tak sama z Adamem, którego Jacob zaprosił, żeby wybrał się razem z nimi do kina.

Nie nosiła zegarka, więc nie wiedziała, ile czasu jeszcze zostało do początku seansu. Była w kinie po raz czwarty w życiu. Film miał być o miłości - śmieszny pomysł, opowiadać o miłości w dwie godziny! Miłość to nie jest przecież ta jedna chwila, kiedy dziewczyna patrzy chłopcu w oczy i czuje, że ziemia usuwa jej się spod nóg, a w jego duszy dostrzega to wszystko, za czym tęskni jej własna. Miłość przychodzi powoli, nigdy nie myląc drogi, a składają się na nią, w równych proporcjach, szacunek i wzajemne wsparcie. Dziewczyna z rodziny prostych ludzi nie przeżywa „zakochania” - ona nagle dostrzega, że uwikłała się w miłość. Córka prostych ludzi wie, że kocha, kiedy po dziesięciu latach widzi przy sobie wciąż tego samego chłopca, stojącego u jej boku i obejmującego ją w talii.

Głos Adama wyrwał ją z zamyślenia.

- Mieszkasz w Lancaster? - zapytał uprzejmie.

- Tak, w Paradise. Właściwie na samym skraju.

- Na progu rajy - uśmiechnął się Adam, a oczy mu zabłyśły. - To brzmi jakoś tak, jakby człowiek zaraz miał stamtąd zlecieć.

Katie przygryzła wargę. Nie mogła zrozumieć tych jego żartów. Postanowiła zmienić temat i zapytała go, w jakiej dziedzinie robił doktorat.

Może z literatury, z której dyplom uzyskał Jacob?

- Prawdę mówiąc, nie - odparł Adam. Czy to możliwe, że dostrzegła na jego twarzy ślad rumieńca? - Zajmuję się naukami paranormalnymi.

- Co to są nauki para...

- Duchy. Prowadzę badania nad duchami.

Gdyby rozebrał się w tej chwili do naga, nie udałoby mu się wprawić jej w większe osłupienie.

- Badania? Nad duchami?

- Obserwuję je. Piszę o nich. - Adam potrząsnął głową. - Nie musisz nic mówić. Na pewno nie wierzysz w duchy, jak zresztą większa część tego wolnego świata. Kiedy opowiadam ludziom, z czego mam doktorat, to sobie wyobrażają, że kończyłem pewnie jakiś kurs korespondencyjny, z przedmiotem dodatkowym w stylu na przykład budowy i konserwacji klimatyzatora. A tymczasem nie. To jest uczciwy stopień naukowy. Na początku studiowałem fizykę. Pracowałem nad teoriami dotyczącymi energii. Pomyśl tylko - energii nie można zniszczyć, unicestwić. Można ją wyłącznie przetworzyć, nadać jej inną formę. Co się zatem dzieje z energią człowieka po jego śmierci?

Katie spojrzała na niego, mrugając oczami.

- Nie wiem.

- Otóż to. Ta energia musi się gdzieś podziać. To, co człowiek widzi jako ducha, jest śladem energetycznym.

Katie opuściła wzrok; czuła, że inaczej nie zdoła się opanować i powie temu człowiekowi, którego praktycznie nie zna, o czymś, z czego nie zwierzała się jeszcze nikomu.

- Aha. - Głos Adama był cichy. - Myślisz, że rozmawiasz z wariatem.

- Wcale tak nie myślę - odpowiedziała natychmiast. - Naprawdę.

- To ma sens, jeśli się nad tym zastanowić. - Zaczął się tłumaczyć.

- Gdy wydarzy się jakaś tragedia, powoduje to uwolnienie energii emocjonalnej. Ta energia pozostaje w otoczeniu - odciska się w kamieniu, ścianie domu, drzewie - jakby pozostawiała po sobie wspomnienie. Na poziomie atomowym wszystkie te obiekty są w ruchu, a zatem mogą magazynować energię. A duchy, które widzą żyjący ludzie, są to właśnie ślady tej energii, zatrzymanej w przedmiotach. - Wzruszył ramionami. - Tak w skrócie przedstawia się moja teoria.

Nagle powrócił Jacob, niosąc kartonowe pudełko z popcornem. Postawił je na kolanach Katie.

- Opowiadasz jej o swojej pseudonaukowej pracy?
- Uważaj. - Adam wyszczerzył zęby. - Twoja siostra mi wierzy.
- Moja siostra jest naiwna. - Poprawił go Jacob.
- To już inna sprawa. - Adam przestał zwracać na niego uwagę i zwrócił się wprost do Katie: - Nie warto się wysilać, żeby przekonać tych, którzy nie wierzą, bo oni i tak nigdy tego nie zrozumieją. Z drugiej strony, jeśli ktoś choć raz był świadkiem jakiegoś zjawiska paranormalnego, to będzie wyłaził ze skóry, żeby tylko znaleźć kogoś takiego jak ja, kto zechce go wysłuchać. - Spojrzał jej w oczy. - Każdego z nas coś prześladuje. Niektórzy po prostu potrafią to zobaczyć wyraźniej niż inni.

W środku nocy Ellie zbudził stłumiony jęk. Podniosła się, walcząc z sennością i zobaczyła, że Katie rzuca się pod kołdrę. Podeszła cicho do jej łóżka. Dotknęła czoła dziewczyny.

- Es dut weh - wymamrotała Katie i nagle zerwała z siebie kołdrę. Na przodzie jej nocnej koszuli rosły w oczach dwie okrągłe plamy. - Bo-li! - zawołała, trąc dłońmi mokrą tkaninę i suchą pościel. - Coś mi się stało!

Ostatnimi czasy wśród znajomych Ellie zaczęło przybywać młodych matek. Nasłuchiwała się od nich żartów na temat początku laktacji, kiedy to nagle zwykła kobieta zmienia się komiksową superbohaterkę z piersiami jak piłki lekarskie.

- Nic ci się nie stało - uspokoiła dziewczynę. - Tak się właśnie dzieje po urodzeniu dziecka.

- Nie urodziłam żadnego dziecka! - zaskrzeczała Katie. - Neh!
- Odepchnęła Ellie z całej siły, przewracając na twardą podłogę.
- Ich hab ken Kind kaht... mein hatz ist fol!
- Nie rozumiem - warknęła adwokatką.
- Mein hatz ist fol!

Było dla niej ewidentne, że Katie nie obudziła się jeszcze całkiem, że na razie jest tylko przerażona. Postanowiła nie próbować niczego na własną rękę i wybiegła z pokoju, w drzwiach zderzając się z Sarą.

Widok matki Katie w koszuli nocnej, z rozpuszczonymi włosami koloru wąsów kukurydzy sięgającymi poniżej bioder, był dla niej nie lada wstrząsem.

- Co się stało? - zapytała Sara, klękając na podłodze obok łóżka córki, która leżała, ściskając dłońmi piersi. Matka delikatnie odsunęła jej ręce i rozpięła guziki koszuli nocnej.

Ellie skrzywiła się, widząc nabrzmiałe, twarde piersi, poznaczone wyraźnie zarysowaną siateczką cienkich sinych żył. Z obu sutków sączyły się wążutkie strużki. Sara kazała córce wstać i zaprowadziła ją do

łazienki. Katie apatycznie wykonała polecenie. Ellie poszła za nimi i zobaczyła, jak matka metodycznie bierze się do rzeczy i zaczyna masować tklive, bolące piersi Córki. Do umywalki trysnął strumień białego mleka.

- To jest dowód - odezwała się w końcu Ellie kategorycznym tonem. - Katie, zobacz sama, co się dzieje z twoim ciałem. Urodziłaś dziecko. To mleko jest dla niego.

- Neh, lus mich gay - załkała Katie, siedząca na sedesie.

Ellie zacisnęła zęby i przykucnęła przed nią.

- Wychowałaś się na farmie, gdzie hoduje się krowy. Nie możesz nie rozumieć, co się teraz z tobą dzieje. Jeszcze raz ci mówię: urodziłaś dziecko.

Katie potrząsnęła głową.

- Mein hatz ist fol.

Ellie spojrzała na Sarę.

- Co ona mówi?

Matka pogładziła córkę po głowie.

- Mówi, że to nie jest mleko, a ona nie urodziła żadnego dziecka.

To wszystko dzieje się dlatego - przetłumaczyła - że jej serce jest pełne po brzegi.

Rozdział szósty

ELLIE

Żeby było jasne: ja nie umiem szyć. Dajcie mi igłę z nitką i posadźcie do obszywania spodni - prędzej przyfastryguję je sobie do ręki, niż zrobię to, co trzeba. Dziurawe skarpetki? Zawsze wyrzucam. Wolę przejść na ścisłą dietę, niż sama poszerzyć sobie sukienkę w pasie. To chyba o czymś świadczy.

A mówię to wszystko tytułem wyjaśnienia, dlaczego nie byłam cała w skowronkach, kiedy Sara zaprosiła mnie, abym przyłączyła się do kobiet, które zebrały się u niej na szycie narzuty. Przez to, co wydarzyło się w nocy, stosunki pomiędzy nami były dość napięte. Rano Sara bez słowa wręczyła Katie długi pas białego muslinu do obrębiania. Propozycja wspólnego szycia była z jej strony swojego rodzaju ustępstwem, ponownym zaproszeniem do jej świata, które poprzednio zostało zawieszona. Wyczułam w tym także milczącą prośbę, abyśmy wszystkie postarały się nie wyolbrzymiać tego, co zaszło w nocy.

- Wcale nie musisz sama szyć - powiedziała Katie, ciągnąc mnie za rękę do dużego pokoju. - Możesz się tylko przyglądać.

Oprócz niej i jej matki zastałam tam jeszcze cztery kobiety: Annę Esch, matkę Leviego, matkę Samuela - Marthę Stoltzfus i dwie kuzynki Sary, Rachelę i Louise Lapp. Dwie ostatnie były młodsze od pozostałych i zabrały ze sobą swoje najmniejsze dzieci. Jedno było jeszcze w powijkach, drugie zaczynało już raczkować; siedziało sobie na podłodze u stóp Racheli Lapp i bawiło się ścinkami.

Narzutę rozłożono na stole. Leżało na niej kilka szpulek białych nici. Kiedy stanęłam w drzwiach, kobiety uniosły głowy znad roboty.

- To jest Ellie Hathaway - zaanonsowała Katie.

- Sie schelt an shook mit uns wohne* - dodała Sara.

Anna Esch, chcąc okazać mi szacunek, zapytała po angielsku:

- I jak długo u was będzie?

- Dopóki sprawa Katie nie wejdzie na wokandę - odpowiedziałam.

Kiedy tylko usiadłam, córeczka Louise Lapp stanęła na chwielnych nóżkach i zatoczyła się w moim kierunku, wyciągając łapkę do jasnych guzików na mojej bluzce. Widząc, że zaraz się przewróci, złapałam ją na ręce i posadziłam sobie na kolanach. Połaskotałam małą po brzuszku, żeby ją rozbawić, upajając się kochanym, wilgotnym ciężarem dziecięcego ciała. Dziewczynka złapała mnie swoimi lepkiemi paluszkami za ręce i odrzuciła główkę do tyłu, ukazując delikatne, bielutkie załamane skóry na szyi. W tej chwili dotarło do mnie - po fakcie - że pozwałam sobie na zupełnie nieestosowne czułości z córką kobiety, która najprawdopodobniej nie jest skłonna zaufać mi na tyle, aby oddać własne dziecko pod moją opiekę. Uniosłam wzrok, gotowa do przeprosin - i stwierdziłam, że całe towarzystwo patrzy na mnie z prawdziwym szacunkiem.

No cóż, darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Kobiety pochylały się nad swoim szyciem, a ja bawiłam się z dziewczynką.

- Nie wolisz szyć? - zapytała Sara uprzejmie. Zaśmiałam się.

- Uwierz mi, że wolisz tego nie oglądać.

- Opowiedz jej, Rachelo - wtrąciła Anna Esch z błyskiem w oku - jak kiedyś u Marthy przyszyłaś sobie narzutę do fartucha.

- A po co? - odburknęła Rachela Lapp. - Sama opowiedz, zawsze świetnie ci to wychodzi.

Katie machinalnie nawlekła igłę i pochyliła głowę nad kwadratem białej watoliny. Spod jej ręki zaczął wychodzić drobniutki ścieg, równy jak robiony na maszynie albo przy linijce.

- Niesamowite - powiedziałam, szczerze zafascynowana. - Ledwo je widać.

- Wszyscy robią tak samo dobrze. - Katie zarumieniła się, słysząc tę pochwałę.

Przez jakiś czas kobiety szyły w milczeniu, wdzięcznie pochylając głowy nad przykrytym narzutą stołem, niczym gazyli pijące wodę z sadzawki.

- Powiedz nam, Ellie - zagadnęła Rachela - mieszkasz w Filadelfii?

- Tak. Ostatnio.

Martha odgryzła koniec nitki.

* Sie schelt an shook mit uns wohne (Pennsylvania Dutch) - [ona] zamieszka u nas na trochę (przyp. tłum.).

- Kiedyś tam byłam, jeden raz. Pociągiem. Gdyby ktoś mnie pytał, to widziałam tam wielki tłum ludzi biegających nie wiadomo za czym i spieszących się nie wiadomo do czego.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Tak tam mniej więcej jest.

Nagle ze stołu spadła jedna szpulka nici, prosto na głowę śpiącego w małym koszyku chłopczyka w powijakach, który zaczął wywijać rączkami, a potem zaniósł się głośnym, niepowstrzymanym szlochem. Katie, siedząca najbliżej, wyciągnęła do niego ręce, chcąc uspokoić.

- Nie dotykaj go.

Karzące warknięcie przeleciało przez pokój niczym kamień wrzucony oknem, zatrzymując ręce szyjących kobiet, które zawisły nad narzutą niczym dłonie uzdrowicielek podczas seansu. Rachela, która wypowiedziała te słowa, wbiła swoją igłę w materiał, po czym sama wzięła synka na ręce i przytuliła do piersi.

- Rachelo Lapp! - ofuknęła ją Martha Stoltzfus. - Co cię ugryzło? Rachela odpowiedziała, nie patrząc na Sarę ani na Katie:

- Nie chcę, żeby Katie robiła coś przy moim dziecku, to wszystko. Jej sprawy leżą mi na sercu, ale Joseph to mój syn.

- A Katie to moja córka - odezwała się Sara, powoli odmierzając słowa.

Martha położyła dłoń na oparciu krzesła Katie.

- Dla mnie też jest jak córka.

Rachela uniosła podbródek, ledwie odrobinę.

- Jeśli nie jestem tu mile widziana...

- Jesteś, Rachelo - powiedziała Sara cicho. - Ale nie wolno ci traktować mojej Katie jak nieproszonego gościa w jej własnym domu.

Siedziałam z zapartym tchem na samym brzeżku krzesła, czując rozlewające się po piersi wilgotne ciepło, które biło od śpiącej córeczki Louise. Czekałam w napięciu, kto wygra to starcie.

- Saro Fisher, wiesz, co ja o tym myślę... - zaczęła Rachela, ciszkając oczami błyskawice, ale zanim zdążyła dokończyć zdanie, rozległ się głośny dzwonek.

Wystraszone kobiety zaczęły rozglądać się wokół siebie. Pełna najgorszych przeczuc, przełożyłam dziecko na lewą rękę, a prawą sięgnęłam do kieszeni po komórkę. Czując na sobie spojrzenia szeroko otwartych oczu, nacisnęłam klawisz i przyłożyłam słuchawkę do ucha.

- Halo?

- Boże drogi, Ellie, od kilku dni już do ciebie wydzwaniam. Czy ty tam w ogóle nie włączasz tej komórki?

I tak byłam w szoku, że bateria wytrzymała tak długo. Miałam też cichą nadzieję, że telefon mi padnie, zanim Stephen zadzwoni, żebym nie musiała z nim rozmawiać. Żony amiszów wpatrywały się we mnie jak sroka w gnat, zapomniawszy chwilowo o swojej scysji.

- Muszę odebrać - powiedziałam przeproszającym tonem, składając śpiące maleństwo w ramiona matki.

- Telefon? - wykrztusiła Louise, co zdążyłam jeszcze usłyszeć, wychodząc. - W domu?

Odpowiedzi Sary już nie dosłyszałam, ale kiedy rozmawiałam ze Stephenem w kuchni, dobiegł mnie wyraźnie skrzyp kół bryczki sióstr Lapp na podjeździe.

- Stephen, w tej chwili trudno mi rozmawiać.

- W porządku, to potrwa tylko chwilę. Muszę coś wiedzieć. W mieście krąży taka głupia plotka, że występujesz jako obrońca z urzędu w sprawie jakiejś dziewczyny z rodziny amiszów. I że sędzia kazał ci zamieszkać na farmie.

Zawahałam się. Stephen nigdy w życiu nie pozwoliłby wykręcić sobie takiego numeru.

- Nie nazwałabym siebie obrońcą z urzędu - odparłam. - Na razie nie ustaliliśmy kwestii honorarium, to wszystko.

- A co z resztą? I gdzie ty w ogóle jesteś?

- W Lancaster. A właściwie pod miastem Lancaster, w powiecie Paradise.

Wyobraziłam sobie, jak ta gruba, błękitna żyła na jego czole zaczyna nabrzmiewać. Zupełnie jakbym przy tym była.

- I w taki sposób się relaksujesz?

- To było nie do przewidzenia, Stephen. Sprawa rodzinna. Musiałam się tym zająć.

Zaśmiał się tylko.

- Sprawa rodzinna? Masz krewnych amiszów? Bliższych, dalszych? A może ze strony matki jesteś spokrewniona z krysznowcami? Nie bujaj, Ellie. Mnie możesz powiedzieć prawdę.

- Właśnie mówię - zgrzytnęłam zębami. - To nie jest sztuczka, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wprost przeciwnie. Wiem, że to wygląda zawile, ale w skrócie jest tak: podjęłam się obrony swojej kuzynki. Mieszkam na farmie, bo to był jeden z warunków zwolnienia za kaucją. I tyle.

Chwila ciszy, trwająca jedno uderzenie serca.

- Muszę przyznać, Ellie, że bardzo mi przykro. Mogłaś mi powiedzieć, co planujesz, zamiast tak się kryć z tą sprawą. Jeśli naprawdę zależy ci na zdobyciu renomy specjalistki od sensacyjnych przypadków -

sensacyjnych w całej rozciągłości - to mogłem ci przecież jakoś pomóc, doradzić. Może nawet zaprotegować cię w swojej firmie.

- Nie chcę, żebyś mnie protegował w swojej firmie - uciełam. - Nie zależy mi na sensacyjnych przypadkach. I prawdę mówiąc, nie mieści mi się w głowie, że mogłeś odebrać to wszystko jako osobistą zniewagę, jakbym chciała zrobić akurat tobie na złość. - Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że wolna dłoń zacisnęła mi się w pięść. Rozprostowałam kolejno palec za palcem.

- Jeżeli ta sprawa potoczy się tak, jak się zapowiada, to przyda ci się pomoc. Mogę przyjechać i wystąpić jako twój doradca. Będziesz miała firmę na miejscu.

- Dzięki, Stephen, ale nic z tego. Rodzice mojej klientki z ledwością zaakceptowali u siebie jednego prawnika. Nie ma mowy, żeby pozwolili zrobić sobie z domu kancelarię.

- I tak mógłbym do ciebie podskoczyć. Może przy mnie coś świeżego wpadnie ci do głowy. Albo po prostu usiądźmy sobie na ganku, na huśtawce i będziemy popijać lemoniadę.

Niewiele brakowało, a bym się zgodziła. Oczyma duszy ujrzałam maczek piegów rozsianych na jego karku, zobaczyłam, jak myje zęby, po swojemu przekrzywiając nadgarstek; niemalże owaiał mnie jego zapach, bijący z szaf i bielizniarek, z pościeli. Były to obrazy, które same stały mi przed oczami, tak dobrze znane, tymczasem świat, w którym z własnej woli zamieszkałam, na każdym kroku porażał mnie swoją obcością. Gdybym miała przy sobie kogoś rozpoznawalnego, kogo kiedyś kochałam, gdybym mogła pod koniec każdego dnia zobaczyć tego kogoś obok siebie - wtedy sprawa Katie wróciłaby na swoje miejsce. Stałaby się z powrotem częścią mojej pracy, a nie elementem życia.

Ścisnęłam mocniej małą telefon i zamknęłam oczy.

- Najlepiej chyba będzie - usłyszałam własny szept - jeśli poczekaamy i zobaczymy, co się wydarzy.

Sara siedziała samotnie przy narzucie, pochylając głowę nad szyciem.

- Przepraszam - powiedziałam. - Za ten telefon.

Machnęła ręką na znak, że mam się nie przejmować.

- Nic się nie stało. Mąż Marthy Stoltzfus ma telefon w stajni. Jest mu potrzebny do załatwiania interesów. Rachelę po prostu zaczęła zadzierać nosa. - Westchnęła, wstała od stołu i zaczęła zbierać szpulki. - Posprzątam to - powiedziała. - Po co ma tak leżeć.

Ujęłam dwa rogi narzuty, żeby pomóc jej ją złożyć.

- Krótko dzisiaj wyszło wam to szycie. Mam nadzieję, że to nie przeze mnie.,

- I tak by było dziś krótko, coś mi się zdaje - odpowiedziała szybko Sara. — Jeśli chcesz poszukać Katie, to kazałam jej porozwieszać pranie.

Potrafię poznać, kiedy ktoś daje mi do zrozumienia, że chce zostać sam. Ruszyłam do drzwi, ale na progu kuchni obejrzałam się jeszcze.

- Dlaczego Rachela Lapp nie wierzy Katie?

- Tego chyba możesz się sama domyślić.

- A oprócz oczywistych powodów? Szczególnie po tym, jak wasz biskup wziął jej stronę...

Sara położyła narzutę na półce i odwróciła się, stając ze mną twarzą w twarz. Ukrywanie własnych uczuć szło jej doskonale, lecz jednego nie potrafiła ukryć: oczu, płonących wstydem na wspomnienie, że przyjaciółki znieważyły jej córkę.

- Wyglądamy tak samo. Modlimy się tak samo. Żyjemy tak samo - powiedziała. - Ale to jeszcze nie znaczy, że wszyscy myślimy tak samo.

Jeden za drugim, olbrzymie białe żagle pęczniały na sznurze do prania. Prześcieradła oplatały Katie uściskiem swoich szerokich ramion, a ona mocowała się z nimi, okręcona trzepoczącym, zsuniętym w tył fartuchem, mamrocząc z ustami pełnymi klamerki do bielizny. Na mój widok odstąpiła o krok i wrzuciła wszystkie klamerki, które jej zostały, do stojącego na ziemi wiaderka.

- Przychodzisz, jak już wszystko zrobione - wypomniała mi, siadając obok, na kamiennym murku.

- Poradziłaś sobie beze mnie.

Na pierwszym sznurze wisiał kolorowy rząd koszul i sukienek, mieniących się odcieniami ciemnej i jaskrawej zieleni, bordo, lawendy. Tuż obok tańczyły na wietrze czarne nogawki męskich spodni. Trzeci sznur obciążały prześcieradła i pościel, wypinające swoje nadęte brzuszyska.

- Pamiętam, jak mama wieszała pranie - uśmiechnęłam się. - Bawiłam się między nimi w rycerza i dźgałam je patykiem.

- W rycerza? Nie w królownę?

- Rzadko kiedy byłam królowną. Nuda - parsknęłam. - Po co czekać na ratunek od jakiegoś księcia, kiedy można uratować się na własną rękę? Nigdy w życiu.

- Hannah i ja bawiłyśmy się w praniu w chowanego, ale zawsze tak się przy tym nakurzyło, że pościel była cała w smugach i musiałyśmy ją prać jeszcze raz.

Odchyliłam głowę, wystawiając twarz na muśnięcia wiatru.

- Kiedyś wydawało mi się, że łóżka ze świeżą pościelą, dopiero co zdjętą ze sznura, czuć słońcem.

- Bo to prawda! - zawołała Katie. - Materiał nasiąka słońcem, wszędzie tam, gdzie przedtem był mokry. Akcja powoduje reakcję, o równej sile i przeciwnym zwrocie.

Prawa Newtona, pomyślałam, to chyba nie jest program ósmej klasy - a Katie, jak większość dzieci amiszów, skończyła państwową szkołę na ośmiu klasach.

- Nie wiedziałam, że tutaj uczą fizyki w podstawówce.

- Nie uczą. Słyszałam to kiedyś.

Słyszała? Od kogo? Miejscowego naukowca-amisza? Zanim zdążyłam zapytać, Katie zerwała się z miejsca.

- Muszę popracować w ogrodzie.

Poszłam za nią i usiadłam, przyglądając się, jak zrywa strąki fasoli, składając je do fartucha. Praca najwidoczniej zaprzętnęła ją bez reszty, bo kiedy nagle się odezwałam, Katie aż podskoczyła.

- Dobrze wam się układa z Rachelą?

- Ja. Bardzo często opiekuję się małym Josephem. Przy szyciu, czasem nawet na nabożeństwach.

- Ale dziś jakbyś przestała być jej faworytką jako opiekunka dla syna - zauważyłam.

- To prawda, ale Rachelą zawsze słucha tego, co mówią inni, zamiast wyrobić sobie własne zdanie. - Katie urwała, plotąc w palcach łożdę fasoli. - Nie obchodzi mnie, co ona wygaduje, bo prawda prędzej czy później zawsze wyjdzie na jaw. Ale przykro mi, jeśli to przez nią moja mama płakała.

- Nie rozumiem.

- To, co powiedziała Rachelą, dotknęło ją bardziej niż mnie. Tylko ja jej już zostałam. Muszę teraz być idealna.

Katie wstała, podtrzymując fartuch wypchany zebraną fasolą. Ruszyła w stronę domu, lecz zatrzymała się na widok nadchodzącego wielkimi krokami Samuela.

Zdjął kapelusz, odsłaniając posklejane potem jasne włosy.

- Witaj, Katie - pozdrowił. - Jak się czujesz?

- Świetnie, Samuelu, gut - odparła. - Zebrałam fasolę na obiad.

- Sporo. Piękne strąki.

Słuchałam, nie podchodząc. To ma być zażyłość? Gdzie porozumiewawcze słówka? Gdzie przypadkowe dotknięcia, palce muskające łokieć albo plecy? Samuel musiał już usłyszeć o kłótni przy szyciu narzuty i z całą pewnością przyszedł pocieszać Katie. Nie miałam pojęcia, jak

w tym świecie wyglądają zaloty; nie mogłam się domyślić, czy Samuel krępuje się mówić ó czymś w mojej obecności, czy może tych dwoje młodych ludzi naprawdę nie ma sobie nic do powiedzenia, co byłoby dziwne, jeżeli naprawdę poczęli wspólnie dziecko.

- Przyszła przesyłka - poinformował Samuel. - Można iść zobaczyć.

No, już lepiej - jednak schadzka we dwoje. Uniosłam wzrok, czekając, co Katie mu odpowie i wtedy spostrzegłam, że nie mówił do niej, tylko do mnie.

- Ktoś mi coś przysłał? - zdziwiłam się. - Przecież nikt nawet nie wie, że tutaj jestem.

Samuel wzruszył ramionami.

- Leży na podwórku.

- No dobrze. - Uśmiechnęłam się do Katie. - Zobaczmy, co tym razem wybrał dla mnie ten mój nieznamomy wielbiciel.

Samuel ujął Katie pod ramię i ruszyliśmy w stronę domu. Ja szłam za nimi i obserwowałam, jak dziewczyna bardzo powoli i bardzo delikatnie uwalnia się z jego uścisku.

Na kopcu ziemi usypanym przed oborą leżało pogniecione kartonowe pudło.

- Policja to przywiozła - powiedział Samuel, gapiąc się na nie takim wzrokiem, jakby w środku był grzechotnik.

Podniosłam karton. Dane zgromadzone przez oskarżenie nie były liczne; do tej pory miewałam raczej do czynienia z obszerniejszym materiałem dowodowym. W tym jednym niedużym pudełku zmieściło się wszystko, co do tej pory znaleźli policjanci. Z drugiej strony w tak oczywistej sprawie nie potrzeba wiele.

- Co to jest? - zapytała Katie.

Spojrzałam na nią, stojącą u boku Samuela, z tym samym wyrazem słodkiego zdziwienia na twarzy co poprzednio.

- To z prokuratury - odpowiedziałam. - Zawartość tego pudełka ma stanowić dowód na to, że zabiłaś swoje dziecko.

Dwie godziny później wciąż siedziałam zarzucona zeznaniami i innymi dokumentami, z których ani jeden nie ukazywał mojej klientki w korzystnym świetle. Były tam, co prawda, pewne luki - na przykład brakowało jeszcze wyników testów DNA, które miały ostatecznie potwierdzić, że to ona była matką noworodka, poza tym wiek płodu pozwalał wątpić, czy mógł on przeżyć poza łonem matki - ale generalnie dowody były dla Katie obciążające. Była obecna na miejscu przestępstwa, stwierdzono też, że niedawno urodziła, gdyby zaś tego było mało, to na ciele martwego dziecka znaleziono jej krew. Kryła się z ciężką bardzo starannie, a urodziła w takim sekrecie, że udział w przestępstwie jakiegos

wspólnika, który miałby zabić noworodka zamiast niej, wydawał się nie-dorzecznością. Z drugiej strony wszystkie te wysiłki, aby utrzymać sprawę w tajemnicy, dostarczały oskarżeniu motywu zbrodni: skoro kobieta z takim poświęceniem ukrywa poród, to z dużym prawdopodobieństwem zrobi też, co tylko w jej mocy, aby ukryć to, co się urodzi. Pozostawało pytanie, czy w momencie popełnienia morderstwa Katie była przy zdrowych zmysłach.

Po pierwsze - należało złożyć wniosek o dopuszczenie dowodu z opinii biegłego. Sąd może zapłacić za konsultację zawodowego psychiatry, który, w odróżnieniu ode mnie, nie będzie chciał nawet słyszeć o pracy dla idei. Wniosek trzeba było napisać od razu, bo im szybciej się go złoży, tym prędzej będę miała kwit w rękę.

Wstałam i sięgnęłam pod łóżko po mojego laptopa. Płaska, czarna torba sznurowała po wyfroterowanej podłodze. Omal się nie rozpląkałam, czując w rękach ten cudowny ciężar, wagę czystej technologii i syntetycznej tkaniny. Położyłam torbę na łóżku, otworzyłam zamek błyskawiczny i uniosłam wieko, kryjące monitor mojego komputera. Nacisnęłam klawisz włączający urządzenie.

I nic.

Mamrocząc brzydkie słowa, poszperałam w kieszonkach torby, znalazłam baterię i zamontowałam. System odpalił się, poinformował mnie piknięciem, że baterię należy naładować, po czym pokazał mi pusty, czarny ekran.

No dobrze, to jeszcze nie koniec świata. Mogę siedzieć blisko kontaktu, aż bateria się nie naładuje. Nie będzie mi to przeszkadzać w pracy. Tyle, że... w domu Katie nie było kontaktów. Ani jednego.

Nagle dotarło do mnie z całą jasnością, jak będzie wyglądać praca adwokata - czyli moja - na farmie amiszów. Miałam za zadanie opracować strategię obrony dla klientki, nie dysponując żadnymi udogodnieniami, z których zazwyczaj korzysta adwokat. Wściekła i na siebie, i na sędziego Gormana, złapałam za komórkę i zaczęłam wybijać na klawiaturze jego numer. Zdążyłam nacisnąć trzy klawisze, po czym telefon zdechł mi w dłoni.

- Jezu! - krzyknęłam, ciskając nim ze złością; upadł na łóżko i odbił się. Nie miałam do niego nawet zapasowej baterii. Trzeba będzie naładować tę starą przez zapalniczkę w samochodzie. Oczywiście, miałam do dyspozycji tylko samochód Ledy, za to całkiem pod ręką, czyli trzydzieści kilometrów stąd.

Leda. To jest jakieś rozwiązanie: mogę pracować u niej. Takie rozwiązanie nastroczało jednak pewnych trudności, jako że Katie nie wolno

było opuszczać rodzinnej farmy. Może napiszę wniosek odręcznie...

Zamarłam. Jeśli złożę wniosek napisany odręcznie albo naładuję telefon i zadzwonię do sędziego, to co od niego usłyszę? Że umowa dotycząca zwolnienia za kaucją się nie sprawdziła i że lepiej będzie, jak Katie poczeka na proces w areszcie. Musiałam koniecznie coś na to poradzić.

Podjęłam decyzję. Wstałam i wyszłam na podwórze, kierując się w stronę obory.

Dowiedziałam się od Katie, że w lecie krów nie wyprowadza się na pastwisko codziennie, bo jest dla nich za gorąco. Tak więc w oborze powitało mnie muczenie czarno-białych holenderek uwiązanych łańcuchami do słupków. Jedna, leżąca na ziemi, zerwała się na równe nogi. Widząc jej olbrzymie, silnie zaróżowione wymiona, przypomniałam sobie, co w nocy działo się z Katie. Odwróciłam się od niej, wchodząc pomiędzy dwa rzędy stojących krów, nie zwracając uwagi na odgłosy moczu ściekającego na kraty zamontowane pod zadnimi nogami zwierząt. Miałam nadzieję, że uda mi się w jakiś sposób uruchomić swój komputer.

Zdażyłam zauważyć, że na farmie amiszów wszelkie odstępstwa od obowiązujących zasad podyktowane były wymogami natury ekonomicznej. Przykłady: w nieskazitelnie czystej mleczarni pracowała elektryczna chłodziarko-mieszarka napędzana dwunastowoltowym silnikiem, a próżniowe do jarki zasiliał agregat o napędzie dieslowskim, który włączano dwa razy dziennie. Na owe „nowoczesne udogodnienia” nie patrzono jak na doczesne pokusy, lecz po prostu doceniano praktyczność ich zastosowania; dzięki nim amisze mogli w ogóle stanowić konkurencję dla innych dostawców mleka. Osobiście nie wiedziałam zbyt wiele na temat oleju napędowego ani też silników Diesla, ale nigdy nie wiadomo... Może uda się przystosować taki agregat do zasilania Thinkpada.

- Co pani tu robi?

Słyszając głos Aarona, tak się wystraszyłam, że o mały włos nabiłabym sobie guza o jedno ze stalowych ramion mieszarki do mleka.

- Och! - wykrztusiłam. - Przestraszył mnie pan.

- Coś pani zgubiła? - Zmarszczył brwi, patrząc w ten sam kąt, w który wcześniej ja zaglądałam.

- Nie, wprost przeciwnie. Próbuję coś znaleźć. Muszę naładować baterię.

Aaron zdjął kapelusz i przetarł czoło rękawem koszuli.

- Baterię?
- Zgadza się. Do mojego komputera. Jeżeli mam reprezentować pańską córkę w sądzie tak jak należy, muszę przygotować się do rozprawy. Częścią owych przygotowań będzie napisanie kilku wniosków.

- Ja umiem pisać bez komputera - odparł, odwrócił się i odszedł.

Ruszyłam za nim.

- Nie wątpię, ale w sądzie wymaga się innych standardów. - Z ociąganiem dodałam: - Nie proszę pana o założenie kontaktu w domu ani też o łącze internetowe albo faks, których używam często i dużo przed rozpoczęciem procesu, ale musi pan zrozumieć, że to nie w porządku wymagać ode mnie, żebym pracowała jak amisz, skoro mam się przygotować do rozprawy w angielskim sądzie.

Aaron mierzył mnie długo spojrzeniem swoich ciemnych, przepaści-
stych oczu.

- Zapytamy o to biskupa. Będzie u nas dzisiaj.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- W tej sprawie? Odwrócił się ode mnie.

- W innej - odparł.

Nie mówiąc ani słowa, Aaron Fisher zagonił mnie do bryczki, w której siedziała już jego córka. Jej mina mówiła wyraźnie, że tak samo jak ja, Katie nie ma pojęcia, co się dzieje. Aaron wspiał się na kozioł, sadowiąc się po prawej stronie siedzącej tam Sary, chwycił lejce w dłonie i cmoknął na konia, który ruszył kłusem.

Po drodze dołączył do nas drugi wóz, odkryty; był to ten sam, którym Samuel i Levi przyjeżdżali do pracy. Ruszyliśmy tą niewielką kawkadą drogami, które widziałam po raz pierwszy w życiu. Wiły się one wśród farm i pól, na których o tej porze dnia pracowali jeszcze mężczyźni, dobiegając wreszcie do niewielkiego rozstaju, gdzie zbite w stadko czekały już kolejne bryczki.

Cmentarz był niewielki i zadbany, a każdy kamień nagrobny z grubsza tej samej wielkości, zatem najstarsze z nich nie różniły się od najnowszych niczym oprócz wykutych dat. W najdalszej jego części zgromadziła się grupka amiszów; z daleka czarne suknie kobiet i także same spodnie mężczyzn słały się na ziemi podobne do wronich skrzydeł. Aaron i Sara zsiedli z kozła i jednocześnie skinęli im na powitanie.

Odrobinę za późno dotarło do mnie, że pan i pani Fisher to tylko

pierwszy przystanek na drodze tych nieznanym mi ludzi, którzy okrążyli mnie i Katie, całą uwagę zwracając jednak na nią; gładzili ją po policzkach, po ramieniu, poklepywali po plecach. Szeptali do ucha słowa mówiące o stracie i smutku, które w każdym języku brzmią tak samo. Samuel i Levi zdjęli ze swojego wozu jakiś niewielki przedmiot, który, sądząc po kształcie, nie mógł być niczym innym jak trumną.

Ostępiałam. Oddzieliwszy się od grupki krewnych, podeszłam do Samuela, który stanął nad grobem, nad samą krawędzią. Stał z opuszczoną głową, wbijając wzrok w maleńką drewnianą skrzynkę. Odkaszlnęłam, podniósł wzrok. Dlaczego nikt ci nie współczuje?, chciałam zapytać, ale słowa nie przeszły mi przez gardło.

Do zaparkowanych bryczek dołączył samochód. Wsiedli z niego Leda i Frank, ubrani od stóp do głów na czarno. Spojrzałam po sobie; dzinsy i koszulka z krótkim rękawem. Gdyby ktoś mi choćby jednym słowem wspomniał, że jedziemy na pogrzeb, mogłabym się przebrać. Z drugiej strony nikt nie zadał też sobie zbytecznego trudu, aby uprzedzić o tym Katie.

Dziewczyna przyjęła kondolencje składane przez krewnych, wzdrygając się nieznacznie za każdym razem, kiedy ktoś zaczynał do niej mówić, jakby chwiała się pod ciosem. Biskup i diakon, których zapamiętałam z nabożeństwa, stanęli nad otwartym grobem. Na ten znak niewielka grupa żałobników zebrała się dookoła.

Zachodziłam w głowę, co też kazało Sarze i Aaronowi odzyskać zwłoki tego noworodka, skoro nie chcieli uznać go za swojego wnuka. Poczucie odpowiedzialności? Jakiej odpowiedzialności? Zastanawiałam się, co czuje teraz Samuel, stojący tam, na krawędzi. Co myśli sobie Katie, która konsekwentnie zaprzecza, że była w ciąży.

Wystąpiła naprzód, mocno ściskając matkę za rękę. Biskup rozpoczął modlitwę i wszyscy pochylili głowy - wszyscy oprócz Katie. Ona patrzyła prosto przed siebie, potem spojrzała na mnie, potem zaczęła przyglądać się bryczkom - byle tylko nie widzieć grobu. Na koniec, niczym kwiat, zwróciła twarz w stronę słońca i z uśmiechem wystawiła policzki na jego ciepłe promienie.

Lecz kiedy biskup rozpoczął Modlitwę Pańską, a zgromadzeni, za jego przykładem, zaczęli ją cicho odmawiać, Katie nagle wyrwała rękę matce i puściła się pędem w stronę bryczki. Wskoczyła do środka i zniknęła wszystkim z oczu.

Ruszyłam za nią, widząc, że wbrew wszystkiemu, co do tej pory mówiła, pogrzeb najwidoczniej poruszył w niej jakąś czułą strunę. Zdążyłam zrobić tylko jeden krok; Leda złapała mnie za rękę i osadziła w miejscu, potrząsając nieznacznie głową. A ja, ku własnemu zdziwieniu,

stanęłam posłusznie u jej boku. Dotarło do mnie, że bezgłośnie poruszam ustami w rytm słów modlitwy, słów, których nie wypowiadałam od lat i zdażyłam zapomnieć nawet, że je kiedyś znałam. A potem, zanim Leda zdażyła drugi raz mnie zatrzymać, pobiegłam do bryczki i wsiadłam do środka. Katie kuliła się na tylnym siedzeniu, osłaniając dłońmi głowę. Z wahaniem wyciągnęłam rękę i pogładziłam ją po plecach.

- Wiem, że bardzo ci ciężko - powiedziałam.

Katie wyprostowała się powoli i usiadła sztywno. Oczywiście miała suche, usta nieznacznie skrzywione.

- To nie był mój syn, jeśli o tym właśnie myślisz. To nie był mój syn - powtórzyła.

- W porządku - zgodziłam się. - To nie był twój syn.

Bryczka zatrzęsała się. Aaron i Sara usiedli na koźle i zawrócili konia w stronę domu. A ja z każdym jego rytmicznym krokiem na nowo zadawałam sobie pytanie: skąd Katie, obstająca przy tym, że nie ma o niczym pojęcia, mogła wiedzieć, że noworodek był chłopcem.

Dla krewnych, którzy przyjechali na pogrzeb, Sara przygotowała posiłek. Stół na kozłach, który specjalnie wystawiono na ganek, wypełnił się półmiskami i koszykami z chlebem. Nieznajome kobiety mijaly się w kuchennych drzwiach, uśmiechając się do mnie wstydliwie za każdym razem, kiedy musiały przejść obok.

Nigdzie nie było widać Katie, a co dziwniejsze, nikt jakoś nie czuł się tym faktem zaniepokojony. Usiadłam na ławie, mając przed sobą talerz pełen jedzenia. Nie czułam jednak wcale smaku. Myślałam, o tym, kiedy Coop da radę tutaj przyjechać. Najpierw laktacja, teraz ten pogrzeb, ta maleńka trumna - jak długo Katie zdoła jeszcze upierać się, że nie urodziła dziecka, zanim nastąpi załamanie?

Ława skrzypnęła pod ciężarem zażywej, starszej kobiety, która przysiadła się do mnie. Zmarszczki na jej twarzy przypominały stoje wielkiej sekwoi, ręce miała ciężkie, dłonie sękaty, a na nosie okulary w czarnej rogowej oprawie. Mój dziadek, pamiętam, nosił takie w latach pięćdziesiątych.

- To ty jesteś adwokatką naszej Katie - powiedziała moja nowa sąsiadka. - Miła z ciebie dziewczuszka.

Na palcach jednej ręki potrafiłabym policzyć, ile razy w karierze słyszałam obok siebie słowa „adwokat” i „miły”. Mając zaś skończonych trzydzieści dziewięć lat, zdażyłam już zapomnieć, kiedy po raz ostatni ktoś nazwał mnie „dziewuszką”. Uśmiechnęłam się.

- Tak, to ja.

Kobieta sięgnęła ponad swoim talerzem i poklepała mnie po dłoni.

- Jesteś dla nas kimś bardzo wyjątkowym. Bronisz naszej Katie.
- Dziękuję, ale po prostu taką mam pracę.
- Nie, nie - potrząsnęła głową. - Takie masz serce.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Chodziło przecież tylko o to, żeby doprowadzić do uniewinnienia, co nie miało w zasadzie nic wspólnego z moją własną opinią na temat Katie.

- Przepraszam. - Wstałam z zamiarem ulotnienia się, szybko i po cichu, ale ledwie zdążyłam się odwrócić od stołu, wpadłam prosto na Aarona.

- Zapraszam z nami - powiedział, wskazując biskupa, który przyszedł razem z nim. - Możemy teraz omówić tę kwestię, która dziś wyplęła.

Znaleźliśmy sobie cichy kąt w chłodnej oborze.

- Aaron mówił, że ma pani problem dotyczący sprawy sądowej - zaczął Ephram Stoltzfus.

- Problem nie dotyczy bezpośrednio samej sprawy. Jest to raczej trudność związana z zapewnieniem odpowiedniego zaplecza. Mój zawód wymaga korzystania z pewnych profesjonalnych urządzeń. Są mi one potrzebne na przykład do przygotowania wniosków, które mam zamiar przedstawić sędziemu, a w późniejszej fazie procesu - do opracowania zeznań składanych pod przysięgą. Jeżeli wręcę sędziemu dokument napisany odręcznie, to zabije mnie śmiechem i wyrzuci z sali rozpraw. Najpierw jednak powie, że umowa dotycząca zwolnienia za kaucją nie zdała egzaminu i umieści Katie w areszcie.

- Czy ma pani na myśli korzystanie z komputera?

- Konkretnie rzecz ujmując, tak. Mój sprzęt działa na baterie, ale akurat się rozładowały.

- Nie może ich pani dokupić?

- W wiejskim sklepie raczej nie - odparłam. - To drogi sprzęt. Mogę je naładować, ale do tego potrzebny mi kontakt elektryczny.

- Nie zgadzam się na żadne kontakty w moim domu ani w gospodarstwie - wtrącił Aaron.

- A ja z kolei nie mogę zostawić Katie tutaj, a sama jechać do miasta na osiem godzin, żeby naładować baterie.

Biskup pogładził swoją długą, siwą brodę.

- Aaronie, pamiętasz, jak syn Polly i Josepha Zooków miał astmę? Pamiętasz, jak uznaliśmy, że o wiele ważniejsze niż ścisłe zachowanie tego, co nakazuje Ordnung, jest to, aby można było stale podawać chłopcu

tlen? Uważam, że obecna sytuacja jest taka sama.

- Absolutnie nie - sprzeciwił się Aaron. - To nie jest sprawa życia albo śmierci.

- Proszę zapytać o to swoją córkę - odgryzłam mu się.

Biskup uniósł ręce. Wyglądał w tym momencie dokładnie tak samo jak wszyscy sędziowie, z którymi miałam do czynienia w karierze.

- Aaronie, ów komputer nie należy do ciebie, a ja nie mam wątpliwości, że jesteś gorącym zwolennikiem naszego sposobu życia. W tym jednak wypadku cel uświęca środki, tak jak powiedziałem Zookom. Na tak długo, jak będzie to potrzebne pani adwokat, zezwalam na użycie inwertora na tej farmie. Oczywiście, prąd może służyć wyłącznie jej.

- Co to jest inwertor?

Biskup odwrócił się do mnie.

- Inwertor przetwarza prąd o napięciu dwunastu voltów na prąd o napięciu stu dziesięciu voltów. Nasi przedsiębiorcy zasilają nim kasy w swoich sklepach. Nie możemy używać prądu prosto z generatora, ale inwertor jest zasilany akumulatorem, a na to Ordnung zezwala. Większość rodzin nie ma pozwolenia na używanie tych urządzeń, ponieważ pokusa jest zbyt silna. Rozumie pani: silnik dieslowski napędza generator, generator ładuje akumulator dwunastovoltowy, a inwertor przekształca prąd z akumulatora i może zasilić każde urządzenie - w tym i pani komputer.

Aaron spojrzał z przerażeniem.

- Ordnung zakazuje komputerów, a inwertory wciąż jeszcze stosujemy na próbę - wycedził. - Przecież do tego można podłączyć żarówkę!

Biskup Ephram uśmiechnął się.

- Można, istotnie... Ale ty tego nie zrobisz, Aaronie. Wydam polecenia i ktoś jeszcze dziś przywiezie pani Hathaway inwertor.

Aaron odwrócił wzrok; widać było, że jest dotknięty. Jeśli chodzi o mnie, to sposób, w jaki zawarto tę umowę, kompletnie namieszał mi w głowie, ale mimo to byłam bardzo wdzięczna biskupowi.

- To będzie dla mnie na pewno spore ułatwienie - podziękowałam mu.

Ujął moje ręce w dłonie; przez chwilę poczułam, że znów jestem w pełni sobą.

- Przystosowała się pani do naszego sposobu życia, pani Hathaway - oznajmił. - Czy sądzi pani, że my nie jesteśmy skłonni pójść na podobne ustępstwa?

Nie wiem, skąd wziął się niepokój, który zaczął mnie lekko dręczyć na myśl o tym, że przeze mnie na farmie Fisherów pojawi się elektryczność. Czułam się tak, jakbym była Ewą, z jabłkiem w dłoni i zachęcającym uśmiechem na ustach. I dlaczego? Przecież, na miłość boską, Katie nie zacznie się wymykać do obory, żeby katować Nintendo. Inwertor miał pracować tylko dla mnie i dla mojego Thinkpada - poza tym będzie stał i się kurzył. Mimo to po rozmowie z biskupem jakoś nie chciało mi się wracać do domu. Wysłałam z obory i ruszyłam przed siebie, nie patrząc, dokąd idę.

Dopiero kiedy usłyszałam głos Katie, dotarło do mnie, że zawędrowałam nad staw. Zobaczyłam ją siedzącą nad samym brzegiem, prawie schowaną w kępie wysokich pałek wodnych; bose stopy trzymała zanurzone w wodzie.

- Uważaj, patrzę - powiedziała, wpatrując się w miejsce na samym środku stawu, gdzie nie było widać absolutnie niczego. Uśmiechnęła się, klaszcząc w dłonie - jednoosobowa widowniawłasnego spektaklu jednego aktora.

No dobrze, może i była niespełna rozumu.

- Katie - odezwałam się cicho.

Wystraszyła się i skoczyła na równe nogi, ochlapując mnie wodą.

- Przepraszam! - zawołała.

- W taki upał przyda się ochłoda. - Usiadłam na brzegu stawu. -

Do kogo mówiłaś?

Jej policzki zapłonęły rumieńcem.

- Do nikogo. Do siebie.

- Znowu rozmawiałaś z siostrą?

Katie westchnęła, a potem skinęła głową.

- Ona tu jeździ na łyżwach.

- Na łyżwach - powtórzyłam z kamienną twarzą.

- Ja, mniej więcej piętnaście centymetrów nad wodą.

- Rozumiem. A brak lodu jej nie przeszkadza?

- Nie. Ona nie wie, że jest lato. Robi to samo, co robiła przed śmiercią. - Jej głos zniżył się do szeptu: - I do tego chyba w ogóle mnie nie słyszy.

Przyglądałam jej się przez dłuższą chwilę. Spod lekko przerzywionego czepka wymykało się kilka nieposłusznym kosmyków, kręcąc się w loczki dookoła uszu. Kolana miała podciągnięte pod brodę i oplatała je luźno ramionami. Nie było po niej znać ani wzburzonych emocji, ani dezorientacji. Patrzyła spokojnie przed siebie, tam, gdzie rzekomo widziała swoją siostrę.

Zerwałam pałkę wodną i skręciłam łydę w palcach.

- Jednego nie potrafię zrozumieć: w jaki sposób możesz wierzyć w coś, czego nawet nie widać, a jednocześnie kategorycznie odmawiać

przyjęcia do wiadomości faktów, które inne osoby - lekarze, coroner, Boże jedyny, nawet twoi rodzice - uznają za dowiedzione ponad wszelką wątpliwość. Katie uniosła twarz.

- Ale przecież ja widzę Hannah, wyraźnie jak na dłoni. Na szyi ma szal i jest w zielonej sukience, a przy butach ma łyżwy, które dostała po mnie. A tamtego dziecka nie widziałam ani razu, dopóki nie znaleźli go w oborze, martwego, zawiniętego w koszulę. - Spojrzała na mnie, marszcząc brwi. - W co ty byś uwierzyła na moim miejscu?

Zanim zdążyłam jej odpowiedzieć, obok nas nagle zjawił się Ephram Stoltzfus w towarzystwie diakona.

- Pani Hathaway - powiedział biskup - Lucas i ja musimy te raz porozmawiać z naszą młodszą siostrą.

Chociaż Katie siedziała niezbyt blisko, poczułam, jak zaczyna drzeć na całym ciele. W moje nozdrza uderzył ostry zapach jej strachu. Nawet gdy oskarżano ją o morderstwo, nie widziałam, żeby miała drgawki i to aż tak silne. Po omacku zanurzyła rękę w splełanych trzcinach; poczułam, jak jej dłoń wsuwa się pod moją.

- Chciałabym, żeby mój adwokat był przy tym obecny - powiedziała głosem cichym jak szept.

Biskup spojrział na nią, zaskoczony.

- A po co, Katie?

Dziewczyna nie miała siły nawet unieść oczu na starszego człowieka.

- Proszę - wymamrotała, przełykając z trudem ślinę.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, a biskup skinął głową. Rozdygotana, uległa istota siedząca obok mnie w niczym nie przypominała tej dziewczyny, która zaledwie chwilę wcześniej mówiła mi prosto w oczy, że to, co jedna osoba potrafi dostrzec, dla innej nie musi wcale być tak samo wyraźne. Była za to uderzająco podobna do tego dziecka, które zobaczyłam po wejściu na salę rozpraw. To dziecko, zamiast zebrać się w sobie i bronić, zamierzało pozwolić, aby wymiar sprawiedliwości przetoczył się po nim niczym walec drogowy.

- Jest tak - zaczął biskup z zażenowaną miną. - Wiemy, że sprawa już jest trudna, a z czasem wszystko zagmatwa się jeszcze bardziej. Ale faktem jest, że przyszło na świat dziecko, a ty, Katie, nie masz męża... Słowem, musisz stawić się w kościele i naprawić swoje winy.

Ledwo zauważalnie, Katie skinęła głową. Mężczyźni pożegnali się ze mną i zawrócili w stronę domu ścieżką biegnącą przez pole. Upłynęło

dobrych trzydzieści sekund, zanim Katie zdołała się opanować, a kiedy już było po wszystkim, uniosła ku mnie twarz bladą jak księżyc w nowiu.

- O co im chodziło? - zapytałam.

- Mam przyznać się do grzechu.

- Jakiego grzechu?

- Nieślubne dziecko. - Wstała i ruszyła przed siebie, a ja szybko podażyłam za nią.

- I co zrobisz?

- Przyznam się - padła cicha odpowiedź. - A mam inne wyjście?

Zaskoczyła mnie. Zastąpiłam jej drogę.

- Mogłabyś na przykład powiedzieć im to, co mnie. Że nie urodziłaś żadnego dziecka.

Oczy Katie napełniły się łzami.

- Nie mogę im tego powiedzieć. Nie mogę.

- Dlaczego?

Potrząsnęła głową, a jej mokre policzki załśniły. Zerwała się do biegu, niktąc w falującym morzu kukurydzy.

- Dlaczego? - krzyknęłam za nią. Frustracja osadziła mnie w miejscu, jakbym wrosła korzeniami w ziemię.

Mężczyźni, którzy przywieźli dla mnie inwertor, ustawili go w obozie i podłączyli do agregatu stojącego obok zagrody dla cielnych krów, dzięki czemu przy pracy mogłam cieszyć oczy malowniczym widokiem taśmy policyjnej, ponieważ miejsce przestępstwa wciąż jeszcze było zabezpieczone. Gdyby zabrakło mi inspiracji do wymyślenia strategii obrony dla Katie, miałam oto pod ręką gotowe źródło natchnienia. Kilka minut po godzinie czwartej po południu zaniiosłam do obory akta razem z laptopem i zabrałam się do wykonywania zawodu prawnika.

Levi, Samuel oraz Aaron pracowali przy udoju. Młodszy chłopak z rezygnacją wykonywał najbardziej niewdzięczne zadania w oborze amiszów, czyli wybierał łopatą nawóz i sypał ziarno, tymczasem starsi mężczyźni przecierali krowom dójki kartkami z książki telefonicznej, a następnie zakładali na nie - jedną na dwie dójki - końcówki próżniowych dojarek zasilanych przez ten sam agregat, który, choć nie bezpośrednio, dostarczał energii także mojemu komputerowi. Od czasu do czasu Aaron wnosił pełną bankę mleka do mleczarni i z pluskiem wylewał biały płyn do mieszarki.

Obserwowałam ich przez chwilę, zafascynowana zwinnością ich ruchów, czułością, z jaką poklepywali krowy po bokach albo drapali je za

uszami. Uśmiechnęłam się i podłączyłam laptopa do prądu, odmówiwszy w duchu szybką, żarliwą modlitwę w intencji tego, aby jakiś skok napięcia nie wykasował mi wszystkiego, co mam na twardym dysku, po czym uruchomiłam komputer.

Ekran ożył feerią kolorów, usiany ikonami i podkreślony paskiem narzędzi. Po chwili włączył się mój wygaszacz - komputerowa grafika przedstawiająca rekiny na dnie oceanu. Sięgnęłam po pierwszą szarą aktówkę z zestawu przysłanego przez prokuratora i rozłożyłam ją wprost na sianie. Przeglądając zgromadzone tam dokumenty, zaczęłam układać w myśli treść wniosku o dopuszczenie dowodu z opinii biegłego.

Kiedy uniosłam wzrok znad pracy, zobaczyłam Leviego, który stał po drugiej stronie obory i gapił się na mój monitor, wsparty na zapomnianej chwilowo łopacie. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy dostał w ucho od Samuela, ale kiedy Samuel z kolei spojrzął na ekran, oczy otworzyły mu się szeroko na widok żywych kolorów i tych rekinów, które też wyglądały jak żywe. Widziałam, jak drgnęła mu ręka, jakby chciał dotknąć, sprawdzić, czy to jest prawdziwe i musiał się siłą powstrzymać.

Aaron Fisher nawet nie odwrócił głowy.

Krowa stojąca na końcu rzędu do dojenia głośno zaryczała. Kręciło mi się w nosie od słodkiego zapachu siana i jeszcze słodszej aromatu krowiej paszy. W tle słychać było jednostajny rytm dojarek: ścisnąć-zassać, ścisnąć-zassać. Odciełam się od otoczenia, zebrałam myśli i zaczęłam pisać.

Rozdział siódmy

Szeroki snop światła omiótł jej przykryte kołdrą nogi, potem zakreślił łuk na ścianie, przebiegając aż na sufit - i od nowa, jeszcze raz to samo. Katie, czując, jak serce łomocze jej w piersi, uniosła się na łokciach. Ellie się nie obudziła; bardzo dobrze. Dziewczyna zsunęła się z łóżka i przyklekła pod oknem. Z początku nie zobaczyła nikogo, ale po chwili Samuel zdjął kapelusz i księżyc zaśnił bladym blaskiem na jego jasnych włosach. Katie odetchnęła głęboko, narzuciła na siebie ubranie i pobiegła do niego.

Czekał z zapaloną latarką, którą wyłączył, gdy tylko ujrzał w drzwiach zarys jej sylwetki. I od razu, ledwie zdążyła postawić nogę za progiem, porwał ją w ramiona i przycisnął usta do jej ust, mocno. Katie zmartwiła - nigdy jeszcze nie był taki porywczy - i po chwili odepchnęła się dłońmi od jego piersi.

- Samuelu! - Wystarczyło jedno słowo, żeby natychmiast się cofnął.

- Przepraszam - wymamrotał. - Naprawdę. Po prostu bałem się, że cię stracę.

Katie uniosła wzrok. Znała twarz Samuela równie dobrze jak własną. Dorastali niczym krewniacy, w przyjaźni. Kiedyś, gdy miała jedenaście lat, zagonił ją na drzewo. To z nim pierwszy raz się całowała, za szopą dla cielaków u Josepha Yodera. A teraz czuła nerwowe drżenie jego dłoni na plecach, w okolicy krzyża.

Czasami, kiedy patrzyła w przyszłość, widziała swoje życie niby szereg słupów telefonicznych biegnących skrajem autostrady nr 340, rok za rokiem, aż po sam horyzont. A kiedy w tej wizji patrzyła na siebie samą, to zawsze u jej boku stał Samuel. On uosabiał to, co było dla niej najlepsze i to, czego od niej oczekiwano. On był jej siatką asekuracyjną. Prości ludzie nigdy nie odrywają wzroku od prostej, wąskiej ścieżki - i dlatego nie mogą dostrzec, że wysoko w górze rozpięta jest najwspanialsza lina, po której dane jest stąpać człowiekowi.

Samuel oparł czoło o czoło Katie. Czują jego oddech, jego słowa muskające twarz. Otworzyła usta, aby je pochwycić.

- To dziecko nie było twoje - powiedział natarczywie.
- Nie - szepnęła.

Samuel pochylił twarz i ich usta zlały się w jedno, szeroko jak ocean i tak samo cudownie. Pocałunek miał smak soli. Katie wiedziała, że Samuel, tak jak ona, ma policzki mokre od łez, nie potrafiła sobie tylko przypomnieć, które z nich wylało swój smutek na drugie. Otworzyła się przed nim tak, jak jeszcze nigdy dotąd, rozumiejąc dobrze, że zaciągnęła u niego dług, a on przyszedł dziś po jego spłatę.

A potem Samuel oderwał usta od jej warg i całował powieki Katie; ujawszy jej twarz w dłonie, wyszeptał:

- Zgrzeszyłem.

Splotła palce z jego palcami.

- Nie - uspokoiła go.
- Tak. Wysłuchaj mnie do końca. - Samuel przełknął ślinę. - To dziecko... To dziecko nie było nasze. - Przygarnął Katie do siebie, kryjąc twarz w jej włosach. - Nie było nasze, Katie. Ale ja żałowałem, że nie jest.

- Dotknąłeś kiedyś któregoś z nich?

Adam uniósł wzrok i uśmiechnął się, zobaczywszy Katie pochyloną nad jednym z jego skoroszytów.

- Mhm - przytaknął. - W pewnym sensie. Ich nie można złapać w rękę, tylko co najwyżej poczuć, na samej skórze.
- Jak podmuch wiatru? Adam odłożył pióro.
- Raczej jak dreszcz.

Katie skinęła głową i wróciła do lektury, którą czytała z całą powagą. Już po raz drugi przyjechała w tym tygodniu do brata - co stanowiło wydarzenie absolutnie bez precedensu - specjalnie wybierając taki dzień, kiedy Jacob pracował na uczelni aż do popołudnia. Kiedy Adam usiadł obok niej, uśmiechnęła się i poprosiła:

- Opowiedz mi, jak to było.

- To zdarzyło się w starym hotelu w Nantucket. Obudziłem się w środku nocy i zobaczyłem, że przy oknie stoi jakaś kobieta i wygląda na zewnątrz. Miała na sobie staroświecką suknię, a w powietrzu unosiła się woń perfum. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie natrafiłem już na ten zapach. Usiadłem w łóżku i zapytałem ją, kim jest, ale nie odpowiedziała i wtedy dotarło do mnie, że widzę przez nią parapet i drewnianą framugę okna. Nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi, a w końcu odsunęła się

od okna i przeszła prosto przeze mnie. Poczułem... chłód. I dreszcz biegnący po plecach.

- Bałeś się?

- Niespecjalnie. Ona chyba nie wiedziała, że tam jestem. Następnego dnia rano opowiedziałem o wszystkim właścicielowi i dowiedziałem się od niego, że to był kiedyś dom kapitana, który zginął na morzu. Wyszło na to, że widziałem wdowę po nim. Do tej pory czeka na powrót męża.

- Jakie to smutne - powiedziała Katie.

- Historie o duchach najczęściej takie właśnie są.

Nagle Adamowi wydało się, że Katie zaraz się rozplacze. Wyciągnął dłoń i pogładził ją po głowie.

- Włosy miała zupełnie jak ty. Bujne, proste i długie. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś nosił takie długie włosy. - Katie zaczerwieniła się po same uszy, a on odsunął się i podciągnął kolana pod brodę, oplatając je ramionami. - A ja mogę cię o coś zapytać?

- Dobrze.

- Bo jest tak: niebywale mi pochlebia, że tak cię pasjonują moje badania, ale jednak... Muszę powiedzieć, że jesteś ostatnią osobą, której zainteresowania bym się spodziewał.

- Chodzi ci o to, że jestem z prostych ludzi?

- No właśnie.

Katie przesunęła palcami po stronie, którą Adam własnoręcznie przepisał na maszynie.

- Znam te duchy - powiedziała. - Wiem jak to jest, poruszać się w świecie, do którego tak naprawdę się nie należy. I wiem też, co to znaczy, kiedy ludzie gapią się na ciebie, przesywają wzrokiem na wylot i nie wierzą własnym oczom. - Katie odłożyła skoroszyt z wynikami badań i spojrzała na Adama. - Skoro ja istnieję, to dlaczego one nie mogą?

Adam kiedyś przeprowadzał rozmowy z grupą turystów, którzy na własne oczy zobaczyli, jak z pola bitwy pod Gettysburgiem wstaje batalion żołnierzy, których przedtem nikt tam nie widział. Za pomocą kamer pracujących w podczerwieni rejestrował „zimne” pola energetyczne, które otaczają zjawy. Słyszał, jak duchy przesuwały skrzynki w piwnicach, trzaskają drzwiami, dzwonią dzwoneczkami w telefonach. Niemniej jednak przez wszystkie te lata, które spędził na zbieraniu materiałów do swojej pracy doktorskiej, musiał zaciekle walczyć o wiarygodność.

Czując, że otrzymał nauczkę, ujął dłoń Katie i uściśnął ją delikatnie, potem zaś uniósł do ust i pocałował nadgarstek, po wewnętrznej stronie.

- Nie jesteś duchem - zapewnił ją.

George Callahan spojrzął na talerz Lizzie i zmarszczył brwi.

- Czy ty w ogóle coś jesz? Niedługo wiatr cię przewróci.

Policjantka ułamała kawałek bajgla leżącego przed nią.

- Dlaczego ty nigdy nie jesteś zadowolony, dopóki wszyscy wokół ciebie czegoś nie żrą?

- Prawnicy tak mają. - George otarł usta serwetką i rozsiadł się wygodniej na krześle. - A dziś potrzebna ci będzie energia. Próboweś kiedyś wyciągnąć z amiszów zeznania poza protokołem?

Lizzie cofnęła się wspomnieniami.

- Raz - odparła. - Przy tej sprawie Charliego Lappa, tak zwanego Wariata.

- Pamiętam. Dzieciak-schizofrenik. Samowolnie odstawił leki, ukradł samochód i smyknął do Georgii. Teraz będzie gorzej. W stosunku, mniej więcej... jeden do stu.

- George, daj mi pracować. Czy ja ci mówię, jak masz prowadzić sprawę?

- A mówisz. Jasne, że mówisz. Tylko ja nie słucham. - Prokurator nachylił się ku niej, oparł łokcie na stole. - Zabójstwa noworodków rzadko kiedy trafiają na wokandę, zazwyczaj dochodzi do umowy pomiędzy obroną a oskarżeniem. Matka zawsze dostaje możliwie najniższy wyrok, o ile w ogóle zostaje skazana. Wiesz dlaczego?

- Bo żaden ławnik nie uwierzy, że matka byłaby zdolna zabić własne dziecko?

- Częściowo tak. Bardziej jednak chodzi o to, że oskarżenie nie potrafi wskazać motywu zbrodni i sprawa przestaje przypominać morderstwo.

Lizzie zamieszała swoją kawę.

- Ellie Hathaway może powołać się na brak poczytalności oskarżonej.

- Na razie jeszcze tego nie spróbowała. - George wzruszył ramionami. - Posłuchaj. Mnie się wydaje, że to będzie głośna sprawa, właśnie ze względu na to, że są w nią zamieszani amisz. To szansa, żeby zrobić szum wokół biura prokuratora okręgowego.

- Który, oczywiście, bynajmniej ci nie zaszkodzi w nadchodzących wyborach na to stanowisko - zauważyła Lizzie.

George zmrugał oczy.

- Tutaj nie chodzi o mnie. To nie Najświętsza Maryja Panna, która urodziła małego Jezuska w stajence, jest oskarżona w tej sprawie, tylko Katie Fisher, która urodziła dziecko w oborze, aby potem je z premedytacją zabić i ukryć zwłoki. - Prokurator uśmiechnął się do policjantki. - A ty dostarczysz dowodów, że mam rację.

Ellie, Sara i Katie zobaczyły samochód parkujący na podwórku przez okno w kuchni, gdzie razem marynowały ogórki.

- Och - westchnęła Sara, odsuwając firankę, żeby było lepiej widać - znów przyjechała ta policjantka.

Ellie zamarła, obcinając czubek ogórka.

- Będzie chciała rozmawiać ze wszystkimi. Katie, idź do swojego pokoju i nie wychodź, dopóki ci nie powiem.

- Dlaczego?

- Bo to jest wróg, rozumiesz? - Katie pobiegła na górę, a Ellie odwróciła się do Sary: - Ty będziesz musiała z nią porozmawiać. Mów jej tylko o tym, o czym możesz mówić bez oporów.

- Nie zostaniesz tutaj?

- Ja będę pilnować, żeby Katie nie wpadła w jej ręce. To jest ważniejsze.

Sara skinęła głową i w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Odczekała, aż Ellie wyjdzie i poszła otworzyć.

- Dzień dobry, pani Fisher. Nie wiem, czy pani mnie pamięta, jestem...

- Pamiętam panią - powiedziała Sara. - Zechce pani wejść? Lizzie skinęła przytakująco.

- Bardzo chętnie. Chciałabym zadać pani kilka pytań. - Rozejrzała się po kuchni, dostrzegając słoiki wekujące się na piecu i stosiki ogórków leżące na stole. - Czy nie ma pani nic przeciwko? - Sara skinęła sztywno głową, na co policjantka sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła notes. - Czy może mi pani trochę opowiedzieć o swojej córce?

- Katie to dobra dziewczyna. Jest pokorna, nie zna skąpstwa, zawsze życzliwa i służy Panu.

Lizzie postukała ołówkiem w kartkę, nie zapisując ani słowa.

- Widzę, że ma pani anioła w domu.

- Nie. To dobra córka prostych ludzi.

- Ma chłopaka?

Sara zacisnęła dłonie pod fartuchem.

- Odkąd u Katie zaczęły się zielone lata, było ich kilku. Ale najpoważniej traktowała Samuela. Samuel pracuje z moim mężem na farmie.

- Pamiętam, poznałam go. Najpoważniej - to znaczy jak poważnie?

- Nie mnie to oceniać - powiedziała Sara oględnie, ze wstydliwym uśmiechem na ustach. - To są prywatne sprawy Katie. A gdyby naprawdę myśleli o ślubie, wtedy to Samuel powinien zająć do pośrednika małżeńskiego. To on, Schtecklimann, przyszedłby do Katie i zapytał, jak jest jej wola.

Lizzie uniosła brew.

- Mam rozumieć, że Katie nie mówi pani wszystkiego o swoim życiu osobistym?

- Oczywiście, że nie.

- A czy zwierzyła się pani, że jest w ciąży? Sara wbiła wzrok w podłogę.

- Nie wiem.

- Nie chcę być niegrzeczna, pani Fisher, ale albo tak było, albo nie. Trzeciej możliwości nie ma.

- Nie powiedziała mi niczego wprost, ale z drugiej strony nie poinformowałaby mnie o tym sama z siebie. To bardzo osobista sprawa.

Lizzie ugryzła się w język i zamiast powiedzieć, co miała na myśli, zapętała tylko:

- Nie zauważyła pani, że córka nosi obszerniejsze sukienki? Że przestała miesiączkować?

- Miałam już dzieci, pani detektyw. Wiem, jakie są oznaki ciąży.

- Ale nie rozpoznałaby ich pani, gdyby ktoś celowo ukrywał ciążę?

- Raczej nie - przyznała Sara cichym głosem. - Możliwe jednak, że sama Katie nie wiedziała, co się dzieje.

- Przecież wychowała się na farmie. Widziała też panią w ciąży, prawda? - Sara skłoniła głowę, potwierdzając, a w głowie Lizzie błysnęła nagle pewna myśl. - Czy Katie kiedykolwiek wykazała się agresją?

- Nie. Wprost przeciwnie, zawsze zносиła do domu znalezione wiewiórki i ptaki. Kiedy krowa zdechła przy cieleniu, to ona zawsze karmiła jej młode. Opiekowała się wszystkim, co potrzebowało opieki.

- Czy często opiekowała się młodszą siostrą?

- Tak. Hannah chodziła za nią jak cień.

- Może mi pani przypomnieć, jak umarła pani najmłodsza córka?

Sara zacisnęła powieki, siłąc się na rzeczowy, obojętny ton.

- Utonęła zimą w naszym stawie. Jeździła na łyżwach i lód się pod nią załamał. Miała siedem lat.

- Współczuję. Czy była pani przy tym?

- Nie, poszły się ślizgać razem z Katie. - Nie doczekawszy się następnego pytania, Sara uniosła wzrok, dostrzegając dwuznaczny minę policjantki. - Nie myśli pani chyba, że Katie miała coś wspólnego ze śmiercią własnej siostry!

Lizzie uniosła brwi.

- Pani Fisher - szepnęła - ja tego nie powiedziałam.

W świecie marzeń, myślała Lizzie, Samuel Stoltzfus - w białym od Calvinia. Kleina - byłby ozdobą okładek kolorowych magazynów. Wysoki, muskularny blondyn, prezentował klasyczny typ męskiej urody, która mogła zawrócić w głowie każdej kobiecie, bez względu na wiarę i wyznanie. Ale ona, po dwudziestu minutach przesłuchiwania go, wiedziała już, że to ciało greckiego boga nie kryje mózgu Sokratesa. Zdążyła mu już opowiedzieć, co do jednego, o wszystkich badaniach, które potwierdziły niezbicie, że jego dziewczyna była w ciąży - a on zawzięcie obstawał przy swoim: Katie nie urodziła żadnego dziecka.

Szedł w zaparte, zupełnie jak jego dziewczyna. Czyżby to było zażądanie, tak jak grypa?

Lizzie westchnęła ciężko, dając za wygraną.

- Spróbujmy z innej beczki. Opowiedz mi o swoim szefie.

- O Aaronie? - Zdziwienie Samuela było jak najbardziej uzasadnione; w końcu dotąd pytano go wyłącznie o jego relacje z Katie. - To dobry człowiek. Bardzo prosty człowiek.

- A mnie się wydawał jakby nieco uparty.

Samuel wzruszył ramionami.

- Przywykł robić wszystko po swojemu - odparł, ale dodał szybko: - Skoro farma jest jego, to tak właśnie powinno być.

- A kiedy ty dołączysz do rodziny? Czy wtedy farma nie będzie także twoja?

Samuel pochylił głowę z wyraźnym zakłopotaniem.

- On sam o tym zadecyduje.

- Czy będzie jeszcze inny kandydat na gospodarza, zwłaszcza kiedy Katie wyjdzie już za mąż? No, chyba, że pan Fisher ma syna, o którym nikt mi nie wspomniał.

Samuel odpowiedział, nie unosząc głowy:

- On nie ma już synów.

Lizzie spojrzała na niego bacznie.

- Wydawało mi się, że umarło im tylko jedno dziecko. Dziewczynka.

- Tak, Hannah. - Samuel przełknął. - Nikt inny. Chciałem powiedzieć, że on nie ma synów. Czasami zapominam, jak to się mówi, kiedy rozmawiam z Anglikami.

Lizzie obrzuciła go wzrokiem. Ten człowiek miał odziedziczyć farmę Fisherów - jeśli tylko udałoby mu się zdobyć Katie. Gdyby dał Aaronowi Fisherowi wnuka, sukces miałby zapewniony. Czy Katie zabiła swoje dziecko, bo nie chciała być skazana na Samuela? Żeby tylko nie odziedziczył farmy?

- Zanim znaleziono tego noworodka w oborze - zapytała - czy zdarzały się wam kłótnie?

Samuel zawahał się.

- Nie sędzę, żebym musiał się pani z tego spowiadać.
- A ja sędzę, że musisz. Bo twoją dziewczynę czeka sprawa o morderstwo, a ty, jeśli miałeś z tym cokolwiek wspólnego, zostaniesz oskarżony o współudział. Słucham. Czy zdarzało się wam pokłócić?

Samuel zaczerwienił się, a Lizzie wytrzeszczyła oczy; nigdy w życiu nie widziała jeszcze, żeby taki wielki facet miał wstyd wypisany na twarzy.

- Tylko o drobiazgi.
- Na przykład?
- Kiedy nie chciała pocałować mnie na dobranoc.

Lizzie uśmiechnęła się szeroko.

- No, to już chyba była musztarda po obiedzie.

Samuel spojrział na nią zdziwiony, mrugając oczami.

- Nie rozumiem.

Teraz to ona się zaczerwieniła.

- Chciałam powiedzieć, że co tam jeden buziak, skoro i tak już zaszła z tobą w ciążę.

Policzki chłopaka zapłonęły jeszcze głębszym szkarłatem.

- Katie nie była w ciąży.

I z powrotem od początku.

- Samuelu, o tym już rozmawialiśmy. Katie urodziła dziecko. Badania lekarskie to potwierdziły.

- Nie znam tych angielskich lekarzy - powiedział Samuel. - Ale moją Katie znam. Ona mówi, że nie urodziła dziecka i mówi prawdę, bo to jest niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo nie. - Odwrócił głowę.

- To nie jest przekonująca odpowiedź, Samuelu - zwróciła mu uwagę Lizzie.

Spojrzał na nią i wyrzucił z siebie podniesionym głosem:

- Bo nigdy z nią nie współżyłem!

Odpowiedziała mu dopiero po chwili.

- To, że ani razu nie spała z tobą - zauważyła łagodnym głosem - jeszcze nie oznacza, że nigdy z nikim nie spała.

Poczekwała, aż jej słowa dotrą do jego świadomości, przebiją się do niej jak straszliwy taran, druzgocąc ostatnie linie obrony. Olbrzymi mężczyzna zwinął się w pół, ściskając rękami żołądek, aż rondo jego kapelusza dotknęło kolan.

Lizzie przypomniała sobie sprawę, nad którą pracowała dawno temu. Dziewczyna właściciela sklepu jubilerskiego zdradziła swojego

chłopaka i zaszła w ciążę, ale chciała zachować twarz i zamiast powiedzieć prawdę, oskarżyła swojego kochanka o gwałt i podała do sądu. Teraz, być może, do zabójstwa noworodka doszło bynajmniej nie z powodu kłótni pomiędzy Katie a Samuelem. Zamiast się przyznać, że poszła do łóżka z innym mężczyzną i postąpiła wbrew nakazom swojej religii - co złamałoby serce jej rodzicom i zrujnowało jej widoki na wspólne życie z Samuelem - Katie po prostu pozbyła się dowodów swojego grzechu.

Ramiona Samuela drżały od wezbranych uczuć. Lizzie poklepała go lekko po plecach i wyszła, aby mógł w samotności pogodzić się z prawdą. Tutaj nie chodziło o to, że on nie wierzył, że Katie urodziła dziecko; on po prostu nie chciał w to uwierzyć.

- Czy to możliwe? - szeptał Samuel, trzymając dłonie Ellie w kurczowym uścisku, niczym ostatnią deskę ratunku. - Czy ona mogła mi zrobić coś takiego?

Nigdy nie chciało jej się wierzyć, że można to zobaczyć, ale oto właśnie na jej oczach pękało ludzkie serce. Widok ten przypominał jej, jak kiedyś obserwowała wyburzanie wieżowca w Filadelfii, który zapadał się w siebie, piętro po piętrze, aż nie pozostało nic, tylko wspomnienie zawisłe w powietrzu.

- Przykro mi, Samuelu. Nie znam jej aż tak dobrze. Nie umiem tego powiedzieć.

- Ale czy słyszała pani coś od niej na ten temat? Może chociaż imię tego człowieka?

- Na razie nie wiemy, czy „ten człowiek” w ogóle istnieje - przypominała mu Ellie. - Tej policjantce właśnie o to chodzi: masz zacząć wyciągać pochopne wnioski, bo wtedy jest szansa, że zrobisz jakiś błąd i powiesz coś, co przyda się oskarżeniu.

- Niczego jej nie powiedziałem - powtórzył z naciskiem Samuel.

- Wierzę - odparła oschle. - I tak mają dość materiału. Jest nad czym pracować. - Ale już sama myśl o czymś podobnym naprowadziła ją na trop. Krótko mówiąc, to właśnie miał być motyw, którym chciał zagrać prokurator: Katie zabiła, bo nie chciała dopuścić, aby jej wina wyszła na jaw.

Samuel spojrzął na Ellie poważnym wzrokiem.

- Zrobię wszystko dla Katie.

- Wiem. - I Ellie naprawdę wiedziała o tym dobrze. Pytanie brzmiało: czy i jakie granice miała jego przysięga? Czy to możliwe, że Samuel jest tylko zdolnym aktorem, a w rzeczywistości wiedział dobrze, że jego dziewczyna była w ciąży? Nawet gdyby Sarze to umknęło, on musiałby zauważyć zmiany, choćby wtedy, gdy przytulał Katie - i w prosty sposób domyśliłby się, że to nie on jest ojcem. W domu Fisherów nie

było synów, więc to on miał otrzymać ich gospodarstwo - gdyby tylko udało mu się zdobyć Katie. A farma w hrabstwie Lancaster to był wielki skarb; na rynku nieruchomości zdarzało się niekiedy, że ich wartość liczone w milionach dolarów. Gdyby Katie urodziła dziecko, a potem wyszła za jego ojca, Samuel zostałby na lodzie. Motyw morderstwa był jasny - ale wskazywał na kompletnie innego podejrzanego.

- Wydaje mi się, że musisz porozmawiać z Katie - powiedziała łagodnie Ellie. - Ja nie odpowiem ci na te pytania.

- Mieliliśmy być razem. Tak mi mówiła - jęknął Samuel drżącym głosem. Nie płakał, ale oczy lśniły mu od łez. Złamane serca mają też to do siebie, że nie da się znieść ich widoku, nie dzieląc choćby cząstki cierpienia. Samuel odwrócił się od Ellie, garbiąc plecy. - Wiem, że Pan nakazuje mi jej wybaczyć, ale w tej chwili nie mogę tego uczynić. W tej chwili chcę wiedzieć tylko jedno: z kim wtedy była.

Ellie skinęła głową. Nie ty jeden, dodała w myślach.

Wokół filarów mostu kolejowego wiły się pnącza, wyciągając swoje długie ramiona w kierunku podziałki poziomej wody i nitów spajających stal z betonem. Katie podwinęła dżinsy, zdjęła buty, potem skarpetki i weszła za Adamem do płytkiej przybrzeżnej wody. Ostre kamyki kłuły ją w podkulone stopy, a te gładsze były śliskie; czuła, jak jej pięty się z nich zsuwają. Kiedy oparła się o filar, aby nie stracić równowagi, nagle poczuła dłonie Adama na ramionach.

- Jest rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty ósmy, grudzień - szepnęła. - Pada marznący deszcz, szaleje burza powodująca gołoledź. Dwustu trzech pasażerów wyrusza do Nowego Jorku na święta pociągiem Pennsylvania Line. W tym miejscu, na samym skraju mostu, pociąg wypada z torów. Wagony toną w lodowatej wodzie. Sto osiemdziesiąt sześć osób traci życie.

Poczuła ciepło jego oddechu na szyi, przy samym ramieniu, ale po chwili, równie nagle, Adam odsunął się od niej.

- Więc dlaczego nie ma tutaj stu osiemdziesięciu sześciu duchów?

- Można śmiało założyć, że rzeczywiście one tu są, ale widziano tylko jednego. Kobieta nazwiskiem Edye Fitzgerald. Są na to świadkowie. - Adam wyszedł z powrotem na brzeg, wziął do rąk długą, płaską skrzynkę z mahoni i zaczął majstrować przy zamku. - Edye i John Fitzgeraldowie jechali do Nowego Jorku w podróż poślubną. John przeżył katastrofę. Podobno chodził z ratownikami na miejsce tragedii i wołał

żonę po imieniu. Kiedy odnaleziono i zidentyfikowano jej zwłoki, pojechał do Nowego Jorku, sam, wynajął apartament dla nowożeńców w jakimś wytwornym hotelu i odebrał sobie życie.

- To grzech - powiedziała ostro Katie.

- Tak? A może on tylko chciał wrócić do niej, do Edye? - Adam uśmiechnął się lekko. - Ja w każdym razie chętnie zobaczyłbym ten apartament, żeby sprawdzić, czy go nie nawiedza. - Uniósł wieczko płaskiej skrzynki. - Co do Edye, istnieją zeznania ponad dwudziestu świadków, którzy widzieli ją, tutaj, w tym miejscu. Chodziła w wodzie przy brzegu i wołała Johna po imieniu.

Wyjął ze skrzynki dwa zgięte pręty w kształcie litery L i zakręcił nimi w dłoniach, jakby mierzył do celu. Katie przyglądała mu się, a oczy miała okrągłe jak spodki.

- Do czego ci to?

- Będę łapał duchy. - Uśmiechnął się, widząc jej wstrząśniętą minę. - Wy nigdy nie używacie różdżek? Pewnie nie... Ludzie bawią się nimi w szukanie wody, czasem nawet złota, ale są one też czułe na energię. Kiedy coś wychwyca, nie wyginają się do dołu, tylko zaczynają drzeć.

Ruszył dookoła betonowego filaru, poruszając się tak bezszelestnie, że woda, w której brodził, ledwie zaszeptala, rozgarniana jego łydkami. Dłonie zacisnął na uchwytych różdżki, głowę pochylił w skupieniu.

Katie nie umiała sobie wyobrazić swoich rodziców w rolach Johna i Edye Fitzgeraldów, ludzi, których miłość sięgnęła wszelkich skrajności. Nie; kiedy współmałżonek umiera, a śmierć to przecież naturalna kolej rzeczy, wdowa lub też wdowiec dalej robią swoje. Kiedy poszperała w pamięci, stwierdziła, że nie widziała ani razu, żeby Dał całował Mam, choćby nawet od niechcenia, w przelocie. Pamiętała jednak dobrze, jak przez cały dzień pogrzebu Hannah obejmował ręką jej ramiona, albo jak czasami po skończonym obiedzie uśmiechał się do niej tak promiennie, jakby właśnie przychyliła mu nieba. Katie od najmłodszych lat uczono, że to wspólnie wyznawane wartości i proste życie cementują trwałość małżeństwa, namiętność zaś przychodzi później i jest rzeczą prywatną. Ale kto powiedział, że nie może ona przyjść wcześniej? Czy to przemożne westchnienie wyrrywające się z piersi, ten ogień wybuchający głęboko w brzuchu, gdy ta jedyna osoba otrze się ramieniem o twoje ramię, dźwięk jej głosu ściśle oplatający twoje serce - czy żadna z tych rzeczy nie może połączyć mężczyzny i kobiety na wieczność?

Adam nagle znieruchomiał. Jego dłonie drżały lekko w rytm dygotania różdżki.

- Coś tutaj jest - oznajmił. Katie uśmiechnęła się lekko.
- Betonowy filar - odpowiedziała.

Po jego twarzy przemknął cień zawodu, ale tak szybko, że nie miała pewności, czy to nie była może tylko jej wyobraźnia. Ramiona różdżki szarpnęły się znów, mocniej. Adam cofnął się gwałtownie.

- Uważasz, że ja sobie to wszystko zmyślam?
- Wcale nie...
- Nie musisz kłamać. Masz to wypisane na twarzy.

- Nie rozumiesz... - zaczęła się tłumaczyć. Adam wcisnął jej w rękę różdżkę.

- Trzymaj - rzucił wyzywającym tonem. - Sama to poczuj. Katie zacisnęła dłonie na rozgrzanych uchwytach, tam, gdzie przed chwilą spoczywały jego dłonie. Ostrożnie podeszła do miejsca, w którym przed chwilą stał.

Najpierw poczuła dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. A potem ogarnął ją niewysłowiony smutek, omotał niczym rybacka sieć. Różdżka zaszamotała się w jej dłoniach, jakby ktoś za nią ciągnął, chwycił się jej jak liny ratowniczej. Przygryzła dolną wargę, opierając się z całych sił i rozumiejąc, że ten trwożliwy niepokój, ta niewidoczna energia, ten ból - to właśnie jest duch.

Adam położył dłoń na ramieniu Katie, a ona wybuchnęła płaczem. To było dla niej za wiele - nie mogła znieść myśli, że to prawda, że umarli mogą wciąż przebywać tutaj, na ziemi, a to, że od lat widuje Hannah, nie jest wcale skutkiem choroby psychicznej. Poczuła, jak oplatają ją ramiona Adama; chciała się od niego odsunąć i bardzo się speszyła, gdy dotarło do niej, że wypłakuje mu się w koszulę.

- Cicho... - szepnęła, jakby próbował uspokoić dzikie, nieufne zwierzę. - Nic się nie stało.

Ale to nie była prawda. Czy od Hannah emanowała ta sama rozpacz, którą Katie wyczuła u Edye Fitzgerald? Czy nadal, tak jak wtedy, wołała Katie na pomoc?

Wargi Adama, ciepłe, otarły się o jej ucho.

- Poczułaś ją - szepnęła z podziwem, a ona przytaknęła, ocierając policzek o jego dłoń.

Znów poczuła drżenie, ale tym razem zrodziło się ono w niej samej. Jego oczy jaśniały błękitem, który można zobaczyć, kiedy człowiek kręci się w kółko na polu kukurydzy, a potem upadnie na plecy, a cały świat wiruje dokoła w pędzie zawrotów głowy. Czując, jak jej serce łomocze w piersi, a głowa kręci się jak dziecinny bączek, pomyślała o Edye i Johnie

Fitzgeraldach. A gdyby ją ktoś tak pokochał, że przez całą wieczność powtarzałby tylko jej imię...

- Katie - szepnął Adam, pochylając głowę.

Wiedziała już, jak smakują pocałunki; suche, szorstkie cmoknięcia, po których w zasadzie powinny zostawać siniaki. Usta Adama łagodnie muskały jej wargi, aż skóra zaczęła mrowić, a gardło zacisnęło się boleśnie. Przywarła do niego całym ciałem. Smakował kawą i gumą miętową; trzymał ją w ramionach tak, jakby była krucha i mogła się potłuc.

Nagle odsunął się gwałtownie.

- O, Boże. - Cofnął się o krok. - O, mój Boże.

Katie założyła kosmyk włosów za ucho i zaczerwieniła się, spuszczać wzrok. Co ją opętało? Tak się nie zachowują dziewczyny z rodzin prostych ludzi. Chociaż z drugiej strony, przecież Katie wcale nie była teraz prostą dziewczyną. W tym ubraniu, które kupił jej Jacob, z włosami rozpuszczonymi na angielską modłę - czuła się zupełnie jak ktoś inny. Ktoś, kto może wierzyć w duchy. Ktoś, komu wolno wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia, w miłość, która trwa wiecznie.

W końcu zebrała się na odwagę i uniosła wzrok.

- Przepraszam - powiedziała.

Adam powoli potrząsnął głową. Kącik jego ust, tych pięknych ust, drgnął dziwnie. Wziął Katie za rękę i ucałował sam środek jej dłoni, składając w niej pocałunek niczym znak na pamiętkę, który można zabrać ze sobą, włożyć do kieszeni.

- Nie przepraszaj - szepnął, biorąc ją w ramiona po raz drugi.

Ellie wpadła do pokoju, w którym mieszkała razem z Katie, trzaskając za sobą drzwiami.

- Pojechała sobie?

Niespodziewane pytanie zatrzymało adwokatkę w pół kroku.

- Kto? - zdziwiła się.

- Policjantka. Ta, którą widzieliśmy na podwórku.

Boże jedyny, pomyślała Ellie, kompletnie zapomniałam, że Lizzie Munro grasuje na farmie.

- O ile wiem, przesłuchuje właśnie wasze krowy - warknęła. - A ty wstawaj, Katie Fisher. Mamy ze sobą do pogadania.

Wystraszona Katie usiadła na łóżku, opuszczając nogi na podłogę.

- Co się stało?

- Powiem ci, co się stało. Detektyw pracujący dla prokuratora zdobywa w tej chwili, na tej farmie, od twoich znajomych i krewnych, bardzo wartościowy towar, który nazywa się fakty. A ja co?

Siedzę tu kamieniem od tygodnia i nie mogę się doprosić od ciebie jednej szczerzej odpowiedzi. - Katie otworzyła usta, ale Ellie uniosła dłoń, nie dając jej dojść do słowa. - Nie. Nawet nie próbuj mi powtórzyć, że już powiedziałaś mi prawdę. Wiesz, czego się dowiedziałam o tym dziecku, którego jakoby nie urodziłaś? Twój chłopak, Samuel, właśnie przed chwilą powiedział mi, że nie spałaś z nim, czyli pewnie poczęłaś je z kim innym.

Katie otworzyła oczy tak szeroko, że jej błękitne tęczówki wyglądały jak barwne kółka na białych spodkach.

- To nieprawda. Nie zrobiłabym tego przed ślubem.

- Oczywiście, że nieprawda - parsknęła Ellie sarkastycznie. - Znaczy się, dzieworództwo.

- Nie urodziłam...

- Nie urodziłaś żadnego dziecka! Nie spałaś z żadnym mężczyzną! - krzyknęła Ellie, roztrzęsionym głosem. - Boże, Katie, jak ja mam cię bronić? - Stała nad dziewczyną, zalewając ją falami gorącego gniewu. - Jeden chłopak chodzi załamany, bo się wydało, że nie jest twoim jedynym. Kiedy biskup daje ci do zrozumienia, że jego zdaniem odbyłaś stosunek seksualny, kiwasz tylko pokornie główką. Ale jak ja cię o coś pytam, to jakbym mówiła do ściany! Nie można od ciebie nic wyciągnąć! Jak ja mam pracować?

Katie aż się zachwiała, uderzona tą falą wściekłości. Skrzyżowała ramiona na brzuchu i odwróciła wzrok.

- Kocham Samuela. Naprawdę.

- I kogo jeszcze? Kogo... jeszcze?

- Nie wiem. - Rozpląkała się i zakryła dłońmi twarz, zaczepiając o swój kapp, który spadł na podłogę. - Nie wiem. Nie wiem, kto to był!

- Katie, na miłość boską, rozmawiamy o seksie z mężczyzną, a nie o tym, jakie płatki jadłaś tydzień temu na śniadanie. Takich rzeczy się zwykle nie zapomina!

Katie opadła na łóżko i zwinęła się w pozycję płodu. Zapłakana, zaczęła kołysać się w przód i w tył.

- Czego mi nie powiedziałaś? - dopytywała się Ellie. - Byłaś pijana?

- Nie.

- Na haju?

- Nie! - Katie schowała twarz w poduszkę. - Nie pamiętam, kto mnie dotykał!

Jej zawodzący szloch schwycił pierś Ellie niby kleszcze, zaciskając się tak mocno, że każdy oddech był ogromnym wysiłkiem. Adwokatka

jęknęła na znak kapitulacji. Usiadła na łóżku i przygarnęła dziewczynę do siebie, gładząc ją po włosach i pocieszając szeptem.

Katie przylgnęła do niej jak dziecko, przerośnięte, dopiero raczkując niemowlę, które przewróciło piłąk wazon, nie zdając sobie nawet sprawy, że teraz cały świat uniesie się wielkim gniewem przeciwko niemu. Dziecko - duże, ale po dziecinnemu zagubione, potrzebujące, rozpaczliwie szukające wybaczenia.

W głowie Ellie zaczęło kielkować straszliwe podejrzenie, od którego jej serce i oddech zajęły się nagłym ogniem wściekłego gniewu. Zdławiła go w sobie i kiedy uniosła podbródek Katie ku sobie, była już całkiem spokojna:

- Czy ktoś cię zgwałcił?

Katie wbiła w nią spojrzenie napuchniętych, rozlatanych oczu, a jej ciężkie powieki zaraz opadły.

- Nie pamiętam - szepnęła.

Po raz pierwszy od chwili kiedy poznała tę dziewczynę, Ellie uwierzyła w to, co od niej usłyszała.

- Chryste Panie. - Lizzie uniosła nogę, przyglądając się plackowi nawozu przyklejonemu do podeszwy. Powinni mi płacić ekstra za śledztwo w takich warunkach, pomyślała, a zresztą, jeśli o mnie chodzi, to Aaron Fisher może się powiesić, mam to w nosie. Westchnęła i ruszyła dalej przed siebie, przez pole. Dostrzegłszy ją, Fisher ściągnął lejce, zatrzymując zaprzęg mułów.

- Zgubiła się pani? - zapytał silnie akcentowaną angielszczyzną. - Do domu to tędy. - Wskazał główną drogę.

Lizzie błysnęła do niego zębami, zadając sobie w myślach pytanie, dlaczego zawsze musi jej się trafić taki oryginał jak amisz zgrywający kawalarza.

- Dziękuję serdecznie, ale już niczego nie szukam. Znalazłam.

To mu trochę zwarzyło humor. Podręczyła go przez chwilę niepewnością, wyobrażając sobie tymczasem, jakież to makabryczne zeznania można by od niego wyciągnąć podczas przesłuchania w sprawie o morderstwo.

- A cóż takiego pani znalazła, pani detektyw? - zapytał wreszcie.

- Pana. - Lizzie osłoniła oczy dłonią. - Ma pan może trochę czasu?

- Mam wiele czasu, który poświęcam w całości jednemu dążeniu. - Cmoknął na muły. Lizzie wytrwałym truchtem ruszyła w ślad za nim. Wreszcie farmer ponownie zatrzymał zaprzęg.

- Zechce mi pan wyjawić, cóż to za dążenie?

- Moja gospodarka - odparł. - Pani wybaczy, ale...

- Wydaje mi się, że mógłby pan poświęcić tych kilka sekund cennego czasu pracy, aby uratować córkę przed więzieniem, panie Fisher.

- Moja córka nie pójdzie do więzienia - odgryzł się zawziętym tonem.

- To nie zależy od pana.

Farmer zdjął kapelusz. Nagle wydał się Lizzie bardzo zmęczony i starszy, niż do tej pory sądziła.

- Od pani również nie. To Bóg ma tutaj decydujące słowo. Ufam Jego wyrokom i moja córka także. Do widzenia pani. - Potrzęsnał lejcami i muły ruszyły równo w nogę, a pług z jękiem rozdarł ziemię.

Lizzie popatrzyła za nim.

- Szkoda tylko, że Bóg nie zasiądzie na ławie przysięgłych - mruknęła i ruszyła z powrotem. Farma była daleko.

Ellie starła ze stołu ostatnią ciemną smugę powstałą z rozsypanych przypraw do marynaty. W kuchni było gorąco jak w piecu -Boże, czegóż by teraz nie oddała za klimatyzator albo chociaż wentylatorek - ale obiecała Sarze, że posprząta po pracy, skoro przy samej pracy jej nie było, bo pocieszała Katie na górze.

Do jakich konkluzji należało dojść po tej ostatniej rozmowie? To, co do tej pory pozostawało tajemnicą, nareszcie zaczynało układać się w spójną całość, gładko jak zapadki w zamku u drzwi - wybiórcza amnezja Katie, uparte nieprzyznawanie się do ciąży i urodzenia dziecka, osłupienie Samuela podczas rozmowy z Ellie. Po raz pierwszy od przyjazdu na farmę adwokatka, na myśl o tym, że Katie zabiła noworodka, nie czuła odrazy, ale współczucie.

W swojej karierze obrońcy nieraz już pracowała z klientami, którzy popełnili ohydne przestępstwa, ale zawsze, jak zauważyła, instynktownie zaczynała wkładać w sprawę więcej energii, kiedy potrafiła zrozumieć, co ich sprowadziło na ścieżkę zbrodni. Kobieta, która zamordowała śpiącego męża, przestawała być sadystyczną oprawczynią, jeśli się wzięło pod uwagę, że ów znęcał się nad nią fizycznie przez trzydzieści lat. Gwałcieł ze swastyką wytatuowaną pomiędzy oczami nie budził aż tak wielkiej grozy, gdy człowiek potrafił dostrzec w nim chłopca maltretowanego przez ojczyzna. A córka amiszów, która zabiła swojego nowo narodzonego syna? Jeśli nawet nie wybaczyć, to z całą pewnością można ją było zrozumieć, gdy się pomyślało, że została zgwałcona przez ojca dziecka.

Z drugiej strony ten argument stanowił dla Katie ostatni gwóźdź do trumny. Dostarczał idealnego motywu - łatwo pojąć, dlaczego młoda

matka chce uśmiercić dziecko pochodzące z gwałtu. A to oznaczało, że Ellie mogła współczuć Katie, mogła chcieć załatwić dla niej psychiatrę, który pomógłby jej uporać się z tym ciężarem; bez względu na to wszystko nie wolno jej było jednak na sali rozpraw ani słowem wspomnieć o gwałcie.

Wyjęła myjkę nad zlewem, zastanawiając się, czy nastąpił przełom i czy teraz Katie zacznie się jej zwierzać. A może powinna wrócić na górę i czuwać przy niej, żeby nie była sama, kiedy się obudzi?

Słyszając za plecami dźwięk otwieranych drzwi, zakręciła kran i wytarła ręce w faldzisty, suty fartuch pożyczony od Sary.

- Dobrze, że już jesteś - powiedziała, nie odwracając głowy.
- Szczerze przyznam, że jestem zdziwiona.

Ellie odwróciła się gwałtownie. Zamiast Sary w kuchni stała detektyw Lizzie Munro, okiem zawodowca mierząc ją od przetłuszczonych włosów aż po skraj fartucha.

Adwokatka wyprostowała się i skrzyżowała ramiona na piersi, usiłując przybrać tak władczą postawę, na ile to tylko było możliwe w takim stroju.

- Proszę zdjąć tę policyjną taśmę - powiedziała. - Ludzie tutaj chcą mieć normalne życie.

- To nie moja taśma. Proszę zadzwonić do stanówki.
- To już chyba lekka przesada, pani detektyw.

Lizzie wzruszyła ramionami.

- Jeśli o mnie chodzi, to już dawno mogli ją sobie zdjąć. Mamy wszystko, czego nam potrzeba.

- Tak wam się wydaje.

- Tę sprawę przesądzą wyniki sądowej ekspertyzy medycznej, pani Hathaway. Nie da się zatuszować faktu, że w oborze znaleziono martwego noworodka.

- Mówi pani jak prokurator - parsknęła Ellie.

- Ryzyko zawodowe.

- Ciekawe. Skoro sprawa jest aż tak oczywista i z góry przesądzona, to po co pani przesłuchuje Fisherów?

- Nawet tutaj, na tej prowincji filadelfijskiej, ludzie wiedzą, że podczas śledztwa trzeba chronić własny tyłek.

Ellie zbliżyła się do niej o krok.

- Jeżeli sądzicie, że tutaj chodzi o to, że adwokatka z miasta chce utrzyć nosa prowincjonalnemu prokuratorowi, to może pani od razu powiedzieć George'owi, że...

- Może mu to pani sama powiedzieć. Nie jestem chłopcem na posyłki. - Lizzie spojrzała w stronę schodów. - Chciałabym zamienić słowo z Katie.

Ellie roześmiała się w głos.

- O, nie wątpię. A ja bym chciała szklaneczkę margarity i klimatyzację. - Wzruszyła ramionami. - Nie łudziła się pani chyba, że dopuszczę detektywa do swojej klientki. A George, jestem te go pewna, zrozumie, kiedy mu pani zamelduje, że nie udało się uzyskać zeznań od oskarżonej. Ani od jej ojca.

Oczy Lizzie się rozszerzyły.

- Skąd pani...

- Mieszkam na miejscu i ma to swoje plusy - uśmiechnęła się Ellie, zadowolona z siebie.

Policjantka ruszyła w stronę drzwi.

- Widzę, że to miejsce zaczyna na panią działać - zauważyła, wskazując ręką fartuch na jej biodrach. - Przepraszam, że przeszkodziłam w pracy... adwokatce z miasta.

Ellie patrzyła za nią, dopóki nie zniknęła za drzwiami. Potem zdjęła fartuch, zawiesiła go równo na oparciu krzesła i poszła na górę, do swojej klientki.

Levi wyciągnął szyję, rozejrzał się, sprawdzając jeszcze raz, czy Aaron i Samuel cały czas pracują daleko w polu. Poglądził otwartą dłońią obłą maskę samochodu Lizzie Munro, czerwoną niczym jabłka rosnące w sadzie jego cioci Friedy, gładką jak nurt wody przepływającej nad tamą na strumieniu Fisherów. Metal był ciepły w dotyku. Zamknawszy oczy, Levi wyobraził sobie, że siedzi za kierownicą, dodaje gazu, mknie po szosie.

- Widziałeś kiedyś takie чудо?

Tak się wystraszył, że omal nie wyskoczył ze skóry. Odwrócił się, drżącymi wargami mamrocząc przeprosiny i zamarł, gapiąc się na tę samą panią policjantkę, która przyjechała, kiedy zgłosili, że w oborze leży nieżywe dziecko.

- To jest mustang rocznik 66, jeden z ostatnich przedstawicieli wymierającej rasy - pouczyła go, kładąc dłoń w tym samym miejscu co przed chwilą on, poklepując samochód, jakby to była żywa, czująca istota. Pomyślał, że u nich tak samo poklepuje się konie. - Dach się opuszcza. Chcesz rzucić okiem na silnik? - Włożyła rękę przez okno i przekreśliła kluczyk w stacyjce, a maska nagle podskoczyła, zwolniona z blokad. Policjantka uniosła ją, odsłaniając pracujący mechanizm. - To jest silnik small-block V8, z trzybiegową ręczną skrzynią biegów. Ten wóz nie jeździ, tylko lata. - Uśmiechnęła się do chłopca. - Wyciągnąłeś kiedyś ponad sto sześćdziesiąt? - Levi zrobił wielkie oczy i pokręcił głową. - Jakby drogówka pytała, to ja też nie. - Mrugnęła do niego i znów sięgnęła przez okno. Maszyna momentalnie umilkła. W powietrzu rozeszła się delikatna woń spalin.

- Policjantka uśmiechnęła się do Leviego.
- Wiem, że nie jesteś kierowcą. A czym się tutaj zajmujesz?
- Levi skinął głową w kierunku pół.
- Pracuję z Samuelem.
 - ?
 - To mój kuzyn. Uniosła brwi.
 - Domyślam się, że w takim razie musisz też całkiem dobrze znać Katie.
 - No... ja. Wszyscy wiedzieli, że niedługo mają się pobrać. Spotykają się już od roku.
 - I dlaczego Samuel się jeszcze nie oświadczył?
- Levi wzruszył ramionami.
- Pierwsza rzecz: lato to nie ta pora. Sezon na śluby zaczyna się w listopadzie, po zbiorach. Ale zresztą najpierw Samuel musi coś poradzić, żeby przestała się z nim kłócić.
 - Katie?
 - Czasami Samuel strasznie się na nią gniewa. - Mając nadzieję, że policjantka nie zauważy, Levi ukradkiem wyciągnął rękę i jeszcze raz przesunął kciukiem po karoserii jej wozu.
 - Może powinien zacząć spotykać się z kimś innym. I ona też - zastanowiła się głośno.
 - Dla Samuela to jest jeszcze gorsze wyjście. On kręci się przy Katie od zawsze.
- Skinęła poważnie głową.
- I chyba jej rodzice też już patrzą na Samuela jak na przyszłego zięcia.
 - Pewnie.
 - A czy bardzo by im było żal, gdyby Katie i Samuel zerwali ze sobą?
- Levi zmrużył oczy.
- Zerwali ze sobą?
 - Rozstali się. Znaleźli sobie innych partnerów. - Policjantka westchnęła. - Zaczęli spotykać się z innymi osobami.
 - Hm, Sara liczy na to, że jesienią będzie wesele. A Aaron... Na pewno by żałował.
 - Bardziej chyba jednak by się złościł. Sprawia wrażenie surowego tatusia.
 - Nie zna go pani - powiedział Levi. - Nawet gdyby Katie nie wyszła za Samuela, to na pewno by jej nie wydziedziczył tak jak Jacoba.
 - Jacoba - powtórzyła policjantka.
 - Ja, no, wie pani. Brata Katie.

- Ach, oczywiście. Jacob. Jasne, jasne. - Uśmiechnęła się do Leviego, otworzyła drzwi i usiadła za kierownicą. Włączyła silnik i nacisnęła pedał gazu. Ku zdziwieniu chłopaka wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie. - Młody człowieku - powiedziała - sprawiłeś mi nieoczekiwaną przyjemność. - Uścisnęli sobie dłonie, a potem Levi patrzył za odjeżdżającym się z coraz większą szybkością mustangiem V8.

W środku nocy Katie poczuła, jak na jej ustach i nosie zaciska się czyjaś dłoń. Zaczęła rzucać się w pościeli, zapomniawszy chwilowo, gdzie się znajduje, aż wreszcie chwyciła dławiące ją palce i zatopiła w nich zęby. Dobiegło ją stłumione przekleństwo i dłoń zniknęła - a pojawiły się usta, miękkie, łakome, szukające jej ust.

W tym ułamku sekundy opadły z niej resztki snu i znalazła się w mieszkaniu Jacoba, na jego kanapie, otulona niczym kołdrą ramionami Adama, jego udami i całym ciałem. Po chwili odsunął się odrobine, opierając czoło o czoło Katie.

- No wiesz co... - szepnął. - Tak mnie ugryźć...

Uśmiechnęła się w ciemności.

- A ty to co? Tak mnie wystraszyć... - Poglądziła go po policzku, szorstkim od całodniowego zarostu. - Cieszę się, że zostałeś.

- Ja też. - W mroku błysnęły jego zęby.

Odłożył wyjazd do Nowego Orleanu jeszcze o tydzień. Katie wymyśliła zaś bardzo skomplikowaną historię, zgodnie z którą miała zostać na noc u Mary Esch - żeby tylko móc przyjechać do State College. Tym razem nawet jej mama nie wiedziała, że jest u Jacoba.

Adam wyrysował palcem ścieżkę wiodącą od jej gardła do obojczyka.

- Cały dzień myślałem tylko o tym. Zdajesz sobie sprawę, że twój brat między godziną czwartą a dziewiątą po południu nie wyszedł nawet do łązienki?

Katie zachichotała.

- Na pewno wychodził.

- Nie. Wiem, bo ostatni raz dotykałem cię strasznie dawno, zaraz po obiedzie. - Położył się na boku, z głową obok jej głowy, na jednej poduszce, tak blisko, że jego oddech wpadał do jej ust.

Wyciągnęła szyję, niedużo, tylko tyle, żeby móc go pocałować. To było dla niej coś nowego - że to ona może zrobić pierwszy krok. Wciąż bardzo się wstydziła całować go, zanim on sam zacznie. Ale pewnego razu, kiedy to zrobiła, Adam wziął ją za rękę i położył jej dłoń na swojej

piersi, w której wyczuła szybkie kołatanie; to było jego serce. Zrobiło się jej dziwnie na myśl, że ma nad nim władzę.

Położył ją na plecach i pochylił się nad nią, a jego włosy opadły, mieszając się z jej własnymi. Myśli popłynęły jak rzeka, nie zatrzymywała ich; ręce wyciągnęły się, a dłonie chwyciły mocno. Czowała palce Adama muskające jej ramiona, ześlizgujące się po bokach.

A potem poczuła je pod koszulką, w której spała. Jego dotyk zaczął palić żywym ogniem. Otworzyła szeroko oczy i potrząsnęła głową.

- Adam - szepnęła, ciągnąc go za włosy. - Przestań! Nie wolno!

Jego serce waliło jak oszalałe, żołądek ze strachu zwinął się w twardą kulę. Chłopcy z rodzin prostych ludzi, a przynajmniej ci chłopcy, których znała, nie robili takich rzeczy. Pomyślała o Samuelu Stoltzfusie, o jego poważnych oczach i niespiesznym uśmiechu - o Samuelu, który w ostatnią niedzielę odwiózł ją do domu ze śpiewania i zarumienił się, kiedy podała mu rękę, żeby pomógł jej wysiąść z bryczki.

Adam zaczął mówić. Czowała drżenie jego warg na szyi, na samym gardle:

- Proszę cię, Katie. Pozwól mi tylko się zobaczyć, a potem zrobię, co zechcesz.

Była zbyt przerażona, żeby choćby drgnąć. Najpierw przyszło zawahanie, a potem uległość. Adam powoli, po troszeczkę, podciągał jej koszulkę do góry, odsłaniając wklęsłość pępka, szczelbki żeber, a na końcu - różowe paciorki sutków.

- Widzisz? - szepnął. - Same krzywizny. Nie ma w tobie nic prostego.

Zsunął materiał z powrotem na miejsce i przygarnął ją do siebie.

- Drżysz - zauważył.

Katie przytuliła twarz do jego szyi.

- Ja... nigdy jeszcze tego nie robiłam.

Adam ucałował jej twarą, zgrubiałą dłoń; kiedy tak robił, czuła się jak pod najtroskliwszą opieką, jakby była księżniczką, a nie dziewczyną ze wsi. A potem usiadł na posłaniu, wyplątując się z jej ramion.

Katie zmarszczyła brwi, myśląc, że zrobiła coś nie tak, że czegoś było za mało.

- Dokąd idziesz?

- Obiecałem ci, że zrobię, co zechcesz, jeśli pozwolisz mi się zobaczyć. I domyślałam się, czego teraz chcesz. Żebym już sobie poszedł.

Usiadła po turecku w pościeli i wyciągnęła do niego rękę.

- Chcę czegoś innego - powiedziała.

To był dla Samuela długi dzień, wypełniony po brzegi mozolną pracą na polu wraz z Aaronem. Przez całą drogę do domu jechał zapatrzony w grzbiet Srebrnego, który włókł nogę za nogą; do jego świadomości nie docierała nawet paplanina Leviego. Rozmyślał o Katie, o tym, co zrobiła, co mogła zrobić - i nie mógł przestać. Marzył o ciepłej kolacji, a potem o gorącym prysznicu i słodkim zapomnieniu, które przynosi sen.

Dojechał do domu swoich rodziców, wyprzągnął konia i zaprowadził go do stajni. Na podwórzu stała jeszcze jedna bryczka; pomyślał, że to chyba jego mama ma gości. Zgrzytając zębami na myśl o tym, że będzie musiał teraz popisywać się grzecznością, wtoczył się, tupiąc ciężko, na ganek. Tam przystanął na chwilę, żeby zebrać myśli przed wejściem do środka.

Omiótł wzrokiem główną szosę, przypatrując się samochodom, które przemykały z wielką szybkością, błyskając jasnymi reflektorami i hucząc silnikami. Nagle drzwi za nim otworzyły się i stanęła w nich jego matka. Obmywało ją miękkie, żółte światło wylewające się z wnętrza domu.

- Samuelu! Dlaczego tutaj stoisz? - Złapała go za rękę i pociągnęła do kuchni, gdzie przy stole siedzieli biskup Ephram i diakon Lucas z parującymi kubkami kawy w dłoniach. - Czekaliśmy na ciebie - złażała Samuela matka. - Czasami to mi się wydaje, że ty chyba wracasz do domu przez Filadelfię.

Na ustach Samuela powoli rozsupłał się uśmiech.

- Ja, Srebrny aż się rwie, żeby pocałować sobie po tych cudacznych autostradach.

Usiadł, skinąwszy głową starszym mężczyznom, którzy z jakiegoś powodu unikali jego wzroku. Matka pożegnała się i zostawiła ich samych; po chwili Samuel usłyszał jej ciężkie kroki na schodach. Położył dłonie przed sobą, stykając je czubkami palców; usiłował sprawić wrażenie opanowanego, ale wszystko się w nim przewracało jak ziemia kruszona broną kultywatora. Wiedział z opowiadań, co znaczy wezwanie do rozliczenia się z grzechów, ale nigdy nie zaznał tego na własnej skórze. Wyglądało zaś na to, że zarówno biskupowi, jak i diakonowi też to się wcale nie uśmiechało.

Biskup Ephram odchrząknął.

- Wiemy, jak to jest być młodym mężczyzną - zaczął. - Istnieją pewne pokusy... - Jego głos urwał się niczym nitka przędzy z motków, które nawijała matka Samuela.

Młodzieniec patrzył na starszych, przenosząc wzrok z Lucasa na Ephrama.. Ciekawe, pomyślał, co Katie im powiedziała. Czy w ogóle coś im powiedziała.

Katie, za którą oddałby życie; za którą z chęcią zniósłby sześć tygodni odrzucenia przez wspólnotę; z którą pragnął spędzić resztę swoich dni, wypełniając dom pociechami i służąc Bogu. Katie, która urodziła dziecko.

Samuel pochylił głowę. Spodziewał się już, że za chwilę usłyszy ich prośbę, aby stawił się w kościele i naprawił swoje winy; a kiedy ją usłyszy, usłucha, bo taka jest jego powinność. Kiedy biskup zarzuca komuś grzech, nie dyskutuje się z nim. Lecz nagle Samuel zrozumiał, że ta niezręczna cisza to dar, dar biskupa dla niego. Jeśli go uprzedzi, odezwie się teraz, już, natychmiast - to być może w ogóle nie usłyszy żadnego zarzutu.

- Lucasio, Ephramie - przemówił głosem tak bezbrzeżnie spokojnym, że aż sam go nie poznał - chcę poślubić Katie Fisher. Jeżeli taka jest wasza wola, oświadczę to przed wami, przed kaznodziejami i przed wszystkimi naszymi braćmi i siostrami w najbliższą Gemeesunndaag.

Szeroki uśmiech rozsunał białą kurtynę brody Ephrama. Biskup spojrział na diakona i skinął z ukontentowaniem głową. Samuel zacisnął palce na kolanach, mocno, niemalże do bólu.

- Chcę poślubić Katie Fisher - powtórzył - i zrobię to. Ale w tej chwili musicie usłyszeć jeszcze jedną rzecz. Nie byłem ojcem jej dziecka.

Rozdział ósmy

ELLIE

Moim ulubionym miejscem na farmie była mleczarnia. Dzięki pracującej chłodziarce nawet w najbardziej upalnych godzinach dnia panowała tam komfortowa temperatura. W powietrzu pachniało lodami i zimą. Miło było przysiąść wśród białych ścian na nieskazitelnie czystej podłodze i pomyśleć. Kiedy inwertor naładował już baterię, zabierałam laptopa i przenosiłam się z pracą do mleczarni.

Tam właśnie znalazła mnie Leda, kiedy to dziesięć dni po moim zameldowaniu się na farmie Fisherów, postanowiła zaszczycić mnie wizytą. Z pochyloną głową bębniłam właśnie w klawiaturę, przez co najpierw w moim polu widzenia znalazły się jej sandały na obcasie - obuwie, jakiego od pewnego czasu nie miałam okazji oglądać. Kobiety amiszów noszą albo trzewiki, albo tenisówki, i to najbrzydsze, jakie w życiu widziałam; coś takiego nawet w Kmarcie wstydziłoby się postawić na półce.

- No, czas najwyższy - powiedziałam, nie zadając sobie trudu, żeby unieść głowę.

- Sama dobrze wiesz, że nie mogłam przyjechać wcześniej - odparła Leda.

- Aaron jakoś by cię zniósł w swoim domu.

- Nie chodziło mi o Aarona, tylko o ciebie. Musiałam dać ci szansę, żebyś wyczuła, co w trawie piszczy, inaczej zatrzasnęłabyś mi się w bagażniku, żeby tylko dać stąd nogę.

Prychnęłam kpiąco.

- Czyli, jak sądzę, z radością usłyszysz, że już wiem, co piszczy w trawie i co ryje w błocie też wiem, że o mały włos nie wpadłam pod rozpędzoną bryczkę i że prawie obsikała mnie krowa.

Leda oparła się o zlew z nierdzewnej stali, śmiejąc się szczerze.

- Założę się, że Marcia Clark w swojej książce nie miała takich smaczków.

- Pyszne, co? Kiedyś wezmę się do roboty i napiszę bestseller, który wydadzą w okładce z „Kalendarza farmera”.

Leda się uśmiechnęła.

- Słyszałam, że Katie miała dobre wyniki badań?

Przytaknęłam. Poprzedniego dnia pojechałyśmy do położnika na kontrolę; lekarz orzekł, że Katie wraca do zdrowia. Fizycznie nic jej nie zagrażało. Psychicznie - to jeszcze stało pod znakiem zapytania.

Zamknęłam dokument, nad którym do tej pory pracowałam i wyjęłam dyskietkę z komputera.

- Zjawiasz się w samą porę - oznajmiłam Ledzie. - Zgadnij, kto zostanie moim asystentem?

Leda uniosła dłoń obronnym gestem.

- Nawet o tym nie myśl, kotku. Ja o prawie wiem tylko tyle, że jest dla ludzi.

- Ale potrafisz posługiwać się komputerem. Pisałaś do mnie e-maile. - Westchnęłam z zalem na myśl o tym, ile czasu upłynie, zanim zajrzę do swojej skrzynki pocztowej. - Chcę cię poprosić, żebyś wydrukowała jeden dokument i zawiozła go do sądu okręgowego. Bo chyba nie muszę ci mówić, że moja drukarka nie działa?

- Dziwię się, że w ogóle pracujesz tutaj na komputerze. Aaron bardzo się złościł?

- Biskup podjął decyzję za niego. Widzę, że on okazuje Katie wiele serca.

- Ephram to dobry człowiek - powiedziała Leda cichym, ledwie słyszalnym głosem, błędząc myślami gdzieś daleko. - Był dla mnie bardzo życzliwy, kiedy zostałam ekskomunikowana. Aaron i Sara są mu ogromnie wdzięczni, że przyjechał na pogrzeb dziecka.

Wyłączyłam komputer i wstałam.

- Powiedz mi, dlaczego oni to zrobili? To znaczy, dlaczego pochowali to dziecko.

Leda wzruszyła ramionami.

- Bo byli za nie odpowiedzialni.

- To było dziecko Katie.

- Wśród amiszów jest wielu takich, którzy poczuliby się w obowiązku pochować noworodka, jeśli urodził się martwy. - Spojrzała na mnie, dodając z wahaniem: - Tak głosi napis na jego nagrobku: urodził się martwy. Chyba to był jedyny sposób dla Aarona i Sary, żeby pogodzić się z tym, co zaszło.

Pomyślałam o dziewczynie, która być może padła ofiarą gwałtu, o dziewczynie, która w odruchu samoobrony zablokowała wspomnienia o tym zdarzeniu i wyparła ze świadomości wszystkie jego następstwa - łącznie z ciążą.

- Lekarz sądowy twierdzi, że dziecko urodziło się żywe, Leda.

- A prokurator - że Katie je zabiła. Nie wierzę ani jednemu, ani drugiemu.

Sznułam tenisówką po betonowej podłodze mleczarni, rozważając w myślach, ile mogę jej wyjawić.

- Mogło tak być - zaczęłam ostrożnie. - Przyjedzie tutaj psychiatra na rozmowę z Katie.

Leda zamrugnęła oczami ze zdziwienia.

- Psychiatra?

- Katie zaprzecza nie tylko temu, że była w ciąży i że urodziła dziecko. Twierdzi również, że nie mogło dojść do poczęcia. Zaczynam się zastanawiać, czy ktoś jej nie zgwałcił.

- Samuel to dobry chłopak, chyba nie...

- To nie było jego dziecko. Samuel nie spał z Katie ani razu. - Podeszłam do niej. - Posłuchaj, to nie ma nic wspólnego z moją pracą jako obrońcy. Prawdę mówiąc, jeśli Katie faktycznie została zgwałcona, to pojawia się emocjonalny motyw, który mógł ją popchnąć do pozbycia się noworodka. Ale nie, ja chcę tylko, żeby porozmawiała sobie z kimś, kto ma lepsze kwalifikacje ode mnie. Może tego potrzebować. O ile mi wiadomo, Katie codziennie styka się z tym człowiekiem. Bóg jeden wie, jak to na nią działa.

Leda przez chwilę nie mówiła nic.

- A jeśli to nie był amisz? - zapytała w końcu.

Przewróciłam oczami.

- A dlaczego nie? Samuel jest w porządku, ale to jeszcze nie znaczy, że każdy młody amisz potrafi utrzymać hormony na wodzy. Może kręci się gdzieś tutaj ten młodzieniec, którego poniosło w gorącym momencie i zmusił Katie do zrobienia czegoś, na co wcale nie miała ochoty? A poza tym Anglików, z którymi rozmawiała od czasu, kiedy tutaj mieszkam, mogę policzyć na palcach jednej ręki.

- Od czasu, kiedy tutaj mieszkasz - powtórzyła Leda.

Zauważyłam, że zaczęła się wiercić niespokojnie, a jej policzki zarbarwiły czerwone cętki spłoszonego rumieńca. No tak. Najwidoczniej pobyt na tej farmie przytępił nieco mój intelekt, inaczej skojarzyłabym od razu, że mając ciotkę wykluczoną ze wspólnoty amiszów, Katie posiadała większe możliwości kontaktu ze światem i jego mieszkańcami niż większość podobnych jej dziewcząt.

- Czego mi nie powiedziałaś? - zapytałam cicho.
- Raz w miesiącu Katie jeździ pociągiem do State College. Na uniwersytet. Sara wie o tym, ale Aaronowi mówi się, że Katie wybrała się do mnie z wizytą. Jestem jej alibi, zresztą bardzo dobrym, bo Aaron za nic w świecie nie zajrzałby do nas, żeby sprawdzić, co porabia jego córka.

- Ale po co ona jeździ na uniwersytet?

Leda westchnęła z cicha.

- Do brata.

- No i powiedz mi sama: jak ja mam jej bronić, skoro nikt nie chce ze mną współpracować? - wybuchłam. - Boże! Mieszkam tutaj już prawie dwa tygodnie i nikt nie uznał za celowe wspomnieć mi o tym, że Katie ma brata, do którego jeździ raz w miesiącu?

- To na pewno niespecjalnie - pospieszyła z wyjaśnieniem Leda. - Jacob został ekskomunikowany, tak jak ja, ponieważ chciał dalej się uczyć. Aaron stanął okoniem i powiedział, że jeśli chłopak opuści kościół, to przestanie go uważać za swojego syna. W domu nie wolno wymawiać jego imienia.

- A Sara?

- Sara to żona amisza. Ustępuje mężowi we wszystkim. Nie widziała się z Jacobem od sześciu lat, odkąd wyjechał do szkoły, ale co miesiąc w tajemnicy posyła do niego Katie jako łącznika. - Leda podskoczyła, spłoszona hałasem automatycznej mieszarki, która ożyła w tym momencie, wzbudzając biały płyn w zbiorniku. Uniosła głos, przekrzykując akumulator dostarczający prąd do silnika maszyny: - Kiedy urodziła się Hannah, okazało się, że Sara nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Zresztą już przedtem kilka razy poroniła, po Jacobie, zanim urodziła się Katie. Nie mogła znieść myśli, że straciwszy najmłodszą córkę, straci też syna. I w pewien sposób udało jej się temu zapobiec.

Wyobraziłam sobie Katie w pociągu jadącym do State College, ubraną w sukienkę spinaną szpilkami, przepasaną fartuchem i w czepku na głowie, przyciągającą ciekawskie spojrzenia. Wyobraziłam sobie, jak zjawia się na imprezie studenckiej, a jej bijąca w oczy niewinność rozjaśnia wszystkie kąty pokoju w akademiku. Zobaczyłam oczyma duszy, jak odpycha od siebie ręce chłopaka, który w wieku lat dziewiętnastu wie o świecie więcej niż ona się dowie przez całe swoje życie. Ciekawe, czy Jacob wiedział, że jego siostra była w ciąży i czy mógłby mi powiedzieć, kto jest ojcem dziecka.

- Muszę z nim porozmawiać - oznajmiłam, zastanawiając się, czy szybciej dojadę tam samochodem, czy pociągiem.

A potem jęknęłam, zawiedziona. Nie mogłam nigdzie jechać; dzisiaj miał wpaść tutaj Coop na sesję z Katie.

Jeśli w ogóle się czegoś nauczyłam przez tych dziesięć dni, to tego, że amiszki wszystko robią powoli. Kiedy pracują, to starannie i skrupulatnie, kiedy dokądś jadą - trwa to całe wieki, nawet ich kościelne hymny są smętne i mają spacerowe tempa. Prości ludzie nie patrzą dwadzieścia razy dziennie na zegarek. Prości ludzie nigdzie się nie spieszą; to, co mają zrobić, zajmuje im tyle czasu, ile potrzeba.

Jacob Fisher po prostu musi poczekać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz brata?

Katie zamarła, pochylona nad szlauchem, który mocowała do kranu na podwórzu. Odwróciła wzrok; gdybym już jej trochę nie знаła, pomyślałabym sobie, że zastanawia się teraz, czy mnie oszukać, czy powiedzieć prawdę.

- Miałam brata - odparła, kładąc nacisk na pierwsze słowo.

- Krążą plotki, że ów brat żyje i ma się dobrze, a mieszka w State College. - Opasałam się fartuchem Sary i zrzuciłam tenisówki, wsuwając stopy w kalosze, które też od niej pożyczyłam. W takim stroju nie miałabym szans w konkursie mody; z drugiej strony nie czekał mnie przecież w tej chwili spacer po wybiegu, tylko mycie jałówek. - Krążą też inne plotki: że od czasu do czasu jeździsz do niego.

Katie odkręciła zawór i sprawdziła wylot szlauchu.

- Nie mówimy w domu o Jacobie. Ojciec tego nie lubi.

- Nie jestem twoim ojcem - przypomniałam jej.

Katie bez słowa ruszyła w stronę pola, ciągnąc szlauch za sobą, a ja podreptałam za nią, odganiając od twarzy komary. - Czy to nie jest uciążliwe, te spotkania w ciąglej tajemnicy?

- Jacob zabiera mnie do kina. Kupił mi džinsy, żeby miałam w czym chodzić. To nie jest uciążliwe, bo kiedy jadę do niego, to nie jestem Katie Fisher.

Zatrzymałam się.

- A kim? Wzruszyła ramionami.

- Pierwszą lepszą zwykłą dziewczyną.

- Na pewno było ci bardzo przykro, kiedy ojciec wyrzucił go z domu.

Katie szarpnęła jeszcze raz za szlauch.

- Przykro mi było już wcześniej, kiedy Jacob zaczął kłamać, żeby móc się dalej uczyć. Powinien szczerze wyznać to w kościele.

- Aha - przytaknęłam. - Tak samo jak ty. Chcesz się przyznać, chociaż jesteś niewinna.

, Komary otoczyły głowę Katie łukiem niczym aureolą.

- Ty nas w ogóle nie rozumiesz - rzuciła dziewczyna z wyrzutem. - Myślisz, że jak pomieszkasz tutaj dziesięć dni, to już będziesz wiedziała, na czym polega życie prostych ludzi?

- W takim razie wytłumacz mi - stanęłam jej na drodze, tak że musiała albo mnie obejść, albo się zatrzymać.

- U was każdy musi się czymś wyróżniać. Jeden jest najsprytniejszy, drugi najbogatszy, a trzeci w ogóle najlepszy. U nas wszyscy zlewają się w jedno, jak łąty, z których zszywa się narzutę. Z osobna - nie ma na co patrzeć. Za to kiedy stoimy razem, można zobaczyć coś przepięknego.

- A Jacob?

Katie uśmiechnęła się smutno.

- Jacob był jak czarna nitka na białym płótnie. Sam postanowił wyjechać.

- Tęsknisz za nim?

Skinęła głową.

- Bardzo. Zresztą dawno go nie widziałam. Spojrzałam na nią szybko.

- Dlaczego?

- Latem w gospodarstwie jest dużo roboty. Byłam potrzebna w domu.

Bardziej prawdopodobne, pomyślałam, że w lewisach nie sposób ukryć ciąży.

- Czy Jacob wiedział o dziecku?

Katie szła dalej, ciągnąc za sobą szlauch. Nie odwracała głowy.

- Czy to był ktoś, kogo poznałaś właśnie tam? Jakiś student, może znajomy twojego brata?

Zagryzła wargi i nie powiedziała ani słowa. Wreszcie dotarliśmy do zagrody, w której stały jednoroczne jałówki. W dni tak upalne jak dziś trzeba było spryskiwać je wodą dla ochłody. Katie przekreśliła wylot szlauchu i skierowała struzkę, która zaczęła z niego cieknąć, na swoje bose stopy.

- Mogę cię o coś zapytać, Ellie?

- Jasne.

- Dlaczego ty nigdy nie opowiadasz o swojej rodzinie? Jak to jest u ciebie, że wyjechałaś sobie, zamieszkałaś u nas i ani razu nie zadzwoniłaś do nich, nikomu nawet nie powiedziałaś, gdzie jesteś?

Zapatrzyłam się na krowy wafęsające się po polu z opuszczonymi łbami, skubiące świeżą trawę.

- Moja matka nie żyje, a z ojcem nie rozmawiałam od ładnych paru lat. - Ściślej, odkąd zostałam adwokatem; zarzucił mi wtedy, że dla pieniędzy wyparłam się własnych zasad. - Nigdy nie wyszłam za mąż i właśnie zerwałam z facetem.

- Dlaczego?

- Można powiedzieć, że jedno z drugiego wyrosliśmy - odparłam, sprawdzając, jak to słowo zabrzmiało w moich ustach. - Trudno się zresztą dziwić, po ośmiu latach...

- Jak można chodzić ze sobą przez tyle lat i się nie pobrać?

I jak tu wyjaśnić subtelną złożoność życia osobistego w latach dziewięćdziesiątych dziewczynie z rodziny amiszów?

- Na początku wydawało nam się, że jesteśmy idealnie dobrani. Osiem lat zajęło nam dojście do wniosku, że jest akurat odwrotnie.

- Osiem lat - rzuciła drwiąco. - Dochowałabyś się już całej gromadki dzieci.

Na myśl o straconym czasie poczułam, jak oczy wzbierają mi łzami, które spływają do gardła, tak, że ledwie mogę oddychać.

Katie dużym palcem u nogi zrobiła krechę w błotnistej kałuży pod cieknącym wylotem szlauchu. Widziałam, jak jej głupio, że zrobiła mi przykrość.

- Pewnie za nim tęsknisz - odezwała się.

- Za Stephenem? Nie bardzo - odparłam. - Tylko za tymi dziećmi.

Spodziewałam się, że Katie nawiąże do tego, co powiedziałam, że w jakiś sposób odniesie swoją własną sytuację do mojej, ale zamiast tego po raz kolejny udało jej się mnie zaskoczyć.

- Wiesz, co zauważyłam podczas tych wizyt u Jacoba? Że w twoim świecie ludzie potrafią się błyskawicznie skontaktować ze sobą. Są telefony, są faksy, a przez komputer można rozmawiać z ludźmi na drugim końcu świata. Telewizja pokazuje programy, w których ludzie rozpowiadają o swoich sekretach, a kolorowe magazyny drukują zdjęcia sławnych aktorów usiłujących się schować przed wszystkimi we własnych domach. Macie takie możliwości kontaktu, a każdy wydaje się strasznie samotny.

Chciałam jej zaprzeczyć, ale Katie wręczyła mi szlauch i przeskoczyła przez ogrodzenie. Oddałam go jej, a ona odkręciła zawór i puściła strumień wody ponad grzbietami krów. Zwierzęta zaczęły ryczeć i kotłować się, umykając przed prysznicem. Wtedy Katie, z uśmiechem na twarzy, skierowała sikawkę na mnie.

- O, ty...! - Wspięłam się na ogrodzenie i rzuciłam w pogoń, ociekając wodą. Rozdzieliły nas krowy, krążące w tę i w tę po zagrodzie.

W końcu udało mi się chwycić szlauch i porządnie oblać piszczącą wniebogłosy Katie. - Masz za swoje! - zachichotałam i w tym momencie poślizgnęłam się na mokrej trawie, lądując na siedzeniu w kałuży błota.

- Bardzo przepraszam. Szukam pani Ellie Hathaway.

Obie jak na komendę odwróciłyśmy głowy w stronę, skąd dobiegał ów głęboki głos. Z szarpniętego szlauchu w mojej dłoni trysnęła woda, prosto na buty właściciela głosu, który nie zdążył się w porę cofnąć. Wstałam, wycierając dłonie z błota i uśmiechnęłam się z zażenowaniem do mężczyzny stojącego po drugiej stronie zagrody dla jałówek, taksującego spojrzeniem moje kalosze, fartuch i resztę, utyłaną od stóp do głów.

- Coop - odkasznęłam. - Dawno się nie widzieliśmy.

Dziesięć minut później, odświeżona prysznicem, zesłam na dół i zastałam Coopa siedzącego na ganku w towarzystwie Katie i Sary. Na wiklinowym stoliku stał talerzyk z ciastkami, a Coop trzymał w dłoni szklanekę wody z lodem, na której perliły się zimne krople. Kiedy tylko mnie zobaczył, poderwał się z krzesła.

- Jak zawsze džentelmen w każdym calu - uśmiechnęłam się.

Pochylił głowę i pocałował mnie w policzek. Ku mojemu zdziwieniu, w jednej chwili zasypało mnie sto najrozmaitszych wspomnień: włosy, zawsze pachnące jabłkami i dymem z palonego drewna, zarysowany zdecydowaną linią kontur podbródka, dłoń z rozłożonymi palcami, odciśnięta na moich plecach. Odstąpiłam o krok, czując zawroty głowy i z całych sił starając się ukryć zmieszanie.

- Panie były tak miłe i dotrzymały mi towarzystwa - powiedział Coop, a Katie i Sara zgodnie przytaknęły i zaczęły szeptać do siebie jak nastolatki.

Sara wstała z krzesła.

- Zostawimy cię już z twoim gościem - powiedziała do mnie, a ja jemu skinęła głową i wróciła do domu. Katie poszła do ogrodu, a ja usiadłam. Po dwudziestu latach Coop nie stracił nic ze swojej aparycji, przeciwnie - dojrzał do pełni męskiej urody. Czas wyrównał rysy twarzy, na studiach jeszcze odrobinę zbyt ostre, dodając, niczym rzeźbiarz swoim dłutem, drobne akcenty: tutaj małą bliznę, tam zmarszczkę od uśmiechu. Niegdyś wiszące do ramion, a teraz nienagannie przystrzyżone czarne włosy srebrzyły się już tu i ówdzie. A oczy miały wciąż ten sam kolor bladej zieleni, który widziałam tylko dwa razy w życiu: u niego i z okna samolotu, kiedy leciałam ze Stephenem na Karaiby.

- Wiek ci służy - powiedziałam, a on się zaśmiał.

- Mówisz, jakbym był butelką wina. - Wyprostował się wygodnie na krześle i uśmiechnął do mnie szeroko. - Ty też nieźle się prezentujesz, zwłaszcza w porównaniu z tym, co miałem okazję zobaczyć przed kwadrans. Słyszałem, że zawód adwokata to brudna robota, ale nie przypuszczałbym, że aż tak dosłownie.

- Powiedzmy, że stosuję w pracy elementy metody Stanisławskiego. Amisze słyną z nieufności wobec ludzi z zewnątrz. Upodobniłam się do nich, pracuję tak jak oni - i mam efekty. Otwierają się przede mną.

- Pewnie ci ciężko, daleko od domu, bez możliwości wyjazdu.

- Pytasz jako John Joseph Cooper, psychiatra?

Otworzył usta, ale nic nie powiedział, potrząsnął tylko głową.

- Nie. Po prostu Coop. Przyjaciel.

Wzruszyłam ramionami, celowo unikając jego czujnego spojrzenia.

- Kilku rzeczy mi brakuje - przyznałam. - Ekspresu do kawy, na przykład. Zmieniania biegów w samochodzie. „Archiwum X” i „Ostrego dyżuru”.

- A Stephens nie?

Zapomniałam, że kiedy po raz ostatni widziałam się z Coopem, było to spotkanie we czwórkę - każde z nas miało ze sobą osobę towarzyszącą, czyli, krótko mówiąc, partnera. Wpadliśmy na siebie w hallu filharmonii, podczas antraktu w koncercie Filadelfijskiej Orkiestry Symfonicznej. Widywałam się z nim od czasu do czasu przy służbowych okazjach, ale nigdy przedtem nie poznałam jego żony; zobaczyłam drobnej budowy blondynkę, pasującą do jego boku jak jeden element układanki pasuje do drugiego. Nawet teraz, po tak długim czasie, wspomnienie o niej było jak strzał zza rogu prosto w szczękę.

- Stephen to już przeszłość - odparłam.

Coop przyglądał mi się przez moment, a potem powiedział:

- Przykro mi to słyszeć.

Jako osoba dorosła, pomyślałam, poradzę sobie z tym. Odetchnęłam głęboko, przywołałam na twarz uśmiech numer jeden i klasnęłam dłońmi o kolana.

- No, dobrze. Nie tłułeś się tutaj po to, żeby uciąć sobie ze mną pogawędkę...

- Przyjechałbym nawet tylko po to - przerwał mi cichym głosem. - Wybaczylem ci już dawno temu.

Mogłabym z łatwością udać, że go nie słyszałam i po prostu zacząć rzeczową dyskusję na temat Katie. A jednak... Kiedy zasiada się do rozmowy z człowiekiem, który miał wpływ na to, kim się jest, nie ma sposobu,

aby na spotkanie nie rzuciły się jakieś cienie przeszłości. Niech będzie, że Coop mi wybaczył. Ja jemu nie. Odchrząknął.

- Opowiem ci, czego się dowiedziałem na temat Katie. - Poszperał w walizce i wyciągnął notatnik z żółtymi kartkami, pokrytymi od góry do dołu jego nieczytelnymi bazgrołami. - W kwestii zabójstwa noworodków psychiatrzy dzielą się na dwa obozy. Pierwszy, mniej liczny, obstaje przy wyjaśnieniu, że kobiety, które po porodzie zabijają swoje dzieci, przez cały okres ciąży cierpią na zaburzenia dysocjacyjne.

- Zaburzenia dysocjacyjne?

- Stan dysocjacji odznacza się niezwykle koncentracją na jednej tylko czynności. Cała reszta ulega zablokowaniu. W świadomości takiej kobiety powstaje rozłam: niewielka jej część tworzy świat urojeń, w którym wszystko jest po staremu i nie ma żadnej ciąży. Skutkiem tego, kiedy dochodzi do porodu, kobieta jest zaskoczona i nieprzygotowana, ponieważ wyparła ten fakt ze świadomości, a w pamięci powstały luki go dotyczące. Niekiedy dotyka jej też przejściowa psychoza. Dzieje się to w momencie, kiedy szok poporodowy przebija się przez ten klosz wyparcia. W każdym razie psychiatrzy zazwyczaj tłumaczą takie kobiety tak: nie są one obecne umysłem w momencie popełnienia przestępstwa, więc nie mogą być pociągnięte do odpowiedzialności prawnej za swoje czyny.

- Brzmi to bardzo złowieszczo.

Coop uśmiechnął się szeroko i wręczył mi jakąś listę.

- Tu masz kilku psychiatrów z tej łagodniejszej frakcji, którzy w ciągu ostatnich lat zeznawali w sądzie. Zauważ, że to wszystko są lekarze kliniczni, nie sądowi. Dlaczego? Ponieważ zdecydowana większość psychiatrów sądowych zajmujących się zabójstwami noworodków wyznaje pogląd, że oskarżone nie cierpią na zaburzenie dysocjacyjne, tylko po prostu nie obchodzi ich, że są w ciąży. Dysocjacja, ich zdaniem, może nastąpić po porodzie. Ale nawet ja mogę ci powiedzieć, że w takim momencie, ze względu na ból, dysocjacja to do pewnego stopnia całkiem naturalne zachowanie. Tak samo kiedy zatniesz się nożem w palec przy krojeniu warzyw, to przez chwilę stoisz i tylko patrzysz, a potem mówisz: „No, no, głęboko weszło”. Ale przecież nie weźmiesz zaraz potem tasaka i nie odrąbiesz sobie całej dłoni, żeby problem przestał istnieć.

Skinęłam głowę.

- Dlaczego w takim razie te kobiety zabijają noworodki?

- Bo nie łączy ich z nimi żadna więź emocjonalna - poród nie różni się niczym od wydalania kamieni żółciowych. Zabijając dziecko, nie tracą

kontakty z rzeczywistością. Po prostu czują strach, wstyd i nie potrafią przyznać się przed sobą, że urodziły nieślubne dziecko.

- Innymi słowy - wtrąciłam obojętnym głosem - wina jest oczywista.

Coop wzruszył ramionami.

- Nie muszę ci mówić, jak działa na ławników linia obrony oparta na dowodzeniu niepoczytalności. - Podał mi drugą listę, tym razem trzy razy dłuższą. - To są psychiatrzy z głównego nurtu. Ale przecież w końcu każda sprawa jest inna. Skoro Katie, nawet mając świadomość, że jest oskarżona o morderstwo, a wyniki badań lekarskich wykazały, że była w ciąży, nadal nie chce się przyznać - to być może ten mechanizm obronny ma jeszcze jakieś dodatkowe wzmocnienie.

- I o tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Czy można stwierdzić, że Katie padła ofiarą gwałtu? Coop porwizdął cicho.

- No, to byłby powód jak cholera, żeby zabić noworodka.

- Prawda? Chciałabym tylko to ustalić, zanim prokurator mnie wyreczy.

- Będzie ciężko, bo upłynęło już sporo czasu, ale zwrócę na to uwagę podczas rozmowy z Katie. - Zmarszczył brwi. - Jest jeszcze inna możliwość. Że dziewczyna od samego początku kłamie.

- Coop, ja jestem adwokatem. Mam wbudowany wykrywacz kłamstw i codziennie go podstrajam. Poznałabym się na oszustwie.

- Wcale niekoniecznie. Musisz przyznać, że odkąd tutaj zamieszkałaś, zaczęłaś mieć osobisty stosunek do tej sprawy.

- Kłamstwo to nie jest wizytówka amiszów.

- Zabijanie noworodków też raczej nie.

Przypomniałam sobie, jak Katie zaczyna się jąkać i czerwienić, kiedy próbuje się spytać ją o coś, o czym nie chce rozmawiać. A po chwili stanęła mi przed oczami w tych chwilach, kiedy z całą mocą powtarzała, że nie urodziła żadnego dziecka: podbródek sterczący ostro do przodu, płonące oczy wbite prosto we mnie.

- Ona to widzi tak, jakby nie było żadnego dziecka - powiedziałam cicho.

Coop zastanowił się.

- Może tak to widzieć - przyznał - ale dziecko, mimo wszystko, było.

Katie zacisnęła kurczowo dłonie złożone na podolku. Wyglądała tak, jakbyśmy właśnie odczytali jej wyrok śmierci.

- Doktor Cooper zada ci tylko kilka pytań - wyjaśniłam. – Nie ma potrzeby się denerwować.

Coop uśmiechnął się do niej. Siedzieliśmy we trójkę nad strumieniem, na tyle daleko od domu, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Widząc, że wyjmuję z kieszeni dyktafon, rzuciłam mu szybkie spojrzenie, a kiedy je pochwycił, potrząsnęłam głową. Nie przejął się tym i wziął do ręki notatnik.

- Katie, na początek chcę cię zapewnić, że to, o czym będziemy mówić, jest przeznaczone wyłącznie dla nas trojga. Nie przyjechałem tu po to, żeby cię przesłuchiwać i donosić komuś na ciebie. Chcę ci pomóc poradzić sobie z pewnymi emocjami, które zapewne przeżywasz w tej chwili.

Katie spojrzała na mnie, a potem z powrotem na niego.

Coop uśmiechnął się szeroko.

- No dobrze. Może najpierw powiedz, jak się czujesz.

- W porządku - odparła nieufnie. - Na tyle dobrze, że wcale nie potrzebuję z panem rozmawiać.

- Rozumiem, dlaczego tak mówisz - powiedział Coop miłym głosem. - Wielu ludzi, którzy nigdy w życiu nie rozmawiali z psychiatrą, czuje podobnie. Ale potem okazuje się, że o osobistych sprawach łatwiej pogadać z obcymi ludźmi niż z rodziną.

Wiedziałam, że Coop widzi i zauważa to samo co ja: że Katie minimalnie się odprężyła, że rozluźniły się jej dłonie zaciśnięte w pięści. Słuchałam razem z nią jego płynącego, falującego głosu, widziałam, jak patrzy jej prosto w oczy i zastanawiałam się, czy komuś kiedyś udało się ukryć przed tym człowiekiem jakiś sekret. Coop promieniował swoistym ciepłem, niewymuszonym urokiem, który sprawiał, że momentalnie miało się wrażenie intymnej zażyłości.

Z drugiej strony, w moim wypadku nie było to jedynie wrażenie.

Otrząsnęłam się, koncentrując uwagę na pytaniu, które psychiatra zadał mojej klientce.

- Czy możesz mi opowiedzieć o swoich relacjach z rodzicami?

Katie spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem, jakby nie zrozumiała. Standardowe pytanie z klinicznego wywiadu psychologicznego, zadane dziewczynie z rodziny amiszów, zabrzmiało niemądrze i mało inteligentnie.

- Rodzice to rodzice - odpowiedziała z wahaniem.

- Spędzasz z nimi dużo czasu?

- Ja, przy pracy w polu, w kuchni, podczas posiłków i przy modlitwie. - Spojrzała na Coopa, unosząc brwi. - Cały dzień.

- Czy jesteś blisko z mamą?

Przytaknięcie.

- Już tylko ja jej zostałam.
- Czy miałaś w życiu jakieś ataki, urazy głowy?
- Nie.
- A może ostre bóle brzucha?
- Kiedyś, raz - uśmiechnęła się. - Jak mój brat powiedział, że nie jem naraz dziesięciu kwaśnych jabłek.
- Ale ostatnio... nie? - Katie potrząsnęła głową. - A czy zdarzyło ci się, że nie potrafiłaś sobie przypomnieć, co się działo... Że nagle dotarło do ciebie, że minęło kilka godzin, a ty nie pamiętasz, gdzie byłaś ani co robiłaś?

Słyszając to pytanie Katie, nie wiadomo dlaczego, oblała się rumieńcem. I zaprzeczyła.

- Czy miałaś kiedyś halucynacje? Widziałaś rzeczy, których nie ma?
- Czasami widzę moją siostrę...
- Która nie żyje - wtrąciłam.
- Utopiła się w stawie - wyjaśniła Katie. - Kiedy siadam nad brzegiem, to ona też tam przychodzi.

Coop nie mrugnął nawet okiem, jakby to, że ktoś widuje duchy, było najzwyczajszą rzeczą pod słońcem.

- Czy siostra rozmawia z tobą? - zapytał. - Mówi ci, co masz robić?

- Nie. Tylko jeździ na łyżwach.
- Martwi cię to, że ją widzisz?
- Absolutnie nie.
- Czy byłaś kiedyś ciężko chora? Tak, żeby leżeć w szpitalu?
- Nie. Dopiero teraz.
- Pomówmy o tym - zaproponował Coop. - Czy wiesz, dlaczego trafiłaś do szpitala?

Policzki Katie zapłonęły czerwienią. Opuściła wzrok.

- Kobięca dolegliwość.
- Lekarze twierdzą, że urodziłaś dziecko.
- To pomyłka - odparła. - Nie urodziłam żadnego dziecka.

Coop nie przejął się, słysząc to zaprzeczenie.

- Ile miałaś lat, kiedy zaczęłaś miesiączkować, Katie?
- Dwanaście.
- Czy mama wyjaśniła ci, co się z tobą dzieje?
- Co nieco. Ale ja i tak wiedziałam, o co chodzi. Widziałam już zwierzęta i tak dalej.

- Czy rodzice rozmawiają z tobą o seksie?

Katie, zgorzonna, otworzyła szeroko oczy.

- Oczywiście, że nie. Nie wypada przed ślubem rozmawiać z dziewczyną o takich rzeczach.

- Kto powiedział, że to nie wypada?
- Pan Bóg - padła natychmiastowa odpowiedź. - Kościół. Moi rodzice.
- Czy rodzice bardzo by się gniewali, gdyby się dowiedzieli, że z kimś sypiasz?
- Przecież z nikim nie sypiam.
- Rozumiem, ale co by się stało, gdyby było inaczej?
- Byliby bardzo rozczarowani - odparła szybko Katie. - A ja dostałabym bann.
- Co to takiego?
- To kara za złamanie zasad, kiedy biskup się dowie. Trzeba wyznać winę, a potem jest się wykluczonym ze wspólnoty, przynajmniej na krótki czas. - Jej głos ucichł, przeszedł w szept: - Wszyscy się od ciebie odcinają i już.

Po raz pierwszy udało mi się spojrzeć oczami Katie: to był stygmat wyrzutka w społeczności ponad wszystko ceniącej sobie identyczność.

- Gdybyś miała kłopoty - padło kolejne pytanie - to poprosiłabyś o pomoc mamę czy ojca?

- Zaczęłabym się modlić - odpowiedziała - a co by się dalej ze mną stało, to już by była wola Pana.

- Czy piłaś już w życiu alkohol albo próbowałaś narkotyków?

Ku mojemu niebotycznemu zdziwieniu, Katie przytaknęła.

- Wypiłam kiedyś dwa piwa i do tego likier miętowy. Razem z moją bandą.

- Z jaką... bandą?

- Nazywamy się Iskierki. To jest grupa, do której należę ja i moi przyjaciele. U nas młodzi ludzie w moim wieku często łączą się w bandy. Kiedy zaczynają się Rumspringa.

- Rumspringa?

- Zielone lata. Ma się wtedy mniej więcej czternaście albo piętnaście lat.

Coop spojrział na mnie, ale ja tylko uniosłam brwi. Pierwszy raz słyszałam o czymś takim.

- Powiedz nam w takim razie, dlaczego przyłączyłaś się do Iskierki.

- Bo mi odpowiadało ich towarzystwo. Potrafią się bawić, ale nie szaleją za bardzo. Paru chłopaków kupuje dla nas piwo w „Turkey Hill”, a potem ścigamy się ich bryczkami po północy na autostradzie. Dla takich, co lubią bardziej poszaleć, są Breneki albo Walety - ci to urządzają potańcówki, jeżdżą sobie w biały dzień, na oczach wszystkich i naprawdę

robią się Sod, tacy... światowi. A my spotykamy się w niedzielę wieczorem i śpiewamy hymny. Najczęściej. Bo czasami - przyznała się wstydliwie - robimy inne rzeczy.

- Na przykład?

- Pijemy trochę. Tańczymy. To znaczy, teraz, jak zaczyna się coś dziać, to ja już się nie przyłączam. Kiedy skończy się śpiewanie, od razu wracam do domu.

- Dlaczego?

Katie zanurzyła dłonie w trawie, zacisnęła palce.

- Bo jestem już ochrzczona.

Coop ze zdziwienia uniósł brwi.

- To nie ochrzczono cię zaraz po urodzeniu?

- Nie, u nas chrzest jest później, jak się już dorośnie. Ja go przyjąłam w zeszłym roku. To jest decyzja, aby stanąć przed Bogiem i zgodzić się żyć tak, jak nakazuje Ordnung, czyli te zasady, o których mówiłam.

- Czy rodzice wiedzieli, że chodzisz na te śpiewania, pijesz alkohol i tańczysz?

Katie spojrzała w stronę domu.

- Rodzice zawsze wiedzą, kiedy ich dzieci coś kombinują. Udają tylko, że nic nie widzą i mają nadzieję, że dzieciaki nie wpakują się w coś naprawdę groźnego.

- Dlaczego tolerują takie zachowania, a mimo to byliby rozczarowani, dowiedziawszy się, że rozpoczęłaś życie seksualne?

- Bo to grzech. Kiedy się spotykamy na śpiewaniach... To jest taka zabawa w Anglików. Rodzice wierzą, że kiedy ich dzieci raz albo dwa razy tego spróbują, to im nie zaszkodzi, bo i tak wyrzekną się potem rzeczy doczesnych i będą odpowiedzialnie żyć jak dobrzy prości ludzie.

- I dzieci też przeważnie w to wierzą?

- Ja.

- Dlaczego?

- Wszyscy ich przyjaciele, cała rodzina, to są sami amisze. Jeżeli nie przyłączą się do kościoła, to będą inni niż wszyscy. A poza tym, żeby wziąć ślub, trzeba być ochrzczonym.

- A ty chcesz wziąć ślub? Wyjść za mąż?

- A kto nie chce?

Coop wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Na przykład Ellie - zażartował sobie po cichu, ale na tyle głośno, żebym go wyraźnie usłyszała. Zamyśliłam się nad tym, co powiedział i tak mnie to zaabsorbowało, że o mały włos nie przeoczyłam następnego pytania.

- Całowałaś się kiedyś z chłopcem, Katie?

- Ja. - Kolejny rumieniec. - Z Samuelem. A przedtem z Johnem Beilerem.

- Samuel to twój chłopak? - Raczej były chłopak, pomyślałam. - Czy rozpoczęliście już współżycie?

- Nie!

Coop zawahał się.

- Czy Samuel całuje cię tylko w usta, czy gdzie jeszcze?

- W szyję - mruknęła cicho. - I w czoło.

- A piersi? Brzuch?

Katie wyprostowała nogi, wysuwając je spod spódnicy i zanurzyła stopy w nurcie strumienia.

- Samuel by czegoś takiego nie zrobił.

- Czy pozwoliłaś kiedyś komuś innemu dotknąć się albo pocałować? - Coop delikatnie docisnął śrubę, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, zapytał znów, jeszcze łagodniejszym głosem: - Czy chcesz kiedyś mieć dzieci?

Katie uniosła głowę, a słońce zapaliło światło w jej oczach i na policzkach.

- O tak, bardzo - odpowiedziała. - Najbardziej na świecie.

Kiedy tylko Katie oddaliła się poza zasięg głosu, natychmiast zabrałam się do wypytywania pytającego.

- No i co ty na to?

Coop wyciągnął się na trawie porastającej brzeg strumienia.

- W głębi ciemnego znalazłem się lasu. Zanim zacznę z nią dalej pracować, będę musiał się gdzieś zapisać na intensywny kurs amiszologii.

- Zapisz i mnie, jak już go znajdziesz. Z tym, że ja mam do wyboru tylko kurs korespondencyjny - westchnęłam. - Powiedziała, że chce mieć dzieci.

- Większość morderczyń noworodków chce je mieć. Tylko kiedy indziej, jeszcze nie teraz. - Urwał z wahaniem. - Z drugiej strony jest równie możliwe, że dla niej to dziecko nigdy nie istniało.

- A więc uważasz, że mówiła prawdę. Że rzeczywiście wyparła poród ze świadomości.

Coop milczał przez chwilę.

- Chciałbym ci to powiedzieć ze stuprocentową pewnością. Panuje powszechne przekonanie, że psychiatrze nie można nakłamać w żywe oczy i że to go właśnie różni od przeciętnego zjadacza chleba. Ale wiesz co? To jest bajka. Bo tak naprawdę za wcześniej jeszcze na ocenę sytuacji. Jeżeli ona kłamie, to po mistrzowsku. Nie mieści mi się w głowie, że mogła nauczyć się tego w domu.

- Doszedłeś do jakichkolwiek wniosków?

Wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że psychozę możemy wykluczyć.
- A wspomniane duchy?
- Istnieje ogromna różnica pomiędzy wytworem wyobraźni a urojeniem psychotycznym. Gdyby to ta zmarła siostra kazała Katie zabić jej własne dziecko albo gdyby wmawiała jej, że pod silosem mieszka diabeł, to by już była zupełnie inna historia.

- Ewentualna psychoza w tym momencie mnie nie obchodzi. A sam poród?

Coop pomasaował sobie grzbiet nosa, wysoko, pomiędzy oczami.

- Widać jak na dłoni, że ona blokuje fakt, że była w ciąży, jak też i same okoliczności poczęcia, ale tego już chyba domyśliłaś się bez mojej pomocy.

- Gwałt? - zapytałam.

- To też trudno stwierdzić. Ona tak się płoszy, mówiąc o seksie, że nie mogę się zdecydować, czy złożyć to na karb religijnego wychowania czy własnych tragicznych doświadczeń. Nawet wspomnienie o stosunku odbytym dobrowolnie, ale z kimś, kto nie należał do amiszów, mogło stać się murem w jej umyśle. Sama słyszałaś, jak ona się boi wykluczenia ze wspólnoty. Gdyby związała się z kimś z zewnątrz, nie ma co liczyć na to, że pozwolą jej żyć dotychczasowym życiem.

Podczas mojego pobytu wśród amiszów zdążyłam już zobaczyć dosyć, aby orientować się, że to nie do końca jest prawda.

- Prawdę mówiąc, to jest tak - powiedziałam - że Katie może się wypowiadać i kościół przyjmie ją z powrotem.

- Niestety, nawet jeśli inni jej przebaczą, to nie oznacza, że ona tak łatwo o wszystkim zapomni. Będzie jej to ciążyć do końca życia. - Coop spojrział na mnie. - Wziąwszy pod uwagę jej wychowanie, naprawdę trudno się dziwić, że jej umysł robi, co tylko może, aby wyprzeć ze świadomości to, co się stało.

Wyciągnęłam się na wznak w trawie tuż obok niego.

- Powiedziała mi, że nie zabiła tego dziecka i powiedziała mi też, że w ogóle go nie urodziła. Na to, że urodziła, istnieją jednak dowody...

- ...a więc jeśli to było kłamstwo - dokończył Coop - to i tamto nie musiało być prawdą. Niemniej jednak, aby skłamać, trzeba posiadać świadomą wiedzę na dany temat. Ale jeżeli Katie cierpi na zaburzenie dysocjacyjne, to nie może ponieść odpowiedzialności za to, że nie orientowała się, co jest prawdą.

Uniosłam się na łokciu.

- A za morderstwo już może? - zapytałam, uśmiechając się smutno.

- O tym - odparł Coop - zadecydują ławnicy. - Wstał i podał mi rękę. - Chciałbym dalej z nią pracować. Przeanalizować wydarzenia tej nocy, kiedy nastąpił poród.

- Nie proszę cię o to. I tak już zrobiłeś bardzo dużo i poświęciłeś się, bo to przecież nie jest twoja działka. Zresztą pewnie masz ważniejsze rzeczy do roboty.

- Obiecałem, że ci pomogę, a na razie jeszcze się nie napracowałem. Mogę przyjeżdżać na rozmowy z Katie wieczorem, jak już wyjdę z pracy.

- A twoja żona będzie jadła kolację sama jak palec. Czy to nie ty mi kiedyś mówiłeś, że psychiatrzy nigdy nie potrafią zapanować nad rozpadem własnych związków?

Coop kiwnął głową.

- To prawda. Bo mnie się nie udało. Rozwiodłem się mniej więcej rok temu.

Nagle zaschło mi w ustach. Odwróciłam się do niego.

- Rozwiodłeś się? - Coop spuścił wzrok, przyglądając się własnym butom, potem falom na strumieniu, a ja stałam, szukając w myślach odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak łatwo było nam rozmawiać o Katie, a tak trudno o sobie. - Coop, strasznie mi przykro.

Wyciągnął rękę i zdjął z pnia drzewa świecąca jak neon gąsienicę miernikowca, która zwinęła mu się na dłoni w ciasny, przypominający tamburyn krążek.

- Wszyscy popełniamy błędy - powiedział cicho, sięgając po moją dłoń. Uniósł ją na jedną wysokość ze swoją i wtedy gąsienica poruszyła się; wygięła ciało w kabłąk, a potem nagłym wyrzutem przerzuciła siebie jak kładkę pomiędzy nami.

Przekonanie Sary, że nie złamię prawa, jeśli zostawię Katie pod jej opieką do południa, a szanse na to, że jakiś urzędnik sądowy zajrzy akurat na farmę i zobaczy, że mnie nie ma, są minimalne, zajęło mi całe pół godziny.

- Posłuchaj - powiedziałam w końcu. - Jeśli mam przygotować się do obrony twojej córki, to potrzebuję trochę elastyczności.

- A doktor Cooper mógł do nas przyjechać? - marudziła Sara.

- Doktor Cooper nie pracuje w laboratorium za pół miliona dolarów i nie musiał go tutaj przywozić - wyjaśniłam cierpliwie.

Ostatecznie jednak to dwugodzinne spotkanie z doktorem Owenem Zeiglerem, wywalczone z takim poświęceniem, okazało się nie do końca warte tej ceny; kiedy już dotarłam na oddział patologii noworodków w Centrum Medycznym Uniwersytetu Pensylwańskiego, z niejakim rozczarowaniem stwierdziłam, że wolałabym być wszędzie, tylko nie tutaj. Nie

mogłam przestać myśleć o chorych niemowlętach, martwych niemowlętach i ryzyku porodowym u kobiet po czterdziestce; najchętniej prysnęłabym z powrotem na farmę Fisherów.

Z Owenem zdarzyło mi się już kiedyś współpracować przy jednej sprawie. Był to człowiek z twarzą okrągłą jak biszkopt, błyszczącą łysiną i kulistym brzuszkiem, który podskakiwał mu na kolanach, kiedy wciągał się na wysokie laboratoryjne stołki, żeby sięgnąć okiem do okularu mikroskopu.

- Posiew z powierzchni łożyska wykazał mieszaną florę bakteryjną zawierającą również maczugowce błonicy - poinformował mnie. - Co oznacza mniej więcej tyle, że było tam sporo kupy.

- Chcesz powiedzieć, że miało to wpływ na wyniki badań?

- Nie. To normalna rzecz - no i trzeba pamiętać, że łożysko leżało na ziemi w oborze.

Zmrużyłam oczy.

- W takim razie uracz mnie jakimś odstępstwem od normy.

- Chociażby śmierć noworodka. Uważam, że urodził się żywy. - Wszystkie moje nadzieje legły w gruzach. - Test wodny wykazał, że powietrze dotarło do pęcherzyków płucnych.

- Mów po ludzku.

Patolog westchnął.

- Dziecko oddychało.

- Czy to już jest pewne?

- Żeby ustalić, czy noworodek, nawet wcześniak, oddychał czy tylko wciągnął płyn do płuc, trzeba przyjrzeć się pęcherzykom, które powinny być zaokrąglone. To jest bardziej wiarygodne badanie niż test wodny, bo wycinek płuca może się unosić na wodzie także wtedy, gdy u noworodka zastosowano sztuczne oddychanie.

- Jasne - mruknęłam. - Najpierw zrobiła dziecku oddychanie usta-usta, a potem je zabiła.

- Nigdy nic nie wiadomo - odparł Owen.

- Dlaczego w takim razie przestało oddychać?

- Lekarz sądowy upiera się przy swojej wersji, czyli uduszeniu.

Ala to nie jest jeszcze ostatecznie stwierdzone.

Wciągnęłam się na wysoki stołek obok patologa.

- Chcę wiedzieć więcej.

- W płucach znalazłem popękane naczynka, co wskazuje na śmierć przez uduszenie, ale to mogło się stać równie dobrze przed śmiercią jak i po. Siny obrzęk warg znaczy tylko tyle, że usta noworodka były mocno do czegoś przyciśnięte. Mogła to być chociażby kość obojczykowa matki. Tak naprawdę, to jeśli to dziecko zostało uduszone czymś miękkim,

na przykład koszulą, w którą było zawinięte albo dłonią matki, to wszystkie objawy i ślady, którymi dysponujemy, równie dobrze mogą wskazywać na morderstwo co na zespół nagłej śmierci niemowląt. - Zabrał mi szkiełko z próbką mikroskopową, które machinalnie wzięłam do ręki. - Wniosek: bardzo możliwe, że temu noworodkowi nikt nie pomógł przenieść się na tamten świat. Trzydziestodwutygodniowy płód jest teoretycznie zdolny do przeżycia, ale w praktyce bywa różnie. Zmarszczyłam brwi.

- Czy matka mogłaby się nie zorientować, że dziecko umiera na jej oczach?

- Zależy. Gdyby zaczęło dławić się śluzem, pewnie by to usłyszała. Gdyby zaczęło się dusić, zauważyłaby, że sinieje, że oddycha coraz ciężiej. - Owen wyłączył mikroskop i wyjął szkiełko, opatrzone wyraźnym napisem FISHER S. Włożył je do pudełka razem z innymi preparatami mikroskopowymi.

Spróbowałam wyobrazić sobie Katie, sparaliżowaną strachem, kiedy zrozumiała, że to zbyt wcześnie urodzone maleństwo walczy o każdy oddech. Zobaczyłam jej szeroko otwarte oczy, a w nich szok, krępujący ręce, potem zaś zrozumienie, że już za późno, stało się. Zobaczyłam, jak Katie zawija martwe ciało w koszulę i próbuje je gdzieś schować, zanim ktoś odkryje, że stało się coś złego.

A potem wyobraziłam ją sobie przed sądem, stojącą nieruchomo, wysłuchującą oskarżenia o zaniedbanie polegające na niezapewnieniu nowo narodzonemu dziecku właściwej opieki medycznej. Zamiast zabójstwa pierwszego stopnia - zabójstwo na skutek zaniedbania, które także jest ciężkim przestępstwem, tak samo karanym więzieniem.

Wyciągnęłam z uśmiechem rękę do Owena.

- Dzięki, mimo wszystko - powiedziałam.

Nadszedł sobotni wieczór. Około godziny dziesiątej poszłam na górę, do naszego wspólnego pokoju i zaciągnęłam zielone rolety w oknie wychodzącym na wschód. Wzięłam prysznic, zastanawiając się, co porabia teraz Coop. Ogląda jakiś film? Je kolację w pięciogwiazdkowej restauracji? Ciekawe, czy sypia w T-shircie i bokserkach, tak jak kiedyś. Właśnie rozmyślałam sobie o tym w najlepsze, kiedy do pokoju weszła Katie.

- A tobie co? - zapytała, przyglądając mi się uważnie.

- Nic.

Wzruszyła ramionami i ziewnęła.

- Ależ jestem zmęczona... - powiedziała, ale błysk w oku i sprężysty chód całkowicie przeczyły jej słowom. Poszła do łazienki, a ja gasiłam

światło i wślizgnęłam się do łóżka. Oczy niebawem przywykły do ciemności. Katie wróciła z łazienki, przysiadła na skraju swojego łóżka i zdjęła buty, a potem bez rozbierania przykryła się kołdrą. Uniosłam się na łokciu.

- Nie zapomniałaś o czymś? - zapytałam rozbawiona.

- Zimno mi.

- W szafie na górnej półce jest zapasowa kołdra. - Tylko tego brakowało, żeby w nocy, przy przekręcaniu się z boku na bok, któraś z tych szpilek od sukienki wbiła się jej na przykład pod zebro.

- Tak mi jest dobrze.

- Jak sobie życzysz. - Odwróciłam się do ściany i leżałam z otwartymi oczami. Nagle przypomniałam sobie, jak to miałam szesnaście lat i kładłam się w ubraniu, żeby wymknąć się z domu, kiedy tylko zobaczę światła samochodu mojej najlepszej kumpeli i pojechać z nią do jednego takiego futbolisty ze szkolnej drużyny, który miał wolną chatę i robił imprezę. Usiadłam na łóżku i zmierzyłam gniewnym spojrzeniem Katie skuloną pod kołdrą. - No dobra, dokąd to się wybierasz?

Odpowiedziało mi ciężkie milczenie - niezbity dowód winy.

- Poprawka - dodałam po chwili. - Dokąd my się wybieramy?

Katie podniosła się z pościeli, usiadła na posłaniu.

- W soboty Samuel przychodzi w nocy. - Wyłożyła karty na stół. - Siedzimy sobie na ganku albo w dużym pokoju, czasami aż do rana.

Wiedziałam już dość, aby zdawać sobie sprawę, że w programie nocnych spotkań z Samuelem nie było seksu. Zakłopotanie Katie miało swoje źródło w obowiązującej u amiszów podstawowej zasadzie: randki to sprawa ściśle prywatna. Nie potrafiłam jednak zrozumieć, dlaczego młodzi amiszowie stają na głowie, żeby za wszelką cenę utrzymać swoje randki i swoich partnerów w tajemnicy.

Oczy Katie lśniły w ciemności, wpatrzone w okno. Przez chwilę wyglądała jak zwyczajna, usychająca z miłości nastolatka; chciałam wstać i dotknąć jej, pogłodzić po policzku, poradzić, żeby dobrze wryła sobie te chwile w pamięci, bo zanim się obejrzy, będzie już tylko mogła, tak jak ja, przyglądać się, jak ktoś inny je przeżywa. Nie umiałam znaleźć słów, żeby jej powiedzieć, że w zaistniałej sytuacji Samuel może dziś nie zjawić się w ogóle. Że dziecko, do którego nie chce się przyznać, zmieniło niektóre zasady.

- Jak on to robi? - zapytałam cicho. - Rzuca kamieniami? Wspina się po drabinie?

Katie zorientowała się, że jej sekret jest u mnie bezpieczny. Odpowiedziała powoli, z uśmiechem:

- Świeci w okno latarka.

- Aha. - Czułam się w obowiązku udzielić jej jakiejś rady, skoro już wybierała się na schadzkę, ale z drugiej strony co mogłabym doradzić dziewczynie, która zdążyła już zająć się ciążą i urodzić dziecko, a teraz czeka na rozprawę, oskarżona o to, że je zabiła? - Uważaj na siebie - rzuciłam w końcu i wróciłam pod kołdrę.

Spałam niespokojnie, budząc się często w oczekiwaniu na sygnał dany latarką Samuela. O północy Katie leżała jeszcze w łóżku; oczy miała otwarte. O drugiej piętnaście wstała i usiadła przy oknie, na fotelu na biegunach. O trzeciej trzydzieści ja wstałam i przyklekłam obok niej.

- On już nie przyjdzie, kotku - szepnęłam. - Za niecałą godzinę zaczynają doić krowy.

Ujęłam ją za podbródek, tak aby musiała spojrzeć mi w oczy i potrząsnęłam głową.

Katie podniosła się sztywno z fotela i usiadła na łóżku, wodząc palcem wzdłuż wzorów na kołdrze, zatopiona we własnych myślach.

Widywałam już twarze ludzi w momencie ogłoszenia wyroku, kiedy dowiadywali się, że czeka ich pięć lat w więzieniu, dziesięć, dożywocie. Najczęściej bywało tak, że nawet tych, którzy spodziewali się takiej kary, nagłe uprzytomnienie sobie prawdy przygniatało jak walący się budynek. W porównaniu z tą straszną świadomością, że jej życie zmieniło się nieodwołalnie i na zawsze, ogłoszenie wyroku będzie dla Katie pestką.

Przez długi czas siedziała bez słowa, wędrując palcami po ściegach własnej roboty. Kiedy w końcu się odezwała, dźwięk jej głosu wił się chwiejnie niczym cienka smuzka dymu:

- Przy szyciu narzuty, jak opuści się jeden ścieg, to cały szew jest do niczego. - Odwróciła się do mnie z szelestem pościeli. - Pociągasz za nitkę - szepnęła - i wszystko się pruje.

W niedzielę Aaron i Sara po kościele wybierali się w wizytę do znajomych i krewnych, ale Katie i ja podziękowałyśmy za zaproszenie. Po powrocie do domu wzięłyśmy się do pracy, a kiedy już wszystko było zrobione, wybrałyśmy się nad strumień na ryby. Katie wysłała mnie po wędki i znalazłam je w szopie, dokładnie tam, gdzie mi powiedziała, a sama poszła przodem, nazbierać robaków na przynętę. Dogoniłam ją na polu, kiedy właśnie wywróciła grudę ziemi.

- No, nie wiem. - Spojrzałam na różowe dżdżownice wijące się na jej dłoni. - Zaczynam mieć wątpliwości.

Katie wrzuciła kilka robaków do małego słoika po dzemie.

- Przecież mówiłaś, że łowiłaś ryby, kiedy przyjeżdżałaś tutaj w dzieciństwie.

- No, tak - odparłam - ale to było sto lat temu.

Zadarła głowę i uśmiechnęła się do mnie.

- Znowu to samo. Zawsze robisz z siebie starą babę.

- Pogadamy, jak ty będziesz czekała na czterdzieste urodziny. Powiesz mi wtedy, jak się czujesz. - Zarzuciłam wędki na ramię i poszłyśmy ścieżką wiodącą nad strumień.

Przez kilka ostatnich dni padało, więc nurt był bystry. Woda koziółkowała na kamieniach, rozstępowała się przed sterczącymi gałęziami. Katie usiadła na brzegu, wyjęła ze słoika jednego robaka i sięgnęła po wędkę.

- Robiliśmy sobie z Jacobem zawody w łowieniu ryb. Zawsze wyciągałam największą, au! - Schowała kciuk w ustach, ssąc ciekącą krew. - Ale głupio zrobiłam - wymamrotała po chwili.

- Jesteś zmęczona - pocieszyłam ją, ale ona tylko opuściła wzrok. - Każdemu zdarza się zrobić coś głupiego, kiedy mu na kimś zależy - dodałam ostrożnie po namyśle. - I co z tego, że czekałaś całą noc? Nic się przecież nie stało. - Wzięłam w palce robaka, odetchnęłam i założyłam na własny haczyk. - Kiedy byłam w twoim wieku, niejaki Eddie Bernstein wystawił mnie do wiatru przed samym baleem na zakończenie szkoły średniej. Kupiłam sobie sukienkę za sto pięćdziesiąt dolarów, bez ramiączek, w kolorze ecru - nie beżową, zwróć uwagę, nie kremową, tylko ecru - wystroiłam się w nią i czekałam w pokoju, aż Eddie po mnie przyjedzie. I co się okazało? Że umówił się z dwiema dziewczynami i w końcu poszedł z Mary Sue LeClare, bo mu się wydała łatwiejsza.

- Jak to łatwiejsza?

Odkaszlnęłam.

- Tak się mówi. Chodzi o seks.

Katie uniosła brwi.

- Aha. Rozumiem.

Nieco się speszyłam i szybko zarzuciłam wędkę.

- Może pogadajmy o czymś innym - zaproponowałam.

- Kochałaś go? Tego Eddiego Bernsteina?

- Nie. Przez całą szkołę rywalizowaliśmy ze sobą na stopnie. Była okazja, żeby nieźle się poznać. Zakochałam się dopiero na studiach.

- I dlaczego nie wyszłaś wtedy za męża?

- Dwadzieścia jeden lat to jeszcze o wiele za wcześnie na ślub. Większość kobiet woli poczekać jeszcze tych kilka lat, lepiej się zorientować we własnych potrzebach, a dopiero potem zdobywać nowe doświadczenia: wyjść za męża, mieć dzieci.

- Ale przecież o wiele więcej można się dowiedzieć o sobie, kiedy już ma się rodzinę - powiedziała Katie.

- Niestety, kiedy doszłam do tego wniosku, straciłam widoki na małżeństwo.

- A doktor Cooper?

Wędka wypadła mi z rąk. Podniosłam ją szybko.

- Co doktor Cooper?

- Lubicie się.

- No pewnie, że się lubimy. To mój kolega.

Katie parsknęła.

- Mój ojciec też ma kolegów, ale nigdy nie przysiadła się do nich na huśtawce na ganku, i to jeszcze za blisko. I nie uśmiecha się dłużej, niż potrzeba, kiedy coś powiedzą.

Skrzywiłam się.

- Moje życie osobiste to nie twój romans. Wydawało mi się, że ty jak nikt inny potrafisz to zrozumieć. - Romans, pomyślałam. Nie to słowo.

- Przyjedzie dzisiaj do nas?

Drgnęłam.

- Skąd wiesz?

- Bo cały dzień wyglądasz na drogę, tak jak ja w nocy przez okno.

Westchnęłam i postanowiłam powiedzieć prawdę. Kto wie, może to będzie dla niej bodziec do szczerych wyznań.

- Coop to był ten chłopak ze studiów. Ten, za którego nie wyszłam, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat.

Katie nagle się wyprostowała, wyszarpując z wody roztrzepotaną rybę. Jej łuski lśniły w słońcu, a śmigający ogon zasypywał nas kropelkami. Katie przyjrzała się zdobyczy, nie wyjmując kciuka z ust i wpuściła rybę z powrotem do wody, żeby dać jej drugą szansę.

- Kto kogo rzucił?

Nie próbowałam udawać, że nie rozumiałam pytania.

- Ja - odpowiedziałam cicho. - Jego.

- Przy obiedzie źle się poczułam - powiedziała Katie, utkwivszy wzrok w jednym punkcie, gdzieś ponad ramieniem Coopa - i Mam wysłała mnie na górę, żebym się położyła. Powiedziała, że ona sama pozmywa.

Coop skinął głową, zachęcając ją, żeby mówiła dalej. Rozmowa o wydarzeniach tej nocy, kiedy nastąpiło domniemane morderstwo, ciągnęła się już od dwóch godzin, a Katie była nieoczekiwanie chętna do współpracy, skwapliwa, wręcz rozgadana.

- Poczułaś się źle - powtórzył, podejmując wątek. - Co cię bolało? Głowa? Brzuch?

- Głowa, a do tego chwyciły mnie dreszcze. Jakbym złapała grype. Nigdy nie miałam dzieci, ale te objawy nawet mnie kojarzyły się raczej z infekcją a nie ze zbliżającym się rozwiązaniem.

- Zasnęłaś? - dopytywał się Coop.

- Ja, nie od razu, ale szybko. I obudziłam się rano.

- Nie pamiętasz niczego od momentu, kiedy położyłaś się spać aż do rana, kiedy się obudziłaś?

- Nie pamiętam - odpowiedziała - ale co w tym dziwnego? Nigdy nie pamiętam, co się działo pomiędzy zaśnięciem a przebudzeniem, chyba że akurat coś mi się przyśni.

- Czy czułaś się źle po przebudzeniu? Katie splonęła wściekłym rumieńcem.

- Trochę.

- Znów ból głowy i dreszcze? Opuściła wzrok.

- Nie. Zaczęły się moje dni.

- Katie, czy krwawienie było obfitsze niż zazwyczaj? - zapytałam, a ona przytaknęła. - Miałaś skurcze?

- Lekkie. - Skinęła głową. - Ale mogłam wstać i wziąć się do pracy.

- Czułaś się obolała?

- Chodzi o bóle mięśni?

- Nie. Czy bolało cię między nogami.

Katie zerknęła z ukosa na Coopa i odpowiedziała, patrząc prosto na mnie:

- Trochę piekło, ale pomyślałam, że to może przez tę grype.

- Dobrze - odchrząknął Coop. - A zatem wstałaś i wzięłaś się do pracy.

- Zaczęłam robić śniadanie - powiedziała Katie. - Widziałam, że w oborze jest jakieś zamieszanie, a potem przyjechała angielska policja. Mam zajrzał na chwilkę do kuchni i kazała mi zrobić więcej, żeby starczyło też dla policjantów, a potem sobie poszła. - Katie wstała i zaczęła spacerować w tę i w tę po ganku. - Nie chciało mi się iść do obory. Dopiero kiedy Samuel przyszedł mi powiedzieć, co się stało, poszłam tam razem z nim.

- I co tam zobaczyłaś?

W jej oczach zalśniły łzy.

- Malutkie dziecko - szepnęła. - Najmniejsze maleństwo, jakie w życiu widziałam.

- Katie - powiedział cicho Coop - czy widziałaś je już kiedyś przedtem?

Potrząsnęła energicznie głową, jakby próbowała zebrać myśli.

- Dotknęłaś go? - padło kolejne pytanie. - Nie.

- Czy to dziecko było nagie, czy może czymś przykryte?

- Zawinięte w koszulę - odpowiedziała szeptem. - Widać było tylko buzię. Wyglądało tak, jakby spało, tak samo jak Hannah w kołysce.

- Skoro było zawinięte w koszulę, a ty go nawet nie dotknęłaś... to skąd wiesz, że to był chłopiec?

Katie spojrzała na niego, mrugając oczami.

- Nie wiem.

- Pomyśl dobrze, Katie. Spróbuj sobie przypomnieć tę chwilę, gdy dowiedziałaś się, że to był chłopiec.

Potrząsnęła głową, a łzy tym razem polały się po policzkach.

- Co wy ze mną robicie? Tak nie wolno! - zaszlochała, obróciła się na pięcie i uciekła.

- Wróci - powiedziałam, patrząc za nią. - Ale miło, że się przejąłeś.

Coop westchnął, opierając się o wspornik gankowej huśtawki.

- Przycisnąłem ją do samego końca - zamyślił się. - Dotarłem do granicy świata jej wyobrażeń. Musiała uciekać, bo inaczej nie miałaby innego wyjścia, jak tylko przyjąć do wiadomości, że jej wymyślona logika się nie sprawdza. - Odwrócił się do mnie. - A ty uważasz, że ona jest winna, prawda?

Po raz pierwszy od czasu, kiedy tutaj przyjechałam, ktoś zadał mi to pytanie. Fisherowie, ich krewni i przyjaciele oraz cała wspólnota amiszów wydawali się być zdania, że oskarżenie Katie o morderstwo to jakiś niestworzona inkryminacja, z którą należy się pogodzić, ale w którą w żadnym wypadku nie wolno uwierzyć. Z drugiej strony, ja nie znałam Katie od samego urodzenia; widziałam przede wszystkim górę obciążających dowodów. A wszystko, z czym do tej pory się zetknęłam, od policyjnych raportów po informacje, które przekazał mi patolog noworodkowy, wskazywało na to, że Katie, biernie bądź też czynnie, spowodowała śmierć swojego dziecka. Ukrywanie ciąży - to była premedytacja. Obawa przed odrzuceniem przez Samuela, nie mówiąc już nawet o utracie szacunku rodziców i strachu przed ekskomuniką - to był motyw. Zaś co do upartego zaprzeczania dowiedzionym faktom - zawodowy nos mówił mi,

że dziewczyna wychowana tak jak Katie nie potrafi inaczej radzić sobie w sytuacji, kiedy wie, że zrobiła coś bardzo złego.

- Mogę jej bronić na trzy sposoby, Coop - odpowiedziałam. - Strategia numer jeden: przyznajemy się, że to ona, mówimy, że bardzo żałuje i zdajemy się na łaskę sądu. Minus jest taki, że będzie musiała zeznawać, a wtedy się wyda, że wcale nie żałuje, a nawet, że w ogóle nie przyjmuje do wiadomości, że to ona popełniła to przestępstwo. Strategia numer dwa: nie przyznajemy się, że to ona. To ktoś inny. Zgrabny argument, tylko mało prawdopodobny, zważywszy na to, że mamy do czynienia z przedwczesnym porodem, który odbył się w tajemnicy przed wszystkimi o drugiej nad ranem. I wreszcie strategia numer trzy: przyznaje my się, że to ona, ale mówimy, że cierpiała na zaburzenie dysocjacyjne, zatem nie można jej skazać za popełnienie przestępstwa, skoro umysłem nie była na miejscu.

- Uważasz, że ona jest winna - powtórzył Coop.

Nie mogłam znieść jego spojrzenia.

- Uważam - odparłam, odwracając wzrok - że tylko w ten sposób mogę ją z tego wyciągnąć.

Po południu weszliśmy do obory w tym samym momencie - ja chciałam popracować na komputerze, Aaron szedł nasypać krowom paszy. Nagle stanął jak wryty tuż obok mnie. Powietrze w oborze przesycone było wonią czegoś, co za chwilę miało się wydarzyć. Jedna z brzuchatych krow stojących w osobnej, wydzielonej zagrodzie wydała z siebie głośny ryk; spomiędzy jej zadnich nóg sterczało maleńkie kopytko. Aaron szybko sięgnął po parę gumowych rękawic kuchennych i wszedł do zagrody. Chwycił wystającą rączkę i zaczął ciągnąć, dopóki nie pojawiła się druga, a obok - miniaturowy pyszczek, biały jak papier. Aaron ciągnął dalej, a ja patrzyłam w zachwycie, jak przy akompaniamencie trzasku jakby przełamywanej pieczęci na świetle pojawia się ociekające krwią ciele.

Upadło na siano, a nogi rozjechały się pod nim. Aaron ukląkł obok i połaskotał je w nos źdźbłem trawy. Malutki nosek zmarszczył się, rozległo się kichnięcie - i cielątko zaczęło oddychać. Potem wstało, podeszło do matki i trąciło ją pyszczkiem w bok. Aaron zerknął mu pod ogon i uśmiechnął się.

- Krowa - oznajmił.

To chyba jasne, pomyślałam. Co niby miało być? Wieloryb? Roześmiał się, jakby usłyszał moje myśli.

- Krowa - powtórzył z naciskiem. - Nie byk. - Ściągnął rękawice, wstał. - No i jak? - zapytał. - Może być, taki cud?

Krowia matka przejechała szorstkim językiem po mokrej, pozwijanej sierści swojego dziecka. Patrzyłam wielkimi oczami, zafascynowana widokiem.

- Jak najbardziej - odpowiedziałam.

Kiedy Katie dowiedziała się, że Mary Esch urządza śpiewanie, zaczęła błagać mnie na kolanach, żebym pozwoliła jej jechać.

- Możesz iść ze mną - mówiła, jakby to miała być dla mnie po kusa nie do odparcia. - Proszę cię, Ellie.

Z tego, co ja i Coop dowiedzieliśmy się od niej, miało to być spotkanie towarzyskie, czyli okazja do zaobserwowania, jak Katie reaguje na chłopaków innych niż Samuel - chłopaków, z których jeden mógł być ojcem jej dziecka. Tak więc pięć godzin później zasiadłam wraz z Katie na koźle i ruszyliśmy w drogę na śpiewanie religijnych hymnów. Jeździłam już bryczką Fisherów, ale na tylnym siedzeniu było jakoś bezpiecznie.

- Kiedy zaczęłaś sama powozić? - zapytałam, chwytając się krawędzi ławki.

- Kiedy miałam trzynaście lat. - Pochwyciła moje spojrzenie i uśmiechnęła się. - Czemu pytasz? Chcesz potrzymać lejce?

Był w niej tego wieczoru jakiś blask, jakieś światełko nadziei; wprost nie mogłam się na nią napatrzeć. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, zatrzymała bryczkę obok innych, stojących rzędem przed stodołą, uwiązała konie i weszliśmy do środka. Mary na powitanie cmoknęła Katie w policzek i szepnęła jej coś do ucha, na co Katie parsknęła śmiechem, zasłaniając dłonią usta. Odeszłam na bok, próbując wtopić się w tłum. Obserwowałam dziewczęta o mlecznej cerze, ubrane w sukienki we wszystkich kolorach tęczy i chłopców jak jeden mąż czeszących się z grzywką, którzy rzucali im ukradkowe spojrzenia. Czułam się jak przyzwoitka na szkolnym balu - nieznośnie apodyktyczna, surowa i stara. Nagle wpadła mi w oczy znajoma twarz.

Zobaczyłam Samuela w grupie młodych mężczyzn, nieco starszych od niego; domyśliłam się, że to ci, którzy tak jak on przyjęli już chrzest, ale jeszcze się nie ożenili. Samuel stał odwrócony tyłem do Katie i słuchał opowieści jednego ze swoich towarzyszy - o ile udało mi się zorientować, była to nieprzyzwoita historia o grubej babie albo o kobyle. Kiedy nadszedł finał anegdoty i towarzystwo wybuchnęło śmiechem, Samuel uśmiechnął się lekko i odszedł na bok.

Z wolna grupa nastolatków zaczęła się gromadzić wokół dwóch długich piknikowych stołów. Przy jednym z nich chłopcy i dziewczęta zajmowali miejsca na osobnych ławach, naprzeciwko siebie. Drugi był zarezerwowany dla par, siedzących razem i trzymających się za ręce;

splecione dłonie obojga nikły w bujnych fałdach sukienki dziewczyny. Nagle podeszła do mnie młoda kobieta, którą widziałam po raz pierwszy w życiu.

- Czy zechce pani spocząć, pani Hathaway?

Od momentu przyjścia nastawiałam się, że przywitają mnie pytania o to, kim jestem, ale najwidoczniej się przeliczyłam. Wśród amiszów wiadomości przekazywane z ust do ust krążyły sprawnie i szybko; te dzieciaki wiedziały, kim jestem już bez mała dwa tygodnie temu.

- Prawdę mówiąc - odrzekłam - to najchętniej sobie postoję i popatrzę.

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi i usiadła przy stole, gdzie siedzieli wszyscy bez pary. Szepnęła coś do ucha swojej koleżance, która rzuciła mi spojrzenie spod półprzymkniętych powiek. Katie siedziała na samym końcu stołu dla par, trzymając miejsce obok siebie wolne. Jak gdyby nigdy nic, błysnęła uśmiechem w stronę zbliżającego się Samuela.

A on minął ją, nie zatrzymując się.

Odprowadzany bacznym spojrzeniem Katie łowiącym każdy jego krok, dotarł do stołu dla samotnych i wślizgnął się na wolne miejsce. Nie było chyba takiej pary oczu, która by go nie śledziła, a potem nie przeniosła się błyskawicznie na Katie - nie padło jednak ani jedno słowo. Katie skłoniła głowę, nisko, jak młody łabędź; jej policzki płonęły.

Pierwsze nuty hymnu wzbily się w powietrze. Usta dziewcząt złożyły się w kształt litery O, zaś głosy chłopców jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nabrały głębi. A ja podeszłam wolnym krokiem do stołu dla par, przestąpiłam ponad ławką i usiadłam obok Katie, która nawet na mnie nie spojrzała. Położyłam otwartą dłoń grzbietem do dołu na jej kolanie, a w myślach zaczęłam liczyć: ćwierć nuty, półnuta... Dopiero po całym takcie melodii przyjęła to, co chciałam jej dać.

Gdybym zamknęła oczy, nigdy w życiu nie powiedziałabym, że siedzę na imprezie młodych amiszów. Gwar rozmów, chichoty, brzęk szklanek i talerzy przy częstowaniu napojami i przekąskami - to wszystko wydało mi się dobrze znajome i takie... angielskie. Nawet niewyraźne sylwetki poruszające się w ciemnych kątach - pary szukające odrobiny prywatności, żeby móc się zbliżyć - oraz tych dwoje, którzy jako jedyni odważyli się wyjść na zewnątrz, wynosząc ze stodoły twarze płonące wewnętrzną gorączką; wszystko to wydało mi się jakby żywcem wzięte z mojego świata i jakoś nie bardzo na miejscu w świecie Katie.

Katie siedziała na stołku niczym królowa na tronie, otoczona wiernymi przyjaciółkami, dysputując z nimi zawzięcie. Temat wieczoru: dlaczego Samuel nie chciał się do niej przyznać. Jeśli próbowały ją pocieszać - to średnio im to wychodziło; Katie patrzyła mętnym wzrokiem, jak ogłuszona. Najwidoczniej nie potrafiła sobie poradzić z odrzuceniem i to w dodatku drugą noc z rzędu.

Chociaż, kiedy spojrzeć na to z tej strony, odrzucenie nie było jedyną świeżo odkrytą smutną prawdą o życiu, z którą Katie nie umiała sobie poradzić.

Nagle grupka dziewcząt rozstała się na dwie strony jak rozcięta nożem. Do Katie podeszedł Samuel, mnąc w dłoniach kapelusz.

- Witaj - powiedział.
- Witaj.
- Mogę odwieźć cię do domu?

Słyszac to, jedna czy dwie koleżanki poklepały Katie po plecach, jakby chciały powiedzieć, że one przecież wiedziały od początku, że wszystko dobrze się ułoży. Ale Katie nie patrzyła na Samuela.

- Przyjechałam własną bryczką. I jest ze mną Ellie.
- Czy Ellie nie może sama wrócić?

To był dla mnie znak, żeby się odezwać. Podeszłam do nich, porzucając bezwstydną podsłuchiwanie.

- Bardzo mi przykro, kochani - powiedziałam z uśmiechem. - Katie, nie zabraniam ci rozmów w cztery oczy, ale jeśli to oznacza, że ja mam powozić kulawą kobyłą, to nie ma o czym mówić.

Samuel zerknął na mnie z ukosa.

- Moja kuzynka Susie powiedziała, że odwiezie cię do Fisherów, jeśli tylko się zgodzisz. A ja potem zabiorę ją do domu.

Katie milczała, czekając, co postanowię.

- Dobrze - westchnęłam, zastanawiając się, ile lat ma Susie i czy w moim świecie mogłaby chociażby zapisać się na kurs prawa jazdy.

Odprowadzając wzrokiem Katie wsiadającą do otwartego wozu, którym przyjechał Samuel, wspięłam się na kozioł dużej rodzinnej bryczki, którą przyjechałyśmy na to spotkanie. Siedziała tam już mizerna dziewczuszka w okularach grubych jak denka od butelek - mój kierowca, wylosowany tego wieczoru jako niepijący. Zanim Samuel ruszył, Katie zdążyła mi jeszcze pomachać, uśmiechając się nerwowo.

Powrót do domu to było długie i milczące piętnaście minut. Susie nie zapowiadała się na mistrzynię sztuki konwersacji; prawdę mówiąc,

odniosłam wrażenie, że bezpośrednie zetknięcie z kimś, kto nie był amiszem, całkowicie pozbawiło ją mowy. Aż podskoczyłam na dźwięk jej głosu, kiedy po przyjeździe do Fisherów zapytała, czy może skorzystać z łazienki.

- Jasne - powiedziałam. - Idź śmiało.

Nie był to popis gościnności, ale za wszelką cenę chciałam poczekać na Katie. Tak na wszelki wypadek.

Zostałam w bryczce, bo nie miałam najmniejszego pojęcia, jak się zabrać do wyprzegania konia. Chwilę później dało się słyszeć lekkie stąpanie kopyt po ubitej ziemi; to zbliżała się bryczka Samuela.

Zamiast się ujawnić, dać znak, gdzie jestem, zaszyłam się w ciemnym wnętrzu bryczki, zamierzając wysłuchać rozmowy Katie i Samuela.

- Tylko mi powiedz. - Jego głos był tak cichy, że niczego bym nie usłyszała, gdyby nie wiatr, który przywiał jego słowa w moją stronę. - Powiedz, kto to był. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, pytał dalej, z rosnącą frustracją: - John Lapp? Widziałem, jak się na ciebie gapił. A może Karl Mueller?

- Nikt! - zapierała się Katie. - Przestań już!

- Niemożliwe, żeby to był nikt. Ktoś cię dotykał. Ktoś cię przytulał. Ktoś zrobił to dziecko!

- Nie było żadnego dziecka. Nie było! - Krzyknęła Katie piskliwym głosem, a potem usłyszałam głucho uderzenie jej stóp o ziemię i oddalający się tupot.

Wyłoniłam się ze swojej kryjówki, patrząc z zakłopotaniem na Samuela i Susie, która właśnie wyszła z domu, zderzając się w drzwiach z biegnącą Katie.

- To nieprawda, że nie było dziecka - szepnęła do mnie.

Skinęłam głową.

- Współczuję ci.

E. Trumbull Tewksbury zjawił się u nas tuż po obiedzie, jak zwykle ostrzyżony na zero, w czarnym garniturze i ciemnych okularach w stylu agenta federalnego. Rozejrzał się po farmie, jakby chciał sprawdzić, czy gdzieś nie zaczaili się zamachowcy albo terroryści, a potem zapytał, gdzie może rozstawić swój sprzęt.

- W kuchni - odpowiedziałam, prowadząc go do domu. Katie już tam czekała.

Kiedyś Bull pracował w FBI, teraz zaś świadczył usługi w sektorze prywatnym. Przeprowadzał testy wykrywaczem kłamstw. Krótko mówiąc - walizka do wynajęcia. Zdarzyło mi się już skorzystać z jego przenośnego sprzętu i fachowej pomocy. Odwiedzał w moim imieniu klientów

w ich własnych domach, a doświadczenie zawodowe nauczyło go rozta-
czać odpowiednią do okazji aurę powagi, połączoną z pewnego rodzaju
aluzyjną przestrogą; klient wiedział od razu, że lepiej mówić mu prawdę
- a to, czy popełnił przestępstwo czy nie, to już całkiem inna sprawa.

Rzecz jasna, to był chyba pierwszy wypadek w jego karierze zawo-
dowej, kiedy musiał czekać, aż biskup wspólnoty amiszów udzieli mu
zezwolenia na przeprowadzenie testu, nie mówiąc już o samym użyciu
sprzętu, czyli magnetofonu, mikrofonu oraz baterii, z których składał się
wykrywacz kłamstw. Lecz kiedy władze kościoła wyraziły już oficjalną
zgode, nawet Aaron, choć przeciwny badaniu, nie mógł wchodzić nam w
drogę. Zostałyśmy same: ja, Katie i, w charakterze wsparcia moralnego,
Sara, która przez cały czas nie wypuszczała dłoni córki z mocnego uści-
sku.

- Oddychaj głęboko - poradziłam Katie, przysuwając się bliżej.
Dziewczyna była skrajnie przerażona; widziałam to już u kilku klientów.
Nie mogłam oczywiście wiedzieć, czy to strach przed tym, że wszystko
się wyda, czy może po prostu jeszcze nigdy nie widziała takiej maszyne-
rii, tylu światełek i guzików naraz. Ale ponieważ aparatura była czuła na
zdenerwowanie, musiałam się postarać, żeby zdusić jej strach w zarodku,
niezależnie od przyczyny.

- Zadam ci teraz kilka pytań - zaczął Bull. - Widzisz to urządzo-
no? To jest taki mały magnetofon. A to mikrofon. - Postukał w niego
paznokciem. - A to tutaj niczym się w zasadzie nie różni od sejsmografu,
takiego do mierzenia trzęsień ziemi.

Katie ścisnęła Sarę za rękę tak mocno, że aż jej palce pobieleły.
Przez cały czas powtarzała szeptem słowa, które po tylu wieczorach spędzonych w domu Fisherów zdążyły już dobrze zapaść mi w pamięć: Un-
ser Vater, in dem Himmel. Dein Name werde geheiligt. Dein Reich
komme. Dein wille geschehe auf Erden wie im Himmel.

Nigdy jeszcze, przez tyle lat praktyki adwokackiej, nie słyszałam,
żeby klient recytował „Ojciec nasz” do mikrofonu wykrywacza kłamstw.

- Bez nerwów. - Poklepałam ją po ramieniu. - Będziesz mówić
tylko „tak” albo „nie”.

Ale to nie dzięki mnie Katie w końcu udało się uspokoić. Zrobił to
Bull we własnej osobie. Wiedziony podszeptem swojego pentagonalnego
federalnego serca, za co niech sercu będą dzięki, zdecydował się na mały
sabotaż: zagadnął Sarę jakby nigdy nic o krowy rasy dzersej, z których
mleka zbiera się podobno najwięcej śmietany. Katie, widząc, jak mama

gawędzi sobie miło z obcym człowiekiem na znajomy temat, najpierw odetchnęła głębiej, potem usiadła mniej sztywno, aż w końcu można już było z nią rozmawiać.

Taśma zaczęła nawijać się na rolkę.

- Jak się nazywasz? - zapytał Bull.
- Katie Fisher.
- Czy masz osiemnaście lat?
- Tak.
- Czy mieszkasz w Lancaster?
- Tak.
- Czy przyjąłeś chrzest według obrządku amiszów?
- Tak.

Siedziałam obok Bulla, w miejscu, skąd mogłam obserwować wskazówkę wykrywacza kłamstw. Przysłuchiwałam się wstępnym pytaniom, które sama sformułowałam i śledziłam wzrokiem wydruk reakcji urzędzenia. Dotąd wszystko było w normie, lecz z drugiej strony nie padły przecież jeszcze żadne prowokacyjne pytania. Faza wstępna, której celem było rozwiązanie Katie języka, trwała jeszcze przez kilka minut, potem zaś zaczęło się to, o co wszystkim nam chodziło.

- Czy znasz Samuela Stoltzfusa?
- Tak. - Głos Katie lekko osłabł.
- Czy pomiędzy tobą a nim doszło do zbliżenia seksualnego?
- Nie.
- Czy byłaś już kiedyś w ciąży? Katie spojrzała na matkę.
- Nie - odpowiedziała. Wskazówka ani drgnęła.
- Czy rodziłaś już dzieci?
- Nie.
- Czy zabiłaś dziecko, które urodziłaś?
- Nie.

Trumbull wyłączył urządzenie i oderwał długi pas wydruku. Zaznaczył na nim kilka miejsc, gdzie igła wahała się nieznacznie, wiedział jednak dobrze, tak samo jak ja, że takie wahnięcia nie dowodzą kłamstwa w żywe oczy.

- Zaliczyłaś - poinformował Katie.

Dziewczyna pojaśniała z radości i rzuciła się Sarze na szyję, ściskając matkę z całych sił, a kiedy już wypuściła ją z objęć, odwróciła się do mnie, pytając z szerokim uśmiechem na twarzy:

- Te wyniki są dobre? Możesz pokazać je ławnikom?

Przytaknęłam.

- Jest to z całą pewnością krok we właściwym kierunku. Ale zazwyczaj robi się dwa testy, żeby mieć lepszy dowód. - Skinęłam na Bulla,

żeby ustawił wszystko jeszcze raz. - Poza tym, najtrudniejsze już za tobą.

Katie usiadła z powrotem na swoim krześle; tym razem o wiele spokojniejsza, czekała cierpliwie, aż Bull podstawi mikrofon blisko jej ust. Wystuchałam, jak udziela odpowiedzi na ten sam zestaw pytań.

Kiedy skończyła, policzki miała zaróżowione. Uśmiechnęła się do mamy. Bull wyciągnął wydruk z maszyny i zakreślił kilka miejsc, gdzie igła szarpnęła się jak szalona, w jednym wypadku wychodząc aż poza papier. Tym razem Katie udzieliła nieprawdziwej odpowiedzi na trzy pytania: o ciążę, o urodzenie dziecka, o jego zabicie.

- Zaskakujące - mruknął Bull półgębkiem. - Przecież za drugim razem była o wiele spokojniejsza. - Wzruszył ramionami, zabierając się do rozłączania przewodów. - A może to właśnie dlatego? - zastanowił się.

Oznaczało to tyle, że nie mogę używać pierwszego testu jako dowodu, jeśli razem z nim nie przedstawię prokuratorowi również tego drugiego zestawu wyników, fatalnego dla Katie. Oznaczało to tyle, że badanie wykrywaczem kłamstw nie przyniosło jednoznacznych rezultatów.

Katie spojrzała na mnie, rozpromieniona, wciąż trwająca w błogiej nieświadomości.

- Koniec? - zapytała.

- Tak - odpowiedziałam miękko. - To już koniec.

Karmienie cieląt należało do obowiązków Katie. Kilka dni po urodzeniu odstawiano je od matek i umieszczano w niedużych kopulastych pojemnikach z plastiku, które stały niedaleko obory, podobne do rzędu psich bud. Zaniósłszy tam butelki z pokarmem na bazie mleka w proszku, którym karmiło się młode, żeby nie zabierały swoim matkom prawdziwego mleka przeznaczonego na sprzedaż.

- Nakarm Sadie - powiedziała Katie; takie imię otrzymała krówka, która urodziła się na moich oczach przed kilkoma dniami. - Ja pójdę do Gedeona.

Z Sadie zrobiło się już całkiem ładne cielątko. Jej sierść, oczyszczona z krwi i płynów płodowych, wyglądała teraz jak czarno-biała mapa; zarysy olbrzymich kontynentów ciągnęły się w poprzek grzebienia kręgosłupa i oblepiały kościsty zadek.

- Hej, malutka. - Poklepałam ją po kwadratowym łebku. - Jesteś głodna?

Ale Sadie zdążyła już znaleźć pyszczkiem smoczek i skoncentrowała wysiłki na tym, żeby wyrwać mi butelkę z rąk. Przechyliłam ją, żeby

leciało więcej pokarmu i zmarszczyłam brwi, widząc łańcuch, którym Sadie była przywiązana do swojego niby-baraku, jak jakiś więzień. Wiedziałam, że mlecznym krowom łańcuchy nie przeszkadzają, ale to przecież było jeszcze dziecko. Zresztą, co złego mogło jej grozić?

Katie stała tyłem do mnie. Szybko odczepiłam krępujący łańcuch od haczyka na obroży zapiętej na karku Sadie, która nawet się nie spostrzegła, zresztą tak, jak przewidywałam. Gulgocząc zawzięcie przetykiem, opróżniła butelkę do ostatniej kropli, po czym wetknęła mi łepkę pod ramię.

- Przykro mi bardzo - powiedziałam. - Skończyło się.

Katie obejrzała się na mnie przez ramię, uśmiechając się szeroko. Gedeon, nieco starszy od Sadie i nieco mniej od niej łakomy, wciąż jeszcze ssał w trybie przyspieszonym swój smoczek. Ten właśnie moment wybrała sobie Sadie, żeby bryknąć, kopnąć mnie z całej siły w brzuch i wyrwać się ze swojego więzienia na wolność.

- Ellie! - krzyknęła Katie. - Coś ty narobiła!

Nie mogłam odpowiedzieć, bo z ledwością łapałam oddech, leżąc zwinięta w kłębek na ziemi przed budkami dla cieląt i ściskając się za bok.

Katie rzuciła się pędem za Sadie, która hyciała po podwórzu, jakby wyrosły jej sprężyny pod kopytami. Obiegła placyk do połowy, a potem zmieniła kierunek, zawracając w moją stronę.

- Łap ją! Za przednie nogi! - krzyknęła Katie. Rzuciłam się w przód i zacisnęłam palce na kolanach Sadie; położyłam ją na glebę chwytem, którego nie powstydziliby się zawodowiec.

Zasapana Katie przeciągnęła łańcuch tam, gdzie leżałam razem z krowką, nie pozwalając jej wstać i zaczepiła go z powrotem do obroży. Potem usiadła obok mnie, żeby złapać oddech.

- Przepraszam - wydyszałam. - Skąd mogłam wiedzieć... - Obejrzałam się na Sadie, która schroniła się z powrotem w cieniu swojej budki. - No, ale blok był niezły. Może powinnam wybrać się na eliminacje do Eagles.

- A co to jest Eagles?

- Drużyna futbolowa.

Katie spojrzała na mnie, robiąc wielkie oczy.

- Co to znaczy „futbolowa”?

- No, wiesz, jest taka gra. W telewizji ją pokazują. - Ale to jej raczej nic nie powiedziało. - To coś jak baseball. - Wpadłam wreszcie na właściwy trop, przypomniawszy sobie, że widywałam tutaj dzieciaki w rękawicach, przerzucające się piłką. - Ale nie takie samo. Eagles to zawodowa drużyna, co oznacza, że zawodnicy dostają dużo pieniędzy za mecze.

- Dostają pieniądze, żeby wyjść na boisko i grać w grę?

W takim ujęciu rzeczywiście zabrzmiało to idiotycznie.

- No... - zawahałam się - ...tak.

- A gdzie oni pracują?

- To jest ich praca - wyjaśniłam, ale nawet mnie samej wydało się to teraz dziwne. Jaką wartość miało przerzucanie jajowatej piłki pomiędzy dwoma tyczkami w porównaniu, na przykład, z codziennymi zajęciami Aarona Fishera, który był jak najbardziej dosłownie żywicielem swojej rodziny? A skoro już o tym mowa - jaką wartość miała moja kariera, oparta na słowach, a nie na pracy własnych rąk?

- Nie rozumiem - przyznała się szczerze Katie.

A ja, w tym momencie, siedząc na podwórzu u Fisherów, też jakoś nie mogłam tego zrozumieć.

Spojrzałam Coopowi w oczy.

- Rozwiodłeś się z powodu kłótni o konto w banku? - spytałam, rozbawiona.

- Może niedokładnie akurat tak. - W świetle księżycy błysnęły jego zęby. - To chyba była kropla, która przepęłniła czarę goryczy.

Przysiedliśmy na jakimś żelastwie, które Elam, Aaron i Samuel przyciągnęli na pole z pomocą zaprzęgu mułów. Trzeba było bardzo uważać, żeby nie skaleczyć się w nogę; machina miała na dole trzy potworne koła najeżone groźnymi kłami kolców. Dla mnie wyglądało to jak wyrafinowane narzędzie tortur, ale Katie twierdziła, że służy tylko do rozrzucania siana, żeby lepiej wyschło przed zebraniem w stogi.

- Niech zgadnę - powiedziałam. - Zrobiła ci debet na karcie kredytowej. Pograżyła ją słabość do sklepów sieci Neimana Marcusa.

Coop potrząsnął głową.

- Chodziło o hasło do karty bankomatowej.

Zaśmiałam się.

- Dlaczego? Okazało się, że to jakieś twoje głupie przezwisko?

- Nie chciała mi powiedzieć, jakie to hasło. I o to właśnie poszło. - Westchnął. - Poszliśmy na kolację, a ja zapomniałem portfela. Trzeba było wyciągnąć gotówkę z bankomatu, więc wziąłem kartę z jej torebki i zaferowałem się, że pójdę. Ale kiedy poprosiłem o hasło, zacięła się i nie chciała powiedzieć.

- Tak Bogiem a prawdą - zauważyłam - to swojego hasła nie wolno zdradzać nikomu.

- Widzę, że miałaś jakąś klientkę, którą mąż oskubał do czysta i dał nogę do Meksyku, zgadza się? Tylko, że ja taki nie jestem. I nigdy

nie byłem. Ale ona się uparła. Nie chciała mi zaufać w tej jednej rzeczy. A ja zacząłem się zastanawiać, co jeszcze przede mną ukrywa.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam, kręcąc guzikiem od swetra.

- Złapałam kiedyś grypę - odezwałam się wreszcie. - Byliśmy już wtedy ze Stephenem może sześć lat razem, nie pamiętam. Przyniósł mi śniadanie do łóżka: jajka, tosty, kawa. Rozczulił mnie tym, ale jedna rzecz była nie tak. Kawę zrobił słodką i ze śmietanką. A przez sześć lat, dzień w dzień, na jego oczach piłam czarną.

- I co zrobiłaś? Uśmiechnęłam się blade.

- Ślicznie mu podziękowałam i przez kolejne dwa lata żyliśmy sobie razem - rzuciłam żartobliwym tonem. - A miałam jakiś wybór?

- Zawsze ma się jakiś wybór, Ellie, tylko ty nie chcesz tego wiedzieć.

Udałam, że nie dosłyszałam, odwracając wzrok. Ponad polem tytoniu krążyły gromady robaczek świętojańskich, rozjaśniając zieleń liści tak, że wyglądało to jak światełka na choince. W lipcu.

- Duvach - przypominałam sobie na głos słówko z dialektu Dietsch, którego nauczyłam się od Katie.

- Zmiana tematu - powiedział Coop. - Cała Ellie. Zawsze taka byłaś.

- Że niby co?

- Słyszałaś, co powiedziałem. - Wzruszył ramionami. - Przez te wszystkie lata nic się nie zmieniłaś.

Odwróciłam się do niego, mrużąc oczy.

- Nie masz bladego pojęcia, jaka byłam przez te wszystkie...

- To nie była moja wina - przerwał mi.

Skrzyżowałam ręce na piersi. Zaczęło mnie to już drażnić.

- Ty traktujesz to jak ryzyko zawodowe, rozumiem, ale są też tacy ludzie, którzy nie lubią wywlekać spraw z przeszłości.

- Widzę, że to dla ciebie wciąż drażliwy temat.

- Dla mnie? - zaśmiałam się, nie wierząc własnym uszom. - To ty mówiłeś o przebaczeniu, ale jakoś nie możesz przestać przynudzać o tym, jak to nam było razem i jak się skończyło.

- Przebaczenie i zapomnienie to dwie różne rzeczy.

- Przypominam ci, że miałaś dwadzieścia lat, żeby wyrzucić to z pamięci. Postaraj się to zrobić chociaż na czas współpracy z moją klientką.

- Czy tobie naprawdę się wydaje, że zapieprzam tutaj taki kawał drogi dwa razy w tygodniu, żeby pracować charytatywnie z dziewczyną

od amiszów? - Coop wyciągnął rękę, a jego dłoń przyłgnęła do mojego policzka; cały gniew ulotnił się, zanim jeszcze zdążyłam ochłonąć z zaskoczenia i złapać oddech. - Chciałem spotkać się z tobą, Ellie. Dowiedzieć się, czy zdobyłaś w życiu to wszystko, czego kiedyś tak pragnęłaś.

Stał już tak blisko, że widziałam wyraźnie złote iskry migoczące w jego zielonych oczach. Na skórze czułam słowa, które wypowiadał.

- Kawę pijesz zawsze czarną - szepnął. - Szczotkujesz włosy sto razy, zanim położysz się spać. Po malinach robią ci się bąble na skórze. Kiedy skończysz się kochać, lubisz wskoczyć pod prysznic. Znasz wszystkie zwrotki „Paradise by the Dashboard Light” Meat Loafa, a na Boże Narodzenie specjalnie nosisz w kieszeni drobniaki dla mikołajów z Armii Zbawienia. - Poczułam, jak jego dłoń ześlizguje się na mój kark. - O czymś zapomniałem?

- A-D-W-O - wyszeptałam. - Moje hasło do bankomatu.

Wtuliłam się w ramiona Coopa, rozsmakowując się w nim powoli. Czułam, jak jego palce rozcierają moją skórę i zamknawszy oczy, pomyślałam o tym, jak wiele gwiazd widać tutaj nocą na niebie, o ileż głębszym niż u nas. Pomyślałam sobie, że to jest miejsce, gdzie można się zagubić.

Nagle, w momencie, kiedy nasze usta się odnalazły, odskoczyliśmy od siebie, spłoszeni tupotem stóp na ścieżce biegnącej przez pole.

Biegliśmy za Katie prawie półtora kilometra, potykając się w ciemności i nie mówiąc ani słowa, żeby się nie zdradzić. Miała nad nami tę przewagę, że oświetlała sobie drogę latarką. Coop prowadził, trzymając mnie za rękę, dając znać uściskiem, kiedy dostrzegał na ścieżce jakąś gałąź, kamień albo koleinę.

Chociaż posuwaliśmy się naprzód w całkowitym milczeniu, wiedziałam dobrze, że on myśli o tym samym co ja: Katie biegła na spotkanie z kimś, kogo chciała ukryć przed moimi oczami. Nie mógł to więc być Samuel; wszystko wskazywało na to, że chodzi o wielkiego nieobecnego - nieznanego ojca jej dziecka.

Przed nami, niczym wielka szara góra, zamajaczyła bryła domostwa. Ciekawe, pomyślałam, czy to tam właśnie mieszka kochanek Katie. Zanim jednak zdążyłam się nad tym bliżej zastanowić, Coop szarpnął mnie za rękę, ciągnąc na ścieżkę, która odbijała w lewo, prowadząc na niewielki, otoczony płotem teren. Tam właśnie zniknęła Katie. Dopiero po dobrej chwili zorientowałam się, że małe białe kamienie sterczące z ziemi to nagrobki.

Byliśmy na cmentarzu, gdzie Sara i Aaron pochowali zmarłego noworodka.

- Boże... - szepnęłam. Coop natychmiast zasłonił mi usta dłonią.
- Patrz i nic nie mów. - Jego ciche słowa wpadły miękko do mojego ucha. - To może być przełom, przebicie tej ściany, o której mówiliśmy.

Przykucnęliśmy nieopodal Katie, która zresztą i tak wydawała się nas nie zauważać. Oczy miała szeroko otwarte i lekko zaszklone. Oparła latarkę o pobliski nagrobek, przyświecając sobie, po czym uklękła obok świeżo zasypanego grobu i dotknęła kamienia.

URODZIŁ SIĘ MARTWY, głosił napis. Tak jak mówiła mi Leda. Patrzyłam, jak Katie przebiega palcami każdą literę po kolei. Zgarbiła się, pochylając głowę - płakała? Podniosłam się, żeby iść do niej, ale Coop mnie zatrzymał.

Katie wzięła do rąk jakieś narzędzia, wyglądające jak dłuto i nieduży młotek, przyłożyła ostrze do kamienia, uderzyła raz, drugi.

Tym razem Coopowi nie udało się mnie zatrzymać. Zerwałam się z okrzykiem „Katie!” i pobiegłam do niej, ale ona nie odwróciła nawet głowy. Opadłam na ziemię obok niej i chwyciłam ją za ramiona, a potem wyrwałam z rąk dłuto i młotek. Twarz miała zalaną łzami, ale jej wyraz był całkowicie obojętny, apatyczny.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałam.

Spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem i nagle w pustych oczach odbiła się świadomość.

- Och... - jęknęła piskliwie, zakrywając twarz dłońmi. Zaczęła się trząść na całym ciele. Widać było, że nie może zapanować nad drgawkami.

Coop pochylił się, wziął Katie na rękę.

- Zabierzemy ją do domu - powiedział, ruszając w stronę bramy cmentarza. Dziewczyna szlochała mu w koszulę.

Uklękłam przy grobie, żeby zabrać dłuto i młotek. Katie zdążyła skuć fragment napisu; zrobiło mi się żal Aarona i Sary, którzy wykoszowali się na ten nagrobek, na którym pozostały już tylko dwa słowa: URODZIŁ SIĘ.

- Mogła lunatykować - powiedział Coop. - Leczyłem już ludzi, którzy narobili sobie fatalnych kłopotów przez zaburzenia snu.

- Od dwóch tygodni dzielę z nią pokój i ani razu nie widziałam nawet, żeby wstawała w nocy do łazienki.

Przebiegł mnie dreszcz. Widząc, że się trzęsę, Coop objął mnie ramieniem. Drewniana ławka nad stawem Fisherów nie była duża. Przysunęłam się o ułamek milimetra bliżej.

- Z drugiej strony może być i tak - postawił kolejną hipotezę - że zaczyna do niej docierać, co się stało.

- Brakuje mi w tym logiki. Jaki związek ma przyjęcie do świadomości, że było się w ciąży ze zniszczeniem nagrobka?

- Nie powiedziałem, że ona przyjęła to do świadomości. Uważam tylko, że być może zaczęła wierzyć niektórym dowodom, którymi ją zasyпалиśmy i w jakiś sposób próbuje pogodzić jedno z drugim. Podświadomie.

- Aha. Nie ma nagrobka, nie było dziecka.

- Otóż właśnie. - Odetchnął powoli, a potem rzekł z namysłem: - Wystarczy ci już tego, Ellie. Bez problemu znajdziesz psychiatrę sądowego, który poprze oświadczenie o niepoczytalności.

Skinęłam głową, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego wsparcie, jakie od niego otrzymuję, w ogóle mnie nie pociesza.

- Chcesz dalej z nią rozmawiać? - zapytałam.

- Tak. Zrobię wszystko, żeby się nie załamała, kiedy nadejdzie kryzys. Bo kryzys nadchodzi. - Uśmiechnął się łagodnie. - Zaś jako twój psychiatra, muszę ci powiedzieć, że zbyt się angażujesz w tę sprawę.

Rozbawiło mnie to.

- Powiedziałeś: mój psychiatra?

- Z najwyższą przyjemnością, droga pani. Będzie pani moim najmielszym pacjentem.

- Przykro mi, ale ja nie jestem wariatką.

Pocałował mnie za uchem, trącając nosem.

- Wszystko do czasu - mruknął i obrócił mnie w ramionach, przesuwając wargami od ucha, po policzku, docierając w końcu do ust, dotykając ich lekko niczym piórkiem. Był to dla mnie swojego rodzaju wstrząs, kiedy uświadomiłam sobie, że po tylu latach wciąż go rozpoznaję - potrafiłam odczytać kod Morse'a naszych pocałunków, wiedziałam, że poczuję jego dłonie na plecach i w talii, pamiętałam, jakie są w dotyku jego włosy, przeczesywane palcami.

Jego pieszczoty obudziły dawne wspomnienia i zostawiły w pamięci osad nowych. Moje serce biło przy piersi Coopa, a nogi same zaplotły się wokół jego nóg. W ramionach tego człowieka znów miałam dwadzieścia lat, a cały szeroki świat czekał na mnie jak wspaniałe bankiet.

Mrugnęłam oczami - i znów miałam przed sobą staw oraz jego.

- Nie zamknęłaś oczu - szepnęłam mu prosto w usta.

Coop przesunął palcami wzdłuż mojego kręgosłupa.

- Kiedyś je zamknąłem, a ty znikłaś.

Więc i ja miałam dalej oczy szeroko otwarte i zobaczyłam dwie rzeczy, które były wprost nie do uwierzenia: siebie, wracającą do punktu wyjścia i widmo dziewczyny idącej po wodzie.

Oderwałam się od Coopa. Duch Hannah? Nie, niemożliwe.

- Co się stało? - szepnął.

Wtuliłam się z powrotem w jego ramiona.

- Ty się stałaś - odpowiedziałam. - I to wszystko.

Rozdział dziewiąty

Jacob Fisher nieraz rozglądał się z niedowierzaniem po gabinecie wielkości szafy, który dzielił z drugim doktorantem wydziału anglistyki - i zawsze musiał się uszczypnąć. Przecież, prawdę mówiąc, jeszcze całkiem niedawno chował Szekspira w oborze pod workami z paszą, czytał przy latarce do białego rana, a potem całe przedpołudnie zataczał się przy pracy, pijany nową wiedzą. A teraz otaczały go półki pełne książek i pobierał pensję za analizę ich treści i przekazywanie zdobytych informacji młodym chłopakom i dziewczynom, w których oczach płonął taki sam ogień jak niegdyś w jego własnych.

Usiadł za swoim biurkiem, ciesząc się, że może wrócić do pracy; ostatnie dwa tygodnie spędził w rozjazdach, bo asystował zasłużonemu emerytowanemu profesorowi podczas cyklu letnich wykładów. Gdy usłyszał pukanie, podniósł głowę znad antologii, którą czytał, podkreślając co ważniejsze fragmenty.

- Proszę.

Zza drzwi wyjrzała twarz nieznaej kobiety.

- Szukam pana Jacoba Fishera.

- Znalazła go pani.

Nie potrafił się domyślić, kto to taki; jego studentki były młodsze i raczej nie chodziły w kostiumach. Nowo przybyła machnęła niedużym portfelem, w którym miała zatknietą jakąś legitymację.

- Sierżant Lizzie Munro, wydział dochodzeniowy powiatu East Paradise.

Jacob zacisnął kurczowo palce na poręczach swojego fotela. Przed oczami stanęły mu wszystkie rozbite bryczki, które zobaczył, dorastając w okręgu Lancaster, wszystkie tragiczne, choć przypadkowe awarie urządzeń gospodarczych na farmach.

- Moja rodzina - wyjął, czując w ustach suchość pustynnego piasku. - Coś się stało w domu?

Policjantka obrzuciła go wzrokiem.

- W domu wszyscy zdrowi - odpowiedziała po chwili. - Mogę zadać panu kilka pytań?

Jacob skinął głową i wskazał jej fotel przy biurku drugiego asystenta. Od trzech miesięcy nie miał żadnych wiadomości od rodziny - latem było mnóstwo pracy na farmie i Katie nie mogła się wyrwać, żeby do niego przyjechać. Jacob już chciał dzwonić do ciotki Ledy, tak sobie, żeby zapytać, co słychać, ale był zavalony pracą, a potem musiał jechać na te wykłady.

- Jak rozumiem, wychował się pan w East Paradise, w rodzinie amiszów? - padło pytanie.

Jacob poczuł pierwsze ukłucie niepokoju. Przez te wszystkie lata życia Anglika zdążyło nauczyć go ostrożności.

- Czy mogę zapytać, dlaczego chce pani to wiedzieć?

- W pańskim rodzinnym mieście rzekomo popełniono ciężkie przestępstwo.

Jacob zamknął swoją antologię.

- Po tej aferze z kokainą też przyjąłem delegację z waszego wydziału. Nie jestem już amiszem, ale to jeszcze nie znaczy, że dostarczam dawnym znajomym narkotyki.

- Wyprowadzę pana z błędu: moja wizyta nie ma nic wspólnego ze sprawami narkotykowymi. Pańska siostra została oskarżona o zabójstwo pierwszego stopnia.

- Co?! - Jacob szybko otrząsnął się z szoku, odzyskał panowanie nad sobą i dodał: - To musi być jakaś pomyłka.

Munro wzruszyła ramionami.

- Tylko proszę nie strzelać do posłańca. Czy wiedział pan, że pańska siostra była w ciąży?

Na twarzy Jacoba odbiło się zaskoczenie, którego nie udało mu się ukryć.

- Moja siostra... urodziła dziecko?

- Na to wygląda. I zarzuca się jej, że po urodzeniu je zabiła. Potrząsnął głową.

- To największy nonsens, jaki w życiu słyszałem.

- Tak? To może spróbuje pan popracować tam, gdzie ja. Kiedy ostatni raz widział się pan z siostrą?

- Trzy, cztery miesiące temu. - Policzył szybko.

- Czy przedtem odwiedzała pana regularnie?

- Trudno to tak nazwać - odpowiedział wykrętnie.

- Rozumiem. Panie Fisher, czy podczas wizyt tutaj pańska siostra nawiązała jakieś znajomości, przyjaźnie, może związki uczuciowe?

- Ona się tutaj z nikim nie spotykała - odpowiedział Jacob.

- Niemożliwe. - Policjantka błysnęła zębami. - Nie przedstawił jej pan swojej dziewczyny? Albo na przykład kolegi ze służbowego gabinetu?

- Była bardzo onieśmielona i cały czas spędzała tylko ze mną.

- I nigdy nie zostawił jej pan samej? Nie pozwolił iść do biblioteki, na zakupy, do wypożyczalni wideo?

Jacob myślał gorączkowo o zeszłej jesieni, kiedy tak często zostawiał Katie w domu i szedł na zajęcia. W domu podnajmowanym od faceta, który z jakiegoś powodu przełożył wyjazd na badania, i to trzy razy. Spojrzał beznamiętnym wzrokiem na policjantkę.

- Musi pani zrozumieć, że moja siostra i ja to dwa zupełnie odrębne gatunki. Ona jest amiszką z krwi i kości, we śnie i na jawie. Wyprawy do mnie, do miasta - to był dla niej sprawdzian. Nawet jeśli rzeczywiście miała tutaj z kimś styczność, spłynęło to po niej jak woda po kaczce.

Munro odwróciła czystą stronę w notesie.

- Dlaczego już nie należy pan do amiszów?

To przynajmniej było bezpieczne pytanie.

- Chciałem kontynuować naukę. Jest to niezgodne z zasadami życia prostych ludzi. Kiedy po skończeniu podstawówki terminowałem u stolarza, poznałem pewnego nauczyciela języka angielskiego, który uczył w szkole średniej. Pożyczył mi do domu stertę książek. Każda z nich była dla mnie na wagę złota. A kiedy podjąłem decyzję, że chcę się dalej uczyć, wiedziałem, że zostaną usunięty z kościoła.

- Rozumiem, że skomplikowało to nieco pana stosunki z rodzicami.

- Można to tak określić - zgodził się Jacob.

- Powiedziano mi, że pański ojciec uważa pana za zmarłego.

- Nie widzimy się - odpowiedział ze ściśniętym nagle gardłem.

- Skoro ojciec wydalil pana z domu za to, że chciał pan zdobyć dyplom, to co, pana zdaniem, zrobiłby, gdyby pańska siostra urodziła nieślubne dziecko?

Jacob obracał się w tym świecie wystarczająco długo, aby zrozumieć jego system prawny. Pochylił się w fotelu i zapytał:

- Który z członków mojej rodziny został przez was oskarżony?

- Katie - odparła Munro beznamiętnie. - Jeżeli naprawdę jest taką amiszką z krwi i kości, jak pan ją opisuje, to możliwe, że nie cofnęłaby się przed niczym, nawet przed morderstwem, aby tylko móc pozostać we wspólnocie, a ojciec nie dowiedział się o dziecku. Mogła więc ukryć ciążę, a po porodzie pozbyć się noworodka.

- Jeśli naprawdę jest taką amiszką, jak ją opisuję, to do niczego takiego nie mogłoby dojść. - Jacob wstał gwałtownie i otworzył drzwi. - Pani wybaczy. Mam pilną pracę.

Zamknął drzwi i stał z ręką na klamce, nasłuchując cichnących kroków policjantki. Potem wrócił za biurko i podniósł słuchawkę telefonu.

- To ty, ciociu? - zapytał chwilę później. - Co się dzieje, do licha ciężkiego?

Kiedy niedzielne nabożeństwo dobiegło końca, Katie poczuła zawroty głowy i nie był to wyłącznie skutek działania dokuczliwych letnich upałów, spotęgowany jeszcze przez stłoczenie tak wielkiej liczby ludzi w jednym małym domu; biskup ogłosił spotkanie członków kościoła. Ci spośród przybyłych, którzy jeszcze nie zostali ochrzczeni, zaczęli wychodzić z domu - mogli usiąść sobie w stodole, gdzie czekał poczęstunek. Ellie zaś pochyliła się do ucha Katie.

- Co oni robią? - zapytała.

- Muszą wyjść. Ty też. - Katie zauważyła, że Ellie patrzy na jej drżące dłonie i wsunęła je pod uda.

- Nie ruszę się stąd.

- Musisz - powtórzyła Katie z naciskiem. - Tak będzie łatwiej. Ellie zmierzyła ją spojrzeniem sowy, szeroko otwartymi oczami; czasami Katie bawiła ta jej mina.

- Ciężka sprawa - powiedziała. - Powiedz im, niech zaczynają i nie zwracają na mnie uwagi.

W końcu jednak biskup Ephram sam zaakceptował obecność Ellie na spotkaniu członków kościoła.

- Katie Fisher - wezwał jeden z pastorów.

Katie wydawało się, że nie da rady wstać, tak bardzo trzęsły się jej kolana. Czuła na sobie wiele spojrzeń: Ellie, Mary Esch, mamy, nawet Samuela. Ludzi, którzy staną się świadkami jej wstydu.

W sumie to było zupełnie nieważne, czy urodziła dziecko, czy go nie urodziła. I tak nie miała najmniejszego zamiaru omawiać swoich prywatnych spraw przed całym zgromadzeniem, choćby Ellie jeszcze raz powtórzyła to wszystko, co kładła jej do głowy na temat sądów kapturowych oraz gwarantowanych konstytucją praw człowieka. Katie wpojono święte przekonanie, że zamiast się bronić, lepiej przyjąć odpowiedzialność, a wraz z nią - uzdrowienie. Odetchnęła głęboko i podeszła do pastorów.

Uklękła na podłodze, czując, jak kant dębowej deski wbija się w jej skórkę; błogosławiła ten ból, bo odrywał myśli od tego, co miało zaraz

nastąpić. Pochyliła głowę, a biskup Ephram zaczął mówić:

- Dotarło do naszej wiadomości, że nasza młodsza siostra splamiła się grzechem ciała.

Katie czuła, jak ogarniają ją płomienie: twarz, pierś, aż po same końce palców. Biskup spojrział na nią:

- Czy ten zarzut jest prawdą?

- Tak - szepnęła i mogłaby przysiąc, że w tym momencie wśród panującej ciszy usłyszała zawiedzione westchnienie Ellie, chociaż być może była to tylko jej wyobraźnia.

Biskup zwrócił się teraz do zgromadzenia:

- Czy zgadzacie się, aby wyznaczyć dla Katie czas, podczas którego będzie mogła rozważyć swój grzech i wzbudzić w sobie skruchę, a dopóki ten czas nie upłynie, nałożyć na nią bann?

Wszyscy obecni po kolei wyrażali swoje zdanie - głos za albo przeciw karze dla Katie. Rzadko się zdarzało, aby w sprawach takich jak ta ktoś próbował głosować na nie; w końcu jakież to pocieszenie, zobaczyć grzesznika wyznającego swe winy i rozpoczynającego kurację mającą przywrócić go do zdrowia! Ich bin einig, trzy słowa padały raz za razem. Godzę się. Każdy członek zgromadzenia powtarzał tę formułę, kiedy przysła jego kolej.

Dzisiejszego wieczoru kościół odwróci się od Katie. Będzie musiała jadać przy osobnym stole, z dala od swojej rodziny. Bann potrwa sześć tygodni; nikomu nie zabroni się mówić do niej ani jej kochać, ale mimo to Katie będzie żyć sama, oddzielona od wszystkich. Klęcząc z pochyłą nisko głową, rozpoznawała po kolei łagodne głosy swoich ochrzczonych przyjaciółek, ociągające się westchnienie swojej matki, dobitną, brzmiącą zdecydowaniem deklarację swojego ojca. A potem usłyszała głos, który znała lepiej niż wszystkie poprzednie, głęboki, szorstki bas Samuela:

- Ich bin... - Urwał, zająknąwszy się. - Ich bin... - Czy to możliwe, że się sprzeciwi? Że będzie jej bronił, zapomni o tym, co zaszło?

- Ich bin einig - dokończył Samuel. Katie zamknęła oczy.

Tej niedzieli nabożeństwo odbyło się na farmie w pobliżu gospodarstwa Fisherów, więc Ellie i Katie wróciły do domu piechotą. Adwokatką objęła Katie, próbując podnieść ją na duchu.

- Nie martw się. Przecież nie każą ci przyszyć na piersi wielkiego szkarłatnego A.

- Czego?

- Nieważne. - Ellie zacisnęła usta. - Ja będę jeść razem z tobą - zadeklarowała się.

Katie podniosła na nią oczy i szybko je opuściła.

- Wiem. - W jej spojrzeniu była wdzięczność.

Przez kilka chwil szły w milczeniu; Ellie co rusz trafiała nogą na kamienie leżące na ścieżce. W końcu zwróciła się do Katie:

- Muszę cię o coś zapytać, ale wiem, że będziesz się złościć. Jak to się dzieje, że przed całym zgromadzeniem potrafisz się przyznać, że urodziłaś dziecko, ale kiedy rozmawiasz ze mną, zapierasz się, że nie?

- Zrobiłam to, bo zgromadzenie oczekiwało, że tak zrobię - odpowiedziała Katie z prostotą.

- Ja też tego od ciebie oczekuję.

Katie potrząsnęła głową.

- Gdyby diakon przyszedł do nas i powiedział, że mam naprawić swoje winy, bo kapałam się nago w stawie, to przyznałabym się nawet wtedy, gdybym nigdy w życiu tego nie robiła.

- Jak to? - wybuchnęła Ellie. - Jak można dać tak sobą sterować?

- Nikt mną nie steruje. Mogę stanąć przed zgromadzeniem i powiedzieć, że to nie ja kapałam się nago w tym stawie - nie pokazywałam ci, że mam na biodrze znamię - ale nigdy bym tego nie zrobiła. Sama widziałas, jak to wygląda: im więcej trzeba mówić o swoim grzechu, tym większy wstyd. Lepiej jak najszybciej mieć spowiedź za sobą.

- Ale w ten sposób system tobą manipuluje.

- Nie - wyjaśniła Katie. - Ten system właśnie w ten sposób działa. Nie chcę mieć racji, nie chcę być silna, nie chcę być pierwsza. Chcę tylko jak najszybciej znowu stać się częścią wspólnoty. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Wiem, że trudno to zrozumieć.

Ellie siłą woli przypomniawszy sobie, że chociaż sprawiedliwość amiszów odbiega znacząco od sprawiedliwości w pojęciu amerykańskiego kodeksu prawnego, to oba te systemy działają nie najgorzej już od kilkuset lat.

- Ja to rozumiem - powiedziała - ale w prawdziwym świecie jest inaczej.

- Może i tak. - Katie odwróciła twarz od nadjeżdżającego samochodu, z którego okna zwisał turysta z aparatem, usiłujący zrobić jej zdjęcie. - Ale ja żyję tutaj.

Katie czekała na samym końcu ścieżki, przestępując z nogi na nogę i ściskając w dłoni latarkę. Wiedziała już, co to znaczy ryzyko, podejmowała je nieraz, zwłaszcza przy okazji swojej znajomości z Adamem, ale teraz postawiła wszystko na jedną kartę. Gdyby ktoś zobaczył, że odwiedza ją ten Englischer, wpadłaby w bardzo poważne kłopoty - ale przecież musiała wykorzystać tę szansę, i to teraz, bo Adam niedługo wyjeżdżał.

Wyjeżdżał, ale w końcu nie do Nowego Orleanu, gdzie przedtem zamierzał szukać swoich duchów. Przeniósł fundusze ze stypendium na całkiem inny projekt, w całkiem innym miejscu - a mianowicie w Szkocji - i przełożył termin wyjazdu aż na listopad. Co do Jacoba, dziwiło go w tym wszystkim tylko to, że Adam wspaniałomyślnie pozwolił mu zostać w swoim domu, bez względu na zmiany własnych planów; z wielkiej wdzięczności, że nie musi się wyprowadzać, zaczął przysmykać oczy na całą resztę i nie widział na przykład, jak śmiało i swobodnie jego siostra rozmawia z doktorem nauk paranormalnych, ani też, że czasem, kiedy idą razem przez uniwersytecki kampus, Adam dotyka pleców Katie, jakby chciał ją podtrzymać. Nie zauważył też, że już od wielu miesięcy jego kolega nie miał żadnej dziewczyny.

Na drodze pojawił się smochód. Jechał, zwalniając przy każdym podejździe prowadzącym do gospodarstwa. Katie chciała pomachać, zawołać, zrobić cokolwiek, żeby tylko Adam ją zauważył, ale musiała stać bez ruchu, skryta w cieniu krzewów. Wyszła dopiero wtedy, gdy był już całkiem blisko. Adam wyłączył silnik i wysiadł, przyglądając się bacznie jej ubraniu. Podeszedł do niej i dotknął sztywnej organdy, z której był uszyty jej kapp, przy czym ukłął się lekko w kciuk szpilką spinającą materiał sukienki na karku. Nagle poczuła się niewymownie głupio w ubraniu amiszów, pomyślawszy sobie, że on przyzwyczał się oglądać ją w dżinsach i swetrach.

- Pewnie ci zimno - szepnął. Potrząsnęła głową.

- Nie bardzo.

Chciał zdjąć płaszcz, żeby ją okryć, ale odsunęła się, kręcąc głową. Przez chwilę stali, nic nie mówiąc. Adam patrzył ponad jej głową, na kontur silosu odcinający się od jednolitego tła nocnego nieba, majaczący srebrem w ciemności.

- Mogę sobie pojechać - powiedział cicho. - Wrócę do siebie i będziemy udawać, że w ogóle mnie tu nie było.

W odpowiedzi Katie wzięła go za rękę, przyglądając się jego pięknym, długim palcom, muskając gładką skórę dłoni, tej dłoni nieprzywykłej do trzymania lejców i dźwigania wiader z paszą. Uniósła ją do ust i pocałowała kostki palców.

- Nie. Czekałam na ciebie wiele lat.

Nie wyrzekła tych słów tak, jak angielska dziewczyna, z przesadą, tupaniem nóżką i ustami złożonymi jak do pocałunku. Powiedziała dokładnie to, co miała na myśli, mówiła prawdę, a jej wyznanie było prze-myślane. Adam uściśnął ją za rękę i pozwolił poprowadzić się w świat jej dzieciństwa i młodości.

Sara zerknęła na córkę krojącą warzywa na kolację i szybko odwróciła wzrok, skupiając uwagę na nakrywaniu do stołu. Przy tym stole Katie dziś nie będzie wolno usiąść - dziś, jutro i jeszcze przez wiele dni; tak stanowiła reguła mówiąca o odsunięciu od wspólnoty. Przez sześć tygodni Sara będzie musiała żyć z dala od własnej córki w tym samym domu co ona: udawać, że Katie przestała być tak ważną częścią jej życia, modlić się osobno, ograniczyć rozmowy. Czuła się właściwie tak, jakby straciła dziecko. Kolejny raz.

Zmarszczyła brwi, obrzucając wzrokiem jadalną część kuchni, czyli ten jeden długi stół z ławami po bokach; nie mogła mieć więcej dzieci, więc nie było potrzeby robić większego. Spojrzała na Katie, która stała sztywno, jakby kij połknęła, ale nie odwracała się, nie chcąc widocznie pokazywać mamie, jak bardzo ją to boli.

Sara poszła do salonu i zdjęła lampę gazową ze stolika karcianego, który wystawiała z kącika dla swoich kuzynów, kiedy przychodzili czasem pograć w remi. Chwyciła go za dwie nogi, zaciągnęła do kuchni i ustawiła tuż obok dużego stołu, tak, że jeden blat znajdował się najwyżej trzy centymetry od drugiego. Z szuflady w serwantce wyjęła długi biały obrus i nakryła nim oba stoły; kiedy furkocząca tkanina opadła, z daleka nikt by nie zauważył, że to nie jest jeden duży prostokąt.

- No i już - powiedziała, wygładzając obrus i przenosząc na dostawiony stół nakrycie stojące w miejscu, gdzie zwykle przy posiłkach siadywała Katie. Po krótkim namyśle przesunęła też własny talerz i sztućce bliżej krańca dużego stołu, tam, skąd zabrała nakrycie córki. - No i już - powtórzyła i wróciła do pracy ramię w ramię z Katie.

Do robót przydzielonych Ellie należała opieka nad Nuggetem: podsypanie mu ziarna i dolewanie wody do poidła. Olbrzymi quarter horse z początku trochę ją przerażał, ale udało im się w końcu jakoś dojść do porozumienia.

- Hej, koniu - przywitała się, wchodząc ostrożnie do boksu. W rękach niosła miarkę słodkiego ziarna. Nugget zarżał cicho i tupnął kopytem, nie mogąc się doczekać, aż Ellie się odsunie, a on będzie mógł zabrać się do roboty. - Nie, nie mam pretensji - mruknęła, przyglądając się, jak ciężka głowa pochyla się nad żłobem pełnym pięknie pachnącego owsa z miodem. - Z resztą bywa różnie, ale żarcie w tym kurorcie mają niezłe.

Zdażyła się już zorientować, że amiszki bardzo dbają o swoje konie -

nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, że szwankującego rumaka nie można odholować do najbliższego firmowego warsztatu Forda na naprawę. Nawet Aaron, który wciąż na nowo zachwycał ją swoim chłodem i obojętnością, do Nuggeta odnosił się z wielką troską i cierpliwością. Najwidoczniej ojciec Katie znał się też niezgorzej na koniach, bo od czasu do czasu któryś z sąsiadów prosił go, aby w poniedziałkowe popołudnie wybrał się z nim na koński targ i udzielił porady.

Ellie ostrożnie wyciągnęła rękę - wciąż się trochę bała, że te wielkie, żółte, kwadratowe zęby złapią jak imadło jej nadgarstek i nie puszczą - i pogłaskała koński bok, pachnący kurzem i trawą; wyrazistą, intensywną wonią, osiadającą w nozdrzach. Nugget zastrzygł uszami i parsknął, a potem wyciągnął szyję, próbując wsadzić Ellie nos pod pachę. Roześmiała się, zaskoczona i poklepała go po łbie, jakby to był pies, a nie koń.

- Przestań - powiedziała z uśmiechem, po czym zdjęła z haka w ścianie prawie już puste gumowe wiadro na wodę i wyszła z nim na podwórze, do kranu.

Tuż za rogiem stajni ktoś na nią czekał. Zaczaił się, podkraślił od tyłu i złapał, jedną ręką zatykając usta. Upuszczone wiadro odbiło się od ziemi. Dławiąc nagły atak paniki, Ellie zatopiła zęby w kneblującej ją dłoni i ułamek sekundy później wbiła łokieć w brzuch napastnika, cały czas w myślach dziękując Bogu, który dwa lata temu natchnął Stephena, żeby zafundować jej na gwiazdkę kurs samoobrony.

Zawirowała w miejscu, unosząc pięści, wściekłym wzrokiem mierząc mężczyznę, który przed chwilą ją zaatakował, a teraz sapął, zgięty wpół z bólu. Dostrzegła w nim coś mgliście znajomego - ta strzecha jasnych włosów, ta sprężysta, smukła sylwetka - i rozdrażniło ją, że nie potrafi dopasować nazwiska do tej twarzy.

- Coś ty, kurwa, za jeden? - syknęła.

Mężczyzna uniósł wzrok, jedną ręką wciąż masując żołądek.

- Jestem Jacob Fisher.

- W każdym razie nie trzeba było się na mnie rzucać - rzuciła kilka minut później, patrząc w oczy brata Katie, stojącego pod przeciwległą ścianą; schowali się na stryszku na siano. - To jest dobry sposób, ale żeby zarobić czapę.

- Od paru lat już tutaj nie mieszkam, ale na farmach amiszów nieczęsto spotyka się karateków z czarnym pasem. - Jacob uśmiechnął się, ale natychmiast zmarkotniał. - Morderstwa noworodków też należą raczej do rzadkości.

Ellie usiadła na kostce siana, starając się wyczytać coś z jego twarzy.

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić.
- Wyjechałam.
- Tak sądziłam. Domyślałam się, że wiesz już o zarzutach, które postawiono twojej siostrze? - Jacob przytaknął. - Dotarła do ciebie ta policjantka, detektyw pracujący dla prokuratora?

- Tak, wczoraj.
- I co jej powiedziałaś?

Wzruszył ramionami. Zapadła pełna niechęci cisza. Ellie oparła łokcie na kolanach.

- Wyjaśnijmy sobie pewną rzecz - zaproponowała cierpko. - Nie wzięłam tej sprawy dla własnego widzimisię. To ona sama, można powiedzieć, wybrała mnie. Nie wiem, jakie zdanie wyrobiłeś sobie o prawnikach, ale domyślałam się, że po tych kilku latach życia wśród Anglików masz nas wszystkich, tak jak reszta świata, za gnidy i pijawki. I szczerze mówiąc, mało mnie obchodzi, czy widzisz we mnie jeszcze wesz czy już wampira - prawda jest taka, że jeśli ja nie wyciągnę twojej siostry z tej kabały, to nikt tego nie zrobi. Powinieneś rozumieć, i to daleko lepiej niż twoi krewni-amisze, że postawiono jej naprawdę bardzo poważne zarzuty. Wszystkie przydatne informacje, które uzyskam od ciebie, na pewno zachowam w ścisłej tajemnicy, może się jednak okazać, że dzięki nim uda mi się lepiej bronić Katie w sądzie. I wiedz jedno: będę jej bronić bez względu na to, co mi powiesz. Nawet jeśli w tej chwili wyjawisz mi, że zamordowała swoje dziecko z zimną krwią - zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją uchronić przed karą, a potem postaram się, żeby trafiła do dobrego psychiatry, bo na pewno go potrzebuje. Coś mi jednak mówi, że twoja opowieść będzie się malować w nieco innych barwach.

Jacob podszedł do okienka, wyjrzał na zewnątrz.

- Jak tu pięknie. Wie pani, że jestem w domu po raz pierwszy od sześciu lat?

- Rozumiem, że jest ci ciężko - odparła Ellie - ale gdyby policja nie dysponowała wystarczającymi dowodami na to, że Katie zabiła to dziecko, prokuratura nigdy nie postawiłaby jej takich zarzutów.

- Nie powiedziała mi, że jest w ciąży - wyznał Jacob.
- Wydaje mi się, że sama nie była skłonna w to uwierzyć. Czy potrafisz wskazać kogoś, z kim Katie mogła mieć intymne kontakty?

- Wiem, że Samuel Stoltzfus...
- Nie tutaj - przerwała mu. - W State College.

Jacob potrząsnął głową.

- Czy myślała kiedykolwiek o tym, żeby pójść w twoje ślady i wystąpić z kościoła amiszów?

- Nie. Nie zniósłaby rozłąki z rodzicami. I z resztą wspólnoty. Katie nie jest... jak to powiedzieć? Przyjeżdżała do mnie, chodziła na imprezy, smakowała chińskiej kuchni i chodziła w dzinsach. Ale ryba nigdy nie zmieni się w barana, nawet gdyby ją wyjąć z wody i ubrać w kozuch. Z dała od swojego akwarium, prędzej czy później, ryba musi umrzeć.

- Ty nie umarłeś - zauważyła Ellie.

- Jestem inny niż Katie. Ja podjąłem decyzję, że występuję z kościoła, a kiedy już to zrobiłem, trzeba było dokonywać kolejnych wyborów. Wychowałem się jako amisz, pani Hathaway, ale potem się zbuntowałem. Na uczelni kończyłem kursy teologii, gdzie kwestionowano słowa Pisma Świętego. Miałem własny samochód. Robiłem rzeczy, o które nigdy sam siebie bym nie podejrzewał.

- A czy z Katie nie mogło być tak samo? Może ona też podjęła decyzję, że za wszelką cenę musi pozostać wśród amiszów i to ją zmusiło do czynów, o które nigdy by siebie nawet nie podejrzewała?

- Nie mogło tak być, z prostej, zasadniczej przyczyny. Anglik sam podejmuje decyzje. Prosty człowiek jest posłuszny decyzji, która została już podjęta za niego. Nazywa się to *gelassenheit*, co znaczy: podporządkowanie się wyższej władzy. Człowiek wyrzeka się siebie, aby spełniać wolę Boga, aby służyć swoim rodzicom, swojej wspólnotie, aby żyć tak, jak zawsze się żyło.

- To bardzo ciekawe, ale z drugiej strony mamy protokół z autopsji martwego noworodka. Nie można w ten sposób bronić osoby oskarżonej o morderstwo.

- Można - powiedział Jacob stanowczo. - Morderstwo to akt najwyższej arogancji! To przypisanie sobie boskiej władzy do odbierania człowiekowi życia. - Wbił w Ellie gorzejące oczy, jasne jak pochodnie. - Ludzie myślą, że amiszę są głupi, że pozwalają robić ze sobą, co komu przyjdzie do głowy. Ale oni bardzo dobrze się orientują w świecie, tylko że potrafią zapanować nad egoizmem i dzięki temu nie są chciwi, nie są pyszni, nie rozpychają się łokciami. A już z całą pewnością nie mają w sobie tyle egoizmu, żeby celowo odebrać życie drugiemu człowiekowi.

- W tym procesie nie będzie się sądzić wiary amiszów.

- A warto by - odparował Jacob. - Moja siostra nie mogła popełnić morderstwa, pani Hathaway, z tej prostej przyczyny, że jest amiszką z krwi i kości.

Lizzie Munro zmrużyła oczy zasłonięte okularami ochronnymi,

uniosła broń i posłała dziesięć kul z dziewięćmilimetrowego glocka prosto w serce nadrukowanego na tarczy człowieka naturalnych rozmiarów. Tarcza wisiała na samym końcu toru na strzelnicy. Lizzie dotknęła przycisku, żeby sprowadzić ją z powrotem i ocenić swój strzelecki popis, a George Callahan, stojący obok, gwizdnął, wyjmując z uszu zatyczki.

- Cieszę się, że trzymasz z nami, Lizzie. Masz do tego prawdziwy dar.

Lizzie z zadowoleniem przesunęła palcami po dziurze wyrwanej w papierowej piersi człowieka na tarczy.

- Tak... A pomyśleć, że babcia widziała dla mnie tylko haft i nic więcej. - Schowała broń do kabury i poruszyła ramionami, aby rozluźnić zeszywniałe mięśnie.

- Muszę powiedzieć, że dziwi mnie nasze spotkanie w tym miejscu.

Lizzie uniosła brew.

- Dlaczego?

- Jak wielu, twoim zdaniem, można by znaleźć uzbrojonych i niebezpiecznych amiszów?

- Mam nadzieję, że ani jednego - odparła, zakładając marynarkę od kostiumu. - Ja się relaksuję na strzelnicy, George. Wolę to niż decoupage albo inne wycinanki.

Prokurator roześmiał się.

- W przyszłym tygodniu czeka nas rozpatrzenie przedprocesowe.

- Przy zabawie pięć tygodni minęło jak z bicia strzelił, co?

- Zabawy w tym za wiele nie było - mruknął George. Wyszli z budynku strzelnicy i ruszyli spacerowym krokiem przez rekreacyjne tereny zielone akademii policyjnej. - Prawdę mówiąc, właśnie dlatego tutaj przyszedłem. Zanim wezmę się do roboty, muszę mieć pewność, że należycie zabezpieczyliście zbiorową dupę stanu, który mam reprezentować.

Lizzie wzruszyła ramionami.

- Od braciszka nic nie wyciągnęłam, ale mogę jechać tam jeszcze raz, może będzie bardziej rozmowny. Dowody masz podane jak na talerzu. Brakuje tylko biologicznego ojca, ale to w sumie jest mało ważne, bo tak czy owak masz motyw: jeśli to był młody amisz, to zabiła dziecko, żeby zatrzymać przy sobie swojego chłopaka, tego barczystego blondaska. A jeśli wpadła z kimś z zewnątrz, spoza ich wspólnoty - zabiła, żeby nie musieć przyznawać się do romansu z obcym.

- Bardzo szybko uznaliśmy Katie Fisher za główną podejrzaną - zamyslił się George. - Ciekawe, czy czegoś nie przeoczyliśmy.

- Zaczęliśmy ją podejrzewać, bo krew lała jej się po nogach -

przypomniała mu Lizzie. - Urodziła to dziecko dwa miesiące przed terminem, więc kto mógł wiedzieć, że właśnie zaczął się poród? Wiemy już, że ukrywała ciążę przed rodzicami - ich nie liczę. Samuelowi nie mogła powiedzieć, bo to nie było jego. A gdyby nawet była skłonna zawiadomić brata albo ciotkę, że zaczęły jej się skurcze, to nie miała przecież pod ręką komórki, żeby zadzwonić do nich o drugiej w nocy.

- Mamy niezbite dowody, że urodziła to dziecko, ale nie, że je zabiła.

- Ale mamy też motyw, a logika stoi po naszej stronie. Sam wiesz, że dziewięćdziesiąt procent morderców ma osobisty związek z ofiarą. A czy zdajesz sobie sprawę z tego, że kiedy ofiarą jest noworodek, to już nie jest dziewięćdziesiąt, ale prawie sto procent?

George przystanął, spojrzął na nią i roześmiał się głośno.

- Przymierzasz się do asystowania w rozprawie, Lizzie?

- Zapomnij. Konflikt interesów. Prokuratura wezwała mnie na świadka.

- Szkoda, bo coś mi się widzi, że na własną rękę przekonałabyś ławników, że Katie Fisher jest winna.

Lizzie uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Zgadza się - powiedziała - ale wszystkiego nauczyłam się od ciebie.

Wczesnie rano, bladym świtem, ocieliła się jedna z krów. Aaron prawie przez całą noc nie zmrzył oka, bo cielę nie ułożyło się jak należy. Ręce, które musiał wsuwać głęboko w ciało krowy, pulsowały kłującym rwaniem zakwasów i tęnym bólem sińców. Ale proszę, co miał za to w zamian do pokazania: ten mały cud natury, czerń wymieszaną z bielą, balansujący na patykowatych nóżkach pod wysokim murem matczynego ciała.

Aaron rozrucił w zagrodzie świeże siano. Cielę ssało wymię matki. Po upływie doby zabierze się je od krowy i zacznie karmić butelką.

Widzisz, zaśmiał się bezlitosny, cichy głosik. Każdego dnia jakiejś matce odbiera się dziecko.

Odepchnął od siebie tę myśl - i w tym momencie w drzwiach obory stanęła Katie. Wyciągnęła w jego stronę kubek parującej, aromatycznej kawy.

- O, drugie cielątko! - Oczy jej zabłyśły. - Jakie śliczne, prawda?

Aaron miał w pamięci obrazy córki z każdym cielakiem, który przyszedł na świat w jego oborze - a było ich niemało. Katie zaczęła karmić butelką krowie dzieci, kiedy była jeszcze niewiele większa od nich samych. Pamiętał dobrze, jak pierwszy raz pokazał jej, gdzie młode cielę

nie ma górnych zębów i można włożyć palec pomiędzy wargi tak, żeby nie ugryzło. Pamiętał, jak tłumaczył, że krwi język owija się wokół dłoni i może wciągnąć do środka, a jest bardzo silny i szorstki jak papier ścierny. I pamiętał też, jak jej oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia, kiedy zobaczyła to po raz pierwszy w życiu - i było dokładnie tak, jak powiedział.

Jego obowiązkiem, jako głowy rodziny, było nauczyć swoje dzieci życia prostych ludzi - jak ofiarować się Bogu, jak odnaleźć drogę pomiędzy dobrem a złem. Spojrzał na Katie, która uklękła na świeżym sianie, gładząc palcami poskręcane, mokre jeszcze kosmyki sierści na grzbiecie cielęcia. Ten widok przypomniał mu boleśnie o tym, co wydarzyło się w tym miejscu ledwie przed kilkoma tygodniami. Zacisnął powieki i odwrócił się tyłem.

Katie wstała powoli i odezwała się drżącym głosem, równie niepewnym co nogi nowo narodzonego zwierzęcia:

- Dał, już pięć dni upłynęło, odkąd odprawiłam spowiedź na klęczkach. Czy już nigdy się do mnie nie odezwiesz?

Aaron kochał swoją córkę; niczego bardziej nie pragnął, niż wziąć ją znów na kolana, tak jak wtedy, gdy była jeszcze małym smykkiem, a cały jej świat miał w zasięgu ręki. Ale to on, Aaron, był winny jej grzechu i jej wstydu - po prostu dlatego, że nie potrafił im zapobiec. Musiał zatem ponieść konsekwencje - i to, jak bardzo przez to cierpiał, nie miało żadnego znaczenia.

- Dał? - szepnęła Katie.

Aaron uniósł dłoń, jakby chciał się przed nią opędzić. Potem wziął kubek z kawą i wyszedł z obory ciężkim krokiem, który przystawał raczej komuś starszemu i mądrzejszemu niż on sam.

- Chcesz coś jeszcze? - zapytał Coop.

Na to pytanie, które padło przy stole zastawionym opróżnionymi talerzami, Ellie nie mogła odpowiedzieć od razu. Nie wmusiła-by już w siebie ani kęsa, ale z całą pewnością zjadłaby coś jeszcze. Nie miała nawet dość gwaru rozmów, oddychania powietrzem gęstym od mieszanki najprzeróżniejszych perfum, warkotu samochodów lawirujących na ulicy, w dole, pod oknami tej restauracji na ostatnim piętrze.

Zapatrzyła się w swój kieliszek pełen chardonnay, podziwiając tęczowe refleksy światła płynącego z kryształowego żyrandola i uśmiechnęła się, błyskając zębami.

- Z czego się śmiejesz? - zdziwił się Coop.

- Z siebie - odparła, trzęsąc się od tłumionego chichotu. - Cały czas kusi mnie, by sprawdzić, czy nie mam gnoju na butach.

- Pięć tygodni na wsi z nikogo nie zrobi świniopasa. A ta sukienka jest o wiele bardziej twarzowa niż roboczy fartuch.

Ellie przesunęła dłonią w tali i dookoła bioder, rozkoszując się dotykiem śliskiego, surowego jedwabiu szantung. Nigdy w życiu nie pomyślałaby, że Leda potrafi tak bezbłędnie wybrać w butiku prostą, seksowną kieckę; ostatnio przeżyła naprawdę wiele niespodzianek. Jedna z nich zaczęła się tego samego dnia, podczas obiadu, kiedy Ellie zauważyła ukradkowe spojrzenia, które Sara i Katie wymieniały przy stole, najwyraźniej mając przed nią coś do ukrycia - a skończyła niespodziewanym przyjazdem Coopa, prezentującego się wprost zniewalająco w ciemnym garniturze, jedwabnym krawacie i z bukietem w dłoni. Jego dalekowzroczny plan, jak się okazało, zakładał udział Ledy w intrydze; przyjechała razem z nim, przywożąc dla Ellie wieczorowy strój razem ze szpilkami i zaofiarowała się, że na czas ich wypadu do Filadelfii na kolację wcieli się w rolę opiekunki Katie.

Wino dodało jej ruchom bezwładnej płynności. Zamiast bicia serca czuła w piersi trzepotanie skrzydełek kolibra.

- Nie do wiary, że dwie godziny jechaliśmy do restauracji - mruknęła. Lokal był zresztą wspaniały, z orkiestrą w strojach wieczorowych i pełnymi jasnych świateł miasta oknami sięgającymi od podłogi aż do sufitu - a jednak na myśl o tym, że Coop musiał jechać taki szmat drogi do Fisherów i z powrotem do Filadelfii, robiło jej się dziwnie. Nie była przygotowana na takie uczuciowe sensacje.

- Dokładnie półtorej - poprawił ją. - Ale wiesz, trochę czasu szukałem knajpy, gdzie dają porządny sos chow-chow.

- Nie przypominaj mi tego - jęknęła.

- Wolałabyś marynowane flaki?

- Nie - parsknęła śmiechem. - I nawet nie waż się pomyśleć o klukskach, bo nie odpowiadam za siebie.

Coop zerknął na jej talerz, oczyszczony do ostatniego kęsa z pysznej porcji grillowanego miecznika.

- Rozumiem, że u Fisherów nie jada się zbyt często owoców morza?

- Żadna potrawa, do której nie pasuje gęsty, tłusty sos, nie ma u Sary miejsca na stole. Tak przybrałam u nich na wadze, że na rozprawę nie wcisnę się w kostium.

- I słusznie, o to chodzi. Musisz przytyć, żeby sędzia nie zaczął cię podejrzewać o wymykanie się z farmy, na przykład na niskokaloryczne obiady.

Ellie przeciągnęła się jak kot.

- Miło się stamtąd wyrwać - powiedziała. - Było mi to potrzebne. Dziękuję.

- To ja dziękuję - odparł. - Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się zjeść kolacji w tak interesującym towarzystwie. Na przykład pierwszy raz w życiu słyszałem przy stole o gnoju.

- Sam widzisz. Już zaczynam tracić styl. Może powinnam pójść za radą Katie?

- A co ona ci radziła?

- Powiedziała... Zaczekaj, niech sobie przypomnę... Powiedziała, że jeśli jestem pewna, że chcę dostać buziaka na dobranoc, to mam wpaść na ciebie na zakrętach i gawędzić o twoim koniu.

Coop wybuchnął śmiechem.

- Rozmawiacie o takich rzeczach?

- Urządzamy sobie czasami małe piżamowe party. - Ellie uśmiechnęła się szeroko. - Mówiłam ci już, że twój koń jest niczego sobie?

- Coś mi się zdaje, że jeszcze nie.

Ellie pochyliła się ku niemu.

- Całkiem niezły z niego ogier.

- Muszę chyba częściej wyciągać cię na kielicha. - Coop wstał, wziął Ellie za rękę. - Chcę z tobą zatańczyć.

Pozwoliła wyprowadzić się zza stolika.

- Ale jak zatańczymy, to bal się skończy - zaczęła marudzić. - A ja zamienię się w dynię.

- Nie jadłaś klusek Sary, to się nie zamienisz. - Coop objął ją i poprowadził niespiesznie po parkiecie w rytm muzyki.

Ellie złożyła głowę na jego piersi, wciskając czoło pod podbródek. Ich ręce splotły się jak pnącza powoju, sięgającego pędami serc; jego kciuk muskał jej nagie ramię. Zamknęła oczy, czując na skroni jego usta. Pozwoliła się prowadzić. Przemierzali parkiet, obracając się z wolna. Na jedną chwilę zapomniwała o Katie, o procesie, o tym, że ma jej bronić, o wszystkim - myślała tylko o niewiarygodnie gorącej dłoni Coopa, promieniującej ciepłem na jej plecach. Muzyka ucichła i orkiestra odłożyła instrumenty, udając się na przerwę, a tańczące pary wróciły do stolików, ale oni stali, nie wypuszczając się z objęć, po prostu patrząc na siebie.

- Tak sobie myślę, że chętnie bym obejrzała stajnię twojego rumaka - powiedziała cicho Ellie.

Coop przyjrzał się jej uważnie.

- To tylko zwykła szopa, nic wielkiego.

- Nie szkodzi.

Wtedy on uśmiechnął się tak promiennie, że zalało ją bijące z tego uśmiechu ciepło i nie poczuła najlżejszej zmiany temperatury, kiedy wyszli na ulicę, ani potem, kiedy jechali samochodem z otwartymi oknami. Dotarli w końcu na miejsce. Coop włożył klucz do zamka i otworzył przed nią drzwi, przepaszając już od progu:

- Mam trochę bałaganu, nie spodziewałem się...

- W porządku. - Ellie weszła, starając się stapać jak najciszej, jak gdyby każdy głośniejszy krok mógł spłoszyć czar tej chwili. Zauważyła szklankę coli bez gazu, odciskającej kółko na szklanym, niskim stoliku; kąć podłogi zasłany czasopismami psychiatrycznymi niczym liśćmi nenufarów; buty do biegania związane sznurowadłami i przewieszane przez szczebelkowe oparcie krzesła. W całym mieszkaniu nie było nawet dwóch mebli z tego samego kompletu.

- Większość zabrała Kelly - wyjaśnił szybko, czytając w jej myślach. - Zostawiła mi to, czego sama nie chciała.

- Ten mały stolik pamiętam chyba jeszcze ze studiów. - Ellie stanęła przed półką z książkami i nowiutką wieżą stereo.

- Mówią, że o człowieku wiele mówi jego kolekcja płyt - rzucił Coop. - Próbujesz mnie rozgryźć?

- Szczerze? Przyglądam się kabłom. Dawno nie widziałam aż tyle naraz. - Dotknęła niewielkiej fotografii, na której widać było ją samą, zwisającą głową w dół z gałęzi jabłoni; gałąź niżej, czego oczywiście już nie było widać, siedział Coop, który robił to zdjęcie. - To też pamiętam ze studiów - powiedziała cicho. - Jeszcze je masz?

- Ostatnio wpadło mi ręce.

- Cały czas mi powtarzałeś, żebym przestała się śmiać - mruknęła pod nosem - a ja tobie, żebyś się streszczał z tym cholernym zdjęciem, bo znów opadnie mi bluzka i będzie kino.

Wyszczrzył zęby.

- A ja wtedy odpowiedziałem...

- Że nie widzisz problemu - wpadła mu w słowo. - A w czym widziałeś ten problem, Coop?

- Zastanawiałem się nad tym nieraz - odrzekł, luźno splatając dłonie za jej plecami. - Ale zabij mnie, nie pamiętam. - Przesunął ręce niżej, na talię, biodra. Pocałował, otwierając usta, tchnął w nią żywym ogniem. Ellie wyciągnęła mu koszulę zza paska, wsunęła dłonie pod spód, przebiegając palcami po mięśniach pleców, przygarniając go bliżej, coraz bliżej, aż poczuła, jak jego serce opiera się o jej serce, tuż obok, odrobinę wyżej.

Razem opadli na kanapę, rozrzucając plik papierów, jego palce zanurzone w jej włosach, jej dłonie ciągnące za klamrę paska i suwak u spodni.

- Czujesz? - szepnął, przyciskając ją mocniej do siebie. - Moje ciało cię pamięta.

A ona, w tak prosty sposób, znów miała osiemnaście lat, trzepotała jak motyl na szpilce, przeszzyła jego stanowczością, jego zdecydowaniem. Kochała go wtedy tak bardzo, tak mocno, że musiały upłynąć miesiące, zanim dotarło do niej, że niekoniecznie czuje się przy nim tak, jak by tego chciała. I okłamała go wtedy, myśląc, że wybiera mniejsze zło, a jej kłamstwo bolało tym bardziej, że nie mogło być dalsze od prawdy: oświadczyła mu, że kocha go za mało.

- Nie mogę - powiedziała głośno, zdobywając się na słowa, które na studiach nie chciały jej przejść przez gardło. Wsparła dłonie w pierś Coopa, odepchnęła kolanami jego nogi, aż zjechała na samą krawędź kanapy i siedziała tam, poprawiając na sobie górę od sukienki.

Rozsądek wracał mu stopniowo.

- Co się stało?

- Nie mogę. - I nie mogła nawet na niego spojrzeć. - Przepraszam cię. Lepiej... sobie już pójdę.

Zacisnęła zęby.

- Jaką teraz usłyszysz wymówkę?

- Muszę wracać do Katie.

- To nie mnie musisz trzymać na dystans, Ellie. To do niej za bardzo się zbliżyłaś. Jesteś jej adwokatem, a nie matką - prychnął Coop. - Ty się nie boisz jakiegoś sędziego ani tego, że złamiesz warunki zwolnienia za kaucją. Wariujesz ze strachu, że ten jeden raz w życiu zabierzesz się do czegoś, co może ci nie wyjść.

- Nie masz pojęcia...

- Na miłość boską, Ellie, znam cię lepiej niż ty sama. Od dzieciństwa jedziesz na samych piątkach, na studiach byłaś na liście dziekańskiej i w Phi Beta Kappa. Stawałaś na głowie, żeby dostać najtrudniejsze sprawy i prawie żadnej nie przegrałaś, nawet tych najgorszych, najohydniejszych. Zamiast wyjść za męża, ciągnęłaś związek z facetem, z którym lepiej byłoby się rozstać już parę lat temu, bo tak naprawdę miałaś gdzieś, czy to wypali, czy pójdzie w diabły. A teraz zostawisz mnie z sinymi jajami i spokojnie sobie wyjdiesz, bo nie istnieje ryzyko, że wpadniesz po uszy, co by oznaczało, że masz interes w tym, żeby nam wyszło, a wiadomo, że nie mieliśmy dotąd sukcesów w tej dziedzinie. Jesteś klasycznym przypadkiem perfekcjonistki z osobowością typu A i za nic w świecie nie postawisz wszystkiego na jedną kartę, bo hazard to kompletnie nie twoja działka.

Ostatnie słowa już wykrzyczał. Ellie kuśtykała dookoła pokoju, szukając swoich szpilek. Bolała ją głowa, bardzo, prawie tak bardzo jak serce.

- Nie próbuj robić mi psychoanalizy, Coop.
- Wiesz, na czym polega twój problem? Jeśli nie postawisz wszystkiego na jedną kartę, może cię ominąć wielka wygrana.

Ellie wcisnęła stopy w pantofle, znalazła torebkę.

- Pochlebiasz sobie - powiedziała spokojnym głosem.
- Wszystkich facetów tak podpuszczasz, czy tylko mnie? Czy ten Stephen miał na ciebie jakiegoś haka, że tyle lat się go trzymałaś?
- On mnie nie kochał!

Rzucone słowa wybuchły w czterech ścianach cichego pokoju. Ellie odwróciła się plecami do Coopa. Stephen odgrywał wiele ról w jej życiu - mieszkał z nią, sypiał z nią, służył radą w sprawach zawodowych - ale w żadnym wypadku nie był człowiekiem, z którym chciałaby dzielić życie. Dzięki temu zawsze czuła się swobodna, miała czym oddychać. Z Coopem, dwadzieścia lat wcześniej, nigdy tak nie było.

- Proszę - powiedziała drżącym głosem. - Usłyszałeś to, co chciałeś usłyszeć? - Ruszyła w stronę drzwi, skręcając się z bólu. - Nie wstawaj. Wróć sama.

Coop patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, patrzył na cierpienie tryskające jak ze świeżo odkrytego źródła; zalało ono jego małe mieszkanie po same brzegi i wypełniało je jeszcze dłużej po jej wyjściu.

Samuel jechał już kiedyś samochodem. Było to jeszcze zanim przyjął chrzest. Jeden z jego znajomych, niejaki Lefty King, kupił używany wóz. Chował go za szopą, w której jego ojciec przechowywał tytoń, a staruszek, ilekroć się tam na niego natknął, udawał, że go nie widzi. Samuel nie mógł się nadziwić łagodnej, płynnej jeździe i temu, że można stanąć sobie na luzie, a pojazd nie schodzi na pobocze i nie zaczyna się paść.

Tego wieczora, odwożąc Mary Esch do domu bryczką, którą jeździł się zalecać, myślał o tamtym samochodzie. Z księżycą pozostał tylko wąski sierp - jego Mam zawsze mówiła, że wygląda to jak niedojezione ciastko - co bardzo sprzyjało jego planom, dając mu konieczną osłonę ciemności.

Mary miała to do siebie, że mówiła bez przerwy. Samuel zaprosił ją na lody, ale ponieważ była jego kuzynką - mieli wspólnych prapradziadków - nie mogło to wyglądać podejrzanie. Nawet mu się podobała. Miała gęste włosy o pięknej, ciemnej barwie świeżo zaoranej ziemi i wąskie,

malutkie usta. Ale to nie dlatego spośród wszystkich innych wybrał właśnie ją. Mary była najlepszą przyjaciółką Katie; nie mógł już zbliżyć się do niej bardziej.

Himmel! Teraz uparła się gadać o swoim młodszym braciszku, który miał na imię Seth i podobno wpadł dziś do świńskiego koryta, bo bawił się w linoskoczek na płocie biegnącym tuż przy chlewiku. Samuel cmoknął na konia, ściągając delikatnie lejce; bryczka zatrzymała się na szczycie wzgórza, gdzie droga kończyła się, dobiegając do niewielkiej polany.

Mary trajkotała tak zawzięcie i w tak zawrotnym tempie, że upłynęła dobra minuta, zanim dotarło do niej, że już nie jadą.

- Dlaczego zatrzymałeś? - zapytała.

Samuel wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że noc taka ładna...

Spojrzała na niego trochę dziwnie, co było zresztą całkiem zrozumiałe, bo niebo zasnuwały gęste chmury wyglądające jak zupa, a w zasięgu wzroku nie świeciło nic, oprócz tego okrawka księżyca.

- Samuelu - powiedziała Mary, a jej oczy zaszyły mleczną mgłą, jak to się czasami zdarza u dziewczyn - potrzebujesz z kimś porozmawiać?

Poczuł, jak serce pęcznieje mu w piersi, jak rozdyma się niczym kowalski miech, gotowe wyrwać się z klatki żeber. Zrób to, teraz, już, rozkazał sobie w myślach, albo nigdy tego nie zrobisz.

- Mary - szepnęła i zamknęła ją w objęciach, z całej siły przywierając wargami do jej ust.

To nie jest Katie - tak brzmiała jedyna myśl, która błysnęła mu w głowie. Nie smakowała wanilią, jak Katie, zupełnie inaczej leżała mu w ramionach, a kiedy przycisnął usta jeszcze trochę mocniej, ich zęby szczęknęły o siebie ze zgrzytem szkliwa. Sięgnął na oślep do jej piersi; docierało do niego, że dziewczyna w rosnącym strachu zaczyna mu się wyrwać, ale przede wszystkim myślał o tym, że ktoś, kiedyś, przynajmniej raz, robił to samo - i więcej - z jego Katie.

- Samuelu! - Mary rozpaczliwym wysiłkiem oderwała się od niego i wcisnęła w najdalszy kąt bryczki, tej bryczki, którą jeździł się zalecać. - Co cię opętało?

Plamy wystąpiły jej na twarz, oczy miała szeroko otwarte z przerażenia. Dobry Boże, czy naprawdę jej to zrobił? Czy naprawdę został zmuszony do czegoś takiego?

- Przepraszam... przepraszam cię... - Skulił się, zgięty w pół dławiącym wstydem, tuląc ręce do piersi. - Nie chciałem... - Zakrył twarz koszulą, walcząc z łzami napływającymi do oczu. Nie był dobrym chrześcijaninem, o nie. Rzucił się na biedną Mary Esch, ale to jeszcze nie

wszystko: nie pogodził się z wyznaniem Katie. Wybaczyć jej? Przecież on nawet jeszcze nie przyjął do wiadomości samych nagich faktów.

Miękka dłoń Mary spoczęła na jego ramieniu.

- Samuelu, jedźmy już do domu. - Poczul, jak bryczka się chybotę; dziewczyna zeskoczyła na ziemię, żeby zamienić się z nim miejscami, tak aby mógł powozić.

Pospiesznie otarł oczy.

- Nie czuję się dziś gut - przyznał.

- Co ty nie powiesz? - odparła Mary, uśmiechając się lekko. Wyciągnęła rękę i poklepała go po dłoni. - Nie bój się, sam jeszcze zobaczysz - powiedziała ze współczuciem - sam zobaczysz, że wszystko się ułoży.

Phil Ledbetter, sędzia sądu okręgowego, był, jak się okazało, kobietą.

Fakt ten przebijał się do świadomości Ellie przez dobre pół minuty po wejściu do gabinetu sędziowskiego, gdzie stawiała się razem z George'em Callahanem na rozpatrzenie przedprocesowe. Phil, czyli, jak informowała mosiężna tabliczka z nazwiskiem, Philomena Ledbetter była drobna i niewysoka, miała rude ondulowane włosy skręcone w ciasne loczki, usta ściśnięte w grymasie surowej rzeczowości i świergotliwy głos. Szerokie biurko w jej gabinecie było zastawione po same brzegi zdjęciami czwórki jej dzieci; ruda czupryna stanowiła najwyraźniej rodzinny znak firmowy. Ogólnie rzecz biorąc, dla Katie nie wróżyło to dobrze. Ellie liczyła na sędziego-mężczyznę, nie wiedzącego nic o rodzeniu dzieci, który, mając przed sobą młodą dziewczynę oskarżoną o zabójstwo noworodka, będzie się krępował pastwić nad nią. Natomiast sędzina, kobieta, która wie, co to znaczy nosić dziecko pod sercem i trzymać je w ramionach w pierwszej chwili po jego przyjściu na świat, zniechcądz widzi kogoś takiego jak Katie od pierwszego wejrzenia.

- Pani Hathaway, panie Callahan, możemy już zacząć? - Sędzina Ledbetter otworzyła teczkę leżącą przed nią na blacie biurka. - Czy przedłożenie dokumentów zostało zakończone?

- Owszem, wysoki sądzie - odpowiedział George.

- Czy któreś z państwa chce zgłosić jakieś wnioski? Ach, tak, pani Hathaway postuluje zamknięcie sali rozpraw przed prasą. Najlepiej będzie załatwić to od ręki. Proszę.

Ellie odchrząknęła.

- Przede wszystkim uczestnictwo w procesach jest sprzeczne z religią mojej klientki, wysoki sądzie. Niemniej jednak, nawet pominąwszy

tę kwestię, członkowie wspólnot amiszów niechętnie się fotografują, ponieważ mają w zwyczaju stosować się słowo w słowo do litery Pisma Świętego. „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko” - zacytowała. - Księga Wyjścia, rozdział dwudziesty, werset czwarty. Na to wtrącił się George:

- Wysoki sędzie, w naszym kraju obowiązuje zasada rozdzielności kościoła od państwa, i to już od dwustu lat.

- Nie chodzi tylko o Biblię. - Ellie nie dała sobie przerwać. - Amisze uważają, że kiedy zrobi się komuś zdjęcie, grozi to tym, że ten ktoś zacznie za dużo myśleć o sobie albo zechce wyrobić sobie głośne nazwisko, co jest sprzeczne z ich zasadą życia w pokorze. - Spojrzała twardym wzrokiem na sędzinę. - Dla Katie Fisher już samo stawienie się na rozprawie stanowi ryzyko sprzeniewierzenia się własnej religii, wysoki sędzie. Jeżeli tej farsy naprawdę nie da się uniknąć, to możemy przynajmniej stworzyć dla mojej klientki niekrepujące warunki.

Sędzina odwróciła wzrok.

- Panie Callahan?

George wzruszył ramionami.

- Jasne. Oczywiście. Stwórzmy niekrepujące warunki dla oskarżonej, a przy okazji pošlijmy do więzienia stanowego puchowe piernaty dla skazanych i szefa kuchni z pięciogwiazdkowej restauracji, żeby im pichcił przysmaki. Z całym szacunkiem dla mecenas Hathaway oraz religii jej klientki: ta sprawa ma charakter ogólnospołeczny, ponieważ dotyczy morderstwa członka społeczeństwa. A prasa ma prawo, gwarantowane pierwszą poprawką do konstytucji, przekazywać informacje na ten temat do wiadomości publicznej. Katie Fisher, w momencie złamania zasadniczych zakazów prawa, wyrzekła się tym samym pewnych przyśługujących jej konstytucyjnych przywilejów. - Zwrócił się wprost do Ellie: - Wizerunki to jedno, ale jest jeszcze coś takiego, jak na przykład piąte przykazanie, „Nie zabijaj”. Skoro nie chciała rozgłosu, to po co zamordowała dziecko?

- Nikt jak dotąd nie udowodnił, że moja klientka jest winna morderstwa - odgryzła się Ellie. - Wysoki sędzie! Rozmawiamy o kwestiach religii, tymczasem pan Callahan pozwala sobie na drwiny i naprawdę mało brakuje, aby dopuścić się zniesławienia. Moim zdaniem...

- Znam pani zdanie, pani mecenas. Wyraziła je pani aż nazbyt jednoznacznie. Nie zabronię dziennikarzom wstępu na salę rozpraw, ale nie wolno im będzie używać aparatów fotograficznych ani kamer wideo. -

Sędzina przewróciła stronę dokumentów z teczki. - Uderzyła mnie jeszcze jedna rzecz, pani Hathaway. W związku z charakterem domniemano przestępstwa nasuwa się oczywiste przypuszczenie, że zamierza pani powoływać się na brak poczytalności oskarżonej. Z pewnością wie pani jednak, że upłynął już ostateczny termin zawiadomienia o planowanej linii obrony.

- Wysoki sędzie, termin ten można wydłużyć, jeżeli istnieje ku temu istotny powód. Powodem tym jest to, że moją klientkę musi zbadać psychiatra sądowy, zanim w ogóle zacznę planować obronę. Jednakowoż wysoki sąd nie orzekł jeszcze w kwestii złożonego przez mnie wniosku o dopuszczenie dowodu z opinii biegłego.

- Ach, tak. - Sędzina podniosła z biurka kartkę ozdobioną na marginesie różyczkami; był to papier do drukarki atramentowej, na którym Leda wydrukowała dokument przekazany jej przez Ellie na dyskietce. - Muszę przyznać, że to najładniejszy wniosek, jaki widziałam w życiu.

Ellie jęknęła pod nosem.

- Przepraszam za to, wysoki sędzie. Pracuję obecnie w dosyć... skromnych warunkach. - Słyszając ciche, szydercze rżenie George'a, zwróciła się do sędziny stanowczym głosem: - Zanim zaplanuję linię obrony i będę mogła o niej zawiadomić, proszę, aby sąd zapłacił za badanie psychiatryczne.

- Zaraz, zaraz - wtrącił się George. - Skoro tak, to ja też chcę dostać sądowego psychiatrę. Oskarżenie też musi ją przebadać.

- Po co? Ja proszę tylko o pieniądze na honorarium dla lekarza specjalisty, abym mogła podjąć decyzję, jak mam bronić swoją klientkę. Jeszcze nie powiedziałam, że powołam się na niepoczytalność. Stwierdzam tylko fakt, że jestem adwokatem, a nie psychiatrą. Jeśli zdecyduję się na taką właśnie linię obrony, poinformuję o tym sąd i oskarżenie będzie mogło przysłać do mojej klientki własnego lekarza na badanie, ale dopóki to nie nastąpi, nie dopuszczę do niej żadnego państwowego psychiatry.

- Może pani wynająć psychiatrę - powiedziała sędzina. - Jakiej kwoty pani potrzebuje?

Ellie gorączkowo zaczęła szukać w pamięci.

- Tysiąc dwieście dolarów, maksymalnie dwa tysiące. - Przypomniała sobie wysokość przeciętnego honorarium.

- Dobrze. Dostanie pani dwa tysiące, ale nie więcej, chyba że zdoła pani umotywować potrzebę takiego wydatku. Jeśli pozostały państwu jeszcze jakieś wnioski do złożenia, chcę je mieć na biurku w przeciągu trzydziestu dni. Ostatnie rozpatrzenia przedprocesowe wyznaczam za sześć tygodni od dnia dzisiejszego. Czy tyle czasu państwu wystarczy?

Ellie i George mruknęli potakująco. Sędzina wstała.

- Zechcą mi państwo wybaczyć. Czekają na mnie w sądzie. - Wyszła bez ceremonii, nie czekając na ich reakcję. Zostali we dwoje w gabinecie.

Ellie zbierała swoje dokumenty, a George zamknął wieczne pióro i schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- No? - zagadnął z drwiącym uśmiechem. - To jak się doi krowy?

- Nie wiesz, wieśniaku?

- Pracuję na prowincji, ale studia kończyłem w Filadelfii, tak samo jak ty.

Ellie wstała z krzesła.

- George, zrób coś dla mnie. Idź sobie. Gnoju mam ostatnio dosyć tam, gdzie mieszkam, nie muszę go szukać w pracy.

Prokurator zaśmiał się i wziął ze stołu swój nesesor. Wychodząc, otworzył drzwi przed Ellie.

- Też bym miał wredny nastrój, gdybym musiał prowadzić taką przesraną sprawę.

Minęła go, nie zaszczyciwszy spojrzeniem.

- Nie myśl tyle - rzuciła przez ramię - bo się przeforsujesz.

Podczas następnej sesji Coop poprosił Katie, żeby cofnęła się pamięcią do dni poprzedzających narodziny dziecka. Miał nadzieję, że to odblokuje jej wspomnienia, ale po godzinie starań wciąż nie było większych efektów; przełom nie nastąpił.

- No dobrze. - Pochylił się w stronę Katie. - Robiłaś pranie. Opowiedz mi, co poczułaś w tym momencie, kiedy sięgnęłaś do kosza z mokrymi ubraniami.

Katie zamknęła oczy.

- Było mi miło. Chłodno. Wyjęłam koszulę taty i otarłam nią twarz, bo słońce strasznie grzało.

- Czy było ci ciężko się pochylić?

Zmarszczyła brwi.

- Kłuło mnie w plecach, kiedy się nachyliłam. Czasami tak się robi, kiedy zbliżają się moje dni.

- Czy dużo czasu upłynęło od ostatniego razu?

- Dużo - przyznała Katie. - Zastanawiałam się nad tym, kiedy wieształam swoje reformy do wyschnięcia.

- Wiedziałaś, że ustanie miesiączek oznacza zajście w ciążę? - zapytał Coop łagodnie.

- Ja, ale już przedtem czasami mi się spóźniało. - Katie zaczęła skubać rąbek fartucha. - Powtarzałam to sobie. Coop zmrużył oczy.

- Dlaczego?
- Bo... bo....- Katie poczerwieniała, skrzywiła twarz.
- Powiedz - ponaglił ją.
- Kiedy pierwszy raz nie dostałam w ogóle - z oczu Katie polały się łzy - powiedziałam sobie, że to nic takiego. I na jakiś czas pomogło. Przystałam się martwić. Ale zaczęłam się bardzo męczyć. Po kolacji tak chciało mi się spać, że ledwo trzymałam się na nogach. A przy zakładaniu fartucha ciężko było wpiąć szpilki w te same dziurki co zawsze. - Wzięła wdech, drżąc na całym ciele. - Przyszło mi na myśl, że... że mogę być... Ale nie zrobiłam się przecież duża, tak jak mama, kiedy spodziewała się Hannah. - Katie wypuściła z palców fartuch, położyła dłonie na brzuchu. - Nic nie było widać. Nic a nic.

- Czy czułaś, jak coś się w tobie porusza? Kopie?

Katie milczała tak długo, że Coop chciał już zadać inne pytanie, lecz nagle dobiegł go jej głos, cichy i smutny:

- Czasami budziło mnie to w nocy.

Coop wyciągnął rękę, ujął Katie pod brodę, zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Katie, powiedz mi: tego dnia, kiedy wieszalaś bieliznę, kiedy tak bolały cię plecy, domyśliłaś się czegoś. Czego?

Opuściła wzrok.

- Że jestem w ciąży - szepnęła.

Zamarł, słysząc, jak Katie przyznaje się do tego, czemu tak długo zaprzeczała.

- Powiedziałaś o tym mamie?

- Nie mogłam.

- Nie powiedziałaś nikomu? Potrzęsnęła głową.

- Tylko Bogu. Prosiłam Go o pomoc.

- Tej ostatniej nocy musiały obudzić cię skurcze. O której to było godzinie?

- Nie było skurczów.

- W porządku - zgodził się Coop. - W takim razie o której godzinie wstałaś i poszłaś do obory?

- Nie poszłam do obory.

Pomasował sobie grzbiet nosa, głęboko pomiędzy oczami.

- Katie, kiedy wieczorem tamtego dnia kładłaś się do łóżka, czy zdawałaś sobie sprawę z tego, że jesteś w ciąży?

- Tak.

- A czy byłaś w ciąży, kiedy obudziłaś się następnego dnia rano?

- Nie - odpowiedziała. - Zniknęło. Nagle się spostrzegłam, że już go nie ma.

- W takim razie coś musiało się wydarzyć pomiędzy zaśnięciem a przebudzeniem. Co się wydarzyło?

Katie zamrugnęła oczami, znowu bliska łez.

- Bóg wysłuchał mojej prośby.

Ellie i Coop, na mocy milczącej umowy, nie rozmawiali o nieudanym wieczorze sprzed kilku dni. Odnosili się do siebie po koleżeńsku, czyli uprzejmie i profesjonalnie. Ellie wysłuchiwała sprawozdania z najnowszej sesji, którą Coop odbył z Katie, starając się nie myśleć o tym, że coś jest nie tak, że czegoś brakuje.

W dyskretnym zaciszu obory Coop zrelacjonował moment przyznania się Katie do ciąży, obserwując, jak Ellie obraca w myślach te nowe informacje.

- Mówisz, że płakała?

- Tak - odpowiedział.

- To by mógł być dowód skruchy.

- Płakała, ale nie nad dzieckiem, tylko nad tym, czego sobie narobiła. Jeśli zaś chodzi o okoliczności poczęcia, to nadal niczego nie pamięta. Amnezja. A dziecka nie urodziła, tylko dotknęła ją palec boży.

Ellie uśmiechnęła się słabo.

- No, to by był oryginalny argument na obronę.

- Chcę ci tylko uświadomić, że za wcześniej jeszcze na fetowanie zwycięstwa. Ukrywała ciążę, a dzisiaj się do tego przyznała.

1 to właśnie jest podejrzane. Często ludzie cierpiący na amnezję przyswajają sobie fałszywe wspomnienia, na przykład to, co przeczytali w prasie albo usłyszeli od rodziny. Co gorsza, kiedy już raz opowiedzą na głos tę fałszywą wersję wydarzeń, zaczynają w nią święcie wierzyć, chociaż nie musi wcale być zgodna z prawdą. Załóżmy jednak - bo w sumie czemu nie - że Katie mówi szczerze i że dopiero teraz, dziś, przypomniała sobie swoją ciążę. Może przyzna się i do innych rzeczy w miarę, jak jej mechanizmy obronne zaczną odmawiać posłuszeństwa. A może nie. To, co się dziś wydarzyło, ułatwi Katie powrót do zdrowia, ale tobie nie pomoże w jej obronie - w końcu nikt, oprócz niej samej, nigdy nie wątpił, że urodziła to dziecko. A ukrywanie ciąży nie jest normalne, ale nie jest też niezgodne z prawem.

- Wiem, o co oskarża się moją klientkę - burknęła Ellie.

- Wiem, że ty to wiesz - odparł Coop. - A Katie?

Adam stanął za jej plecami, zacisnął palce na jej dłoniach, trzymających widełki różdżki.

- Gotowa? - spytał szeptem. W oddali zahuczwała sowa. Ruszyli przed siebie, brzegiem stawu, a zeschnięte źdźbła trawy chrzęściły pod podeszwami ich butów. Katie czuła oszalały łomot serca Adama, który wydawał się zdenerwowany w równym stopniu co ona. Nie mogła tego zrozumieć; przecież on nie miał nic do stracenia, nic mu nie groziło.

Widelki szarpnęły się w ich dłoniach, a Katie instynktownie przywarła plecami do piersi Adama. Mruknął pod nosem coś, czego nie rozumiała; wspólnymi siłami próbowali zapanować nad szamoczącą się różdżką, aby nie strząsnęła z siebie ich dłoni.

- Pokaż mi tamten dzień - poprosił. Katie zamknęła oczy.

Wyobraziła sobie mróz, który wtedy czuła; wystarczyło ścisnąć nos palcami i już można było oddychać tylko przez usta, a kiedy trzeba było zdjąć rękawiczki, żeby przywiązać do butów łyżwy, palce robiły się jak serdelki, grube i czerwone. Wyobraziła sobie Hannah, wyjeżdżającą na sam środek stawu, znów usłyszała jej okrzyk, pełen wniebowziętej radości, zobaczyła szal łopoczący w ślad za nią. Wyobraziła sobie złociste włosy siostry przebłykujące przez jej kapp. A najżywiej pamiętała ten moment, kiedy szły, trzymając się za ręce, śliską ścieżką zbiegającą z pagórka nad staw; dłoń Hannah spoczywała w dłoni Katie, mała, ciepła i ufna, a w jej uścisku była niezłomna pewność, że starsza siostra nie pozwoli upaść.

Różdżka znieruchomiała, a Katie, słysząc, jak Adam zachłystuje się powietrzem, otworzyła oczy.

- Podobna do ciebie jak bliźniaczka - szepnęła.

Hannah mknęła na łyżwach przed siebie, oddalając się od nich, kręcąc ósemki piętnaście centymetrów ponad lustrem wody.

- Woda w stawie była wtedy wyżej - zauważył Adam. - Dlatego wygląda tak, jakby płynęła nad powierzchnią.

- Ty ją widzisz - powiedziała cicho Katie, czując, jak niepokój ustępuje miejsca radości. Upuściła różdżkę na ziemię i przytuliła się do Adama. - Widzisz moją siostrę! - Tu ogarnęły ją spóźnione podejrzenia. Odsunęła się od niego, zabierając się do przesłuchania. - Jakiego koloru ma łyżwy?

- Czarne. Wystłuzone, jak po starszej siostrze.

- A sukienkę?

- Zielonkawą. Jasnozieloną, jak sorbet. - Adam zaprowadził Katie na ławkę stojącą nad brzegiem. - Opowiedz mi o tym. Co się wtedy stało?

Katie odmalowała dla niego słowami tamten dzień: Jacob wymknął

się do obory i zniknął wszystkim z oczu, ona śniła na jawie o cekinach na kostiumie łyżwiarki z gazety, a łyżwy Hannah zgrzytały po cienkim lodzie.

- Miałam jej pilnować, a myślałam tylko o sobie - zakończyła, smutniejąc. - To wszystko przeze mnie.

- Nie możesz tak myśleć. To był wypadek, tragiczny wypadek, nic więcej. - Adam dotknął policzka Katie. - Spójrz na nią. Jest szczęśliwa. To się czuje.

Uniosła głowę, szukając oczami jego oczu.

- Mówiłeś mi, że ci, którzy powracają jako duchy, pozostawili na tym świecie ból i cierpienie. Skoro więc ona jest taka szczęśliwa, to dlaczego wciąż ją tutaj widać?

- Mówiłem ci co innego - zwrócił jej łagodnie uwagę. - Ci, którzy powracają, mają z tym światem związek emocjonalny. Czasami przyciąga ich cierpienie, czasami złość... Ale czasem jest to właśnie miłość, Katie. - Jego słowa zawisły pomiędzy nimi niczym przejrzysta mgła. - Niektórzy z nich zostają tutaj, bo nie chcą znosić rozłąki z kimś bardzo bliskim.

Gdy pochylił się ku niej, nawet nie drgnęła. Czekwała, aż ją pocałuje, ale on zamarł w ostatniej chwili, kiedy ich usta dzielił już tylko jeden oddech, wyęzając całą wolę, aby powstrzymać się od dotknięcia Katie.

Wiedziała, że następnego dnia on wyjedzie, zdawała sobie sprawę, że ten człowiek należy do świata, który nigdy nie będzie jej światem. Położyła dłonie na policzkach Adama.

- Wróciłbyś tutaj dla mnie? - szepnęła, wybiegając mu ustami naprzeciw.

Słyszając zniecka czyjś głos, Katie drgnęła, prawie wypuszczając z rąk uprząż dla mułów i Nuggeta, którą właśnie czyściła.

- Kazali ci przejąć moje obowiązki - powiedział Jacob, potrząsając smutno głową. - A mnie nawet nigdy nie przyszło do głowy, żeby cię o to zapytać.

Odwróciła się wystraszona, chwytając się dłonią za gardło.

- Jacob!

Wyciągnął do niej rękę. Rzuciła mu się w ramiona.

- Czy Mam wie, że...

- Nie - przerwał jej gwałtownie. - I niech tak zostanie. - Przytulił ją mocno, a potem odsunął na odległość ręki. - Katie, co się tutaj stało?

Przywarła do niego z powrotem, chowając twarz na piersi brata. Pachniał sosną i atramentem. Był jak skała, był jej oparciem, jej siłą.

- Nie wiem - szepnęła niewyraźnie. - Wydawało mi się, że wiem, ale teraz już sama nie potrafię powiedzieć.

Poczuła, że Jacob znów się od niej odsuwa, a uniósłszy wzrok, spostrzegła, że wpatruje się w jej fartuch.

- Urodziłaś dziecko - powiedział z trudem, a potem przełknął ślinę. - Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, byłaś w ciąży.

Skinęła głową, przygryzając wargę.

- Gniewasz się na mnie?

Przesunął dłoń po jej ramieniu, zacisnął na nim palce.

- Nie gniewam się - odpowiedział, siadając na skraju stojącego obok wozu. - Żałuję.

Katie usiadła obok niego, opierając głowę na jego ramieniu.

- Ja też - szepnęła.

W niedzielę u Fisherów zjawiała się z wizytą Mary Esch. Przyjechała na łyżworolkach i przyniosła ze sobą frisbee. Ellie miała ochotę ją uściśkać; pomyślała, że dręczonej powracającą pamięcią Katie dobrze zrobi chwila powrotu do życia zwykłej nastolatki, wolnej od trosk i odpowiedzialności. Zabrała się do zmywania po obiedzie, przyglądając się przez okno, jak Mary i Katie uganiają się po podwórzu za śmigającym w powietrzu odbłaskowym talerzem, a ich spódnice przy każdym podskoku wzdymają się jak czasze spadochronów.

Zgrzane i zdyszane, dziewczęta rzuciły się na trawnik pod kuchennym oknem, które Ellie otworzyła, żeby przewietrzyć po obiedzie, bo wiał akurat delikatny wietrzyk. Poprzez szum puszczonej z kranu wody dobiegały ją strzępki rozmowy: „...widziałaś, jak biskupowi Ephramowi mucha usiadła na nosie...?”, „...pytał o ciebie...”, „...nie, nie czuję się bardzo samotna”.

Mary zamknęła oczy, turlając po czole zimną butelką schłodzonego napoju.

- Nie pamiętam jeszcze, żeby w lecie były aż takie upały - powiedziała.

- Wydaje ci się - odrzekła Katie z uśmiechem. - Człowiek zapomina, jak nie ma czegoś przed samym nosem.

- W każdym razie jest strasznie gorąco. - Mary odstawiła butelkę i zakryła bosc stopy rąbkiem spódnicy; nie wiedziała, co dalej mówić.

- Mary, czy już jest aż tak źle, że musimy rozmawiać o pogodzie? - powiedziała cicho Katie. - Dlaczego nie zapytasz mnie o to, co naprawdę chcesz wiedzieć?

Mary spuściła wzrok.

- Bardzo jest źle, kiedy wspólnota cię odrzuci? Katie wzruszyła ramionami.

- Można wytrzymać. Trudno się robi, kiedy trzeba usiąść do stołu, ale jest przecież Ellie, która jada ze mną, a Mam stara się, żeby wszystko było jak należy.

- A twój tata?

- Dat też się stara, ale nie bardzo mu to wychodzi - westchnęła szczerze Katie. - Bywa. - Wzięła przyjaciółkę za rękę. - Za sześć tygodni wszystko będzie po dawnemu.

Ale Mary zasmuciła się tylko jeszcze bardziej.

- Nie wiem, czy to będzie możliwe, Katie.

- Jak to: nie wiesz? Na pewno! Naprawiłam swoje winy. Nawet jeśli biskup Ephram nie pozwoli mi przyjmować komunii, to mój bann się skończy.

- Nie o to mi chodzi - mruknęła Mary. - Ludzie mogą się różnie zachowywać.

Katie odwróciła się powoli.

- Jeżeli nie potrafia wybaczyć mi grzechu, to jak mogą być moimi przyjaciółmi?

- Są tacy, którzy pomimo wszystko nie będą umieli udawać, że nic się nie stało.

- Tak nie postępuje chrześcijanin - powiedziała Katie.

- Ja, ale trudno być chrześcijaninem, kiedy twoja dziewczyna zrobiła coś takiego - odparła cicho Mary, kręcąc w palcach wstążki od czepek. - Katie, Samuel chyba szuka sobie kogoś innego.

Katie poczuła, że brakuje jej powietrza, a pierś zapada się jak przygnieciona poduszka.

- Kto ci o tym powiedział?

Mary milczała, ale jej płomienny rumieniec oraz widoczne na pierwszym rzut oka skrzepowanie i niechęć do rozmowy na temat tak intymny jak posiadanie własnego kawalera, powiedziały Katie z całą dokładnością, co zaszło.

- Mary Esch - szepnęła. - Nie wierzę. Jak mogłaś?

- To nie ja! On sam chciał mnie pocałować, ale go odepchnęłam! Katie zerwała się na równe nogi, z gniewu aż dygocząc na całym ciełe.

- Ładna z ciebie przyjaciółka!

- Żebyś wiedziała. Jestem twoją przyjaciółką. Dlatego dziś tu przysłam. Żebyś nie usłyszała o tym od kogoś innego.

- Źle zrobiłaś.

Mary skinęła głową, powoli, ze smutkiem. Sięgnęła po swoje rolki, leżące na ziemi, wyjęła z nich skarpetki, zawiązała sznurówki. Odjechała cicho, lekko, niknąc za zakrętem podjazdu. Nie obejrzała się za siebie.

Katie stała, z całej siły przyciskając łokcie do boków, bojąc się, że najlżejszy ruch roztrzaska ją na tysiąc kawałków. Dobiegło ją skrzypnięcie

otwieranych drzwi i trzask, kiedy uderzyły z powrotem o framugę, nie obejrzała się jednak, ale dalej stała bez ruchu, patrząc daleko przed siebie, na pole, gdzie razem z jej ojcem pracował Samuel.

- Słyszałam - powiedziała Ellie, podchodząc od tyłu i dotykając jej ramienia. - Współczuję ci.

Katie stała, otwierając oczy najszerzej jak tylko potrafiła, żeby tylko łzy nie mogły się wylać. Wreszcie coś w niej pękło i rzuciła się w ramiona Ellie.

- To nie tak miało wyglądać - załkała. - Wszystko miało być zupełnie inaczej.

- Nie płacz. Wiem.

- Nic nie wiesz - zaszlochała Katie.

Ellie położyła chłodną dłoń na karku dziewczyny.

- Chyba jednak się mylisz...

Katie bardzo zależało na tym, żeby doktor Polacci ją polubiła. Dowiedziała się od Ellie, że jest to psychiatra, która dostała strasznie dużo pieniędzy za wizytę u niej na farmie oraz, że Ellie spodziewa się, że to, co doktor Polacci powie po rozmowie z Katie, okaże się niezwykle ważne i przyda jej się potem w sądzie. Wiedziała wreszcie, że odkąd przyznała się w rozmowie z doktorem Cooperem, że była w ciąży, on i Ellie zaczęli się do siebie odnosić z dziwnym chłodem; wydawało jej się, że wszystko to musi mieć jakiś wspólny mianownik.

Doktor Polacci miała puszyste czarne włosy, twarz okrągłą jak księżyc w pełni i sylwetkę rozległą niczym ocean. Swoim wyglądem i zachowaniem sprawiała, że Katie chciała zrywać się i uciekać, mając jednocześnie pewność, że przy tej kobiecie nic jej nie grozi.

Uśmiechnęła się do niej nerwowo. Siedziały w salonie, same, tylko we dwie. Ellie bardzo się napierała, żeby im towarzyszyć, ale zdaniem doktor Polacci mogłoby to doprowadzić do tego, że Katie nic nie powie.

- Przecież ona mi się zwierza - upierała się Ellie.

- Im mniej osób będzie słuchać jej wyznań, tym dla niej lepiej - odpowiedziała psychiatra.

Dyskutowały przed samym nosem Katie, jakby była głupia albo bezmyślna, jak pies kanapowiec. Wreszcie Ellie skapitulowała i wyszła. Doktor Polacci zapewniła Katie, że przyjechała tutaj po to, aby pomóc doprowadzić do jej uniewinnienia w sądzie i poradziła, żeby mówiła prawdę, bo - jak powiedziała - Katie na pewno nie chce trafić do więzienia. Cóż, pod tym względem miała całkowitą rację; Katie posłusznie

siedziała z nią bitą godzinę, powtarzając jeszcze raz wszystko, co powiedziała doktorowi Cooperowi. Słowa dobierała bardzo starannie, aby jej wspomnienia były jak najdokładniejsze. Chciała, żeby doktor Polacci poszła potem prosto do Ellie i oświadczyła jej: „Katie nie zwariowała, sędzia spokojnie może ją puścić”.

- Katie - zapytała doktor Polacci, zmieniając nieco ton głosu, aby przyciągnąć jej uwagę - o czym myślałaś, kładąc się spać tamtego dnia?

- Czułam się źle, to wszystko. Chciałam zasnąć, żeby obudzić się rano, kiedy będzie mi już lepiej.

Psychiatra zaznaczyła coś w notatniku.

- I co było potem?

Katie na to właśnie czekała, na ten moment, gdy pojedyncze przebłyski, od kilku dni gromadzące się w jej umyśle, wyrwą się z ust, podobne do stada spłoszonych szpaków. Poczowała się tak, jakby powrócił tamten ból, który ciął niczym ostrzem kosy od pleców aż po brzuch, wwiercił się świdrem w ciało i wyrwał na zewnątrz z taką mocą, że kiedy już zdołała zaczerpnąć oddechu przez zaciśnięte gardło, spostrzegła, że zwinęła się w kłębek, nie wiedząc nawet kiedy.

- Bolało - szepnęła. - Obudziłam się z silnymi skurczami.

Psychiatra zmarszczyła czoło.

- Doktor Cooper twierdził, że nie pamiętasz ani bólów porodowych, ani samego porodu.

- To prawda - przytaknęła Katie. - Najpierw przypominałam sobie tylko to, że w ogóle byłam w ciąży. Opowiedziałam doktorowi Cooperowi, jak raz się pochyliłam i poczułam, że mam coś w środku i że muszę na to coś uważać. Od tego czasu zaczęłam przypominać sobie różne szczegóły.

- Na przykład?

- Na przykład to, że w oborze paliło się już światło, chociaż do porannego udoju pozostało jeszcze bardzo dużo czasu. - Katie wzdrygnęła się. - I jeszcze, że próbowałam ze wszystkich sił to powstrzymać, ale nie mogłam.

- Czy miałaś świadomość, że rodzisz dziecko?

- Nie potrafię powiedzieć. Bardzo się bałam, bo strasznie bolało. Wiedziałam tylko, że muszę być cicho, bo jeśli krzyknę albo zacznę płakać, ktoś może usłyszeć.

- Odeszły ci wody płodowe?

- Tak, ale nie wszystko naraz, jak mojej kuzynce Friedzie, kiedy rodził się mały Joshua. Zaczęło jej się na obiedzie przy stawianiu stodoły.

Obie panie, które siedziały obok niej na ławce, miały potem plamy na ubraniu. U mnie leciało powoli, niedużo i tylko kiedy siedziałam.

- Była krew?
- Tak, na udach, od środka. Dlatego wyszłam z domu. Nie chciałam zaplamieć pościeli.

- Dlaczego?
- Ja zawsze robię pranie, ale to Mam zbiera pościel ze wszystkich łóżek. Nie chciałam, żeby się domyśliła.

- Zaplanowałaś sobie, że pójdziesz do obory?
- I tak, i nie. Nigdy nie myślałam o tym, co zrobię, kiedy... się zacznie. Wiedziałam tylko, że będę musiała wyjść z domu.

- Czy ktoś się obudził, kiedy wychodziłaś?
- Nie. Na podwórku ani w oborze też nie było nikogo. Weszłam do zagrody dla cielących się krów, bo tam wykłada się zawsze najczystsze siano. A potem... Czułam się tak, jak gdyby mnie tam wcale nie było. Jakbym była kimś innym i tylko się przyglądała. Po jakimś czasie spojrzalam w dół i zobaczyłam, że już jest.

- Masz na myśli, że dziecko już się urodziło.

Katie uniosła wzrok, oszołomiona, że skutki tego, co się stało owej nocy, można określić takimi słowami.

- Tak - szepnęła.

- Bilans zabójstw noworodków to w przybliżeniu dwieście do dwustu pięćdziesięciu przypadków rocznie, pani Hathaway. Wykrytych przypadków, przypominam. - Teresa Polacci spojrzała w bystry nurt strumyka wyznaczającego granicę farmy Fisherów. - W naszej kulturze jest to czyn naganny, lecz na przykład w niektórych krajach na Dalekim Wschodzie zabijanie noworodków jest wciąż dopuszczalne.

Ellie westchnęła.

- Jaka kobieta zabiłaby własne, dopiero co narodzone dziecko? - zapytała retorycznie.

- Samotna, niezamężna, rodząca po raz pierwszy w życiu i do tego nieślubne dziecko. Takie matki zazwyczaj są młode, pomiędzy szesnastym a dziewiętnastym rokiem życia. Nie nadużywają narkotyków ani alkoholu, nie miewają zatargów z prawem. Wprost przeciwnie - są to dziewczyny, które chętnie zgodzą się wyprowadzać psa sąsiadów, którzy wyjechali na urlop. Uczą się pilnie i dbają o stopnie. Często zdarzają się wśród nich prymuski, które przykładają się do nauki po to, żeby zadowolić swoich rodziców. Takie osoby wyróżnia bierność, naiwność, strach przed wstydem i odrzuceniem, czasami też wychowanie w religijnym domu, gdzie unika się rozmów na temat seksu.

- Rozumiem, co chce pani powiedzieć. Katie pasuje do tej charakterystyki, tak?

- Biorąc pod uwagę portret psychologiczny plus religijne wychowanie, to nigdy jeszcze nie spotkałam się z bardziej podręcznikowym przypadkiem - przyznała doktor Polacci. - Z całą pewnością miała o wiele więcej powodów niż typowa dziewczyna w naszych czasach, aby obawiać się potępienia ze strony rodziny i szukan w swoim otoczeniu, gdyby wydało się, że uprawiała seks przedmałżeński i zaszła w ciążę. Poszła po linii najmniejszego oporu i postanowiła się z tym ukryć.

Ellie zerknęła na psychiatrę.

- Takie postawienie sprawy sugeruje, że to była rozmyślna decyzja.

- Owszem. W pewnym momencie domyśliła się, że jest w ciąży - i celowo zaprzeczyła faktom. Co ciekawe, nie tylko ona. Związała się zмова milczenia, w prosty sposób: ponieważ dla ludzi z otoczenia dziewczyny taka ciąża zazwyczaj także jest czymś niepożądanym, więc nie chcą zauważać, jak zmienia się jej ciało albo udają, że nic nie widzą, co nakręca dalej ten mechanizm zaprzeczania.

- Nie wierzy pani zatem, że Katie miała zaburzenie dysocjacyjne?

- Tego nie powiedziałam. Jestem zdania, że z psychologicznego punktu widzenia jest niemożliwe, aby stan dysocjacji obejmował cały okres ciąży. Katie, podobnie jak wiele zabójczyń noworodków, z którymi pracowałam, świadomie zaprzeczyła faktowi, że zaszła w ciążę, ale potem, kiedy zaczął się poród, nieświadomie weszła w stan dysocjacji.

- Jak to? - zapytała Ellie.

- To jest moment, kiedy prawda wychodzi na jaw. Te kobiety żyją w niesamowitym stresie. Kiedy rodzi się dziecko, mechanizm obronny, który sobie wypracowały, czyli zaprzeczenie ciąży, idzie na złom. One nie chcą mieć nic wspólnego z tym, co się dzieje na ich oczach, więc zazwyczaj można potem od nich usłyszeć - i Katie nie jest tutaj wyjątkiem - że czuły się tak, jakby to nie one rodziły albo że widziały się z boku, ale nie mogły niczemu zapobiec. Przeżywają autentyczne doświadczenie wyjścia z ciała. Czasami pojawienie się dziecka na świecie powoduje nawet okresową psychozę. A im bardziej taka kobieta traci w tym momencie kontakt z rzeczywistością, tym łatwiej może skrzywdzić noworodka.

Przyjrzyjmy się, jak to było w konkretnym wypadku Katie. Skutkiem przeżyć związanych z bratem było wytworzenie się u niej bardzo

prymitywnej procedury samozachowawczej. Ona była święcie przekonana, że jeśli mama i ojciec poznają jej tajemnicę, skończy się to ekskomuniką i wypędzeniem z domu. Tutaj widać, że podświadomie w jej umyśle utrzymywało się przeświadczenie, że pozbywanie się swoich dzieci w pewien sposób jest dozwolone. Potem dochodzi do porodu. Katie nie może już dłużej zaprzeczać faktom, które same przez się mówią, że dziecko istnieje, więc robi z nim to, czego sama najbardziej się obawia - porzuca je, a właściwie wyrzuca. Stan dysocjacji trwa przez czas porodu i zabójstwa, a potem Katie uruchamia z powrotem dawny mechanizm obronny, czyli zaprzeczenie, więc kiedy zjawia się policja, odpowiada bez namysłu: nie urodziłam żadnego dziecka.

- A skąd pani wie, że w ogóle doszło do zaburzenia dysocjacyjnego?

- Kiedy Katie mówi o porodzie, zamyka się trochę. Nie używa innych, bardziej prymitywnych mechanizmów obronnych, na przykład właśnie zaprzeczenia. Nie chce na nich polegać.

- Chwileczkę. - Ellie stanęła w miejscu. - To Katie przyznała się do urodzenia dziecka?

- Owszem. Mam to nagrane.

Adwokatka potrząsnęła głową; ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby została zdradzona.

- Coopowi się nie udało, chociaż ją przyciskał.

- Bardzo często tak bywa, że szczegóły o decydującym znaczeniu klient woli przemilczeć przed zwykłym lekarzem psychiatrą, a przyznaje do nich się dopiero psychiatrze sądowemu. Ja przecież nie rozmawiam z nią po to, żeby lepiej się czuła, tylko chcę ją uratować przed więzieniem. Jeśli mnie okłamie, sama sobie wyrządzi krzywdę. Mam taką pracę, że muszę wywracać wszystko do góry nogami, w przeciwieństwie do lekarza psychiatry, którego zadaniem jest porządkować i układać.

Ellie uniosła wzrok.

- O zabójstwie noworodka też pani powiedziała?

Doktor Polacci zawahała się przez chwilę.

- Nie. Mówi, że wciąż nie może sobie przypomnieć dwóch konkretnych wydarzeń: poczęcia dziecka i morderstwa.

- Czy to możliwe, że w obu tych momentach była w stanie dysocjacji?

- Bez wątplenia jest możliwe, że weszła w stan dysocjacji podczas porodu i zabijając dziecko. Na to właśnie wskazuje zresztą rozbieżność pomiędzy jej wspomnieniami a wynikami badań lekarza sądowego, które mi pani dostarczyła. Jeśli jednak chodzi o sam stosunek... W takich wypadkach kobiety na ogół go pamiętają.

- A jeśli wiąże się z tym jakieś traumatyczne dla niej przeżycie? - zapytała Ellie.

- Gwałt, chce pani powiedzieć? To możliwe, ale kobieta zazwyczaj przyznaje się, że została zgwałcona, chyba, że kogoś chroni. Przeczucie mi mówi, że w tej kwestii Katie nie odkryła jeszcze wszystkich kart.

Ellie skinęła głową.

- A zabójstwo?

- Katie opisała niezwykle szczegółowo wieczór poprzedzający rozwiązanie, sam poród oraz to, co nastąpiło po nim. Powiedziała, że zasnęła z dzieckiem w ramionach. I podobno, kiedy się obudziła, dziecka już nie było. Zniknęło razem z nożycami, którymi przecięła pępowinę.

- Szukała go?

- Nie. Wróciła do łóżka i zasnęła, dokładnie tak, jak zwykle robią kobiety, które zabiły swoje dzieci zaraz po porodzie: problem z głowy.

Ellie myślała gorączkowo.

- Jak długo leżała nieprzytomna w oborze?

- Mówi, że nie wie.

- Zgodnie z tym, co twierdzą raporty policyjne, nie mogło to być długo... - zastanowiła się Ellie.

- Domyślam się, o co pani chodzi, pani Hathaway. Proszę tylko pamiętać, że Katie aż do tej pory nie mogła przypomnieć sobie porodu. Jutro, kto wie, być może opowie nam, ze wszystkimi koszmarными szczegółami, jak udusiła swojego noworodka. A my, nawet jeśli bardzo byśmy chcieli, żeby się okazało, że to nie ona, musimy odnosić się do jej wspomnień ze szczyptą rezerwy. Dysocjacja z definicji powoduje luki w pamięci i brak logicznego uzasadnienia niektórych podjętych działań. Wiele wskazuje na to, że właśnie Katie zabiła to dziecko, ale możliwe, że nigdy nie będzie mogła przyznać się do tego, powiedzieć: „Tak, to ja”.

- Zatem pani zdaniem Katie jest winna - powiedziała Ellie.

- Moim zdaniem odpowiada ona portretowi psychologicznemu wielu zabójczyń noworodków, z którymi zetknęłam się w swojej pracy, a które zabiły własne dzieci, będąc w stanie dysocjacji - poprawiła ją psychiatra. - Jestem także zdania, że jej zachowanie jest zgodne z obecnym stanem wiedzy na temat zjawiska, jakim są zabójstwa noworodków.

Ellie zatrzymała się nad brzegiem strumienia.

- Proszę mi powiedzieć: czy moja klientka jest zdrowa na umyśle? Psychiatra westchnęła ciężko.

- To jest podchwytliwe pytanie. Zdrowa w sensie medycznym czy prawnym? Choroba psychiczna sugeruje, że badany stracił kontakt z rzeczywistością, ale przecież osoba cierpiąca na zaburzenie dysocjacyjne ma pełny kontakt z rzeczywistością i sprawia wrażenie całkowicie normalnej, gdy tymczasem jest akurat odwrotnie. Niepoczytalność w sensie prawnym nie dotyczy natomiast w żaden sposób związku z rzeczywistością, ponieważ jej stwierdzenie opiera się na wynikach testów kognitywnych. A jeśli kobieta w stanie dysocjacji popełni morderstwo, to najprawdopodobniej nie będzie umiała zrozumieć, czego się dopuściła, co to oznacza i że to było coś złego.

- Mogę w takim razie bronić Katie, powołując się na niepoczytalność.

- Może ją pani bronić tak, jak się pani podoba - odparła beznamiętnie doktor Polacci - ale pyta mnie pani teraz, czy niepoczytalność wystarczy, aby uzyskać uniewinnienie. Powiem szczerze, pani Hathaway: nie wiem. Ławnicy, jednakowoż, zazwyczaj myślą praktycznie: chcą wiedzieć, że kobieta jest niegroźna i że to, co zrobiła, już nigdy się nie powtórzy, a przeważnie można liczyć, że właśnie tak będzie. W najlepszym wypadku moje zeznanie da im podkładkę, żeby móc orzec to, co uważają za słuszne - jeśli zdecydują się uniewinnić, to uniewinnią, byleby tylko znaleźli dla siebie jakiegokolwiek uzasadnienie.

- A w najgorszym?

Doktor Polacci wzruszyła ramionami.

- Dowiedzą się na temat zabójstw noworodków więcej, niżby chcieli.

- A Katie?

Psychiatra spojrzała jej prosto w oczy.

- A Katie pójdzie do więzienia.

Katie siedziała na stryszku z sianem. Obracała w palcach gałązkę i czuła się właśnie tak, jakby to ją ktoś ciągnął w tył, przeginał przez plecy aż do samej ziemi, tak, że jeszcze chwila, a pęknie na dwoje. Ledwo mogła usiedzieć na miejscu, chciała wstać, chodzić, wyglądać przez okno - byle tylko nie rozmawiać ze swoją adwokatką.

Rozumiała dobrze, po co ta musztra; Ellie chciała ją w ten sposób przygotować na przesłuchanie, a raczej maglowanie, przez psychiatrę, którego przyśle prokurator. Podobno też doktor Polacci była zdania, że Katie ukrywa prawdę o tym, jak doszło do poczęcia dziecka. Tak powiedziała Ellie.

- I jeszcze jedno - dodała na sam koniec - szlag mnie trafi na miejscu, jeżeli puścisz farbę przy ekspercie oskarżenia.

Tak więc siedziały teraz razem na stryżku z sianem, ona i Ellie, która w niewiadomy sposób zrobiła się tak bezwzględna i bezlitosna, że Katie co rusz musiała na nią spoglądać, żeby się upewnić, że to ta sama osoba.

- Nie pamiętasz stosunku - powiedziała Ellie.

- Nie.

- Nie wierzę ci. Mówiłaś, że nie pamiętasz ani ciąży, ani porodu i nagle oto trzy dni później, patrzcie państwo, zaczynasz sypać szczegółami jak z rękawa.

- Kiedy to prawda! - Katie poczuła, że dłonie ma mokre od potu; wytarła je w fartuch.

- Urodziłaś dziecko. Wyjaśnij, jak to się stało.

- Mówiłam już, kiedy doktor...

- Wyjaśnij, jak doszło do poczęcia. - Katie milczała. Kiedy cisza zaczęła się przeciągać, Ellie, znużona, oparła czoło na dłoniach. - Posłuchaj - powiedziała. - Blefujesz. Doktor Polacci to wie i ja też to wiem i ty, Katie, wiesz o tym tak samo dobrze jak my. Wszystkie trzy jesteśmy po tej samej stronie, ale ty nam rzucasz kłody pod nogi. Przez to dwa razy trudniej cię bronić. Słyszałam o pewnym niepokalanym poczęciu, ale uwierz mi, w twoim wypadku to nie było to.

Zrezygnowana Katie spuściła wzrok. Przyznać się? Co to miało znaczyć? Wyznać winy, jak wtedy, przed biskupem i całym zgromadzeniem?

- Dobrze - powiedziała wreszcie, łagodnie i cicho, przetykając z wysiłkiem ślinę. - Pojechałam do brata. Zabrał mnie na imprezę dyplomową, do któregoś z akademików. Nie miałam ochoty tam iść, ale on się wybierał, więc nie chciałam być dla niego... jak to wy mówicie? Piątym kołem u wozu. Poszliśmy więc na tę imprezę. Było tam mnóstwo ludzi, tłok, gorąco. Jacob zostawił mnie i obiecał, że przyniesie coś do jedzenia. Przez dłuższą chwilę go nie było i wtedy podszedł do mnie jakiś chłopak. Dał mi szklankę ponczu i powiedział, że wyglądam tak, jakbym potrzebowała się napić. Odpowiedziałam, że na kogoś czekam, a on na to ze śmiechem: „Kto pierwszy, ten lepszy”. I zaczął coś do mnie mówić.

Katie wstała i poszła w kąć stryżku, gdzie stały grabie oparte o ścianę. Przebierając palcami po metalowych zębach, ciągnęła dalej:

- Musiałam chyba wypić trochę tego ponczu, kiedy on mówił. Nie pomyślałam, co właściwie robię. I poczułam się po tym okropnie, zaczęło mi się przewracać w brzuchu i kręcić w głowie. Wstałam, żeby znaleźć Jacoba w tym tłoku i cały pokój zawirował mi przed oczami. -

Przygryzła wargę. - Potem pamiętam już tylko, że ocknęłam się na jakimś łożku, które widziałam pierwszy raz w życiu, ubranie miałam... a on... - Katie zamknęła oczy. - Nawet nie wiem, jak się nazywał.

Zgarbiła się, przykładając czoło do szorstkiej, drewnianej ściany. Drżała na całym ciele, bojąc się odwrócić i spojrzeć w twarz Ellie.

Nie musiała się odwracać. Ellie objęła ją od tyłu.

- Och, Katie - szepnęła łagodnym głosem. - Bardzo ci współczuję.

Katie obróciła się w bezpiecznym kokonie jej ramion i wybuchnęła płaczem.

Za drugim razem Katie kończyła swoją opowieść, trzymając Ellie za rękę. Łzy płynęły jej strumieniami po policzkach, ale ona jakby ich nie zauważała, a w każdym razie nie dała tego po sobie poznać. Ellie korciło, żeby je obetrzeć, żeby uśmiechnąć się do Katie, powiedzieć, że świetnie jej poszło.

Doktor Polacci, którą wezwano, aby wysłuchała wyznania, siedziała, przenosząc wzrok z Katie na Ellie i z powrotem, aż wreszcie, z niewzruszonym spokojem, uniosła dłonie i zaczęła klaskać.

- Ładna historyjka - pochwaliła. - Spróbuj jeszcze raz.

- Kłamie - powiedziała krótko. - Wie dokładnie, gdzie i kiedy poczęła to dziecko. Nie był to owoc gwałtu na imprezie, chociaż opowiadanko urocze, przyznaję.

Ellie zjeżyła się na myśl o tym, że Katie mogła skłamać, że z rozmysłem mogła ją oszukać.

- To nie jest typowa nastolatka, która wstawia rodzicom byle kit i gzi się całą noc ze swoim chłopakiem na tylnym siedzeniu jego terenówki.

- Otóż to. Ta historia była po prostu za dobra. Za dobrze przemyślana, zbyt dopracowana. Usłyszała pani od niej to, co chciała usłyszeć. Gdyby została zgwałcona, wyszłoby to na jaw już dawno, podczas sesji z lekarzem psychiatrą - o ile tylko nie chciałyby chronić gwałticiela, ale z drugiej strony to, co powiedziała teraz, wyklucza taką możliwość. No i jeszcze taki mały szczegół: impreza podyplomowa trzy miesiące po zakończeniu roku akademickiego. Rozdanie dyplomów na uczelni to jest czerwcowy uroczystość, a Katie, na podstawie badań lekarza sądowego, poczęła w październiku.

Ta rażąca niekonsekwencja przełamała w końcu opór Ellie.

- Cholera - mruknęła pod nosem, a po chwili uniosła wzrok, porażona nagłą myślą. - Jeśli kłamała, że nie pamięta stosunku, to czy może też kłamać, że nie pamięta morderstwa? Doktor Polacci westchnęła.

- Przeczucie znów mi podpowiada, że nie. Kiedy spróbowałam ją przycisnąć, żeby powiedziała coś o poczęciu dziecka, zaczęła mącić i powiedziała, że nie potrafi sięgnąć pamięcią, że jakoby nie może się dostać do tych wspomnień. A kiedy chciałam, żeby powiedziała coś o morderstwie, kategorycznie zaprzeczyła, że to ona i usłyszałam o tej dziurze w pamięci: usnęła z dzieckiem w objęciach, a gdy się obudziła, już go nie było. Te dwa przypadki amnezji różnią się zasadniczo, co skłania mnie do przypuszczenia, że Katie świadomie zaprzecza faktom w pierwszym punkcie, w drugim zaś cierpi na zaburzenie dysocjacyjne, ale już bez udziału świadomości. - Psychiatra poklepała Ellie po ramieniu. - Nie przejmowałabym się tym tak na pani miejscu. To był w sumie swojego rodzaju komplement. Katie uważa panią za osobę tak bliską, że chce spełniać pani oczekiwania wobec niej, nawet za cenę zmyślenia wspomnień. W pewien sposób stoi pani dla niej na miejscu rodzica.

- Chce spełniać rodzicielskie oczekiwania - nadeła się Ellie. - Czyż to nie ta właśnie chęć doprowadziła do tego wszystkiego?

Doktor Polacci zachichotała.

- Częściowo. Bo jest tam jeszcze jakiś facet. Facet, który ma na nią tak wielki wpływ, że nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego.

Noc była tak ciepła, że Ellie odkryła się i położyła na kołdrze, podciągając koszulę nocną na uda. Leżała bez najmniejszego ruchu, nasłuchując, jak Katie oddycha i zadając sobie pytanie, jak długo jeszcze obie nie będą mogły zasnąć.

Ellie nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nagle zapałała tak obsesyjnym pragnieniem dotarcia do prawdy. Pracując w swoim zawodzie, najczęściej musiała zatykać uszy, aby nie słyszeć, jak klient przyznaje się przed nią do winy - bo jako adwokat wcale nie chciała tego usłyszeć. A teraz chętnie oddałaby swój dwuna-stowoltowy inwertor w zamian za dziesięć minut w głowie Katie Fisher.

Nagle usłyszała ledwo słyszalne westchnienie.

- Przepraszam - powiedziała cicho Katie.

Ellie nie odwróciła nawet głowy.

- Za co dokładnie? Za zabicie dziecka? A może za przestępstwo nieco bardziej pospolite, mianowicie za zrobienie ze mnie idiotki przed moim własnym świadkiem?

- Wiesz, za co przepraszam.

Zapadła długa cisza.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytała wreszcie Ellie. Usłyszała, jak Katie przewraca się na bok.

- Bo bardzo chciałaś to usłyszeć.

- Bardziej bym chciała, żebyś przestała mnie okłamywać, Katie. Nie kłam, kiedy pytam cię o tę rzecz i nie kłam, kiedy pytam o to, co się stało po urodzeniu twojego dziecka. - Przetarła twarz dłonią. - A najbardziej bym chciała cofnąć czas i tym razem nie podejmować się prowadzenia twojej sprawy.

- Skłamałam tylko dlatego, że obie, ty i doktor Polacci, byliście takie absolutnie pewne, że ja coś wiem. - Głos Katie nabrzmiał łzami. - A ja nic nie wiem, Ellie. Przysięgam. Nie zwariowałam, tak jak tobie się wydaje... tylko po prostu nie mogę sobie przypomnieć. Ani tego, skąd się wzięło to dziecko, ani tego, w jaki sposób umarło.

Ellie milczała. Nagle dobiegło ją ciche skrzypnięcie łóżka; to Katie zwinęła się w kłębek i zaczęła płakać. Ellie zacisnęła z całej siły pięści, żeby nie wstać i nie pójść do niej, a potem przykryła się kocem i zaczęła liczyć w myślach. Doliczyła się pełnych dziesięciu minut, zanim Katie wreszcie usnęła.

Samuel otarł pot z czoła i silnym szarpnięciem zwałił kolejnego młodego byczka z nóg. W ciągu tych wszystkich lat pracy na farmie Aarona nauczył się tyle o kastrowaniu, że mógłby teraz machnąć na ten temat pracę naukową. Począł, aż zwierzęciu przejdzie ochota poczęstować człowieka kopniakiem, po czym szybko założył mu gumowy pierścień, część roboczą maszyny do kastrowania, na mosznę i puścił, aby się zacisnął. W ułamku sekundy byczek zerwał się na równe nogi, rzucając mu z ukosa smutne, pełne wyrzutu spojrzenie, a potem pognął z powrotem na pastwisko.

- Mocna sztuka - odezwał się czyjś głos. Samuel obejrzał się, zaskoczony. Za płotem stał biskup Ephram.

- Ja, Aaron będzie miał z niego sporo dobrego mięsa. - Samuel uśmiechnął się do starszego mężczyzny i otworzył sobie furtkę. - Jeśli jego szukacie, to chyba jest w oborze.

- Szczerze mówiąc, szukałem ciebie.

Samuel zamarł na chwilę, zastanawiając się, co tym razem biskup ma mu do zarzucenia, ale potem zgromił się w duchu za takie myśli. Biskup odwiedził go już nie raz i nie dwa i nigdy jeszcze po to, aby oskarżyć go o bezwstyd albo jakieś wykroczenie. Nigdy - dopóki z Katie wszystko nie zaczęło się psuć.

- Komm - powiedział Ephram. - Przejdźmy się. - Samuel ruszył ścieżką u jego boku. - Pamiętam, kiedy dostałeś od ojca swojego pierwszego cielaka - zagał.

U amiszów taki ojcowski prezent dla syna nie był niczym niezwykłym: pieniądze uzyskane ze sprzedaży mięsa po ubiciu wpłacano do banku, aby chłopiec mógł z nich skorzystać, kiedy będzie chciał zakupić własny dom albo farmę. Samuel uśmiechnął się na wspomnienie byka, który przez rok przybrał czterysta pięćdziesiąt kilo żywej wagi.

Wciąż jeszcze miał pieniądze ze sprzedaży tej pierwszej partii wołowiny, a jego konto od tego czasu zasiłło już niejedno cielę. Oszczędzał dla Katie, na ich wspólne życie; tak mu się przynajmniej wydawało.

- Wypracowałeś sobie już nieco lepszą technikę – zauważył Ephram. - Pamiętam dobrze, jak zarobiłeś kopniaka od tamtego pierwszego byczka. Porządnie cię lignął, i to w samą słabiznę. - W śnieżnobiałej brodzie biskupa błysnął uśmiech. - Aż nie wiadomo było, kogo trzeba będzie wykastrować; jego czy ciebie. Na dwoje babka wróżyła!

Samuel splonął czerwienią, przypomniawszy sobie ten dzień, ale mimo to się roześmiał.

- Miałem wtedy dziewięć lat - przypomniał biskupowi. - Ten byczek ważył więcej ode mnie.

Ephram zatrzymał się.

- Czyja to była wina?

Samuel zmarszczył brwi, wzruszył ramionami.

- Chyba jego. No, ja na pewno sam sobie tego nie zrobiłem.

- Na pewno. Ale gdybyś lepiej go chwycił, to jak by to było, hm?

- Przecież wiecie. Nie mógłby mi się wyrwać i wierzgnąć na ślepo. Dostałem dobrą nauczkę. Już nigdy żaden mnie nie kopnął. - Samuel odetchnął głęboko, myśląc o pracy, która na niego czekała. Nie miał dziś cierpliwości do pokrętnych wywodów Ephrama Stoltzfusa. - Biskupie - powiedział - nie przyszlście tutaj, żeby rozmawiać ze mną o tamtym byku.

- Nie? A o czym?

Samuel wcisnął kapelusz na głowę.

- Aaron czeka. Muszę iść mu pomóc.

Biskup Ephram położył mu dłoń na ramieniu.

- Masz rację, bracie. Po co nam gadać o zamierzchłych czasach? Byczek cię kopnął, a ty od ręki się go pozbyłeś.

- Nieprawda. Pamiętacie przecież, jakie wolisko z niego wyrosło.

Bez mała pół tony żywca - poprawił go Samuel, pochmurniejąc. - Kiedy wpłacaliśmy pieniądze do banku, już prawie w ogóle nie pamiętałem, że mnie kiedyś kopnął.

Stary mężczyzna zerknął na niego.

- Wtedy pewnie nie. Ale tamtego dnia, gdy skręcałeś się z bólu na ziemi, wyjąc wniebogłosy i trzymając się za rodowe klejnoty, założyłem się, że nigdy byś nawet nie pomyślał, że wszystko w końcu tak dobrze się ułoży.

Samuel powoli odwrócił głowę i spojrzał na biskupa.

- Nie przyszlście tutaj rozmawiać o tamtym byku.

Ephram uniósł brwi.

- Nie? A o czym?

Doktor Brian Riordan przyleciał prywatnym odrzutowcem w towarzystwie dwóch mężczyzn o aparycji futbolistów w schyłkowych latach kariery sportowej oraz drobnej, myszowatej dziewczyny, która w podskokach pędziła spełnić wszystkie jego polecenia, wydawane bez słów, samym tylko skinieniem ręki. Ten człowiek był postacią dobrze znaną w kręgach psychiatrów sądowych jako jeden z czołowych krytyków obrony opartej na dowodzeniu niepoczytalności oskarżonych, zwłaszcza w sprawach o morderstwo. Prezentował bardzo zdecydowane poglądy, które głosił jak Stany długie i szerokie; w jego biurze wisiała mapa, a na niej kolorowymi pinezkami zaznaczone były okręgi sądowe, gdzie przyczynił się do skazania przestępców, którzy, żerując na czystym ludzkim współczuciu, mieli wszelkie szanse uniknąć kary.

Na farmie zaś wyglądał bez dwóch zdań jak niewłaściwy człowiek na niewłaściwym miejscu.

W porównaniu z doktor Polacci, doktor Riordan przytłaczał swoją obecnością. Ellie, chociaż przysłuchiwała się ich rozmowie z daleka, stojąc w drzwiach kuchni, widziała wyraźnie, że Katie trzęsie się jak osika.

- Panno Fisher - powiedział Riordan, przedstawivszy się. - Zostałem zaangażowany przez prokuraturę okręgową. To oznacza, że każde słowo, które od pani usłyszę, idzie prosto do sądu. Nie wolno pani mówić niczego poza protokołem; to nie jest rozmowa poufna. Czy mnie pani rozumie?

Zaczęli. Ellie słuchała w milczeniu, jak Riordan wypytuje Katie o szczegóły porodu, a Katie odpowiada, tak jak ją poprosił, w czasie terażniejszym.

- Leży na sianie - powiedziała cichym głosem. - Pomiedzy moimi nogami.

- Czy to jest chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec. Malutki chłopczyk. - Urwała na chwilę, wahając się. - Porusza się.

Ellie poczuła, jak gorąca krew bije jej na policzki. Odwróciła się, wachlując twarz dłonią.

- Płacze? - zapytał Riordan.

- Nie. Zaczyna dopiero wtedy, kiedy przecinam pępowinę.

- Czym?

- Biorę nożyce, które Dał wiesza na kołku obok wejścia do zagrody. A potem nagle wszędzie jest mnóstwo krwi, aż myślę, że nigdy w życiu nie dam rady tego wszystkiego posprzątać. Kieruję pępowinę ku dołowi i podwiązuję... chyba szpagatem. Wtedy zaczyna płakać.

- Dziecko?

- Ja. Płacze głośno, bardzo głośno. Przytulam go, żeby się uciszył, ale to nic nie pomaga. Kołyszę go w ramionach i daję palec do possania.

Ellie oparła się o ścianę, widząc oczyma wyobraźni to kruche maleństwo, zaplątane w fałdach koszuli nocnej na piersi Katie. Wyobraziła sobie jego drobną twarzyczkę, półprzezroczyste powieki - i nagle poczuła je we własnych ramionach, ciężące niczym żal po utraconej szansie. Kogo można bronić w takich okolicznościach? - Przepraszam - powiedziała, wchodząc do kuchni. - Muszę się napić wody. Ktoś ma ochotę?

Riordan rzucił jej paskudne spojrzenie, wściekły, że mu się przeszkadza. Ellie napełniła sobie szklankę, ze wszystkich sił usiłując opanować drżenie rąk. Zdążyła wypić ledwie jeden łyk - i znów musiała wysłuchiwać zeznania swojej klientki, tym razem szczegółów dotyczących śmierci dziecka.

- Co dzieje się dalej, Katie? - zapytał Riordan.

Katie zmarszczyła czoło i potrząsnęła z westchnieniem głową.

- Nie wiem. A bardzo bym chciała, nawet pan nie wie jak bardzo. Ale pamiętam tylko tyle, że najpierw modłę się do Boga o pomoc, a potem budzę się nagle i dziecka już nie ma.

Ellie zgarbiła się nad zlewem.

- Cud - dodała Katie.

Riordan wytrzeszczył na nią oczy.

- Żartujesz, prawda?

- Nie.

- Jak długo leżałaś nieprzytomna?

- Nie wiem. Chyba około dziesięciu, piętnastu minut.

Psychiatra splótł dłonie na kolanach.

- Czy zabiłaś wtedy to dziecko?

- Nie!

- Jesteś tego pewna? - Uniósł brwi. - Co się z nim w takim razie stało?

O to jeszcze nikt Katie nie pytał; patrząc, jak dziewczyna rozpaczliwie szuka odpowiedzi, Ellie uświadomiła sobie własny brak wyobraźni.

- Może... może samo umarło - wydukała wreszcie Katie. - A ktoś je zabrał i schował.

Ellie jęknęła cicho. A może to podświadomość Katie w tej chwili z własnej woli stanęła do spowiedzi.

- Sądzisz, że tak właśnie było? - zapytał Riordan.

- Ktoś mógł się zakraść do obory i je zabić.

- Wydaje ci się to możliwe?

- Trudno... trudno powiedzieć. Było jeszcze dosyć wcześnie...

- Raczej sam środek nocy - przerwał Riordan. - Kto mógł wiedzieć, że rodziysz? - Obserwował przez chwilę, jak dziewczyna zmagą się z odpowiedzią. - Katie - rzekł zdecydowanym głosem - co się stało z tym dzieckiem?

Na oczach Ellie w jednej chwili Katie rozkleiła się zupełnie: drżące usta, oczy pełne łez, dygoczące ramiona. Potrząsając bez przerwy głową, Katie raz po raz zaczęła powtarzać, że to nie ona, wypierając się odpowiedzialności karnej. Ellie spodziewała się, że Riordan spróbuje ją jakoś uspokoić, ale szybko się zorientowała, że on wstąpił już w inne szeregi. Zaangażowała go prokuratura, zatem pocieszenie oskarżonej byłoby sprzeczne z etyką zawodową, skoro sprowadzono go tutaj po to, aby pomóc wsadzić ją do więzienia.

Ellie przyklękła obok krzesła swojej klientki.

- Możemy prosić o chwilę przerwy? - zapytała i nie czekając na odpowiedź Riordana, objęła Katie ramieniem. Starła się przy tym nie zwracać uwagi na zwinięty w kłęb fartuch, który dziewczyna tuliła do siebie, tak jak tuli się dziecko.

Brian Riordan zatrzepotał powiekami i zaczął mówić napiętym, płomiennym falsetem:

- Katie Fisher nie była obecna przy śmierci tego dziecka. Ciałem - być może, lecz na pewno nie duchem. Kiedy małeństwo oddawało ostatnie tchnienie, dziewczyna miotła się zamknięta w więzieniu własnego umysłu, pod strażą wyrzutów sumienia. - Wyszczrzył zęby do prokuratora okręgowego. - Albo coś w ten deseń - dodał już zwyczajnym głosem.

George wybuchnął śmiechem.

- I to się sprawdza na rozprawach? Takie psychoanalityczne pierdoły?

Riordan poczęstował się miętówką ze stoika stojącego na biurku.

- Jeśli tylko ja zabiorę głos, to nie.

- Jesteś pewien, że Hathaway chce dowodzić niepoczytalności, powołując się na zaburzenie dysocjacyjne?

- Uwierz mi, to jest wymarzona linia obrony dla zabójczyń noworodków. Z punktu widzenia psychologii, rozbieżności pomiędzy zeznaniem Katie a dowodami dostarczonymi przez lekarza sądowego można wyjaśnić tylko na dwa sposoby: albo dziewczyna cierpi na zaburzenie dysocjacyjne, albo kłamie w żywe oczy. Nietrudno się chyba domyślić, którą drogą pójdzie obrona. Niemniej jednak krótkie okresy dysocjacji nie dowodzą jeszcze niepoczytalności. - Riordan wzruszył ramionami i wrzucił cukierek do ust. - Poza tym stany dysocjacyjne mają to do siebie, że adwokat może łatwo wpaść we własne sidła. Jeśli pani Hathaway poczuje się zbyt pewnie w temacie, to już po niej. Jej ekspert w żaden sposób nie zdoła udowodnić, że obciążenie umyślowe, które wywołało dysocjację, było skutkiem porodu, nie zaś popełnienia morderstwa. Co było pierwsze, jajko czy kura? Nie wiadomo.

- No, dobrze. Widzę, że ta sprawa da się poprowadzić. - George błysnął uśmiechem, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

- Prosto do więzienia stanowego.

Prokurator przytaknął.

- A czy to, że dziewczyna pochodzi z amiszów, ma jakieś konsekwencje psychologiczne? - zapytał. - Nie powinniśmy się jakoś przygotować z tej strony?

Riordan wstał, zapinając guziki marynarki.

- Po co? - odpowiedział pytaniem. - Morderstwo to morderstwo.

Gdy ją pocałował, drzewa obsypały ich deszczem liści, klony plamiąc jego plecy bogatą czerwienią, dęby - dukatowym złotem. Za koc służył im jej szal, rozpostarty w ostrej, szorstkiej trawie na wzór skrzydeł olbrzymiego czarnego jastrzębia. Katie wyplątała palce z włosów Adama, zaciskając je na jego ramionach, a on zaczął rozpinać jej sukienkę. Każdą szpilkę wbijał pieczołowicie w pień rosnącego za nimi drzewa, a ona kochała go za tę troskliwość, za to, że myślał o tym, jak ona się będzie czuła już po wszystkim.

Fartuch zsunął się z jej bioder, a sukienka rozchyliła jak kwitnący pąk. Katie zamknęła oczy, zawstydzona, ale po chwili poczuła, jak Adam

pochyla się do jej piersi, kreśląc wzory na jej ciele przez cienką bawełnę spodniej koszuli. Przytrzymała jego głowę w tym miejscu, wyobrażając sobie, że on pije prosto z czary jej serca.

Nie wyznał jej miłości, ale to nie miało znaczenia. To, co robił, jak się do niej odnosił - to była miara prawdziwa, dokładniejsza niż jakiegokolwiek słowo, które mógłby jej powiedzieć. Dla ludzi jej podobnych dowodem uczucia były czyny, nie zaś te trzy krótkie sylaby, które nie znaczą kompletnie nic. Usłyszy je zresztą od niego, później, po wszystkim, kiedy nie zdołają one już umniejszyć wartości tego, co działo się teraz pomiędzy nimi.

Adam zrzucił własne ubranie - i nikt już nie potrafiłby zobaczyć w nich pary z dwóch różnych kompletów. To była ostatnia świadoma myśl Katie, bo wtedy Adam przywarł do niej całym ciałem, a palący żar jego skóry odebrał jej mowę i rozwiął wszelkie obawy.

Pomiedzy udami czuła jego wezbrany ciężar. Wolną ręką uniósł jedno jej kolano, a ciało Katie posłusznie otworzyło się przed nim. Spojrzał jej w oczy i powiedział bardzo poważnie, choć szeptem:

- Możemy przestać. W tej chwili, jeśli tylko chcesz.

Katie przełknęła ślinę.

- A ty chcesz?

- Wolałbym wpaść pod kombajn.

Uniosła biodra zapraszającym gestem i poczuła go, jak się w niej zatracca, gubi, rozpierając jej ciało tak, że aż zapiekły ją oczy, które nagle otworzyły się szeroko. Przyszli jej na myśl turyści, którzy zatrzymywali się przy drogowskazie na rozdrożu mniej więcej osiem kilometrów stąd i zanosząc się śmiechem, robili sobie zdjęcia pod napisem INTERCOURSE, PA*. A potem myślała o tym, jak jej ciało rozstępuje się przed Adamem, składając mu dar najwspanialszej uległości. A potem on sięgnął ręką pomiędzy nich oboje i dotknął jej.

- Dojdźmy tam razem - szepnął.

Pomyślała, że chodzi mu o jutrzejszy wyjazd do Szkocji. Pomyślała, że chce być razem z nią na zawsze. Ale w tej chwili poczuła, jak jej ciało skręca się w coraz ciaśniejsze pierścienie, a potem rozpada jak biała kula dmuchawca. Kiedy wreszcie udało jej się złapać oddech, zobaczyła błogosławieństwo: drzewo znów obsypało ich swymi liśćmi. Adam leżał obok, uśmiechając się i gładząc ją po biodrze.

* Intercourse (ang.) - stosunek (płciowy); PA (skr. ang.) - Pensylwania (przyp. tłum.).

- Dobrze się czujesz?

Katie skinęła głową, bez słów, bo gdyby się odezwała, musiałaby powiedzieć mu prawdę: że wcale nie czuje się dobrze z tą pustką zrodzoną z wiedzy o tym, jak to jest być pełną po brzegi.

Adam przykrył ją szalem, ale zrobiło jej się okropnie, jakby nagle dotknęła ją jakaś choroba.

- Nie. - Odepchnęła jego ręce, uciekając rozdygotanym ciałem przed cienką wełną. - Nie chcę.

Adam wyczuł zmianę w jej nastroju, przygarnął ją do siebie.

- Posłuchaj mnie - powiedział dobitnie. - Nie zrobiliśmy nic złego.

Ale Katie wiedziała, że to był grzech, wiedziała to już wtedy, gdy podjęła decyzję, że odda się Adamowi. Grzechem tym nie była wszakże miłość cielesna nie uświęcona sakramentem małżeństwa, ale to, że po raz pierwszy w życiu Katie postawiła siebie na pierwszym miejscu. Własne potrzeby i zachcianki były dla niej ważniejsze niż inni ludzie i wszystko dookoła.

- Katie - powiedział Adam ochryłym głosem. - Powiedz coś.

Ale ona wołała, żeby to on mówił. Pragnęła, żeby zabrał ją gdzieś daleko, znów do siebie przytulił, żeby jej powiedział, że dwa światy można połączyć mostem zbudowanym ze spojrzenia, z dotyku. Chciała usłyszeć, że należy do niego albo że on należy do niej i że w wielkim planie wszechrzeczy liczy się tak naprawdę tylko to, nic więcej.

Chciała od niego usłyszeć, że kiedy kocha się kogoś tak mocno, tak gorąco, to można zrobić coś, czego robić nie wolno.

Adam milczał, badając wzrokiem jej twarz. Katie czuła, jak pomiędzy jej udami ścieka strużką jego płomień - ich wspólny płomień. Zrozumiała, że nie pojedą razem do Szkocji. Że nigdzie razem nie dojdą. Zgarnęła z ziemi swój szal i naciągnęła go na ramiona, zawiązując końce w węzeł tuż poniżej tego miejsca, gdzie czuła swoje pękające serce.

- Chyba lepiej będzie - powiedziała łagodnie - jeśli już sobie pójdziesz.

Z upływem czasu Katie coraz trudniej było zasnąć, a te rozchybotane chwile przed nadejściem snu atakowały jej zmysły kluciem siana w nagie uda, surowym zapachem strachu albo blaskiem księżyca połyskującym błado na jej brzuchu opiętym rozciągniętą skórą. Robiło jej się niedobrze, kiedy przypominała sobie, co powiedziała doktor Polacci i doktorowi Riordanowi. A potem przewracała się na bok, żeby spojrzeć na śpiącą Ellie - i robiło jej się jeszcze gorzej.

Katie nie spodziewała się, że polubi adwokatkę. Na początku ogarniała ją prawdziwa furia na myśl, że przydzielono jej strażniczkę, która na dodatek jej nie ufa. A jednak, jeśli dla Katie cała ta sytuacja była przykra, to o ile bardziej krępująca musiała ona być dla Ellie, która znalazła się w cudzym domu, wśród obcych ludzi, a na domiar wszystkiego - co podkreślała już nieraz, ostatnio zazwyczaj w przypiływach gniewu - nie z własnego wyboru.

Przecież to też nie moja wina, pomyślała Katie. A jednak widziała na własne oczy to dziecko, leżące pod końskimi derkami. Przyglądała się, jak jego trumienka zanurza się w ziemi. Jeśli nawet ona była niewinna, to ktoś ponosił za to winę.

Katie nie zabiła tego noworodka; była o tym święcie przekonana, tak samo jak miała niezbitą pewność, że rano wstanie słońce. Kto więc to zrobił?

Pamiętała, że kiedyś w gospodarstwie Izajasza Kinga, w szopie na tytoń, zamieszkał jeden bezdomny. Lecz gdyby nawet w ich oborze tamtego ranka był jakiś włóczęga, to musiałyby jeszcze mieć jakiś powód, żeby zabrać noworodka z ramion śpiącej kobiety, zabić go, a potem ukryć. Musiałyby być chore na umyśle, tak jak Katie w przygotowywanej przez Ellie obronie.

Katie była pewna, że zorientowałyby się, gdyby tamtego ranka w oborze był ktoś oprócz niej. A jeśli nawet jej by to umknęło, wyczułyby go zwierzęta. Nugget rżałby, spodziewając się, że dostanie jakiś przysmak, bo zawsze to robił, kiedy ktoś przychodził; i krowy by muczały, oczekując, aż ktoś je wydoi. Tymczasem w tych strzępkach wspomnień, które kołatały się w jej głowie, dzwoniła tylko głęboka cisza.

A zatem ktoś musiał zakraść się tam za nią.

Zaczęła łamać sobie głowę, usiłując wyszperać z pamięci coś, co mogłaby triumfalnie podać Ellie jak na talerzu, jakiś ostateczny dowód, który wyjaśniłby wszystko za jednym zamachem. Ale któż mógł być na nogach o takiej godzinie?

Jej ojciec. Na samą myśl o tym Katie poczuła ukłucie palącego wstydu. Dał czasami zachodził do obory, żeby zajrzeć do krów, które miały niedługo się cielić - ale nie robił tego po to, żeby odbierać życie, ale żeby pomagać żywym istotom przyjść na świat. Gdyby znalazł Katie z noworodkiem, byłby wstrząśnięty, mógłby nawet się rozgniewać, ale na pewno nie próbowałby wymierzyć sprawiedliwości na własną rękę; poczekałby, aż zrobi to kościół.

Samuel. Jeśli przyszedł wcześniej do dojenia, to mógł zobaczyć ją

śpiącą w zagrodzie z dzieckiem na piersi. I miałby święte prawo się zdernerwować. Ale czy to było możliwe, żeby poniosły go nerwy i skrzywdził dziecko, nie wiedząc, co robi? Zdecydowanie nie, uznała Katie. Nie on, nie Samuel. Samuel nigdy nie wyciągał pochopnych wniosków, wolał powoli się namyślić. Poza tym był też zbyt uczciwy, żeby kłamać policjantom. Nagle Katie rozpogodziła się, bo przyszło jej na myśl jeszcze jedno alibi dla Samuela: zawsze przyjeżdżał do roboty razem z Levim. A żeby popełnić przestępstwo, musiałby przez jakiś czas być w oborze zupełnie sam.

Ale to wyczerpywało krąg podejrzanych - została już tylko sama Katie. Katie, która w najciemniejszej godzinie nocy otuliła się szczelniej kołdrą i zaczęła się zastanawiać, czy doktor Polacci i Ellie nie miały przypadkiem racji. Czy jeśli się czegoś nie pamięta, to znaczy, że naprawdę tego nie było? Czy może tylko tyle, że człowiek bardzo by chciał, żeby to się nigdy nie wydarzyło?

Potarła skronie i odpiętnęła w sen, odprowadzana wspomnieniem pikliwego, zawodzącego płaczu dziecka.

Ellie obudziła się, ugodzona promieniem latarki prosto w oczy.

- Boże jedyny - wymamrotała zaspanym głosem, zerkając na sąsiednie łóżko. Katie spała w najlepsze. Wstała i podeszła do okna; jeśli to Samuel przyszedł z przeprosinami, to byłoby miło, gdyby wybrał jakąś sensowniejszą porę niż pierwsza w nocy. Ellie wyjrzała na dwór, szykując się, żeby powiedzieć skruszonemu winowajcy, co o nim myśli - i w tym momencie dotarło do niej, że pod domem Fisherów stoi Coop.

Ubrała się szybko w koszulkę i szorty, które nosiła poprzedniego dnia i zbiegła na dół. Wysłała na ganek z palcem przyłożonym do ust i odprowadziła go daleko od domu. Wreszcie przystanęła i splatając ramiona na piersi, skinęła głową na latarkę.

- To Samuel nauczył cię tej sztuczki?

- Levi - odparł Coop. - Niezły z niego agent.

- Przyszedłeś pochwalić mi się, że potrafisz smalić cholewki do panny jak prawdziwy amisz? - Momentalnie pożałowała tych słów. Skąd niby to przypuszczenie, że po tamtym nieudanym wieczorze Coopowi chciałoby się choćby kiwnąć palcem, aby pomyślała, że on smali do niej cholewki?

Westchnął.

- Przyszedłem cię przeprosić.

- W środku nocy?

- Chciałem zadzwonić, ale wiesz, nigdzie nie mogłem znaleźć telefonu do Fisherów. Trzeba było odkurzyć starą latarkę i dopilnować sprawy osobiście.

Na ustach Ellie drgnął uśmiech.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz. - Coop wziął ją za rękę i poprowadził ścieżką biegnącą nad staw. - Naprawdę ci współczuję, że ze Stephenem ostatecznie nic nie wyszło. Nie chciałem nabijać się z ciebie.

- Prawie się nabrałam.

- Wiesz, że kiedyś mnie skrzywdziłaś. Mocno. I chyba gdzieś w głębi serca chciałem, żebyś poczuła się tak podle jak ja wtedy.

- Skrzywił się. - Niezbyt to było mądre z mojej strony.

Ellie stanęła przed nim i spojrzała mu w oczy.

- Nie poprosiłabym cię, żebyś mi pomógł w sprawie Katie, gdybym wiedziała, że cały czas żywisz do mnie urazę. Myślałam, że po dwudziestu latach zdążyłeś o tym zapomnieć.

- Przecież gdybym o tym zapomniał - zauważył trzeźwo Coop

- to zapomniałbym też i o tobie.

Ellie wydało się nagle, że ciemność nocy gęstnieje i oblepia ją ze wszystkich stron. To głupota, pomyślała, czując puls łomoczącego serca aż w gardle. Czysta głupota.

- Zawiadomiłam sąd, że będę powoływać się na niepoczytalność - rzuciła znienacka.

Coop skinął głową, akceptując nagłą zmianę tematu, zrozumiał, że Ellie ma taką potrzebę.

- Aha - powiedział krótko.

- I jak to teraz będzie?

Wsunął latarkę pod pachę, a rękę do kieszeni i ruszył przed siebie ścieżką. Ellie podążyła za nim.

- Dobrze wiesz, jak to będzie, bo jak cię znam, przemyślałaś już to sobie w tę i we w tę. Katie nie jest niepoczytalna, ale jako jej obrońca byłabyś pewnie zdolna oznajmić ławnikom, że Katie to królowa Elżbieta we własnej osobie, gdyby dzięki temu mieli ją uniewinnić, a przecież wiemy, że dziewczyna nie ma w żyłach choćby kropli błękitnej krwi.

- Powiedz mi, Coop, w co trudniej uwierzyć: że młoda, przerażona dziewczyna spanikowała i nie wiedząc, co robi, udusiła swojego noworodka, czy że do obory, gdzie urodziła na dwa miesiące przed właściwym terminem, zakradł się ktoś obcy - o drugiej w nocy - i zabił jej dziecko, kiedy spała?

- Rzadko udaje się wygrać sprawę, powołując się na niepoczytalność.

- A gdzie ja mam szukać uzasadnionych wątpliwości, kiedy w tej sprawie nie ma się do czego przyczepić? - Ellie usiadła ciężko na żelaznej ławce; dotarli już nad brzeg stawu. - Nawet jeśli ona jest niewinna, to i tak najlepiej jej pomogę, jeśli przekonam ławników, że zabiła dziecko,

nie posiadając rozeznania, co właściwie robi. Nie znam lepszego sposobu, żeby nastawić ich przychylnie do Katie.

- Nie gadaj, przecież prawnicy kłamią jak z nut – powiedział Coop.

Ellie prychnęła.

- Mnie to mówisz? Sama mam niejedno kłamstwo na sumieniu... Aż trudno mi teraz je wszystkie zliczyć.

- No i jesteś w tym dobra.

- Właśnie - westchnęła. - Jestem. Coop wziął ją za rękę.

- Więc dlaczego tak się tym gryziesz?

Ellie poczuła, że z jej twarzy opadła maska; maska, którą zasłaniała się od momentu, gdy wyjaśniła Katie, że zamierza jej bronić, dowodząc niepoczytalności, chociaż to przecież nie jest prawda.

- Mam ci powiedzieć, dlaczego tak cię to dręczy? - zapytał Coop swobodnie. - Bo wiesz, że ogłoszenie niepoczytalności będzie automatycznie oznaczało, że twoja klientka popełniła przestępstwo, nieważne, że w tym czasie jej umysł błędził gdzieś w kosmosie. A ty w głębi serca zdażyłaś już polubić Katie. Nie chcesz przyznać, że to naprawdę ona, bo lubisz ją za bardzo.

Ellie pociągnęła nosem.

- Pudło. Wiesz chyba, jak ma wyglądać relacja z klientem. Tutaj nie ma miejsca na uczucia osobiste. Broniąc faceta, który molestował kilkunastoletnie dziewczynki, bez mrugnięcia okiem opisywałam ławnikom jego zasługi jako filaru lokalnej społeczności. Seryjny gwałcień wyglądał u mnie jak słowiczek z chłopięcego chóru. Taki jest mój zawód. A osobiste uczucia względem klientów nie mają żadnego wpływu na to, co mówię w ich obronie.

- Masz całkowitą słuszność.

Zbił tym Ellie z tropu.

- Mam słuszność?

- Jasne. Ale tutaj chodzi o to, że Katie już dawno temu przestała być twoją klientką. Może nawet nigdy nią nie była, nawet na samym początku. Jest twoją kuzynką, daleką bo daleką, ale zawsze. Jest miła, młoda, zagubiona - a ty weszłaś w rolę zastępczej matki. Niemniej twoje uczucia względem niej nie są jednoznaczne, bo na dobrą sprawę wszystko wskazuje na to, że Katie pozbyła się czegoś, za co ty jesteś gotowa zapłacić każdą cenę. Dziecka.

Ellie wyprostowała się wyniośle, chcąc go wyśmiać razem z jego uwagami, ale okazało się, że nie może znaleźć ani jednej ciętej odpowiedzi.

- Czytasz we mnie jak w książce - zauważyła cierpko.

- Nie muszę - mruknął Coop. - Znam cię już na pamięć.
- Więc jak mam to teraz naprawić? Jeśli nie rozdzielę uczuć od spraw zawodowych, to nigdy w życiu nie wygram tej sprawy.

Coop uśmiechnął się do niej.

- Kiedy się wreszcie nauczysz, że wygrać można na rozmaite sposoby?

- Jak to? - zapytała, a w jej głosie brzmiała nieufność.

- Czasem człowiekowi wydaje się, że przegrał, kiedy tak naprawdę zostawił wszystkich w tyle. - Ujął Ellie za podbródek, delikatnie musnął ustami jej wargi. - Spójrz tylko na mnie.

Spojrzała. I zobaczyła w jego oczach tę niesamowitą zieleń karaibskiego morza, ale też, co ważniejsze, dostrzegła, o czym mówi ich szmaragdowe spojrzenie. Przesunęła wzrokiem po maleńkiej bliźnie tuż pod linią szczęki, pamiątce po upadku z roweru w wieku sześciu lat. I po tej bruzdzie na policzku, która przy najlżejszym uśmiechu drążyła w nim dołeczek.

- Przepraszam cię za to, co wtedy powiedziałem - szepnął Coop. - I na wszelki wypadek przeproszę cię jeszcze za to wszystko, co powiedziałem teraz.

- Coś mi mówi, że powinnam usłyszeć coś takiego. Dobrze jest od czasu do czasu wziąć zimny prysznic.

- Powinienem cię teraz ostrzec, że nie jestem z tych, którzy fundują zimne prysznice.

- Wiem - odparła, pochylając się ku niemu.

Całowali się jak szaleni, mocno, jakby chcieli zmieszać się ze sobą nawzajem. Coop wędrował dłońmi po jej plecach, po piersiach.

- Boże, jak ja się za tobą stęskniłem - wydyszał.

- Przez pięć dni?

Zamarł nagle, bez ostrzeżenia, a po chwili wyciągnął rękę i dotknął palcami jej twarzy.

- To była cała wieczność - powiedział.

Zamknęła oczy - i uwierzyła mu. W jej pamięci znów zagrali The Grateful Dead, ich piosenka niesiona wiatrem wpadła przez okno pokoju w akademiku, gdzie na wąskim łóżku leżeli razem, ona i Coop, spleceni ciasno ze sobą. Oczyma duszy ujrzała krystaliczną tęczę wiszącą w drzwiach zasłony ze szklanych koralików oraz czarne paciorki oczu wieiórki, która przycupnęła na parapecie, przypatrując się im uważnie.

Poczuła, jak Coop zsuwa jej bluzkę z ramion i rozpina szorty z zartasku.

- Coop. - Nagle zaczęła się denerwować. - Ja już nie mam dwudziestu lat.

- O, cholera - zaklął, nie przestając zsuwać jej szortów z bioder. - To ja chyba też.

- Mówię poważnie. - Chwyliła jego dłoń, zaczeponą palcami o swój pasek, uniosła ją do ust. - Nie wyglądam już tak jak kiedyś.

Skinął głową ze współczuciem.

- Chodzi o tę bliznę po wszczępieniu rozrusznika serca?

- Nie mam wszczępionego rozrusznika serca.

- To czym się przejmujesz? - Pocałował ją delikatnie. - Mogłabyś nawet ważyć sto kilo i mieć włosy na kłacie. Mnie by to nie przeszkadzało. Kiedy patrzę na ciebie, to niezależnie od tego, co widzę, zawsze mam przed oczami młodą studentkę. Wiesz dlaczego? Bo kiedy zakochałem się w tobie, czas stanął w miejscu.

- Nie ważę stu kilo.

- Osiemdziesiąt jeden i ani grama więcej - zgodził się posłusznie, a Ellie trzepnęła go po ramieniu. - Dalej będziesz mnie rozpraszać, czy zaczniemy wreszcie się kochać?

Ellie uśmiechnęła się.

- Nie wiem. Daj mi pomyśleć.

Pocałował ją, szczerząc zęby, a ona zaplotła ręce na jego szyi, przyciągając go bliżej siebie.

- Wiesz co? - zapytał, parząc jej skórę tym pytaniem. - Kiedy cię rozbierałem, teraz, u mnie w mieszkaniu, też nie miałaś już dwudziestu lat.

- Fakt, ale za to byłam pijana.

Coop parsknął śmiechem.

- To może i ja powinienem sobie czegoś łyknąć. Na znieczulenie. Bo na tej twardej ławce zdążyło mi się już zrobić dokładnie trzydzieści dziewięć siniaków, za każdy rok mojego kulawego życia. - Jednym szybkim ruchem pociągnął ją na trawę, obracając się tak, żeby przyjąć na siebie całą siłę upadku.

Ellie wylądowała na wierzchu, obejmując go rozłożonymi udami, wisząc twarzą o centymetr nad twarzą Coopa.

- Dalej będziesz mnie rozpraszać - mruknęła - czy zaczniemy wreszcie się kochać?

Poczuła jego palce zaciskające się w talii.

- Już myślałam, że nigdy nie zapytasz - powiedział, odnajdując ustami jej usta.

Zakradając się z powrotem do domu, jak jakaś nastolatka, Ellie zauważyła, że w kuchni pali się światło. Zajrzała przez drzwi i zobaczyła Katie siedzącą przy stole i sączącą mleko; w lodówce o każdej porze dnia i nocy stał pełny dzbanek białego napoju.

- O - powiedziała Ellie, zdziwiona. - Czemu nie w łóżku?
- Nie mogłam zasnąć - odparła Katie. - A ty czemu? - zapytała, chociaż wcale nie musiała; na pierwszy rzut oka było widać, skąd Ellie wraca i co tam robiła. We włosach miała żółtą trawę, a na policzkach rumieńce. Biła od niej woń seksu.

W pierwszej chwili Katie poczuła, jak niepohamowaną falą wzbiera w niej zazdrość i wprost nie mogła oderwać wzroku od Ellie, tak bardzo chciała poczuć to samo co ona, to, czym była nacechowana tak wyraźnie, jakby dotyk palców tego mężczyzny wciąż płonął fluorescencyjnym blaskiem na jej skórze.

- Byłam na spacerze - odparła powoli Ellie.

- I się przewróciłam - dopowiedziała Katie.

- Nie... Dlaczego?

Katie wzruszyła ramionami.

- Bo skąd byś miała liście na głowie?

Ellie, zawstydzona, przeczesała palcami włosy.

- A ty co? - uśmiechnęła się. - Moja mama?

Katie wyobraziła sobie, jak ktoś ją pieści, przytula, całuje, a potem jej myśli pobiegły ku Adamowi, ale zamiast poczuć łagodne ciepło rozlewające się po podbrzuszu, tak jak zazwyczaj, kiedy go wspominała, odniosła tylko wrażenie, że tkwi tam twardy, bolesny węzeł.

- Nie - odpowiedziała. - A ty też nie jesteś moją mamą.

Ellie zamarła.

- To prawda - przyznała.

- A tobie tak się właśnie wydaje. Chciałabyś, żebym przychodziła do ciebie się wyplakać, żebym siadała ci na kolanach, czekając, aż zrobisz tak, że wszystko będzie dobrze. Ale wiesz co, Ellie? To ci się tylko tak wydaje. Matki nie mają takiej władzy.

Ellie zmrużyła oczy, dotknęła do żywego.

- Proszę, odezwał się autorytet w sprawach macierzyństwa.

- Wiem więcej niż ty - odgryzła się Katie.

- Natomiast różni nas to - odparła spokojnie Ellie - że ja oddałabym wszystko, żeby mieć dziecko, a ty tylko czekałaś, żeby się pozbyć tego, które miałaś.

Katie otworzyła szeroko oczy, jakby dostała od Ellie w twarz - i w następnej sekundzie zalała się łzami, które otarła wierzchem dłoni.

- O, Boże - zaczęła zawodzić żałośnie, obejmując się rękoma w talii. - O, Boże, to przecież prawda.

Ellie spojrzała na nią w najwyższym zdumieniu.

- Naprawdę zabiłaś to dziecko?

Katie potrząsnęła głową.

- Zasnęłam. Przysięgam tobie i Bogu, że zasnęłam, tuląc je w ramionach. - Jej twarz ściągnęła się bólem. - Ale równie dobrze mogłabym je zabić, Ellie Chciałam, żeby go nie było. Przez długie miesiące marzyłam, żeby po prostu znikło.

Zgięła się wpół, szlochając tak gwałtownie, że nie mogła złapać oddechu. Ellie zakłęła pod nosem i przytuliła ją mocno.

- To były tylko myśli - szepnęła uspokajającym tonem, gładząc jej włosy, spływające jasnymi falami po plecach. - Od myśli nic się nie dzieje.

Katie przycisnęła rozpalony policzek do piersi Ellie.

- Nie jesteś moją mamą... ale czasami tego żałuję.

Z tymi słowami poczuła to, na co liczyła: jeszcze mocniejszy uścisk, zamykający ją w ramionach Ellie. Zacisnęła powieki i wyobraziła sobie, że to nie ona, tylko Adam; jego oczy odbijają jej oczy, jego usta powtarzają jej imię, jej serce ściska zrozumienie, co to znaczy być kochaną, kochaną pomimo wszystko.

Rozdział dziesiąty

ELLIE

PAŹDZIERNIK

Pod koniec trzeciego miesiąca spędzonego w domu Fisherów czasami zachodziłam w głowę, jak mogło mi się kiedyś wydawać, że karbuje się tylko i wyłącznie włosy, a omłot to rodzaj ciężkiego cepa. Tygodnie poprzedzające rozprawę Katie wypadły niefortunnie w samym środku żniw; szybko zrozumiałam, że mogę się pożegnać z nadzieją na pomoc członków rodziny w przygotowaniu naszej linii obrony opartej na dowodach niepoczytalności oskarżonej. Dla Aarona Fishera życie domowników kręciło się obecnie wokół tego, żeby zebrać tytoń na czas i napełnić wszystkie silosy ziarnem.

A ja, czy mi się to podobało czy nie, byłam jednym z domowników.

Wybrałyśmy się z Katie na pole tytoniu, półtora hektara zarośnięte tak gęsto, jakby rósł tam ryż.

- Ten. - Co rusz pokazywała mi liść dojrzały do zebrania.

- Wszystkie wyglądają tak samo - poskarżyłam jej się. - Wszystkie takie same zielone. Nie czeka się ze zbieraniem, aż pociemnieją, zrobią się brązowe?

- Tytoń zbiera się inaczej. Patrz, czy są duże. - Zerwała jeden liść i ułożyła go starannie w koszyku.

- Pomyśl, ilu ludzi dostanie raka płuc przez to jedno wasze pole - mruknęłam pod nosem.

Katie nie przejęła się tym.

- Uprawiamy tytoń dla pieniędzy - powiedziała po prostu. - Na samym mleku trudno zarobić.

Pochyliłam się, chcąc zerwać swój pierwszy liść tytoniu.

- Nie! - krzyknęła Katie. - Za mały. - Pokazała mi większy, który trzymała w ręce.

- To może ja bym od razu przeszła do następnego etapu? - zaproponowałam. - Mogę nabijać fajki albo przyklepać ostrzeżenia na pudełkach papierosów.

Katie przewróciła oczami.

- Następny etap to rozwieszanie liści. Jak nie radzisz sobie z wybieraniem dojrzałych, to nawet nie myśl, że dostaniesz do ręki półtorametrową, zaostrzoną tyczkę.

Parsknęłam śmiechem, pochylając się z powrotem nad roślinami. Jakkolwiek niechętnie, musiałam przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie byłam w tak dobrej kondycji. Praca adwokata trenuje umysł, ale nie ciało; życie na farmie Fisherów, niejako z braku innej możliwości, poddawało treningowi i jedno, i drugie. Amisze są święcie przekonani, że ciężka praca fizyczna stanowi podstawowe założenie ludzkiej egzystencji i prawie nigdy nie wynajmują obcych do pomocy w gospodarstwie, wiedząc, że mało który nieamisz przeżyłby ich dzień pracy. Aaron nigdy się z tym nie zdradził, ale spodziewał się, wiedziałam o tym dobrze, że jak prawdziwy mieszczuch rozplacę mu się z przemęczenia na środku pola albo będę się wymykać przed końcem roboty, żeby napić się lemoniady, dając tym samym niezbity dowód, że nie jestem jedną z nich. Tymczasem mnie to jeszcze bardziej dopingowało, żeby robić dokładnie tyle, ile do mnie należało, choćby po to, żeby mu dowieść, że się myli. Z tego też powodu pewnego razu, w pierwszej połowie sierpnia, przez cały tydzień dzień w dzień ustawiałam żłtę przez maszynę snopy pszenicy, od stóp do głów zasypana sieczką, walcząc z bólem nieustannie zgiętych pleców. Na tamtym polu pokazałam, że nie odstaję od reszty rodziny, nawet przez jedną minutę w ciągu całego dnia. Wciąż myślałam o jednym: jeśli zasłużę sobie na szacunek Aarona na znajomej mu, żyznej ziemi uprawnej, to czy uda mi się go zdobyć na swoim poletku?

- Ellie, idziesz, czy nie?

Katie czekała na mnie, trzymając się pod boki. U jej stóp stał kosz pełen liści. Ja również, chociaż umysłem błędziłam daleko, nie przestałam widocznie zbierać, bo mój koszyczek także był napełniony po same brzegi. Bóg jeden raczył wiedzieć, czy były odpowiednio dojrzałe do zebrania; rzuciłam na sam wierzch kilka największych, żeby Katie nie zauważyła i ruszyłam za nią do podłużnej szopy, która dotychczas, jak długo mieszkalam na tej farmie, stała pusta i nieużywana.

Jej ściany zbudowane były z listew, między którymi ziały szerokie szpary. Dzięki temu wewnątrz panował łagodny przeciąg. Usiadłam obok Katie na beli siana, przyglądając się, jak bierze do ręki szpikulec niemalże tak długi jak ona sama.

- Trzeba przebić ogonek liścia - pouczyła mnie. - Tak samo jak wy nawlekacie żurawiny na sznurek, do ozdoby waszych choinek.

Z tym już wiedziałam, jak sobie poradzić. Oparłam swoją tyczkę o belę siana i zaczęłam nawlekać na nią liście tytoniu, zostawiając między nimi kilka centymetrów odległości, aby mogły przeschnąć. Zdawałam sobie sprawę, że kiedy nasza praca dobiegnie końca, na poletku nie zostanie nic, a wszystkie liście zawisną pod krokwiami tej szopy, nabite na zastrzone tyczki. Kiedy zaś nadejdzie zima, a mnie już dawno tu nie będzie, Fisherowie zbiorą tytoń i sprzedadzą go na Południe.

Ale czy Katie zostanie tutaj do pomocy?

- Możemy porozmawiać o rozprawie, jak skończymy tę robotę?

- Po co? - zapytała Katie, nie odrywając wzroku od liści nawlekanych równo przez łądźkę na tyczkę. - Przecież i tak powiesz to, co ci się podoba.

Puściłam tę uwagę mimo uszu. Od czasu sesji z psychiatrami sądowymi upłynęło już wiele tygodni, a ja wciąż szykowałam się do ułożonej przez siebie obrony opartej na dowodach niepoczytalności, pomimo iż dobrze wiedziałam, że Katie to drażni. Ona, bazując na własnych wspomnieniach, była pewna, że nie zabiła tego dziecka, a to, że nie mogła przypomnieć sobie morderstwa -to dla niej nie była jeszcze niepoczytalność. Za każdym razem, gdy prosiłam ją o pomoc, czy to w przygotowaniu pytań na rozprawę, czy to w ułożeniu chronologii wydarzeń tamtej strasznej nocy, Katie wykręcała się od współpracy. Przez to uprzedzenie względem mojej linii obrony stała się nieprzewidywalna i doprawdy miałam tym więcej powodów do zadowolenia, że zdecydowałam się bronić jej właśnie w taki sposób. Uznana za niepoczytalną, nigdy nie będzie musiała zeznawać przed sądem.

- Katie - wyjaśniłam cierpliwie. - Byłam w sądzie więcej razy niż ty. Musisz mi uwierzyć.

Dziewczyna nadziała liść na szpikulec.

- Ty mi przecież nie wierzysz.

Jak mogłam jej uwierzyć? Odkąd zaczęła się cała ta farsa, jej wersja wydarzeń zdążyła się zmienić już kilka razy. Jeżeli nie uda mi się przekonać ławników, że jest to skutek zaburzenia dysocjacyjnego, uznają po prostu, że Katie skłamała. Wzięłam następny liść tytoniu i zamiast przebić ogonek, specjalnie zrobiłam dziurę w samym środku.

- Nie tak. - Katie zabrała mi go z rąk. - Żle to robisz. Przyjrzyj się.

Z uczuciem ulgi pozwoliłam jej udzielić sobie lekcji. Gdyby szczęście mi dopisało, to miałam wszelkie szanse poradzić sobie nawet bez

pomocy Katie; samo zeznanie doktora Polacci wystarczyłoby do uzyskania uniewinniającego werdyktu ławy przysięgłych. Pracowałyśmy w milczeniu, a drobinki kurzu tańczyły w świetle słońca sączącym się przez szpary w ścianach szopy. Kiedy w naszych koszykach widać już było dno, uniosłam wzrok na Katie:

- Chcesz zebrać jeszcze trochę?

- Jeśli ty chcesz, to tak - odpowiedziała, rezygnując z własnego zdania, jak na amisa przystało.

Nagle drzwi do szopy stanęły otworem, a w promieniach słońca ciemnym konturem zarysowała się sylwetka wysokiego mężczyzny w garniturze. Nie mógł to być nikt inny jak Coop, chociaż on, przyjeżdżając na sesje z Katie, zazwyczaj ubierał się nieoficjalnie. Zdarzało mu się jednak wpaść prosto z pracy - a w każdym razie, gdybym w tej chwili miała sobie wyobrazić faceta ubranego w cokolwiek innego niż spodnie na szelkach, to pomyślałabym właśnie o nim. Wstałam z uśmiechem na ustach, kiedy przekraczał próg.

- Powiem jedno - roześmiał się Stephen. - Trudno cię znaleźć.

Przez chwilę stałam bez ruchu, jak tknięta paralizem. Potem odsta-
wiłam tyczkę.

- Co ty tu robisz? - Udało mi się w końcu dobrać głos ze ściśniętej krtani.

Zaśmiał się głośno.

- Trochę inaczej sobie wyobrażałem nasze powitanie. No, ale widzę, że zastałem cię podczas narady z klientką. - Stephen wyciągnął rękę do Katie. - Jak się masz? - powiedział. - Jestem Stephen Chatham. - Włożył ręce do kieszeni, rozejrzał się po szopie. - Co to ma być? Terapia zajęciowa?

Nie do końca dotarło jeszcze do mnie, że Stephen tutaj jest.

- To jest tytoń na sprzedaż - odpowiedziałam po dłuższej chwili.

Katie cały czas zerkała na mnie z ukosa, ale milczała, dowodząc swojej inteligencji. A ja, patrząc na Stephena, nie potrafiłam się powstrzymać, aby nie stawić w myślach Coopa obok niego. Stephen nie miał takich bladezielonych oczu. Stephen prezentował typ zbytnio uładzony. Jego uśmiech sprawiał wrażenie starannie wyćwiczonego, nie rozkwitał jak flaga łapiąca wiatr.

- Wiesz co, jestem w tej chwili trochę zajęta - powiedziałam wykrętnie.

- Właśnie widzę. Pracujesz ciężko nad dostarczaniem surowca fabryce Marlboro. Powinnaś zatem chyba być mi wdzięczna. Domyśliwszy się, że w osadzie amiszów trudno o bibliotekę prawniczą, pozwoliłem sobie przywieźć ci kilka werdyktów do przejrzenia. - Sięgnął do neseseru

i wyjął z niego gruby plik dokumentów. - Masz tu trzy sprawy o zabójstwo noworodka prowadzone przed pensylwańskimi sądami i zakończone uniewinnieniem oskarżonych, przy czym jeden z obrońców, wierz mi lub nie, zdecydował się dowodzić niepoczytalności klienta.

- Skąd wiesz, że wybrałam taką linię obrony?

Stephen wzruszył ramionami.

- O tej sprawie jest całkiem głośno, Ellie. Krążą plotki.

Już miałam mu odpowiedzieć, kiedy nagle między nami przebiegła Katie i, nie odwracając się, znikła za drzwiami szopy.

Sara zaprosiła Stephena na kolację, ale on z początku nie chciał się zgodzić.

- Zabiorę cię dokądś - namawiał mnie. - Jeśli chcesz, możemy wstąpić do jakiejś swojskiej amiszowskiej knajpki w mieście.

Czy jemu się wydawało, że gdybym chciała stąd się wyrwać, to po to, żeby zjeść dokładnie to samo co u Fisherów?

- To nie są restauracje amiszów - powiedziałam, żeby sobie pomarudzić. - Prawdziwi prości ludzie nie reklamują się swoją religią.

- W takim razie zawsze pozostaje McDonald's.

Zerknęłam przez otwarte drzwi do kuchni, gdzie Sara i Katie uwijały się przy robieniu kolacji; pomagałabym im teraz, gdyby nie przyjazd Stephena. Sara rzuciła okiem za siebie, zobaczyła, że patrzę i odwróciła się szybko, zawstydzona. Założyłam ręce na piersi.

- Dlaczego nie chcesz zjeść tutaj?

- Myślałam tylko, że wołałabyś...

- Źle myślałaś, Stephen. Bo tak się składa, że wolę zjeść kolację u Fisherów. - Nie umiałam powiedzieć dlaczego, ale nagle zaczęło mi zależeć na tym, aby pokazać Sarze i Katie, że wolę zostać z nimi, niż pojechać ze Stephenem. Że nie wyglądam okazji, żeby się stąd wyrwać.

W ciągu tych kilku miesięcy, nie wiedzieć w jaki sposób, ci ludzie stali się moimi przyjaciółmi.

Stephen uniósł dłonie pojednawczym gestem.

- Jak sobie życzysz, Ellie. Mogę zjeść po gospodarsku. Pasuje.

- Stephen, na miłość boską, ci ludzie może ubierają się inaczej i modlą się częściej niż ty, ale to jeszcze nie znaczy, że nie widzą, jak robisz z siebie idiotę.

Stephen oprzytomniał momentalnie.

- Nie chciałem nikogo urazić. Wydawało mi się, że po czterech - dobrze mówię? - miesiącach na farmie masz ochotę wyrwać się z kimś na małą intelektualną pogawędkę. - Chwycił mnie za rękę

i odciągnął na bok, tak, żeby Sara i Katie nie mogły zobaczyć nas z kuchni. - Stęskniłem się za tobą - powiedział - i prawdę mówiąc, chciałem mieć cię tylko dla siebie.

Patrzyłam, jak pochyła się, żeby mnie pocałować; zamarłam, jak jeleń w światłach nadjeżdżającego samochodu, niezdolna powstrzymać tego, co nadchodziło. Usta Stephena były ciepłe, dłonie pewnie znajdowały drogę na mapie moich pleców, ale w głowie czułam natłok myśli goniących jedna drugą. Jak to możliwe, że w ramionach Stephena, po ośmiu wspólnych latach, czułam się gorzej niż w ramionach Coopa?

Z lekkim, wymuszonym uśmiechem położyłam dłonie na jego piersi.

- Nie teraz - szepnęłam. - Obejrzyj sobie farmę, a ja pomogę przy kolacji.

Godzinę później, gdy cała rodzina zebrała się już przy stole, wszystkie moje wątpliwości co do Stephena rozproszyły się zupełnie. Widziałam, jak z powagą pochyła głowę przy modlitwie; jak swoim urokiem osobistym powoli zniewala Sarę, która wreszcie przestaje sinieć na twarzy jak śliwka, podając mu półmisek; jak rozprawia na temat karm kiszonkowych z taką swadą, jakby pasjonowało go to bardziej niż prawo. Powinnam się domyślić, że wszystko się tak ułoży: Fisherowie byli ludźmi szlachetnymi i życzliwymi, Stephen zaś był wytrawnym aktorem. Gdy nadszedł czas na główne danie - duszone mięso z warzywami, pieróg nadziewany mięsem z kurczaka oraz indyk w sosie stroganow - zdążyłam już uspokoić się na tyle, że udało mi się przełknąć pierwszy kęs.

Katie opowiadała właśnie prześmieszoną historię o tym, jak kiedyś krowy wyrwały się z obory w samym środku śnieżycy, kiedy nagle rozległo się stukanie do drzwi. Elam wstał, żeby otworzyć, ale miał już swoje lata, więc zanim zdążył dojść i chwycić za klamkę, gość sam sobie otworzył. To był Coop.

- Witam - powiedział, zdejmując płaszcz. - Na deser się chyba nie spóźniłem?

Zanim skończył pytanie, Stephen już stał, trzymając jedną rękę na moim ramieniu, drugą zaś wyciągając w jego stronę.

- Stephen Chatham - przedstawił się głosem zdradzającym lekkie zdziwienie. - Czy my się znamy?

- John Cooper - padła odpowiedź. - Tak, chyba się spotkaliśmy. - Nawet się nie zająknął, za co gotowa byłam na miejscu go ucałować. - W operze.

- Filharmonii - mruknęłam pod nosem.

Obaj spojrzeli na mnie.

- Coop tu pracuje. Katie jest jego pacjentką - rzuciłam tonem wyjaśnienia.

- Coop - powtórzył Stephen powoli, a ja widziałam dokładnie, którądy przebiega droga jego skojarzeń: od poufatego skrótu nazwiska przez fotki zatknięte za okładkę na końcu mojego albumu pamiątkowego ze studiów, aż do naszych rozmów na temat dawnych kochanków, snutyh pod osłoną ciemności, dawno temu, kiedy jeszcze w swoich ramionach czuliśmy się pewnie i bezpiecznie. - Pamiętam. Znaie się ze studiów.

Coop spojrział na mnie, ale z ociąganiem, jakby miał stracha, że emocje wymkną mu się spod kontroli i zdradzi się samym wyrazem twarzy.

- Zgadza się - przytaknął. - Długo już się znamy.

Nigdy nie miałam lepszej okazji, żeby docenić w pełni poglądy amiszów na temat relacji partnerskich, głoszące, że sprawy te dotyczą tylko i wyłącznie osób bezpośrednio zaangażowanych. Katie zajęła się krojeniem swojej porcji mięsa ma równiutkie kawałeczki, Sara wyszła do kuchni, gdzie znalazła sobie jakieś zajęcie, a obaj Fisherowie zaczęli się naradzać, kiedy najlepiej zacząć napełniać silosy ziarnem. Odetchnęłam głęboko i usiadłam.

- Proszę - powiedziałam napiętym, radosnym głosem. - Kto jest głodny?

Lekki wiatr szumiał w gałęziach drzew, grając na nich, jakby to były piszczałki dud. Szłam obok Stephena, ścieżką biegnącą ku widnokręgowi nakrytemu odwróconą misą nieba. Byliśmy tak blisko siebie, że nawet się nie dotykając, wyczuwaliśmy nawzajem ciepło swoich ciał.

- Zeznanie psychiatry sądowego przesądzi sprawę - powiedziałam mu. - Jeśli Katie nie przypadnie ławnikom do serca, to już po niej.

- Należy zatem mieć nadzieję, że ją polubią - powiedział Stephen z galanterią, chociaż w głębi serca uważał, że Katie nie ma szans; tego byłam pewna.

- Być może nie będą musieli, jeśli uda mi się doprowadzić do unieważnienia procesu.

Stephen podniósł kołnierz płaszcza.

- W jaki sposób?

- Zgłosiłam wniosek o unieważnienie ze względu na to, że Katie nie będzie sądzona przez równych sobie.

Uśmiechnął się przebiegle.

- Chodzi ci o to, że w składzie ławy przysięgłych nie przewidziano ani jednego amiszka?

- Otóż to.

- A czy przypadkiem amiszom religia nie zabrania uczestnictwa w procesach?

- No i co z tego, że zabrania. Tak jak powiedziałam: Katie nie będzie sądzona przez równych sobie.

Stephen wybuchnął śmiechem.

- Boże jedyny, Ellie! To ci się w życiu nie uda, ale faktycznie, możesz swobodnie składać apelację. Ta tutejsza sędzina ze słomą w butach dostanie po nosie, zanim zdąży się obejrzeć. - Płynnie zrobił jeden długi krok, stając tuż przede mną, tak, że weszłam prosto w jego otwarte ramiona. - Jesteś jakaś inna - mruknął mi do ucha.

Być może wyczuł coś w moim dotyku, kiedy spoczęłam w jego uścisku, może zauważył, że zanim przylgnęłam do niego, przez ułamek sekundy byłam spięta i sztywna - dość, że cofnął się o krok. Położył dłoń na moim policzku, przyciskając kciuk do podbródka.

- Aha - powiedział cicho. - To o to chodzi?

Zawahałam się przez jeden moment, snując w myślach sieć bezpieczeństwa, żeby złapać go, kiedy będzie spadał; tak samo postąpiłam z Coopem, zrywając z nim przed laty. Zawsze byłam przekonana, że są takie kłamstwa, które potrafią przynieść więcej pożytku niż szkody i tym właśnie mogą być usprawiedliwione: Zasługujesz na kogoś lepszego niż ja. Mam teraz zbyt wiele zajęć, aby skoncentrować się na pracy nad związkiem. Potrzebuję mieć trochę czasu dla siebie.

A potem przypomniała mi się Katie, na klęczkach przed swoim zgromadzeniem, mówiąca im to, co chcieli usłyszeć.

Nakryłam jego dłoń własną dłonią.

- Tak. O to chodzi - odpowiedziałam.

Opuścił rękę; nasze splecione palce zawisły pomiędzy nim a mną niczym wahadło. Stephen, ten, który zawsze promieniował pewnością siebie, teraz sprawiał wrażenie wątplęgo i pustego w środku, jak łupina nasienia klonu, niesiona liściastym śmigłem na ziemię.

Uniósł moją dłoń, która otwarła się pod jego palcami jak pąk róży.

- Czy on cię kocha?

- Tak - odparłam, przetykając z wysiłkiem i chowając dłoń do kieszeni.

- A ty jego?

Na to nie odpowiedziałam od razu. Odwróciłam głowę, spoglądając w kierunku, gdzie złotym blaskiem lśnił prostokąt kuchennego okna, a w nim ciemniały sylwetki Sary i Coopa pochylonych nad podwójnym zlewem. Coop zaferował się, że posprząta z nią po kolacji, żebym ja mogła

wyjść i porozmawiać ze Stephenem na osobności. Zaczęłam się zastanawiać, czy on myśli teraz o mnie. Czy ma jakieś wątpliwości co do tego, jakie słowa teraz mówię.

Kiedy ponownie spojrzałam na Stephena, zobaczyłam, że uśmiecha się blado. Poczułam, jak kładzie mi palec na ustach.

- Zadałem pytanie i otrzymałem odpowiedź - powiedział, a potem delikatnie pocałował mnie w policzek i wrócił do swojego samochodu.

Przez jakiś czas snułam się sama nad brzegiem strumienia, aż zawędrowałam nad staw i tam usiadłam sobie na tej wąskiej ławeczce. Od wyjazdu z Filadelfii myślałam o zerwaniu ze Stephenem, chciałam tego, ale mimo to czułam się teraz tak, jakbym zniecka dostała czymś w głowę. Podciągnęłam kolana pod brodę i patrzyłam, jak księżyc kaligrafuje lśniące wersety na powierzchni wody, przysłuchiwałam się trzaskom i trelom życia cichnącego przed nocą.

Przyszedł do mnie i wyciągnął tylko rękę. Nie mówiąc ani słowa, wstałam, wtuliłam się w ramiona Coopa i chwyciłam się go mocno.

Oparłszy się na łopacie, Sara uniosła twarz ku niebu.

- Zawsze, kiedy napełniamy silosy - zamyśliła się na głos - wiem, że pogoda idzie na odmianę.

Otarłam pot z czoła już chyba po raz setny tego dnia.

- Może jeśli się mocno skoncentrujemy, to dostaniemy jeszcze pięć minut spokoju.

Katie parsknęła śmiechem.

- W zeszłym roku, kiedy napełnialiśmy silosy, było dwadzieścia siedem stopni i pogoda jak drut.

Sara osłoniła oczy, wypatrując czegoś w polu.

- Jadą już!

Widok wprost zapierał dech w piersiach. Aaron i Samuel prowadzili zaprzęg mułów ciągnących napędzaną benzyną snopowiązałkę. Potężna owa machina miała prawie dwa metry wysokości, z przodu zestaw ostrz do koszenia, a dalej mechanizm zbierający zboże w snopy. Obok jechał Levi, powożąc furmanką również zaprzęzoną w muły, na której pudle stał Coop, chwytając długie snopy wyrzucane przez snopowiązałkę i układając je w stos.

Kiedy mnie zobaczył, wyszczerzył zęby i pomachał. Ubrany był w dżinsy i koszulkę polo, a na głowie miał pożyczony od Aarona kapelusz z szerokim rondem, ocieniający twarz, która promieniała dumą tak wielką, aż można było pomyśleć, że własnoręcznie ściął każdy kłos zboża.

- Popatrz tylko na siebie. - Katie szturchnęła mnie łokciem. - Cała ferhoodled.

Nie miałam bladego pojęcia, co to mogło znaczyć, ale sądząc po brzmieniu, słowo to oddawało idealnie moje uczucia. Uśmiechnęłam się do Coopa w odpowiedzi, czekając, aż zeskoczy z wozu. Levi, zadzierając nosa jak to nastolatek, dumnym krokiem podszedł do pasa transmisyjnego zainstalowanego pod silosem i założył go tak, aby silnik od snopowiązałki napędzał teraz młockarnię i duży wiatrak wdmuchujący zboże przez zamkniętą rynnę do silosu.

Sara wspięła się na wóz, żeby zacząć zrzucać snopy, a ja poszłam za nią. Podczas pracy czułam zbożowe otręby i kawałki żdźbeł, oblepiające mi policzki i kark. Zboże było wilgotne i miało słodki zapach, z ostrą nutą przywodzącą na myśl alkohol. No tak; kiszonka, którą w zimie podaje się zwierzętom hodowlanym, to już praktycznie zacier zbożowy. Może to właśnie dlatego krowy to chodząca łagodność - każdy by był taki, gdyby całą zimę przeżył na bani.

Aaron trzymał konie, a Coop razem z Levim zajęli się zrzucaniem zebranego zboża z wozu; Samuel wykorzystał okazję i zeskoczył na ziemię. Przeglądałam się z wielką ciekawością, jak zbliża się do Katie. Rozumiałam dobrze, jak niezręcznie musi się czuć ta dziewczyna, spotykając się z Samuelem dzień w dzień przy pracy na farmie, akurat kiedy ich związek przechodzi tak poważny kryzys. Ostatnio jednak Katie była jeszcze bardziej rozdrażniona. Za każdym razem, gdy Samuel zbliżał się do niej na odległość mniejszą niż metr, próbowała mu się wymknąć i uciec. Zrzucałam to na karb procesu, który niedługo miał się rozpocząć, aż wreszcie Sara mimochodem wspomniała, że listopad to miesiąc ślubów; niedługo podczas nabożeństw miało się zacząć odczytywanie zapowiedzi par, które chciały wstąpić w związek małżeński.

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, Katie i Samuel także daliby już na zapowiedzi.

- Pozwól - usłyszałam jego głos. - Pomogę ci. - Położywszy dłoń na ramieniu Katie, Samuel wyjął jej z rąk wysoki snop zboża. Kilkoma wprawnymi, silnymi ruchami umieścił ciężki stos na taśmie. Katie przyglądała się z boku.

- Samuel! - Wezwany wołaniem Aarona, Samuel z przepaszającym uśmiechem oddalił się od Katie.

Dziewczyna natychmiast sięgnęła po kolejny snop zżętego zboża. Kłujące kłosa popęły z chrzęstem w górę, pociągnięte taśmą. Muły, wyprężone i stojące samopas, szurały i tupały kopytami. A Katie, chociaż nie odezwała się ani słowem, bo jej matka pracowała tuż obok, uśmiechała się radośnie.

W dniu, kiedy umówiłam się z Teresą Polacci na omówienie przesłuchania, które miałam z nią przeprowadzić przed sądem, niebo akurat zasnuło się na długie godziny ciężkimi szarymi chmurami. Gęste ich zwały toczyły się z jednego końca widnokregu na drugi, nieustannie grożąc ulewą. W mleczarni, gdzie siedziałam przed włączonym komputerem, wiatr trząsał szybami w oknach i wciskał się przez szczeliny pod drzwiami.

- Więc kiedy już omówimy dysocjację - myślałam głośno - przejdziemy do... - Z zamyślenia wytrącił mnie kociak, który zaczął ostrzyć sobie pazurki na mojej łydce. - Hej, Katie, mogę cię prosić?

Katie leżała na podłodze wyłożonej linoleum, bawiąc się z kociętami z nowego miotu łownej kotki. Zabawa polegała na tym, że dziewczyna pozwalała im po sobie chodzić. Westchnęła i uniosła się na czworaki, strącając z siebie wszystkie puchate kulki oprócz jednej, która zdołała utrzymać się na jej ramieniu. Sięgnęła ku mnie i odciągnęła drapacza od moich dżinsów.

- No, dobrze - powiedziałam, wracając myślami do tematu. - Zrobimy tak: najpierw przedstawimy ogólny portret psychologiczny kobiety, która zabiła noworodka, a potem omówimy zagadnienie dysocjacji i przejdziemy do wyników twojej sesji z doktor Polacci.

Katie spojrzała na mnie.

- Będę musiała tam siedzieć i słuchać, jak o tym wszystkim mówisz?

- Na rozprawie? Tak. Jesteś oskarżoną.

- To dlaczego sama nie mogę tego powiedzieć?

- Pytasz, czemu nie chcę, żebyś sama złożyła zeznanie? Bo prokurator zjadłby cię żywcem. A jeśli ławnicy usłyszą o tobie od doktor Polacci, łatwiej zdobędziemy ich zrozumienie i zyczliwość.

Katie zamrugnęła oczami.

- A co tu jest do rozumienia? Że ktoś zasnął?

- Po pierwsze, nie możesz stanąć przed nimi i oznajmić, że zasnął, bo to jest sprzeczne z naszą linią obrony. Po drugie, ławnikom trudno będzie uwierzyć w to, co ty opowiesz.

- Ale przecież to jest prawda.

Psychiatra ostrzegęła mnie przed tym; według niej Katie jeszcze przez jakiś czas mogła uparcie się trzymać swojej amnestycznej wersji wydarzeń.

- Ale doktor Polacci zeznawała już nie raz i nie dwa w takich sprawach jak twoja. Dla ciebie byłoby to pierwsze w życiu przesłuchanie przed sądem. Nie czujesz się chociaż odrobinę pewniej ze specjalistką u boku?

Katie położyła sobie na dłoni maleńkiego kociaka, który zwinął się w kulkę.

- He spraw już prowadziłaś, Ellie?
- Setki.
- I zawsze wygrywasz? Zmarszczyłam brwi.
- Nie zawsze - przyznałam szczerze. - Ale przegrywam rzadko.
- I teraz chcesz wygrać, prawda?
- Oczywiście. Dlatego właśnie chcę bronić cię właśnie w taki sposób. A ty powinnaś się na to zgodzić, bo przecież też chcesz wygrać.

Katie wyciągnęła rękę nad podłogą, a jeden z kotków przeskoczył przez nią jak przez przeszkodę. Uniosła wzrok i spojrzała mi prosto w oczy.

- Ale jeśli ty wygrasz - powiedziała - to ja i tak przegram.

Wiatr niósł zapach trocin, a w powietrzu niósł się przesywający skowyt napędzanych hydraulicznie pił; armia amiszów wznosiła ogromny drewniany szkielet czegoś, co miało się stać ścianą stodoły. Łączyli ze sobą poszczególne elementy, jakby to była układanka. Robotników zebrało się bez mała sześćdziesięciu, rozmaitej postury i w różnym wieku, każdy zaś opięty pasem stolarskim z zatkniętymi gwoździami i młotkiem. Dookoła uganiaли się młodzi chłopcy; dziś wcześniej skończyli lekcje i przybiegli na budowę, żeby tylko przy czymś pomóc.

Stałam z rękoma założonymi na piersi na pobliskim pagórku i razem z innymi kobietami przyglądałam się, jak mężczyźni wyczarowują na placu stodołę. Na ziemi leżały już cztery ściany, które składało się najpierw w dwóch wymiarach. Wzdłuż krawędzi przyszłej ściany zachodniej ustawili się teraz szeregiem robotnicy, jeden kilka kroków od drugiego. W nieco większej odległości stanął ten, do którego miała należeć nowa stodoła - Martin Zook. Odliczył w Dietsch i na jego znak wszyscy równo dźwignęli ścianę za jeden koniec i zaczęli iść przed siebie, powoli ją unosząc. Martin posuwał się krok w krok za nimi, podpierając konstrukcję długim drągiem - z drugiej strony to samo robił Aaron. Po chwili pod ścianą się zaroilo: dziesięciu nowych robotników zaczęło mocować ją w pionie, wystukując młotkami huczące staccato. Jeden z nich posuwał się wzdłuż krawędzi betonowego fundamentu i jednym uderzeniem osadzał w równych odstępach gwoździe we wpuszczonej w niego belce. Za nim podążała grupka ochoczych wyrostków, którzy dobijali je aż po same główki; musieli uderzać trzy albo cztery razy, żeby gwoździe wszedł do końca.

Ze słodkim, surowym zapachem nowo budowanej stodoły mieszała

się cięższa, ostrzejsza woń męskiego potu. Robotnicy podnosili po kolei wszystkie ściany, osadzali je w pionie i z małą zręcznością wspinali się na drewniane belkowanie, mocując deski dachowe. Przypomniała mi się brygada remontowa, która przyjechała wymienić dach naszego domu, kiedy miałam szesnaście lat i przechodziłam właśnie okres fascynacji męskim torsem; do wtóru rozkręconych na pełny regulator radiomagnetofonów paradowali sobie po płachtach czarnej papy, zginając jedno kolano, aby utrzymać się prosto na nachylnym dachu, nadzy do pasa, w bandanach na głowie. Mężczyźni, których teraz miałam przed oczami, pracowali na oko dwa razy ciężiej niż tamci robotnicy, których zapamiętałam z przeszłości, a mimo to żaden z nich nie uległ upałowi na tyle, aby zdjąć z siebie jasną koszulę; największym ustępstwem wobec lejącego się z nieba żaru było podwiniecie rękawów.

- Dobry dzień na taką robotę - odezwała się za moimi plecami Sara, mówiąc do kobiety, z którą wspólnie nakrywała długie stoły.

- Nie za gorąco, nie za zimno - zgodziła się jej towarzyszka, żona Martina Zooka; poznałyśmy się, ale jakoś nie zapamiętałam jej imienia. Prześlizgnęła się obok Sary i postawiła na obrusie półmisek z pieczonymi kurczakami, po czym przyłożyła dłoń do ust i krzyknęła głośno: - Komm esse!

Wszystkie młotki opadły niemalże jednocześnie, a mężczyźni jak na komendę sięgnęli do bioder, zdejmując płócienne pasy stolarskie. Chłopczy, mający więcej energii, wyrwali się pierwsi, biegnąc do starej balii wystawionej przed kuchnię i napełnionej wodą. Szczerząc zęby, sfoczyli się dookoła, przekazując sobie z ręki do ręki kostkę mydła Ivory, parszcząc przy tym i wydając inne, mniej przystojne dźwięki. Osuszyli ręce wyłożonymi błękitnymi ręcznikami, po czym porzucili rozrywki przy ablucjach, ustępując miejsca przy balii czerwonym od wysiłku, spływającym potem mężczyznom.

Martin Zook zajął miejsce za stołem, a dwaj jego synowie usiedli po lewej i prawej stronie ojca. Reszta robotników obsiadła stoły dookoła. Martin pochylił głowę - i przez chwilę słychać było tylko poskrzypywanie obciążonych łąw i miarowe oddechy mężczyzn. Następnie gospodarz uniósł oczy ku niebu i sięgnął do półmiska z kurczakiem.

Spodziewałam się gwaru, hałaśliwych rozmów - a przynajmniej dyskusji na temat, jak długo potrwa jeszcze robota, zanim stodoła będzie gotowa. Tymczasem prawie nikt się nie odzywał. Mężczyźni napychali sobie usta jedzeniem, zbyt wygłodniali, aby dbać o towarzyskie konwenanse.

- Zostawcie sobie trochę miejsca - poradziła żona Martina, pochylając się nad stołem i stawiając na obrusie dokładkę kurczaka. - Sara upiekła swoje ciasto z kabaczków.

Kiedy nagle odezwał się Samuel, zwrócił na siebie uwagę wszystkich, tym bardziej że przy stole było zupełnie cicho.

- Katie - powiedział, a ona z zaskoczenia aż podskoczyła - to ty robiłaś tę sałatkę kartoflaną?

- Chyba ją poznajesz - odpowiedziała mu Sara. - Tylko Katie dodaje pomidorów.

Samuel wziął sobie kolejną dokładkę.

- To dobrze, bo taką lubię od dzieciństwa.

Biesiadnicy ani na chwilę nie przerwali pochłaniania zawartości talerzy, jak gdyby żaden z nich nie zauważył wściekłego rumieńca, który nagle zapłonął na twarzy Katie ani też uśmiechu, który powoli zajaśniał na twarzy Samuela; jak gdyby takie publiczne wychwalanie kogoś nie było niczym rzadkim ani nadzwyczajnym. Upłynęło jeszcze kilka minut, po czym mężczyźni wstali i poszli do pracy, zostawiając sprzątanie kobietom. Katie przez długi czas patrzyła w stronę stodoły.

Wszystkie naczynia umyto i oddano kobietom, które przyniosły jedzenie na wspólny posiłek. Gwoździe zebrano do torebek z brązowego papieru, a młotki powędrowały pod ławki w bryczkach. Nowa stodoła żółciła się dumnie, odcinając się ostrym kontrastem na tle nieba fioletowego niczym siniak.

- Ellie?

Odwrociłam się, zaskoczona, że ktoś jeszcze został.

- To ty, Samuelu?

Stał przede mną, obracając w dłoniach kapelusz niczym przyrząd do ćwiczeń gimnastycznych.

- Pomyślałem sobie, że może chciałabyś obejrzeć od środka.

- Stodołę? - Spędziłam przy jej wznoszeniu długie godziny, a nie widziałam ani razu, żeby któraś z kobiet zrobiła choć krok w stronę placu budowy. - Bardzo chętnie.

Szłam z nim ramię w ramię, nie wiedząc, co powiedzieć. Ostatnia prawdziwa rozmowa w cztery oczy, jaką z nim odbyłam, skończyła się łzami - jego łzami, kiedy rozpoczał, że Katie była w ciąży. Koniec końców, postanowiłam postąpić jak amisz: zamiast się odezwać, szłam tylko u jego boku, dotrzymując mu towarzystwa.

Widziana od środka stodoła wydawała się jeszcze większa, niż gdy patrzyło się na nią z zewnątrz. Wysoko w górze krzyżowały się grube belki wycięte z wonnej sośniny, których przeznaczeniem było podtrzymać tę konstrukcję przez dziesiątki lat.

Dwuspadowy dach wznosił się niby sztuczne niebo; kiedy zaś spróbowałam dotknąć słupów, na których opierały się przegrody dla zwierząt, obsypał mnie deszcz trocin.

- Naprawdę niezły wyczyn - powiedziałam. - Postawić całą stodołę w jeden dzień.

- To tylko wygląda na wielki wyczyn, kiedy człowiek nie może liczyć na nikogo oprócz siebie.

To w sumie pokrywało się z moimi poglądami na temat zawodowych relacji z klientem, chociaż musiałam przyznać, że pomoc prawna gorliwego adwokata błędnie w porównaniu z pięćdziesięcioosobowym zastępem znajomych i krewnych gotowych na każde skinienie.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Samuel; widać było, że jest zakłopotany.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Wał śmiało.

Zmarszczył brwi, a kiedy już rozgryzł, co to miało znaczyć, potrząsnął głową.

- Katie... Jak ona sobie z tym radzi? Czy wszystko w porządku?

- Tak. Bardzo miło się wobec niej zachowałeś dziś przy obiedzie. Samuel wzruszył ramionami.

- To nic takiego. - Odwrócił się ode mnie, wkładając kciuk do ust i przgryzając paznokiec. - Myślałem o tym sądzie.

- O rozprawie?

- Ja. O rozprawie. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniej się to różni od innych rzeczy. Martin Zook też nie musiał sam obrabiać tej kupy drewna.

Jeśli to miały być jakieś pokręte amiszowskie refleksje, to ich sedno jakoś umykało mojej percepcji.

- Samuelu, nie do końca cię chyba...

- Chcę pomóc - przerwał mi. - Chcę pracować z Katie w sądzie, żeby nie była sama.

Jego twarz stężała i pociemniała; najwidoczniej dużo nad tym myślał.

- Ordnung nie zabrania budowania stodół - powiedziałam łagodnie - ale nie wiem, jak zareaguje biskup, jeśli z własnej woli weźmiesz udział w rozprawie o morderstwo jako świadek wystawiający poświadczenie moralności.

- Porozmawiam z biskupem Ephraemem - oznajmił Samuel.

- A jeśli się nie zgodzi?

Samuel zacisnął wargi.

- Angielskiego sędziego nie będzie obchodzić, że grozi mi Meidung.

Co racja to racja. Sędzina z sądu okręgowego będzie miała w nosie, że świadka czeka odsunięcie od jego religijnej wspólnoty. Samuel jednakże może być innego zdania. Katie również.

Zerknęłam ponad jego ramieniem, ogarniając wzrokiem mocne ściany, kąty proste, dach chroniący przed deszczem.

- Zobaczymy - odpowiedziałam.

- Co dalej?

Katie ucięła zębami zwisający kawałek nitki i spojrzała na mnie.

- Nic. Skończyłaś.

Szczeka mi opadła ze zdziwienia.

- Żartujesz sobie.

- Nie. - Katie wyrównała dłońmi małą kołderkę zszytą z żółtych, fioletowych i granatowych kawałków z dodanym tu i ówdzie akcentem różu. Kiedy zawitałam u Fisherów, bezwstydnie obnosząc się z tym, że nie umiałabym nawet przyszyć sobie guzika, Sara i Katie potraktowały to jako wyzwanie. Z ich pomocą nauczyłam się fastrygować, spinać szpilkami i szyć. Wieczorami, kiedy domownicy zbierali się razem po kolacji, aby poczytać gazetę, pograć w tryktraka albo w kościaną grę Yahtzee, czy też, tak jak Elam, po prostu podrzemać w fotelu, Katie i ja pochylałyśmy się nad małą ramką, na której była rozpięta moja kołderka i doszywałyśmy kolejne elementy. A teraz dzieło było gotowe.

Sara uniosła wzrok znad cerowania.

- Ellie już skończyła?

Skinęłam głową, rozpromieniona.

- Chcesz zobaczyć?

Nawet Aaron odłożył gazetę.

- Pewnie - zażartował. - To jest największe wydarzenie od czasu, jak Omar Lapp sprzedał swoich osiem hektarów firmie budowlanej z Harrisburga. - Po chwili dodał, już ciszej: - I tak samo mało prawdopodobne. - Ale mimo wszystko uśmiechał się szeroko, patrząc ze wszystkimi, jak Katie pomaga mi zdjąć kołderkę z ramy i z dumną miną kładzie mi ją na piersi.

Wiedziałam dobrze, że gdyby to Katie uszyła kołdrę, nie obnosiłaby się z nią w taki sposób, chociaż byłaby ona bardziej godna pochwały niż moja. Wiedziałam też, że po jej stronie roboty ścięgi są schludne i równiutkie jak dziecięce ząbki, gdy tymczasem moje pełzną zygziem wzdłuż pociągniętych ołówkiem linii, płacząc się jak pijane.

- Całkiem nieźle, Ellie - pochwaliła Sara.

Elam otworzył jedno oko i spojrzął ze swojego fotela na biegunach.

- Nawet pięć tym w zimie nie przykryjesz.

- Specjalnie jest taka mała - odparłam zaczepnie. - Prawda? - zapytałam Katie.

- Ja. To jest taka dziecięca kołderka. Dla twoich dzieci.

Przewróciłam oczami.

- Nie nastawiaj się.

- U nas kobieta w twoim wieku nie urodziła jeszcze połowy dzieci, które ma w planach.

- U was kobieta w moim wieku jest dwadzieścia lat po ślubie - przypominałam jej.

- Katie - wtrąciła Sara ostrzegawczym tonem - daj Ellie spokój.

Złożyłam swoją kołderkę starannie, jak sztandar upuszczony przez poległego żołnierza i przytuliłam ją do piersi.

- Widzisz? - powiedziałam do Katie. - Nawet twoja mama mówi, że mam rację.

Zapadła przeraźliwa cisza. Niemalże natychmiast zrozumiałam, jaką palnęłam gafę. Sara Fisher wcale nie powiedziała, że mam rację - miała czterdzieści trzy lata i oddałaby prawą rękę, żeby tylko móc rodzić dzieci. Niestety, nie mogła już o tym sama decydować.

Odwrociłam się do niej.

- Bardzo cię przepraszam. To było karygodne z mojej strony.

Sara przez chwilę stała jak słup soli, aż w końcu wzruszyła ramionami i wzięła moją kołdrę.

- Mam ci ją wyprasować? - zapytała i wyszła szybko z pokoju, zanim zdążyłam jej powiedzieć, że szczerze mówiąc, wołałabym, żeby sobie usiadła i spróbowała ochłonąć.

Rozejrzałam się, ale Katie, Aaron i Elam siedzieli już cicho tam, gdzie przedtem, skupieni na swoich zajęciach; wszystko wyglądało tak, jakby te moje bezmyślne słowa w ogóle nie padły.

W następnej sekundzie rozległo się pukanie do drzwi. Wstałam, żeby otworzyć, chwytając spojrzenie, które wymienili Aaron i Elam; domyśliłam się, że w ich mniemaniu gość przychodzący o tej porze w dzień powszedni nie może przynosić nic dobrego. Kiedy dotknęłam palcami klamki, drzwi nagle stanęły otworem, pchnięte od zewnątrz. W progu stanął Jacob Fisher. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, było moje zdumione spojrzenie; widziałam, jak na jego ustach igra cierpki, nerwowy uśmiezek.

- Mamo, wróciłem! - zawołał pogodnym tonem, ale taką parodię telenoweli w tym gronie mogłam zrozumieć tylko ja. - Co na kolację?

Sara pierwsza rzuciła się ku niemu, przywołana głosem niewidzianego od lat syna. Była już nie dalej jak metr od niego, biegnąc z dłońmi na ustach i oczami roześmianymi poprzez łzy, kiedy zatrzymał ją jeden prosty gest Aarona, machnięcie ręką, tnące powietrze jak szablą, i jedno krótkie słowo:

- Nie.

Ruszył w stronę syna, a Sara, z szacunku do męża, odsunęła się, stopiła w jedno ze ścianą.

- Nie jesteś już tutaj miłym gościem - oznajmił.

- Dlaczego Dał tak mówi? - zapytał Jacob. - Wyrok biskupa był inny. Czy Dał uważa, że jego decyzje znaczą więcej niż Ordnung? - Postąpił krok dalej za próg. - Stęskniłem się za rodziną.

Sara zachłysnęła się powietrzem.

- Wrócisz do kościoła?

- Nie, Mam, to jest niemożliwe. Ale bardzo chciałbym móc wrócić do domu.

Aaron stał pierś w pierś ze swoim synem, a grdyka drgała mu silnie. Wreszcie, nie mówiąc ani słowa, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Kilka sekund później gdzieś na tyłach domu trzasnęły drzwi.

Elam podszedł, poklepał Jacoba po ramieniu, po czym ruszył powoli za swoim synem. Sara, z twarzą zalaną łzami, wyciągnęła ręce do swojego pierworodnego.

- Nie mogę uwierzyć - powiedziała. - To naprawdę ty?

Patrząc na nią, zrozumiałam, dlaczego matka zagłodzi się na śmierć, odejmując sobie od ust, aby wykarmić swoje dziecko; dlaczego zawsze znajdzie dla niego czas, żeby mogło zwinąć się w kłębek u jej boku; w jaki sposób matka potrafi być łagodna i miękka niczym puchowa poduszka, a zarazem tak niezłomna, że gdy potrzeba, poruszy niebo i ziemię. Patrzyłam, jak palce Sary wędrują po płaszczyznach i nierównościach twarzy Jacoba: gładko wygolonej, starszej, innej.

- Mój chłopiec - szepnęła. - Mój piękny chłopiec.

A ja w tej chwili zobaczyłam w niej osiemnastolatkę, smukłą i silną, wstydliwie wyciągającą do młodego męża ramiona, w których spoczywało to nowo narodzone dziecko, które teraz stało przed naszymi oczami. Sara ścisnęła dłonie syna we własnych, pragnąc zatrzymać go całego dla siebie, chociaż z drugiej strony już biegła Katie, podskakując jak rozradowany szczeniak, domagając się, żeby i ją przytulić. Jacob pochwycił mój wzrok, patrząc ponad głowami matki i siostry.

- Ellie - pozdrowił. - Miło znów cię widzieć.

Podczas naszego poprzedniego spotkania brat Katie natychmiast zgodził się wystąpić na rozprawie i wystawić siostrze świadectwo moralności - lepszego świadka nie mogłabym dla niej zdobyć, bo ani matka, ani ojciec z całą pewnością nie chcieliby nawet słyszeć o zeznawaniu w sądzie. Akurat tego właśnie dnia układałam dla niego pytania na przesłuchanie, ale żeby je przeciwzyć, zamierzałam odwiedzić go w State College - po prostu plan przemycenia go gdzieś bliżej farmy, i to tak, aby nie wzbudzić podejrzeń Aarona, nastęrczał w moim mniemaniu zbyt wielu trudności. Okazało się jednak, że Jacob Fisher postanowił grać według własnych reguł.

Pozwolił zaciągnąć się Sarze do kuchni na filiżankę gorącej czekolady („Ciekawe, czy lubisz ją jeszcze tak jak kiedyś?”) i babeczkę; rano upiekła całą blachę. Mojej uwadze nie umknęło i jestem pewna, że Jacob także tego nie przeoczył, że kiedy zasiadł do jedzenia, jego matka i siostra, jako ochrzczone w kościele amiszów, stały nadal. Chociaż nie posiadały się z radości, że go widzą, to nie mogły się przemóc, aby usiąść przy jednym stole z człowiekiem wykluczonym ze wspólnoty.

- Dlaczego wróciłeś? - zapytała Katie.

- Bo już czas był najwyższy - odpowiedział Jacob. - Przynajmniej dla was. Dawno mnie nie widziałyście.

Sara odwróciła wzrok.

- Twój ojciec szalał z wściekłości, kiedy się dowiedział, że Katie jeździła do ciebie. Do dziś bardzo go boli, że byłyśmy mu nieposłuszne. - Po chwili dodała: - To nie jest tak, że on nie chce cię już więcej widzieć albo że przestał cię kochać. To porządny człowiek, stanowczy wobec innych, ale najbardziej wymagający wobec samego siebie. Kiedy postanowiłeś odejść z kościoła, on wcale nie miał do ciebie pretensji.

Jacob prychnął.

- Jakoś inaczej to zapamiętałem.

- Mówię tak, jak było. Winił tylko siebie za to, że jest twoim ojcem, a nie potrafił wychować cię tak, żebyś chciał zostać wśród nas.

- Moje książki i nauka nie miały przecież nic wspólnego z nim.

- Może dla ciebie - powiedziała Sara - ale nie dla niego. - Poklepała Jacoba po ramieniu, zatrzymując na nim dłoń, jakby za nic nie chciała wypuszczać go z rąk. - Przez te wszystkie lata twój ojciec sam wymierzał sobie karę.

- Wyrzucił mnie z domu. To miała być ta kara?

- Wyrzekł się tego, na czym zależało mu najbardziej na świecie - odpowiedziała Sara cichym głosem. - Własnego syna.

Jacob wstał gwałtownie i spojrzał na Katie.

- Chcesz się przejść?

Przytaknęła gorliwie, uradowana wyróżnieniem. Kiedy byli już u drzwi, Sara zawołała za synem:

- Zostaniesz na noc?

Potrząsnął głową.

- Nie zrobię ci tego - odparł łagodnie - ale będę tutaj wracał, czy to się jemu podoba czy nie.

Czasami, wieczorem, gdy leżałam już w łóżku, które mi przydzielono na czas gościny u Fisherów, zdarzało się, że zaczynałam snuć niewesołe rozważania na temat, czy uda mi się przywyknąć z powrotem do życia w mieście. Jak to będzie - zasypiać do wtóru hurkotliwych autobusów, a nie ukołysana pohukiwaniem sowy? Zamykać oczy w pokoju, gdzie ciemność nigdy nie jest całkowicie ciemna, bo neony i halogeny na ulicy robią swoje? Pracować w jakimś wieżowcu, tak wysoko nad ziemią, że nie ma najmniejszej szansy poczuć zapachu koniczyny i mleczków rosnących pod stopami?

Tej nocy księżyc wstał żółty jak wilcze ślepie i mrugał na mnie, gdy leżąc w łóżku, czekałam na powrót Katie ze spaceru z Jacobem. Miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z nim chociaż przez chwilę na temat jego zeznania, ale przepadł gdzieś razem z siostrą i nie było ich naprawdę długo: Elam zdążył już udać się na spoczynek do swojego grossdawdi haus, a Aaron wrócić od zwierząt, do których zawsze zaglądał ostatni raz przed snem i w milczeniu pomaszerować do sypialni na górze. Nawet Sara obeszła już wszystkie pokoje, gasząc gazowe lampy na noc - a oni nic, przepadli jak kamień w wodę.

Było już dobrze po drugiej w nocy, kiedy Katie wślizgnęła się wreszcie na palcach do pokoju.

- Nie śpię - oznajmiłam głośno. - Możesz hałasować.

Katie zamarła, mnąc w palcach tasiemki fartucha, a potem skinęła głową i rozbierała się dalej. Odwróciwszy się skromnie plecami, zdjęła sukienkę i powiesiła ją na jednym z drewnianych kołków w ścianie, po czym wciągnęła przez głowę koszulę nocną.

- No i jak, miło było mieć brata tylko dla siebie?

- Ja - odmruknęła Katie; w jej głosie nie zabrzmiała choćby odrobinka entuzjazmu, który spodziewałam się usłyszeć. Zaniepokoiło mnie to.

- Wszystko w porządku? - zapytałam, unosząc się na łokciu.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Zmęczona jestem. Trochę pogadaliśmy o mojej rozprawie i to mnie zmorzyło. - Po chwili dodała: - Powiedziałam mu, że chcesz mówić wszystkim, że zwariowałam.

W sumie trafne podsumowanie, chociaż ja użyłabym innej terminologii.

- I co Jacob na to?
- Że jesteś dobrym prawnikiem i wiesz co robisz.
- Inteligentny chłopiec. Co jeszcze mówił?

Katie wzruszyła ramionami.

- Różne rzeczy - powiedziała cicho. - O sobie.

Opadłam z powrotem na poduszkę, zakładając ręce za głowę.

- Coś mi się wydaje, że udało mu się dziś wytrącić waszego ojca z równowagi.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uznałam, że Katie już zasnęła i aż drgnęłam, kiedy jednym susem wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna, szarpnięciem zaciągając rolety.

- Księżyc świeci - mruknęła. - Nie można zmrużyć oka.

Rolety w jej pokoju były ciemnozielone, tak samo jak wszystkie inne rolety w tym domu. Po tym właśnie można było odróżnić domostwa amiszów od zwykłych, angielskich domów: wyróżniał je kolor rolet w oknach oraz brak podciągniętych przewodów elektrycznych.

- Dlaczego rolety są zielone? - zapytałam, pewna, że musi być jakieś wyjaśnienie tego fenomenu, tak jak każdej innej osobliwości życia amiszów.

Katie leżała odwrócona do mnie tyłem. Kiedy się odezwała, jej głos był zgłuszony, ochrypliwy; gdyby nie to moje proste, przyziemne pytanie, pomyślałabym, że płacze.

- Bo tak jest od zawsze - odpowiedziała mi.

Postanowiłam, że muszę trochę bardziej dbać o siebie, bo inaczej prosto od Fisherów trafię na chirurgię naczyniową; skutkiem tego postanowienia poranną kawę ograniczyłam do jednej filiżanki. A jednak, mimo wszystko, w dniu ostatniego rozpatrzenia przedprocesowego, kiedy zesłam do kuchni wystrojona w swój zabójczy czerwony kostium, Sara, nie bacząc na moje postanowienia, postawiła przede mną półmisek wyładowany po same brzegi: jajka na bekonie, naleśniki, tost i miód. A potem jeszcze wepchnęła we mnie repetę. Karmiła mnie tak, jak Samuela i Aarona, mężczyzn, którzy przez cały dzień pracowali w pocie czoła, aby jej życie mogło biec dawnym, odwiecznym torem.

Pomyślałam o trójglicerydach, ale tylko przez jedną krótką chwilę, po czym pochłonęłam wszystko, co mi nałożyła.

Kiedy ja jadłam, Katie stała przy zlewie, zmywając miski i rondle. Miała na sobie sukienkę w kolorze lawendy i swój najlepszy fartuch -

odświętne, niedzielne ubranie - bo postanowiłam zabrać ją ze sobą do sądu. Nie miała brać osobistego udziału w rozpatrzeniu, ale chciałam pokazać sędzinie, że traktuję sprawę poważnie i mam swoją podopieczną pod stałym nadzorem.

Katie odwróciła się od zlewu, trzymając w dłoni umytą miskę. Kiedy stawiała ją na blacie kuchennym, naczynie wyslizgnęło jej się z palców.

- Och! - krzyknęła, wymachując rękami, rozpaczliwie usiłując nie dopuścić, aby miska spadła na podłogę; szło jej to niezgrabnie i wyglądało jak zabawna pantomima, ale szczęśliwym trafem się udało. Katie przygarnęła do siebie złapaną miskę i odwróciła się - zbyt gwałtownie. Straciła łokciem dzban, który roztrzaskał się na podłodze. Sok pomarańczowy i odłamki ceramiki trysnęły dookoła

Katie spojrzała na to pobojuwisko i wybuchnęła płaczem. Sara złajęła ją łagodnie w dialektcie. Po chwili dziewczyna uklękła i zaczęła zbierać największe skorupy rozbitego naczynia. Odłożyłam serwetkę na stół i przykucnęłam obok, żeby jej pomóc.

- Jesteś roztrzęsiona - zauważyłam.

Katie zakotłosała się na piętach.

- Bo tak nagle... To wszystko zrobiło się bardzo prawdziwe.

Rozdzieliła nas Sara, wycierając rozlany sok ścierką do naczyń. Spojrzałam Katie w oczy ponad łukiem jej krzepkich pleców i uśmiechnęłam się.

- Zaufaj mi. Wiem, co robię.

Widok czarującej, pogodnej Katie, siedzącej na ławce u wejścia do gabinetu sędziny Ledbetter, podzielał na George'a Callahana jak płachta na byka. Nie umknęło to mojej uwagi. Prokurator co rusz zerkał ponad ramieniem protokolanta, który stawił się na rozpatrzenie przedprocesowe i wyglądał przez otwarte drzwi gabinetu, za którymi widać było dziewczynę.

- Co twoja klientka tutaj robi? - wyszczał mi w końcu do ucha.

Powoli, z rozmysłem, robiąc z tego wielkie przedstawienie, wykręcałam szyję i przyjrzałam się uważnie Katie.

- Wygląda na to, że się modli - odpowiedziałam.

- Wiesz, o co pytam.

- Ach, dlaczego zabrałam ją ze sobą do sądu? Nie żartuj, George. Komu jak komu, ale tobie chyba tłumaczyć tego nie muszę. Taki był warunek zwolnienia za kaucją.

W tym momencie do gabinetu weszła pospiesznym krokiem sędzina Ledbetter.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała, siadając za biurkiem, otwierając teczkę z dokumentami i przeglądając je. - Czy wolno mi wyrazić zadowolenie z faktu, iż udało się pani ostatecznie zawiadomić nas o

planowanej linii obrony, pani Hathaway? - Odwróciła kartkę. - Czy mają państwo jeszcze jakieś wnioski?

- Złożyłam wniosek o unieważnienie rozprawy, wysoki sędzie - odezwałam się.

- Tak, wiem o tym. Dlaczego?

- Ponieważ mojej klientce odmawia się jej gwarantowanego konstytucją prawa, mianowicie prawa do uczciwego osądzenia przez równych sobie. Chociaż tak właśnie stanowi ustawa zasadnicza, w składzie ławy przysięgłych powołanej do tego procesu nie znalazł się ani jeden amisz. W oczach naszego społeczeństwa, jak również w rozumieniu naszego systemu prawnego, moja klientka nie jest równa z innymi ludźmi. - Zaczerpnęłam głęboko powietrza, widząc, że sędzina mruży lekko oczy. - Mogłabym wnieść o proces z wyłączeniem ławy przysięgłych lub też nawet o zmianę miejsca rozprawy, ale byłoby to bezcelowe, ponieważ żadne z tych rozwiązań nie zapewniłoby mojej klientce uczciwego procesu. Modelowa ława przysięgłych reprezentuje przekrój amerykańskiego społeczeństwa, nie zaś wspólnoty amiszów, wysoki sędzie. Ludzie, którzy mają sędzić moją klientkę, nie rozumieją, czym jest jej wiara, jej wychowanie, jednym słowem jej świat, co stawia ją już na starcie w bardzo niekorzystnej sytuacji.

Sędzina spojrzała na prokuratora okręgowego.

- Panie Callahan?

- Wysoki sędzie, fakt pozostaje faktem: panna Fisher złamała prawo ustanowione przez rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Stanie przed amerykańskim sądem. Nie ma już teraz większego znaczenia, czy oskarżona należy do amiszów, buddystów czy Zulusów. Odważyła się igrać z ogniem i teraz musi ponieść konsekwencje swojego postępowania.

- Proszę o rozsądek! Katie Fisher to nie jest międzynarodowy terrorysta, który podłożył bombę pod World Trade Center. To obywatelka Stanów Zjednoczonych i jako taka ma prawo do tego, aby sąd obiektywnie rozpatrzył jej sprawę.

George odwrócił się, szepcząc pod nosem:

- Obywatele Stanów Zjednoczonych płacą podatki.

- Proszę powtórzyć, protokolant nie dosłyszał - poprosiła sędzina.

Uśmiechnęłam się do niej szeroko.

- Pan prokurator pozwolił sobie wyrazić opinię, niestety mylną, na temat wywiązywania się przez moją klientkę z obowiązków fiskalnych. Otóż amisze płacą podatki, George. Jeżeli pracują na własny rachunek, to nie opłacają składek na opiekę społeczną, ponieważ nie korzystają z rządowych programów opieki medycznej: ani dla osób w starszym wieku, ani

dla osób o niskich dochodach, z żadnego innego. Dlaczego? Bo rodziny amiszów same opiekują się swoimi seniorami. Kiedy zatrudniają się u kogoś, to wtedy oddają ze swojej wypłaty składki na opiekę społeczną, ale nigdy nie wykorzystują choćby centa z odprowadzonych funduszy. Nie płacą podatku za benzynę, ale za to płacą podatki od nieruchomości. Pieniądze w ten sposób zdobyte idą na finansowanie szkół publicznych, do których amisy nawet nie posyłają swoich dzieci. Nie korzystają także z federalnych dotacji na rolnictwo, z zasiłków ani też z kredytów studenckich. - Zwróciłam się wprost do sędziny: - W tym właśnie cały problem, wysoki sędzie. Jeżeli wizerunek amiszów, którym kieruje się sam pan prokurator jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy, jest oparty na mylnych wyobrażeniach, to w modelowym składzie ławy przysięgłych błędy te ulegną dwunastokrotnemu pomnożeniu.

Sędzina przesunęła palcem wskazującym po nosie.

- Muszę przyznać, pani Hathaway, że długo się zastanawiałam nad złożonym przez panią wnioskiem. Wielce mnie niepokoi myśl, że obywatel bądź obywatelka Stanów Zjednoczonych z przyczyny tak prostej jak przynależność do określonej grupy religijnej, nie może liczyć na uczciwy proces. Argumenty przytoczone w złożonym przez panią wniosku są z wszech miar uzasadnione.

- Dziękuję, wysoki sędzie.

- Niemniej jednak tak się nieszczęśliwie składa dla pani i dla pani klientki, że kontrargumenty pana Callahana są równie słuszne. Broni pani osoby, która staje przed sądem oskarżona nie o kradzież paczki gumy do żucia, ale o morderstwo. Unieważnienie rozprawy podobnej rangi byłoby rażącym brakiem odpowiedzialności. I chociaż na ławie przysięgłych z całą pewnością nie zasiądzie ani jeden amisz, to prawda jest taka, pani Hathaway, że w całych Stanach Zjednoczonych nie znajdzie się sąd, który mógłby zagwarantować pani klientce skład ławy przysięgłych wybrany spośród równych jej ludzi. Tymczasem u nas, w Lancaster, warunki będą najbliższe ideałowi: wyrok wyda dwanaścioro ludzi, którzy żyją i pracują w tutejszej społeczności, mając na co dzień do czynienia z amiszami. Dwanaścioro ludzi, wobec których można żywić nadzieję, że są odrobinę bardziej świadomi tego, jacy są ich sąsiedzi amisy niż modelowa ława przysięgłych, reprezentująca przekrój amerykańskiego społeczeństwa. - Spojrzała wprost na mnie. - Odrzucam pani wniosek o unieważnienie rozprawy, pani Hathaway, jakkolwiek jestem wdzięczna za podjęcie tematu skłaniającego do refleksji. - Położyła dłonie płasko na blacie biurka. - Jeśli to już wszystko, chciałabym teraz ustalić datę wyznaczenia składu ławy przysięgłych.

- Trzy i pół tygodnia - powiedziałam, strzepując w powietrzu prześcieradło, które opadło na łóżko Elama stojące pod ścianą jego grossdawdi haus. - Za trzy i pół tygodnia zaczyna się proces.

Sara podłożyła prześcieradło pod materac po drugiej stronie łóżka i odetchnęła z ulgą.

- Nie mogę się doczekać, kiedy już będzie po wszystkim - powiedziała. Spojrzała na Katie zatroskanym wzrokiem. - Bardzo tam było nieprzyjemnie?

- Katie nie była na rozpatrzeniu. Czekwała na ławce przed gabinetem sędziny. Podczas rozprawy będzie siedzieć razem ze mną przy stole dla obrony. Prokurator nie będzie dla niej nieprzyjemny, bo nie dostanie szansy, żeby zamienić z nią choćby jedno słowo. Katie nie będzie zeznawać. Między innymi właśnie dlatego zdecydowałam się na obronę opartą na niepoczytalności.

Katie stała tuż obok i zakładała świeżą powłoczkę na poduszkę. Słyszając to ostatnie zdanie, zawołała, ale tak cicho, że aż dziw brał, że w ogóle ją usłyszałyśmy:

- Możesz tak nie mówić? Mogę cię prosić, żebyś tak nie mówiła? - I z rozdzierającym jękiem odwróciła się na pięcie i wybiegła.

Sara zebrała spódnice i już chciała za nią biec, ale położyłam jej rękę na ramieniu.

- Proszę cię - powiedziałam łagodnie. - Ja to zrobię, pozwól mi.

Z początku w ogóle jej nie zauważyłam; zwinęła się w kłębek na fotelu na biegunach. Zamknęłam drzwi, usiadłam na swoim łóżku i zastosowałam strategię, której nauczył mnie Coop: twarz na kłódkę i czekamy.

- Ja tak nie mogę - powiedziała Katie, nie odrywając czoła od kolan. - Nie mogę tak żyć.

Alarmujący dreszcz przebiegł po wszystkich nerwach w moim ciele. Słyszałam ten tekst dziesiątki razy; zazwyczaj stanowił on wstęp do wstrząsającej spowiedzi. Sprawy zaszły już tak daleko, że nawet gdyby Katie wyznała mi teraz, że zamordowała to dziecko z zimną krwią, to broniłabym jej i tak, w ten sam sposób, czyli dowodząc niepoczytalności - ale wiedziałam również, że walczyłabym w jej sprawie o wiele zacieklej, gdybym tylko miała jakiś dowód na to, że naprawdę nie zdawała sobie wtedy sprawy z tego, co robi.

- Katie - powiedziałam. - Niczego mi nie mów.

To do niej trafiło.

- Tyle miesięcy kładziesz mi do głowy, że tak trzeba, a teraz nie chcesz słuchać?

- Powiedz o tym Coopowi, jeśli musisz. Bo mnie o wiele lepiej pójdzie obrona, jeśli obecna rozmowa się nie odbędzie.

Katie potrząsnęła głową.

- Nie mogę pozwolić, żebyś kłamała w sądzie na mój temat.

- To nie jest kłamstwo, Katie. Nawet jeśli nie wiesz dokładnie, co zaszło. Sama powiedziałaś Coopowi i doktor Polacci, że pewnych rzeczy nie możesz sobie przypomnieć.

Katie skuliła się jeszcze bardziej.

- Przypomniałam sobie.

Poczułam w skroniach łomot pulsu.

- Twoja pamięć jest za każdym razem inna, Katie. Odkąd cię poznałam, przeszłaś co najmniej trzy takie zmiany.

- Ojciec dziecka nazywa się Adam Sinclair. To właściciel mieszkania, które Jacob wynajmuje w State College. Wyjechał. Nie zdążył się dowiedzieć, że... byłam w ciąży. - Mówiła cicho i łagodnie, a jej spojrzenie było jeszcze łagodniejsze niż głos. - Na początku w ogóle nie dopuszczałam do siebie myśli o tym, a potem, kiedy przyjąłam już do wiadomości, co się stało, było za późno. Zaczęłam więc udawać, że wszystko jest po staremu.

Urodziłam dziecko w oborze i zasnęłam. Chciałam je zanieść do domu, do mamy, ale nie mogłam utrzymać się na nogach. Czułam, że muszę przez chwilę odpocząć. A potem pamiętam już tylko ten moment, kiedy się obudziłam. - Spojrzała na mnie, mrugając oczami. - Dziecko zniknęło.

- Dlaczego nie próbowałaś go szukać?

- Okropnie się wystraszyłam. Bardziej niż tego, że rodzice się dowiedzą. Wiesz dlaczego? Bo przez cały czas powtarzałam sobie, że to była wola boża. I chyba wiedziałam, co znajdę, jeśli poszukam. Nie chciałam tego znaleźć.

Zmierzyłam ją twardym wzrokiem.

- I tak mogłaś zabić to dziecko, Katie. Mogłaś lunatykować. Mogłaś je udusić, nie wiedząc nawet, co robisz.

- Nie. - Na pokryte czerwonymi plamami policzki Katie znów polały się łzy. - Nie mogłabym tego zrobić. Kiedy tylko go zobaczyłam, tego malutkiego chłopczyka, zapragnęłam mieć go przy sobie. Bardzo chciałam, żeby był ze mną. - Jej głos był już tylko szeptem. - On był największym cudem w całym moim życiu i zarazem najgorszą pomyłką.

- Czy kiedy zasypiałaś, żył jeszcze?

Skinęła głową.

- W takim razie kto go zabił? - Wstałam, zdenerwowana i zła.

Wyznania w ostatniej chwili nie służą błyskotliwej obronie. - Była

druga w nocy. Rodziłaś dwa miesiące przed terminem i do tego nikt nie wiedział, że jesteś w ciąży. Kto, do jasnej cholery, mógł wejść do tej obory i zabić ci dziecko?

- Nie wiem - załkała Katie. - Nie wiem, ale ja tego nie zrobiłam, więc ty nie możesz iść na rozprawę i powiedzieć wszystkim, że to ja. - Uniosła na mnie oczy. - Nie widzisz, co się stało, kiedy zaczęłam kłamać? Cały mój świat legł w gruzach, Ellie. Umarło dziecko. Wszystko się popsuło. - Zaciśnęła dłonie w pięści i ukryła je w fałdach fartucha. - Chcę naprawić swoje winy.

Nogi się pode mną ugięły, kiedy to usłyszałam.

- To nie będzie spowiedź przed garstką duchownych, Katie. W kościele amiszów coś takiego być może jest do przebaczenia, ale sąd daje za to od piętnastu lat dożywocia.

- Nie rozumiem...

- Wiem, że nie rozumiesz. Dlatego właśnie wynajęłaś mnie, adwokata. Mam cię wprowadzić w mechanizm wymiaru sprawiedliwości i bezpiecznie z niego wyprowadzić. Na uniewinnienie możesz liczyć tylko wtedy, jeżeli ja wymyślę skuteczną linię obrony. A w naszej sytuacji najlepsza jest niepoczytalność. Jeśli staniesz przed ławą przysięgłych i powiesz, że zasnęłaś, a kiedy się obudziłaś, noworodka już nie było, a w ogóle to się świetnie złożyło, bo umarł i po kłopotcie - to nie ma na świecie ławnika, który by kupił od ciebie takie zeznania.

Katie zaciśnęła zęby.

- Ale taka jest prawda.

- Tylko w świecie idealnym prawda mogłaby ci pomóc w procesie o zabójstwo pierwszego stopnia. A sądowi bardzo daleko do ideału. Za progiem sali rozpraw to, co naprawdę zaszło, przestanie się liczyć. Wygra ten, kto sprzeda ławnikom najlepszą historyjkę.

- Nie obchodzi mnie, czy to jest świat idealny, czy nie idealny - oznajmiła Katie. - Tak czy inaczej, to nie jest mój świat.

- Zgłoś się na świadka i powiedz prawdę, a twój świat przeniesie się do więzienia stanowego.

- Jeśli taka będzie wola boża, to się zgadzam.

Uderzyłam ją wzrokiem, rozwścieczona do ostateczności.

- Chcesz zgrywać męczennicę? Proszę bardzo. Ale mnie tam nie będzie. Nie zamierzam się przyglądać, jak popełniasz prawne samobójstwo.

Przez chwilę Katie milczała, a potem spojrzała na mnie czystym, szczerym wzrokiem.

- Musisz tam być, Ellie. Bo ja cię potrzebuję. - Wstała z fotela i usiadła obok mnie na łóżku, tak blisko, że poczułam żar jej ciała. - Na tej angielskiej sali rozpraw będę zupełnie obca. Będę się wyróżniać tym,

jak się ubieram i tym, jak myślę - bo nie jestem Angielką. Nie znam się na morderstwach, świadkach i ławnikach, ale wiem, jak naprawić to, co człowiek popsuł w życiu. Jeśli popełni się błąd, a potem okaże skruchę, można liczyć na przebaczenie. Można wrócić. Ale jeśli zaczniesz kłamać, kiedy kłamstwo zacznie gonić kłamstwo, to dla ciebie już nie będzie miejsca.

- Twoja wspólnota przymknęła oko, kiedy trzeba było wynająć adwokata, czyli mnie - przypominałam jej. - Zrozumieją też i to, dlaczego musiałas zrobić tak, a nie inaczej.

- Oni może tak, ale ja nie. - Złożyła dłonie razem, jak do modlitwy. - Może te kłamstwa dadzą mi wolność i nie będę musiała iść do angielskiego więzienia. Ale powiedz mi, Ellie, gdzie ja się wtedy podziękuję? Bo jeśli tam skłamię we własnej obronie, to nie będzie dla mnie powrotu tutaj.

Zamknęłam oczy, przypominając sobie to nabożeństwo, kiedy Katie uklękła, aby wyznać swój grzech. Przypominałam sobie twarze ludzi zebranych w tym ciasnym, dusznym pokoju, ludzi, którzy jeden po drugim wygłaszali swoją opinię. W ich głosach nie było chęci zemsty, nie było złośliwości; brzmiała w nich ulga, jak gdyby pokora Katie dodała im odrobinę siły. Przypominałam sobie jedno popołudnie, kiedy wszyscy pracowaliśmy na polu, zbierając zżęte zboże - i wróciło do mnie to poczucie bycia częścią czegoś większego niż ja sama w sobie. Przypominałam sobie twarz Sary w momencie, kiedy po raz pierwszy od lat zobaczyła swojego syna.

Jaką wartość ma osobiste zwycięstwo dla kogoś, kto przez całe życie wyrzekał się siebie dla większego dobra tych wszystkich, wśród których żyje?

Poczułam, jak do mojej dłoni wślizguje się drobna, stwardniała dłoń Katie.

- Dobrze - westchnęłam. - Zobaczymy, co się da zrobić.

II

Niech nie wie lewa twoja ręka,
co czyni prawa.

Ewangelia wg św. Mateusza, 6,3

Rozdział jedenasty

Sędzina Philomena Ledbetter przyjrzała się uważnie adwokatce, która od chwili wejścia do jej gabinetu już po raz trzeci upuściła pióro. Jak na gwiazdę wielkowiejskiej palestry, Ellie Hathaway robiła wrażenie wystraszonej niczym nowicjuszka brnąca z wysiłkiem przez swoją pierwszą rozprawę - co było o tyle dziwniejsze, że nie dalej jak wczoraj emanowała aurą kompetencji oraz pewności siebie.

- Pani mecenas - odezwała się sędzina - zebrała nas pani tutaj celem omówienia jakiejś sprawy?

- Tak, wysoki sędzie. Zaszła potrzeba odbycia jeszcze jednej dyskusji, zanim rozpocznie się rozprawa, wyszły bowiem na jaw pewne... okoliczności.

George Callahan, siedzący po jej prawej stronie, parsknął.

- W ciągu ostatnich dziesięciu godzin?

Sędzina Ledbetter puściła jego uwagę mimo uszu. Sama też nie była zbyt szczęśliwa, że wezwano ją w tak krótkim terminie, zmuszając do wywrócenia do góry nogami harmonogramu zajęć.

- Zechce nas pani wtajemniczyć w szczegóły, pani Hathaway?

Ellie przełknęła ślinę.

- Po pierwsze, chcę zaznaczyć, że zwykle nie robię takich rzeczy, ale nie dano mi wyboru. Ze względu na tajemnicę zawodową nie mogę zdradzić wszystkiego, ale moja klientka uważa... to znaczy, ja uważam, że... - Urwała, odchrząknęła. - Muszę wycofać się z linii obrony opartej na założeniu „winna, lecz chora umysłowo”.

- Co proszę? - zapytał George. Ellie wyprostowała się.

- Zmieniamy oświadczenie. Nie przyznajemy się do winy.

Sędzina Ledbetter zmarszczyła brwi.

- Z pewnością wie pani, że w tym momencie...

- Wiem wszystko, proszę mi wierzyć. Nie mam wyboru, wysoki sędzie. Aby nie sprzeniewierzyć się etyce zawodowej wobec sądu ani też

wobec mojej klientki, muszę tak właśnie postąpić. Chcę tylko, aby wszyscy wiedzieli o tym z maksymalnym wyprzedzeniem, dlatego poprosiłam o spotkanie natychmiast, kiedy tylko dowiedziałam się o tej konieczności.

Jak było do przewidzenia, George uniósł się gniewem.

- Nie można robić takich numerów trzy i pół tygodnia przed rozprawą!

- Dla ciebie to przecież bez różnicy - warknęła rozdrażniona Ellie. - I tak chciałeś dowodzić, że Katie nie była niepoczytalna. Więc ja teraz przyznaję ci rację. George, nie widzisz, że w niczym nie zaszkodzę twojemu oskarżeniu? Przeciwnie: właśnie rozwaliliśmy sobie całą obronę. - Odetchnęła głęboko i zwróciła się do sędziny: - Chciałabym poprosić o dodatkowy czas na przygotowanie, wysoki sędzie.

Philomena Ledbetter uniosła brwi.

- Każdy by chciał, pani Hathaway - rzuciła oschłym tonem. - Przykro mi, sprawa wchodzi na wokandę za trzy i pół tygodnia. Sama pani zaakceptowała tę datę.

Ellie skinęła krótko głową, zebrała swoje rzeczy i wypadła z gabinetu. Prokurator i sędzina patrzyli za nią, próbując zgadnąć, coż takiego mogło nagle wyjść na jaw.

Ellie zostawiła za sobą gabinet sędziowski, przemierzyła szybkim krokiem korytarze, pchnęła główne drzwi i prawie wybiegła na schody wiodące do gmachu sądu okręgowego, gdzie stanęła jak wryta, omiatając wzrokiem zachmurzone niebo, podparte odartymi z liści koronami ponurych drzew. Nie wiedziała, co robić dalej. Była myślami w stu miejscach naraz - i cieszyła się z tego jak cholera, bo przecież został jej niecały miesiąc na przygotowanie obrony całkowicie sprzecznej z tym, do czego się szykowała.

Postawiła na trotuarze neseser, który przewrócił się i oparł o jej kostkę. Powoli zginając kolana, usiadła na stopniu schodów i, wiedząc, że trwoni czas, którego nie miała nawet o minutę za dużo, zaczęła łamać sobie głowę, w jaki sposób można wygrać, kiedy ma się tak wielki poślizg.

Wytropienie Jacoba, który miał nocować w Lancaster, ale nie u rodziców, zajęło Ellie pół godziny. Na pukanie do drzwi odpowiedziała Leda. Otworzyła, uśmiechając się szeroko, ale Ellie minęła ją bez słowa, wbijając wzrok w młodego Fishera stojącego przed otwartą lodówką, trąbiącego wielkimi łykami mleko prosto z kartonu.

- Ty gnojku! - wycedziła rwącym się głosem.

Jacob drgnął, oblewając się mlekiem.

- O co chodzi? - zdziwił się, wycierając rękawem przód flanelowej koszuli.

- Miałeś mi pomagać, do jasnej cholery. Miałeś mi powiedzieć wszystko, co może mi pomóc w obronie twojej siostry.

- I powiedziałem!

- A nazwisko Adam Sinclair już się nie mieści w tej kategorii istotnych szczegółów?

Leda stanęła pomiędzy nimi, chcąc bronić siostrzeńca przed kolejnym atakiem, ale mimo to Ellie zdążyła zauważyć, że jego spojrzenie pociemniało, jak u człowieka na czymś przyłapanego. Jacob uspokoił ciotkę i odwrócił się z powrotem do Ellie.

- O co chodzi z Adamem?

- Był twoim współlokatorem?

- Wynajmował mi mieszkanie.

Ellie skrzyżowała ramiona na piersi.

- I został ojcem dziecka Katie.

Leda zachłysnęła się powietrzem. Jacob nie zwrócił na to uwagi.

- Nie miałem pewności, Ellie. To były tylko moje podejrzenia.

- Podejrzenia też mogły być pomocne, gdybym tylko wiedziała o nich na przykład trzy miesiące temu. Boże! Czy mam jakąś szansę, żeby jeszcze przed rozprawą usłyszeć od kogoś wszystko, co wie?

- Myślałam, że chcesz powołać się na brak poczytalności - powiedziała Leda.

- Pogadaj o tym ze swoją siostrzenicą - rzuciła Ellie, a potem znów zaczęła Jacoba: - Dla mnie to wyglądało tak, że zniknąłeś wczoraj z siostrą na dwie godziny w środku nocy, a ona po powrocie do domu oświadczyła, że nie pozwala mi bronić się w ten sposób. Czegoś ty jej nagadał, do diabła?

Jacob zacisnął powieki.

- W ogóle nie mówiliśmy o niej - jęknął. - Mówiliśmy o mnie.

Ellie poczuła wyraźnie, że za chwilę rozboli ją głowa.

- Mów dalej.

- Powiedziałem Katie, że wróciłem teraz do domu z tego samego powodu, co wtedy się wyprowadziłem. Po prostu nie potrafiłem dłużej żyć w kłamstwie. Nie mogłem patrzeć, jak ludzie dookoła udają, że widzą we mnie kogoś, kim nie jestem. Sześć lat temu pragnąłem tylko się uczyć i czytać książki, ale na zewnątrz robiłem, co mogłem, żeby wszyscy myśleli, że odpowiada mi proste życie amisa. A teraz jestem profesorem nadzwyczajnym, wykładam na anglistyce, ale serce wyrywa mi się do rodziny. - Spojrzała na Ellie zboląłym wzrokiem. - Kiedy Hannah utonąła w stawie, powiedziałem sobie, że to moja wina. To ja miałem wtedy pilnować jej i Katie, ale zamiast iść z nimi na łyżwy, schowałem się w stajni z książką. A teraz, tak jak wczoraj powiedziałem Katie, znów muszę patrzeć, jak moja siostra idzie na dno - ale tym razem to nie Hannah

tylko ona, a ja, tak samo jak wtedy, chowam się przed świadomością tego, co zaszło podczas jej wizyty u mnie.

- Czyli wiedziałeś, że zaszła w ciążę, kiedy...

- Nie, nie wiedziałem. Zacząłem podejrzewać po rozmowie z tobą i z tą policjantką z dochodzeniówki, która pracuje dla prokuratora. - Jacob potrząsnął głową. - Nie chciałem, żeby Katie zrozumiała mnie do słownie. Powiedziałem tak, żeby pokazać jej swój punkt widzenia.

- No i pokazałeś - rzuciła Ellie chłodnym tonem. - Katie postanowiła, że będzie naśladować swojego uczciwego brata. Chce wystąpić jako świadek i stanąć przed ławnikami jak przed swoim zgromadzeniem.

- Przecież jej mówiłem, że niepoczytalność to bardzo dobra obrona!

- Cóż, widocznie ta część waszej rozmowy nie pozostawiła aż tak trwałego śladu w jej pamięci. - Ellie przeciągnęła się, wysuwając ręce przed siebie. - Muszę znaleźć tego Adama Sinclaira.

- Nie mam z nim kontaktu. Nawet czynsz wysyłam do agencji zarządu nieruchomościami. Sinclair wyjechał z kraju w październiku - odparł Jacob. - I nie kontaktował się z Katie, więc nie mogłem wiedzieć, że była w ciąży.

- Skoro nie utrzymujecie kontaktu, to skąd wiesz, że nie wrócił? I że Katie nie pisała do niego ani razu przez tyle czasu?

Jacob wstał bez słowa i poszedł po schodach na piętro. Wrócił po minucie, trzymając w dłoni plik listów opasanych gumką.

- Przychodzą na mój adres co dwa tygodnie, jak w zegarku - wyjaśnił. - Do Katie. Miałem przekazywać. Adres zwrotny na wszystkich jest taki sam. Stempel - szkocki. A że Katie do niego nie pisała, wiem stąd, że nie przekazałem jej ani jednego z tych listów.

Ellie z jeżyła się, rozdarta pomiędzy zawodową ciekawością a poczuciem lojalności wobec Katie, której wyrządzono osobistą zniewagę.

- Wiesz, że to jest wykroczenie federalne? - zapytała.

- Świetnie. Wynajmę cię do obrony, jak skończysz sprawę Katie. - Jacob zanurzył palce we włosach i usiadł z powrotem na krześle. - To nie miał być wygłup. Wprost przeciwnie: czułem się jak bohater. Chciałem bronić Katie, żeby nie musiała przechodzić przez to samo co ja, kiedy zacząłem żyć jak Anglik. Bo to oznaczało, że musiałaby zostawić rodziców i próbować się odnaleźć w innym świecie, który jest tak wielki i obcy, że czasami nawet w nocy nie można w nim zmrużyć oka. Nie wiedziałem, że Katie jest w ciąży, ale nawet ja nie mogłem nie zauważyć, że Adam jej się spodobał, bo skakała przy nim jak mały piesek. Gdyby podsycać takie uczucie, to musiałoby się skończyć tak, że Katie stanęłaby

przed wyborem: jeden świat albo drugi. Pomyślałem sobie, że jeśli po jego wyjeździe kontakt od razu się urwie, to ona o nim zapomni i wszystko się ułoży.

- Czy twoja siostra wie, że masz te listy?

Potrząsnął głową.

- Chciałem powiedzieć jej wczoraj, ale i tak już była okropnie stru-
ta, rozprawa zbliża się wielkimi krokami... Nie chciałem dodawać jej
zmartwień. - Skrzywił się, zaciskając palce na krawędzi stołu. - Chyba
jednak powinienem zrobić to dzisiaj.

Ellie spojrzała na nazwisko siostry Jacoba, wypisywane na listach
wyraźnymi, drukowanymi literami. Na cienką, błękitną kopertę poczty
lotniczej, pozaginaną, opieczętowaną, zaklejoną.

- Niekoniecznie - powiedziała.

Z formalnego punktu widzenia, wybierając się do Filadelfii, Ellie
powinna była zabrać Katie ze sobą, ale jako że cała sprawa zdążyła się i
tak dostatecznie pochrzanić z jej własnej winy, nie bała się co nieco na-
gąć warunków zwolnienia za kaucją; większych kłopotów nie mogła już
sobie narobić. Dlaczego jednak wsiadła do samochodu i wypuściła się do
miasta - na to pytanie nie potrafiła sobie odpowiedzieć, dopóki nie stanę-
ła na parkingu pod centrum medycznym, gdzie Coop miał swój gabinet.

Znała ten adres, ale nigdy jeszcze tutaj nie była. Weszła do hallu,
stała przed listą lekarzy pracujących w budynku i znalazłszy mosiężną
tabliczkę w wybitym nazwiskiem „Cooper”, dotknęła jej palcem. Za
drzwiami jego gabinetu przywitała ją śliczna młoda sekretarka, pytając
uprzejmie, w czym może pomóc; targnęła nią zazdrość, zapierając dech
w piersiach.

- Doktor ma pacjenta - poinformowała ją dziewczyna. - Zechce
pani poczekać?

- Tak, dziękuję. - Ellie usiadła i zaczęła kartkować jakiś magazyn
sprzed pół roku, ale nie widziała w nim niczego, ani jednej strony.

Kilka minut później odezwał się brzęczyk interkomu na biurku se-
kretarki. Ellie usłyszała krótką, stłumioną rozmowę, a po chwili w
drzwiach swojej świątyni pracy stanął Coop.

- Cześć - omiół Ellie spojrzeniem od stóp do głów. - Podobno
zgłosiłaś się do lekarza z nagłym przypadkiem.

- Zgadza się - odpowiedziała; od czasu, jak Katie wyróciła jej
życie do góry nogami, nie czuła się lepiej. Weszła do gabinetu, a on za-
mknął drzwi i wziął ją w ramiona.

- Jestem psychiatrą, wiesz o tym. Leczę tylko umysł.

- Lecz wszystko, jak leci - poleciła. - Trzeba się szanować.
- Pocałował ją, a ona przytuliła twarz do jego piersi, ocierając policzkiem o szorstką, wyprasowaną koszulę. Coop opadł na jeden z miękkich foteli, sadzając sobie Ellie na kolanach.
- A co by na to powiedział doktor Freud? - mruknęła cicho.
- Poruszył się, przesuwając po spodzie jej ud twardą wypukłością, która wyrosła mu w spodniach.
- Że każde cygaro ma dwa końce. - Jęknął gardłowo i wstał, sadzając Ellie na stojącym obok krześle. Sam zaczął chodzić po gabinecie. - Następnego pacjenta mam za dziesięć minut i wolałbym nie kusić losu - wyjaśnił, wpychając ręce do kieszeni. - Czemu zawdzięczam tę wizytę?
- Liczyłam na jakąś promocję - przyznała się szczerze.
- Z przyjemnością służę po godzinach...
- Chodzi o poradę medyczną, Coop. Mam w głowie totalny mętlik.
- Schowała twarz w dłoniach. - Wycofałam ustaloną linię obrony. Nie będę powoływać się na brak poczucia winy Katie.
- Dlaczego?
- Bo to się kłóci z jej kodeksem moralnym - odparła sarkastycznym tonem. - Ale mnie szczęście kopnęło: będę bronić pierwszej w historii sądownictwa domniemanej morderczyni, która może się pochwalić kryształową postawą etyczną. - Wstała z krzesła, podeszła do okna. - Katie powiedziała mi, kim był ojciec dziecka. To znajomy Jacoba, wykładowca z uczelni. Nie wiedział o jej ciąży. Katie postawiła na szczerść, uczciwie wyznała przede mną całą prawdę, a potem powiedziała, że nie wolno mi wmawiać przysięgłym, że zabiła dziecko w stanie dysocjacji, kiedy ona może przysiąc, że to nieprawda.
- Coop gwizdnął cicho.
- Nie dałaś rady jej przekonać...
- Nie mogłam w ogóle niczego powiedzieć. Moja klientka nie ma pojęcia, jak działają sądy. Wierzy całym sercem, że jeżeli szczerze wyzna to, co wie, dostąpi darowania win. I w sumie czemu się dziwić? W jej kościele właśnie tak jest.
- Założmy zatem, że to prawda, że nie zabiła tego dziecka - zaproponował Coop.
- Ale prawdą jest również to, że dziecko urodziło się żywe, a nie wiadomo jakim sposobem znaleziono je martwe i celowo ukryte. Nie sposób tego pominąć.
- No dobrze. Co ci w takim razie pozostaje?
- Ellie westchnęła.
- Zabił je ktoś inny. Ale, jak doszliśmy do wniosku już wcześniej, obrona oparta na takim argumentie graniczy z niemożliwością.

- Druga możliwość jest taka, że dziecko umarło samo.
- A od razu po porodzie wyszło z zagrody, poraczkowało do komórki i ukryło pod stosem końskich derek?

Coop uśmiechnął się blade.

- Mogło być tak, że Katie naprawdę chciała zatrzymać przy sobie to dziecko, ale po przebudzeniu znalazła je martwe. Może to właśnie wtedy straciła kontakt z rzeczywistością. Może kiedy ukrywała zwłoki, trwał stan dysocjacji i dlatego teraz nie może sobie tego przypomnieć.

- Zatajenie śmierci to też jest przestępstwo, Coop.
- Ale daleko mniejszego kalibru - przypomniawszy jej. - Świadome zaprzeczanie śmierci osoby kochanej jest nacechowane głębokim tragiczmem, o którym nie może być mowy w wypadku, kiedy ktoś sam spowodował tę śmierć. - Wzruszył ramionami. - Nie jestem prawnikiem, ale dla mnie wygląda to tak, że masz jedno wyjście: dziecko umarło samo i to właśnie jest wspomnienie, które umysł Katie próbował zataić. Musisz teraz postarać się o jakiegoś specjalistę, który zamiesza w protokole z autopsji, dobrze myślę? Bo przecież w końcu Katie urodziła wcześniaka, a bez inkubatora i intensywnej opieki medycznej żaden wcześniak nie ma szans.

Ellie zaczęła analizować tę linię obrony, ale wciąż powracała myślami do jednego szczegółu, jakby to była ostra, uparta drzazga, o którą nie można się nie zaczepić. Od momentu spisania protokołu z autopsji przyjęto, że Katie urodziła w trzydziestym drugim tygodniu ciąży i nikt - włączając samą Ellie - nie próbował podważyć tego faktu.

- Jak to się stało? - zapytała teraz na głos.
- Co takiego?
- Jak to się stało, że Katie, zdrowa osiemnastolatka w lepszej kondycji fizycznej niż większość dziewczyn w jej wieku, urodziła przedwcześnie?

Doktor Owen Zeigler podniósł wzrok na Ellie Hathaway, po raz dziesiąty gubiąc wątek, zdekoncentrowany niesamowicie głośnym trzaskiem chrupanej skórki z porcji wieprzowiny.

- Gdybyś wiedziała, co takie żarcie robi z twoim ciałem, nie wzięłabyś go do ust - oznajmił.

- A gdybyś ty wiedział, kiedy ostatni raz miałam coś takiego w ustach, to nie zawracałbyś mi głowy - odparowała Ellie. Owen zgarbił się z powrotem nad protokołem z autopsji. - No i co? - zapytała.

- No właśnie. To, że dziecko było wcześniakiem, samo w sobie nie ulega kwestii. Niedonoszone ciążę to w sumie żadna rzadkość, a położnicy

rzadko kiedy potrafią dojść przyczyny przedwczesnego porodu. Ale w wypadku twojej klientki daje się jednak stwierdzić, że najprawdopodobniej było to zapalenie błon płodowych. - Ellie popatrzyła na niego jak cieleń na malowane wrota. - To jest diagnoza patologiczna, nie bakteriologiczna. W skrócie: wyniki wyraźnie wskazują na to, że doszło do ostrego zapalenia owodni i kosmówki.

- A co spowodowało zapalenie błon płodowych? Co stwierdził lekarz sądowy?

- Niczego nie stwierdził. Dał tylko do zrozumienia, że tkanki płodu i łożysko były zakażone, więc nie próbowano dociekać przyczyny.

- Co zwykle wywołuje zapalenie błon płodowych?

- Stosunek płciowy - odparł Owen. - Zakażenie powodują najczęściej bakterie żyjące w pochwie. Jedno z drugim... - Wzruszył ramionami.

- A gdyby stosunek nie wchodził w grę?

- Wtedy czynnik zakaźny musiałby znaleźć inną drogę - przez krwiobieg matki na przykład. Mogła się też wdać infekcja dróg moczowych. Ale czy są na to dowody? - Owen stuknął palcem w otwarty protokół. - Jedna rzecz nie daje mi spokoju - przyznał się. - Pominięto zupełnie wyniki badania wątroby. Wykryto martwicę, czyli obumarcie komórek, ale nie ma dowodów na reakcję zapalną.

- Możesz przetłumaczyć z patologicznego na ludzki?

- Lekarz sądowy uznał, że martwica wątroby nastąpiła wskutek asfiksji, czyli niedotlenienia, które przyjął także jako przyczynę śmierci. Ale to się nie zgadza, nie przy takich uszkodzeniach. Czasami martwicę krwotoczną powoduje anoksja, ale sama, czysta martwica to rzadkość.

- Więc kiedy właściwie można się z nią spotkać?

- Kiedy płód ma wrodzone wady serca, których u tego noworodka nie stwierdzono. No i przy infekcji. Martwica potrafi wyprzedzić o kilka godzin odpowiedź immunologiczną organizmu na zakażenie, a patolog wykryje właśnie tę odpowiedź. Możliwe jednak, że dziecko umarło, zanim jeszcze to nastąpiło. Załatwię sobie próbki tkanek od lekarza sądowego i zrobię barwienie metodą Grama. Zobaczymy, co nam z tego wyjdzie.

Ellie zamarła z ręką podniesioną do ust, zapominając o swojej winie.

- Chcesz powiedzieć, że to dziecko zabiła nie asfiksja, tylko ta twoja tajemnicza infekcja?

- Owszem - odparł patolog. - Dam znać, kiedy będę coś miał.

Tej nocy miały nadejść przymrozki. Sara usłyszała o tym od Racheli Yoder, która z kolei dowiedziała się od Almy Beiler. Alma cierpiała na

reumatyzm; co roku kolana puchły jej jak melony, kiedy tylko zanosiło się na spadek temperatury. Sara wysłała Katie i Ellie do ogrodu, żeby zebrały ostatnie warzywa - pomidory, kabaczki i marchewki grube niczym pięść. Katie składała je do fartucha, Ellie do koszyka, który zabrała ze sobą z domu. Pochylona, zaglądała pod szerokie liście cukinii, szukając zabłąkanych darów natury, którym udało się przetrwać tak długo, i to w same żniwa.

- Kiedy byłam mała - zamyśliła się - myślałam, że dzieci rodzą się na grządkach, o, takich jak ta.

Katie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- A ja myślałam, że dzieci rodzą się od klucia igłą.

- Jak przy szczepionce?

- Mhm. Tak robi się krowom, żeby miały młode, widziałam, jak to wygląda.

Ellie też kiedyś widziała, jak inseminuje się krowy; był to najbezpieczniejszy sposób na wyhodowanie mlecznego stada. Katie zaśmiała się w głos.

- Pamiętam, jaki potem odstawiłam cyrk, kiedy Mam zabrała mnie na szczepienie przeciwko odrze.

Ellie parsknęła, piłując nożem łądygę, na której zwisał kabaczek.

- Kiedy dowiedziałam się, jak to jest naprawdę z tymi dziećmi - nie uwierzyłam. Z logistycznego punktu widzenia tak pomyślany mechanizm nie mógł w żaden sposób spełniać swojej funkcji.

- Teraz już nie myślę o tym, skąd się biorą dzieci - szepnęła Katie - tylko dokąd idą po śmierci.

Nie wstając z kolan, Ellie odwróciła głowę, ostrożnie odłożyła nóż na ziemię.

- Znowu chcesz mi się do czegoś przyznać?

Katie uśmiechnęła się smutno, potrząsając głową.

- Nie. Możesz się nie bać o swoją obronę.

- O jaką obronę? - mruknęła Ellie, a pochwyciwszy przerażone spojrzenie Katie, szybko dodała, chcąc zatrzeć złe wrażenie: - Przepraszam. Po prostu teraz sama już nie wiem, co mam z tobą zrobić. - Usiadła ciężko na grządce fasoli, pomiędzy łądygami obranymi do czysta już dawno temu. - Gdybym tylko nie przyszła wtedy do sądu, gdybym pozwoliła ci bronić się samej, we własny sposób, to uznano by cię za niekompetentną i niezdolną do stawania przed sądem. I najprawdopodobniej ułaskawiono, odsyłając na leczenie psychiatryczne.

- Nie jestem niezdolna do stawania przed sądem. Wiesz o tym dobrze - sprzeciwiła się Katie upartym głosem.

- Wiem, wiem. Nie jesteś też niepoczytalna. Już o tym kiedyś mówiliśmy.

- I wiesz też, że cię nie mamie.
- Nieamisz? - przesłyszała się Ellie. - Kto nieamisz? Ty? Pokażesz się ławnikom w takich ciuchach i będziesz im wciskać, że nie jesteś z amiszów?

- Powiedziałam, że nie kłamię. Ale to też prawda, że jestem amiszką.

Ellie szarpnęła marchewkę za kędzierzawą czuprynę.

- Jasne. To przecież synonimy. - Pociągnęła jeszcze raz, wrywając pomarańczowy korzeń z ziemi. I nagle dotarło do niej, co przed chwilą powiedziała. - Boże, Katie! - zawołała. - Ty jesteś amiszem.

Katie spojrzała na nią, mrugając oczami.

- Dopiero teraz to zauważyłaś? Po tylu miesiącach? To ja już nie wiem...

- To jest moja obrona! - rozpromieniła się Ellie. - Czy młodzi amiszki idą na wojnę?

- Nie. Z przyczyn moralnych są przeciwni wojnie.

- Dlaczego?

- Bo amiszki nie uznają przemocy - wyjaśniła Katie.

- Otóż to. Amiszki żyją według dosłownie odczytanej nauki Chrystusa. Wierzą, że trzeba, tak jak Jezus, nadstawiać drugi policzek, i to nie tylko w niedzielę, ale codziennie, w każdym momencie.

Katie patrzyła na nią zdumionym wzrokiem.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- Ławnicy też z początku nie będą rozumieć, ale ja im to już wytłumaczę - uśmiechnęła się Ellie. - Wiesz, dlaczego jesteś pierwszą osobą ze społeczności amiszów w East Paradise, której postawiono zarzut morderstwa, Katie? To proste, zupełnie proste: bo amiszki nie mordują ludzi.

Doktor Owen Zeigler lubił Ellie Hathaway. Zdarzyło już mu się kiedyś z nią pracować, przy procesie mężczyzny, który pobił ciężarną żonę, doprowadzając ją do poronienia w dwudziestym czwartym tygodniu ciąży. Podobało mu się u niej to, że jest rzeczowa, podobała mu się jej chłopciana fryzura, no i nogi, które wydawały się sięgać od ziemi aż pod samą szyję, co, choć anatomicznie nieprawdopodobne, mocno działało na wyobraźnię. Nie miał pojęcia, kim była tym razem jej klientka, ale wszystko wskazywało na to, że adwokatka Ellie Hathaway znajdzie swoją uzasadnioną wątpliwość, choćby nawet nie było w co wątpić.

Owen umieścił barwione metodą Grama próbki pod obiektywem mikroskopu, wpatrując się uważnie w powiększony obraz. Były tam skupiska niebieskich, czyli Gram-dodatnich, krótkich bakterii o kształcie

pałeczek. Według wyników posiewu próbek pobranych podczas sekcji, miały to być maczugowce błonicy - główny czynnik zakaźny. Namnożyło się ich jednak tyle, że Owen zaczął się zastanawiać, czy to aby na pewno są akurat maczugowce błonicy.

To sama Ellie zaraziła go tymi wątpliwościami. A jeżeli te Gram-dodatnie pałeczki były czynnikiem zakaźnym? Prątki można było łatwo pomylić z pałeczkami podobnymi do maczugowców błonicy, zwłaszcza, że przy poprzednim badaniu mikrobiologicznym nie przeprowadzono barwienia metodą Grama.

Wyciągnął szkiełko spod mikroskopu i pomaszerował z nim do laboratorium na drugim końcu korytarza, gdzie pracował jego znajomy mikrobiolog Bono Gerhardt. Zastał go zgiętego wpool nad katalogiem odczynników.

- Wybierasz cebulki do posadzenia na wiosnę? - zagadnął.

Mikrobiolog parsknął śmiechem.

- Tak! I nie mogę się zdecydować: holenderskie tulipany, wirus opryszczki czy cytokeratyna. - Zerknął na płytkę, którą Owen trzymał w dłoni. - Co tam masz?

- Moim zdaniem to będą albo streptokoki beta-hemolityczne grupy B albo listerie - odparł Owen. - Liczyłem na to, że rozwiejesz moje wątpliwości.

Kiedy dochodziła godzina dziesiąta wieczorem, wszyscy Fisherowie odkładali swoje zajęcia i gromadzili się w salonie, jakby przyciągnięci potężnym magnesem. Elam odmawiał krótką modlitwę po niemiecku, po czym wszyscy na chwilę skłaniali głowy, w milczeniu oddając cześć Bogu. Ellie przyglądała się temu rytuałowi od miesięcy, za każdym razem wspominając, jak zaraz po przyjeździe Sara spytała ją, w co wierzy - i jak pełna nieufności była ta ich pierwsza rozmowa. Z początku czuła się niezręcznie podczas tych wieczornych modlitw, potem przyglądała się im z ciekawością, aż w końcu przysła obojętność; Ellie przeglądała sobie spokojnie „Reader's Digest” albo którąś z własnych książek prawniczych, a kiedy Fisherowie wstawali z klęczek, ona też wychodziła z dużego pokoju i szła spać.

Dziś grała w scrabble z Sarą i Katie. Gra nabrała szalonego tempa, gdy Katie zaczęła się upierać, żeby można układać na planszy pisane fonetycznie słowa z dialektu amiszów. Kiedy zegar z kukułką wybił dziesięć razy, obie z matką wrzuciły swoje podstawki z literami do pudełka. W domu zjawił się także Aaron, który przyszedł prosto z obory, przynosząc ze sobą powiew chłodnego powietrza; powiesił kurtkę na kołku i uklęknął obok żony.

Tego wieczoru Elam, jak zwykle, zaczął odmawiać „Ojczy nasz”, lecz po angielsku. Zaskoczona tym wstępem - amiszki zazwyczaj modlili się po niemiecku albo przynajmniej w Dietsch -Ellie zaczęła mu wtórować. Sara, nie przerywając szeptanej modlitwy, uniosła wzrok. Ogarnęła spojrzeniem Ellie, a potem odsunęła się nieznacznie w prawo, robiąc dla niej miejsce obok siebie.

Ellie nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się modliła, tak naprawdę, nie tylko unosiła oczy ku niebu, w ostatniej chwili prosząc o wsparcie, kiedy patrol na autostradzie zatrzymał ją za jazdę sto trzydzieści na godzinę. Zresztą - co miała do stracenia? Nie odpowiedziała sobie na to pytanie. Wstała i uklękła obok Sary, jakby to było właśnie jej miejsce, jakby jej myśli i jej nadzieje mogły zostać wysłuchane.

- Bono Gerhardt. - Ellie zobaczyła przed sobą wyciągniętą prawicę. - Bardzo mi miło.

Uśmiechnęła się do mikrobiologa, którego przedstawił jej doktor Owen Zeigler. Facet miał najwyżej sto sześćdziesiąt kilka centymetrów wzrostu, na głowie czapkę chirurgiczną drukowaną we wzorki przedstawiające zebry i małpy, a do fartucha przypięty amulet z Gwatemali, lalczkę odpędzającą troski. Na szyi dyndały mu słuchawki, których wijący się kabel znikał w prawej kieszeni, skąd wystawał discman firmy Sony.

- Przegapiła pani akt pierwszy - oznajmił Bono Gerhardt - ale niech będzie, wybaczę to spóźnienie na inkubację. - Zaprowadził ją do stołu, gdzie leżało już kilka przygotowanych szkiełek z próbkami mikroskopowymi. - O co tutaj chodzi: próbowaliśmy zidentyfikować organizm, który za pomocą immunoperoksydazy znalazł Owen. Wyciąłem więcej skrawków z boczka parafinowego z zatopioną tkanką i inkubowałem z przeciwciałem reagującym z listeriami - czyli bakteriami, które właśnie próbujemy zidentyfikować. Tutaj mamy doświadczenia kontrolne: próbki autentycznych, rozpoznanych listerii, którymi uprzejmie podzieliła się z nami szkoła weterynaryjna, oraz maczugowce błonicy. A teraz, proszę pani, proszę pana... Nadeszła chwila prawdy.

Ellie wstrzymała oddech, patrząc, jak Bono skrapia wycinek tkanki kilkoma kroplami roztworu.

- To jest peroksydaza chrzanowa, enzym związany z przeciwciałem - wyjaśnił. - Teoretycznie dostanie się on tylko tam, gdzie są listerie.

Po kolei zakroplił wszystkie próbki na szkiełkach, a potem wziął do ręki niewielką fiolkę i potrząsnął.

- Jodyna? - domyśliła się Ellie.

- Ciepło. To tylko barwnik. - Dodał kilka kropel do każdej z próbek, po czym zamontował pierwszą płytkę pod obiektywem mikroskopu. - No, jeśli to nie są listerie - mruknął - to kopnijcie mnie w nie powiem co.

Ellie patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Co się dzieje?

Owen pochylił się, zajął w obiektyw.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że martwica wątroby nastąpiła prawdopodobnie na skutek infekcji? To jest bakteria, która wywołała tę infekcję.

Ellie sama zerknęła w okular mikroskopu, ale zobaczyła tylko coś, co wyglądało jak grube ziarenka ryżu, każde z nich otoczone brązową obwódką.

- Noworodek miał listeriozę - oznajmił Owen.

- Czyli nie umarł z powodu asfiksji?

- Ścisłe rzecz biorąc, to go właśnie zabiło, ale w następstwie całego ciągu wydarzeń. Niedotlenienie było konsekwencją przedwczesnego porodu, który nastąpił wskutek zapalenia błon płodowych, a do tego z kolei doszło z powodu listeriozy. U matki wdało się zakażenie, a płód zaraził się od niej. Współczynnik poronień sięga w przypadku takiej infekcji trzydziestu procent, ale u matek można ją przeoczyć.

- A zatem - śmierć z przyczyn naturalnych.

- Zgadza się.

Ellie uśmiechnęła się szeroko.

- Owen, to jest rewelacja. Właśnie na coś takiego liczyłam. Po wiedz mi tylko, jak matka mogła się tym zarazić?

Owen spojrzał na Bono.

- I tu zaczynają się schody, Ellie. Listerioza to nie jest angina. Nie złapiesz jej ot tak, na ulicy. Szansa zakażenia u kobiet w ciąży jest jak jeden do dwudziestu tysięcy. Do infekcji dochodzi zwykle po spożyciu skażonego pokarmu, ale współczesna technologia żywnościowa skutecznie przeciwdziała kontaminacji, dopóki nie upłynie termin przydatności do spożycia.

Ellie skrzyżowała ramiona na piersi.

- Które pokarmy wchodzi w grę? - zapytała niecierpliwie.

Patolog zgarbił się.

- Jaka jest szansa, że twoja klientka podczas ciąży piła niepasteryzowane mleko?

Rozdział dwunasty

ELLIE

Niewielka biblioteka prawnicza w gmachu sądu okręgowego znajdowała się bezpośrednio nad gabinetem sędziny Ledbetter. Poszłam tam, żeby przejrzeć prawo precedensowe dotyczące orzecznictwa w sprawach o morderstwo dzieci poniżej pięciu lat, ale po dwóch godzinach doszłam do wniosku, że zamiast czytać, gapię się w wypaczone klepki na podłodze, jakbym miała nadzieję, że uda mi się przeniknąć ją myślą i natchnąć lokatorkę gabinetu piętro niżej wyrozumiałością i dobrocią serca.

- Słyszę, co sobie myślisz - zabrzmiał mi w uszach czyjś głęboki głos. Odwróciłam się, nie wstając. Za mną stał George Callahan. - Wysyłasz wibrację do Philomeny, zgadłem? - Przsunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, z łokciami na oparciu.

Przyjrzałam mu się uważnie, szukając w jego twarzy śladów bezwzględności rywala, ale znalazłam tylko życzliwość i współczucie.

- Odprawiam tylko takie małe wudu.

- Wiem, o co chodzi, sam tak robię. I to nawet działa, w połowie wypadków. - Uśmiechnął się, a ja odpowiedziałam uśmiechem, czując, jak opada ze mnie napięcie. - Szukałem cię - oznajmił George po chwili.

- Po pierwsze, muszę ci się przyznać, że wcale nie palę się do tego, żeby wsadzić dziewczynę od amiszów za kratki do końca życia, uwierz mi, Ellie. Ale morderstwo to morderstwo... Próbowałem znaleźć jakieś rozwiązanie, które wszystkim nam byłoby na rękę.

- Co chcesz mi zaproponować?

- Wiesz dobrze, że Katie grozi dożywocie. Daję ci dziesięć lat, jeśli dziewczyna przyzna się do nieumyślnego spowodowania śmierci. Zastanów się nad tym: przy dobrym sprawowaniu wyjdzie po pięciu albo sześciu latach.

- Ona nie przeżyje pięciu albo sześciu lat w więzieniu, George - powiedziałam cicho.

George opuścił głowę, spojrział w swoje zaciśnięte kurczowo dłonie.

- Łatwiej jej będzie przeżyć pięć lat niż pięćdziesiąt.

Wbiłam z całych sił wzrok w podłogę, która była sufitem gabinetu sędziny Ledbetter.

- Odezwę się do ciebie - odpowiedziałam.

Etyka zawodowa nakładała na mnie obowiązek poinformowania klientki o propozycji oskarżyciela. Zdarzało mi się już znaleźć w sytuacji, kiedy musiałam przekazać klientowi ofertę, która moim zdaniem nie leżała w naszym najlepiej pojętym interesie, ale tym razem obawiałam się reakcji zainteresowanej. Zwykle nie miałam większych trudności z przekonaniem człowieka, że ryzykując proces, lepiej na tym wyjdziemy, ale Katie - to była zupełnie inna para kaloszy. Wychowano ją w przekonaniu, że należy przyznać się, przeprosić, a potem przyjąć wyznaczoną karę. Propozycja George'a w oczach Katie byłaby sposobem na to, aby położyć kres tej kompromitacji, i to w taki sposób, który idealnie przemawiał jej do zrozumienia.

Znalazłam ją w kuchni, przy prasowaniu.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Dobrze.

Wygładziła na desce rękaw ojcowskiej koszuli - tej w kolorze lawendy - i przejechała po nim mocno żelazkiem rozgrzanym na kuchni. Nie po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że z Katie byłaby idealna żona - czemu zresztą trudno się dziwić, bo do takiej właśnie roli sposobiono ją przez całe życie. Gdyby teraz dostała dożywocie, przepadłaby jej ta życiowa szansa.

- Prokurator okręgowy zaproponował ci ugodę - poinformowałam.

- Jaką ugodę?

- W gruncie rzeczy chodzi o umowę. On zmieni oskarżenie na łagodniejsze i zażąda niższego wymiaru kary, a ty w zamian będziesz musiała przyznać się do błędu.

Katie przewróciła koszulę na drugą stronę, zmarszczyła brwi.

- A czy rozprawa się odbędzie?

- Nie. Od razu będzie po wszystkim. Rozpromieniła się.

- To by było cudownie!

- Nie usłyszałaś jeszcze warunków, jakie postawił George -

przypomniałam jej oschłym tonem. - Jeśli prokurator zmieni oskarżenie na nieumyślne spowodowanie śmierci, a ty się przyznasz, to zamiast dożywocia dostaniesz dziesięć lat pozbawienia wolności, z czego odsiedzisz prawdopodobnie połowę, a potem zwolnią cię warunkowo.

Katie odstawiła żelazko z powrotem na kuchnię.

- Czyli jednak pójdę do więzienia.

Skinęłam głowę.

- Jeśli przystaniesz na tę propozycję, ryzykujesz tyle, że stracisz szansę na ulaskawienie. Gdybyś zdecydowała się na proces, może skończyć się tak, że wcale nie będziesz musiała iść do więzienia. To tak, jakbyś powiedziała „basta”, nie wiedząc, co jeszcze można dostać. - Zanim skończyłam zdanie, wiedziałam już, że źle przedstawiłam sytuację; amisz bierze to, co mu się ofiarowuje, nie czeka, żeby zgarnąć to, co najlepsze, bo najlepsze można zdobyć tylko kosztem innych, którzy będą musieli zadowolić się gorszym.

- A czy tobie uda się uzyskać ulaskawienie?

Kiedy klientowi proponuje się ugodę, zawsze kończy się tym pytaniem. Zanim zdadzą się na mnie i przyjmą moje rady, najpierw chcą usłyszeć zapewnienie, że wszystko ułoży się po ich myśli. Niewiele miałam w swojej karierze takich spraw, żebym nie potrafiła przytaknąć z zapałem i z pełnym przekonaniem - a potem wziąć się do pracy i dowieść, że miałam słuszość.

Ale ta sprawa nie była jedną z wielu. I podobnie Katie nie była jedną z wielu klientek.

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Udałoby mi się może uzyskać ulaskawienie, powołując się na okresową niepoczytalność. Ale teraz, kiedy miałam tak mało czasu na przygotowanie tej nowej obrony - nie potrafię powiedzieć. Wydaje mi się, że tak. Mam nadzieję, że tak. Ale, Katie... Nie mogę dać ci słowa, że się uda.

- Każą mi tylko przyznać się do błędu? - upewniła się Katie. - I już? Będzie po wszystkim?

- I pójdziesz do więzienia - sprezykowałam.

Katie wzięła żelazko z kuchni i przycisnęła je tak mocno do kołnierza ojcowskiej koszuli, że materiał aż zasyczał.

- Chyba przyjmę tę propozycję - powiedziała.

Przeglądałam się, jak ta dziewczyna, która właśnie postanowiła iść na dziesięć lat do więzienia, przesuwając żelazkiem po mankietach koszuli i między guzikami.

- Katie, mogę ci coś powiedzieć? Jako przyjaciółka, nie adwokat? - Uniosła na mnie wzrok. - Nie wiesz, jak wygląda więzienie. Tam jest nie tylko pełno Anglików, ale na dodatek to są źli ludzie, ci Anglicy. Nie polecam ci tego rozwiązania.

- Nie myślisz tak jak ja - zauważyła Katie cichym głosem.

Ugryzłam się w język i policzyłam do dziesięciu. Dopiero wtedy odezwałam się ponownie:

- Mówisz, że mam przyjąć tę propozycję? Dobrze, przyjmę ją. Ale najpierw chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Stanowy Zakład Resocjalizacyjny w Muncy miałam już okazję w przeszłości oglądać na własne oczy - dzięki kilku swoim klientkom, które do tej pory odsiadywały tam wyroki. Miejsce to robiło złowrogie wrażenie, nawet na prawniku otrzaskanym z realiami więziennego życia. Wszystkie kobiety skazane w stanie Pensylwania przywożono do centrum diagnostyki klasyfikacyjnej w Muncy; jedne zostawały tutaj i odbywały wyrok, inne kwalifikowały się do przeniesienia do ośrodka o najłżejszym rygorze, mieszczącego się w Cambridge Springs, niedaleko miasta Erie. Tak czy inaczej Katie miała spędzić od czterech do sześciu tygodni w Muncy. Chciałam jej pokazać, w co się pakuje.

Naczelnik zakładu, facet obdarzony przez los pechowym nazwiskiem Duvall Shrimp*, a przez naturę jeszcze bardziej pechowym zwyczajem gapienia się kobiecie w dekolt, sam chętnie zaprowadził nas do swojego gabinetu. Poprosiłam go, żeby zabrał nas na obchód po ośrodku, nie wyjaśniając ani słowem, dlaczego przywiozłam ze sobą młodą dziewczynę w stroju amiszów - towarzystwo bądź co bądź niecodzienne - a on, co dobrze o nim świadczyło, również ani słowem o to nie zapytał. Przeprowadził nas przez posterunek strażników i kratę, która zatrzasnęła się za nami z hukiem. Katie wstrzymała oddech.

Najpierw zobaczyłyśmy stołówkę, gdzie pod ścianami biegły dwa rzędy stołów z ławami, pozostawiając środek wolny do przejścia. Wzdłuż lady do wydawania posiłków wiła się jak wąż kolejka nieuczestnych kobiet; każda z nich po kolei brała do rąk tacę, na którą kucharka rzucała po kilka łyżek mało apetycznej brei w różnych odcieniach szarości.

- Nasze podopieczne jadają tutaj, w stołówce – powiedział naczelnik. - Wyjątki to te panie, które zarobiły izolatkę za nieodpowiednie zachowanie albo należą do kategorii oskarżenia zagrożonego karą główną. One dostają posiłki do celi. - Odprowadziłyśmy wzrokiem kobiety rozchodzące się z tacami w dłoniach do stołów, przy których siadały grupkami, przyglądając się nam z nieskrywaną ciekawością. Po wyjściu ze stołówki na klatkę schodową, Duvall zaprowadził nas na piętro, gdzie mieścił się blok więzienny. Na końcu korytarza wisiała na ścianie skrzynka z zamontowanym telewizorem; poblask z ekranu rzucał kolorowe

* Shrimp (ang.) - tu: konus.

plamy na twarz kobiety, która oglądała program z celi, dyndając rękoma wystawionymi za kratę. Kiedy przechodziłyśmy obok, więźniarka gwizdnęła przeciągle na Katie.

- Heej - zaskowytała. - Halloween to chyba dopiero jeszcze za parę dni?

Reszta kobiet zamkniętych w celach zaczęła rzeć ze śmiechu, podchodząc do samych krat swoich ciasnych klatek i wystawiając się na pokaz w wyzywających pozach, niczym cyrkowcy z objazdowej trupy. Gapiły się przy tym beczelnie na Katie, jakby to nie one, ale ona była wielkim widowiskiem. Kiedy mijałyśmy ostatnią celę na korytarzu, jej lokatorka splunęła przez kratę, trafiając tuż obok obutej w tenisówkę stopy Katie.

Na spacerniaku naczelnik Duvall wykazał ochotę do konwersacji.

- Jakoś nigdy pani tutaj nie widziałem - zagadnął. - Broni pani chyba częściej mężczyzn niż kobiet, prawda?

- Mniej więcej pół na pół. A nie widział mnie pan, bo moi klienci otrzymują ułaskawienie.

Duvall wskazał brodą Katie.

- A to kto?

Obejrzałam się. Dziewczyna przeszła na drugi koniec spacerniaka, zatrzymała się na rogu i uniosła głowę, spoglądając w niebo zamknięte w ramach z drutu kolczastego. Na wieżyczce górującej nad placzykiem stali dwaj strażnicy z karabinami.

- To jest - odpowiedziałam - osoba obdarzona zmysłem praktycznym. Przed wynajęciem lokalu lubi go sobie obejrzeć.

Katie wróciła do nas, otulając się ciasno swoim szalem.

- I to by było wszystko - oznajmił Duvall. - Mam nadzieję, że wycieczka was nie rozczarowała.

Podziękowałam mu i zabrałam Katie do samochodu, który został na parkingu. W aucie siedziała cicho, jakby oniemiała. W trakcie dwugodzinnej podróży zasnęła i widocznie coś jej się śniło, bo kwiliła cicho przez sen. Zdejmowałam wtedy jedną rękę z kierownicy i gładziłam ją po głowie, żeby się uspokoiła.

Katie obudziła się, kiedy zjeżdżaliśmy już z autostrady w Lancaster. Odwróciła twarz do okna i przycisnąwszy czoło do szyby, powiedziała:

- Powiedz, proszę, panu Callahanowi, że odrzuciłam jego propozycję.

Wygłosiłam ostatnie zdanie mowy, którą przygotowałam sobie na rozpoczęcie procesu i wykonałam teatralny ukłon. Rozległy się oklaski; obejrzałam się, spłoszona.

- Doskonale. Bezpośrednie i nie do odparcia - ocenił Coop, wnu-
rzając się z cienia pod ścianą obory. - Ale z taką ławą przysięgłych nie
będzie lekko. - Skinął w kierunku niemrawych krów stojących w zagro-
dach.

Poczułam, jak na policzki biją mi rumieńce.

- Nie powinieneś być teraz gdzie indziej? - zapytałam.

Coop objął mnie, splótł palce na moich plecach, na wysokości talii.

- Zapewniam cię, że powinienem być teraz dokładnie tam, gdzie
jestem.

Wparłam dłonie w jego pierś, odepchnęłam się lekko.

- Ja mówię poważnie. Mam jutro rozprawę. Marne ze mnie dziś
towarzystwo.

- Będę twoją publicznością.

- Będziesz mi zawracał głowę.

Coop błysnął zębami w uśmiechu.

- Gdybyś jeszcze powiedziała „w głowie”... Ale i tak to była
najmilsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałem.

Z ciężkim westchnieniem wróciłam do mleczarni, gdzie zielonym
blaskiem jarzył się ekran mojego komputera.

- Może idź sobie do domu? Sara poczęstuje cię plackiem.

- Mam przegapić taką rozrywkę? - Coop oparł się o chłodziarko-
mieszarkę. - Za nic. Nie przeszkadzaj sobie. Rób dalej to, co chciałeś
zrobić, zanim przyszedłem.

Rzuciłam mu chłodne spojrzenie i usiadłam z powrotem na skrzynce
na mleko, która służyła mi tutaj za krzesło. Zaczęłam przeglądać listę
świadców na jutrzejszą rozprawę, ale po chwili przetańczyłam oczy i wyłą-
czyłam komputer.

- Przecież nic nie powiedziałem - zaprotestował Coop.

- Nie musiałeś. - Wstałam, podałam mu ramię. - Przejdziemy się?

Ruszyliśmy przed siebie leniwym krokiem, kierując się w stronę sa-
du w północnej części farmy Fisherów, pełnego jabłoni stojących w po-
wyginanych pozach niczym wiedźmy-artretyczki na sabacie. Owiał nas
aromat jesiennych jabłek, przejrzysty, słodki niczym karmel.

- Wieczorem ostatniego dnia przed rozprawą Stephen smażył sobie
zawsze stek - powiedziałam w zamyśleniu. - Mawiał, że jest coś pierwot-
nego w pożeraniu świeżego mięsa.

- A prawnicy się dziwią, dlaczego mówią na nich „rekiny” - za-
śmiał się Coop. - A ty? Też robiłaś sobie stek?

- Nie. Przebierałam się w piżamę, puszczałam sobie Arethę Fraklin
i śpiewałam z playbacku.

- Poważnie?

Odrzuciłam głowę w tył, a moje gardło zawibrowało nutami:

- R-E-S-P-E-C-T!

- Ćwiczysz poczucie własnej wartości?

- E, nie - mruknęłam. - Lubię Arethę i tyle. Naprawdę ją lubię.

Coop ścisnął mnie za ramię.

- Gdybyś chciała, mogę pośpiewać ci chórki.

- Boże... Całe życie czekałam na takiego faceta jak ty.

Odwrócił mnie ku sobie i musnął ustami moje wargi.

- Żywię szczerą nadzieję, że to prawda - oznajmił. - Powiedz mi, gdzie się podziejesz, jak będzie już po wszystkim?

- Wiesz co... - Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Sama zresztą unikałam go jak ognia, starając się nie pamiętać, że kiedy los postawił mnie na drodze Katie Fisher, która, tak się złożyło, potrzebowała pomocy adwokata, uciekłam właśnie z domu i nie wiedziałam, dokąd zmierzam. - Mogę chyba wrócić do Filadelfii. Albo zostanę u Ledy.

- A ja? Uśmiechnęłam się.

- A ty też możesz zostać u Ledy.

Ale Coop mówił w tej chwili całkiem poważnie.

- Wiesz, o co mi chodzi, Ellie. Nie chcesz wprowadzić się do mnie?

Momentalnie poczułam, jak świat zaczyna robić się ciasny.

- Nie wiem - odpowiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

Coop schował ręce do kieszeni; widziałam, jak ze sobą walczy, jak powstrzymuje się od przypomnienia mi pogardliwym tonem o tym, co kiedyś mu zrobiłam. Chciałam go dotknąć, poprosić, żeby on dotknął mnie, ale nie mogłam się na to zdobyć. W przeszłości - sto lat temu - stanęliśmy już kiedyś nad tą przepaścią. Spoglądając w nią teraz, widziałam pod stopami tę samą otchłań oraz identycznie strone urwisko. Zaparło mi dech w piersiach, tak samo jak wtedy.

Ale tym razem nie byliśmy już tacy młodzi. Ja nie zamierzałam go okłamywać, a on nie zostawiłby mnie i nie odszedł. Zerwałam z gałęzi jabłko i wyciągnęłam do niego rękę.

- To ma być gałązka oliwna czy po prostu masz biblijny nastrój?

- To zależy - odparłam - czy będziemy powtarzać psalmy czy ćwiczyć składanie ofiar.

Jeden jego cudowny uśmiech wystarczył, aby powróciła zgoda.

- Przyszła mi na myśl raczej Księga Liczb. Wiesz, płodzenie potomstwa i tak dalej. - Wziął mnie za rękę, splatając palce z moimi,

usiadł w miękkiej trawie i pociągnął mnie za sobą, na siebie. Ujął w dłoń moją twarz i całował, aż poczułam, że nie mam już w głowie nic, ani jednej myśli, a co dopiero mówić o obronie na jutrzejszy proces. Tak. To było poczucie bezpieczeństwa. To było coś dobrze mi znanego.

- Ellie - szepnął Coop, choć może tylko w mojej wyobraźni. - Nie musisz się spieszyć.

- No dobrze - oświadczyłam oficjalnym tonem, parodiując oskarżyciela najlepiej jak umiałam. - Jeśli pozwolisz mi zdjąć to wiadro z haka, dostaniesz dwa do pięciu. Jabłek, ma się rozumieć.

Nugget wstrząsnął ciężkim łbem i tupnął na mnie kopytem z zaciętością godną oburzonego adwokata odrzucającego marne warunki ugody.

- W takim razie idziemy do sądu - westchnęłam, wślizgując się do boksu. Konisko trąciło mnie nosem, a ja rzuciłam mu krzywe spojrzenie. - Widzę, że ten osli upór to u was rodzinne - mruknęłam.

W odpowiedzi bydlętko uszczypnęło mnie zębami w ramię. Z krzykiem rzuciłam wiadro na ziemię i tyłem wyszłam ze stajni.

- Dobra - powiedziałam. - Sam sobie przynieś wody, jak jesteś taki cwany. - Odwróciłam się na pięcie i już chciałam wyjść ze stajni, ale zatrzymał mnie cichy odgłos, jakby miauczenie małego kota, dobiegający skądś z góry. - Kto tam? - zawołałam.

Odpowiedziała mi cisza, więc weszłam po drabinie na stryszek, gdzie przechowywano bele siana i ziarno dla zwierząt. W kącie, pod ścianą, siedziała Sara, zalewając się łzami, zasłaniając twarz fartuchem, żeby nie było jej słychać.

- Hej. - Delikatnie dotknęłam jej ramienia.

Drgnęła, wystraszona i pospiesznie zaczęła wycierać twarz.

- Ach, Ellie! Siedź tutaj, bo musiałam... musiałam...

- ...porządnie się wyplakać. Wszystko w porządku, Saro. Rozumiem.

- Nie. - Matka Katie pociągnęła nosem. - Muszę wracać do domu. Niedługo Aaron wróci na obiad.

Zmusiłam ją, żeby spojrzała mi w oczy.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją obronić, wiesz o tym.

Sara odwróciła się, wyglądając przez okienko na pola, porządnie podzielone na symetryczne prostokąty.

- Źle zrobiłam, że wysłałam ją do Jacoba... Aaron miał rację, od samego początku miał rację.

- Nie mogłaś w żaden sposób przewidzieć, że Katie pozna jakiegoś młodego Anglika i zajdzie z nim w ciążę.

- Nie mogłam? - zapytała Sara cichym głosem. - To wszystko przeze mnie.

Współczułam jej w tym momencie z całego serca.

- A gdyby Katie sama postanowiła, że chce odwiedzić Jacoba? Byłoby teraz tak samo.

Sara potrząsnęła głową.

- Kocham swoje dzieci. Kocham, ale popatrz tylko, co się stało.

Bez chwili wahania wyciągnęłam ręce i objęłam ją. Kiedy znów się odezwała, jej słowa, gorące, parzyły mnie w szyję:

- Jestem jej matką, Ellie. Mam obowiązek jej pomóc, ale nie umiem.

Wzięłam głęboki oddech.

- W takim razie ja będę musiała to zrobić.

Wyjazd do sądu okazał się egzaminem z dyplomacji. Około szóstej trzydzieści rano na farmę Fisherów przyjechali, każde własnym samochodem, Leda, Coop i Jacob. Sarę, Samuela i Katie natychmiast przydzielono Coopowi, jednemu kierowcy, na którym nie ciążyła ekskomunika z kościoła amiszów. Ponieważ jednak zarówno Jacob, jak i jego ciotka krępowali się zostawić swoje wozy na podwórzu u Aarona, musieli najpierw pojechać w dwa samochody do Ledy, odstawić hondę Jacoba, a potem wrócić razem po mnie. Już prawie zaczęłam panikować, że na pewno się spóźnimy, tak długo to trwało - i w tym momencie z obory wymaszerował Aaron, z wzrokiem utkwionym w oknach samochodu Coopa.

Ojciec Katie dał jasno do zrozumienia, że nie będzie obecny na rozprawie. Biskup z całą pewnością zrozumiałby jego osobiste zaangażowanie w ten konkretny proces, ale tutaj nie chodziło o biskupa, lecz o Aarona, który w tej kwestii nie potrafił dojść sam ze sobą do ładu. Być może jednak nie był to taki człowiek, jak myślałam. Może mimo wszystko nie pozwoli odjechać córce na rozprawę bez porządnego pożegnania, nawet jeśli zasady nie pozwalają mu towarzyszyć jej na sali sądowej. Coop uchylił tylne okno, żeby Aaron mógł zajrzeć do środka i pomówić z Katie.

Ale on pochylił się i wypowiedział tylko dwa ciche słowa:

- Sarah, komm.

Spuściwszy wzrok, matka Katie ścisnęła córkę za rękę i wysiadła z samochodu, zajmując swoje miejsce u boku męża. Oczy lśniły jej od łez, którym nie pozwoliła popłynąć nawet wtedy, gdy Aaron ujął ją za ramiona, obrócił i poprowadził z powrotem do domu.

Leda pierwsza zauważyła furgonetki, porozrzucane po całym parkingu przed gmachem sądu okręgowego, nakryte talerzami anten satelitarnych, upstrzone wszystkimi literami alfabetu, rozsianymi po akronimicznych nazwach stacji radiowych. Bliżej, przy samym wejściu do sądu, stały naprzeciwko siebie dwa rzędy ludzi: reporterzy z mikrofonami w garści i kamerzyści z włączonym sprzętem. Wyglądało to tak, jakby szykowali się do odtąnczenia menueta, a nie do sprawozdania z rozprawy, która miała przesądzić o losie pewnej młodej dziewczyny.

- Co to jest? - szepnęła Leda.

- Trudno właściwie powiedzieć - mruknęłam. - Dziennikarz to nie człowiek.

Nagle w oknie po mojej stronie pojawiła się twarz Coopa.

- Co oni tutaj robią? Myślałam, że twój wniosek przeszedł pozytywnie.

- Wywalczyłam usunięcie kamer z sali rozpraw - wyjaśniłam. - Na zewnątrz budynku wszystkim wolno wszystko. - Odkąd sędzina orzekła w tej sprawie, nie wracałam już myślami do kwestii obecności mediów podczas procesu; miałam dość zawracania głowy z przygotowaniem obrony. Niemniej jednak ten, kto by myślał, że brak kamer na sali rozpraw spowoduje wygaśnięcie zainteresowania procesem, byłby doprawdy bardzo naiwny. Chwyciłam neser i wyskoczyłam z samochodu, zdając sobie dobrze sprawę, że mam około dwóch minut, zanim wszyscy się domyśla, kim jestem. Stuknęłam w tylne okno samochodu Coopa, żeby odwrócić uwagę Katie od gromady reporterów.

- Chodź - powiedziałam. - Teraz albo nigdy.

- Ale...

- Innej drogi nie ma, Katie. Musimy się przebić do wejścia po tych schodach. Wiem, że ci się to nie uśmiecha, mnie zresztą też nie, w najmniejszym stopniu, ale nie mamy wyboru.

Katie posłuchała mnie, ale najpierw na jedną krótką chwilę zamknęła oczy. Zrozumiałam, że się modli, ale na pewno nie prosiła Boga o to, żeby poraził całą tę zgraję jakąś plagą z nieba; na to nie było co liczyć. Potem zaś, z gracją zadającą kłam jej młodemu wiekowi, wysiadła i wsunęła dłoń do mojej dłoni.

Fala zrozumienia przetoczyła się po parkingu z siłą tsunami, kiedy dziennikarze, jeden po drugim, zaczęli zauważać Katie, przepasaną fartuchem i w czepku na głowie. Kamerzyści zawirowali w miejscu, namierzając nowy cel i pytania zasypały nas niczym grad ciskanych oszczepów. Czułam, choć nie widziałam, jak Katie krzywi się po każdym błysku flesza i przypomniał mi się portret Doriana Graya, życie wyciekające kroplami.

- Bez komentarzy! - krzyknęłam, przepychając się przez tłumek reporterów; rozstępowali się przede mną niczym fale przecinane dziobem okrętu, ja zaś holowałam za sobą Katie.

Podczas poprzednich wizyt poznałam gmach sądu na tyle, że wiedziałam, gdzie są damskie toalety i mogłam schować się tam z Katie zaraz po wejściu. Sprawdziłam, zaglądając pod drzwiami kabin, czy żadna nie jest zajęta i oparłam się plecami o drzwi wejściowe, żeby nikt nie mógł dostać się do środka.

- Dobrze się czujesz?

Katie przytaknęła, chociaż trzęsła się na całym ciele, a oczy miała szeroko otwarte, rozbiegane.

- Ja. Ale nie spodziewałam się czegoś takiego.

Ja również się tego nie spodziewałam, a poza tym miałam obowiązek uprzedzić ją, że będzie jeszcze gorzej, i to znacznie, zanim doczekamy się poprawy, ale zamiast to zrobić, wzięłam tylko głęboki oddech, czując, jak na samym dnie płuc zalega woń strachu Katie. Odepchnęłam dziewczynę na bok, wbiegłam do najbliższej kabiny i zwymiotowałam do muszli; torsje trzęsły mną dopóty, dopóki miałam coś w żołądku.

Nie wstając z kolan, z twarzą rozpaloną i nabiegłą krwią, przycisnęłam czoło do chłodnej ścianki działowej z włókna szklanego. Zaczęłam nabierać powietrza, płytkimi, krótkimi oddechami i w końcu udało mi się jakoś zebrać w sobie, oderwać kawałek papieru toaletowego i otrzeć usta.

Pytanie, które zadała mi Katie, poczułam jak ciężar zrzucony na plecy.

- Ellie, a ty? Dobrze się czujesz?

Nerwy, pomyślałam, ale przecież nie mogłam się przyznać do czegoś takiego własnej klientce.

- Chyba coś zjadłam i mi zaszkodziło - odpowiedziałam, wykonując najładniejszy służbowy uśmiech. Wstałam z klęczek. - No to co? Idziemy?

Katie nie zdejmowała rąk z blatu stołu dla obrony, przesuując palcami po gładkiej, wypolerowanej powierzchni. Były tam miejsca, gdzie gołe drewno przeświecało przez lakier wytarty dłońmi tej niezliczonej armii oskarżonych, którzy siedzieli w tym samym miejscu. Ilu z nich naprawdę było niewinnych?

Sala sądowa, tuż przed rozprawą, nie jest oazą spokoju, tak jak to się widuje w telewizyjnych tasiemcach prawniczych. Wprost przeciwnie, panuje tam zamęt: pisarz sądowy przekopuje papiery w poszukiwaniu właściwej teczki, pomocnik szeryfa czyści nos chustką w groszki, dmąc w nią z całej siły, publiczność siedząca w ławkach obgaduje wiadomości

z porannych gazet, siorbiąc kawę ze styropianowych kubków. Akurat tego dnia było nawet głośniejsze niż zazwyczaj, a przez ogólny gwar docierały do mnie fragmenty toczonych rozmów, przeważnie na temat Katie, która, siedząc w ławce, przypominała zwierzę na wybiegu w zoo, tak samo wyrwana ze swojego naturalnego środowiska dla zaspokojenia ludzkiej ciekawości.

- Katie - odezwałam się do niej cicho, a ona podskoczyła prawie pod sam sufit.

- Dlaczego nie zaczynają? - zapytała.

- Jeszcze trochę za wcześnie - odpowiedziałam. Katie wsunęła dłonie pod fartuch, omiatając wzrokiem to, co działo się dookoła stołu sędziowskiego. Oczy jej zabłyśły na widok George'a Callahana siedzącego dwa metry dalej, przy stole dla oskarżyciela.

- Wygląda całkiem miło - zauważyła.

- Nie będzie dla ciebie wcale miły. Jego praca polega na tym, żeby przekonać ławników, że wszystkie te okropne rzeczy, które od niego usłyszą na twój temat, to szczerza prawda. - Urwałam na chwilę, wahając się, po czym zdecydowałam, że w wypadku Katie najlepiej będzie przygotować ją na to, co nastąpi. - Będzie ci trudno tego wysłuchać, Katie.

- Ale dlaczego?

Zamrugłam oczami, nie rozumiawszy.

- Dlaczego będzie ci trudno?

- Nie. Dlaczego pan Callahan będzie kłamał na mój temat? Dlaczego ławnicy mają uwierzyć jemu, a nie mnie?

Pomyślałam o kanonach medycyny sądowej, o różnicy pomiędzy obieraniem motywu a zmyśleniem nieprawdziwej wersji wydarzeń, o psychometrycznej charakterystyce ławy przysięgłych - o tym wszystkim, co dla Katie byłoby tylko niezrozumiałym bełkotem. Jakim sposobem miałam wytłumaczyć dziewczynie wychowanej wśród amiszów, że w sądzie często bywa tak, że wygrywa ten, kto opowie najlepszą historię?

- Bo u Anglików tak właśnie działa wymiar sprawiedliwości - odpowiedziałam. - Takie są reguły tej gry.

- Gry - powtórzyła Katie powoli, obracając to słowo w ustach, aż straciło swoją twardość. - To tak jak futbol! - Uśmiechnęła się do mnie, przypomniawszy sobie widać jedną z naszych rozmów. - To też jest taka gra, gdzie można wygrać albo przegrać, ale i tak dostaje się pieniądze?

Znów poczułam, jak coś przewraca mi się w żołądku.

- Właśnie - przytaknęłam. - Właśnie tak.

- Proszę wstać, sąd idzie! Sprawie przewodzi sędzina Philomena Ledbetter.

Wstałam z miejsca i obejrzałam się na Katie, żeby sprawdzić, czy też stoi. Sędzina ukazała się w bocznych drzwiach i pospieszным krokiem weszła na schodki podwyższenia. Poły togi powiewały za nią, wydęte niczym żagle.

- Proszę usiąść. - Powiodła wzrokiem po zgromadzonej publiczności, mrużąc oczy na widok garstki dziennikarzy stłoczonej pod tylną ścianą. - Zanim zaczniemy rozprawę, przypominam przedstawicielom prasy, że w obrębie tej sali zabroniono używania aparatów fotograficznych jak również kamer wideo. Jeżeli zobacze, że choćby jedno z państwa złamało ów zakaz, wyrzucę wszystkich na korytarz do końca procesu. - Jej spojrzenie spoczęło na Katie. Przez chwilę sędzina w milczeniu mierzyła ją wzrokiem, aż w końcu zwróciła się do prokuratora okręgowego: - Jeśli oskarżenie jest gotowe, proszę zaczynać.

George Callahan zbliżył się do ławy przysięgłych krokiem tak swobodnym, jakby każdy z ławników był jego starym, dobrym przyjacielem.

- Wiem, co państwo sobie myślicie - oznajmił. - Przyszliśmy na proces o morderstwo, gdzie zatem jest oskarżony? Bo ta dziewczynka w stroju amiszów, w fartuszkach i białej czapeczce nie skrzywdziłaby przecież muchy, nie mówiąc już o człowieku. - Prokurator potrząsnął głową. - Wszyscy państwo mieszkacie w tym okręgu. Widujecie amiszów na drodze, w bryczkach, kupujecie różne produkty na ich przydomowych straganach. Jeśli nawet nie mieliście okazji dobrze ich poznać, to wiecie przynajmniej tyle, że amisz to ludzie głęboko religijni, którzy żyją w zamkniętej społeczności i nie wychylają się zbyt daleko. Czy ktoś z państwa pamięta może, kiedy ostatni raz słyszało się o amiszach oskarżonym o jakieś ciężkie przestępstwo? Odpowiem: w zeszłym roku, kiedy dwaj młodzi amisz handlujący kokainą rozbili sielankowy wizerunek swojej wspólnoty. A także dziś. Bo dziś usłyszycie państwo o tym, jak ta oto młoda kobieta z zimną krwią zamordowała własne, nowo narodzone dziecko.

Oskarżyciel przesunął dłonią po balustradzie odgradzającej ławę przysięgłych.

- Wstrząsające, prawda? Trudno uwierzyć, że matka mogła zabić swoje dziecko, zwłaszcza jeśli ową matką jest dziewczyna o równie niewinnym wyglądzie. Proszę się tym nie sugerować. Podczas tego procesu zrozumiecie państwo, że oskarżona nie jest niewinną dziewczyną - wręcz przeciwnie, udowodnimy, że to osoba fałszywa, która kłamie z dużą wprawą. Od sześciu lat wymyka się z rodzinnej farmy i jeździ do miasteczka uniwersyteckiego, gdzie rozpuszcza włosy, przebiera się w dzinsy,

obcisłe swetry i imprezuje, jak to nastolatki mają w zwyczaju. Zataiła prawdę o tych eskapadach i tak samo zataiła, że podczas jednego z owych szalonych weekendów zaszła w ciążę. Potem zaś skłamała ponownie, nie przyznając się do popełnienia morderstwa.

Odwrócił się w stronę Katie, przesywając ją wzrokiem.

- Jak zatem wygląda prawda? Prawda jest taka, że dnia dziesiątego lipca bieżącego roku, kilka minut po godzinie drugiej w nocy, oskarżoną obudziły bóle porodowe. Prawda jest taka, że wstała ona z łóżka, na palcach udała się do obory i w niemal absolutnej ciszy urodziła chłopca, żywego chłopca. Prawda jest taka, że oskarżona miała pełną świadomość, że jeśli ktoś się dowie o jej dziecku, będzie to dla niej koniec dotychczasowego życia. Mogła się spodziewać, że zostanie wyrzucona ze swojego domu, ze swojego kościoła, ze swojej społeczności. Prawda zatem wygląda tak, że oskarżona zrobiła to, co musiała zrobić, aby kłamstwo nie wyszło na jaw: świadomie, zamierzenie i z rozmysłem zabiła własne dziecko.

George oderwał oczy od Katie i zwrócił się z powrotem do ławników.

- Patrząc na oskarżoną, postarajcie się państwo przebić wzrokiem ten staroświecki kostiumik. Ona chce, żebyście go widzieli - i nic poza nim. Spróbujcie zamiast niego zobaczyć kobietę, która dusi płaczące dziecko. Kiedy oskarżona przemówi, słuchajcie jej uważnie, ale pamiętajcie, że jej słowu nie można ufać. Ta uroczo się prezentująca dziewczyna z rodziny amiszów ukryła zabronioną ciążę i gołymi rękami zamordowała noworodka, cały czas przy tym oszukując wszystkich dookoła, że nic się nie dzieje. Nie pozwólcie, aby oszukała także was.

W składzie ławy przysięgłych było osiem kobiet i czterech mężczyzn. Nie mogłam się zdecydować, czy to dla nas dobrze, czy źle. Kobiety powinny wykazać się większym współczuciem dla niezamężnej nastolatki, ale z drugiej strony pogarda wobec takiego czynu jak zabicie dziecka przez jego własną matkę musiała być u nich większa niż u mężczyzn. W sumie najważniejsze jednak było to, czy i jak bardzo ten konkretny zespół ludzi będzie skłonny do szukania jakichkolwiek furtek.

Ucisnęłam pod stołem rozdygotaną dłoń Katie, po czym wstałam.

- Pan Callahan próbował właśnie przekonać państwa, że na tej sali rozpraw obecna jest osoba, która w mistrzowskim stopniu opanowała sztukę mijania się z prawdą. Coś państwu powiem.

Oskarżyciel miał rację. Niemniej jednak osobą tą nie jest Katie Fisher. To ja. - Pomachałam im wesoło dłonią. - Tak, tak: winna wszystkich zarzutów. Jestem kłamcą i to całkiem niezłym, skoro sama to przyznaję. Tak dobrze mi idzie, że zostałam adwokatem, również nie najgorszym. I chociaż nie zamierzam się wypowiadać w imieniu tutejszego obrońcy z urzędu, to jestem gotowa się założyć, że jemu także raz czy dwa zdarzyło się nagiąć fakty. - Spojrzałam na ławników, unosząc brwi. - Znacie państwo te wszystkie dowcipy, nie muszą chyba opowiadać tutaj o prawnikach. Kłamiemy jak z nut, a jeszcze świetnie nam za to płacą.

Oparłam się o balustradkę przed ławą przysięgłych.

- Tymczasem Katie Fisher należy do tych osób, które nie kłamią. Skąd mogę to wiedzieć? Powiem, skąd. Planowałam jej bronić, powołując się na chwilową niepoczytalność w momencie popełnienia przestępstwa. Zatrudniłam ekspertów, aby stanęli przed państwem i oświadczyli, że owej nocy, rodząc dziecko, i potem, po porodzie, Katie nie wiedziała, co robi. Ale ona nie pozwoliła mi na to. Powiedziała, że nie jest i nie była niepoczytalna i że nie zamordowała swojego dziecka. Poleciała mi, abym przekazała to państwu, ławie przysięgłych - nawet gdyby to miało oznaczać dla niej ryzyko skazania.

Wzruszyłam ramionami.

- Stoję zatem przed państwem, adwokat uzbrojony w broń nowego typu, która nazywa się: prawda. Odpierać zarzuty oskarżenia będę wyłącznie za pomocą prawdy i, być może, lepszego rozeznania, jakie mam w tej sprawie. Pan Callahan nie przedstawi państwu ani jednego rozstrzygającego dowodu, nie bez powodu zresztą. Przyczyna jest prosta: Katie Fisher nie zabiła swojego nowo narodzonego dziecka. Od kilku już miesięcy mieszkam z nią i jej rodziną pod jednym dachem i wiem coś, czego nie wie pan Callahan, to mianowicie, że Katie Fisher jest amiszką z krwi i kości. Nie można, jak był on łaskaw zasugerować, „żyć jak amisz”. Amiszem się właśnie jest. Podczas tego procesu poznać państwo tych spokojnych ludzi o skomplikowanych wnętrzach, tak jak ja ich poznałam. Być może jakaś pierwsza lepsza nastolatka z przedmieścia mogłaby urodzić dziecko i spuścić je w klozecie, ale nie kobieta amiszów. Nie Katie Fisher.

Przyjrzyjmy się teraz kilku owym zarzutom postawionym przez pana prokuratora. Czy Katie wymykała się z domu i jeździła regularnie do miasteczka uniwersyteckiego? Tak - proszę zauważyć, że mówię prawdę. Pan Callahan opuścił jednakże pewien szczegół. Nie powiedział państwu, po co Katie tam jeździła. Jej brat - a trzeba tutaj nadmienić, że Katie nie

ma już więcej żyjącego rodzeństwa - postanowił wystąpić z kościoła amiszów i podjąć studia. Jego ojciec, dotknięty decyzją syna, odciął się od niego. Lecz Katie, dla której rodzina jest wszystkim, jak zresztą dla większości amiszów, tęskniła za bratem tak bardzo, że była gotowa na każde ryzyko, żeby tylko się z nim zobaczyć. Widzą państwo zatem, że nie żyła w kłamstwie, lecz kierowała nią miłość, którą chciała pielęgnować.

Pan Callahan wspomniał także, że Katie Fisher musiała ukryć nieślubną ciążę, ponieważ według zasad jej religii grozi za to wydalenie z kościoła. Dowiedzą się państwo jednak, że amiszę to ludzie miłośni. Potrafiliby pogodzić się nawet z nieślubną ciążą, a dziecko urodzone z takiego związku wzrastałoby w atmosferze miłości i wsparcia, której próżno byłoby szukać w wielu domach w naszym społeczeństwie.

Odwróciłam się do Katie, która nie spuszczała ze mnie jasnego spojrzenia szeroko otwartych oczu.

- I w ten oto sposób doszłam do ostatniego zarzutu pana Callahana: zabójstwa. Czemu zatem, zapytacie państwo, Katie Fisher miałyby zamordować własne dziecko? Odpowiedź, panie i panowie, jest prosta: Katie Fisher nie zamordowała swojego dziecka.

Pani sędzina wyjaśni państwu, że aby skazać Katie, musicie uwieżyć oskarżeniu ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość. Zanim ten proces dobiegnie końca, będziecie państwo mieli nie jedną, a cały szereg uzasadnionych wątpliwości. Zrozumiecie, że oskarżenie nie zdoła w żaden sposób dowieść tego, że Katie zabiła swoje dziecko. Nie powoła ani jednego świadka owego zajścia. Nie przedstawi państwu niczego oprócz spekulacji oraz dowodów o wątpliwej wiarygodności.

Ja natomiast wykażę, że dziecko urodzone tamtej nocy mogło umrzeć na kilka sposobów. - Zbliżyłam się do Katie, tak, aby przysięgli widzieli nas obie. - Wyjaśnię, dlaczego amiszę nie popełniają morderstw. A co najważniejsze - dodałam na sam koniec - pozwolę, aby Katie Fisher sama powiedziała państwu prawdę.

Rozdział trzynasty

Lizzie Munro nigdy w życiu nie przyszłoby do głowy, że pewnego dnia będzie zeznawać przed sądem przeciwko amiszowi oskarżonemu o morderstwo. Dziewczyna siedząca za stołem dla obrony, u boku tej swojej pancernej adwokatką, głowę miała spuszczoną, a dłonie splecione jak te szkaradne figuryнки z serii „Precious Moments”, którymi matka Lizzie zastawiała wszystkie parapety w domu. Lizzie szczerze ich nie znosiła: każdy aniołek nosił na twarzy wyrachowaną słodycz, każdy pastuszek miał wielkie jelenie oczy, zbyt wielkie i zbyt jelenie, aby można było patrzeć na niego bez uśmiešku. Spoglądając na Katie Fisher, policjantka czuła identyczną awersję i ogarniała ją przemożna chęć, żeby odwrócić się do niej tyłem.

Skupiła więc uwagę na George'u Callahanie i jego eleganckim ciemnym garniturze.

- Proszę podać nazwisko i adres. - Prokurator zaczął przesłuchanie.
- Elizabeth Grace Munro. Grand Street tysiąc trzysta trzydzieści, Ephrata.

- Miejsce zatrudnienia?
- Komenda Policji powiatu East Paradise. Jestem sierżantem wydziału dochodzeniowo-śledczego.

George nie musiał nawet zadawać jej tych pytań; przerobili już fazę wstępną tyle razy, że wiedział, co usłyszy.

- Od jak dawna jest pani detektywem?
- Od sześciu lat. Przedtem przez pięć lat pracowałam w wydziale drogowym.

- Czy może nam pani opowiedzieć co nieco o swojej pracy, pani sierżant?

Lizzie usiadła swobodniej; dla niej krzesło dla świadka było całkiem wygodne.

- Najczęściej badam ciężkie przestępstwa, jeśli do nich dojdzie na terenie powiatu East Paradise.

- Ile ich bywa, w przybliżeniu?

- Cóż, w zeszłym roku odebraliśmy ogółem około piętnastu tysięcy zgłoszeń. Ciężkich przestępstw była w tej liczbie zaledwie garstka, lwia część to wykroczenia.

- Do ilu morderstw doszło w zeszłym roku?

- W zeszłym roku nie było żadnych morderstw.

- Czy odpowiadając na tych piętnaście tysięcy zgłoszeń, policja często bywała w domach amiszów?

- Nie - padła odpowiedź. - Amisze dzwonią na policję, kiedy zdarzy się kradzież lub zniszczenie ich własności, czasami musimy spisać jakiegoś młodego amiszka za jazdę pod wpływem alkoholu lub za zakłócanie spokoju, ale na ogół ci ludzie nie mają kontaktów z organami porządku publicznego.

- Pani sierżant, proszę nam opowiedzieć, co wydarzyło się wczynym rankiem dnia dziesiątego lipca.

Lizzie wyprostowała się na krześle.

- Byłam akurat na posterunku, kiedy dyżurny odebrał zgłoszenie, że w jakiejś oborze znaleziono martwe niemowlę. Pojechała tam karetka, a za nią ja.

- Co pani zastała na miejscu po przyjeździe?

- Było około piątej trzydzieści rano, na krótko przed świtem. Obora należała do właściciela farmy mleczarskiej, amiszka. Gospodarza i dwóch jego pomocników znalazłam w oborze, doili właśnie krowy. Zabezpieczyłam miejsce zdarzenia, pieczętując taśmą drzwi do obory, główne oraz tylne. Potem poszłam do komórki, gdzie znaleziono zwłoki dziecka i tam odbyłam rozmowę z ratownikami z pogotowia. Dowiedziałam się od nich, że poród nastąpił niedawno i był przedwczesny, a noworodka nie udało się reanimować. Spisałam nazwiska czterech mężczyzn: Aarona i Elama Fisherów, Samuela Stoltzfusa oraz Leviego Escha. Zapytałam ich, czy widzieli w oborze coś podejrzanego albo czy może kogoś spłoszyli. Dziecko znalazł najmłodszy z nich, nastoletni Levi, który nie dotykał niczego poza kilkoma derkami, pod którymi leżał noworodek, zawinięty w chłopcę koszulę. Aaron Fisher, właściciel farmy, powiedział mi, że z kotka obok wejścia do zagrody dla cielnych krów zniknęła para nożyc, którymi przycina się szpagat do wiązania bel siana. Wszyscy czterej mężczyźni zgodnie zeznali, że w oborze nie przebywał nikt oprócz nich, a żadna kobieta mieszkająca na farmie nie była ciężarna.

Obeszłam następnie zagrody dla krów, szukając tropów. Wezwano

także funkcjonariuszy wydziału kryminalnego policji stanowej. Zebranie odcisków palców z szorstkich drewnianych belek albo z siana było niemożliwe. Wszystkie ślady, które udało nam się zabezpieczyć, były fragmentaryczne i należały do członków rodziny, którzy mieli uzasadnione powody, aby przebywać w oborze.

- Czy na tym etapie podejrzewała pani już, że doszło do przestępstwa?

- Nie. Nie podejrzewałam jeszcze niczego poza porzuceniem noworodka.

George skinął głową.

- Proszę kontynuować.

- Na koniec ustaliliśmy, gdzie urodziło się dziecko. W kącie zagrody dla cielnych krów znaleźliśmy plamę krwi przyrzuconą świeżym sianem. Natomiast w pomieszczeniu, gdzie leżało dziecko, zabezpieczono odcisk stopy na klepisku.

- Czy ustalono coś na temat tego odcisku stopy?

- Zostawiła go bosa kobieta nosząca obuwie rozmiaru siódmego.

- Jakie było pani dalsze postępowanie?

- Próbowałam ustalić tożsamość matki dziecka. Jako pierwszą przesłuchałam żonę Aarona Fishera, Sarę. Dowiedziałam się, że nie może rodzić, ponieważ prawie dziesięć lat temu przeszła operację usunięcia macicy. Potem rozmawiałam z sąsiadami Fisherów i z ich dwoma córkami. Obie miały alibi. Kiedy wróciłam na farmę, córka Aarona i Sary, Katie, była już na nogach i zeszła na dół, do kuchni. Zajrzała nawet do komórki, gdzie lekarz sądowy badał zwłoki noworodka.

- Proszę opisać jej reakcję na widok ciała.

- Była bardzo poruszona - powiedziała Lizzie. - Wybiegła z obory.

- Poszła pani za nią?

- Tak. Dogoniłam ją na ganku i zapytałam, czy była w ciąży. Zaprzeczyła.

- Czy to zabrzmiało dla pani podejrzanie?

- Nie, wcale. To samo powiedzieli mi jej rodzice. Ale potem zauważyłam kałużę krwi na podłodze. Krew ciekła po łydce Katie. Pomimo jej sprzeciwów, kazałam ratownikom siłą wsadzić ją do karetki i zawieźć do szpitala. Zrobiłam to dla jej własnego dobra.

- Co pani myślała w tamtej chwili?

- Że dziewczynie potrzebny jest lekarz. Potem jednak zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, aby rodzice oskarżonej nie wiedzieli, że była w ciąży. Doszłam do wniosku, że mogła ukryć przed nimi prawdę, tak jak próbowała ukryć ją przede mną.

- Jak dowiedziała się pani, że oskarżona ukrywała prawdę? - zapytał George.

- Pojechałam do szpitala i odbyłam rozmowę z lekarzem, który się nią zajmował. Potwierdził on, że oskarżona urodziła dziecko i była w stanie krytycznym, a bez natychmiastowej pomocy krwotok z pochwy nie ustałby sam. Kiedy tylko potwierdziło się, że Katie Fisher okłamała mnie, mówiąc, że nie była w ciąży, uzyskałam nakaz rewizji farmy oraz domu, jak również nakaz przeprowadzenia porównawczego badania krwi i DNA noworodka i oskarżonej. Następnie pobraliśmy trzy próbki krwi: z plamy w zagrodzie, ze skóry dziecka i z krwiobiegu dziecka. Dwie pierwsze zidentyfikowano jako krew oskarżonej, trzecia zaś miała tę samą grupę co krew oskarżonej.

- Jakich informacji dostarczyła rewizja oraz badania krwi?

- Pod łóżkiem oskarżonej znaleźliśmy zakrwawioną koszulę nocną, a w jej szafie kilka par butów rozmiaru siedem. Wszystkie testy laboratoryjne potwierdziły, że krew w oborze oraz na skórze dziecka należała do oskarżonej. Również badanie krwi dziecka powiązało je z jej osobą.

- Do jakich wniosków doszła pani na tej podstawie? Lizzie przesunęła wzrokiem po twarzy Katie Fisher.

- Że wbrew temu, iż zaprzeczyła, kiedy ją o to zapytałam, oskarżona była jednak matką zmarłego dziecka.

- Czy w tym momencie zaczęła pani myśleć, że to oskarżona zabiła dziecko?

- Nie. W East Paradise morderstwa należą do rzadkości, a wśród amiszów nie słyszy się o nich praktycznie nigdy. W tym momencie uznałam, że dziecko musiało urodzić się martwe, ale po przeczytaniu raportu z autopsji, który przysłał mi lekarz sądowy, musiałam zmienić zdanie.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że dziecko urodziło się żywe. Po drugie - pepowinę przecięto nożycami, co od razu skojarzyło mi się z tym, jak Aaron Fisher wspominał, że zginęły mu jakieś nożyce. Pomyślałam, że gdybyśmy je odszukali, może udałoby się pobrać z nich odciski palców. Noworodek zmarł na skutek asfiksji, ale lekarz sądowy znalazł głęboko w jamie ustnej włókna. Dopasowano je do koszuli, w którą był zawinięty, co sugerowało, że został uduszony. Wtedy zaczęło mi się wydawać, że oskarżona może być potencjalną podejrzaną.

Lizzie wzięła do ręki szklankę stojącą na stoliku obok krzesła dla świadka, upiła łyk wody.

- Przesłuchałam zatem osoby z najbliższego otoczenia oskarżonej, jak również ją samą. Matka oskarżonej potwierdziła, że jej młodsza córka nie żyje już od wielu lat i powtórzyła, że nie wiedziała o ciąży starszej,

nie miała też żadnego powodu, aby ją o to podejrzewać. Ojciec dziewczyny w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać. Przesłuchałam także Samuela Stoltzfusa, jednego z pomocników gospodarza, który, traf chciał, okazał się również chłopakiem oskarżonej. Od niego dowiedziałam się, że w tym roku, jesienią, zamierzał ożenić się z oskarżoną. Powiedział mi również, że nie utrzymywał z oskarżoną kontaktów płciowych.

- Do jakich wniosków doszła pani na tej podstawie?

Lizzie uniosła brwi.

- Najpierw pomyślałam, że Samuel mógł się dowiedzieć, że Katie miała kogoś na boku i znalazłszy dziecko, udusił je, żeby się zemścić. Ale on mieszka z rodzicami, na farmie oddalonej o dobrych szesnaście kilometrów od farmy Fisherów, jego rodzice zaś potwierdzili, że w godzinach, kiedy według ustaleń lekarza sądowego miał nastąpić zgon noworodka, był w domu i spał. Potem natomiast zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam myśleć odwrotnie; a jeśli te informacje nie wskazują na niego, ale na oskarżoną? Wyłaniał się z nich przecież wyraźny motyw: dziewczyna pochodzi z amiszów, jej partner też, a dziecko miała z kimś obcym. To jest powód, żeby ukryć dziecko po porodzie, być może nawet pozbyć się go raz na zawsze.

- Czy przesłuchiwała pani kogoś jeszcze?

- Tak. Leviego Escha, młodszego z pomocników gospodarza. Dowiedziałam się od niego, że od sześciu lat oskarżona w tajemnicy jeździ na uniwersytet stanowy, aby widywać się z bratem. Jacob Fisher porzucił styl życia amiszów i upodobił się do innych studentów.

- Dlaczego ta informacja była tak ważna?

Lizzie uśmiechnęła się kpiąco.

- O wiele łatwiej poznać chłopaka, którego można by mieć do kompletu z narzeczonym-amiszem, kiedy wielki, nowy świat stoi otworem - świat, w którym jest i alkohol, i studenckie imprezy, i kosmetyki do makijażu.

- Czy rozmawiała pani także z Jacobem Fisherem?

- Owszem. Potwierdził, że siostra odwiedzała go w tajemnicy, ale on też nie wiedział o jej ciąży. To on mi wyjaśnił, dlaczego oskarżona, kiedy wybierała się z wizytą, musiała to robić za plecami ojca. Otóż Jacob Fisher był w domu rodzinnym źle widziany.

George udał konsternację.

- A to dlaczego?

- Amisze kończą szkołę na ósmej klasie, tymczasem Jacob chciał kontynuować edukację. Złamał zasadę i został ekskomunikowany z kościoła amiszów, zaś Aaron Fisher dodatkowo zaostrzył karę i wyrzekł się

syna. Sara Fisher był posłuszna woli męża, ale potajemnie wysyłała córkę na spotkania z Jacobem.

- W jaki sposób zmieniło to pani poglądy na całą tę sytuację?
- Zupełnie niespodziewanie - odpowiedziała Lizzie - wiele rzeczy mi się wyjaśniło. Gdybym to ja była na miejscu oskarżonej i to mój brat zostałby wygnany tylko dlatego, że chciał studiować, to na pewno bardzo bym uważała, żeby przypadkiem nie złamać jakiejś reguły. Może jestem niespełna rozumu, ale moim zdaniem nieślubne dziecko to gorsza przewina niż zacytywanie się po kryjomu Szekspirem. Chcę powiedzieć, że gdyby oskarżonej nie udało się utrzymać tego, co zaszło, w sekrecie, to czekało ją wyrzucenie z domu i usunięcie z rodziny, nie mówiąc już o jej wspólnocie religijnej. Ukrywała więc ciążę przez siedem miesięcy, a kiedy urodziła dziecko, również ukryła ten fakt.

- Czy ustalono tożsamość ojca?
- Nie.
- A czy oprócz oskarżonej miała pani jeszcze innych podejrzanych?

Lizzie westchnęła.

- Starłam się myśleć bez uprzedzeń, ale naprawdę nic innego do siebie nie pasowało. Poród nastąpił dwa i pół miesiąca przed prawidłowym terminem, w miejscu pozbawionym elektryczności i telefonu, co oznaczało tyle, że nikogo nie można było wezwać, nikt nie wiedziałby nawet, co się dzieje oprócz domowników, gdyby przypadkowo usłyszeli, że oskarżona właśnie rodzi. Było zaś mało prawdopodobne, aby o drugiej nad ranem na farmie amiszów zjawił się z niespodziewaną wizytą ktoś obcy, zresztą nawet gdyby tak się stało, dlaczego miałyby zabić dziecko? I dlaczego oskarżona nie wspomniała ani słowem o takiej możliwości?

Nie miałam zatem żadnych podejrzanych spoza rodziny. Ale nikt z Fisherów, poza jedną osobą, nie skłamał mi w żywe oczy, kiedy pytałam o ciążę i urodzenie dziecka. Tylko jedna osoba z rodziny ryzykowała praktycznie wszystko, gdyby sekret się wydał. I tylko na tę jedną osobę z rodziny wskazywały dowody znalezione na miejscu zbrodni. - Lizzie rzuciła okiem w stronę stołu, za którym siedziała oskarżona. - Moim zdaniem fakty dowodzą niezbicie, że Katie Fisher udusiła swojego noworodka.

Kiedy Ellie Hathaway wstała, aby rozpocząć przesłuchanie, Lizzie wyprostowała się na krześle, przypominając sobie, co George opowiadał o tej bezwzględnej adwokatce, która umiała podobno wycisnąć zeznania z najbardziej opornych świadków. Lizzie nie wątpiła w to ani przez chwilę: sam wygląd obrończyni zdawał się o tym świadczyć. Policjantka nieźle

dawała sobie radę z facetami z wydziału, ale ta Ellie Hathaway, ostrzyżona krótko, wbita w surowy kostium prostego kroju, sprawiała wrażenie, jakby ociosano ją ze wszystkich łagodniejszych cech charakteru.

Nic więc dziwnego, że przy takim nastawieniu Lizzie niemalże spała z krzesła, widząc na twarzy adwokatki szczerzy, przyjazny uśmiech.

- Czy wie pani, że kiedyś spędzałam tutaj każde wakacje?

Lizzie spojrzała na nią zdezorientowanym wzrokiem.

- W sądzie?

- Nie! - zaśmiała się Ellie. - Ale rzeczywiście, tak o mnie mówią. Nie, przyjeżdżałam do East Paradise na lato.

- Nie wiedziałam o tym - przyznała Lizzie sztywnym tonem.

- Mam tutaj ciotkę, która prowadziła kiedyś niedużą farmę. - Ellie błysnęła zębami. - Zanim jeszcze podatki gruntowe odbiły od gruntu i sięgnęły stratosfery.

Lizzie parsknęła pod nosem.

- I dlatego ja wynajmuję.

- Wysoki sądzie - wtrącił się George, rzucając swojemu świadkowi ostrzegawcze spojrzenie - ława przysięgłych nie musi chyba wysłuchiwać opowieści z krainy dzieciństwa mecenas Hathaway?

Sędzina Ledbetter skinęła głową.

- Czy ta dygresja ma czemuś służyć?

- Owszem, wysoki sądzie. Chcę wykazać, że ludzie, którzy dorastają w tej okolicy, często mają okazję widywać amiszów. Zgodzi się pani? - zagadnęła Lizzie.

- Tak.

- Zeznała pani, że amiszę rzadko bywają notowani przez policję. Kiedy ostatni raz zdarzyło się pani spisać jakiegoś amiszę?

Lizzie poszukała w pamięci.

- Około pięciu miesięcy temu. Siedemnastolatek wjechał bryczką do rowu. Był pod wpływem alkoholu.

- A jeszcze wcześniej? Jak dawno to było?

- Nie wiem. - Pomimo wysiłków, Lizzie nie potrafiła odpowiedzieć inaczej.

- Ale dosyć dawno?

- Raczej tak - przyznała policjantka.

- Czy na podstawie doświadczeń wyniesionych z kontaktów z amiszami, zarówno tych służbowych, jak i prywatnych, zgodzi się pani, że są to ludzie na ogół łagodni i bezkonfliktowi?

- Tak.

- Czy wie pani, co się dzieje, kiedy niezameżna córka amiszów urodzi dziecko?

- Słyszałam, że rodzina bierze je na wychowanie - odpowiedziała Lizzie..

- Zgadza się. Katie nie musiała obawiać się ekskomuniki - groziło jej tylko tymczasowe odsunięcie od wspólnoty. Po upływie wyznaczonego czasu mogła liczyć na przebaczenie i przyjęcie z powrotem, z otwartymi ramionami. Gdzie zatem dopatrywać się motywu zbrodni?

- W postępowaniu jej ojca - wyjaśniła policjantka. - Kiedy członek rodziny odchodzi z kościoła amiszów, można utrzymywać z nim kontakt pomimo nałożonej na niego ekskomuniki. Aaron Fisher jednakże zabronił wszelkich kontaktów z bratem oskarżonej i zakazał mu wstępu do swojego domu. Oskarżona w głębi serca nie potrafiła przestać myśleć o surowości ojca.

- Wydawało mi się, że nie przesłuchiwała pani pana Fishera.

- Zgadza się.

- Aha - Ellie uniosła brew - czyta pani w myślach, jak rozumiem.

- Przesłuchałam jego syna - odparowała Lizzie.

- Rozmowa z synem nie powie pani, co myśli ojciec, podobnie jak oględziny zwłok noworodka nie dostarczą dowodów na to, że zabiła go własna matka, nie sądzi pani?

- Sprzeciw!

- Wycofuję pytanie - powiedziała Ellie, gładko przechodząc do następnego. - Czy dziwi panią, że kobieta z rodziny amiszów staje przed sądem pod zarzutem morderstwa?

Lizzie zerknęła na George'a.

- To rzecz niespotykana, przyznaję, ale takie są fakty.

- Doprawdy? Wyniki badań naukowych dowiodły, że Katie urodziła dziecko. To jest fakt niepodważalny. Ale czy kobieta, która urodziła dziecko, musi od razu je zabijać?

- Nie.

- Wspomniała pani również, że w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono zwłoki noworodka, na klepisku zabezpieczono odcisk stopy. Czy pani zdaniem ślad ten wskazuje na Katie jako na morderczynię?

- Owszem - odpowiedziała Lizzie - ponieważ wiemy, że oskarżona nosi buty rozmiaru siedem. Sam w sobie nie jest to obciążający dowód, ale służy naszej teorii.

- Czy istnieje metoda, za pomocą której można dowieść, że ten konkretny ślad to odcisk stopy Katie i nikogo innego?

Lizzie splotła dłonie.

- Nie ma metody wykluczającej pomyłkę.

- Ja też noszę siódmkę, pani sierżant. Teoretycznie to ja mogłam zostawić ten ślad, zgadza się pani?

- Nie było pani tego dnia w oborze Fisherów.
- Czy wie pani, że dorosła kobieta siódemka równa się w przybliżeniu dziecięcej piątce?
- Nie wiedziałam o tym.
- A czy wiedziała pani, że Levi Esch nosi piątkę?

Lizzie uśmiechnęła się lekko.

- Teraz już wiem.
- Czy Levi w chwili pani przyjazdu na farmę był boso?
- Tak.
- Czy sam nie zeznał, że w chwili, gdy znalazł zwłoki noworodka, stał właśnie obok tej sterty końskich derek, bo chciał zdjąć jedną z samego wierzchu?

- Zgadza się.

- Jest zatem możliwe, że odcisk stopy, zaliczony przez panią do istotnych dowodów na to, że Katie popełniła morderstwo, faktycznie należy do kogoś innego, kto znalazł się na miejscu zdarzenia z kompletnie niewinnego powodu?

- Tak, to możliwe.

- W porządku - powiedziała Ellie. - Zeznała pani, że pępownię przecięto nożycami.

- Które zginęły - dodała Lizzie.

- Jeśli dziewczyna zamierzała zabić swoje dziecko, to czy sądzi pani, że zavracałaby sobie głowę przecinaniem pępownicy?

- Nie mam pojęcia.

- A jeśli powiem pani, że zaciśnięcie i przecięcie pępownicy wywołuje odruch, który powoduje, że noworodek zaczyna sam oddychać? Po co więc to robić, skoro i tak ma się zamiar kilka minut później go udusić?

- Można tego nie robić - zgodziła się spokojnie Lizzie - ale wydaje mi się, że większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że przecięcie pępownicy wywołuje odruch oddychania. Wiedzę o tym, że należy ją przeciąć i podwiązać, najczęściej czerpie się z telewizji, z programów o porodach. W tym wypadku, oczywiście, nie będzie to telewizja, tylko obserwacja zwierząt gospodarczych.

Ellie, lekko zbita z tropu, wycofała się, aby uderzyć świeżymi siłami:

- Skoro dziewczyna miała zamiar zabić swoje dziecko, to czy nie prościej byłoby zakopać je w sianie i pozwolić mu umrzeć z zimna?

- Być może.

- Mimo to znaleziony noworodek był wytarty do czysta i troskliwie zawinięty w koszulę. Proszę powiedzieć, pani sierżant: czy matka-morderczyni zada sobie trud, żeby wyczyścić i otulić czymś swoje dziecko?

- Nie wiem, ale tak właśnie się stało - odpowiedziała Lizzie zdecydowanym tonem.

- Z tym łączy się kolejna kwestia - kontynuowała Ellie. - Zgodnie z teorią, którą pani przedstawiła, Katie ukrywała ciążę przez siedem miesięcy, a gdy poczuła bóle, zakradła się do obory i urodziła w absolutnej ciszy, zadając sobie wiele trudu, aby nikt się nie dowiedział, że dziecko kiedykolwiek istniało, zostało poczęte i urodziło się. Jak zatem wyjaśnić fakt, że zostawiła je właśnie w tym miejscu, wiedząc, że kilka godzin później będzie tam pełno ludzi? Dlaczego nie utopiła dziecka w sadzawce za oborą?

- Nie wiem.

- Dlaczego nie wrzuciła go do gnojówki, gdzie nikt by go nie znalazł przez długi czas?

- Nie wiem.

- Na farmie amiszów jest wiele bardzo dobrych miejsc, gdzie można ukryć zwłoki dziecka. Nie trzeba go od razu nakrywać stertą końskich derek. Wystarczy ruszyć głową.

Lizzie wzruszyła ramionami.

- Nikt nie mówił, że oskarżona potrafi ruszyć głową. Zarzucono jej tylko popełnienie morderstwa.

- Morderstwa? Tutaj chodzi o prostą, podstawową logikę. Po co przecinać pepowinę, zmuszając dziecko, żeby zaczęło oddychać, po co je zawijać w koszulę, a potem zabić i zostawić w takim miejscu, gdzie z całą pewnością ktoś je znajdzie?

Lizzie westchnęła.

- Może oskarżona nie myślała jasno w tym momencie.

Ellie tylko na to czekała, żeby przypuścić frontalny atak:

- Ale przecież stawiając komuś zarzut morderstwa, domniemywa się, że oskarżony był świadomy swych czynów, działał z rozmysłem i w sposób przemyślany. Czy można jednocześnie być skoncentrowanym i zdezorientowanym?

- Nie wiem, pani Hathaway. Nie jestem psychiatrą.

- Otóż to - powiedziała Ellie z naciskiem. - Nie wie pani.

Kiedy Katie i Jacob byli jeszcze dziećmi, latem lubili bawić się na polu, zygzakując w wysokiej kukurydzy jak w prawdziwym labiryncie. Katie nigdy nie mogła się nadziwić, że te zielone ściany potrafią być aż takie grube; często brat stał na wyciągnięcie ręki, jak za kurtyną, a ona nawet się tego nie domyślała.

Kiedyś, kiedy miała mniej więcej osiem lat, zgubiła się. Bawili się w ojca Wirgiliusza, ale Jacob pobiegł przed siebie jak strzała i Katie nie mogła go dogonić. Zniknął jej z oczu i chociaż go wołała, nie chciał

przyjść, bo tego dnia akurat zachciało mu się z nią drażnić. Katie zaczęła chodzić w kółko, aż w końcu zmogły ją zmęczenie i pragnienie. Położyła się na wznak na ziemi i wyjrzała, mrużąc oczy, przez szczeliny w kukurydzianej strzesze, pocieszając się myślą, że słońce jest wciąż to samo, że niebo jest to samo, że wszystko, co ją otacza, to ten sam znajomy świat, który zobaczyła rano po przebudzeniu. A w końcu w Jacobie obudziło się sumienie i dręczony wyrzutami, sam odszukał siostrę.

Teraz, siedząc za stołem na sali rozpraw, ogarnięta nawalnicą krzyżujących się w powietrzu słów, Katie przypomniała sobie tamten dzień i tamto pole kukurydzy.

Wszystko to zawsze potrafi samo ułożyć się jak najlepiej. Należy tylko pozostawić sprawę ich własnemu biegowi.

- Pacjentkę przywieziono na izbę przyjęć z krwawieniem z pochwy, test ciążowy był dodatni. Miała miękką macicę o wielkości typowej dla dwudziestego czwartego tygodnia ciąży oraz pełne rozwarcie szyjki macicy - powiedział doktor Seaborn Blair. - Najpierw podaliśmy jej oksytocynę we wlewie kroplowym, żeby powstrzymać krwawienie. Badanie zewnętrznych narządów płciowych potwierdziło, że pacjentka była w ciąży.

- Czy oskarżona znosiła wszystkie zabiegi bez oporów? - zapytał George.

- O ile sobie przypominam, to nie - odparł doktor Blair. - Opierała się szczególnie podczas badania przezpochwowego. Takie zachowanie czasem spotyka się u młodych kobiet z dalszych stron.

- Czy po zakończeniu zabiegów miał pan okazję porozmawiać z oskarżoną?

- Tak. Oczywiście, najpierw zapytałem o dziecko. Było jasne, że panna Fisher jest świeżo po porodzie, chociaż nie przywieziono razem z nią noworodka.

- Jak oskarżona wyjaśniła ten fakt?

Doktor Blair spojrzał na Katie.

- Powiedziała, że nie urodziła żadnego dziecka.

- Aha - powiedział George. - Pan tymczasem wiedział, że z medycznego punktu widzenia sprawa wygląda inaczej.

- Zgadza się.

- Czy zadawał pan oskarżonej więcej pytań?

- Tak, ale w dalszym ciągu obstawała przy tym, że nie była w ciąży. Doradziłem jej więc konsultację psychiatryczną.

- Czy psychiatra badał oskarżoną w szpitalu?

- O ile mi wiadomo, nie - odparł lekarz. - Pacjentka nie chciała się zgodzić.

- Dziękuję - powiedział George. - Świadek do dyspozycji obrony.
Ellie przez chwilę nie ruszała się z miejsca, bębniąc palcami po blacie stołu dla obrony, potem wstała.

- Miękką macicą, pozytywny wynik badania zewnętrznych na rządy płciowych, krwawienie, badanie przezpochwowe. Czy te objawy oraz wyniki badań przekonały pana, że Katie urodziła dziecko?

- Tak.

- Czy dzięki nim zaczął pan myśleć, że Katie zabiła tego noworodka?

Po raz kolejny doktor Blair spojrzął na Katie.

- Nie - odpowiedział.

Doktor Carl Edgerton pracował jako lekarz sądowy w okręgu Lancaster od ponad piętnastu lat i bardzo dobrze pasował do popularnego wyobrażenia o człowieku uprawiającym ten zawód: miał gęste, krzaczaste brwi oraz siwe włosy zaczesane do tyłu i rozdzielone pośrodku przedziałkiem. Występował już jako świadek w niezliczonej liczbie procesów, za każdym razem prezentując tę samą lekko zirytowaną minę, która mówiła wyraźnie, że najchętniej natychmiast wróciłby do swojego laboratorium.

- Panie doktorze - zwrócił się do niego oskarżyciel - czy może nam pan przedstawić wyniki autopsji noworodka figurującego w ewidencji jako „Fisher S”?

- Proszę. Był to żywo urodzony wcześniak płci męskiej. Nie stwierdzono u niego żadnych wad wrodzonych, wykryto natomiast objawy ostrego zapalenia błon płodowych, jak również zachłyśnięcie smółką oraz wczesne stadia zapalenia płuc. Były także różne oznaki asfiksji okołoporodowej. Dodatkowo wykryto wylewy podskórne wokół ust, zaś wewnątrz jamy ustnej znaleziono bawełniane włókna pochodzące z koszuli, w którą noworodek był zawinięty.

- Zatrzymajmy się tutaj na chwilę, aby zrozumieli nas ci z państwa, którzy nie studiowali medycyny - zaproponował George, uśmiechając się do ławników. - Co to znaczy, że noworodek był żywo urodzonym wcześniakiem?

- Poród nastąpił przed terminem. Wiek szkieletowy odpowiadał trzydziestemu drugiemu tygodniowi wieku ciążowego.

- A co to znaczy „żywo urodzony”?

- Jest to przeciwieństwo martwo urodzonego. Płuca dziecka miały różowy kolor i były napowietrzone. Pobrano reprezentatywne próbki z obu dolnych płatów i zanurzono je w wodzie razem z próbką kontrolną

pobraną z wątroby. Tkanka płucna unosiła się na powierzchni, a tkanka wątrobowa zanurzyła się, co wskazuje na to, że noworodek przeżył poród i oddychał powietrzem.

- A brak wad wrodzonych? Czemu to jest ważne?

- Ponieważ w przeciwnym razie dziecko po porodzie nie byłoby zdolne do życia. Nie wykryto także żadnych defektów chromosomalnych ani symptomów nadużycia środków odurzających. Wszystkie badania, co znaczące, dały wynik negatywny.

- A zapalenie błon płodowych?

- Zasadniczo, była to infekcja w organizmie matki, która doprowadziła do porodu przed terminem. Dodatkowo przeprowadzono badania łożyska, dzięki którym wykluczono inne najczęściej spotykane przyczyny przedwczesnego porodu. Przyczyn zapalenia błon płodowych nie ustalono, ponieważ tkanki płodowe oraz łożysko były zanieczyszczone.

- Skąd to wiadomo?

- Badanie mikrobiologiczne wykryło obecność maczugowców błonicy, czyli pospolitych drobnoustrojów chorobotwórczych, w tkankach płodowych. Jeśli chodzi o łożysko, to gdy poród następuje siłami natury, rzadko kiedy bywa ono sterylne, niemniej w tym wypadku leżało jeszcze przez jakiś czas na podłodze w oborze.

George skinął głową.

- A co to jest asfiksja?

- Niedobór tlenu, który ostatecznie doprowadził do śmierci. Na powierzchni płuc, grasicy i worka osierdziowego widoczne były wybroczyny, czyli drobne krwawienia wewnątrztkankowe. W mózgu doszło do niewielkiego krwotoku podpajęczynówkowego. W wątrobie odkryto plamy zmian martwiczych. To wszystko brzmi bardzo egzotycznie, ale zdarza się w przypadkach asfiksji.

- A te wylewy podskórne i bawełniane włókna?

- Wylewy podskórne w języku niefachowym są to niewielkie siniaki. Wszystkie miały w przybliżeniu od jednego do półtora centymetra średnicy i otaczały usta. Bawełniane włókna odkryto w wyskrobinach pobranych z jamy ustnej i dopasowano do koszuli, w którą noworodek był zawinięty.

- Do jakich wniosków doszedł pan na tej podstawie?

- Że ktoś wepchnął tę koszulę w usta dziecka, aby odciąć mu dopływ tlenu.

George milczał przez chwilę, aby to, co właśnie zostało powiedziane, dotarło do wszystkich.

- Czy zbadano pępowinę noworodka?

- Załączona próbka pępowiny miała około dwudziestu centymetrów długości. Nie była zawiązana ani zamknięta zaciskiem, ale jej

koniec był zgnieciony, jakby podwiązka została wcześniej założona. Włókna pobrane z kikuta pępowiny oddano do analizy w laboratorium policyjnym, gdzie dopasowano je do szpagatu znalezionego w oborze. Linia przecięcia pępowiny była nierówna, znaleziono na niej drobiny włókien, a w samym środku widoczne było niewielkie załamanie.

- Czy to jest istotny szczegół?

Lekarz wzruszył ramionami.

- Oznacza to tyle, że pępowinę przecięto najprawdopodobniej nożycami, które miały karb na jednym ostrzu i których używano do przycinania szpagatu.

- Panie doktorze, czy na podstawie wszystkich tych danych ustalił pan przyczynę zgonu noworodka „Fisher S”?

- Tak - odpowiedział doktor Edgerton. - Asfiksja wskutek uduszenia.

- Czy ustalił pan okoliczności śmierci?

Patolog skinął głową.

- Morderstwo.

Ellie wzięła głęboki oddech, po czym wstała, podchodząc do lekarza sądowego.

- Doktorze Edgerton, czy wylewy podskórne dookoła ust dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że dziecko zostało uduszone?

- Dowodzą tego oznaki asfiksji, które znaleziono w wielu narządach.

Ellie przytaknęła.

- Czyli na przykład wybroczyny w płucach. Ale czy to prawda, że nie istnieje sposób, żeby podczas sekcji zwłok ustalić dokładnie, kiedy nastąpiła asfiksja? Gdyby przykładowo przed albo w trakcie porodu doszło do zaburzenia przepływu krwi łożyskowej, to czy autopsja nie wykazałaby niedotlenienia płodu?

- Wykazałaby.

- A gdyby to zaburzenie nastąpiło zaraz po porodzie? Czy to mogłoby wywołać objawy asfiksji?

- Owszem.

- A gdyby matka podczas porodu dostała krwotoku albo miała trudności z oddychaniem?

Patolog skinął głową.

- Wystąpiłyby podobne objawy.

- A gdyby płuca dziecka nie były jeszcze w pełni rozwinięte, gdyby miało ono słabe krążenie krwi albo zapalenie płuc? Czy wtedy także widoczne byłyby te objawy?

- Tak.

- A gdyby dziecko zakrztusiło się własnym śluzem?
- Wtedy też.
- Zatem asfiksja może mieć wiele przyczyn, niekoniecznie musi być skutkiem celowego uduszenia?

- Zgadza się, pani Hathaway - odparł lekarz sądowy. - Diagnozę w tym konkretnym wypadku oparłem na objawach asfiksji w połączeniu z wylewami okołoustnymi oraz śladami włókien znalezionymi w jamie ustnej.

Ellie uśmiechnęła się.

- Zatrzymajmy się więc na chwilę przy tym. Czy siniak jest dowodem na to, że ktoś dotykał dłonią ust dziecka?

- Siniak powstaje w miejscu, gdzie nastąpił miejscowy nacisk - odparł doktor Edgerton. - Może pani to sobie tłumaczyć, jak pani zechce.

- Dobrze, spróbujmy. Gdyby wydalenie płodu nastąpiło pod kątem, a dziecko spadło twarzą prosto na ziemię - czy wtedy pokazałyby się siniaki?

- Możliwe.

- A gdyby to matka je chwyciła, aby zapobiec upadkowi?

- Być może - zgodził się lekarz.

- Zaś co do włókien w jamie ustnej - kontynuowała Ellie - to czy nie mogły się tam znaleźć w taki sposób: matka zauważyła, że dziecko krztusi się śluzem i wytarła mu usta, dokładnie, wewnątrz także? Czy to jest możliwe?

Edgerton skłonił głowę.

- Owszem.

- Czy w opisanych przeze mnie sytuacjach matka chce zrobić dziecku krzywdę?

- Nie.

Ellie podeszła do ławy przysięgłych.

- Wspominał pan, że posiewy były zanieczyszczone?

- Tak. W czasie, jaki upłynął pomiędzy porodem a odnalezieniem łożyska, na jego tkance namnożyły się bakterie.

- Zakażone były także tkanki płodowe?

- Zgadza się - odparł doktor Edgerton. - Maczugowcami błonicy.

- W jaki sposób zidentyfikował pan owe... maczugowce błonicy?

- Wykonałem ocenę ilościową oraz barwienie metodą Grama bakterii wyhodowanych z rozmazów pobranych z łożyska i od płodu.

- Czy przeprowadził pan badania biochemiczne w celu upewnienia się, że to były maczugowce błonicy?

- Nie było takiej potrzeby. - Lekarz wzruszył ramionami. - Czy pani przegląda swoje podręczniki przed każdą sprawą, pani Hathaway?

Ja to robię od piętnastu lat. Proszę mi wierzyć, wiem, jak wyglądają maczugowce błonicy.

- Jest pan stuprocentowo pewny, że to były właśnie one? - dopytywała się Ellie.

- Tak, jestem.

Adwokatka uśmiechnęła się lekko.

- Wspomniał pan również, że w tkance łożyskowej wykryto objawy ostrego zapalenia błon płodowych. Czy to prawda, że kiedy następuje owo zapalenie, płód może wciągnąć do płuc zakażony płyn owodniowy, wskutek czego wywiązuje się wewnątrzmaciczne zapalenie płuc prowadzące do posocznicy, a w konsekwencji do śmierci?

- Dzieje się tak, ale bardzo, bardzo rzadko.

- Lecz jednak się zdarza?

Patolog westchnął.

- Zdarza się, ale to już naprawdę jest szukanie dziury w całym. Wniosek, że zapalenie błon płodowych wywołało przedwczesny poród, jest o wiele bardziej realistyczny niż ten, że było ono przyczyną zgonu noworodka.

- Sam pan jednak zeznał - przypomniała Ellie - że sekcja zwłok wykazała objawy wczesnych stadiów zapalenia płuc.

- To prawda, ale choroba nie była na tyle ostra, żeby spowodować śmierć.

- Zgodnie z protokołem z autopsji, w płucach znajdowała się smółka. Czy nie wskazuje to na niedotlenienie okołoporodowe?

- Zgadza się. Smółka, czyli zawartość jelit płodu, przedostała się do płynu owodniowego i została wciągnięta do płuc. Jest to czynnik wielce drażniący, który może spowodować groźne zaburzenia oddychania.

Ellie odeszła od ławy przysięgłych i wróciła do świadka.

- Oto właśnie sam pan nam podał dwie dodatkowe przyczyny, które mogły doprowadzić do zaburzeń oddychania u tego noworodka: wczesne zapalenie płuc oraz zachłyśnięcie się smółką.

- Owszem.

- W swoim zeznaniu wskazał pan asfiksję jako przyczynę śmierci.

- Owszem.

- Czy to prawda, że zarówno zapalenie płuc, jak i zachłyśnięcie się smółką - czyli zjawiska wywołane przyczynami naturalnymi - doprowadziłyby do asfiksji?

Doktor Edgerton odpowiedział rozbawionym tonem, jakby dośladnie wiedział, do czego zmierza adwokatka:

- Być może, pani Hathaway. O ile tylko uduszenie nie nastąpiło wcześniej. Bo wtedy zakażenie byłoby już całkiem zbędne.

Idea dystrybutora, który potrafi serwować i kawę, i ciepłą zupę, od zawsze nieco działała Ellie na nerwy, ponieważ po pierwsze, nigdy przecież nie wiadomo, jak długo te wszystkie płyny stoją we wnętrzu maszyny, a po drugie - skąd automat wie, odebrawszy zamówienie, czym się różni kawa bezkofeinowa od bulionu z kurczaka? Takie myśli przebiegały jej przez głowę, kiedy stała, założywszy ręce na biodra, przed kanciastym pudłem zainstalowanym w podziemiach gmachu sądu, czekając, aż z otworu wystrzeli styropianowy kubek, a z kubka uniesie się kłębiasty obłoczek pary.

I nic.

- Ejże - mruknęła pod nosem, kopiąc dystrybutor tuż przy samej ziemi. Po chwili dołożyła mu jeszcze pięścią w pleksiglasową szybkę, żeby było po równo. - Zzarłeś mi pięćdziesiąt centów - powiedziała, już nieco głośniej.

Gotowała się do dłuższej wiązanki, ale urwała w pół słowa, słysząc za plecami głos:

- Przypomnij mi, że mam zawsze oddawać ci forszę.

Coop położył dłonie na jej ramionach, a po chwili poczuła jego usta na karku, wygiętym niczym główka skrzypiec.

- Ktoś chyba powinien konserwować te automaty. - Ellie zgrzytnęła zębami i odwróciła się plecami do maszyny, która, jakby na to czekała, strzyknęła kawą, nie podawszy uprzednio kubka. Gorący płyn opryskał buty i kostki Ellie.

- Cholera jasna! - zawyła adwokatka, odskakując na bok i wykręcając szyję, żeby przyjrzeć się brązowemu szlaczkowi, który wykwił na jej jasnych pończochach. - No, świetnie.

Coop przysiadł na jednym z metalowych krzesełek stojących obok rządkiem.

- Pamiętam z dzieciństwa, jak moja babcia sama powodowała wypadki. Wywracała specjalnie butelki z mlekiem, potykała się o własne nogi, oblewała się wodą.

Ellie przyłożyła chusteczkę do poplamionych kostek.

- Nic dziwnego, że skończyłeś jako psychiatrę.

- Jest w tym wiele sensu, jeśli tylko człowiek jest przesądny. Babcia robiła tak zawsze, kiedy miała coś ważnego do załatwienia. To był jej sposób na eliminowanie niepowodzeń. Potem miała już cały dzień spokojny.

- Wiesz, że to tak nie działa.

- Jesteś pewna? - Coop założył nogę na nogę. - Pomyśl, czy nie byłoby fajnie, gdybyś mogła sobie teraz pomyśleć: mam to już za sobą, wrócę tam na górę, na rozprawę i wszystko mi się uda?

Ellie z westchnieniem opadła na sąsiednie krzesło.

- Wiesz, że ona się cała trzęsie? - Złożyła brudną chusteczkę na pół i jeszcze raz na pół, upuściła ją na podłogę. - Siedzi obok mnie, a ja czuję, jak ona drży. Wibruje jak kamerton.

- Chcesz, żebym z nią porozmawiał?

- Nie wiem - zamyśliła się Ellie. - Boję się, że rozmowa o tym wystraszy ją jeszcze bardziej.

- Z perspektywy psychologii...

- Nie rozpatrujemy tego z perspektywy psychologii, Coop, tylko z perspektywy prawa. A najważniejsze jest to, żeby Katie przeżyła ten proces i się nie załamała.

- Jak dotąd świetnie ci idzie.

- Niczego jeszcze nie zrobiłam!

- Aha, rozumiem. Jeśli Katie już się denerwuje, kiedy tylko słucha zeznań, to co będzie, jak wezwiesz ją na świadka? - Pomasaował delikatnie plecy Ellie. - Przecież to nie jest twój pierwszy strachliwy klient.

- Jasne, że nie.

- Zobaczysz, że... - Coop urwał, widząc w drzwiach innego adwokata, który skinął im głową na powitanie i wsunął kilka ćwierćdolarówek do szczeliny automatu. - Ostrożnie - ostrzegł. - Nie nauczył się jeszcze korzystać z nocniczka.

Ellie stłumiła parsknięcie. Kiedy rozzłoszczony adwokat, klnąc pod nosem, kopnął dystrybutor i wyszedł z pomieszczenia, kierując się z powrotem na górę, uśmiechnęła się do Coopa.

- Dzięki. Tego mi było trzeba.

- A tego nie? - zapytał, nachylając się ku niej i nie kryjąc zamiarów.

- Nie całuj mnie. - Odsunęła go na odległość wyciągniętych rąk. - Chyba coś złapałam.

Przewrócił oczami, a potem je zamknął.

- Pójdę na ten hazard.

- No, jesteście wreszcie.

Słyszając głos Ledy, Ellie i Coop odskoczyli od siebie. Ciotka stała na klatce schodowej razem z Katie.

- Powtarzałam jej, że zaraz wrócisz - powiedziała - ale nie chciała mnie słuchać.

Katie zeszła ze schodów i stanęła przed Ellie.

- Muszę wracać do domu.

- Już niedługo, Katie. Wytrzymaj jeszcze troszeczkę.

- Muszę wrócić na popołudniowy udój. Jeśli pojedziemy teraz, to jeszcze zdążymy. Dać nie poradzi sobie sam, tylko z Levim do pomocy.

- Musimy zostać w sądzie do końca dzisiejszego posiedzenia - wyjaśniła jej Ellie.

- Hej, Katie - odezwał się nagle Coop - chodźmy sobie gdzieś na chwilkę. Pogadamy. - Spojrzał na Ellie z ukosa, prosząc ją spojrzeniem o wyrozumiałość.

Już z daleka było widać, że Katie drży na całym ciele. Nie odpowiadając ani słowem na propozycję Coopa, zawiesiła spojrzenie na Ellie.

- Nie możesz zamknąć tego posiedzenia? - zapytała.

- To jest przywilej sędziego prowadzącego sprawę. - Ellie położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. - Wiem, że to dla ciebie ciężkie i chciała-bym... a ty dokąd?

- Idę porozmawiać z panią sędzią. Poproszę ją, żeby zamknęła posiedzenie - odpowiedziała Katie upartym tonem. - Nie mogę migać się od pracy w domu.

- Chcesz tak po prostu pójść i pogadać? Tak się nie robi.

- A ja to zrobię.

- Niech tylko sędzia się na ciebie wkurzy - ostrzegła ją Ellie -to będziesz miała prace domowe z głowy do końca życia.

Wyprowadzona z równowagi Katie naskoczyła na nią.

- To ty idź i poproś.

- Przyznaję, że to dla mnie coś nowego, pani mecenas - powiedziała sędzina Ledbetter, pochylając się nad blatem biurka i marszcząc brwi. - Prosi pani, żeby sąd zakończył dziś posiedzenie wcześniej niż co dzień, bo pani klientka musi wrócić do pracy w gospodarstwie?

Ellie wyprostowała się w krześle, patrząc na sędzinę beznamiętnym wzrokiem.

- Ściśle rzecz biorąc, wysoki sędzie, chciałam prosić, aby sąd kończył pracę o godzinie trzeciej po południu każdego dnia rozprawy. Zapewniam, że gdyby nie było to istotne dla mojej klientki oraz podyktowane zasadami, które rządzą jej życiem, nie proponowałabym tego.

- Sąd kończy pracę o czwartej trzydzieści, pani Hathaway.

- Wiem o tym. Wyjaśniłam to już swojej klientce.

- Z najwyższą uwagą wysłucham, co też odpowiedziała pani klientka.

- Powiedziała, że krowy nie będą czekać. - Ellie zaryzykowała zerknięcie w bok, na George'a. Prokurator szczyrzył zęby jak kot, który zjadł kanarka. Nic zresztą dziwnego: na jego oczach Ellie własnoręcznie kopała sobie grób, a on nie musiał nawet kiwnąć palcem, żeby jej w tym pomóc, bo radziła sobie doskonale. - Musimy również rozważyć kolejną kwestię: jeden ze świadków wezwanych do złożenia zeznań jest także

pomocnikiem gospodarskim na farmie państwa Fisherów. Jeżeli on i oskarżona nie będą mogli pomagać przy popołudniowym udoju, rodzina zostanie narażona na niepotrzebne straty finansowe.

Sędzina Ledbetter zwróciła się do prokuratora:

- Panie Callahan, zakładam, że chciałby pan się wypowiedzieć.

- Owszem, wysoki sędzie. O ile mi wiadomo, amisz nie przestawiają zegarków na czas letni i z powrotem na zimowy. Mogą sobie żyć i pracować według własnego porządku, kiedy nikomu to nie wadzi, ale w sądzie mają obowiązek dostosować się do naszego zegara. Dostrzegam tutaj intencję mecenas Hathaway, aby wszędzie wynajdywać jaskrawe różnice pomiędzy amiszami a resztą świata.

- To nie jest moja intencja, George - mruknęła Ellie. - To się nazywa prosto: laktacja.

- Ponadto - ciągnął dalej prokurator - pozostał mi na dziś jeszcze jeden świadek do przesłuchania. Odroczenie jego zeznania byłoby ze szkodą dla mojej sprawy, ponieważ jest piątek i sędziowie przysięgli będą mogli usłyszeć je dopiero w poniedziałek, a do tej pory przepadnie cały efekt.

- Rzykując, że to co powiem, będzie aroganckie, pozwolę sobie zauważyć, wysoki sędzie, że uczestniczyłam już w wielu procesach i często spotykałam się z tym, że harmonogram rozprawy zmieniano w ostatniej chwili ze względu na to, że adwokatowi, a nawet sędziemu, wypadało coś nieoczekiwanego: musiał na przykład zająć się dzieckiem albo pójść do lekarza. Skoro więc dla pracowników sądu robi się wyjątki, to czemu nie można tym razem nagiąć nieco zasad, żeby pójść na rękę oskarżonej?

- Oskarżona sama sobie radzi z naginaniem zasad - rzucił George oschłym tonem.

- Proszę nie skakać sobie do oczu - ucięła sędzina Ledbetter. - Pani prośba ma tę kuszącą zaletę, pani Hathaway, że można by w ten sposób uniknąć piątkowych korków, jednakowoż nie wyrażę zgody, przynajmniej dopóki trwa prezentacja świadków oskarżenia. Kiedy przyjdzie pani kolej, może pani kończyć posiedzenie sądu o trzeciej, jeśli to pani odpowiada. Panie Callahan - zwróciła się do George'a - może pan wezwać swego świadka.

- Proszę sobie wyobrazić młodą dziewczynę - powiedział doktor Brian Riordan, psychiatra sądowy i ekspert powołany przez oskarżenie - która potajemnie spotyka się z chłopakiem, o którym jej rodzice nie mają pojęcia. Wbrew własnemu rozsądkowi idzie z nim do łóżka. Po kilku tygodniach okazuje się, że zaszła w ciążę. To jednak nie burzy porządku

jej codziennych zajęć, chociaż czuje się jakby nieco bardziej zmęczona niż przedtem. Jest przekonana, że problem sam się rozwiąże. Odpycha od siebie wszelkie myśli związane z ciążą, obiecując sobie za każdym razem, że jutro się tym zajmie. Tymczasem zaczyna wybierać nieco luźniejsze ubrania i nie pozwala się nikomu przytulić zbyt mocno.

Pewnej nocy budzi ją przeraźliwy ból. Nie wie, co się z nią dzieje, ale myśli tylko o jednym: sekret nie może się wydać. Wymyka się z domu, żeby nikt nie słyszał, jak rodzi. W odosobnieniu, w ciszy, wydaje na świat dziecko, które nie znaczy dla niej absolutnie nic. A dziecko zaczyna płakać. Dziewczyna zakrywa mu usta dłonią, żeby nikogo nie obudziło. Ścisza coraz mocniej, dopóki płacz nie ucichnie, dopóki maleństwo nie znieruchomieje. Potem, wiedząc, że musi się pozbyć ciała, zawija je w jakąś koszulę, która leżała pod ręką i chowa tak, żeby nikt go nie zobaczył. Jest półżywa z wyczerpania, więc wraca do łóżka, obiecując sobie, że resztą zajmie się jutro. Kiedy policja następnego dnia pyta ją o dziecko, odpowiada, że nic nie wie o żadnym dziecku. Mówi dokładnie to samo, co powtarzała sobie przez cały ten czas.

Ławnicy siedzieli jak zahipnotyzowani, zgarbieni, pochłonięci bez reszty sceną zobrazowaną przez Riordana, konturowaną słowami ostrymi jak sztylety.

- A instynkt macierzyński? - zapytał George.

- Kobiety, które zabijają swoje noworodki, są całkowicie odcięte od rzeczywistości - wyjaśnił Riordan. - Pod względem emocjonalnym poród znaczy dla nich dokładnie tyle samo, co usunięcie kamienia żółciowego.

- Czy po zabiciu noworodka te kobiety czują, że coś jest nie w porządku?

- Pyta pan, czy mają wyrzuty sumienia. - Riordan zasznurował wargi. - Owszem. Ale żałują raczej tego, że rodzice zobaczyli je w tak niekorzystnym świetle, nie żal im natomiast śmierci jakiegoś dziecka.

- Panie doktorze, czy poznał pan oskarżoną?

- Poproszono mnie, abym wydał o niej opinię fachową na potrzeby tego procesu.

- Jaki był zakres pańskich czynności?

- Zapoznałem się ze zgromadzonym materiałem dowodowym, a także z wynikami przeprowadzonych testów projekcyjnych, jak chociażby test Rorschacha oraz testów samoopisu, czyli na przykład MMPI. Spotkałem się także z oskarżoną osobiście.

- Czy możliwe było postawienie diagnozy zgodnie z naukowymi wymogami psychiatrii?

- Tak. Zabijając dziecko, Katie Fisher potrafiła odróżnić dobro od zła i była świadoma swych czynów. - Riordan zerknął na Katie. - To klasyczny przypadek zabójstwa noworodka. Oskarżona dokładnie odpowiada charakterystyce kobiety-morderczyni własnego dziecka. Wszystko się zgadza: wychowanie, podjęte działania, kłamstwa.

- A skąd pan wie, że oskarżona kłamała? - zapytał George, zabawiając się w adwokata diabła. - Może naprawdę nie wiedziała, że jest w ciąży ani że urodziła dziecko?

- Oskarżona sama przyznała się do tego, że wiedziała o ciąży, ale postanowiła zachować ją w tajemnicy. Fakt, że człowiek podejmuje konkretne działanie, aby się przed czymś bronić, implikuje, że jest świadomy tego, co robi. W ten sposób zaprzeczenie łączy się z poczuciem winy. Ponadto kłamstwo pociąga za sobą kłamstwo, zatem wszystko, co oskarżona powiedziała na temat ciąży i porodu, jest w najlepszym wypadku wątpliwe. Jednakże jej działania były konsekwentne i dają bardzo konkretny obraz wydarzeń - dodał Riordan. - Podczas naszej sesji oskarżona przyznała, że obudziły ją bóle porodowe i celowo wyszła ze swojego pokoju, ponieważ nie chciała, żeby ktoś ją usłyszał. To przemawia za tym, że chciała działać po kryjomu. Wybrała sobie oborę, a w niej specjalne miejsce, gdzie, jak wiedziała, było świeże siano. To przemawia za tym, że działała celowo. Po porodzie przyrzuciła plamy krwi czystym sianem i zrobiła co mogła, żeby noworodek nie płakał - a jego zwłoki znaleziono rano pod stosem derek. To przemawia za tym, że miała coś do ukrycia. Pozbyła się poplamionej krwią koszuli nocnej, w której spała tej nocy, a kiedy wstała rano, przed rodziną zachowywała się tak samo jak zawsze, aby tylko podtrzymać tę mistyfikację. Każdy z owych czynników: działanie w odosobnieniu, samotny, skryty poród, uprzątnięcie śladów, udawanie, że życie będzie dalej ustalonym trybem - wskazuje na to, że oskarżona wiedziała bardzo dobrze, co robi, a co ważniejsze, miała świadomość tego, że postępuje źle.

- Czy podczas sesji z panem oskarżona przyznała się do zamordowania noworodka?

- Nie. Twierdzi, że tego nie pamięta.

- Skąd w takim razie pańska pewność, że faktycznie to zrobiła? Riordan wzruszył ramionami.

- Stać, że amnezję można udawać bez najmniejszego problemu. A także dlatego, panie Callahan, ponieważ ja się na tym dobrze znam. Każde zabójstwo noworodka przebiega według określonego schematu, a oskarżona pasuje do niego jak ulał. Proszę posłuchać: nie chciała się przyznać do ciąży. Twierdzi, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że zaczyna rodzić. Urodziła w odosobnieniu. Zaprzecza, jakoby miała zabić

dziecko, pomimo że odnaleziono jego zwłoki. W miarę upływu czasu stopniowo zaczynała dostrzegać w swojej wersji wydarzeń pewne luki. Są to wspólne cechy charakterystyczne wszystkich zabójstw noworodków, jakimi miałem okazję się zajmować. Utwierdziły mnie one w przekonaniu, że oskarżona również popełniła takie zabójstwo, nawet jeśli nie potrafi sobie jeszcze przypomnieć pewnych fragmentów zajścia. - Pochylił się ku przesłuchującemu prokuratorowi. - Kiedy widzę coś, co ma pióra, dziób, błoniaste stopy i kwacze, to nie muszę się upewniać, że potrafi pływać, żeby wiedzieć, że to kaczka.

Największym minusem zmiany taktyki obrony było dla Ellie to, że nie mogła już powołać doktor Polacci na świadka; protokół sporządzony przez psychiatrę nie nadawał się do przedłożenia prokuratorowi, ponieważ stało w nim czarno na białym, że Katie zabiła swoje dziecko, aczkolwiek nie rozumiejąc istoty ani wagi tego czynu. Oznaczało to tyle, że jeśli Ellie chciała podkopać oskarżenie o zabójstwo, to teraz miała ku temu jedyną okazję, a podkop musiał być na tyle duży, żeby mógł przejechać nim czołg.

- Ile zabójczyń noworodków badał pan w swojej karierze? - zapytała, wstając i podchodząc zamaszystym krokiem do doktora Riordana.

- Dziesięć.

- Dziesięć! - wykrzyknęła, robiąc wielkie oczy. - A miał pan być ekspertem!

- Mam opinię eksperta. Wszystko jest względne.

- Zatem bada pan jeden taki przypadek rocznie? Riordan skłonił głowę.

- Tak to właśnie wychodzi.

- A owa pańska charakterystyka oraz ustalenia, które pan poczynił na temat Katie, są oparte na rozległym doświadczeniu zebranych podczas pracy z... dziesięcioma kobietami?

- Owszem.

Ellie uniosła brwi.

- W swojej publikacji zamieszczonej w „Przeglądzie Medycyny Sądowej” napisał pan, że zabójcy noworodków to nie są osoby z gruntu złe, zgadza się, panie doktorze? Stwierdził pan, że niekoniecznie chcą one umyślnie wyrządzić komuś krzywdę.

- To prawda. Zazwyczaj te kobiety nie myślą w takich kategoriach. Chcą tylko sobie pomóc i robią to w sposób egocentryczny.

- A jednak we wszystkich sprawach, w których brał pan udział jako biegły, opowiadał się pan za pozbawieniem badanych kobiet wolności?

- Tak. Społeczeństwo musi mieć pewność, że morderców czeka kara.

- Rozumiem. Czy to prawda, panie doktorze, że zabójczynie noworodków przyznają się do tego, co zrobiły?

- Nie od razu.

- Ale ostatecznie, pod ciężarem dowodów lub presji przesłuchującego, załamują się. Mam rację?

- Tego właśnie byłem świadkiem.

- Czy podczas swojej sesji z Katie prosił ją pan o hipotetyczne wyjaśnienie tego, co się stało z dzieckiem?

- Tak.

- Co panu odpowiedziała?

- Udzieliła kilku różnych wyjaśnień.

- Czy powiedziała: „Może samo umarło, a ktoś je zabrał i schował”?

- Między innymi.

- Powiedział pan, że zabójczynie noworodków załamują się pod presją. Czy fakt, że Katie, zamiast się rozkleić i przyznać do morderstwa, sama sformułowała taką hipotezę, nie wskazuje na to, że mogło być właśnie tak, jak powiedziała?

- Równie dobrze mogła skłamać.

- Ale czy Katie chociaż raz przyznała, że zabiła to dziecko?

- Nie. Z drugiej strony, do ciąży również nie chciała się początkowo przyznać.

Ellie puściła tę uwagę mimo uszu.

- Jak dokładnie wyglądała wersja wydarzeń, którą podała panu Katie?

- Zasnęła, a kiedy się obudziła, dziecka nie było. To wszystko, co zdołała sobie przypomnieć.

- A pan na tej podstawie wysnuł wniosek, że popełniła morderstwo?

- Było to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, wzięwszy pod uwagę ogólny wzorzec zachowań.

Taką właśnie odpowiedź Ellie chciała usłyszeć.

- Jako ekspert w dziedzinie psychiatrii wie pan na pewno, co to jest stan dysocjacji.

- Owszem, wiem.

- Czy zechce pan wyjaśnić to pojęcie tym, którzy go nie znają?

- Ze stanem dysocjacji mamy do czynienia wtedy, gdy ktoś separuje fragment swojej świadomości i czyni to po to, aby przetrwać traumatyczną sytuację.

- Jak na przykład maltretowana żona, która wyłącza się mentalnie, kiedy mąż się nad nią znęca?

- Zgadza się - przytaknął Riordan.

- Czy to prawda, że osoby, które doświadczają zaburzenia dysocjacyjnego, mają luki w pamięci, chociaż udaje im się zachować pozory całkowitego zdrowia psychicznego?

- Tak.

- Stan dysocjacji nie jest świadomym zachowaniem?

- Nie jest.

- Czy to prawda, że ciężki stres psychiczny może do niego doprowadzić?

- Tak.

- Czy widok śmierci ukochanej osoby może wywołać ciężki stres psychiczny?

- Niewykluczone.

- Cofnijmy się odrobinę. Przyjmijmy na chwilę, że Katie chciała zatrzymać to dziecko, rozpaczliwie pragnęła je mieć. Urodziła, a potem na jej oczach doszło do tragedii: dziecko umarło, chociaż robiła co mogła, aby nie przestało oddychać. Czy szok po jego śmierci mógł doprowadzić do zaburzenia dysocjacyjnego?

- To możliwe - przyznał Riordan.

- Skoro zatem nie mogła przypomnieć sobie dokładnie, jak umarło jej dziecko, to czy można przypuścić, że lukę w pamięci wywołało właśnie to zaburzenie?

Riordan uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Można by tak przypuścić, gdyby to było prawdopodobne, pani Hathaway, a niestety nie jest. Jeśli chce się pani upierać przy tym, że oskarżona tego ranka weszła w stan dysocjacji - chętnie przyklasnę tej teorii. Nie ma jednak sposobu, aby dowieść, że doszło do tego z powodu śmierci - naturalnej śmierci - jej dziecka. Równie prawdopodobne jest to, że zaburzenie wywołał szok poporodowy. Albo też ogromnie stresujący czyn, jakim jest morderstwo.

Musi pani zrozumieć, że gdyby nawet to była prawda, że doszło do zaburzenia dysocjacyjnego, nie oznacza to jeszcze, że panna Fisher nie mogła zabić swojego dziecka. Człowiek w stanie dysocjacji potrafi dokonywać prawdziwie spektakularnych wyczynów. Może, na przykład, przejechać setki kilometrów, chociaż potem nie potrafi sobie przypomnieć ani jednego szczegółu krajobrazu. I podobnie kobieta w stanie dysocjacji mogła urodzić dziecko, chociaż potem nie pamięta tego z całą dokładnością. Mogła próbować je reanimować, chociaż nie pamięta tego z całą dokładnością. A także - dodał znaczącym tonem - mogła je zabić, chociaż nie pamięta tego z całą dokładnością.

- Panie doktorze - przypomniała mu Ellie - to jest dziewczyna z rodziny amiszów, a nie jakaś pochłonięta sobą i tylko sobą nastolatka, która ma w głowie zakupy i nic więcej. Proszę się wczuć w jej położenie. Czy to niemożliwe, żeby Katie Fisher chciała zatrzymać swoje dziecko, to dziecko, które umarło na jej rękach? Niemożliwe, że rozpacz po jego stracie była tak wielka, że jej umysł nieświadomie zablokował wspomnienie o tym, co się stało?

Ale Riordan zeznawał już w zbyt wielu procesach, żeby dać się tak łatwo złapać w pułapkę zastawioną przez adwokata.

- Skoro Katie Fisher aż tak bardzo pragnęła mieć to dziecko, pani Hathaway - powiedział - to dlaczego przez siedem miesięcy okłamywała wszystkich, że go nie ma?

George zerwał się z krzesła, zanim jeszcze Ellie zdążyła dojść na swoje miejsce.

- Wysoki sędzie, czy mogę ponownie zwrócić się do świadka? Doktorze Riordan, proszę o opinię biegłego: czy oskarżona we wczesnych godzinach porannych dnia dziesiątego lipca była w stanie dysocjacji?

- Nie.

- A czy pańskim zdaniem ma to w ogóle jakieś znaczenie?

- Nie.

- Dlaczego?

Riordan wzruszył ramionami.

- Jej zachowanie mówi samo za siebie, nie ma potrzeby uciekać się do tego psychologicznego bełkotu. Intryga uknuta przez nią przed porodem wskazuje na to, że kiedy dziecko przyszło już na świat, była gotowa na wszystko, aby się go pozbyć.

- Łącznie z morderstwem?

Psychiatra skinął głową.

- Przede wszystkim z morderstwem.

- Mam jeszcze jedno pytanie do świadka - powiedziała Ellie. - Doktorze Riordan, jako psychiatra sądowy z pewnością pan wie, że aby wydać wyrok skazujący za zabójstwo pierwszego stopnia, oskarżony musi zostać uznany winnym umyślnego morderstwa dokonanego celowo i z premedytacją.

- Tak, to prawda.

- Czy kobiety, które odbierają życie swoim nowo narodzonym dzieciom, mordują je umyślnie?

- Zdecydowanie tak.

- Czy działają według przygotowanego planu?

- Czasami. Zdarza się, tak jak w wypadku oskarżonej, że wybierają sobie jakieś ustronne miejsce bądź też przynoszą ze sobą koc lub torbę do schowania dziecka.

- Czy z góry zakładają, że dziecko musi umrzeć?

Riordan zmarszczył brwi.

- To jest odruch wywołany pojawieniem się noworodka na świecie.

- Odruch - powtórzyła Ellie. - Czyli automatyczne, instynktowne i nieprzemyślane zachowanie?

- Tak.

- Zatem zabójstwa noworodka nie można faktycznie uznać za zabójstwo pierwszego stopnia?

- Sprzeciw!

- Wycofuję pytanie - powiedziała Ellie. - To wszystko.

- Wysoki sędzie - George zwrócił się do sędziny Ledbetter - oskarżenie kończy postępowanie dowodowe.

Sara czekała na nie z jedzeniem; dostały coś na przekąskę, lecz Ellie nie miała akurat na to najmniejszej ochoty. Jadła bez apetytu, czując, że dławi się w czterech ścianach i raz po raz zadając sobie pytanie, dlaczego nie chciała pojechać z Coopem do Lancaster, kiedy jej proponował wspólny wypad do jakiejś restauracji.

- Wyszczotkowałam za ciebie Nuggeta - powiedziała Sara do córki - ale została jeszcze uprząż do wyczyszczenia.

- Dobrze, Mam - odpowiedziała Katie. - Zrobię to po kolacji. I sama pozmywam, bo pewnie jesteś zmęczona po dojeniu.

Na przeciwległym krańcu stołu rozległo się głośne beknięcie.

- Gut! Dobre było - pochwalił Aaron żonę, dziękując jej uśmiechem, po czym odwrócił się do ojca, zatykając kciuki za szelki. - Wybiorę się chyba w poniedziałek na targ u Lappa.

- A potrzebny ci nowy koń? - spytał Elam. Aaron wzruszył ramionami.

- Nie zaszkodzi się rozejrzeć.

- Słyszałem, że Marcus King szykuje na sprzedaż żrebaka po swoim gniadoszu, tego, co mu się urodził zeszej wiosny.

- Ja? To piękne zwierzę. Sara prychnęła.

- Co ty zrobisz z jeszcze jednym koniem?

Ellie wodziła wzrokiem po ich twarzach, od jednej do drugiej, jakby obserwowała mecz tenisowy.

- Przepraszam - odezwała się cicho i kolejno wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. - Mogę o coś zapytać? Czy macie świadomość,

że dziś rozpoczął się proces, w którym wasza córka jest oskarżona o morderstwo?

- Ellie, nie... - Katie wyciągnęła rękę, ale adwokatka przerwała jej potrząśnięciem głowy.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że za niecały tydzień wasza córka może zostać uznana za winną zarzucanej jej zbrodni i prosto z sali rozpraw trafi do więzienia w Muncy? A wy sobie gawędzicie w najlepsze o końskich targach! Nikogo z was nie obchodzi, jak dziś poszło na rozprawie?

- Obchodzi nas - odpowiedział sztywno Aaron.

- Właśnie widzę, jak zżera was ciekawość - mruknęła Ellie, ściągając z kolan serwetkę i rzucając ją na stół. Potem wstała i uciekła z kuchni na górę, do sypialni.

Kiedy otworzyła oczy, było już całkiem ciemno. Na skraju jej łóżka siedziała Katie. Ellie poderwała się, przeczesując palcami włosy i szukając kątem oka budzika na baterie, stojącego obok, na nocnym stoliku.

- Która godzina?

- Kilka minut po dziesiątej - szepnęła Katie. - Zasnęłaś.

- Zasnęłam. - Ellie przesunęła językiem po obłożonych nalotem zębach. - Na to wygląda. - Mrugnęła kilka razy, aby oprzytomnieć, po czym wyciągnęła rękę i zapaliła gazową lampę. - A gdzie ty się podziewałaś?

- Pozmywałam, a potem poszłam wyczyścić uprząż. - Katie zakrzątnęła się, zasłoniła okno na noc, a w końcu usiadła i rozpuściła upięte w porządku włosy.

Ellie przyglądała się jej szeroko otwartym oczom, kiedy dziewczyna szcztokowała swoje długie, miodowo-złote pukle. Gdy adwokatka dopiero tutaj przyjechała i po raz pierwszy zobaczyła taką minę na wszystkich twarzach dookoła, wzięła ją za oznakę bezmyślności, głupoty. Potrzeba było dobrych kilku miesięcy, żeby w tym „pustym” spojrzeniu amiszów dostrzec pełnię - pełnię cichego, pogodnego spokoju. Nawet dziś, po pierwszym, obfitującym w trudności dniu rozprawy, gdy mało kto zdołałby zmrużyć w nocy oko, Katie była całkowicie opanowana.

- Wiem, że ich to obchodzi - burknęła Ellie nieswoim głosem.

Katie spojrzała na nią.

- Mówisz o procesie?

- Tak. Wiesz, u mnie w rodzinie wszyscy zawsze tylko się darli na siebie. Kłótnie wybuchały w jednej chwili, spontanicznie, a potem, kiedy burza już ucichła, jakoś się godzili. U was jest taka cisza... Nie przyzwyczaiłam się jeszcze.

- Na ciebie też krzyczeli?
- Czasami - przytaknęła Ellie. - Ale dzięki temu hałasowi przy-
najmniej wiedziałam, że mam ich przy sobie. - Potrząsnęła głową, odpe-
dzając od siebie to wspomnienie. - W każdym razie przepraszam za ten
wybuch przy kolacji. - Westchnęła. - Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Ręka ze szczotką zatrzymała się w pół długiego pociągnięcia.

- Nie wiesz? - zapytała Katie.

- Nie. Przejmuję się trochę procesem, ale na twoim miejscu był-
bym zadowolona, że mój adwokat jest spięty, bo byłoby gorzej, gdyby
był spokojny i pewny siebie. - Spojrzała na Katie, zauważając, że dziew-
czyna płonie się na twarzy.

- Znowu coś ukrywasz! - powiedziała, czując, jak wszystko się w
niej przewraca.

- Nic nie ukrywam! Wszystko ci powiedziałam!

Ellie zamknęła oczy.

- Nie mam teraz na to siły. Jeśli znów chcesz mi o czymś opo-
wiedzieć, to czy możesz z tym poczekać do rana?

- Dobrze - odparła Katie szybko. Zbyt szybko.

- A, do cholery z tym. Nie będziemy czekać do rana. Mów teraz.

- Zасыpiasz teraz wczesnym wieczorem, tak jak dziś. Przy kolacji
puściły ci nerwy. - Katie pomyślała chwilę i oczy jej rozblęły. - Pamię-
tasz, co było rano w sądzie? Co się stało w toalecie?

- Masz rację, ale to wszystko przez tego wirusa. Musiałam coś zła-
pać.

Katie odłożyła szczotkę i uśmiechnęła się wstydliwie.

- Nie jesteś chora, Ellie. Jesteś w ciąży.

Rozdział czternasty

ELLIE

- Na pewno pomyłka. - Podsunęłam Katie pod nos test ciąży. Katie zmrużyła oczy, czytając instrukcję na odwrocie pudełka.

- Oczekałaś pięć minut. - Potrząsnęła głową. - Sama widziałaś, jak w okienku pojawił się znaczek.

Rzuciłam test na łóżko. Widniał na nim mały różowy plusik.

- Miałam susiać przez pełnych trzydzieści sekund, a doliczyłam tylko do piętnastu. Proszę bardzo. Pomyłki są rzeczą ludzką.

Spojrzałyśmy obie na pudełko, w którym był jeszcze drugi test. W aptece mieli promocję i sprzedawali dwa za cenę jednego. Wystarczyło przejść się znowu do łazienki i odsiedzieć tam tę pięciominutową wieczność w oczekiwaniu na ogłoszenie swojego przeznaczenia. Ale to nie było potrzebne: wiedziałam już, tak samo jak Katie, jaki musi być wynik tego testu.

Takie rzeczy nie przydarzają się kobietom po trzydziestce. Wpadki - to dobre dla nastolatek, które uległy czarowi chwili na tylnym siedzeniu samochodu rodziców. Wpadki są dla kobiet nieobytych do końca ze swoimi ciałami, które wciąż dają się im zaskoczyć, nie widząc w nich jeszcze starych dobrych znajomych. Wpadki są dla tych, które nie potrafiły przewidzieć, czym to się skończy.

Z tym, że to wcale nie wyglądało na wpadkę. Czułam w sobie coś twardego, rozżarzonego, jakby złoty samorodek tuż pod dłonią spoczywającą na brzuchu. Wydawało mi się, że już wyczuwam drgnięcia obudzone biciem tego maleńkiego serca.

Katie opuściła wzrok.

- Moje gratulacje - szepnęła.

Od pięciu lat pragnęłam mieć dziecko, ale tak mocno, że aż bolało. Budziłam się w środku nocy u boku Stephena, czując, jak ramiona pulsują mi tęnym rwaniem, jakbym przez całą noc trzymała w nich maleństwo.

Kiedy widziałam dziecko na spacerze w wózku, ręce same mi się do niego wyciągały. Stawiałam w kalendarzyku czerwone kropki, mając poczucie, że z każdym kolejnym miesiącem życie mi ucieka coraz dalej. Chciałam, żeby coś we mnie rośło, chciałam nosić to pod sercem. Chciałam oddychać, jeść, rozkwitać dla kogoś, nie dla siebie.

Ze Stephenem kłóciliśmy się o dzieci mniej więcej dwa razy do roku, jakby nasze wspólne życie było samotną wyspą, zaś kwestia potomstwa wulkanem, który co jakiś czas musi wybuchnąć. Któregoś razu udało mi się nawet złamać jego opór.

- Dobrze - powiedział. - Jeśli ma być, to niech będzie.

Odstawiłam pigułki, ale przez sześć kolejnych miesięcy nie udało nam się zrobić dziecka. Dopiero prawie pół roku później zrozumiałam dlaczego: nie można począć życia tam, gdzie między dwojgiem ludzi wszystko umiera na raty.

Przestałam więc naprzykrzać się Stephenowi i zamiast tego, kiedy odzywał się instykt macierzyński, szłam do biblioteki i zgłębiałam ten temat. Dowiedziałam się, ile razy komórki zygoty muszą się podzielić, zanim powstanie właściwy embriion. Oglądałam na mikrofilmach zdjęcia płodu ssącego kciuk, widziałam jego żyły podobne do mapy drogowej wykreślonej pod jarzącą się pomarańczowo skórą. Wyczytałam gdzieś, że sześciotygodniowy płód ma wielkość truskawki. Znalazłam informacje o alfafetoproteinie, amniocentezie i czynnikach Rh.

Jak zatem widać, o dziecku, które zaczęło we mnie rosnąć, wiedziałam już wszystko oprócz jednej rzeczy: dlaczego na wieść o jego istnieniu nie skaczą do góry z radości.

Nie chciałam, żeby ktokolwiek, kto mieszka na farmie lub tam zagląda, wiedział, że jestem w ciąży, a w każdym razie najpierw zamierzałam powiedzieć o tym Coopowi. Następnego dnia zasnęłam. Zanim chwyciły mnie suche wymioty, udało mi się dobiec do ustronnego miejsca za ogródkiem warzywnym. Kiedy zapach końskiej paszy zakręcił mi w głowie, Katie bez słowa zastąpiła mnie przy pracy. Zaczęłam widzieć ją w innym świetle, podziwiać za to, że udało jej się ukryć swój odmienny stan przez tyle miesięcy, przed oczami tylu ludzi.

Wyszła za mną z szopy.

- No - zagała dziarsko - jeszcze ci słabo? - Usiadła obok mnie na ziemi, opierając się tak jak ja o ścianę z czerwonych desek.

- Już nie - skłamałam. - Nic mi nie będzie.

- Przynajmniej do rana. - Katie sięgnęła za pasek fartucha, wyjmując dwie torebki herbaty. - Weź, pewnie ci się przydadzą.

Uniosłam je do nosa.

- Pomogą na żołądek?

Katie zaczerwieniła się.

- Kładzie się je tutaj. - Musnęła końcami palców piersi. - Jak już boli tak, że nie można wytrzymać. - Zerknęła na mnie, jakby chciała ocenić moją naiwność i dodała: - Najpierw trzeba namoczyć.

- Dzięki Bogu, że znam kogoś, kto już ma to za sobą... - Katie wyprostowała się nagle, jakbym trzepnęła ją w twarz i dopiero dotarło do mnie, co powiedziałam. - Przepraszam.

- Nic się nie stało - mruknęła pod nosem.

- Stało się. Wiem, że to musi być dla ciebie trudne, zwłaszcza teraz, w samym środku procesu. Mogłabym ci powiedzieć, że kiedyś będziesz jeszcze miała dzieci, ale pamiętam, jak sama się czułam, słysząc takie rzeczy od różnych znajomych, które miały mężów i zaszły w ciążę.

- Jak?

- Najchętniej bym każdej dała w zęby.

Katie uśmiechnęła się wstydliwie.

- Ja, to by się mniej więcej zgadzało. - Spojrzała na mój brzuch, a potem odwróciła wzrok. - Ja się cieszę, Ellie, naprawdę, ale wcale nie boli przez to mniej. I cały czas powtarzam sobie, że Mam przecież straciła troje dzieci, a z Hannah nawet czworo. - Wzruszyła ramionami. - Można się cieszyć, że komuś się udało, ale to nie znaczy, że od razu się zapomni o własnym nieszczęściu.

Nigdy jeszcze nie dotarło do mnie z większą mocą, że Katie naprawdę chciała zatrzymać to dziecko; w tym momencie byłam tego już absolutnie pewna. Mogła wypierać poród ze świadomości, mogła przez długi czas nie przyznawać się do ciąży, ale kiedy już maleństwo pojawiło się na świecie, nie przyszło jej nawet przez chwilę do głowy, że mogłaby go nie kochać. Spojrzałam na nią ze zdumieniem, uświadomiwszy sobie, jak obrona, którą dla niej przygotowałam, zaczyna splotać się z prawdą.

Sięgnęłam ku jej dłoni, uścisnęłam.

- To dla mnie wiele znaczy - powiedziałam. - Dobrze, że mogę z kimś dzielić ten mój sekret.

- Niedługo powiesz o wszystkim Coopowi.

- Pewnie tak... - Nie wiedziałam, czy Coop zajrzy do Fisherów w ten weekend. Kiedy w piątek po rozprawie podrzucił nas do domu, nie umówiliśmy się konkretnie. Wciąż nie mógł mi darować, że od razu się nie zgodziłam zamieszkać razem z nim i trzymał się na dystans.

Katie owinęła ramiona szalem.

- Myślisz, że się ucieszy?

- Na pewno.

Spojrzała mi w oczy.

- To pewnie za niego wyjdiesz?

- No cóż - powiedziałam. - Tego nie wiem.

- Założę się, że on będzie chciał się z tobą ożenić.

Odwrociłam się do niej.

- Z nas dwojga to nie Coop się waha.

W odpowiedzi spodziewałam się zobaczyć ostupiałe spojrzenie, które będzie znaczyło, że Katie nie potrafi zrozumieć, dlaczego cofam się przed wstąpieniem na ścieżkę tak łatwą i oczywistą. Mam mężczyznę, który mnie kocha, który jest ojcem mojego przyszłego dziecka, który będzie chciał mieć ze mną to dziecko. Tej mojej niechęci nie rozumiałam nawet ja sama.

- Kiedy się domyśliłam, że jestem w ciąży - odezwała się Katie cicho - zastanawiałam się nad tym, czy powiedzieć Adamowi. Wyjechał, to prawda, ale na pewno udałoby mi się do niego dotrzeć, gdybym się porządnie postarała. A potem zrozumiałam, że tak naprawdę wcale nie chciałam mu o tym mówić. Nie dlatego, że by się zmartwił. Właśnie wprost przeciwnie. Nie chciałam tego zrobić, bo gdybym mu powiedziała, to nie miałabym już żadnego wyboru. Wiedziałabym, co muszę zrobić - i zrobiłabym to, ale bałam się, że pewnego dnia mogę spojrzeć na moje dziecko i nie pomyśleć: „Kocham cię”...

Umilkła. Odwróciłam głowę i spojrzałam jej w oczy, kończąc urwane zdanie:

- ...tylko: „Jak to się stało?”. Tak?

Katie zapatrzyła się w dal, na rozległą gładź stawu, widocznego z miejsca gdzie siedzieliśmy.

- Właśnie tak - odpowiedziała.

- Nie musisz tego robić - powtórzyła mi po raz trzeci Sara, kiedy szliśmy w stronę kurnika.

Ale ja miałam wyrzuty sumienia, że przespałam cały ranek.

- Żaden problem - zapewniłam ją.

Fisherowie hodowali dwadzieścia cztery nioski. Do porannych obowiązków Katie i moich należało dogłębne podglądanie ptaków: karmienie i podbieganie jaj. Za pierwszym razem podziobały mnie do krwi, ale w końcu nauczyłam się, w jaki sposób należy wsunąć dłoń pod ciepły kuper, żeby uniknąć obrażeń. Prawdę mówiąc, bardzo chciałam pokazać Sarze, że nie jestem ostatnia noga i całkiem dobrze już sobie radzę.

Ona natomiast nie mogła się doczekać, żeby porozmawiać o rozprawie. Spokojna, że Aaron jej nie usłyszy, zasypała mnie pytaniami: o

oskarżyciela, o świadków, o sędzię. Pytała, czy Katie będzie musiała zeznawać. Czy wygramy.

To ostatnie pytanie padło u samych drzwi kurnika.

- Nie wiem- odpowiedziałam szczerze. - Robię co w mojej mocy.

Usta Sary rozciągnęły się w uśmiechu.

- Tak - szepnęła. - A masz jej sporo, tej mocy.

Pchnęła drewniane drzwi. W powietrzu unióś się tuman piór, kiedy ptaki, gdacząc, rozpierchły się we wszystkich kierunkach. Atmosfera panująca w kurniku kojarzyła mi się z salonem fryzjerskim, gdzie siedzi babska gromadka i plotkuje sobie w najlepsze. Uśmiechnęłam się, kiedy jakaś nerwowa kwoka przebiegła mi po butach, trzepocząc skrzydłami. Podeszłam do grzęd po prawej i zaczęłam szukać jajek w wyściółce.

- Nie - powstrzymała mnie Sara, kiedy wzięłam na ręce noskę o rdzawym upierzeniu i odwróciłam ją do góry nogami. - Ta jest jeszcze gut. - Spojrzałam na nią, przyglądając się, jak bierze liniejącą kurę, wpycha ją sobie pod pachę niby piłkę do gry i obmacuje palcami kości sterzące jej z kupra.

- Aha! Ta przestała się nieść. - Podała mi ptaka, trzymając go za nogi. - Poczekaj, złapię jeszcze jedną.

Kura wiła mi się w dłoniach jak Houdini, ze wszystkich sił starając się oswobodzić. Nie wiedząc, co z nią począć, zacisnęłam tylko mocniej palce na jej gruzłowatych nogach, a po chwili Sara wyszukała jeszcze jedną i ruszyła z powrotem do drzwi kurnika, przeganiając pozostałe kury.

- Nie zależy ci na jajkach? - zapytałam.

Obejrzała się przez ramię.

- Te kury już nie znoszą jajek i dlatego zjemy je dziś na obiad.

Stałam jak wryta, spojrzałam na kurę, którą niosłam na rękach i prawie ją upuściłam.

- Chodź - rzuciła Sara, znikając za kurnikiem.

Stał tam pieńek z toporkiem i czekało już wiadro parującego wrzątku. Sara pełnym gracji ruchem uniosła toporek nad głowę, ułożyła ptaka na pieńku i odcięła mu głowę. Kiedy puściła nogi, bezgłowa kura wywinęła kozła i puściła się w rozbiegany tan, galopując w kałuży własnej krwi. Rozszerzonymi z przerażenia oczami patrzyłam, jak Sara wyciąga rękę po ptaka, którego trzymałam; poczułam jeszcze, jak mi go zabiera - i padłam na kolana, targana gwałtownymi wymiotami.

Po chwili poczułam na głowie dłoń Sary. Matka Katie odgarnęła mi włosy z czoła.

- Ach, Ellie - powiedziała - myślałam, że wiesz, o co chodzi.

Potrząsnęłam głową i z powrotem zrobiło mi się od tego niedobrze.

- Gdybym wiedziała, nie poszłabym za tobą.
- Katie też nie ma do tego nerwów - poinformowała mnie Sara. - Poprosiłam cię o pomoc, bo to dużo zachodu, po pierwszej kurze wracać po następną. - Poklepała mnie po ramieniu; na wierzchu nadgarstka miała smugę krwi. Zamknęłam oczy.

Słyszałam, jak krząta się za moimi plecami. Plusnęło, kiedy zanurzyła bezwładne już ciało w wiadrze z wrznięciem.

- To ta potrawka z kluskami... - odezwałam się z ociąganiem. - I rosół też...?

- Oczywiście - odpowiedziała Sara. - A myślałaś, że skąd się biorą kurczaki?

- Ze sklepu.

- W sklepie robią to samo, uwierz mi na słowo.

Ścisnęłam głowę rękami, wypychając z niej wszystkie myśli o cielęcych mostkach i kotletach mielonych, które tutaj jedliśmy, w odniesieniu do maleńkich cielaczków urodzonych na moich oczach na tej farmie; odkąd się tu zjawiłam, przybyło ich trochę. Ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć; wystarczy pomyśleć o Sarze, która nie zauważyła, że Katie jest w ciąży, o ławie przysięgłych, którą jeden przychylny oskarżonej świadek może nakłonić do jej uniewinnienia albo też o mnie samej, która nie chciałam przyznać, że łączy mnie z Coopem coś więcej jak tylko biologiczna okoliczność poczęcia nowego życia.

Uniosłam wzrok. Sara skubała jedną z zabitych kur. Usta miała zaciśnięte w prostą, wąską kreskę, a jej fartucha i spódnicy uczepiły się kłaczki białych piórek. Na twardo ubitej ziemi u jej stóp widniała karminowa smuga krwi wsiąkającej już w glebę. Przełknęłam żółć podchodzącą mi do gardła.

- Jak ty sobie z tym radzisz?

- Robię to, co muszę zrobić - odpowiedziała Sara rzeczowym tonem. - Kto jak kto, ale ty powinnaś to zrozumieć.

Coop znalazł mnie w mleczarni, gdzie schowałam się po południu.

- Słuchaj, nie uwierzysz... - Na mój widok wytrzeszczył oczy i jednym susem znalazł się przy mnie, chwytając za ramiona i wodząc po nich dłońmi w górę i w dół. - Jak to się stało?

Wiedział. Boże! Wystarczyło, że spojrział i od razu wiedział o dziecku. Przełknęłam ślinę i spoglądałam mu w oczy.

- Chyba zwyczajnie, tak jak zawsze.

Zdjął dłoń z mojego ramienia i po chwili poczułam ją na talii. Czeakałam, aż przesunie się jeszcze niżej, ale Coop chwycił tylko rąbek mojej koszulki, pocierając palcami jasnoczerwoną plamę widoczną na materiale.

- Kiedy ostatni raz szczepiłaś się na tężec?

On nie pyta o dziecko. Nie pyta o dziecko.

- Oczywiście, że pytam - przerwał potok moich myśli, a do mnie dotarło, że powiedziałam to na głos. - Ale przecież ten głupi proces nie ucieknie, na miłość boską. Najpierw cię pozszywamy.

Odsunęłam od siebie jego ręce.

- Nic mi nie jest. To nie moja krew.

Coop uniósł brew.

- Znowu kogoś zamordowałaś?

- Pękam ze śmiechu. Pomagałam zabijać kury.

- Na twoim miejscu poczekałbym z odprawianiem takich guseł, aż przedstawiś swoich świadków, ale w sumie...

- Mów, Coop - przerwałam mu stanowczo. - Co z nim?

- Domaga się odpowiedzi. Zresztą trudno mu się dziwić. Kiedy tylko się dowiedział, że został ojcem, wskoczył w samolot i wrócił. A teraz chce zobaczyć Katie i dziecko.

Otworzyłam usta.

- Nie powiedziałaś mu chyba...?

- Nie. Ja jestem psychiatrą, Ellie. Nie narażę nikogo na niepotrzebne cierpienie, nie mając możliwości spotkać się z nim i osobiście mu pomóc.

Odwrócił się ode mnie, a ja położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Zrobiłabym to samo co ty. Ale nie z dobroci serca. Mam w tym swój interes. Chcę, żeby zeznawał i każdy sposób jest dla mnie dobry, żeby go tutaj ściągnąć.

- To nie będzie dla niego łatwe - mruknął Coop.

- Katie też przeszła swoje - odparłam, prostując plecy. - Czy on widział się już z Jacobem?

- Dopiero co przyleciał. Przywiozłem go z Filadelfii.

- To gdzie jest teraz?

- Czeka w samochodzie.

- W samochodzie? - wykrztusiłam. - Tutaj? Upadłeś na głowę? Coop wyszczerzył zęby.

- Nie. Jestem zdrowy na umyśle, słowo fachowca.

Nie byłam w nastroju na jego żarciki. Zanim skończył mówić, szłam już do wyjścia.

- Musimy go stąd zabrać, i to szybko.

Coop dogonił mnie.

- Może się najpierw przebierz - zasugerował. - Nie chcę ci rozkazywać, ale w tej chwili wyglądasz, jakbyś zeszała z planu u Kevina Williamsona, a wiesz, jak ważne jest pierwsze wrażenie.

Słyszałam go już tylko jednym uchem, bo moje myśli zaprzątnęło pytanie: ile razy tego jednego dnia będę musiała powiedzieć jakiemuś

mężczyźnie coś, co będzie dla niego totalnym, całkowitym zaskoczeniem?

- Dlaczego ma kłopoty? - zapytał Adam Sinclair, pochylając się ku nam nad blatem stołu w jadalni. - Bo nie wyszła za męża, a urodziła dziecko? Boże, gdyby tylko mi o tym napisała, to nigdy by nie doszło do czegoś takiego.

- Nie mogła do pana napisać - powiedziałam łagodnie. - Jacob nie przekazywał pańskich listów.

- Nie? A to świnią...

- Ta świnią jest bratem Katie - przypomniałam mu. - Jacob uznał, że tak będzie najlepiej dla jego siostry, bo uważał, że nie zniesie ona piętna wyklęcia z kościoła amiszów, a tak właśnie by się stało, gdyby Katie wyszła za pana.

Adam odsunął od siebie talerz.

- Proszę posłuchać. Dziękuję państwu za kontakt i za wiadomość, że Katie ma jakieś trudności. Jestem wdzięczny za przywiezienie mnie tutaj z samego lotniska i za ten posiłek też. Ale w tej chwili Katie na pewno jest już razem z dzieckiem w domu, a ja muszę się z nią zobaczyć i porozmawiać osobiście.

Patrząc na jego rozgestykulowane ręce, wyobrażałam sobie, jak dotykają Katie, jak trzymają ją w uścisku. Nagle zbudził się we mnie wielki gniew i poczułam nienawiść do tego człowieka, którego ledwie znałam, a który zupełnie nieświadomie sprowadził na Katie to, co się stało. Kim on był, aby decydować o tym, że jego uczucie do niej ma być ważniejsze niż jej wiara i wychowanie? Za kogo się uważał, aby uwieść dziewczynę, która miała dopiero osiemnaście lat, podczas gdy on w oczywisty sposób zdawał sobie sprawę z konsekwencji?

Moje myśli musiały odbić się na twarzy, bo Coop sięgnął pod stołem i położył mi dłoń na udzie, ostrzegając mnie tym łagodnym gestem. Zamrugałam oczami i obraz siedzącego przede mną Adama nabrał ostrości: dostrzegłam jasne spojrzenie, poczułam zniecierpliwione tupanie nogą, zauważyłam, że za każdym razem, kiedy odzywają się dzwonki wiszące nad drzwiami jadalni, odwraca wzrok, jakby spodziewał się zobaczyć w nich Katie niosącą na rękach ich synka.

- Panie Adamie - powiedziałam. - Dziecko nie przeżyło.

Skamieniał. Powolnym, dokładnym ruchem splótł leżące na blacie stołu dłonie, zaciskając palce z taką siłą, że odpłynęła z nich cała krew, barwiąc je kredową bielą.

- Jak... - zaczął cicho, ale głos w pół słowa zamarł mu w gardle. - Jak to się stało?

- Nie wiemy. To był chłopiec. Urodził się przedwcześnie i umarł wkrótce po porodzie.

Adam spuścił głowę.

- Od trzech dni, odkąd się dowiedziałem, myślę tylko o tym dziecku. Czy oczy ma po niej, a podbródek po mnie. Czy poznałbym je na pierwszy rzut oka. Jezu... Gdybym był tutaj, na miejscu, to może mógłbym coś poradzić.

Rzuciłam spojrzenie Coopowi.

- Uznaliśmy, że to nie byłoby w porządku mówić panu o tym przez telefon.

- Racja. Oczywiście, że tak. - Adam uniósł wzrok, szybko ocierając oczy. - Katie na pewno jest załamana.

- To prawda - potwierdził Coop.

- To są te kłopoty? Ściągnęliście mnie tu państwo, bo Katie wpadła w depresję?

- Chcemy, żeby zeznawał pan dla nas w sądzie - odpowiedziałam cicho. - Katie została oskarżona o morderstwo waszego dziecka.

Adam wyprostował się gwałtownie.

- To nieprawda.

- Mnie też się tak wydaje.

Wstał z rozmachem, rzucając serwetkę na stół.

- Muszę się z nią zobaczyć. Natychmiast.

- Wołałabym, żeby się pan z tym trochę wstrzymał. - Stałam mu na drodze, tak żeby nie mógł wyjść.

Spojrzał na mnie z góry.

- A ja mam akurat w dupie, co by pani wołała.

- Katie nie wie, że pan tutaj jest.

- Najwyższy czas, żeby się dowiedziała.

Położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Powiem panu coś jako jej adwokat. Kiedy ławnicy popatrzą sobie z bliska na wasze pierwsze spotkanie po tym, co zaszło, to nie znajdzie się taki, którego by nie wzruszyły emocje Katie. Pomyślą sobie, że ktoś, kto ma serce na dłoni, nie może z zimną krwią zabić własnego dziecka. - Odstąpiłam na bok. - Jeśli chce się pan zobaczyć z Katie, pojedziemy do niej. Ale proszę się poważnie zastanowić. Poprzednim razem, kiedy potrzebowała pańskiej pomocy, nie było pana przy niej. Teraz może jej pan pomóc.

Adam spojrzał na mnie, potem przeniósł wzrok na Coopa, a wreszcie opadł z powrotem na swoje miejsce za stołem.

Kiedy nasz towarzysz przeprosił nas i udał się do łazienki, natychmiast poinformowałam Coopa, że musimy porozmawiać.

- Zamieniam się w słuch. - Sprzątnął z mojego talerza frytkę i wsadził ją sobie do ust.

- Na osobności.

- Z miłą chęcią - odparł - ale, jak widzisz, przypadła mi rola piastunki. Co zrobię z moim podopiecznym?

- Dopilnuj, żeby się nie zbliżał do mojej podopiecznej - westchnęłam, rozważając w myślach, czy nie lepiej byłoby nic mu nie mówić, dopóki proces nie dobiegnie końca; w końcu powinnam teraz skupić całą uwagę na Katie i nie myśleć o sobie. Ale wystarczyło spojrzeć na Adama Sinclaira, żeby zrozumieć, ile zmartwień może wyniknąć z milczenia, choćby się miało najlepsze intencje.

Zanim zdążyłam wykombinować jakieś wyjście z sytuacji, wyręczono mnie. Zrobił to sam Adam, który wrócił z toalety pachnący mydłem i z zaczerwienionymi oczami. Stał obok naszego stolika, spoglądając z zakłopotaniem.

- Jeżeli nie sprawi to państwu kłopotu - powiedział proszącym tonem - to czy moglibyśmy pojechać na grób mojego syna?

Coop zaparkował przed bramą cmentarza amiszów.

- Proszę się w żadnym wypadku nie spieszyć - powiedział. Adam otworzył tylne drzwi i wysiadł, garbiąc się, kiedy smagnął go wiatr. Dołączyłam do niego i razem przeszliśmy przez wąską bramę.

Droga do nowego grobu była usiana opadłymi liśćmi, których tumany, poruszone naszymi stopami, wzbijały się w powietrze. Kamień zryty ręką Katie miał kolor zimy. Adam wepchnął ręce do kieszeni i zapytał, nie odwracając głowy:

- A pogrzeb? Była pani na nim?

- Tak. Był piękny.

- Odprawiono nabożeństwo? Ktoś przyniósł kwiaty?

Pomyślałam o modlitwie biskupa, krótkiej i powściągliwej, o obyczajach amiszów, które nie zezwalają na żadne dekoracje grobu: ani na kwiaty, ani na ozdobne pomniki.

- Było pięknie - powtórzyłam.

Adam skinął głową i usiadł obok grobu, wprost na ziemi. Wyciągnął rękę, delikatnie przesuwając jednym palcem po zaokrąglonej krawędzi nagrobka, tak jak świeżo upieczony ojciec z nabożeństwem wodzi dłońią po łagodnej krzywiznie policzka swojego nowo narodzonego dziecka. Czując, jak coś zaczyna mnie piec pod powiekami, odwróciłam się gwałtownie i wróciłam do samochodu.

Wślizgnęłam się na siedzenie obok Coopa, który obserwował Adama przez okno.

- Nieszczęśliwy facet. Trudno mi nawet to sobie wyobrazić.

- Coop - odezwałam się. - Jestem w ciąży.

Odwrócił się.

- Co takiego? Założyłam ręce na brzuchu.

- Nie przesłyszalesz się.

Pojawienie się tego dziecka wywołało zamęt w moich myślach. Kiedyś zostawiłam Coopa i zrobiłam to z najgorszych możliwych powodów; z równie złych powodów nie chciałam z nim zostać. Przywarłam, w oczekiwaniu, wzrokiem do jego twarzy, powtarzając sobie, że jego odpowiedź nie będzie mieć najmniejszego wpływu na moją decyzję dotyczącą przyszłości - i jednocześnie zachodząc w głowę, dlaczego wobec tego tak bardzo pragnę ją usłyszeć. Po raz pierwszy odkąd mogłam sięgnąć pamięcią, nie byłam pewna tego, na ile Coop jest we mnie zaangażowany. Jasne, proponował mi, żebym z nim zamieszkała, ale to przecież w żadnym razie nie to samo. Możliwe, że chciał spędzić ze mną całe życie, ale nie musiał być przygotowany na to, że zacznie się ono tak szybko i z tak nieodwracalnymi konsekwencjami. Nigdy nie wspominał o ślubie. Ani o dzieciach.

Dałam mu do ręki doskonałą wymówkę, aby mógł zniknąć z mojego życia, pozostawiając mi przestrzeń, o którą zawsze zabiegałam - ale teraz dotarło do mnie, że wcale nie chcę, żeby odszedł.

A on ani się nie uśmiechnął, ani mnie nie dotknął, tylko siedział jak skamieniały naprzeciwko mnie. Poczułam, jak ogarnia mnie panika. A jeśli Katie miała rację i najlepiej było poczekać kilka dni, może nawet dłużej?

- No i co? - zapytałam drżącym głosem. - Co myślisz?

Wyciągnął rękę i zdjął moją dłoń z brzucha. Podciągnął rąbek bluzy i pochylił głowę, a w następnej chwili poczułam na skórze pocałunek.

Przemoczną falą ulgi wyrwał się ze mnie nieświadomie powstrzymywany oddech. Jeszcze jeden moment - i już tuliłam jego głowę do siebie, przesiewając między palcami kosmyki jego włosów, a on otoczył ramionami moje biodra i przygarnął mocno do siebie nas oboje.

Uparł się, że odprowadzi mnie aż pod same drzwi domu Fisherów.

- Coop, ja nie jestem kaleką, tylko w ciąży - próbowałam się bronić, ale mieszkająca we mnie feministka wywróciła się na plecy, w skrytości ducha zachwycona, że obchodzą się z nią jak z jajkiem.

Kiedy weszliśmy na ganek, Coop chwycił mnie za ręce i obrócił twarzą do siebie.

- Mam świadomość, że to się na ogół mówi raczej przed poczęciem dziecka, ale chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. Kocham cię już tak długo, że sam nie pamiętam, gdzie i kiedy to się zaczęło.

- Ja pamiętam. Na studiach, na imprezie świętojańskiej Kappa Alpha Theta*, po tym, jak piłeś czysty spirytus, a przed turniejem ping-ponga bez użycia rąk. I bez strojów sportowych. W ogóle bez strojów.

Coop jęknął.

- Nie opowiadaj matemu, jak się poznaliśmy.

- A skąd wiesz, że to będzie chłopiec?

Nagle Coop zamarł, przykładając dłoń do ucha.

- Słyszysz?

Wyteńczyłam słuch, ale po chwili potrząsnęłam głową.

- Nie. Co się dzieje?

- Rozmawiamy. - Pocałował mnie delikatnie w usta. - Jak rodzice.

- Aż dreszcze przechodzą.

Uśmiechnął się, a potem spojrzał na mnie, przekrzywiając głowę.

- Co? - zapytałam, zawstydzona. - Mam szpinak na zębach?

- Nie. Po prostu ta chwila już się nie powtórzy, chcę ją zapamiętać.

- Jeżeli to dla ciebie tyle znaczy, to możemy się jeszcze kiedyś umówić, żebyś odprowadził mnie do domu.

- Boże, nie dasz facetowi chwili spokoju? Wszystkie kobiety tyle gadają, czy może tylko adwokatkę?

- Na twoim miejscu wolałabym się streszczać, bo jeszcze Adamowi znudzi się czekanie w samochodzie i wróci do Filadelfii bez ciebie.

Coop ujął moją twarz w dłonie.

- Straszna z ciebie maruda, Ellie. Straszna, ale własna. - Przesunął opuszkami kciuków po moich policzkach. - Wyjdź za mnie - szepnął.

Uniosłam ręce, ujmując go za nadgarstki. Za jego ramieniem wschodził księżyc, duch na nieboskłonie. Zrozumiałam w tej chwili, że Coop miał rację: zapamiętam tę chwilę równie dokładnie, równie wyraziście jak tamten ostatni raz, kiedy zapytał mnie, czy zechcę dzielić z nim życie. Ostatni raz, kiedy mu odmówiłam.

- Nie gniewaj się na mnie - odpowiedziałam.

Jego dłonie opadły.

- Nie zrobisz mi znów tego samego. Nie pozwolę ci na to. - Na zaściśniętych szczękach zapulsowały mięśnie, widać było, że z całych sił próbuje się opanować.

- To nie miała być odmowa, Coop. Po prostu nie zgodziłam się od

* Kappa Alpha Theta - elitarnie żeńskie stowarzyszenie akademickie.

razu. Przecież sama dopiero się o wszystkim dowiedziałam. Na razie nie wczułam się jeszcze w rolę matki. Nie umiem jednocześnie wyobrazić sobie siebie jako żony.

- Miliony kobiet jakoś sobie z tym radzą.

- Ale w odrobinę innej kolejności. - Pogładziłam go dłonią po pierś, mając nadzieję, że to go trochę uspokoi. - Powiedziałeś mi niedawno, że mogę się zastanowić i nie muszę się spieszyć. Nie zmieniłeś zdania?

Coop potrząsnął głową. Powoli z jego zeszywniałych barków zeszło napięcie.

- Ale tym razem - zapowiedział mi - nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. - Z tymi słowami przesunął rozłożoną dłonią po moim brzuchu, w którym kryła się już cząstka jego samego i pożegnał się ze mną pocałunkiem.

- Długo cię nie było - zaszeptała Katie spod kołdry. - Powiedziałaś mu?

Wbiłam wzrok w sufit, w małą żółtą plamkę, która kojarzyła mi się z profilem Abrahama Lincolna.

- Powiedziałam.

Uniosła się na łokciu.

- No i co?

- No i się ucieszył, to wszystko. - Nie pozwoliłam sobie spojrzeć na nią, bo bałam się, że na jej widok przypomni mi się Adam, kiedy usłyszał o tym, co się stało z ich dzieckiem, Adam klęczący u grobu z poszczerbionym kamieniem, pogrążony w smutku. Nie ufałam sobie na tyle, żeby mieć pewność, że nie wygadam się wtedy przed nią, że Adam Sinclair wrócił do kraju.

- Na pewno cały czas się uśmiechał - powiedziała Katie.

- Mhm - przytaknęłam.

- I patrzył ci w oczy - rozmarzyła się. - I na pewno ci powiedział, że cię kocha.

- Właściwie, to...

- I objął - Katie nie przerwała monologu - i przyrzekł, że nawet gdyby wszyscy się od ciebie odwrócili, gdyby zabrakło ci rodziny i przyjaciół, to możecie wtedy żyć sami, ale będziecie razem, we trójkę, ty, on i wasze dziecko, a miłości starczy wam, żeby napełnić nią cały świat.

Spojrzałam na nią, na jej oczy błyszczące w ciemności, na usta skrzywione w półuśmiechu zawieszonym pomiędzy zachwytem a żałobą.

- Tak - przyznałam. - Dokładnie tak było.

Rozdział piętnasty

Gdyby nie herbata rumiankowa, Ellie prawdopodobnie nie za-szłaby w poniedziałek dalej niż za próg. Kiedy wreszcie dotarła do kuchni, mając za sobą bezsenność i poranne mdłości, na stole, przy jej miejscu, czekał na nią talerz, a na nim parujący kubek i kilka słonych krakersów. Wszyscy zdążyli już skończyć śniadanie; w kuchni zostały tylko Sara i Katie, zajęte zmywaniem.

- Rozumiesz, że dzisiaj będziemy musiały pojechać z Ledą - zagadnęła Ellie swoją klientkę, z wszystkich sił opierając się mdłym zapachom, jakie wydzielają resztki po śniadaniu. - Coop będzie czekał na miejscu, w sądzie.

Katie skinęła głową, ale nie odwróciła się od zlewu. Ellie zerknęła na plecy dziewczyny i jej matki, ciesząc się z tego, że Katie orientuje się w sytuacji i nie próbuje podtykać jej pod nos ani jajek, ani bekonu, ani kiełbasek. Łyknęła ostrożnie odrobinę herbaty rumiankowej, spodziewając się, że za chwilę żołądek znów podjedzie jej do gardła, ale, o dziwo, mdłości ustąpiły. Kiedy kubek był już pusty, Ellie poczuła się lepiej niż przez cały zeszły weekend.

Nie miała ochoty, zwłaszcza dziś, rozprawiać o swojej ciąży, ale czuła się w obowiązku podziękować Katie za troskliwość.

- Świetna ta herbata - szepnęła jej do ucha, kiedy dwadzieścia minut później sadowiły się na tylnym siedzeniu samochodu Ledy. - Tego mi było trzeba.

- Nie dziękuj - odszepnęła Katie. - To Mam ją dla ciebie zaparzyła.

Przez tych kilka miesięcy, które Ellie spędziła w jej domu, Sara nie żałowała jej niczego, karmiąc tak, jak się karmi tuczną maciorę; ta nagła zmiana polityki żywieniowej wydała się adwokatce podejrzana.

- Powiedziałas jej, że jestem w ciąży? - zapytała.

- Nie. Zrobiła dla ciebie herbatę, bo wie, że się przejmujesz tym, co będzie na rozprawie. Ona mówi, że rumianek dobrze robi na nerwy.

Uspokojona, Ellie usiadła wygodniej.

- Na żołądek też.
- Ja, wiem coś o tym - przytaknęła Katie. - Dla mnie też ją parzyła.

- Kiedy się czymś martwiłaś?

Katie wzruszyła ramionami.

- Kiedy byłam w ciąży.

Zanim zdążyła coś dodać, Leda usiadła za kierownicą.

- Nie przeszkadza ci, że jedziesz dziś ze mną, Katie? - zapytała, zerkając we wsteczne lusterko.

- Biskup już się chyba przyzwyczaił robić dla mnie wyjątki od zasad.

- A Samuel nie jedzie? Gdzie on się podziewa? - mruknęła Ellie, wyglądając przez okno. - Nie ma takich sędziów, którym by się podobało, że obrońca spóźnia się pierwszego dnia przesłuchiwania własnych świadków.

I jakby go wyczarowała tymi słowami, Samuel wybiegł z za obory, od strony pola. Rozpięte poły najlepszej niedzielnej marynarki powiewały w rytm kroków, czarny kapelusz był przekrzywiony. Samuel ściągnął go z głowy i wcisnął się na siedzenie z przodu, obok Ledy.

- Przepraszam - mruknął, a kiedy samochód ruszył, wykręcił się do tyłu i wręczył Katie maleńką, wędną koniczynkę. Cztery listki ułożyły się wiotko na dłoni dziewczyny.

- Na szczęście. - Samuel uśmiechnął się do niej. - I dla ciebie.

- Jak weekend? - zagadnął George Ellie, kiedy zajmowali swoje miejsca na sali rozpraw.

- W porządku - odpowiedziała szorstko, układając po swojemu rzeczy na stole dla obrony.

- O! Jesteśmy nie w sosie? Chyba za późno się położyłaś. -George wyszczerzył zęby. - Pewnie bałowaliśmy, dopóki krowy nie wróciły z pola. A o której w ogóle krowy wracają z pola?

- Skończyłeś? - zapytała Ellie, mierząc go obojętnym spojrzeniem.

- Proszę wstać! Rozprawie przewodniczy sędzia Philomena Le-dbetter!

Sędzina usadowiła się na swoim fotelu.

- Dzień dobry państwu - powiedziała, wsuwając na nos półokrągłe okulary do czytania. - O ile sobie przypominam, w piątek pan prokurator zakończył postępowanie dowodowe, zatem dziś zaczyna pani Hathaway. Jest pani gotowa, mam nadzieję?

Ellie wstała.

- Tak, wysoki sędzie.
- Świetnie. Może pani wezwać swojego pierwszego świadka.
- Obrona wzywa na świadka pana Jacoba Fishera.

Katie patrzyła, jak jej brat wchodzi na salę z zaplecza, gdzie czekał, aż zostanie wezwany do złożenia zeznań. Mrugnął do siostry, kiedy składał przysięgę. Ellie uśmiechnęła się do niego, żeby dodać mu otuchy.

- Proszę podać nazwisko oraz adres.
- Jacob Fisher. North Street dwieście pięćdziesiąt pięć, State College, Pensylwania.

- Co łączy pana z Katie Fisher?
- Jestem jej starszym bratem.
- Ale nie mieszka pan z rodziną?

Jacob potrząsnął głową.

- Już od kilku lat nie mieszkam w domu. Wychowałem się jako amisz na rodzinnej farmie i kiedy miałem osiemnaście lat, przyjąłem chrzest, ale potem wystąpiłem z kościoła.

- Dlaczego?

Jacob spojrział w stronę ławy przysięgłych.

- Szczerze wierzyłem, że będę amiszem zawsze i że do śmierci będę żył prostym życiem, ale odkryłem coś, co stało się dla mnie równie ważne jak wiara, jeśli nie ważniejsze.

- Co takiego?

- Naukę. Amisze nie kształcą się powyżej ósmej klasy. Zakazuje tego Ordnung, reguły życia kościoła.

- Kościół amiszów ma swoje reguły?

- Tak. Chodzi o te rzeczy, które ludziom postronnym najczęściej kojarzą się z amiszami: zakaz jeżdżenia samochodem i używania traktorów w polu. Ubiór. Brak elektryczności i telefonów; to wszystko, co wyróżnia amiszów jako grupę. Przyjmując chrzest, składa się ślubowanie, że będzie się żyło w poszanowaniu tych warunków. - Odchrząknął. - Ze mną w każdym razie było tak, że terminowałem u stolarza. Kiedyś dostaliśmy zamówienie na biblioteczkę od nauczyciela ze szkoły średniej w mieście Gap. Przyłapał mnie, jak kartkowałem jego książki i pożyczył mi kilka do domu. To on podsunął mi tę myśl, że mógłbym kształcić się dalej. Chowałem książki przed rodziną tak długo, jak tylko mogłem, ale ostatecznie, kiedy już postanowiłem, że będę zdawał na studia, dotarło do mnie, że nie mogę dłużej być amiszem.

- I co się wtedy stało?

- Kościół dał mi wybór: zrezygnować ze studiów albo porzucić wiarę.

- Brzmi to dość okrutnie.

- Nie ma w tym żadnego okrucieństwa - zaprzeczył Jacob. - W każdej chwili, choćby dziś, jeśli wrócę i wyznam swoją winę przed całym zgromadzeniem, zostanę przyjęty z powrotem z otwartymi ramionami.

- Ale wiedzy wyniesionej ze studiów nie może pan przecież wykreślić z pamięci.

- Nie o to chodzi. Wystarczyłoby, że zgodziłbym się przyjąć kurs obrany przez grupę, zamiast szukać własnego.

- Czym się teraz pan zajmuje?

- Robię magisterium na wydziale anglistyki Pensylwańskiego Uniwersytetu Stanowego.

- Rodzice pewnie są z pana dumni - powiedziała Ellie.

Jacob uśmiechnął się blado.

- Nie wiem. Trzeba zrozumieć jedną rzecz: u Anglików i u amiszów zupełnie inne rzeczy spotykają się z uznaniem. Amisze, czyli prości ludzie, prawdę mówiąc, w ogóle nie zabiegają o uznanie. Ich celem jest wtopienie się w grupę, chcą żyć, jak przystało na dobrych chrześcijan, bez zwracania na siebie uwagi. Tak więc nie, pani Hathaway, nie powiedziałbym, że rodzice są ze mnie dumni. Mój wybór tylko ich zdezorientował.

- Czy nadal spotyka się pan z nimi?

Jacob spojrział przelotnie na siostrę.

- Kilka dni temu po raz pierwszy od sześciu lat zobaczyłem rodziców. Przyjechałem na ich farmę, pomimo tego, że ojciec wyrzekł się mnie, kiedy zostałem ekskomunikowany.

Ellie uniosła brwi.

- To po wystąpieniu z kościoła amiszów nie można utrzymywać kontaktów z jego członkami?

- Nie, to raczej wyjątek niż reguła. Oczywiście, ekskomunikowany członek rodziny może utrudnić jej życie, zwłaszcza jeśli mieszka z nimi pod jednym dachem. Chodzi tu o Meidung, czyli odsunięcie od wspólnoty. Jedną z reguł życia kościoła, o których wspominałem wcześniej, mówi, że członkowie kościoła mają unikać tych, którzy złamali zasady. Na takich grzeszników nakłada się na krótki czas bann i innym amiszom nie wolno wtedy jadać z nimi przy jednym stole, robić wspólnych interesów ani też utrzymywać kontaktów seksualnych.

- Czyli w takiej sytuacji mąż musiałby unikać własnej żony? Matka odwrócić się od dziecka?

- Formalnie rzecz biorąc - tak, ale z drugiej strony, kiedy jeszcze byłem amiszem, słyszałem o pewnym człowieku, na którego nałożono bann za posiadanie samochodu. Mężczyzna ten dalej mieszkał ze swoją

żoną, która jak dawniej należała do wspólnoty i chociaż miała obowiązek stronić od niego, jakimś sposobem urodziła mu siedmioro dzieci, które w swoim czasie co do jednego przyjęły chrzest w kościele amiszów. Zatem w gruncie rzeczy o oddaleniu decydują same bezpośrednio zaangażowane osoby.

- Dlaczego w takim razie ojciec wyrzekł się pana? - zapytała Ellie.

- Długo nad tym myślałem, pani Hathaway. Muszę chyba odpowiedzieć, że przyczyną było poczucie osobistej porażki; jakby to on był winny, że nie zechciałem pójść w jego ślady. Wydaje mi się też, że bał się o Katie. Gdyby miała stykać się ze mną codziennie, to w jego przekonaniu groziło jej skażenie znajomością angielskiego świata.

- Proszę nam przybliżyć pańskie relacje z siostrą.

Jacob uśmiechnął się szeroko.

- Cóż, nie różnimy się chyba zbyt od wszystkich innych rodzeństw. Raz Katie była dla mnie jak najlepszy kumpel, a kiedy indziej robiła się męcząca nie do zniesienia. Ponieważ jest ode mnie o kilka lat młodsza, byłem za nią odpowiedzialny i uczyłem ją różnych prac gospodarskich.

- Czy byliście blisko ze sobą?

- Bardzo. Dla amiszów rodzina jest wszystkim. Nie chodzi tylko o to, że spotyka się każdego dnia przy wspólnych posiłkach. Ważne jest to, że pracuje się razem, ramię w ramię, na wspólne utrzymanie. - Jacob uśmiechnął się do Katie. - Kiedy spotyka się kogoś codziennie o wpół do piątej rano w oborze i razem wynosi krowi nawóz, jest okazja naprawdę dobrze się poznać.

- Z pewnością - zgodziła się Ellie. - Czy nie mieliście więcej rodzeństwa?

Jacob opuścił wzrok.

- Kiedyś była z nami jeszcze młodsza siostra. Miała na imię Hannah. Utonęła w stawie, kiedy miała siedem lat.

- Na pewno ciężko pan to przeżył.

- Bardzo - przyznał Jacob. - Była w tym czasie pod naszą opieką, więc ja i Katie zawsze mieliśmy poczucie, że to nasza wina. Można powiedzieć, że zbliżyło nas to jeszcze bardziej.

Ellie skinęła głową ze współczuciem.

- Co się stało po tym, jak nałożono na pana ekskomunikę?

- Poczuję się tak, jakbym znów stracił siostrę - odpowiedział Jacob. - Wczoraj mogłem sobie porozmawiać z Katie, kiedy chciałem, dziś nagle znalazła się gdzieś daleko, całkowicie poza moim zasięgiem. Pierwszych kilka tygodni w szkole wspominam tak, że najbardziej brakowało mi właśnie Katie, chociaż tęskniłem i za domem, i za farmą, i za

rodziną, a nawet za swoim koniem i bryczką, którą jeździłem się zalecać do dziewczyn. Przez całe życie Katie dzieliła wszystko, co się ze mną działo. A teraz nagle znalazłem się w innym świecie, pełnym obcych widoków, dźwięków i ludzkich zachowań, ale nie mogłem jej o tym powiedzieć.

- I co pan zrobił?

- Coś, czego nie zrobiłby żaden amisz: oddałem wet za wet. Skontaktowałem się z naszą ciotką, która wystąpiła z kościoła, bo wyszła za mennonitę. Wiedziałem, że ona będzie umiała przesłać mamie i Katie wiadomość w taki sposób, żeby ojciec się nie zorientował. Mama nie mogła mnie odwiedzić, bo to nie byłoby w porządku, gdyby sprzeciwiła się woli męża, ale zaczęła mi przysyłać Katie jako swojego ambasadora dobrej woli. Trwało to przez kilka lat.

- Chce pan powiedzieć, że pańska siostra, oszukując ojca, po kryjomu wyjeżdżała z domu, żeby odwiedzić pana w odległym o setki kilometrów mieście i spędzić z panem kilka dni w studenckim akademiku?

Jacob skinął głową. - Tak.

- Jak to? - zadrwiła Ellie. - Kościół amiszów zabrania studiować, a nie potępa tego, co robiła Katie?

- Wtedy jeszcze Katie nie była ochrzczona, więc z jej strony rozmowy ze mną, wspólne posiłki czy jazda samochodem nie stanowiły pogwałcenia zasad. Ona tylko dbała o kontakt ze swoim bratem. To prawda, że kryła się przed ojcem, ale mama wiedziała dokładnie, dokąd się wybiera i w pełni popierała te jej wyprawy. Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób, że Katie chce kłamstwem wyrządzić krzywdę naszej rodzinie. Dla mnie to, co robiła, było najlepszą rzeczą pod słońcem, bo dzięki temu trzymaliśmy się razem.

- Kiedy odwiedzała pana w State College, to czy wyszła z niej... - Ellie uśmiechnęła się w stronę ławników. - Hm, z braku lepszego określenia nazwijmy to: rozrywkowa dziewczyna?

- Skądże. Po pierwsze, zawsze miała poczucie, że pasuje tam jak pięść do nosa. Najchętniej cały czas siedziałaby ze mną w moim pokoju i słuchała, jak czytam jej na głos różne rzeczy z książek, z których akurat się uczyłem. Wiedziałem, że strój amiszów będzie ją krępować w towarzystwie studentów, więc już na samym początku kupiłem dla niej trochę zwyczajnych angielskich ciuchów. Parę dzinsów, kilka bluzek, takie rzeczy.

- A czy nie powiedział pan, że określony styl ubioru to jedna z reguł kościoła amiszów?

- To prawda, ale powtarzam, Katie nie przyjęła jeszcze wtedy chrztu, więc nie złamała żadnych zasad. Amisze oczekują od swoich dzieci,

że zanim te się ustatkują i złożą ślubowanie chrzestne, poeksperymentują sobie na własną rękę, lizną trochę świata. Nastolatki z rodzin amiszów noszą dzinsy, jeżdżą do centrów handlowych, chodzą do kina - czasem może nawet wypiją sobie piwo albo dwa.

- Młodzi amiszę robią takie rzeczy?

Jacob skinął głową.

- W wieku piętnastu-szesnastu lat zaczynają się zielone lata. Nastolatki łączą się w towarzyskie grupy, czy też, jak się mówi, w bandy. Proszę mi wierzyć, że to, co robią te dzieciaki, jest często o wiele bardziej ryzykowne niż tych kilka rozrywek, które pokazywałem Katie na studiach. Nie próbowała ze mną narkotyków, nie upijaliśmy się, nie włóczyliśmy po imprezach. Sam tego nie robiłem i nie miałem zamiaru wciągać siostry w takie rzeczy. Żeby dostać się na studia, musiałem się naprawdę solidnie napracować, a żeby w ogóle móc spróbować, trzeba było podjąć kilka trudnych, bolesnych decyzji. Zdałem na studia nie po to, żeby się objąć, tylko żeby się uczyć. To był mój główny cel. A wizyty Katie najczęściej upływały nam właśnie na nauce. - Spojrzał na siostrę. - Bardzo sobie ceniłem to, że do mnie przyjeżdżała. Dzięki niej w tamtym dalekim miejscu miałem kawałek domu. Za nic w świecie nie dopuściłbym do tego, żeby bała się wrócić do State College.

- Chyba bardzo się pan o nią troszczy...

- Troszczę się - przytaknął Jacob. - To moja siostra.

- Proszę nam opowiedzieć o Katie.

- Katie to dobra osoba, ma w sobie mnóstwo życzliwości i wdzięku. Jest taktowna. Bezinteresowna. Zawsze robi to, co trzeba zrobić. Nie wątpię nawet przez chwilę, że będzie doskonałą żoną i cudowną matką.

- Ale dziś stoi przed sądem pod zarzutem morderstwa noworodka.

Jacob potrząsnął głową.

- To jest niedorzeczność i tyle. Gdy się ją zna i wie, jak została wychowana, wie się również, że to nonsens posądzać Katie o to, iż pozabawiła kogoś życia. Ona zbierała pająki ze ścian i wynosiła je na dwór, żeby ich tylko nie zabijać. - Westchnął. - Nie potrafię wytłumaczyć, co to znaczy być amiszem, bo większość ludzi widzi tylko konne bryczki i śmieszne ubrania, a nie zwraca uwagi na wiarę, gdy tymczasem to właśnie wiara tak naprawdę stanowi o tożsamości amiszka. Natomiast oskarżenie o morderstwo - to sprawa ze świata Anglików. Wśród amiszów nie ma morderstw i nie ma przemocy, bo im się wpaja od wczesnego dzieciństwa, że zamiast szukać pomsty na własną rękę, trzeba nadstawić drugi policzek, tak jak Chrystus. - Jacob pochylił się na krześle dla świadka.

- W szkole podstawowej dzieci amiszów uczą się na pamięć pewnego akronimu, który ma im przypominać, że na pierwszym miejscu jest Jezus, na drugim bliźni, a dopiero na samym końcu - ja*. Pierwszą rzeczą, jaką u amiszów kładzie się do głowy dzieciom, jest to, że człowiek zawsze pozostaje pod jakimś zwierzchnictwem, któremu musi ulegać. Chodzi o autorytet rodziców, wyższe dobro całej wspólnoty bądź też Boga. - Jacob utkwiał spojrzenie w swojej siostrze. - Katie potrafi pogodzić się z przeciwnościami losu. Nie próbowałyby ratować własnej skóry czyjś koszt. Po prostu nie przyszłoby jej to do głowy. W żaden sposób nie wymyśliłaby sobie takiego wyjścia z sytuacji, bo nie wie, co to znaczy egoizm. Ellie skrzyżowała ramiona na piersi.

- Czy mówi panu coś nazwisko Adam Sinclair?

- Sprzeciw - wtrącił George. - Jaki to ma związek ze sprawą?

- Wysoki sędzie, czy mogę podejść? - zapytała Ellie. Sędzina gestem zaprosiła oboje prawników bliżej. - Jeżeli otrzymam nieco swobody działania, to ten zwrot w przesłuchaniu ostatecznie sam się wyjaśni.

- Zezwalam.

Ellie powtórnie zadała swoje pytanie.

- To właściciel mieszkania, które wynajmuję w State College - odpowiedział Jacob. - Obecnie przebywa za granicą.

- Czy znał go pan osobiście, zanim wynajął pan od niego kwatery?

- Poznaliśmy się.

- Jakie miał pan zdanie o tym człowieku?

Jacob wzruszył ramionami.

- Lubiałem go, nawet bardzo. Był starszy niż większość studentów, bo robił już doktorat. Nie można mu było odmówić błyskotliwości, ale podziwiałem go przede wszystkim za to, że tak jak ja traktował uczelnię jako miejsce pracy, a nie zabawy.

- Czy Adam Sinclair miał okazję poznać pańską siostrę?

- Tak, spotkali się kilka razy, a potem wyjechał z kraju na badania.

- Czy wiedział, że Katie pochodzi z amiszów?

- Jasne - odparł Jacob.

- Kiedy ostatni raz się pan z nim widział?

- Blisko rok temu. Pieniądze za czynsz wysyłam do agencji zarządu nieruchomości. O ile mi wiadomo, Adam siedzi gdzieś w Szkocji, w jakiejś głuchej dziczce.

* W języku angielskim ten akronim to JOY: Jesus (Jezus), Others (inni ludzie, czyli bliźni), You (ty). Słowo joy natomiast oznacza radość. Jest to więc recepta na radość.

Ellie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Dziękuję, panie Fisher. Nie mam więcej pytań.

George wcisnął ręce do kieszeni i zerknął, marszcząc brwi, do otwartych akt leżących przed nim na stole.

- Zjawił się pan dziś w sądzie, żeby pomóc siostrze, mam rację?

- Tak - odparł Jacob.

- Zrobi pan wszystko, co tylko w pańskiej mocy, aby jej pomóc?

- Oczywiście. Chcę, żeby ławnicy usłyszeli prawdę o Katie.

- Nawet jeśli miałyby ich pan oszukać?

- Ja nikogo nie oszukuję, panie Callahan.

- Nie, oczywiście, że nie - przytaknął George z serdecznym uśmiechem. - Na pewno nie tak, jak pańska siostra.

- Katie nikogo nie oszukała!

George uniósł brwi.

- To chyba u was rodzinne: pan przestał być amiszem, siostra przestała przestrzegać reguł życia amiszów. Pan skłamał, ona skłamała...

- Sprzeciw - przerwała Ellie beznamiętnym tonem. - Gdzie w tym wszystkim pytanie do świadka?

- Podtrzymuję.

- Oszukał pan ojca, zanim usunięto pana z kościoła, tak czy nie?

- Ukrywałem przed nim, że chcę się dalej uczyć. Zrobiłem to dla jego własnego dobra.

- Czy ojciec wiedział, że czyta pan Szekspira na stryszkach w stajni?

- Nie, ale...

- No więc właśnie, panie Fisher. Czym pańskim zdaniem jest kłamstwo? Ukrywaniem faktów? Niecałkowitą szczerością? Zatajeniem prawdy? Nie brzmi to dla pana znajomo?

- Sprzeciw. - Ellie wstała. - To jest wywieranie presji na świadka.

- Podtrzymuję. Udzielam panu ostrzeżenia, panie prokuratorze.

- Skoro to nie było kłamstwo, to w takim razie co? - George zadał pytanie innymi słowami.

Na zaciśniętej szczęce Jacoba drgnął mięsień.

- Chciałem studiować. Zrobiłem to, co musiałem zrobić. Oczy George'a rozbłyły.

- Zrobił pan to, co musiał zrobić. Niedawno powiedział pan, że pańska siostra, dzisiejsza oskarżona, także opanowała dobrze sztukę robienia tego, co trzeba zrobić. Czy pańskim zdaniem jest to cecha wspólna wszystkim amiszom?

Jacob zawahał się, próbując dostrzec hak ukryty w tym pytaniu, ostry i zakrzywiony.

- Amisze są ludźmi praktycznymi. Zamiast siedzieć i narzekać, biorą się do tego, czym akurat trzeba się zająć.

- To znaczy, na przykład, że jeśli trzeba wydoić krowy, to wstają przed świtem, żeby to zrobić?

- Tak.

- Trzeba zebrać siano, zanim zacznie padać - więc pracuje się, dopóki ręce nie odmówią posłuszeństwa?

- Otóż to.

- A kiedy zdarzy się nieślubne dziecko, morduje się je i pozbywa zwłok, zanim ktoś się dowie, co się nawyprawiało?

- Nie. - W głosie Jacoba zabrzmiała złość. - Wcale nie tak.

- Panie Fisher, czy to prawda, że świątobliwi amisze tak naprawdę nie są wcale lepszymi ludźmi niż pierwszy lepszy z nas? Że ulegają tym samym słabościom co wszyscy?

- Amisze nie próbują uchodzić za świętych. To zwykli ludzie, podobni do innych. Różnica polega na tym, że starają się żyć cicho, w pokoju, po chrześcijańsku, tymczasem większość z nas - spojrzął znacząco na oskarżyciela - jest już na półmetku drogi do piekła.

- Mamy uwierzyć, że wystarczy wychować się wśród amiszów, żeby człowiek nie był zdolny choćby pomyśleć o przemocy, zemście, oszustwie?

- Amisze myślą o takich rzeczach, proszę pana, ale rzadko. I nigdy tych myśli nie wcielają w życie. To jest sprzeczne z ich naturą.

- Królik, kiedy złapie się we wnyki, odgryzie sobie nogę, żeby się uwolnić, panie Fisher, a przecież nikt go nie nazwie mięsożercą. Zaś panu, pomimo tego, że wychowywał się pan wśród amiszów, kłamanie przyszło z łatwością, kiedy stawką była dalsza nauka, tak czy nie?

- Uczyłem się w tajemnicy przed rodzicami, bo nie miałem wyboru - wycedził Jacob przez zaciśnięte zęby.

- Zawsze ma się jakiś wybór. Mógł pan pozostać wśród amiszów i nie iść na studia. Mógł pan pogodzić się z konsekwencjami wyboru, przed którym postawił pana ojciec: życie bez rodziny w zamian za możliwość spełnienia swoich egoistycznych pragnień. Nie mam racji, panie Fisher?

Jacob opuścił wzrok. Czuł, jak przetacza się po nim ta sama fala wątpliwości, z którą zmagał się przez tyle miesięcy po wyjeździe z East Paradise, bojąc się, że utonie pod jej naporem.

- To prawda - odpowiedział cicho.

Poczuł na sobie wzrok Ellie Hathaway, usłyszał w głowie jej głos, przypominający, że oskarżyciel robi to wszystko nie po to, żeby dopiec jemu, ale żeby pograć Katie. Zmusił się do uniesienia głowy i spojrzał prokuratorowi twardo w oczy, aż w końcu tamten odwrócił wzrok.

- Czy Katie okłamywała waszego ojca przez sześć lat?
- To nie było kłamstwo.
- Czy poinformowała ojca o tym, że odwiedza pana?
- Nie.
- Czy zamiast tego mówiła mu, że odwiedza ciotkę?
- Tak.
- Czy faktycznie ją odwiedzała?
- Nie.
- I to nie jest kłamstwo?
- To była... dezinformacja.

George parsknął.

- Dezinformacja? To coś nowego. Ale proszę bardzo, panie Fisher. Pańska siostra dezinformowała waszego ojca. Jak rozumiem, pan także był przez nią dezinformowany?

- Nigdy.
- Nie? A czy powiedziała panu, że ma partnera seksualnego?
- O tym się nie...
- Czy powiedziała panu, że jest w ciąży?
- Nigdy jej o to nie pytałem. Nie wiem nawet, czy sama o tym wiedziała, czy chciała przyjąć to do wiadomości.

George uniósł brwi.

- Od kiedy to zna się pan na diagnozie psychiatrycznej?
- Znam swoją siostrę.

Oskarżyciel wrzucił ramionami, dając tym gestem do zrozumienia, co sądzi o takich wyjaśnieniach.

- Porozmawiajmy o tych awanturniczych bandach młodych amiszów. Pańska siostra należała do którejś z tych ostrzejszych?

Jacob roześmiał się głośno.

- To nie jest „West Side Story”, proszę pana. Tutaj nie ma rywalizujących gangów, gett i walki o terytorium. Wśród amiszów, tak samo jak u Anglików, większość młodzieży to są dobre dzieciaki. „Banda” to tylko nazwa, która tak naprawdę oznacza grupę znajomych. Katie należała do Iskierek.

- Iskierki?

- Tak. Najbardziej purytańska grupa w Lancaster to są ci z Kirkwood, a banda mojej siostry jest, powiedzmy, druga albo trzecia. - Jacob uśmiechnął się do prokuratora. - Amunisze, Breneki, Walety - to są te,

jak je pan nazwał, awanturnicze bandy młodych amiszów. Ciągną do nich dzieciaki, które robią różne rzeczy, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ale Katie chyba nawet się z nimi nie zna.

- Czy pańska siostra nadal należy do jakiejś bandy?

- Formalnie rzecz biorąc, ma prawo przychodzić na spotkania, dopóki nie wyjdzie za mąż, ale najczęściej młodzi ludzie przestają interesować się grupą, kiedy przyjmą chrzest.

- Bo wtedy nie mogą już pić alkoholu, tańczyć i chodzić do kina?

- Zgadza się. Dopóki to nie nastąpi, zasady można naginać i wszystko jest w porządku. Chrzest oznacza wybór konkretnej drogi życiowej, której lepiej się już trzymać.

- Czy Katie wypija swoje pierwsze piwo podczas wizyty u pana? Jacob skinął głową.

- Tak. Zabrałem ją na imprezę w akademiku. Ale jej pierwszy kontakt z alkoholem nie wyglądałby wcale inaczej na spotkaniu z bandą.

- I z punktu widzenia zasad życia amiszów wszystko było w porządku?

- Tak, ponieważ Katie nie była jeszcze ochrzczona.

- Zabierał ją pan także do kina? - zapytał George.

- Tak.

- I podobnie jak w wypadku alkoholu, było to coś, na co mogłyby sobie pozwolić w domu? Mogłyby wybrać się do kina ze swoją bandą?

- Zgadza się - odpowiedział Jacob.

- I kościelne zasady nie zabroniłyby jej tego.

- Nie, ponieważ nie była jeszcze ochrzczona.

- A taniec? Zabierał pan ją na jakieś tańce?

- Raz, może dwa razy.

- Ale w bandach też można urządzać potańcówki.

- Tak.

- I kościelne zasady nie zabroniłyby pańskiej siostrze wybrać się na taką imprezę.

- Nie. Powtarzam: nie była jeszcze ochrzczona.

- Wychodzi na to, że można spróbować wielu rzeczy, zanim się dokona ostatecznego wyboru - skomentował George.

- O to właśnie chodzi.

- Kiedy zatem pańska siostra przyjęła chrzest? - padło pytanie.

- We wrześniu zeszłego roku.

Prokurator skinął głową w zamyśleniu.

- A zatem zaszła w ciążę już po chrzcie. Czy według kościelnych zasad pańska siostra mogłaby prowadzić współżycie pozamałżeńskie i urodzić nieślubne dziecko?

Jacob milczał, płonął na twarzy.

- Chciałbym usłyszeć odpowiedź - zwrócił mu uwagę prokurator.
- Nie, nie mogłaby.
- Ach, tak. Ponieważ była już ochrzczona?
- Między innymi - odparł Jacob.
- Proszę więc pozwolić, że dokonam podsumowania. - George przeszedł do wniosków. - Oskarżona okłamała pańskiego ojca, okłamała też pana, zaszła w ciążę, nie mając męża, a złożywszy już ślubowanie chrzestne. Czy taką prawdę o niej chciał pan przedstawić ławnikom?
- Nie!

- To ma być ta „dobra osoba”, która ma „mnóstwo życzliwości i wdzięku”, jak pan opisał siostrę w swoim wcześniejszym zeznaniu? Faktycznie, prawdziwa z niej harcerka, zgodzi się pan ze mną, panie Fisher?

- Zgodzę się - odpowiedział Jacob sztywno. - Pan nic nie rozumie.
- Ależ rozumiem. Wyjaśnił pan to przecież w sposób tak wyczerpujący, że doprawdy, choćbym chciał, nie dorównam panu elokwencją. - George podszedł do protokółantki i wskazał palcem fragment zapisu przebiegu przesłuchania. - Czy może pani to przeczytać?

Protokółantka skinęła głową.

- „Dla amiszów” - odczytała na głos - „rodzina jest wszystkim”. George uśmiechnął się.

- Nie mam więcej pytań.

Po zakończeniu przesłuchania Jacoba sędzina Ledbetter ogłosiła przerwę na kawę. Ławnicy opuścili salę rządkiem, ściskając w palcach notatniki i ołówki, zgodnie unikając wzroku Ellie. Jacob wyskoczył zza balustrady otaczającej krzesło dla świadka jak pchnięty sprężyną i podszedł prosto do Katie. Wziął siostrę za ręce i oparłszy czoło o jej czoło, szeptał do niej w Dietsch, a ona śmiała się cicho.

Po chwili wyprostował się i odwrócił do Ellie.

- I jak?
- Dobrze ci poszło - odpowiedziała, przykleiwszy uśmiech na usta.

Odpreżył się, słysząc te słowa.

- Czy ławnicy są tego samego zdania?
- Powiem ci coś. Dałam sobie spokój z rozgryzaniem amerykańskich ławników mniej więcej w tym samym czasie, kiedy filmy z

Adamem Sandlerem zaczęły przynosić zyski liczone w milionach dolarów. Doszłam do wniosku, że nie da się przewidzieć, jak człowiek zareaguje. Kiedy zeznawałeś, jedna kobieta, ta z niebieskimi włosami, ani na chwilę nie spuściła z ciebie oka. Z drugiej strony, ten facet z ohydny tupecikiem przez cały czas wyciągał sobie nitkę z rękawa marynarki i naprawdę nie wydaje mi się, żeby cokolwiek do niego dotarło.

- Ale mimo wszystko... dobrze poszło?

- Byłeś pierwszym świadkiem - przypomniała Ellie łagodnym głosem. - Poczekajmy. Wszystko się okaże.

Jacob skinął głową.

- Mogę zabrać Katie na kawę do bufetu na dole?

- Nie. Za progiem tej sali obskoczą ją pismacy i fotoreporterzy. Jeśli Katie chce się napić kawy, musisz ją przynieść.

Jacob odszedł, a Ellie momentalnie odwróciła się do Katie.

- Widziałas, co George Callahan wyprawiał z Jacobem?

- Próbował go trochę podejść, ale...

- Zdajesz sobie sprawę, że tobie będzie sto razy trudniej? Katie zacięła zęby.

- Naprawię swoje winy. Za wszelką cenę.

- Katie, jeśli nie będziesz zeznawać, to lepiej pójdzie mi obrona.

- Jak to? Tyle było gadania o prawdzie, a teraz nikt nie usłyszy ode mnie, co naprawdę się stało?

Ellie westchnęła.

- Nie mówiłam, że powiem prawdę.

- Nie? A wtedy, na samym początku...

- To było tylko zagranie, Katie. Trzy czwarte pracy adwokata składa się z aktorstwa najwyższej próby. To są prawdziwe oscarowe role. Przedstawiam ławnikom pewną wersję wydarzeń, a ona, przy odrobinie szczęścia, przypadnie im do gustu lepiej niż ta druga, którą zaprezentuje im George.

- Mówiłaś, że pozwolisz mi powiedzieć prawdę.

- Mówiłam, że nie powołam się na niepoczytalność. To ty głosowałaś za prawdą, a ja, przypomnij sobie, odpowiedziałam, że zobaczymy. - Zajrzała Katie głęboko w oczy. - Jeżeli usiądziesz na tym krześle, George zrobi z ciebie marmoladę. I będziemy miały szczęście, jeżeli przy okazji nie rozwali naszej linii obrony w drobny mak. To jest świat Anglików i angielski sąd, który zgodnie z angielskim prawem oskarżył cię o morderstwo. Nie zdołasz wygrać tej sprawy, jeśli spróbujesz grać według reguł amiszów.

- A ty masz klientkę, która jest amiszką, wychowała się wśród amiszów i myśli jak każdy amisz. Angielskie reguły mają się do niej zupełnie nijak - odparła cicho Katie. - I co teraz?

- Katie, ja chcę tylko, żebyś obserwowała oskarżyciela i słuchała tego, co mówi. Nie musisz zeznawać. Możesz się rozmyślić w ostatniej chwili. - Ellie zadrżała swojej klientce głęboko w oczy. - Dam radę wygrać tę sprawę, nawet jeśli ty nie powiesz przed sądem ani słowa.

- Jeśli nie powiem ani słowa, to wyjdę na oszustkę, którą chce ze mnie zrobić pan Callahan.

Ellie odwróciła się, czując, jak ogarnia ją frustracja. Co za błędne koło, pomyślała. Katie chce, żebym poświęciła wygraną na ołtarzu uczciwości dyktowanej przez religię; ja wiem, że sąd jest ostatnim miejscem, gdzie należy szukać uczciwości. Sytuacja przypominała jazdę samochodem w śnieżycy: można być całkowicie pewnym własnych umiejętności, ale na drodze są przecież jeszcze inni, którzy mogą zajechać drogę i spowodować wypadek.

Z drugiej strony Katie nigdy w życiu nie prowadziła samochodu.

- Nie czujesz się najlepiej, co?

To był głos Coopa; Ellie uniosła głowę.

- Wszystko w porządku, dzięki.

- Wyglądasz okropnie.

Obdarzyła go ironicznym uśmiechem.

- No, no. Ty to od dziewczyn musisz chyba opędać się kijem. Masz niezły styl.

Coop przykucnął obok jej krzesła.

- Mówię poważnie, Ellie - powiedział, zniżając głos. - Mam obecnie osobisty interes w tym, żebyś trzymała formę, więc jeśli prowadzenie tej sprawy cię przerasta...

- Zlituj się, Coop, kiedyś kobiety rodziły prosto na polu, wstawiały i wracały zbierać zboże...

- Bawełnę.

- Co?

Wzruszył ramionami.

- Bawełnę, a nie zboże.

Ellie mrugnęła oczami, nic nie rozumiejąc.

- Widziałeś coś takiego?

- Mówię tylko, jak było.

- Aha. No dobrze. Było tak, jak mówisz. A teraz jest tak, że u mnie wszystko gra. Jestem w pełni sił. Zwarta i gotowa. Dam radę wygrać sprawę i dam radę urodzić dziecko. Ze wszystkim dam sobie radę. - Nagle poczuła pieczenie pod powiekami i ogarnęło ją przerażenie, gdy zrozumiała, że to łzy. - A teraz wybacz, ale zanim sąd zbierze się po przerwie, muszę jeszcze coś załatwić. Trzeba zakończyć wojnę w Bośni i uratować chociaż kilka głodujących krajów Trzeciego Świata. - Wstała prędko i zostawiła go przy stole.

Coop popatrzył za nią szeroko otwartymi oczami, a potem opadł na jej krzesło.

Katie skrobała kciukiem po kartce w notesie adwokatki.

- To przez to dziecko - powiedziała. - Kobieta jest wtedy cała ferhoodled.

- No cóż. - Coop pomasaował sobie kark. - Martwię się o nią.

Dziewczyna nacisnęła mocniej, zostawiając na kartce ślad paznokcia.

- Ja też się martwię.

Ellie wróciła na salę równo z sędzią Ledbetter i wślizgnęła się na swoje miejsce obok Katie. Twarz miała zarumienioną i błyszczącą wilgocią, jakby opryskała ją sobie wodą. Nie chciała spojrzeć na Katie, nawet gdy dziewczyna pod stołem dotknęła lekko jej ręki, tak po prostu, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Zamiast tego wymamrotała pod nosem coś, co brzmiało jak „Przepraszam” albo „Przebaczysz?” - chociaż to drugie nie miało przecież ani krztyny sensu - i uniosła się z krzesła jednym płynnym, pełnym powagi ruchem, który w pewien sposób kojarzył się Katie z dymem dostojnie snującym się z komina.

- Obrona - powiedziała - wzywa na świadka Adama Sinclaira. Dziewczynie zaparło dech w piersiach. Musiałam się przesłyszeć, pomyślała.

- Sprzeciw! - zawołał oskarżyciel. - Tego nazwiska nie było na mojej liście.

- Wysoki sędzie, świadek przebywał za granicą. Miejsce jego pobytu udało mi się ustalić zaledwie przed kilkoma dniami - wyjaśniła Ellie.

- To nie tłumaczy, dlaczego jego nazwisko nie figuruje na złożonej przez panią liście świadków - zauważyła sędzina Ledbetter.

Ellie zawahała się przez chwilę.

- Ten świadek posiada informacje, o których dowiedziałam się w ostatniej chwili.

- Wysoki sędzie, to już przesada. Mecenas Hathaway nagina procedury prawne tak jak jej wygodnie.

- Proszę o wybaczenie, wysoki sędzie - odparła Ellie - i przepraszam prokuratora Callahana za brak uprzedzenia. Ten świadek nie wygra za mnie sprawy, ale dostarczy szczegółów istotnych dla zrozumienia sytuacji.

- Chcę przesłuchać go pierwszy - zażądał George.

Reszty Katie już nie słyszała, bo w tej chwili jej świadomość skupiła się na jednym fakcie: Adam był w tym samym pomieszczeniu co ona.

Jej oddech nagle stał się krótki i płytki, a w każdym wdechu i w każdym wydechu brzmiał szelest jakby sreberka odwijanego z czekoladki, na której widniało jego imię. Adam położył dłoń na Biblii, a ona wyobraziła sobie, jak ta sama dłoń spoczywa płasko na jej brzuchu.

A potem spojrzął na nią. W jego oczach był smutek, który dla niej wyglądał jak znak wysokiej wody pozostawiony przez falę cierpienia potężną jak morski grzywacz. Wbił w nią wzrok i patrzył, patrzył, dopóki powietrze w sali rozpraw nie zgęstniało i nie zbrzyliło się; serce w jej pierś waliło tak mocno, że odrzut wstrząsał całym ciałem.

Katie przygryzła wargę i owinęła się szczerlnie wstydem jak szalem. To była jej wina, to ona doprowadziła jego i siebie do tego. Przepraszam.

Przebaczam.

Uniosła drżące dłonie do twarzy, myśląc jak dziecko: jeśli nie będę go widzieć, to stanę się niewidzialna.

- Pani Hathaway - odezwała się sędzina - czy mam zarządzić krótką przerwę?

- Nie - odrzekła Ellie. - Moja klientka sobie poradzi.

Ale Katie wcale sobie nie radziła. Trzęsa się na całym ciele, a łzy płynęły z oczu coraz mocniejszą falą. Za nic w świecie nie podniosłaby teraz głowy, bo wiedziała, że znów zobaczy Adama. Raz po raz czuła na sobie ukłucia spojrzeń ławników i zmagą się w myślach z pytaniem: dlaczego Ellie nie chce zrobić tego dla niej i nie pozwoli jej uciec, uciec z tej sali, nie oglądając się za siebie.

- Proszę cię - szepnęła do Ellie.

- Cicho. Zaufaj mi.

- Czy jest pani pewna, pani mecenas? - zapytała sędzina Ledbetter.

Ellie potoczyła wzrokiem po ławnikach, którzy siedzieli z otwartymi ustami.

- Całkowicie.

W tym momencie Katie poczuła, że nienawidzi jej z całego serca.

- Wysoki sędzie - rozległ się jego głos, Boże drogi!, jego cudowny, głęboki głos, podobny do turkotu bryczki toczącej się po bruku. - Czy mogę...? - Adam wziął ze stolika obok krzesła dla świadka pudełko chusteczek higienicznych i skinął głową w kierunku Katie.

- Nie, panie Sinclair. Zostanie pan na miejscu - rozkazała sędzina.

- Stanowczo się sprzeciwiam - upierał się prokurator. - Mecenasa Hathaway powołała tego świadka, licząc wyłącznie na dramatyczny efekt. Jego zeznanie nie będzie miało żadnej wagi.

- Jeszcze go nie przesłuchałam, George - zwróciła mu uwagę Ellie.

- Pani mecenas, panie prokuratorze, proszę podejść - powiedziała gniewnie sędzina Ledbetter. Trójka prawników zaczęła szeptać. Nie było słyhać niczego, oprócz pojedynczych słów wybijających się jak strużki przecieków z nieszczelnej rury. Adam spojrzał na Katie, która wciąż jeszcze nie przestała płakać. Wziął chusteczki i otworzył furtkę w balustradzie otaczającej krzesło dla świadka.

Zbliżył się strażnik sądowy.

- Przykro mi, proszę pana, ale...

Adam minął go bez słowa, a odgłos jego kroków potężniał w miarę zbliżania się do stołu dla obrony. Sędzina Ledbetter uniosła wzrok i natychmiast zawołała go po nazwisku. Nie posłuchał. Chwyciła młotek, uderzyła nim w podkładkę.

- Panie Sinclair! Proszę się natychmiast zatrzymać albo oskarżę pana o obrazę sądu!

Ale on się nie zatrzymał. Rozległ się krzyk prokuratora uniesionego świętym oburzeniem, punktowany gniewnymi ostrzeżeniami sędziny, a Adam przyklęknął obok Katie. Poczula jego zapach, ogarnęło ją bijące od niego ciepło i pomyślała: to jest mój Armageddon.

Po jej policzku przesunęła się miękka chusteczka.

Głosy sędziny i prawników ucichły, ale Katie tego nie zauważyła. Czula tylko, jak kciuk Adama ociera się o jej skórę. Zamknęła oczy.

Tłem dla tego obrazu był George Callahan, który wyrzucił ręce w górę i na nowo wdał się w spory z sędziną i z Ellie.

- Dziękuję - szepnęła Katie, biorąc chusteczkę z ręki Adama.

Skinął głową, nie mówiąc ani słowa. Strażnik, otrzymawszy polecenie od sędziny Ledbetter, chwycił go za ramię i szarpnięciem postawił na równe nogi. Katie patrzyła, jak odprowadza Adama na miejsce dla świadka. Każdy jego nieskory krok oddalał ich od siebie.

- Jestem łowcą duchów - odpowiedział Adam na pytanie Ellie. - Tropię i rejestruję zjawiska paranormalne.

- Czy może nam pan przybliżyć, na czym polega pańska praca?

- Nocuję w miejscach, o których mówi się, że są nawiedzane przez duchy i próbuję wykryć zmiany pola energetycznego za pomocą różdżki bądź też specjalistycznej techniki fotograficznej.

- Czy oprócz doktoratu z parapsychologii na Pensylwańskim Uniwersytecie Stanowym posiada pan inne stopnie naukowe?

- Tak. Licencjat i magisterium zdobyte na wydziale nauk ścisłych Massachusetts Institute of Technology.

- W jakiej dziedzinie, panie Sinclair?

- Fizyka.

- Czy uważa się pan zatem za naukowca?

- Jak najbardziej. Wiedza naukowa uświadomiła mi konieczność istnienia zjawisk paranormalnych. Każdy fizyk może pani powiedzieć, że nie ma sposobu, aby zniszczyć energię - można ją tylko przekształcić.

- Jak poznał pan Jacoba Fishera? - zapytała Ellie.

- Na uczelni. Ja byłem asystentem i prowadziłem kursy, on robił licencjat. Od razu zwrócił moją uwagę. Był niesamowicie skoncentrowany na zajęciach.

- Proszę o tym opowiedzieć.

- Jest chyba oczywiste, że ze względu na specyfikę dziedziny, którą się zajmuję, nie mogę sobie pozwolić na to, aby lekceważyć swoją pracę. Zaobserwowałem, że najlepiej się sprawdza takie podejście, kiedy człowiek tyra jak wół, bez chwili wytchnienia i nie przejmuje się tym, co myślą inni. Jacob był pod tym względem bardzo podobny do mnie. Jak na człowieka, który jest dopiero na studiach licencjackich, wyróżnił się tym, że o wiele bardziej niż studenckie życie interesowało go zdobywanie wiedzy. Kiedy dowiedziałem się, że mam wyjechać na badania, zacząłem rozglądać się za kimś, komu mógłbym podnająć dom, i zwróciłem się z tą propozycją do niego.

- Kiedy poznał pan siostrę Jacoba Fishera?

Adam przeniósł wzrok z Ellie na Katie, a jego spojrzenie złągodniało.

- Pierwszy raz spotkałem ją tego dnia, kiedy odbierałem dyplom doktora. Przedstawił nas sobie jej brat.

- Może nam pan o tym opowiedzieć?

- Katie była piękna, rozglądała się dookoła szeroko otwartymi oczami i widać było, że się wstydzi. Wiedziałem, że jest amiszką, bo jakiś czas wcześniej sam Jacob mi o tym powiedział, nie była jednak ubrana jak amisze. - Urwał na chwilę, uniósł dłoń. - Podaliśmy sobie ręce na powitanie - nic niezwykłego, ale pamiętam, że z niechęcią ją puściłem.

- Czy miał pan okazję spotkać Katie ponownie?

- Tak, raz w miesiącu odwiedzała brata. Jacob wprowadził się do mnie kilka miesięcy przed moim wyjazdem i oficjalną wyprowadzką, więc widywałem jego siostrę za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do State College.

- Czy wasza znajomość się rozwinęła?

- Bardzo szybko się zaprzyjaźniliśmy. Zauważyłem, że Katie interesuje moja praca. Ale nie wypytywała mnie o nią jak pismak z prasy naukowo-sensacyjnej. Odnosiła się do moich projektów z szacunkiem. Niezwykle łatwo mi się z nią rozmawiało, ponieważ była wyjątkowo otwarta i szczerą. Miałem wrażenie, że rozmawiam z osobą nie z tego świata, co zresztą pod wieloma względami było prawdą. - Poruszył się na krześle. - Podobała mi się. Wiedziałem, co jest nie tak: byłem od niej o dziesięć lat starszy, miałem za sobą różne doświadczenia i w niczym nie przypominałem amiszów. Ale nie mogłem przestać o niej myśleć.

- Czy zostaliście kochankami?

Adam spojrział na twarz Katie, oblewającą się rumieńcem.

- Tak - odpowiedział.

- Czy Katie spała już wcześniej z kimś innym?

- Nie. - Adam odchrząknął. - Była dziewicą.

- Czy kochał ją pan, panie Sinclair?

- Nadal ją kocham - odpowiedział cicho.

- Dlaczego więc nie było pana przy niej, kiedy okazało się, że jest w ciąży?

Potrząsnął głową.

- Nic o tym nie wiedziałem. Dwukrotnie przekładałem wyjazd na badania, żeby zostać blisko niej, ale następnego dnia po... po tym, jak zaszła w ciążę, poleciałem do Szkocji.

- Czy od czasu tego wyjazdu był pan w Stanach?

- Nie. Gdybym tylko wrócił, to od razu odwiedziłbym Katie. Pracowałem natomiast w wioskach odległych od większych skupisk ludzkich, w niedostępnych regionach. W sobotę po raz pierwszy od roku postawiłem nogę na amerykańskiej ziemi.

- Gdyby pan wiedział o dziecku, panie Sinclair, to co by pan zrobił?

- Ożeniłbym się z Katie jeszcze tego samego dnia.

- Musiałby pan być amiszem. Czy mógłby pan przyjąć tę wiarę?

- Słyszałem o takich przypadkach, ale to chyba nie dla mnie. Nie jestem za bardzo wierzący.

- A zatem małżeństwo tak naprawdę nie wchodziło w grę. Na co jeszcze był pan gotowy? - zapytała Ellie.

- Na wszystko. Nie zabrałbym jej od rodziny i przyjaciół, ale miałbym nadzieję, że uda nam się jakoś ułożyć wspólne życie.

- W jaki sposób?

- W jaki tylko Katie by zechciała i w jaki tylko by mogła - odparł Adam.

- Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę - ciągnęła dalej Ellie - ale wspólna przyszłość amiszki i mężczyzny spoza jej świata nie rokuje wielkich szans powodzenia.

- Kaktus może zakochać się w soplu lodu - zamyślił się Adam - ale gdzie postawią sobie dom? - Westchnął. - Nie chciałem wpaść w rolę nieszczęśliwego kochanka. Bardzo by mi odpowiadało, gdybyśmy zaszyli się w jakimś zakątku wszechświata, sami, tylko we dwójkę. Ale skoro kochałem Katie, to nie mogłem jej prosić, żeby wyrze kła się wszystkiego i wszystkich. I właśnie dlatego tak stchórzyłem w zeszłym roku. Wyjechałem, żywiąc skrytą nadzieję, że kiedy mnie nie będzie, zadziałają jakieś czary i jak wrócę, będzie już inaczej.

- I było?

Adam skrzywił się.

- Było, ale inaczej nie znaczy lepiej.

- Czego się pan dowiedział po powrocie, w sobotę? Przełknął z wysiłkiem.

- Że Katie urodziła moje dziecko. I że to dziecko umarło.

- To musiała być bardzo przygnębiająca wiadomość.

- Była - przytaknął Adam. - Była i jest.

- Jaka była pańska pierwsza myśl?

- Chciałem do niej jechać. Byłem pewny, że jest tak samo zdruzgotana jak ja, o ile nie bardziej. Wydawało mi się, że będziemy mogli pomóc sobie nawzajem.

- Czy wiedział pan już wtedy, że Katie została oskarżona o zamordowanie tego dziecka?

- Tak.

- Poinformowano pana, że dziecko nie żyje, że był to chłopiec, a Katie jest jedyną podejrzaną w procesie o jego morderstwo - i mimo to chciał pan jechać do niej, aby ją podtrzymać na duchu i samemu znaleźć jakąś ulgę?

- Pani Hathaway - oświadczył Adam - Katie nie zabiła naszego dziecka.

- Skąd może pan mieć taką pewność?

Opuścił wzrok.

- Bo pisałem na ten temat rozprawę. Miłość to najsilniejszy rodzaj energii. Katie i ja kochaliśmy się. Nasza miłość nie miała szans na przetrwanie ani w moim świecie, ani też w jej świecie, ale ta energia musiała gdzieś się podziać. Przełała się w to dziecko. - Jego głos nagle się załamał. - Gdybyśmy nawet nie mogli mieć siebie nawzajem, mielibyśmy tego chłopczyka.

- Skoro aż tak pan ją kochał - zapytał George w połowie swojego przesłuchania - to dlaczego nie skrobnał pan do niej kilku słów co jakiś czas?

- Pisałem. Raz w tygodniu - odparł Adam, obserwując spod półprzymkniętych powiek Ellie Hathaway, która ostrzegła go, żeby nie wyjawiał przed sądem, że jego listy nie docierały do Katie; gdyby się wydało, że Jacob próbował przeciwdziałać związkowi swojej siostry z Adamem, mocno ucierpiałyby na tym obrona oparta na postaci nieszczęśliwego kochanka.

- Zatem przez cały ten czas waszej słodkiej korespondencji nie powiedziała panu, że jest w ciąży?

- Jak rozumiem, nie powiedziała o tym nikomu.

George uniósł brew.

- A może ukryła przed panem ten fakt dlatego, że o wiele mniej niż panu zależało jej na tym, abyście byli razem?

- Na pewno nie...

- Albo uznała, że wystarczy jej ekscesów i chciała wrócić do swojego chłopaka-amisza? Tak, żeby nikt o niczym nie wiedział?

- Myli się pan.

- Może nic panu nie powiedziała właśnie dlatego, że zamierzała pozbyć się dziecka.

- Nie zrobiłaby tego - powiedział Adam z niezłomnym przekonaniem.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli przeoczyłem jakiś szczegół pańskiego zeznania, ale czy był pan osobiście w oborze, gdzie rodziła Katie Fisher?

- Wie pan dobrze, że nie.

- W takim razie nie może pan osądzać, co się zdarzyło, a co nie.

- Zgodnie z tym tokiem rozumowania pan także nie może tego robić - zauważył Adam. - Ja wiem jednak coś, o czym pan nie ma pojęcia. Wiem, jak myśli i czuje Katie. Wiem, że nie zamordowałaaby naszego dziecka. To, czy byłem przy porodzie, czy nie, jest bez znaczenia.

- Ależ oczywiście. Jest pan przecież... jak to pan nazwał? Aha! Łowcą duchów. Nie musi pan czegoś zobaczyć, żeby w to uwierzyć.

Adam spojrzał oskarżycielowi prosto w oczy.

- Chyba źle pan mnie zrozumiał - odrzekł. - Może chodzi po prostu o to, że wierzę w rzeczy, których nie widać.

Ellie cicho zamknęła za sobą drzwi do sali konferencyjnej.

- Posłuchaj mnie - zaczęła, czując, jak ogarnia ją niepokój. - Wiem, co powiesz. Nie miałam prawa tak zniemacka stawiać ci Adama przed samym nosem. Powinnam ci o wszystkim powiedzieć, kiedy tylko się dowiedziałam, gdzie przebywa. Ale zrozum, Katie, ławnicy musieli się dowiedzieć, kim był dla ciebie ojciec dziecka, żeby dotarło do nich,

że jego śmierć to naprawdę była tragedia. Musieli zobaczyć na własne oczy, jak bardzo cierpisz na widok Adama, kiedy pojawił się niespodziewanie na sali rozpraw. Trzeba było sprawić, żeby zaczęli ci współczuć, bo wtedy sami zaczną szukać powodu, żeby cię uniewinnić. - Spłótła ramiona na piersi. - Przepraszam, jeśli to cokolwiek dla ciebie znaczy.

Katie tylko odwróciła się bez słowa. Ellie spróbowała rozluźnić napięcie żartem.

- No, przecież przeprosiłam. Myślałam, że jeśli człowiek wyzna swoje winy, to mu przebaczą i przyjmują z powrotem z otwartymi ramionami.

Katie spojrzała jej w oczy.

- To było moje - powiedziała cicho. - Pozostało mi już tylko to wspomnienie. A ty zdradziłaś je wszystkim.

- Zrobiłam to po to, żeby cię uratować.

- Kto powiedział, że chcę, żebyś mnie ratowała?

Ellie już nic nie mówiła. Wróciła do drzwi.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała i przekręciła gałkę.

Na progu stał Adam. Na jego twarzy malowała się niepewność, opuszczone dłonie ścisnęły się i rozwierały. Ellie skinęła na niego głową i wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Katie wstała, mrugając oczami, żeby nie popłynęły łzy. Czekwała, aż wyciągnie do niej ręce, żeby mogła wpaść w jego ramiona. Nie trzeba było niczego więcej; gdyby zrobił tylko to, wróciliby z powrotem tam, gdzie byli ostatnim razem.

Adam zbliżył się o krok, a Katie rzuciła się ku niemu jak na skrzydłach. Szeptane pytania ocierały się o ich skórę, pozostawiając ślady wyraźne niczym blizny. Katie przywarła mocniej do niego, zdziwiona tym, że coś jej przeszkadza, jakby jakiś niewielki przedmiot utkwiał pomiędzy nią a nim. Spojrzała w dół, żeby zobaczyć, co ją tak krępuje, ale była tam tylko niewidzialna, przytłaczająca nieobecność ich dziecka.

Adam również to poczuł - domyśliła się tego, kiedy drgnął i odsunął ją od siebie na długość ramienia.

- Pisałem do ciebie. Twój brat nie oddawał ci moich listów.

- O wszystkim bym ci powiedziała - odrzekła. - Nie wiedziałam, gdzie jesteś.

- Kochalibyśmy go. - Głos Adama zabrzmiał zajadłością, ale jego ton mógł wskazywać równie dobrze na stwierdzenie jak i na pytanie.

- Tak - potwierdziła.

Jego palce przesunęły się po jej włosach, zawadzając o rąbek czepka.

- Co tam się stało? - szepnął.

Katie zamarła.

- Nie wiem. Zasnęłam, a kiedy się obudziłam, dziecka już nie było.
- Ja rozumiem, że tak powiedziałaś swojej adwokatce. I policji.

Ale ja to ja, Katie. To nasz syn.

- Mówię ci prawdę. Nie pamiętam.
- Przecież przy tym byłaś! Musisz pamiętać!
- Ale nie pamiętam! - załkała.

- Musisz sobie przypomnieć - powiedział Adam głuchym tonem - bo mnie tam nie było, a koniecznie chcę to wiedzieć.

Katie zacisnęła usta i sztywno, niemal niezauważalnie potrząsnęła głową, a potem osunęła się na krzesło i zgięła się w pół, obejmując ramionami brzuch.

Adam wziął ją za rękę i ucałował kostki palców.

- Dojdziemy do tego - zapewnił ją. - Po rozprawie wszystko musi się jakoś wyjaśnić.

Poddała się oczyszczającemu działaniu jego głosu, czując duchem prawie to samo, co podczas Grossgemees, komunii. Tak bardzo, że wszystkich sił, pragnęła mu uwierzyć! Uniosła na niego wzrok i zaczęła przytakiwać w milczeniu.

Ale w jego oczach dostrzegła błysk, tańczącą iskierkę zwątpienia, tak ulotną, że gdyby nie odwrócił się tak szybko, nie obudziłyby się w niej podejrzenia. Powiedział, że ją kocha. Wyznał to przed ławą przysięgłych. Ale chociaż na sali rozpraw nie wspomniął o tym ani słowem, to tutaj, kiedy byli sami, dopuścił do siebie myśl, w której kryło się pytanie: czy Katie dlatego nie pamięta, co stało się z naszym dzieckiem, ponieważ popełniła czyn, który nie ma nazwy?

Pocałował ją delikatnie, a ona nie mogła się nadziwić, jak to jest, że stojąc przed kimś, kto jest jej tak bliski, że nie dzieli go od niej nawet powietrze, czuje się tak, jakby ziemię pomiędzy nimi rozdarł głęboki kanion.

- Jeszcze będziemy mieli dzieci - powiedział, nie wiedząc, że tej jednej rzeczy Katie za nic nie życzy sobie słyszeć.

Powiodła palcami po jego policzkach, po krawędzi szczęki, po owalach uszu.

- Przepraszam - powiedziała, nie wiedząc właściwie, dlaczego i za co.

- To nie była twoja wina - mruknął.
- Adam...

Przyłożył palec od jej ust i potrząsnął głową.

- Nie mów tego. Jeszcze nie teraz.

Poczuła w piersi taki ciężar, że trudno jej było oddychać.

- Chciałam ci powiedzieć, że był podobny do ciebie. - Jej słowa zabłyły jak kolorowy prezent. - Chciałam ci powiedzieć, że był śliczny.

Adam wyszedł z kabiny i zaczął myć ręce w umywalce. Głowę wciąż miał pełną myśli o Katie, o rozprawie, o ich dziecku. Kiedy obok niego stanął inny mężczyzna i odkręcił kran, ledwie do niego dotarło, że nie jest sam.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Adam omiół wzrokiem czarny kapelus z szerokim rondem na głowie nieznanego, spodnie prostego kroju, szelki, koszulę z bladzielonego materiału. Widział go po raz pierwszy w życiu, ale wiedział, kim on jest, tak samo jak ten olbrzymi blondyn, który nie mógł oderwać od niego wzroku, wiedział, kim jest Adam.

To z nim ona była, zanim się poznaliśmy, pomyślał.

Tego człowieka nie było na sali sądowej; Adam zapamiętałby go, był tego pewien. Być może nie chciał tam wejść ze względów religijnych. Być może siedział w osobnym pomieszczeniu, bo miał dziś składać zeznania.

Być może, tak jak sugerował oskarżyciel, ten człowiek pojawił się u boku Katie, kiedy Adama zabrakło, i to on się nią opiekował.

- Przepraszam. - Jasnowłosa wyciągnął rękę w kierunku dozownika z mydłem. W jego mowie brzmiał mocny obcy akcent.

Adam osuszył ręce papierowym ręcznikiem. Skinął tamtemu głową - spokojnie, tylko raz, dla oznaczenia swojego terytorium - i wrzucił zgnieciony papier do kosza na śmieci.

Otworzywszy drzwi wiodące na ruchliwy korytarz, obejrzał się jeszcze ten jeden, ostatni raz. Blondwłosa amisz sięgał właśnie po ręcznik z podajnika; stał w tym samym miejscu co przed chwilą Adam.

Samuel drżącą ręką przekręcił gałkę w drzwiach. Tutaj, powiedziała mu Ellie, w tej maleńkiej sali konferencyjnej miał znaleźć Katie. Tak, była tam, zgarbiona nad brzydkim plastikowym stołem jak więdnący mlecz na wiotczącej łądze. Przysiadł się po przeciwnej stronie, opierając łokcie na blacie.

- Dobrze się czujesz?

- Ja. - Katie westchnęła, przetarła oczy. - Dobrze.

- Przynajmniej ty. Uśmiechnęła się blado.

- Będiesz niedługo zeznawał?

- Tak mówi Ellie. - Urwał z wahaniem. - Powiedziała, że wie, co robi. - Samuel wstał; niewygodnie mu było w tym ciasnym pomieszczeniu,

nie pasował tutaj, był za duży. - Prosiła mnie, żebym przyprowadził cię już z powrotem na salę.

- Oczywiście, przecież nie chcemy sprawić jej zawodu - bąknęła Katie z przekąsem.

Samuel zmarszczył czoło.

- Katie... - Zdołał powiedzieć tylko tyle, bo nagle wydał się sobie bardzo mały i bardzo podły.

- Nie powinnam tak mówić - przyznała. - Jestem teraz jakaś inna. Sama siebie nie poznaję.

- Ja cię poznaję - powiedział Samuel tonem tak śmiertelnej powagi, że musiała uśmiechnąć się szeroko.

- Ciesz się mnie to - odparła. Źle się czuła w tym sądzie, tak daleko od rodzinnej farmy, ale myśl o tym, że Samuela dręczy dokładnie to samo poczucie wyobcowania, przynosiła jej trochę ulgi.

Wyciągnął do niej rękę i uśmiechnął się.

- Chodź już.

Katie wsunęła dłoń do jego dłoni. Samuel pociągnął ją na równe nogi i wyprowadził z salki konferencyjnej. Trzymając się za ręce, wyszli na korytarz, znaleźli podwójne drzwi wiodące do sali rozpraw, a za nimi stół dla obrońcy i oskarżonej; żadnemu z nich nie przyszło nawet na myśl, że mogliby iść teraz osobno.

Rozdział szesnasty

ELLIE

Ostatniej nocy przed rozpoczęciem przesłuchań świadków w obronie Katie, śniło mi się, że przed sądem zeznaje Coop, a ja go odpytuję. Stałam z nim twarzą w twarz na sali rozpraw, gdzie, nie licząc nas, nie było żywej duszy; za moimi plecami, niczym spowita mrokiem pustynia, ciągnęły się rzędy pociągniętych żółtą farbą ławek dla publiczności. Zaczepnęłam tchu, żeby go zapytać o przebieg leczenia Katie, ale wyrwało mi się zupełnie inne pytanie, niby ptak uwięziony w ustach jak w klatce: czy za dziesięć lat będziemy szczęśliwi? Śmiertelnie zawstydzona, zacisnęłam z całej siły wargi, oczekując, że świadek odpowie, ale Coop tylko opuścił wzrok. „Muszę usłyszeć odpowiedź, doktorze Cooper”, przynağliłam go, podchodząc do krzesła dla świadka; na kolanach Coopa leżało martwe dziecko Katie.

Przesłuchiwanie Coopa zajmowało wysoką pozycję na mojej liście najmniej przyjemnych rzeczy na świecie - powiedzmy, że plasowało się pomiędzy depilacją do kostiumu kąpielowego a wbijaniem bambusowych drzazg pod paznokcie. Człowiek zamknięty w kwadracie balustrady, zdany na moją łaskę, zobowiązany do odpowiedzi na każde moje pytanie - to przemawiało do wyobraźni, chociaż zdawałam sobie sprawę z tego, że ani jedno moje pytanie nie będzie należało do tych, które najpilniej wymagają odpowiedzi. Oprócz tego dzieliła nas teraz nowa warstwa podtekstów: wszystkie te słowa, które nie zdążyły jeszcze paść po tym, jak dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Trwaliśmy pogrążeni w ich toni jak w bladym morzu, deformującym wszelkie kształty; kiedy patrzyłam na niego, nie mogłam ufać obrazom podsuwanym przez zmysły.

Coop przyszedł porozmawiać z mną na kilka minut przed tym, jak miałam wezwać go na świadka. Stał przede mną z rękami w kieszeniach i uniesionym podbródkiem, profesjonalny aż do bólu.

- Chcę, żeby Katie nie było na sali, kiedy będę składał zeznanie.

Katie nie było obok mnie za stołem; posłałam właśnie po nią Samuela.

- Dlaczego?

- Ponieważ w pierwszym rzędzie jestem odpowiedzialny za Katie jako za moją pacjentkę, a po tym twoim numerze z Adamem wątpię, czy starczy jej siły, żeby wysłuchać, jak będę opowiadał o tym, co się stało.

Ułożyłam równo papiery leżące przede mną na stole.

- Trudno. Muszę pokazać ławnikom, jak ona to przeżywa.

Wstrząsnęło to nim tak, że szok był wręcz namacalny. I bardzo dobrze. Może to mu uprzytomni, że nie jestem taka, jakiej się spodziewał. Spojrzałam mu chłodno prosto w oczy.

- Chodzi o to, że trzeba pozyskać dla niej współczucie ławy przysięgłych. To wszystko.

Czekałam, kiedy zacznie się sprzeczać, ale on nie powiedział nic, stał tylko i patrzył, aż zaczęłam się wiercić pod tym jego spojrzeniem.

- Nie jesteś aż taka twarda, Ellie - powiedział w końcu. - Przestań już udawać.

- Nie chodzi o mnie.

- Oczywiście, że chodzi o ciebie.

- Dlaczego mi to robisz? - zawołałam, wyprowadzona z równowagi. - Nie tego teraz potrzebuję.

- Właśnie tego. - Coop sięgnął do poły mojej marynarki i wygładził mi kłapę, delikatnym gestem, od którego nagle łzy wezbrały mi w oczach. Wzięłam głęboki oddech.

- Katie zostaje na sali i koniec. A teraz wybacz mi, ale muszę przez chwilę pobyć sama.

- Przez chwilę - powtórzył cicho. - Wiesz, że te chwile się sumują.

- Boże jedyny, przecież prowadzę proces! Co ty sobie myślisz?

Coop zdjął dłoń z mojego ramienia, przesuwał ją w dół, po rękę.

- Myślę sobie, że kiedyś przystaniesz, rozejrzysz się - odpowiedział - i zobaczysz, że przez wiele lat byłaś zupełnie sama.

- W jakim celu wezwano pana do Katie?

W roli świadka Coop prezentował się wspaniale. Nie mam, co prawda, nawyku oceniania swoich świadków po tym, jak leży na nich garnitur,

ale podobało mi się, że jest rozluźniony, opanowany i cały czas uśmiecha się do Katie; ławnicy nie mogli tego nie zauważyć.

- Miałem jej pomóc - padła jego odpowiedź. - Leczyć. Nie przebadać i wydać ekspertyzę, ale leczyć.

- Na czym polega różnica?

- Zawodowym psychiatrom, którzy zeznają w sądzie, zazwyczaj zleca się przebadanie stanu umysłowego pacjenta i wydanie opinii na potrzeby procesu. Ja nie jestem psychiatrą sądowym, tylko zwykłym lekarzem. Poproszono mnie, abym pomógł Katie.

- Skoro nie jest pan psychiatrą sądowym, to dlaczego zeznaje pan dziś przed sądem?

- Ponieważ w trakcie leczenia nawiązałem bliższy kontakt z Katie i w odróżnieniu od biegłego sądowego, który przeprowadziłby z nią tylko jednorazowy wywiad, poznałem ją, pozwolę sobie tak stwierdzić, na tyle, żeby zorientować się, jak działa jej umysł. Katie podpisała zgodę na mój udział w procesie w roli świadka - uważam to za ważny dowód zaufania z jej strony.

- Jakie czynności obejmowało leczenie, które pan przeprowadził? - zapytałam.

- Przeprowadziłem wywiady kliniczne, które podczas trwającej cztery miesiące terapii stawały się coraz bardziej dogłębne i szczegółowe. Zacząłem od pytań na temat rodziców, dzieciństwa, oczekiwań w stosunku do ciąży i rodzenia dzieci, przebytych stanów depresyjnych i urazów psychologicznych - praktycznie rzecz biorąc, był to elementarny wywiad psychiatryczny.

- Czego się pan dowiedział?

Coop uśmiechnął się szeroko.

- Katie to nie jest zwykła, przeciętna nastolatka. Zanim udało mi się naprawdę ją zrozumieć, musiałem zaznajomić się ze zwyczajami amiszów, uświadomić sobie, co to naprawdę znaczy być amiszem. Na pewno wszyscy tutaj obecni zdają sobie sprawę, że na zachowania dorosłego człowieka zasadniczy wpływ ma kultura, w której żył od dzieciństwa.

- Usłyszeliśmy już co nieco na temat kultury amiszów. Co szczególnie zwróciło pańską uwagę jako psychiatry i lekarza Katie Fisher?

- Nasza kultura promuje indywidualność, tymczasem obyczajowość amiszów jest głęboko zakorzeniona w poczuciu wspólnoty. My nie widzimy problemu w tym, że ktoś się wyróżnia, ponieważ popieramy różnorodność i wręcz oczekujemy jej od innych. U amiszów nie ma miejsca na odstępstwo od normy. Trzeba pasować do innych, ponieważ cała

społeczność opiera się właśnie na owym upodobnieniu tożsamości jej członków. Kto nie pasuje do całości, ponosi konsekwencje, które pod względem psychologicznym są fatalne - zostaje sam, podczas gdy całe jego dotychczasowe życie koncentrowało się na przynależności do grupy.

- W jaki sposób te ustalenia pomogły panu zrozumieć Katie?

- Cóż - odparł Coop - Katie ma zakodowane w umyśle, że odróżnianie się od innych jest tożsame ze wstydem, odrzuceniem i porażką. W jej konkretnym wypadku strach przed odsunięciem od wspólnoty jest nawet jeszcze głębiej zakorzeniony, ponieważ była świadkiem, jak spotkało to jej rodzonego brata. Sytuacja była dość ekstremalna, a Katie za wszelką cenę pragnęła uniknąć podobnych przeżyć. Chciała wyjść za mąż, mieć dzieci, owszem... ale zawsze zakładała, że odbędzie się to dokładnie w taki sposób, jak to jest przyjęte w jej świecie. Kiedy odkryła, że zaszła w ciążę z nieamiszem, który w dodatku nie był jej mężem - i jedno, i drugie stanowiło rażące pogwałcenie amiszowskich zasad - zrozumiała, że czeka ją nieodwołalne odsunięcie od wspólnoty. Jej umysł nie posiadał narzędzi, żeby poradzić sobie z taką sytuacją.

Sluchałam, jak Coop opowiada o Katie, ale myślałam o sobie. Wsunęłam dłoń za poję marynarki, kładąc ją na brzuchu.

- Co pan przez to rozumie?

- Wychowano ją w przekonaniu, że w życiu z punktu A do punktu B prowadzi tylko jedna, jedyna droga - odpowiedział. - Oznaczało to, że jeśli zboczy z tej wyznaczonej ścieżki, jeśli jej życie nie pokryje się we wszystkich punktach z jej oczekiwaniami, to będzie do niczego.

Głos Coopa omotał mnie tak ściśle, że każdy oddech był wysiłkiem.

- To nie była jej wina - udało mi się wykrztusić.

- Nie - odparł łagodnie. - To właśnie przez długi czas starałem się jej uświadomić.

Sala skurczyła się nagle, ludzie gdzieś zniknęli, ucichły wszystkie dźwięki.

- Trudno zmienić sposób myślenia, do którego się przywykło.

- Owszem. Katie się to nie udało. Nie mogło się udać. Ta ciąża - Coop zniżył głos - wyrzuciła jej życie do góry nogami.

Przełknęłam ślinę.

- I co wtedy zrobiła? - zapytałam.

- Zaczęła udawać, że to nieważne, kiedy to właśnie była najważniejsza rzecz na świecie. Tak ważna, że mogła odmienić całe jej życie.

- Może... ona po prostu bała się zrobić ten pierwszy krok.

Salę spowiła głęboka cisza.

- Sprzeciw! - powiedział George. - Czy to jest przesłuchanie świadka, czy opera mydlana?

Wytrącona z zadumy, poczułam, jak oblewam się rumieńcem.

- Podtrzymuję - oznajmiła sędzina Ledbetter. - Pani Hathaway, czy można prosić, aby przełączyła się pani z powrotem na kanał sądowy?

- Tak, wysoki sędzie. Przepraszam. - Odchrząknęłam i celowo odwróciłam się tak, aby nie stać twarzą do Coopa. - Co zrobiła Katie, kiedy odkryła, że jest w ciąży?

- Nic. Wyparła tę myśl ze świadomości. Zaprzeczyła jej. Celowo zaczęła zwlekać z uzmysłowieniem sobie tego faktu. Tak robią dzieci: zamykają oczy i myślą, że nikt ich nie widzi. Tutaj zadziałała ta sama zasada. Dopóki Katie nie powiedziała na głos: „Jestem w ciąży” - to nie była. Bo ostatecznie, gdyby przyznała się samej sobie, że zaszła w ciążę, musiałaby się z tego zwierzyć także przed zgromadzeniem swojego kościoła, publicznie wyznać swoje grzechy i znieść krótki czas odsunięcia od wspólnoty. Po jego upływie przebaczone by jej.

- Wyparcie ze świadomości faktu, że jest się w ciąży - to wygląda na rozmyślną decyzję.

- Nie można tak powiedzieć, ponieważ w rzeczywistości Katie nie miała wyboru. Był to dla niej jedyny pewny sposób uniknięcia wykluczenia ze wspólnoty.

- Kiedy zaczęła rodzić, nie mogła już dłużej tego ukrywać. Co się wtedy stało?

- To co było do przewidzenia - odparł Coop. - Mechanizm obronny został przełamany, a umysł Katie zaczął rozpaczliwie szukać innego sposobu zaprzeczenia ciąży. Kiedy pierwszy raz z nią rozmawiałem, powiedziała mi, że przy kolacji nagle zrobiło jej się niedobrze i poszła wcześniej spać. Potem pamiętała już tylko moment przebudzenia. Rzecz jasna, fakty wskazywały na to, że pomiędzy zaśnięciem a przebudzeniem urodziła dziecko.

- To miał być nowy mechanizm obronny? Utrata pamięci?

- Luka w pamięci na skutek zaburzenia dysocjacyjnego.

- Skąd pan wie, że nie doszło do niego już wcześniej, od chwili, kiedy Katie zrozumiała, że jest w ciąży?

- Ponieważ skończyłoby się to najprawdopodobniej rozszczępieniem osobowości. Separacja fragmentu świadomości na tak długi czas jak w tym wypadku prowadzi do powstania drugiej tożsamości. Jednak podział świadomości w celu przetrwania krótkotrwałych okresów psychicznej traumy jest możliwy. W wypadku Katie takie rozumowanie jest

logiczne. - Urwał na chwilę, wahając się. - Odtworzenie konkretnych mechanizmów obronnych, które zastosowała Katie, wydaje się tutaj mniej ważne. Zasadniczą kwestią jest zrozumienie, dlaczego w ogóle czuła potrzebę, aby się bronić przed świadomym uznaniem tego, że była w ciąży i że urodziła dziecko. Podkreślam: to jest najważniejsze. Skinęłam głową.

- Czy Katie Fisher przypominała sobie ostatecznie, jak odbył się poród i co nastąpiło potem?

- Do pewnego stopnia - przyznał Coop. - Pamięta, że bała się popłamić krwią prześcieradło na swoim łóżku. Pamięta, że poszła do obory, żeby tam urodzić, pamięta też niewyobrażalny strach, który czuła. Pamięta, że przecięła i podwiązała pępowninę. Pamięta, że wzięła noworodka na ręce i przytuliła go. Uciszyła, kiedy płakał. - Coop podniósł dłoń i wystawił mały palec. - Pamięta, że dała mu palec do possania. Była bardzo zmęczona, więc zamknęła oczy, a kiedy się obudziła, dziecka już nie było.

- W oparciu o informacje, które zgromadził pan na temat Katie, czy może pan się domyślić, co stało się z tym dzieckiem?

- Sprzeciw - wtrącił George. - To jest namawianie świadka do spekulacji.

- Wysoki sędzie, każdy świadek powołany przez oskarżenie wygłaszał spekulacje na temat niniejszej sprawy - zauważyłam. - Jako psychiatra, który leczył Katie, doktor Cooper jest upoważniony do wypowiedzenia komentarzy, i to o wiele bardziej niż ktokolwiek inny.

- Odrzucam sprzeciw, panie Callahan. Doktorze Cooper, może pan odpowiedzieć.

- Uważam, że dziecko zmarło z przyczyn naturalnych, w ramionach Katie Fisher. Medycyna zna wiele przyczyn śmierci wcześniaków. Potem matka ukryła ciało. Poszło jej to niezbyt dobrze, ponieważ działała wtedy automatycznie, jak robot.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Tutaj należy znów przypomnieć sobie, jakie zasady wyznają amisz. Kiedy w ich społeczności pojawi się nieślubne dziecko, jest to wydarzenie przykre, lecz jeszcze nie tragiczne. Katie zostałyby ukarana odsunięciem od wspólnoty na krótki czas, następnie zaś przyjęta z powrotem na jej łono, ponieważ dla amiszów dzieci to skarb. Kiedy okres stresu poporodowego dobiegłby końca, Katie ostatecznie musiałyby stanąć przed faktem, że urodziła nieślubne dziecko, ale uważam, że poradziłyby sobie z tym, mając je przy sobie, żywe i prawdziwe. Kochała dzieci i kochała też ojca swojego synka. Potrafiłyby usprawiedliwić odsunięcie

od wspólnoty tym, że jej błąd przyniósł w efekcie coś pięknego. - Coop wzruszył ramionami. - Stało się jednak tak, że dziecko umarło wprost na jej rękach, akurat kiedy ona straciła przytomność z wyczerpania. Ocknęła się i zobaczyła, że jest zalana krwią porodową, a w ramionach trzyma martwego noworodka. Za jego śmierć obwiniła siebie: jej syn umarł, ponieważ był nieślubny, nie poczęła go para małżonków-amiszów.

- Proszę pozwolić, że uściślę, doktorze. Nie wierzy pan, że Katie zabiła swoje dziecko?

- Nie, nie wierzę. Zabicie własnego dziecka na dłuższą metę ogromnie utrudniłoby lub wręcz uniemożliwiło Katie powrót do wspólnoty. Nie jestem ekspertem w dziedzinie społeczności pacyfistycznych, ale uważam, że wyznanie morderstwa popełnionego z rozmysłem miało by najprawdopodobniej taki właśnie skutek. Ponieważ troska o pozostanie we wspólnocie była dominującą myślą Katie przez cały okres ciąży, to z całą pewnością w chwili porodu także dała o sobie znać. Gdyby Katie po przebudzeniu znalazła przy sobie żywe dziecko, to uważam, że wyznałaby swój grzech przed kościołem i ułożyła sobie dalsze życie, wychowując chłopca razem z rodzicami. Tak się jednak nie stało. Moim zdaniem wydarzenia przebiegały tak: Katie obudziła się, zobaczyła martwe dziecko i wpadła w panikę, ponieważ zdała sobie sprawę, że za ciążę pozamałżeńską czeka ją wykluczenie ze wspólnoty, a nie ma nawet dziecka, które pomogłoby jej znieść ciężar tej kary. Jej umysł odruchowo przestawił się na tryb obronny, układając plan działania, który miał doprowadzić do zniknięcia zarówno dowodów narodzin dziecka, jak i jego śmierci, tak aby nie zaistniał powód usunięcia Katie z jej wspólnoty.

- Czy w chwili, gdy ukrywała ciało, miała świadomość tego, co robi?

- Zakładam, że Katie ukryła ciało dziecka, kiedy wciąż trwał jeszcze stan dysocjacji. Wskazuje na to fakt, że do tej pory nie przypominała sobie tego zdarzenia. Nie może dopuścić, żeby to sobie przypomnieć, ponieważ tylko w ten sposób potrafi żyć ze swoim wstydem i żalem.

Nie przygotowaliśmy z Coopem więcej pytań; na tym miało się zakończyć przesłuchanie. Ale mnie nagle coś tknęło i krzyżując ramiona na piersi, zapytałam jeszcze o jedno:

- Czy Katie powiedziała panu kiedyś, co stało się z dzieckiem?

- Nie - odpowiedział Coop powściągliwie, mając się na baczności.

- A zatem ten przebieg wydarzeń, czyli śmierć noworodka i ukrycie ciała przez lunatykującą Katie - to wszystko jest pańska własna rekonstrukcja.

Coop spojrział na mnie, mrugając oczami. Widać było, że jest zdezorientowany, nie dziwiłam mu się zresztą.

- No cóż... - odrzekł. - Nie do końca. Oparłem swoje wnioski na informacjach zdobytych podczas rozmów z Katie.

- Dobrze, dobrze - rzuciłam lekceważącym tonem. - Ale skoro nie opowiedziała panu dokładnie, co zaszło tamtej nocy, to czy nie jest możliwe, że zamordowała swoje dziecko z zimną krwią i schowała je w komórcie?

Było to, oczywiście, naprowadzanie świadka, ale wiedziałam dobrze, że George nie zgłosi sprzeciwu, nawet gdyby od tego miało zależeć jego życie. Coop odchrząknął, ostatecznie gubiąc wątek.

- „Możliwe” to bardzo duże słowo - powiedział wolno. - Jeśli pyta pani o prawdopodobieństwo pewnych...

- Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie, doktorze Cooper.

- Tak. Jest to możliwe, ale nie jest prawdopodobne.

- Czy jest możliwe, że Katie urodziła synka, przytuliła go, owinęła ciepło, a potem płakała, kiedy zrozumiała, że umarł?

- Tak - odpowiedział Coop. - To dla odmiany jest także prawdopodobne.

- Czy jest możliwe, że Katie zasnęła z noworodkiem - żywym - na rękach, a w czasie, gdy była nieprzytomna, do obory zakradł się ktoś obcy i udusił dziecko?

- Jasne, że możliwe. Mało prawdopodobne, ale możliwe.

- Czy może pan stwierdzić z całą pewnością, że Katie nie zabiła swojego dziecka?

Chwila wahania. - Nie.

- A czy może pan stwierdzić, że Katie zabiła swoje dziecko?

- Nie.

- Czy można zaryzykować stwierdzenie, że ma pan wątpliwości w kwestii tego, co się wydarzyło tamtej nocy?

- Można. Wszyscy je mamy. Uśmiechnęłam się do niego.

- Nie mam więcej pytań.

- Doktorze Cooper, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale, jak rozumiem, w rozmowach z panem oskarżona nigdy nie powiedziała, że dziecko umarło z przyczyn naturalnych, prawda?

Coop, kochany facet, spojrział na prokuratora wzrokiem, którego ten nie wytrzymał i musiał odwrócić głowę.

- Nie, ale nie przyznała się też, że je zamordowała.
- George zastanowił się.
- A mimo to uważa pan tę drugą możliwość za wysoce nieprawdopodobną.
 - Gdyby znał pan Katie, zgodziłby się pan ze mną.
 - Zznał pan, że Katie zależało przede wszystkim na akceptacji ze strony jej wspólnoty. To miała być jej główna myśl.
 - Tak.
 - Człowiek, który dopuścił się morderstwa, zostaje wykluczony ze społeczności amiszów - i chyba nawet na zawsze?
 - Tak przypuszczam.
 - Cóż, gdyby zatem oskarżona zabiła swoje dziecko, to czy nie miałaby interesu w tym, żeby ukryć dowody morderstwa, za które groziła jej nieodwracalna ekskomunika?
 - Takiej logiki - uśmiechnął się Coop - uczyłem się w siódmej klasie na matematyce. Jeśli A, to B. Jeśli nie A, to nie B.
 - Doktorze Cooper - upomniał go George nagłym tonem.
 - Przypomniałem to tylko dlatego, że jeśli lewa strona takiego równania jest fałszywa, to prawa również nie może być prawdziwa. W ten zawołowany sposób chciałem dać do zrozumienia, że to naprawdę niemożliwe, żeby Katie zamordowała swoje dziecko. Morderstwo jest czynem świadomym, wywołuje świadome reakcje, tymczasem u niej trwał stan dysocjacji.
 - Zgodnie z pańską teorią, trwał on podczas porodu, jak również wtedy, gdy oskarżona ukryła ciało noworodka. Wydarzenia te dzieliło kilka minut i właśnie wtedy dziecko umarło. Chce pan powiedzieć, że podczas tych kilku minut wróciły jej świadomość i rozeznanie, i to w stopniu dostatecznym, aby mogła zrozumieć, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych?
- Twarz Coopa stężała.
- To nie do końca tak - powiedział, otrząsnąwszy się z wrażenia. - Jest pewna różnica pomiędzy świadomością wydarzeń a rozumieniem tego, co się dzieje. Możliwe, że zaburzenie dysocjacyjne trwało cały czas.
 - Jeśli także w tym momencie, gdy do oskarżonej dotarło, że, jak pan sugerował, dziecko umarło w jej ramionach, to znaczy, że nie była ona tak naprawdę świadoma tego, co się dzieje?
- Coop skinął głową.
- Zgadza się.
 - Skąd zatem wziął się u niej tak potężny żal i wstyd?
- Wszyscy wiedzieliśmy, że prokurator przyparł teraz Coopa do muru.

- Aby poradzić sobie z porodem, Katie stosowała różne mechanizmy obronne. Nie wiadomo dokładnie, który z nich działał w momencie, gdy zrozumiała, że dziecko nie żyje.

- To bardzo wygodne - skomentował George.

- Sprzeciw! - zawołałam.

- Podtrzymany.

- Panie doktorze - podjął oskarżyciel - powiedział pan, że pierwszym faktem związanym z porodem, jaki Katie sobie przypominała, było to, że nie chciała poplamić prześcieradła krwią i dlatego poszła do obory, żeby tam urodzić?

- Tak.

- Ale samego dziecka nie mogła sobie przypomnieć.

- Dziecko pojawia się po porodzie, panie Callahan.

Prokurator uśmiechnął się.

- To samo usłyszałem czterdzieści lat temu od ojca. Chodziło mi o to, że oskarżona nie potrafiła sobie przypomnieć, jak trzymała dziecko na rękach, ani też, jak między nią a nim nawiązała się więź. Czy to się zgadza?

- Na to wszystko był czas po porodzie. Kiedy ustąpił stan dysocjacji - odparł Coop.

- Ale o prześcieradło był czas pomartwić się przedtem. No, to już mi wygląda na straszną bezdusność, żeby kobieta myślała o prześcieradle, kiedy przeżywa cudowny moment narodzin dziecka.

- Ona nie przeżywała żadnych cudownych momentów. Była przeżazona i cierpiała na zaburzenie dysocjacyjne.

- Nie była sobą? - podsunął George.

- Otóż to.

- Można by nawet powiedzieć, że była na miejscu tylko ciałem, które rodziło dziecko i czuło ból, ale jej umysł był nieobecny?

- Zgadza się. Nawet będąc w stanie dysocjacji można działać mechanicznie.

George skinął głową.

- A czy jest możliwe, żeby Katie Fisher, obecna fizycznie i działająca mechanicznie, urodziła dziecko i podwiązała pępowinę, a potem, w podobnie mechaniczny sposób, zabiła noworodka?

Coop przez moment nie mówił nic.

- Istnieje wiele różnych możliwości.

- Przyjmuję to jako odpowiedź twierdzącą. - George odwrócił się, wracając do swojego stołu. - Aha, jeszcze jedno pytanie na koniec. Od jak dawna zna pan mecenas Hathaway?

Zerwałam się zza stołu, nie wiedząc nawet kiedy.

- Sprzeciw! - krzyknęłam. - Związek? Podstawa?

Wszyscy chyba zauważyli, że zaczerwieniłam się jak burak. W sali zapadła cisza. Coop wyglądał tak, jakby chciał zapaść się pod ziemię.

Sędzina Ledbetter spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

- Proszę podejść - powiedziała. Zbliżyliśmy się do stołu sędziowskiego. - Jaki to ma związek ze sprawą, panie Callahan?

- Chcę wykazać, że mecenas Hathaway od wielu lat współpracuje ze swoim obecnym świadkiem.

Poczułam jak moje dłonie, oparte na płask na blacie, zaczynają wilgotnieć od potu.

- Nigdy nie pracowaliśmy razem podczas sprawy sądowej - oświadczyłam. - Pan Callahan próbuje nastawić ławników przeciwko mnie i w tym celu wytyka mi, że znam doktora Coopera osobiście i miałam z nim kontakt zawodowy.

- Panie Callahan? - Sędzina uniosła brwi.

- Wysoki sędzie, uważam, że doszło tutaj do sprzeczności interesów i chcę, aby ława przysięgłych miała tego świadomość.

Podczas gdy sędzina w milczeniu rozważała nasze wyjaśnienia, mnie nagle stanął przed oczami ten moment, kiedy Katie po raz pierwszy przyznała mi się, że wie, kim był ojciec dziecka. Księżyc, biały i okrągły, przyciskał twarz do szyby w oknie, podsłuchując ze wszystkich sił, a imię Adama filtrowało z głosu Katie wszystkie ostre tony. A potem w moich uszach zabrzmiały słowa, które rzuciła mi w twarz nie dalej jak dziesięć minut temu: Pozostało mi już tylko to wspomnienie, a ty zdradziłaś je wszystkim.

Jeżeli teraz George Callahan zrobi to, co chce zrobić, okradnie mnie z mojego wspomnienia.

- Dobrze - zdecydowała sędzina. - Pozwalam panu prokuratorowi zadać to pytanie.

Wróciłam do stołu dla obrony i usiadłam obok Katie. Niemalże w tej samej chwili poczułam jej dłoń zaciskającą się na mojej.

- Od jak dawna zna pan obrończynię strony pozwanej? - zapytał George.

- Od dwudziestu lat - odpowiedział Coop.

- Czy to prawda, że łączą was nie tylko stosunki zawodowe?

- Od wielu lat jesteśmy przyjaciółmi. Mam dla pani Hathaway ogromny szacunek.

George przejechał po mnie wzrokiem od stóp do głów, a mnie w tej chwili ogarnęła przemożna chęć, żeby przykopać mu w zęby.

- Przyjaciółmi? - zapytał wścibskim tonem. - Niczym więcej?

- To nie pańska sprawa - odparł Coop.

Oskarżyciel wrzucił ramionami.

- Tak samo myślała Katie: to nie moja sprawa. I do czego ją to doprowadziło?

- Sprzeciw! - powiedziałam, zrywając się na równe nogi, tak szybko, że o mały włos pociągnęłabym Katie za sobą.

- Podtrzymany.

George uśmiechnął się do mnie.

- Wycofuję pytanie.

- Chodź - powiedział Coop chwilę później, kiedy skończył już składać zeznania i sędzina zarządziła przerwę na kawę. - Musisz się przejść.

- Muszę zostać przy Katie.

- Jacob z nią posiedzi. Popilnujesz siostry? - Coop klepnął brata Katie w ramię.

- Jasne. - Jacob wyprostował się lekko w krzesło.

- Niech ci będzie. - Wysłałam za Coopem z sali rozpraw, odprowadzana zmasowanymi szeptami przedstawicieli prasy, którzy nie ruszyli się ze swoich ławek.

A kiedy tylko pojawiliśmy się w holu, poraził mnie prosto w twarz reflektor kamerowy.

- Czy to prawda - zapytała dziennikarka, para od kamerzysty, stając ze mną nos w nos - że...

- Mogę kilka słów dla telewizji? - przerwał jej Coop uprzejmym tonem. - Czy wie pani, ile ja mam wzrostu?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Metr osiemdziesiąt osiem, metr dziewięćdziesiąt?

- Mniej więcej. A zgadnie pani, ile ważę?

- Z osiemdziesiąt sześć kilo.

- Idealnie pani zgadła. A czy wie pani, że w tej chwili bardzo poważnie się zastanawiam nad tym, czy by nie zabrać pani koledze tej kamery i nie wyrzucić jej przez okno?

Dziennikarka obdarzyła go kpiącym uśmiechem.

- Widzę, że z pana ochroniarz jak się patrzy.

Ścisnęłam go za ramię i zaciągnęłam do korytarza. Tam znalazłam pustą salę konferencyjną. Coop obejrzał się jeszcze na zamknięte drzwi, jakby się zastanawiał, czy jednak nie wrócić do tej dziennikarki.

- To niewarte rozgłosu - powiedziałam.

- Myślałem raczej o satysfakcji psychologicznej.

Opadłam na krzesło.

- Nie mogę uwierzyć, że dopadli mnie, a nikt nie próbował zrobić zdjęcia Katie.

Coop uśmiechnął się.

- Jeśli będą uganiać się za Katie, wyjdą na złych dziennikarzy, którzy za nic mają swobodę wyznaniową i tak dalej. Z drugiej strony muszą czymś zilustrować swoje wypociny. Pozostajesz im ty i Callahan. I teraz uwierz mi na słowo: ciebie kamera kocha bardziej niż jego.

Wzruszyłam ramionami, wysuwając skulone stopy z czółenek.

- Tobie też świetnie poszło. Byłeś chyba najlepszym moim świadkiem do tej pory...

- Cóż mogę rzec, dzięki...

- ...tylko że George kompletnie podkopał twoją wiarygodność.

Coop stanął za moim krzesłem.

- Cholera jasna. Chyba te jego bzdury nie unieważnią całego mojego przesłuchania?

- To zależy od ławników, od tego, jak bardzo są zadufani w sobie. No i od tego, czy pomyślą, że próbowaliśmy ich wykołować, czy tylko przemilczeliśmy jakiś mało istotny szczegół. Ława przysięgłych nie lubi, żeby robić z niej wała. - Skrzywiłam się. - Teraz oczywiście pomyślą, że pieprzę się z każdym, kogo chcę powołać na świadka.

- Możesz wezwać mnie jeszcze raz, wyprowadzę ich z błędu.

- Dzięki, ale nie, dzięki. - Poczułam, jak palce Coopa wsuwają się w moje włosy, masują skórę głowy.

- Boże... - westchnęłam. - Powinnam ci za to płacić.

- No co ty. Przespałeś się ze mną, żeby zapewnić sobie korzystne zeznanie, a to jest bonus.

- W takim razie było warto. - Odchyliłam głowę do tyłu. - Hej - uśmiechnęłam się do niego.

Pochylił się i pocałował mnie.

- Hej.

Dotyk jego ust był dziwny w tej pozycji, do góry nogami, więc wykręciłam się w tył i uklękłam na krześle, wciskając się w ramiona Coopa. Po chwili oderwaliśmy się od siebie, a on oparł czoło o moje czoło.

- Jak tam nasz potomek? - zapytał.

- Wyśmienicie - odpowiedziałam, ale uśmiech zgasł mi na twarzy.

- Co się stało?

- Szkoda, że Katie nie było dane przeżyć czegoś takiego jak mnie - mruknęłam. - Kilku chwil z Adamem, żeby mogła uwierzyć, że wszystko dobrze się ułoży.

Coop przekrzywił głowę.

- A ułoży się, Ellie?

- Dziecku nic nie będzie - odpowiedziałam, bardziej sobie niż jemu.

- Nie o nim jest teraz mowa. - Coop odetchnął. - Wtedy, na przesłuchaniu... To o tym pierwszym kroku... Mówiłaś poważnie?

Mogłam udać zawstydzoną. Mogłam się wykręcić, że niby nie wiem, o co mu chodzi. Zamiast zrobić coś takiego, skinęłam tylko głową.

Coop pocałował mnie mocno, głęboko, aż z moich płuc uszło powietrze, przechodząc długą, piękną wstęgą do jego ust.

- Możliwe, że o tym nie wspominałem, ale jeśli chodzi o pierwsze kroki, to możesz uważać mnie za eksperta.

- Tak mówisz? - Uniosłam brwi. - W takim razie słucham. Jak to się robi?

- Zamykasz oczy - poinstruował mnie Coop - i skaczesz.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i wstałam.

- Obrona wzywa na świadka Samuela Stoltzfusa.

Samuel ukazał się w drzwiach na tyłach sali i przeszedł całą jej długość, eskortowany przez strażnika sądowego, prowadzony ciekawymi spojrzzeniami i szmerkiem tłumionych chichotów. Słoń w składzie porcelany, pomyślałam, patrząc, jak ten olbrzymi mężczyzna toczy się w kierunku krzesła za balustradą, prezentując twarz pobladałą ze strachu, obracając nerwowo w palcach swój czarny kapelusz.

Wiedziałam - od Katie, od Sary i z rozmów przy kolacji - że udział Samuela jako świadka w tym procesie wymagał znacznej ofiary. Członkowie społeczności amiszów nie odżegnują się od współpracy z wymiarem sprawiedliwości i stawiają się na wezwanie do sądu, lecz mimo to nie wolno im procesować się na własną rękę. Samuel, deklarując chęć pomocy Katie i wystąpienia w charakterze świadka, wybrał drogę wiodącą pomiędzy dwiema skrajnościami; chociaż jego postanowienie nie stało się przedmiotem debaty starszych kościoła, to niektórzy członkowie zgromadzenia zaczęli na niego patrzeć mniej przychylnym okiem, pewni, że owo rozmyślne otarcie się o Anglików i ich świat nie może przynieść nic dobrego.

Dziobaty pisarz sądowy, od którego zalatywał zapach gumy do żucia, podszedł do Samuela z Biblią w ręce, jak nakazuje tradycja.

- Proszę unieść prawą dłoń - polecił i wsunął pod lewicę Samuela wysłużoną księgę. - Czy przysięga pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mu dopomóż Bóg?

Samuel cofnął dłoń gwałtownie, jakby się oparzył.

- Nie - powiedział przerażonym głosem. - Nie będę przysięgał.

Sala zafalowała, ogarnięta nagłym zamętem. Sędzina chwyciła za młotek i uderzyła nim dwa razy.

- Panie Stoltzfus - zwróciła się łagodnie do Samuela – zdaję sobie sprawę, że nie jest pan zaznajomiony z sądami, ale to jest zwyczajna, powszechna procedura.

Samuel potrząsnął wojowniczo swoją blond czupryną. Spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem.

Sędzina Ledbetter mruknęła pod nosem coś, co zabrzmiało jak: „Za co?” i wezwała mnie skinieniem ręki do siebie.

- Pani mecenas, czy zechce pani poświęcić chwilę na objaśnienie swojemu świadkowi tej procedury?

Podeszłam do Samuela i położyłam mu dłoń na ramieniu, starając się odwrócić jego uwagę od wpatrzonych w niego oczu zgromadzonej publiczności. Poczulałam, że cały się trzęsie.

- Samuelu, o co chodzi?

- My nie modlimy się publicznie - szepnęłam.

- To tylko słowa. Tak naprawdę to nic nie znaczy.

Szczeńka mu opadła, jakbym na jego oczach nagle zmieniła się w szatana.

- Przysięga się Bogu, a ty mówisz, że to nic nie znaczy? Nie mogę przysiąc na Biblię, Ellie - powiedział twardo. - Przykro mi, ale jeśli trzeba zrobić coś takiego, to ja nie dam rady.

Skinęłam sztywno głową i wróciłam do stołu sędziowskiego.

- Religia świadka zakazuje mu przysięgać na Biblię. Czy możemy zrobić wyjątek?

George stanął obok mnie i przypuścił natychmiastowy atak.

- Wysoki sędzie, wiem, że wciąż powtarzam to samo, jakby mi się płyta zacięła, ale moim zdaniem mecenas Hathaway ewidentnie zaplanowała sobie to wszystko, żeby wzbudzić współczucie ławników dla członków społeczności amiszów.

- Pan prokurator ma oczywiście rację. Za chwilę powołam wynajętą przez siebie grupę teatralną, która przedstawi inscenizację tragedii Katie Fisher.

- Coś państwu powiem - przerwała nam zamyślona sędzina. - Kilka lat temu miałam ten sam problem, kiedy prowadziłam proces, w którym zeznawał przedsiębiorca-amisz.

Zagapiłam się na nią jak cielę na malowane wrota - nie dlatego, że podsuwała mi jak na zawołanie wyjście z sytuacji, ale ze zdziwienia, że pracowała już z amiszem.

- Panie Stoltzfus! - zawołała do Samuela. - A czy zgodzi się pan złożyć deklarację, kładąc rękę na Biblii?

Widziałam dokładnie, jak zazębiają się tryby w umyśle Samuela. Sędzina Ledbetter trafiła w dziesiątkę, wykorzystując tę dosłowność cechującą myślenie wszystkich amiszów. Samuel był skłonny pójść na każdy kompromis, dopóki nie usłyszał słów w rodzaju „przysięga”, „ślubować” albo „obietnica”.

Kiedy skinął przytakująco głową, pisarz sądowy ponownie wsunął mu Biblię pod rękę; nie wiem, czy ktoś oprócz mnie zauważył, że dłoń Samuela zawisła kilka milimetrów nad skórzaną okładką książki.

- Czy, hm... Czy deklaruje pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mu dopomóż Bóg?

Samuel uśmiechnął się do człowieka pachnącego gumą do żucia.

- Ja, niech będzie.

Wcisnął się z ledwością za balustradę, wypełniając ją po brzegi. Usiadł, kładąc swoje olbrzymie dłonie na kolanach, a kapelusz położył pod krzesłem.

- Czy może pan podać swoje nazwisko i adres?

Odchrząknął.

- Samuel Stoltzfus. Blossom Hill Road, powiat East Paradise. - Zawahał się chwilę, a potem dodał: - Pensylwania, USA.

- Dziękuję, panie Stoltzfus.

- Ellie - powiedział głośnym szeptem - możesz mi mówić po imieniu.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Proszę bardzo. A zatem, Samuelu. Powiedz mi, denerwujesz się trochę?

- Tak. - W tym słowie skrzekliwie zabrzmiała wielka ulga.

- Nic dziwnego. Byłeś już kiedyś w sądzie?

- Nie.

- Czy spodziewałeś się, że kiedyś może to nastąpić? Potrząsnął głową.

- Ach, nie. My nie chodzimy po sądach, nie procesujemy się. Nawet nie przyszło mi to nigdy do głowy.

- Kogo masz na myśli, mówiąc: „my”?

- Moich ludzi.

- Amiszów?

- Tak.

- Czy poproszono cię o złożenie zeznań?

- Nie. Sam się zgłosiłem.

- Z własnej woli naraziłeś się na takie trudności? Dlaczego?

Czyste spojrzenie jego niebieskich oczu zogniskowało się na Katie.

- Bo ona nie zabiła swojego dziecka.
- Skąd to wiesz?
- Znam ją od dziecka. Praktycznie całe życie. Przez wiele, wiele lat widywaliśmy się codziennie, a teraz pracuję na farmie jej ojca.
- Naprawdę? I co tam robisz?
- W zasadzie wszystko, co poleci Aaron. Głównie pomagam przy zasiewach i przy żniwach. Aha, ja, no i przy dojeniu. Bo to jest farma mleczarska.

- Kiedy doi się krowy, Samuelu?

- O wpół do piątej rano i wpół do piątej wieczorem.

- Jak wygląda ta praca?

George uniósł brew.

- Sprzeciw. Komu potrzebny jest wykład na temat pracy na farmie?

- Oddalam. Panie Stoltzfus, może pan odpowiedzieć na pytanie. Samuel skinął głową.

- Najpierw miesza się paszę dla krów. Potem wybieramy nawóz z zagród i wywozimy do gnojówki. Aaron ma dwadzieścia krów, więc zawsze trochę to trwa. Potem przecieramy krowom wymiona i podłączamy do dojaraki. Dojarakę zasila generator. Można naraz podłączyć dwie krowy, mówiłem już o tym? Mleko zlewa się do blaszanki, a z blaszanki się przelewa do chłodziarko-mieszarki. No i zwykle w połowie dojenia trzeba przerwać i jeszcze raz wybrać spod krów.

- W jakie dni przyjeżdżają odbiorcy z firmy mleczarskiej?

- Codziennie oprócz Dnia Pańskiego. Kiedy odbiór ma wypaść w niedzielę, to przyjeżdżają o jakichś nienormalnych porach, na przykład w sobotę o północy.

- Czy mleko się pasteryzuje przed zdaniem?

- Nie, tego się już nie robi na farmie.

- Czy rodzina Fisherów kupuje mleko w supermarkecie?

Samuel błysnął zębami.

- To by było trochę bez sensu, prawda? Zupełnie jakby wozić drewno do lasu. U Fisherów pije się ich własne mleko, świeże, prosto od krowy. Dwa razy dziennie zanoszę mamie Katie cały dzban.

- A zatem Fisherowie piją niepasteryzowane mleko?

- Tak, ale ono smakuje zupełnie tak samo jak to, które się kupuje w takich białych plastikowych pojemnikach. Przecież sama też je piłaś. Czująś jakąś różnicę?

- Sprzeciw. Czy ktoś może przypomnieć świadkowi, że od zadanania pytań jest tutaj kto inny? - odezwał się George.

Sędzina Ledbetter oparła się na łokciu.

- Obawiam się, panie Stoltzfus, że pan prokurator ma rację.

Olbrzym poczerwieniał i opuścił wzrok.

- Samuelu - powiedziałam szybko - dlaczego uważasz, że tak dobrze znasz Katie?

- Widziałem ją już w tylu różnych sytuacjach, że wiem, jak się zachowuje, wiem, co robi, kiedy jest smutna i kiedy jest szczęśliwa. Byłem przy niej, kiedy jej siostra utopiła się w stawie i kiedy jej brata usunięto na stałe z kościoła. Dwa lata temu zaczęliśmy ze sobą chodzić.

- To znaczy spotykać się?

- Ja.

- Czy kiedy Katie urodziła dziecko, byliście parą?

- Tak.

- Czy byłeś obecny przy porodzie?

- Nie, nie byłem - odparł Samuel. - Dowiedziałem się później.

- Czy pomyślałeś, że to mogło być twoje dziecko?

- Nie.

- Dlaczego? Samuel odchrząknął.

- Bo nigdy ze sobą nie współżyliśmy.

- Czy wiedziałeś, kto był ojcem tego dziecka?

- Nie. Katie nie chciała mi powiedzieć.

- Jak się wtedy poczułeś? - Postarałam się, żeby zabrzmiało to bardzo łagodnie.

- Nie najlepiej. Katie była moją dziewczyną. Nie mogłem zrozumieć, co się stało.

Zamilkłam na chwilę i pozwoliłam ławnikom po prostu przyjrzeć się Samuelowi, silnemu, przystojnemu mężczyźnie ubranemu w dziwaczny strój, odpowiadającemu na pytania niepewnie, z wysiłkiem wystawiającemu się w wyuczonym języku. Człowiekowi, który zмага się z sytuacją dla siebie całkowicie nową i obcą.

- Samuelu - podjęłam. - Twoja dziewczyna zaszła w ciążę z innym mężczyzną, dziecko po porodzie w niewyjaśniony sposób zmarło, ciebie przy tym nie było i nie wiesz, co zaszło, denerwujesz się, bo zeznajesz przed sądem - i mimo wszystko chcesz nam powiedzieć, że Katie nie popełniła morderstwa?

- Właśnie tak.

- Dlaczego stajesz w jej obronie, skoro nikt nie może mieć wątpliwości, że cię skrzywdziła?

- Ellie, powiedziałaś szczerą prawdę. Powinienem być na nią bardzo zły. I byłem - przez jakiś czas, bo teraz już mi przeszło. Uporałem się

ze swoją samolubnością i zdecydowałem, że muszę jej pomóc. Bo, widzisz, amisze, prości ludzie, nie stawiają siebie na pierwszym miejscu. Po prostu tego nie robią, bo to jest coś, co się nazywa Hochmut, czyli puszenie się, a tymczasem prawda jest taka, że zawsze znajdzie się ktoś, kto jest ważniejszy od ciebie. I dlatego właśnie Katie nie będzie oddawać ciosów, nie będzie się bronić, kiedy ktoś będzie opowiadał kłamstwa na jej temat i na temat jej dziecka. Tak więc ja jestem tu dziś po to, żeby jej bronić. - Jakby to było polecenie, które sam sobie wydał, Samuel wstał i zmierzył wzrokiem ławę przysięgłych. - Ona tego nie zrobiła. Nie mogła tego zrobić.

Dwunastu ludzi nie mogło oderwać oczu od jego twarzy, na której widniał wyraz cichej, zawziętej pewności swojej racji.

- Samuelu - zapytałam - czy nadal ją kochasz?

Odwrócił się, muskając mnie spojrzeniem i zatrzymując je na Katie.

- Tak - odpowiedział. - Kocham ją.

George potarł palcem wskazującym wargi.

- Była z panem, ale sypiała z innym facetem?

Samuel zmrużył oczy.

- Nie słyszał pan, co mówiłem?

Prokurator uniósł ręce w obronnym geście.

- Ciekawią mnie tylko pańskie odczucia w tej kwestii, to wszystko.

- Nie przyszedłem tutaj po to, żeby dyskutować o swoich odczuciach. Chcę mówić o Katie. Ona nie zrobiła niczego złego.

Stłumiłam chichot, udając, że chwycił mnie kaszel. Dla kogoś nieobytego z amiszami Samuel był naprawdę twardym orzechem do zgryzienia.

- Czy pańska religia zaleca zawsze przebaczać innym, panie Stoltzfus? - zapytał George.

- Mam na imię Samuel.

- Dobrze. A więc, Samuelu, czy twoja religia zaleca zawsze przebaczać innym?

- Tak. Jeśli grzesznik się ukorzy i wyzna swoje winy, zawsze zostanie przyjęty z powrotem na łono kościoła, z otwartymi ramionami.

- Ale najpierw musi przyznać się do tego, co zrobił.

- Najpierw musi się wyświadczyć, tak.

- Dobrze. A teraz zostawmy na chwilę sprawy kościelne. Nie opowiadaj jako amisz, tylko jako zwykły człowiek. Czy są takie rzeczy, których nie można wybaczyć?

Samuel zacisnął usta jeszcze mocniej.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, nie myśląc jak amisz, bo jestem amiszem i nikiem innym. A gdybym komuś nie potrafił przebaczyć, to nie ten ktoś miałby problem, tylko ja, ponieważ to by znaczyło, że nie potrafię żyć jak prawdziwy chrześcijanin.

- W tym konkretnym wypadku przebaczyłeś Katie.

- Tak.

- A przed chwilą powiedziałeś, że jeśli się komuś coś przebaczy, oznacza to, że ten ktoś przyznał się wcześniej do grzechu.

- No... ja.

- Zatem skoro przebaczyłeś Katie, to znaczy, że zrobiła ona coś złego, a przecież pięć minut temu oświadczyłeś, że niczego złego nie zrobiła.

Samuel milczał przez chwilę. Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu, aż George zada ostateczny cios. I wtedy młody amisz uniósł wzrok.

- Ja nie mam lotnego umysłu, panie Callahan. Studiów nie kończyłem, w przeciwieństwie do pana. Nie wiem, o co tak naprawdę mnie pan teraz pyta. Tak, wybaczyłem Katie, ale nie chodziło przecież o morderstwo nowo narodzonego dziecka. Miałem jej do wybaczenia tylko to, że złamała mi serce. - Urwał na chwilę, wahając się. - A za coś takiego nawet wy, Anglicy, nie wsadzacie ludzi do więzienia.

Owen Zeigler sprawiał wrażenie uczulonego na salę sądową. W ciągu pierwszych sześciu minut zdążył sześć razy kichnąć, zasłaniając nos chustką w kwieciste orientalne wzory.

- Przepraszam. To te *Dermatophagoides pteronyssinus*.

- Co proszę? - zapytała sędzina Ledbetter.

- Roztocza żyjące w kurzu. Małe paskudy. Pełno ich na poduszkach, materacach... i tutaj, na dywanach, pewnie też. - Pociągnął nosem. - Żywią się drobkami złuszczonej ludzkiej skóry, a ich produkty przemiany materii wywołują uczulenie. Gdyby ktoś pilnował wilgotności na sali, można by zapanować nad tą zarazą.

- Zakładam, że ma pan na myśli roztocza, a nie prawników - powiedziała oschle sędzina.

Owen łypnął podejrzliwie w górę, na wyloty przewodów klimatyzacyjnych.

- Z zarodnikami pleśni też chyba przydałoby się coś zrobić.

- Wysoki sędzie, ja również jestem alergikiem - wtrącił George - a warunki w tej sali znoszę bardzo dobrze.

Owen zrobił minę pokrzywdzonego.

- Nic nie poradzę, że mam taki czuły organizm.

- Doktorze Zeigler - zapytała sędzina - czy wytrzyma pan tutaj dostatecznie długo, aby złożyć zeznanie? A może mam postarać się o inną salę rozpraw?

- A może o komorę aseptyczną - mruknął George.

Owen kichnął jeszcze raz.

- Spróbuję.

Sędzina pomasaowała sobie skronie.

- Może pani kontynuować, mecnas Hathaway.

- Panie doktorze - zaczęłam - czy przeprowadził pan badania próbek tkanek pobranych z ciała noworodka „Fisher S”?

- Tak. Był to wcześniak płci męskiej, żywo urodzony, bez stwierdzonych wad wrodzonych. Badanie wykazało objawy ostrego zapalenia błon płodowych oraz zakażenia płodu. Przyczyną śmierci była asfiksja okołoporodowa.

- A zatem pańskie ustalenia są zgodne z orzeczeniem lekarza sądowego?

Owen uśmiechnął się.

- Zgadamy się w kwestii przyczyny śmierci. Jednak jeśli chodzi o okoliczności pośrednie, czyli czynniki, które doprowadziły do asfiksji, w naszych analizach pojawiają się już znaczne rozbieżności.

- Czyli?

- Lekarz sądowy stwierdził, że noworodek został umyślnie pozabawiony życia, ja zaś uważam, że asfiksja nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Dałam ławnikom chwilę, aby oswoili się z tą nową informacją.

- Z przyczyn naturalnych? Jak pan to rozumie?

- Według moich ustaleń panna Fisher nie przyłożyła ręki do śmierci swojego dziecka. Ono samo przestało oddychać.

- Proszę nam powiedzieć, co udało się panu ustalić.

- Największą zagadką była martwica wątroby.

- Czy można prosić o bliższe wyjaśnienie?

Owen skinął głową.

- Martwica to inaczej śmierć komórek. W czystej postaci jest ona zazwyczaj spowodowana wrodzonymi wadami serca, których jednak u tego noworodka nie stwierdzono, lub też infekcją. Kiedy lekarz sądowy wykrył martwicę, uznał, że musiała spowodować ją asfiksja, ale wątroba ma podwójne unaczynienie, skutkiem czego jest mniej podatna na niedokrwienie niż inne narządy.

- Niedokrwienie?

- Niedotlenienie tkankowe, czyli wywołane właśnie tym niedoborem tlenu we krwi. Jednakowoż taka zmiana w tkance wątroby należy do rzadkości, a jeśli jeszcze dodać do tego zapalenie błon płodowych...

Słowem, zacząłem się zastanawiać, czy nie była to jednak wina jakiegoś czynnika zakaźnego.

- Dlaczego lekarz sądowy przeoczył coś takiego?

- Z kilku przyczyn - odparł Owen. - Po pierwsze: w wątrobie nie wykryto leukocytów wielojądrzastych, czyli białych krwinek, które stanowią reakcję organizmu na zakażenie bakteryjne, z tym że we wczesnym stadium zakażenia nie byłoby jeszcze odpowiedzi leukocytarnej. Lekarz sądowy wykluczył również zakażenie, ponieważ nie znalazł śladów stanu zapalnego. Tymczasem kiedy następuje śmierć komórek, może upłynąć kilka godzin, zanim organizm zareaguje stanem zapalnym - a ja właśnie sądzę, że noworodek zmarł, zanim do tego doszło. Po drugie zaś, posiewy, które wykonał lekarz sądowy, nie wykazały obecności żadnego organizmu, który mógłby być odpowiedzialny za infekcję.

- Co pan zrobił?

- Zdobyłem bloczki parafiny z zatopionymi próbkami tkanek i wykonałem barwienie metodą Grama próbek tkanki wątrobowej. Okazało się wtedy, że w ciele noworodka znajdowało się sporo bakterii z gromady laseczek. Patolog zaliczył je do zanieczyszczeń i uznał, że były to maczugowce błonicy, które są pałeczkami. Laseczki często myli się z innymi bakteriami: albo z pałeczkami - na przykład z maczugowcami błonicy - albo z ziarenkowcami, do których należą gronkowce i paciorkowce. Tych organizmów w ciele noworodka namnożyło się tyle, że zacząłem się zastanawiać, czy to możliwe, żeby to nie były zwykłe zanieczyszczenia, ale na przykład czynniki infekcji. Z pomocą mikrobiologa udało mi się je zidentyfikować. Była to histeria monocytogenes, zdolna do ruchu, wielopostaciowa laseczka Gram-dodatnia.

Ławnicy patrzyli na niego zaszklonymi oczami; widać było, że całe to fachowe nazewnictwo mocno zamieszało im w głowach.

- A teraz niech pan spróbuje to powtórzyć - zażartowałam.

Owen błysnął uśmiechem.

- Krótko można powiedzieć, że wdała się listerioza. Tak się nazywa infekcja, którą wywołują te bakterie.

- Czy może nam pan ją nieco przybliżyć?

- Bywa ona przyczyną, często nierozpoznaną, przedwczesnego porodu oraz śmierci w okresie okołoporodowym - powiedział Owen. - Zakażenie, jeśli dojdzie do niego w drugim lub trzecim trymestrze, zazwyczaj kończy się urodzeniem martwego dziecka albo przedwczesnym porodem, po którym wywiązuje się zapalenie płuc i posocznica.

- Chwileczkę - wtrąciłam. - Chce pan powiedzieć, że Katie zarażała się jakąś chorobą, która była potencjalnym zagrożeniem dla życia jej dziecka jeszcze w łonie matki?

- To właśnie chcę powiedzieć. Ponadto, tę chorobę niezwykle trudno jest zdiagnozować na tyle wcześnie, aby mieć czas na rozpoczęcie leczenia. Kiedy u matki występują objawy, podobne zresztą do objawów grypy, czyli gorączka, bóle mięśni i inne łagodne bóle, zazwyczaj już kilka godzin później dochodzi do przedwczesnego porodu.

- A co się wtedy dzieje z dzieckiem?

- Następuje zamartwica okołoporodowa, gorączka oraz trudności z oddychaniem. - Przerwał na chwilę. - Studia przypadków podają, że śmiertelność noworodków poddanych leczeniu waha się w granicach trzydziestu- pięćdziesięciu procent.

- Noworodek zarażony listerią, nawet leczony, ma tylko pięćdziesiąt procent szans na to, że uda mu się przeżyć?

- Zgadza się.

- W jaki sposób dochodzi do zakażenia? - zapytałam.

- W przypadkach, o których czytałem, listerie najczęściej przenosiły się za pomocą skażonej żywności, a zwłaszcza niepasteryzowanego mleka i serów z takiego mleka.

- Niepasteryzowanego - powtórzyłam.

- Tak. A szczególnie narażeni byli ludzie przebywający na co dzień ze zwierzętami.

Położyłam dłoń na ramieniu Katie.

- Doktorze Zeigler, gdybym dała panu do przeczytania protokół z autopsji dziecka Katie Fisher, a potem poinformowała pana, że dziewczyna podczas ciąży mieszkała na farmie mleczarskiej, codziennie piła niepasteryzowane mleko, a rano i wieczorem pomagała czynnie przy udoju - to jaki byłby pański wniosek?

- Wziąwszy pod uwagę warunki jej życia i potencjalne narażenie na kontakt z bakteriami *Listeria monocytogenes*, powiedziałbym, że do zakażenia doszło podczas ciąży.

- Czy noworodek „Fisher S” wykazywał objawy listeriozy?

- Tak. Urodził się przedwcześnie i cierpiał na zaburzenia oddychania. Wykryto u niego ogniska ziarniakowe oraz martwicę wątroby i zapalenie płuc.

- Czy mogło to doprowadzić do śmierci?

- Bezwzględnie. Zgon nastąpiłby albo w wyniku okołoporodowej asfiksji albo po prostu na skutek zakażenia.

- Jaka, pańskim zdaniem, była przyczyna śmierci noworodka „Fisher S”? - zapytałam.

- Asfiksja na skutek przedwczesnego porodu wywołanego zapaleniem błon płodowych będącego konsekwencją listeriozy. - Uśmiechnął się pod nosem. - Wiem, że wyszedł z tego tasiemiec, ale chodzi

właśnie o to, aby pokazać, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych w wyniku całego łańcucha wydarzeń. Ten noworodek zaczął umierać, kiedy tylko się urodził.

- Czy pańskim zdaniem Katie Fisher była odpowiedzialna za śmierć swojego dziecka?

- Formalnie rzecz biorąc, tak - odparł Owen. - Jakkolwiek by patrzeć, to jej ciało przekazało płodowi bakterie *Listeria monocytogenes*. Niemniej to chyba raczej oczywiste, że zakażenie nie było umyślne. Nie można obwiniać za nie panny Fisher, tak samo jak nie można winić matki, która nieświadomie przekazała swojemu dziecku wirusa HIV. - Spojrzał na Katie, siedzącą z opuszczoną głową za stołem. - To nie było zabójstwo. To był po prostu bardzo smutny przypadek.

Ku mojej wielkiej radości, George wyglądał na wyraźnie wytrąconego z równowagi. Szczerze mówiąc, na to właśnie liczyłam: żaden prokurator nie pomyślałby o czymś takim jak listerioza, a już jemu na pewno nie przyszłoby do głowy zapytać o to podczas przesłuchania. George wstał, wygładził krawat i zbliżył się do mojego świadka.

- Listerie - powiedział. - Czy te bakterie są pospolite?

- W rzeczy samej są dość powszechne - potwierdził Owen. - Wszędzie ich pełno.

- Dlaczego więc ludzie nie padają od nich jak muchy?

- Bakterie są pospolite, ale choroba dość rzadka. U kobiet spodziewających się dziecka zdarza się raz na dwadzieścia tysięcy ciąż.

- Raz na dwadzieścia tysięcy. A u oskarżonej ta choroba miała tak ostry przebieg ze względu na to, że piła ona często niepasteryzowane mleko.

- Tak właśnie przypuszczam.

- Czy jest pan stuprocentowo pewny, że oskarżona piła niepasteryzowane mleko?

- Nie pytałem jej o to osobiście, ale przecież mieszka na farmie mleczarskiej.

George potrząsnął głową.

- To niczego nie dowodzi, doktorze Zeigler. Ja też mógłbym mieszkać na kurzej fermie, a mieć uczulenie na jaja. Czy ma pan absolutną pewność, że za każdym razem, kiedy oskarżona sięgała przy posiłku po dzbanek, było w nim właśnie mleko, a nie sok pomarańczowy, woda albo coca-cola?

- Nie, nie mam takiej pewności.

- Czy któryś z jej domowników chorował na listeriozę?
- Nie proszono mnie o zbadanie próbek tkanek domowników - odparł Owen. - Nie mogę odpowiedzieć z całą pewnością.
- Proszę więc pozwolić, że panu pomogę. Otóż nie, żaden z domowników na to nie chorował. Nikt oprócz oskarżonej nie miał objawów tej tajemniczej choroby. Czy to nie dziwne, że cała rodzina piła to samo skażone mleko, a bakteriom uległa tylko jedna osoba?
- Nie ma w tym nic dziwnego. Cięża to okres immunosupresji, a listerioza atakuje właśnie pacjentów o obniżonej odporności. Gdyby w rodzinie był ktoś chory na raka, na AIDS, bądź też bardzo stary lub bardzo młody - czyli posiadający nie w pełni sprawny system immunologiczny - mogłaby wywiązać się choroba podobna do tej, którą podejrzewam u panny Fisher.
- Podejrzewa pan - podchwycił George. - Czy chce pan powiedzieć, doktorze, że oskarżona wcale nie musiała zapaść na tę chorobę?
- Nie, z całą pewnością zachorowała. Zakażone były łożysko i płód, które kontakt z bakteriami mogły mieć tylko i wyłącznie poprzez organizm matki.
- Czy można w jakiś sposób dowieść ponad wszelką wątpliwość, że dziecko chorowało na listeriozę?
- Owen zastanowił się.
- Wiemy, że było zarażone listeriami, bo taki wynik dało badanie immunoenzymatyczne.
- Czy można dowieść, że przyczyną śmierci były powikłania w następstwie listeriozy?
- Listerie są zabójcze - odparł Owen. - Wywołują zakażenie w wątrobie, płucach, mózgu, wszędzie. W zależności od schematu przebiegu choroby, chorzy umierają z powodu niewydolności różnych organów. Noworodek „Fisher S” umarł na skutek zaburzeń procesu oddychania.
- Dziecko umarło w następstwie zaburzeń oddychania?
- Tak - potwierdził Owen. - Zaburzeń procesu oddychania spowodowanych infekcją układu oddechowego.
- Ale infekcja układu oddechowego nie jest chyba jedyną przyczyną zaburzeń procesu oddychania?
- Nie.
- Czy podobnych zaburzeń nie może wywołać również duszenie?
- Może.
- Czy więc nie jest możliwe, że dziecko faktycznie zaraziło się listeriami, które potem wykryto w płucach i całym ciele, ale umarło jednak na skutek uduszenia przez matkę?

Owen zmarszczył brwi.

- Jest to możliwe, nie można tego jednak stwierdzić z całą pewnością.

- Nie mam więcej pytań.

Wstałam z miejsca i zwróciłam się ponownie do świadka, zanim jeszcze George zdążył dojść do swojego stołu.

- Doktorze Zeigler, gdyby dziecko Katie nie umarło tamtej nocy na skutek zaburzeń procesu oddychania, to co by się z nim stało?

- Cóż, zakładając, że po tym domowym porodzie nie zabrano by go na sygnale prosto do szpitala, gdzie by je zdiagnozowano i przepisano właściwe leczenie, to można być pewnym, że zakażenie postępowałoby dalej. Dziecko umarłoby dwa albo trzy dni po porodzie na zapalenie płuc... A gdyby nawet nie, to na zapalenie opon mózgowych kilka tygodni później. Zapalenie opon mózgowych jest śmiertelne nawet kiedy już podejmie się leczenie.

- Zatem gdyby dziecka nie zabrano do szpitala na oddział noworodków, to najprawdopodobniej w krótkim czasie i tak by umarło?

- Zgadza się.

- Dziękuję, doktorze.

Ledwie zdążyłam usiąść, George już stał z powrotem.

- Chciałbym jeszcze o coś spytać, wysoki sędzie. Doktorze Zeigler, powiedział pan, że w przypadku listeriozy wskaźnik śmiertelności jest wysoki, nawet pomimo podjętego leczenia?

- Tak, na sto noworodków pięćdziesiąt umiera na skutek powikłań.

- A pan tak po prostu założył, że gdyby noworodek „Fisher S” nie umarł zaraz po porodzie, to nie przeżyłby nawet kilku tygodni?

- Tak.

George uniósł brwi.

- A skąd pan wie, panie doktorze, że to nie był przypadek z tej drugiej pięćdziesiątki?

Nie mogłam zrozumieć dlaczego, ale z każdym kolejnym słowem, które padało z ust Owena, Katie coraz bardziej i bardziej zamykała się w sobie. A przecież właśnie powinna być zadowolona, tak jak ja. Bo nawet ta szpila, którą George wbił swoim ostatnim pytaniem, nie mogła w niczym umniejszyć wagi faktu, że w organizmie noworodka wykryto te zabójcze bakterie. Ławnicy dostali teraz powód, aby żywić uzasadnioną wątpliwość - i to było już wszystko, czego nam było potrzeba do ulaskawienia.

- Katie - przysunęłam się do niej - dobrze się czujesz?

- Ellie, proszę cię, możemy już jechać do domu? Patrzyła na mnie jak zbity pies.

- Niedobrze ci?

- Proszę.

Rzuciłam okiem na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej, więc było jeszcze trochę za wcześnie na wieczorny udój, ale przecież sędzina Ledbetter nie mogła tego wiedzieć.

- Wysoki sędzie - powiedziałam, wstając zza stołu - jeżeli wysoki sąd nie ma nic przeciwko, chcielibyśmy prosić o zamknięcie posiedzenia w dniu dzisiejszym.

Sędzina zerknęła na mnie znad okularów.

- No tak. Krowy czekają. - Odszukała wzrokiem Owena Zeiglera, który zszedł już z miejsca dla świadka i zasiadł w ławce. - Na waszym miejscu myłabym porządnie ręce po takiej robocie. Panie Callahan, czy ma pan coś przeciwko wcześniejszemu zamknięciu posiedzenia?

- Nie, wysoki sędzie. Kury już na mnie czekają i oszaleją z radości na mój widok. A, prawda. - Wzruszył ramionami. - Nie hoduję kur.

Sędzina zmarszczyła brwi.

- Nie ma potrzeby snobować się na kosmopolityzm, panie prokuratorze. Dobrze więc. Spotykamy się jutro o godzinie dziesiątej rano. Sąd zamyka posiedzenie.

Dookoła nas nagle wyrósł mur ludzi: Leda, Coop, Jacob, Samuel i Adam Sinclair. Coop objął mnie w talii i szepnął do ucha:

- Mam nadzieję, że pomyślunek będzie miała po tobie.

Nie odpowiedziałam. Przyglądałam się, jak Jacob próbuje rozweselić siostrę jakimiś żartami, patrzyłam na Samuela, który stał sztywno, wyprężony jak struna, uważając, żeby tylko nie otrzeć się ramieniem o Adama. Natomiast Katie usiłowała się uśmiechać, ale uśmiech na jej ustach wyglądał jak za mocno naciągnięte prześcieradło. Czyżby nikt oprócz mnie nie zauważył, że ta dziewczyna jest na skraju załamania nerwowego?

- Katie - Adam zbliżył się do niej - nie chciałyś się przejść?

- Nie - odpowiedział Samuel. - Nie chciałyby.

Adam odwrócił się, zdziwiony.

- Ona chyba może mówić za siebie?

Katie przycisnęła palce do skroni.

- Dziękuję ci, Adamie, ale umówiłam się już z Ellie.

Pierwsze słyszę, pomyślałam, ale na widok jej błagalnej miny od razu skinęłam głową.

- Musimy omówić jej zeznanie - wyjaśniłam, chociaż jeśli wszystko poszłoby po mojej myśli, nie trzeba by powoływać Katie na świadka.

- Leda odwiezie nas do domu. Coop, zabierzesz pozostałych?

Wyszliśmy sposobem wypróbowanym już w piątek: Leda podjechała pod rampę dla obsługi gastronomicznej na tyłach gmachu sądu, a potem wyjechałyśmy bramą główną, od frontu, mijając po drodze tłumek dziennikarzy, cierpliwie wyczekujących, aż Katie pojawi się na schodach.

- Kotku - odezwała się kilka minut później Leda. - Ten doktor, którego wzięłaś na świadka, był nie do przebiccia.

Wycierałam sobie właśnie ciemne kółka makijażu spod oczu, przeglądając się w lusterku na daszku przeciwsłonecznym. Katie, siedząca za mną, na tylnym siedzeniu, odwróciła się do okna.

- Owen to porządny facet. I jeszcze porządniejszy patolog.

- A to o tych bakteriach... to prawda?

Uśmiechnęłam się do niej.

- Świadkowi nie wolno zmyślać. To by było krzywoprzysięstwo.

- Wiesz co, mnie się wydaje, że wystarczy ci to jedno zeznanie i masz wygraną w kieszeni.

Zerknęłam jeszcze raz w lusterko, próbując przyciągnąć spojrzenie Katie.

- Słyszałaś? - zapytałam znaczącym tonem.

Zacisnęła wargi - i to był jedyny znak, że w ogóle słucha, co się mówi. Dalej siedziała z policzkiem przyciśniętym do szyby i wyglądała przez okno.

Nagle otworzyła drzwi. Leda, widząc, co się dzieje, gwałtownie zjechała na pobocze i zahamowała z piskiem opon.

- No nie, proszę cię! - zawołała. - Katie, kotku drogi, tego nie wolno robić, kiedy samochód jedzie!

- Przepraszam. Ciociu, pójdę dalej z Ellie na piechotę, dobrze?

- Przecież to jeszcze z pięć kilometrów drogi!

- Muszę się przewietrzyć. I porozmawiać z Ellie. - Po twarzy Katie przesunął się ulotny uśmiech. - Nic nam się nie stanie.

Leda spojrzała na mnie, czekając, czy się zgodzę. Na nogach miałam dziś czarne pantofle na płaskim obcasie; fakt, że nie były to szpilki, ale na piesze wędrowki wkładam raczej inne obuwie. Tymczasem Katie zdążyła już wysiąść i czekała na mnie na zewnątrz.

- No dobrze, niech będzie - burknęłam, rzucając na siedzenie swój nesesor. - Podrzucisz to do nas? Możesz zostawić w skrzynce na listy.

Odprowadziłyśmy wzrokiem oddalający się samochód, a kiedy czerwone tylne światła zniknęły w oddali, odwróciłam się do Katie, zakładając ręce na piersi.

- O co chodzi?

Katie ruszyła przed siebie.

- Chciałam pobyc trochę sama.

- Nie zostawię cię samej...

- Sama z tobą. - Pobocze porastały wysokie krzewy paproci. Katie przystanęła, żeby zerwać jeden długi, poskręcany liść. - Z nimi nie mogę już wytrzymać. Wszyscy chcą mieć mnie po trochu dla siebie.

- To dlatego, że bardzo ich obchodzisz - powiedziałam, patrząc, jak Katie daje nura pod drutem otaczającym pastwisko pełne jałówek; takie druty, jak wiedziałam, były pod napięciem. - Hej! Przecież to czyjeś pole!

- Starego Johna Lappa. Możemy pójść tędy na skróty, jemu to nie przeszkadza.

Ruszyłam za nią, lawirując pomiędzy krowimi plackami i przyglądając się, jak zwierzęta kołyszają ogonami i mrugają sennie na ludzi, którzy władowali się na ich teren. Katie pochyliła się, zrywając białe kulki dmuchawców i suche strąki trojeści.

- Powinnaś wyjść za Coopa - oznajmiła.

Wybuchnęłam śmiechem.

- I dlatego chciałaś ze mną porozmawiać na osobności? Mam propozycję: na razie będziemy martwić się o ciebie, a moimi problemami zajmiemy się po procesie.

- Musisz to zrobić. Musisz i już.

- Katie, czy wyjdę za mąż czy nie, to i tak urodzę to dziecko.

Żachnęła się.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- O to, że kiedy go już nie będzie - powiedziała cicho - to nigdy nie będziesz go mogła odzyskać.

A więc to ją tak gryzło. Myślała o Adamie. Przez jakiś czas szłyśmy w milczeniu, aż pastwisko się skończyło i znów trzeba było prześlizgnąć się pod drutem elektrycznego pastucha.

- Będziesz mogła jeszcze ułożyć sobie wspólne życie z Adamem. Twoi rodzice to już nie są ci sami ludzie co sześć lat temu, kiedy Jacob odszedł z domu. Wszystko może się zmienić.

- Nic się nie zmieni - powiedziała Katie i urwała z wahaniem, szukając słów wyjaśnienia. - Kiedy kogoś kochasz, to jeszcze nie znaczy, że Bóg ma w swoich planach, żebyście byli razem. - Zatrzymałyśmy się zniecka i w tym momencie zauważyłam dwie rzeczy: po pierwsze, że Katie przyprowadziła mnie na ten niewielki cmentarz amiszów, który miałam już okazję poznać, a po drugie, że jej gorące emocje w żaden sposób nie dotyczą Adama.

Wzrok miała utkwiony w maleńkim, obłupanym kamieniu nagrobnym, pod którym spoczywało jej dziecko, a dłonie kurczowo zacisnięte na słupkach niskiego parkanu.

- Wszyscy ludzie, których kocham - szepnęła. - Zawsze coś mi ich odbiera.

Rozplakana się bezgłośnie, obejmując się ramionami wpool, a potem zgarbiła się i zaczęła zawodzić. Odkąd ją poznałam, ani razu jeszcze nie słyszałam z jej ust takich dźwięków: ani wtedy, gdy oskarżono ją o morderstwo, ani na pogrzebie jej dziecka, ani kiedy wspólnota odsunęła ją od siebie.

- Przepraszam - załkała. - Przepraszam.

- Nie musisz przeproszać, Katie. - Delikatnie dotknęłam jej ramienia, a ona rzuciła mi się w objęcia.

Stałyśmy tam, na tej cementarnej ścieżce, kołyszac się w przód i tył, splecione uściskiem. Gładziłam ją po plecach, próbując pocieszyć, uspokoić. Dzięki rośliny, które Katie zebrała po drodze, leżały rozrzucone wokół naszych stóp niczym ofiara.

- Przepraszam - powtórzyła Katie, a głos uwiązł jej w gardle. - Ja nie chciałam.

Przeszedł mnie nagły zimny dreszcz, ścinając krew w żyłach, zatrzymując dłonie wędrujące po jej plecach.

- Czego nie chciałaś? Katie uniosła głowę.

- Nie chciałam go zabić.

Rozdział siedemnasty

Kiedy Katie dobiegła na podwórze, ściskając się za kłuty kolką bok, mężczyźni zaczęli już wieczorny udój. Usłyszawszy, że w oborze coś się dzieje, skierowała się w stronę, skąd dochodziły dźwięki. Przez szerokie drzwi dostrzegła, jak Levi popycha przed sobą taczkę, a Samuel pochyla się, żeby nałożyć krowom na wymiona końcówki przewodów od dojarki. Lekkie szarpnięcie, cichy mlask - i rurki wypełniły się białym płynem, zlewając go do blaszanki.

Katie zakryła usta dłonią i popędziła za węgiel obory. Tam upadła na kolana i zaczęła wymiotować, dopóki miała czym.

Dobiegło ją wołanie Ellie, kuśtykającej po podjeździe. Adwokatka nie mogła nadażyć za Katie, a dziewczyna bezlitośnie wykorzystała swoją przewagę i po prostu jej uciekła.

Przemknęła się pod ścianą obory i pognała na nierówne, wyboiste rżysko. Nie można tam już było szukać kryjówki, ale uciec przed Ellie - jak najbardziej. Zebrała w dłonie spódnice i pomknęła nad staw, gdzie schowała się za wielkim dębem.

Wyciągnęła przed siebie dłoń, przyglądając się uważnie palcom i nadgarstkowi. I gdzie teraz one są, te bakterie? Zostało ich w niej chociaż trochę, czy wszystkie oddała swojemu dziecku?

Zamknęła oczy, przed którymi ukazał się jej nowo narodzony syn; leżał na sianie pomiędzy jej udami i płakał na całe gardło. Od razu wiedziała, że coś jest nie tak, jak powinno być. Nie chciała powiedzieć sobie tego głośno, ale przecież widziała, widziała, jak cała jego pierś i brzusek pracują z wielkim wysiłkiem nad każdym wdechem.

Ale nie mogła nic na to poradzić, tak samo jak nie mogła uratować Hannah pograżającej się pod lodem, ani Jacoba wypędzonego z domu, ani Adama wyruszającego w podróż.

Katie uniosła głowę i spojrzała w niebo, porysowane ostrym konturem nagich gałęzi dębu. I rozumiała. Zrozumiała, że tym ciągłym tragediom w jej życiu kres położyć może tylko wyznanie winy.

Ellie broniła już ludzi ewidentnie winnych, miała nawet kilku takich klientów, którzy kłamali w żywe oczy, a jednak nie potrafiła sobie przypomnieć, aby kiedyś czuła, że ktoś ją zdradził, dotknął do żywego. Gotując się z wściekłości, szybkim krokiem przecięła podwórze, zła na Katie za to, że tak ją oszukała, na Ledę, że wysadziła je pięć kilometrów od domu, na siebie, że w obecnym opłakanym stanie nie może biegać i dostaje zadyszki po kilku metrach.

Tylko nie bierz tego do siebie, upomniała się. To jest sprawa czysto zawodowa.

Znalazła Katie nad stawem.

- Zechcesz mi wyjaśnić, co to miało znaczyć? - zapytała, zginając się wpool i dysząc ciężko.

- Przecież słyszałaś - odparła Katie obrażonym tonem.

- Powiedz mi, dlaczego zabiłaś to dziecko, Katie.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie będę już dłużej szukać wymówek. Chcę tylko powiedzieć ławnikom to, co powiedziałam tobie i żeby już było po wszystkim.

- Powiedzieć ławnikom? - wycodziła Ellie. - Po moim trupie.

- Nie. - Katie zbladła. - Musisz mi pozwolić.

- Wybij sobie z głowy, że powołam cię na świadka i dam ci oświadczyć przed sądem, że zabiłaś swoje dziecko.

- Przedtem nie zabraniałaś mi zeznawać!

- Przedtem, wyobraź sobie, mówiłaś co innego. Przypomnę: chciałaś powiedzieć prawdę, a prawda miała być według ciebie taka, że nie popełniłaś morderstwa. Mogłabym wezwać cię do złożenia zeznań, gdyby nie miały one przekreślić całej linii obrony, którą do tej pory prowadziłam. Ale ty chcesz popełnić samobójstwo przed sądem, a to już zupełnie inna sprawa.

- Ellie - w głosie Katie zabrzmiały tony desperacji - ja muszę wyznać swoją winę.

- To nie jest twój kościół! - krzyknęła adwokatka. - Ile razy mam ci jeszcze to powtórzyć? Tutaj w grę nie wchodzi sześć tygodni zawieszenia w prawach. Twój wyrok będzie się liczył w latach. Możesz nawet dostać dożywocie. W więzieniu. - Opanowała się i wzięła głęboki oddech. - Wszystko było inaczej, dopóki myślałam, że tylko pokażesz się

ławnikom, opowiesz o swoim żalu, zapewnisz o niewinności. Ale to, co teraz mi powiedziałaś... - Zamilkła, odwróciła wzrok. - Powołanie cię na świadka to byłaby po prostu zawodowa nieodpowiedzialność.

- Przecież i tak im się pokażę i opowiem o swoim żalu.

- Jasne. A to wszystko zda się psu na budę, kiedy zapytam cię, czy zabiłaś to dziecko.

- To mnie o to nie pytaj.

- Jeśli ja cię nie zapytam, zrobi to George. A kiedy już zaczniesz składać zeznania, to nie wolno ci kłamać. - Ellie westchnęła. - Nie możesz kłamać, ale nie możesz też powiedzieć wprost, że zabiłaś to dziecko, bo podpiszesz na siebie wyrok.

Katie wbiła wzrok w czubki butów.

- Jacob mi mówił, że jeśli zdecyduję się zeznawać, to nie możesz mnie powstrzymać.

- Dam radę cię wybronić bez twojego zeznania. Dostaniemy ułaskawienie. Proszę cię, Katie. Nie rób sobie takiej krzywdy.

Katie spojrzała na nią i oświadczyła z absolutnym spokojem:

- Jutro złożę zeznanie. Może ci się to nie podobać, ale tego właśnie chcę.

- Chcesz, żeby ci przebaczyli? - wybuchnęła Ellie. - Kto? Ławnicy? Sędzia? Nie przebaczą ci. Będą widzieć w tobie potwora.

- Oni może tak, ale ty nie, prawda?

Ellie potrząsnęła głową. Słowa nie chciały przejść jej przez gardło.

- Co się stało? - dopytywała się Katie. - Powiedz mi, co o tym myślisz.

- Oszukać swojego adwokata to jedno, ale skłamać przyjacielowi - to już zupełnie co innego. - Ellie wstała, otrzepując spódnice. - Przygotuję oświadczenie o zrzeczeniu się odpowiedzialności, a ty je podpiszesz. Będzie to oficjalny dokument potwierdzający, że odradzałam ci podjęcie takiej decyzji - zakończyła chłodnym tonem i poszła sobie, zostawiając Katie samą.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Coop, składając rogi narzuty, którą razem z Ellie zdejmowali ze sznura. Jej wzór przedstawiał obrączkę ślubną; ironiczna wymowa tego zbiegu okoliczności nie umknęła jego uwagi. Dookoła nich, na sznurach do suszenia bielizny rozciągniętych pomiędzy drzewami, trzepotało jeszcze kilka narzut, barwiąc ciemniejące niebo wzorami kolorowymi jak olbrzymie kalejdoskopy.

Ellie zbliżyła się, wkładając mu do rąk przeciwległe końce narzuty.

- Uwierz - powiedziała krótko.

- Katie jest niezdolna do zabójstwa.

Wzięła od niego podłużny prostokąt materiału i energicznie złożyła go jeszcze na dwa, w gruby kwadrat.

- Wychodzi na to, że się mylisz.

- Przecież ja ją znam, Ellie. Leczę ją i wiem, co mówię.

- A ja z nią mieszkam w jednym pokoju. I co?

Coop zdjął klamerki do bielizny z następnej narzuty.

- Jak to zrobiła?

- Nie pytałam. Tym go zaskoczyła.

- Nie zapytałaś?

Ellie przesunęła palcami po brzuchu.

- Nie mogłam - wyznała, odwracając się szybko.

Coop poczuł, że w tej chwili najchętniej wziąłby ją w ramiona i przytulił.

- Można to wytłumaczyć tylko w jeden sposób - powiedział. - Katie kłamie.

- Nie słuchałeś, co mówiłam na rozprawie? - Ellie skrzywiła wargi.
- Amisze nie kłamią.

Coop puścił tę uwagę mimo uszu.

- Kłamie, żeby otrzymać karę. Ma taką psychologiczną potrzebę, mniejsza już o to, z jakiego powodu.

- Jasne. A dożywocie za kratkami to terapia akurat w sam raz dla jej potrzeb. - Ellie szarpnęła swój koniec narzuty. - Ona nie kłamie, Coop. W mojej pracy miałam już pewnie do czynienia z tyloma kłamcami co ty w twojej. Katie spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała, że zabiła swoje dziecko. Mówiła poważnie. - Gwałtownym ruchem wyrwała mu złożoną narzutę z rąk i rzuciła ją na tę pierwszą. - Katie Fisher idzie na dno i pociągnie nas wszystkich za sobą.

- Jeśli podpisała oświadczenie o zrzeczeniu się odpowiedzialności, to nikt nie będzie mógł ci nic zarzucić.

- Ależ nie, oczywiście, że nie. To tylko moje nazwisko i wiarygodność wylądują w błocie.

- Jakoś mi się nie wydaje, niezależnie od tego, jak Katie rozumuje w tym momencie, żeby robiła to akurat na złość tobie.

- Wszystko jedno, dlaczego to robi, Coop. Ona chce dokonać publicznej spowiedzi, a ławnicy nie będą jej pytać o powody, bo mają to w nosie. Uznają ją za winną, zanim zdąży powiedzieć: „Przyznaję się”.

- Wściekasz się, bo przegrasz przez nią sprawę, czy dlatego, że nie udało ci się tego przewidzieć?

- Wcale się nie wściekam. Jeśli ona chce zmarnować sobie życie,

to proszę bardzo, jej problem. - Ellie wyrwała Coopowi z rąk następną narzutę, ale tak niezręcznie, że wyprana kapa wylądowała na brudnej ziemi. - Cholera! Wiesz, ile czasu to się pierze? Masz pojęcie? - Opadła na kolana, a skotłowana kolorowa płachta skłębiła się za nią niczym chmura. Ellie ukryła twarz w dłoniach.

Coop spojrzał na nią; wydało mu się niepojęte, że ta kobieta, wiotka niczym wierzba, może udźwignąć na barkach ciężar czyjegoś ocalenia. Usiadł obok niej na ziemi i przygarnął ją do siebie, czując, jak zaciska palce na jego koszuli.

- Mogłam ją uratować - szepnęła.
- Wiem, kochana. Ale może ona chce zrobić to sama.
- Świetnie się do tego zabrała.
- Znowu myślisz jak prawnik. - Coop postukał ją w skroń. - Co się robi, kiedy człowiek zaczyna się bać, że wszyscy go zostawią?

- Trzeba się postarać, żeby zostali.

- A jeśli to niemożliwe albo nie umie się tego zrobić?

Ellie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Wiesz. I sama też już to kiedyś zrobiłaś. Należy ich uprzedzić i samemu uciec - powiedział Coop - żeby nie trzeba było patrzeć, jak odchodzą.

Kiedy Katie była małą dziewczynką, uwielbiała deszcz. Biegała wtedy na sam koniec podjazdu, gdzie zbierały się kałuże oblepione tęczowymi plamami benzyny. Identycznie w tej chwili wyglądało niebo: rozległa kopuła w kolorze monarszej purpury żyłkowanej odcieniami czerwieni, srebra i bursztynu niczym suknia królowej z bajki. Stały pod nią wszystkie farmy prostego ludu; nad każdym polem biegły smugi przepysznych barw, ciągnąc się jakby w nieskończoność.

Otulona mrokiem, stanęła na ganku, wyczekując. Kiedy od zachodu dawał się słyszeć warkot silnika samochodu, serce podchodziło jej do gardła, a wszystkie mięśnie prężyły się, gdy wypatrywała oczy, myśląc, że może skręca w ich stronę. Ale za każdym razem już po kilku sekundach pomiędzy drzewami migotały czerwone wstążki tylnych świateł.

- On nie przyjedzie.

Katie odwróciła się błyskawicznie, kiedy zabrzmiał ten głos, do wtóru ciężkich kroków na schodkach ganku.

- Kto? - zapytała.

Samuel przełknął z wysiłkiem.

- Ach, Katie. Czy chcesz mnie zmusić, żebym jeszcze i ja wypowiedział to imię? - Katie objęła się wpeł i znów odwróciła wzrok w kierunku

szosy. - On pojechał do Filadelfii. Wróci jutro, na rozprawę.

- Po to przyszedłeś? Żeby mi o tym powiedzieć?
- Nie - odparł. - Przyszedłem zabrać cię na spacer. Opuściła głowę.
- Nieszczerólnie nadaję się w tej chwili do towarzystwa. Samuel

wzruszył ramionami.

- Dobrze. Ja w każdym razie idę się przejść. - Zszedł z ganku.
- Zaczekaj! - zawołała i pobiegła za nim, równając krok.

Poszli, a w tle brzmiała symfonia: wiatr grał, uganiając się wśród drzew, ptaki nuciły, siadając na gałęziach, sowy śpiewnym zawodzeniem nawoływały myszy, rosa szeptała, srebrząc pajęczce sieci. Samuel stawiał wielkie kroki, a Katie, żeby za nim nadążyć, musiała niemalże biec.

- Dokąd idziemy? - zapytała po kilku minutach, kiedy mijali niewielki sad, w którym rosły jabłonie.

Samuel stanął jak wryty, rozejrzał się dookoła.

- Nie mam pojęcia.

Katie uśmiechnęła się szeroko i on też błysnął zębami w uśmiechu, a po chwili śmiali się już oboje. Samuel usiadł, opierając łokcie na kolanach; Katie opadła na ziemię obok niego, a jej spódnica zaszeleściła na opadłych z drzew liściach. Jabłka empire, jasne jak rubiny, ocierały się o czepek Katie i o kapelusz Samuela, któremu nagle przypomniało się, jak ona kiedyś, na obiedzie przy stawianiu stodoły, obrała całe jabłko nie przecinając skórki i rzuciła tę długą, czerwoną wstęgę przez ramię; była to kobieca wróżba, mająca przepowiedzieć, za kogo wyjdzie dziewczyna. Cała rodzina bardzo się śmiała, kiedy skórka spadła na ziemię, układając się w kształt litery S.

A w następnej chwili głucho milczenie zaczęło mu nieznośnie ciążyć.

- Sporo jabłek zbieriecie w tym roku - odezwał się, zdejmując kapelusz. - Będzie mnóstwo słoików z musem jabłkowym.

- Mama będzie miała co robić, już to widzę.

- A ty? - zazartował. - Chyba będziesz nam pomagać w oborze?

- Nie wiem, gdzie będę. - Katie odchrząknęła, spoglądając na niego. - Samuelu, muszę ci coś powiedzieć...

Przyłożył palec do jej ust, do tych miękkich warg i przez chwilę pozwolił sobie uwierzyć, że to mógł być pocałunek.

- Nic nie mów.

Katie skinęła głową i opuściła wzrok.

- Listopad za pasem. U Mary Esch obrodziły selery - odezwał się Samuel.

Katie zasmuciła się. Tego było już dla niej zbyt wiele - rozmawiać o listopadzie, miesiącu ślubów i o selerach, które były składnikiem większości tradycyjnych dań na weselnym obiedzie. Wiedziała, że Samuel całował się z Mary, ale od tamtego czasu nie usłyszała już o tym nic więcej od nikogo. W sumie to była sprawa Samuela, który miał święte prawo sam kierować swoim życiem. I ożenić się w przyszłym miesiącu. Z Mary Esch.

- Mary wyjdzie za Owena Kinga, jak amen w pacierzu - mówił dalej Samuel.

Katie spojrzała na niego zdziwiona.

- A nie za ciebie?

- Nie sądzę, żeby to się spodobało dziewczynie, z którą chciałbym się ożenić. - Samuel zaczerwienił się i wbił wzrok w ziemię. - Nie spodobałoby ci się to, prawda?

Przez chwilę Katie wyobraziła sobie, że jej życie wygląda tak samo jak życie wszystkich dziewczyn z rodzin amiszów, że nie stanęło na głowie, że ta cudowna propozycja nie może wydawać się nie do pomyślenia.

- Samuelu - powiedziała rwącym się głosem. - Nie mogę ci teraz niczego obiecać.

Potrząsnął głową, ale nie uniósł wzroku.

- Jeśli nawet nie teraz, w listopadzie, to za rok. Albo za dwa.

- Jeśli mnie zabiorą, to już nie wrócę.

- Nigdy nie wiadomo. Spójrz na mnie, na ten przykład. - Samuel przesunął palcem po rondzie kapelusza, idealnie kształtnym czarnym okręgu. - Byłem absolutnie pewien, że już do ciebie nie wrócę... A okazało się, że przez cały czas kierowałem się prosto do punktu wyjścia. - Wziął ją za rękę, uścisnął. - Zastanowisz się nad tym?

- Tak - odpowiedziała Katie. - Zastanowię się.

Było już po północy, gdy Ellie weszła bezszelestnie po schodach wiodących na piętro, do pokoju. Katie spała, leżąc na boku; wstęga księżycowego światła przecinała jej sylwetkę na pół, jak asystentkę iluzjonisty. Ellie po cichu zebrała kołdrę z łóżka i wróciła na palcach do drzwi.

- Co ty robisz?

Odwróciła się, spoglądając Katie prosto w oczy.

- Idę spać na kanapie.

Katie usiadła w pościeli, a kołdra opadła z jej ramion, odsłaniając prostą, białą koszulę nocną.

- Nie musisz tego robić.

- Wiem.

- To będzie źle dla dziecka.

Ellie poczuła, jak na szyi twardnieje jej jakiś mięsień, dławiąc gardło ciasnym uściskiem.

- Nie będziesz mi mówić, co jest źle dla mojego dziecka - powiedziała. - Nie masz prawa.

Odwróciła się na pięcie i wyszła na schody, przyciskając pościel do piersi jak tarczę, jakby wciąż jeszcze nie było za późno, aby osłonić swoje serce przed ciosem.

Ellie wodziła wzrokiem po gabinecie sędziny Ledbetter, odczytując tytuły prawniczych rozpraw na półkach, podziwiając drewniane meble i ozdoby, przyglądając się puszystemu dywanowi na podłodze - słowem, robiła wszystko, żeby nie musieć patrzeć na samą sędzinę, która właśnie czytała wręczone jej przed sekundą oświadczenie.

- Pani Hathaway - odezwała się sędzina Ledbetter po chwili - co tu się dzieje?

- Moja klientka nalega, aby pozwolono jej zeznawać, pomimo że jej to odradzałam.

Sędzina wbiła wzrok w Ellie, jakby z jej nic nie mówiącego wyrazu twarzy potrafiła odczytać wszystko o zamieszaniu, do którego doszło poprzedniego wieczoru.

- Czy odradzała jej pani zeznania z jakiegoś konkretnego powodu?

- Sądzę, że wszelkie powody wyjaśnią się same - odparła Ellie.

George wyprostował się lekko; na jego twarzy malował się adekwatny do sytuacji zachwyty.

- Dobrze więc - westchnęła sędzina. - Miejmy to już za sobą.

Nie można być amiszem i nie wiedzieć od najmłodszych lat, że ludzkie spojrzenie posiada własny ciężar, że oczy innych ludzi mogą nas dotykać, że czasami można je poczuć niczym oddech na ramieniu, a kiedy indziej - jak harpun prosto w plecy. Jednakże tutaj, w Lancaster, spojrzenia najczęściej godziły prosto, *en face* - turysta wyciągał szyję, żeby się przyjrzeć, stojące obok w kolejce w sklepie spożywczym dziecko gapiło się, mrugając oczami. Za balustradą otaczającą krzesło dla świadka Katie siedziała jak sparaliżowana wbitymi w nią spojrzeniami. Patrzyła na nią setka ludzi - i trzeba przyznać, że mieli powód. Nie co dzień amisz przyznaje się do morderstwa.

Otarła spocone dłonie o fartuch, nie mogąc się doczekać, kiedy Ellie zacznie jej zadawać pytania. Liczyła na pomoc adwokatki, kiedy już to

się zacznie - miała nadzieję, że może nawet uda jej się poczuć tak, jakby rozmawiały sobie tylko we dwie na ławce nad stawem. Ale Ellie nie odezwała się dziś do niej ani słowem. Rano wymiotowała w łazience, potem wypila filiżankę herbaty rumiankowej, a po śniadaniu, nie patrząc nawet na Katie, powiedziała, że już czas jechać do sądu. Nie, z jej strony próżno było dziś wyglądać zmiłowania.

Ellie zapięła guziki marynarki i wstała.

- Katie - powiedziała łagodnie - czy wiesz, dlaczego dziś tutaj jesteś?

Katie zamrugnęła oczami, zaskoczona wrażliwością i współczuciem, które zabrzmiały w tym pytaniu, w głosie Ellie. Spłynęła na nią ulga tak wielka, że zaczęła już się uśmiechać - i wtedy spojrzała w oczy adwokatkę, tak samo twarde i wściekle jak poprzedniego dnia. To współczucie było częścią gry, kreacji zawodowej. Nawet jeszcze w tym momencie, Ellie wciąż próbowała wywalczyć dla niej ulaskawienie.

Katie wzięła głęboki oddech.

- Ludzie myślą, że zabiłam swoje dziecko.

- I jak się z tym czujesz?

Znów przed oczami Katie ukazało się tamto ciało, maleńkie jak przecinek nakreślony pomiędzy jej udami, śliskie od jej własnej krwi.

- Żle - szepnęła.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że przedstawiono przeciwko tobie mocne dowody.

Katie skinęła głową, zerkając w stronę ławy przysięgłych.

- Staralam się rozumieć wszystko, co było tutaj mówione. Nie jestem pewna, czy mi się to do końca udało.

- Czego konkretnie nie mogłaś zrozumieć?

- Wy, Anglicy, robicie różne rzeczy zupełnie inaczej. Nie jestem przyzwyczajona do takiego postępowania.

- Do czego dokładnie?

Katie zastanowiła się przez długą chwilę. Wyznanie winy - tak, tu nie było różnicy, inaczej nie siedziałyby teraz na tym krześle. Ale Anglicy sądzili człowieka po to, aby go odepchnąć. Amisze odprawiali sąd, aby potem móc przyjąć osądzonych z powrotem pomiędzy siebie.

- Tam, skąd pochodzę - odpowiedziała - kiedy kogoś oskarży się o grzech, to nie po to, żeby inni mogli obarczać go winą, ale po to, żeby ten człowiek mógł się poprawić i żyć dalej.

- Czy zgrzeszyłaś, poczynając dziecko?

Katie instynktownie przyjęła postawę pokory.

- Tak.

- Dlaczego?
- Nie miałam męża.
- Kochałaś ojca swojego dziecka?

Spod nisko opuszczonych rzęs Katie przebiegła wzrokiem po ławach dla publiczności, szukając Adama. Siedział na samym brzegu siedzenia ze spuszczoną głową, tak jakby on także odprawiał spowiedź.

- Bardzo - wyszeptwała.
- Czy twoja wspólnota oskarżyła cię o grzech?
- Tak. Diakon i biskup przyszedli do mnie i poprosili, abym wypowiadała się na klęczkach po nabożeństwie.
- Co się stało, kiedy przyznałaś się do poczęcia nieślubnego dziecka?

- Otrzymałam bann, na pewien czas, żebym mogła przemyśleć swój czyn. Po sześciu tygodniach wróciłam i złożyłam obietnicę, że pozostanę w zgodzie z kościołem. - Katie uśmiechnęła się. - Przyjęli mnie z powrotem.

- Katie, czy diakon i pastor prosili, abyś przyznała się, że zabiłaś swoje dziecko?

- Nie.
- Dlaczego?

Katie złożyła dłonie na kolanach.

- O to mnie nie oskarżono.
- A zatem członkowie twojej własnej wspólnoty nie chcieli uznać, że jesteś winna grzechu zabójstwa?

Katie wzruszyła ramionami.

- Muszę usłyszeć twoją odpowiedź - powiedziała Ellie.
- Nie, nie chcieli.

Ellie wróciła do stołu dla obrony, postukując obcasami na parkiecie.

- Czy pamiętasz, co się działo tej nocy, kiedy urodziłaś dziecko, Katie?

- Tylko fragmenty. Co jakiś czas coś sobie przypominam.
- Dlaczego tak się dzieje?
- Doktor Cooper mówi, że mój umysł nie zniósłby wszystkiego naraz. - Katie potarła dolną wargę. - Kiedy to się stało, ja jakby zamknęłam się w sobie.

- Kiedy co się stało?
- Kiedy urodziło się dziecko.

Ellie skinęła głową.

- Opowiadało nam o tym już kilka osób, ale sądzę, że państwo ławnicy chętnie usłyszą od ciebie, co się stało tamtej nocy. Czy wiedziałaś, że jesteś w ciąży?

Katie nagle wydało się, że jej myśli cofają się, biegną w tył, aż znów poczuła pod dłonią małą, twardą krągłość, która była dzieckiem ukrytym w jej ciele.

- Nie mogłam w to uwierzyć - powiedziała cicho. - I nie wierzyłam, dopóki nie musiałam przesunąć szpilek do spinania fartucha.

- Powiedziałaś komuś o tym?

- Nie. Wyrzuciłam to z głowy i skupiałam myśli na innych rzeczach.

- Dlaczego?

- Bałam się. Nie chciałam, żeby rodzice się dowiedzieli. - Wzięła głęboki oddech. - Modliłam się, żeby wyszło na to, że może się tylko pomyliłam.

- Czy pamiętasz sam poród?

Katie opłotła brzuch ramionami, na nowo przeżywając ból przepalający ją na wskroś, od pleców do brzucha.

- Niektóre rzeczy pamiętam - odpowiedziała. - Ból, kłujące siano, na którym leżałam... Ale pewne fragmenty czasu są zupełnie puste.

- Jak się wtedy czułaś?

- Bałam się - szepnęła. - Naprawdę się bałam.

- Czy pamiętasz dziecko? - zapytała Ellie.

Ten obraz pamiętała tak wyraźnie, jakby był odcisnięty pod jej powiekami. Małeńkie, cudowne ciało, niewiele większe od jej własnej dłoni, mały chłopczyk kopiący nóżkami, zanoszący się kaszlem, wyciągający do niej rączki.

- Był śliczny. Wzięłam go na ręce. Przytuliłam. Pomasowałam plecki. Miał takie... drobniutkie kosteczki. Czułam, jak pod moją dłonią bije jego serce.

- Co zamierzałaś z nim zrobić?

- Nie wiem. Myślę, że zabrałabym go do mamy, zawinęła w coś, żeby było mu ciepło... Ale zasnęłam, zanim zdążyłam coś zrobić.

- Straciłaś przytomność.

- Ja.

- Dziecko miałaś wciąż w ramionach?

- Och, tak - odpowiedziała Katie.

- Co się stało potem?

- Obudziłam się, a jego już nie było.

Ellie uniosła brew.

- Nie było? I co sobie wtedy pomyślałaś?

Katie splotła palce.

- Że to był tylko sen - wyznała.

- Czy coś mogło świadczyć o tym, że było inaczej?

- Widziałam krew na koszuli nocnej i niedużą plamę na sianie.

- I co zrobiłaś?

- Umyłam się w sadzawce - odpowiedziała Katie - a potem wróciłam do swojego pokoju.

- Dlaczego nikogo nie obudziłaś, nie poszłaś do lekarza ani nie próbowałaś znaleźć dziecka?

Oczy Katie rozjarzyły się łzami.

- Nie wiem. Trzeba było. Teraz wiem, że było trzeba.

- Co się stało, kiedy obudziłaś się następnego dnia?

Przetarła oczy dłonią.

- Było tak, jakby w ogóle nic się nie zmieniło - powiedziała łamiącym się głosem. - Gdyby wszyscy w domu wyglądali chociaż odrobinę inaczej niż zwykle, gdybym źle się czuła, to może bym nie... - Urwała, odwracając wzrok. - Pomyślałam, że może to wszystko mi się zdawało, że nic się nie stało. Chciałam w to uwierzyć, bo wtedy nie musiałam się zastanawiać, gdzie jest dziecko.

- A wiedziałaś, gdzie ono jest?

- Nie.

- Czy przypominasz sobie, żebyś dokądś je zabrała?

- Nie.

- Czy przypominasz sobie, żebyś się budziła, choćby na chwilę, z dzieckiem w ramionach?

- Nie. Kiedy się obudziłam, jego już nie było.

Ellie skinęła głową.

- Czy planowałaś, jak można by pozbyć się tego dziecka?

- Nie.

- Czy chciałaś się go pozbyć?

- Kiedy tylko je zobaczyłam, to wiedziałam, że nie - odpowiedziała Katie cicho.

Ellie stała teraz na wyciągnięcie ręki od niej. Katie czekała na jej pytanie, czekała, kiedy będzie mogła powiedzieć na głos to, z czym tutaj przyszła. Ale Ellie odwróciła się od niej, niemalże niedostrzegalnie potrząsnąwszy głową.

- Dziękuję - powiedziała, patrząc na ławę przysięgłych. - Nie mam więcej pytań.

Szczerze mówiąc, George nie bardzo wiedział, co ma myśleć. Szykował się na to, że Ellie Hathaway, przesłuchując własną klientkę, postara się błysnąć czymś efektownym, ale ona nie zrobiła nic, co odbiegałoby od normy. Co zaś ważniejsze, jej świadek też się niczym nie popisał. Katie Fisher powiedziała dokładnie to, co wszyscy spodziewali się od niej usłyszeć. Obie te rzeczy miały się nijak do oświadczenia, które Ellie złożyła rano sędzinie.

Uśmiechnął się do Katie.

- Dzień dobry, panno Fisher.
- Proszę mi mówić Katie.
- Niech będzie Katie. Podejmijmy opowieść w miejscu, gdzie pani przerwała. Zasnął z dzieckiem w ramionach, a kiedy się obudził, jego już nie było. Jesteś jedynym naocznym świadkiem tego, co się stało tamtej nocy. Powiedz nam zatem: co stało się z dzieckiem?

Katie zacisnęła powieki. Z kącika oka pociekła łza.

- Zabiłam je.

George stanął jak wryty. Na sali wybuchł gwar skonsternowanych głosów; sędzina grzmotnęła młotkiem, uciszając wrzawę. George odwrócił się do Ellie, unosząc dłonie w geście niemego zapytania. Kiedy jednak ją zobaczył, siedzącą przy stole dla obrony z miną niemalże znudzoną, zrozumiał, że ona jedna na tej sali nie jest zaskoczona wyznaniem Katie. Spojrzała mu w oczy i wzruszyła ramionami.

- Zabiłaś swoje dziecko? - powtórzył.

- Tak - odszepnęła Katie.

Prokurator nie mógł oderwać oczu od tej dziewczyny za balustradą, zmóżonej przez własne cierpienie, wyglądającej tak, jakby chciała zapaść się pod ziemię.

- Jak to zrobiłaś?

Katie potrząsnęła głową.

- Musisz odpowiedzieć na pytanie.

Objęła się ramionami w talii, mocno, kurczowo.

- Ja chcę tylko naprawić swoją winę.

- Zaczekaj. Przed chwilą przyznałaś się, że zabiłaś swoje dziecko.

Proszę cię więc, żebyś powiedziała nam, jak to zrobiłaś.

- Przykro mi - wykrztusiła zdławionym głosem. - Nie mogę.

George odwrócił się do stołu sędziowskiego.

- Możemy podejść?

Sędzina skinęła głową, a Ellie dołączyła do prokuratora.

- Co tu się wyprawia, do diabła? - George zażądał wyjaśnień.

- Pani mecenas? - dołączyła się sędzina.

Ellie uniosła brew.

- Słyszałeś może kiedyś o piątej poprawce do konstytucji, George?

- Oskarżona właśnie sama się obciążyła - zauważył prokurator. -

Nie sądzisz, że troszkę już na to za późno?

- Niekoniecznie - odpowiedziała spokojnie, chociaż wiedziała równie dobrze jak on, że to jest kłamstwo w żywe oczy.

- Pani Callahan, nie muszę panu chyba przypominać, że świadek

może skorzystać z piątej poprawki, kiedy tylko zechce - powiedziała sędzina i dodała, zwracając się do Ellie: - Jednakże musi osobiście to ogłosić i wymienić ustawę z nazwy. Ellie rzuciła spojrzenie na Katie.

- Ona nie wie, jak się nazywa ta ustawa, wysoki sędzie. Ona wie tylko, że nie chce mówić już niczego więcej na ten temat.

- Wysoki sędzie, mecenas Hathaway nie może wystąpić teraz w imieniu swojej klientki. Jeśli nie usłyszę, że oskarżona zgodnie z procedurą prosi o prawo do skorzystania z piątej poprawki do konstytucji, to bardzo mi przykro, ale ja tego nie kupuję.

Ellie przewróciła oczami.

- Czy mogę prosić o chwilę rozmowy ze swoją klientką?

Podeszła do balustrady. Katie trzęsła się jak liść na wietrze;

Ellie poczuła nagle jak ogarnia ją wstyd, i to niemały, bo zrozumiała, że częściowo sama jest za to odpowiedzialna, bo dziewczyna po prostu boi się, że usłyszcy od niej tyradę.

- Katie - powiedziała adwokatka. - Jeśli nie chcesz opowiadać, jak doszło do zbrodni, to wystarczy, że powiesz po angielsku: „Korzystam z piątej poprawki”.

- A co to znaczy?

- Piąta poprawka to jest ustęp konstytucji, który mówi, że masz prawo zachować milczenie, nawet zeznając pod przysięgą, aby twoich słów nie można było użyć przeciwko tobie. Zrozumiałas?

Katie skinęła głową, a Ellie wróciła do stołu dla obrony i usiadła na swoim miejscu.

- Opowiedz nam, proszę, jak zabiłaś swoje dziecko - powtórzył George.

Katie strzeliła oczami w stronę Ellie.

- Korzystam z piątej poprawki - powiedziała niepewnie.

- A to mnie zaskoczyłaś - mruknął George. - W porządku. Cofnijmy się do samych początków. Żeby móc odwiedzać brata na studiach, okłamywałaś swojego ojca. Zaczęło się to, kiedy miałaś dwanaście lat?

- Tak.

- Teraz masz osiemnaście.

- Zgadza się.

- Czy przez tych sześć lat twój ojciec odkrył, że jeździsz do brata?

- Nie.

- I gdyby dalej o niczym nie wiedział, to ty dalej byś go okłamywała?

- To nie było kłamstwo - odpowiedziała Katie. - Nigdy mnie o to nie pytał.

- Przez sześć lat ani razu nie zapytał, jak ci minął weekend u cioci?
- Ojciec nie pyta o ciocię ani o niej nie rozmawia.
- Czyli miałaś szczęście. Dalej: czy okłamałaś swojego brata po tym, jak poszłaś do łóżka z jego współlokatorem?

- Nigdy...

- Zaczekaj, sam zgadnę. Nigdy cię o to nie pytał, zgadza się?

Katie zdezorientowana, skinęła głową.

- Tak, zgadza się.

- Nigdy nie powiedziałaś Adamowi Sinclairowi, że został ojcem twojego dziecka?

- Przecież on wyjechał za granicę.

- Nigdy nie powiedziałaś swojej matce, że jesteś w ciąży? Ani nikomu innemu?

- Nie.

- A kiedy rano, po twoim nocnym porodzie, zjawiła się policja, skłamałaś po raz kolejny.

- Nie miałam pewności, czy to naprawdę się wydarzyło - odpowiedziała prawie szeptem.

- Daj spokój. Masz przecież osiemnaście lat. Odbyłaś stosunek. Wiedziałaś, że zaszłaś w ciążę, nawet jeśli nie chciałaś przyjąć tego do świadomości. Widziałaś niejedną kobietę ze swojej wspólnoty w ciąży, a także niejedną poród. Chcesz mi teraz powiedzieć, że nie wiedziałaś, co się z tobą stało tamtej nocy?

Katie znów zaczęła cicho płakać.

- Nie potrafię wyjaśnić, co się wtedy działo z moją głową, wiem tylko, że nie pracowałam normalnie. Nie wiedziałam, co jest naprawdę, a co mi się wydaje. Nie chciałam wierzyć, że to wszystko mógł nie być tylko sen. - Skręciła rąbek fartucha w zaciśniętych pięściach. - Wiem, że zrobiłam coś złego i wiem, że przyszedł czas, żeby przyjąć odpowiedzialność za to, co się stało.

George nachylił się do Katie, tak blisko, że jego słowa opadały na jej kolana.

- Powiedz nam w takim razie, jak to zrobiłaś.

- Nie mogę o tym mówić.

- Aha. No tak. Tak samo kiedy byłaś w ciąży, wymyśliłaś sobie, że jeśli nie będziesz o niej mówić, to ona zniknie. I tak samo nie powiedziałaś nikomu o tym, że zamordowałaś swoje dziecko, zakładając, że jeśli nie powiesz, to nikt się nigdy nie dowie. Ale to nie jest tak, prawda, Katie? Nawet jeśli nam nie powiesz, jak zabiłaś swojego syna, to już i tak nic nie zmieni faktu, że on nie żyje, mam rację?

- Sprzeciw! - zawołała Ellie. - Prokurator wywiera presję na świadka.

Katie skuliła się na krześle, nie kryjąc już łez. George spojrział na nią tylko raz, przelotnie, a potem odwrócił się z lekceważeniem.

- Wycofuję pytanie. Skończyłem ze świadkiem.

Sędzina Ledbetter westchnęła.

- Zróbmy sobie kwadrans przerwy. Pani Hathaway, czy może pani zabrać stąd swoją klientkę, aby mogła dojść do siebie?

- Oczywiście - odpowiedziała Ellie, zastanawiając się jednocześnie, jak ma pomóc Katie się pozbierać, skoro sama jest w totalnej rozsypance.

Sala konferencyjna była ciemna i obskurna, świetlówki pod sufitem, zamiast działać, tylko parskały i syczały, nie emitując światła w żadnym widocznym paśmie. Ellie usiadła za brzydkim drewnianym stołem, obrysowując palcem kontur plamy z kawy, która, co było bardzo prawdopodobne, mogła mieć więcej lat niż Katie. Jej klientka stała przy tablicy zawieszanej na jednej ze ścian i trzęsła się od płaczu.

- Chętnie bym okazała ci trochę współczucia, Katie, ale sama się o to prosiłaś. - Ellie odwróciła się do niej tyłem, mając nadzieję, że jeśli nie będzie patrzeć na Katie, to jej szloch trochę przycichnie. Albo stanie się mniej przejmujący.

- Chciałam, żeby już było po wszystkim - wyjąkała Katie, unosząc opuchniętą, czerwoną twarz - ale nie spodziewałam się czegoś takiego.

- Och, naprawdę? A czego się spodziewałaś? Sądowej telenoweli, w której wszyscy przysięgli wybuchną zgodnym płaczem, kiedy ty zaczniesz spazmować podczas składania zeznań?

- Chciałam tylko, aby mi przebaczyli.

- No, teraz masz na to marne widoki. Pożegnałaś się właśnie z wolnością, kotku. Zapomnij o przebaczeniu swojego kościoła. Zapomnij o kontakcie z rodzicami i o związku z Adamem.

- Samuel poprosił mnie, żebym za niego wyszła - szepnęła Katie żałośnie.

Ellie parsknęła.

- To może mu powiesz, że trudno załatwić wizyty małżeńskie w stanowym zakładzie resocjalizacyjnym.

- Nie chcę żadnych wizyt małżeńskich. I nie chcę już mieć więcej dzieci. Bo co będzie, jeśli... - Katie urwała w pół zdania, odwracając wzrok.

- Jeśli co? - wybuchła Ellie. - Jeśli udusisz je w chwili słabości?

- Nie! - Oczy Katie ponownie wezbrały łzami. - Mówię o tej chorobie, o tych bakteriach. A jeśli jeszcze we mnie siedzą i przejdą na wszystkie moje dzieci?

Światłówka nad głową Ellie syknęła i zatrzaśkała. Adwokatka powoli objęła wzrokiem postać Katie, rejestrując różne szczegóły. Widać było, że dziewczyna odczuwa głęboką skruchę. Kurczowo zaciskała palce na grubej tkaninie sukienki na piersi, jak gdyby tę chorobę można było z siebie zetrzeć, zdrapać. Ellie przypomniła sobie, jak Katie powiedziała jej kiedyś, że kiedy diakon raz o coś oskarży, to człowiek przyznaje się do wszystkiego. Postawiła się w roli dziewczyny nawykłej do tego, że to inni mówią jej, jakie grzechy popełniła. I zrozumiała, że ktoś taki może poczuć się odpowiedzialny za zdarzenie, które patolog uznał za nieszczęśliwy wypadek.

Spojrzała na Katie i nagle sposób jej myślenia stał się dla niej jasny i klarowny.

Przeszła przez salę konferencyjną i chwyciła dziewczynę za ramię.

- Mów - rozkazała. - Powiedz mi teraz, jak zabiłaś swoje dziecko.

- Wysoki sędzie - zaczęła Ellie - proszę o pozwolenie ponownego zwrócenia się do świadka.

Czuła na sobie spojrzenie George'a, a w nim wyraźne pytanie: odbiło ci? Nie dziwiło jej to zresztą ani trochę: w momencie, gdy w protokole rozprawy zapisano przyznanie się oskarżonej do winy, Ellie nie mogła już naprawić wyrządzonej szkody praktycznie w żaden sposób. Odprowadziła wzrokiem Katie na krzesło dla świadka, gdzie jej klientka usiadła, wiercąc się niespokojnie, roztrzęsiona i blada.

- Kiedy oskarżyciel zapytał cię, czy zabiłaś swoje dziecko, odpowiedziałaś: tak.

- Zgadza się - przytaknęła Katie.

- A kiedy poprosił, żebyś wyjaśniła, w jaki sposób popełniłaś zabójstwo, nie chciałaś o tym mówić.

- Nie chciałam.

- Ja pytam cię teraz: czy udusiłaś swoje dziecko?

- Nie - wyszeptwała Katie, a jej głos załamał się na tej jednej krótkiej sylabie.

- Czy celowo spowodowałaś śmierć swojego dziecka?

- Nie. Nigdy bym tego nie zrobiła.

- W jaki sposób zabiłaś swojego syna, Katie?

Dziewczyna wzięła głęboki, rżący oddech.

- Słyszałaś zeznanie doktora. Powiedział, że zabiłam go, przekazując mu to zakażenie. Gdybym to nie ja była jego matką, to żyłby dalej.

- Zabiłaś je, przekazując mu listerie ze swojego organizmu?
- Tak.
- I to miałaś na myśli, mówiąc panu Callahanowi, że zabiłaś swoje dziecko?

- Tak.
- Opowiadałaś nam wcześniej, że w twoim kościele ten, kto popełni grzech, musi go potem wyznać przed całym zgromadzeniem.

- Ja.
- Jak to wygląda?

Katie przełknęła z wysiłkiem.

- Jest strasznie. Po prostu strasznie. Najpierw odbywa się całe niedzielne nabożeństwo. Kończy się kazanie, śpiewamy hymn i wszyscy, którzy nie są jeszcze członkami kościoła, wychodzą. Biskup wywołuje cię po nazwisku, a ty musisz wstać, podejść, usiąść przed grupą duchownych i odpowiadać na ich pytania, tak głośno, żeby całe zgromadzenie słyszało. Wszyscy na ciebie patrzą, a serce wali ci tak, że z ledwością możesz zrozumieć, co biskup do ciebie mówi.

- A jeśli nie ma się żadnego grzechu na sumieniu?

Katie uniosła głowę.

- Jak to?

- Jeśli człowiek jest niewinny? - Ellie wróciła myślą do rozmowy, którą odbyły przed kilkoma miesiącami, modląc się, żeby Katie też sobie ją przypomniała. - Jeśli diakon mówi, że kąpałaś się nago w stawie, a ty nigdy w życiu tego nie robiłaś?

Katie zmarszczyła brwi.

- To i tak trzeba się przyznać.

- Nawet jeśli się niczego nie zrobiło?

- Tak. Kiedy nie okaże się skruchy i żalu, kiedy szuka się wymówek, to jest jeszcze gorzej. Dość już się człowiek naje wstydu, kiedy musi stanąć przed duchownymi, a cała rodzina i wszyscy znajomi patrzą. Chce się to mieć jak najszybciej za sobą i przyjąć karę, żeby potem otrzymać przebaczenie i móc wrócić do wspólnoty.

- To znaczy, że... w twoim kościele, zanim otrzyma się przebaczenie, trzeba wyznać grzech. Nawet jeżeli się go nie popełniło?

- Przecież nie zarzuca się ludziom grzechu tak bez powodu. Większość oskarżonych faktycznie ma coś na sumieniu. Nawet jeśli coś tam się nie zgadza, to oni naprawdę popełnili jakiś zły uczynek. A po wyznaniu można dostąpić uzdrowienia.

- Odpowiedz na pytanie, Katie - upomniała ją Ellie, uśmiechając się zaciśniętymi wargami. - Gdyby twój diakon przyszedł do ciebie i powiedział, że zgrzeszyłaś, to i tak byś się do tego przyznała, chociaż wcale nie zgrzeszyłaś?

- Tak.
- Rozumiem. A teraz powiedz, dlaczego chciałaś zeznawać przed sądem?

Katie uniosła wzrok.

- Żeby przyznać się do grzechu, o który mnie oskarżono.
- Ale ten grzech to jest morderstwo - przypomniała jej Ellie. - Morderstwo oznacza, że z rozmysłem zabiłaś swoje dziecko, że chciałaś, aby umarło. Czy tak właśnie było?

- Nie - wyszeptała Katie.

- Musiałaś zdawać sobie sprawę, że stając dzisiaj przed sądem i przyznając się do zabicia swojego dziecka, przekonasz ławników o tym, że jesteś winna. Dlaczego chciałaś to zrobić, Katie?

- Dziecko umarło przeze mnie. Nie ma znaczenia, czy je udusiłam, czy nie - nie żyje, bo ja zrobiłam coś, co spowodowało jego śmierć. Zasluszyłam na karę. - Otarła oczy rąbkiem fartucha. - Chciałam, żeby wszyscy zobaczyli, że bardzo żałuję. Chciałam wyznać mój grzech - dodała cichym głosem - bo tylko wtedy mogę liczyć na przebaczenie.

Ellie oparła się o balustradę, zasłaniając Katie na moment przed wszystkimi.

- Ja ci przebaczę - szepnęła łagodnie, tak aby tylko ona ją usłyszała. - Jeżeli ty przebaczysz mnie. - Wyprostowała się, spojrzała na sędzinę.
- Nie mam więcej pytań.

- No dobrze, widzę, że odwracamy kota ogonem - powiedział George. - Zabiłaś dziecko, ale go nie zamordowałaś. Chcesz zostać ukarana, żeby przebaczone ci coś, co zrobiłaś, ale nieумыślnie.

- Tak. - Katie skinęła głową.

George milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, a potem zmarszczył brwi.

- W takim razie co stało się z dzieckiem?

- Zaraziłam je chorobą i umarło.

- Przypominam ci, co zeznał patolog: dziecko rzeczywiście było zarażone, ale to była tylko jedna z kilku możliwych przyczyn jego śmierci. Czy widziałaś, jak przestało oddychać?

- Nie. Spałam wtedy. Pamiętam dopiero to, co widziałam po przebudzeniu.

- Ale po przebudzeniu nie widziałaś już dziecka ani razu?

- Zniknęło - powiedziała Katie.

- A my mamy uwierzyć, że nie miałaś nic wspólnego z jego zniknięciem? - George natarł na nią bez pardonu. - Czy to ty zwinęłaś dziecko w koc i ukryłaś?

- Nie.
- Aha. A nie mówiłaś przypadkiem, że nie pamiętasz niczego od chwili, kiedy zasnąłaś?
- Bo nie pamiętam!
- W takim razie, teoretycznie, nie możesz powiedzieć z całą pewnością, że to nie ty ukryłaś dziecko.
- Chyba nie - odpowiedziała Katie, zdezorientowana. Na twarz George'a wypełził szeroki, wilczy uśmiech.
- Czyli teoretycznie nie możesz też z całą pewnością powiedzieć, że go nie udusiłaś.
- Sprzeciw!
- Wycofuję pytanie - powiedział prokurator. - Zakończyłem przesłuchanie świadka.

Ellie zakłęta bezgłośnie. Niedwuznaczny przycinek George'a miał pozostać ostatnim zdaniem zeznania usłyszanym przez ławę przysięgłych.

- Obrona kończy postępowanie dowodowe, wysoki sędzie - oznajmiła, patrząc, jak Katie otwiera furtkę w balustradzie otaczającej krzesło dla świadka i wraca na miejsce, ostrożnie stawiając każdy krok, jakby teraz już rozumiała, że ziemia pod stopami, niewzruszona i stabilna, może w każdej chwili zmienić się w stromy stok.

- Coś państwu powiem - zwróciła się Ellie do ławników. - Bardzo żałuję, ale nie dowiedzą się państwo ode mnie, co dokładnie zaszło we wczesnych godzinach porannych dziesiątego lipca bieżącego roku w oborze na farmie państwa Fisherów. Nie opowiem państwu o tym, ponieważ mnie tam nie było, podobnie jak pana Callahana i każdego bez wyjątku biegłego spośród tych, którzy przewinęli się przez tę salę rozpraw w ciągu ostatnich kilku dni i zeznawali przed państwem.

Była tam tylko jedna osoba. Jej zeznania także państwo wysłuchali. Tą osobą jest Katie Fisher, dziewczyna urodzona i wychowana w rodzinie amiszów. Katie nie pamięta dokładnie, co się wtedy stało. Stała przed państwem dręczona wstydem i wyrzutami sumienia, święcie przekonana, że przypadkowe wewnątrzmaciczne zakażenie czyni ją odpowiedzialną za śmierć jej dziecka. Jest tak zrozpaczona tym, że je straciła, że choć jest niewinna, to uważa, że zasługuje na karę. Pragnie, aby wybaczone jej czyn, który popełniła całkowicie nieumyślnie.

Ellie przesunęła dłonią po balustradzie otaczającej ławę przysięgłych.

- I właśnie na nieumyślność tego czynu, panie i panowie, warto zwrócić uwagę. Dlaczego? Ponieważ aby uznali państwo Katie winną

zabójstwa pierwszego stopnia, oskarżyciel musi dowieść ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość, że zabiła ona swoje dziecko umyślnie, zamierzenie i z premedytacją. Co to oznacza? Po pierwsze, że zaplanowała to morderstwo - a przecież słyszeli państwo, że żaden amisz nigdy nie pusznie się do takiej brutalności, nie popełni czynu, który oznacza przedłożenie pychy ponad pokorę i własnej woli ponad zasady, którymi rządzi się wspólnota. Po drugie, oznacza to, że Katie chciała, aby jej dziecko umarło. Widzieli państwo jednak, jak patrzyła na ojca tego dziecka, spotkanego po raz pierwszy po długiej rozłące, usłyszeli państwo od niej, że go kocha. Po trzecie, oznacza to, że Katie celowo uśmierciła swoje dziecko. Przedstawiono jednak państwu dowody na to, że bardzo prawdopodobną przyczyną zgonu mogła być infekcja przekazana dziecku podczas ciąży - a zatem wypadek. Tragiczny w skutkach, ale jednak wypadek.

Oskarżyciel będzie przekonywał państwa, że dziecko Katie Fisher zostało zabite. Taką ma pracę. Moja zaś praca polega na tym, aby unocznąć państwu, że morderstwo pierwszego stopnia nie jest jedynym wytłumaczeniem, że istnieją inne możliwości. Jeżeli więc można na tę sprawę spojrzeć inaczej, jeżeli w państwa umysłach zrodziła się choćby najmniejsza wątpliwość - nie mają państwo innego wyjścia, jak tylko uniewinnić.

Ellie podeszła do Katie i stanęła za nią.

- Bardzo żałuję, że nie mogę opowiedzieć państwu dokładnie, co zaszło, a co nie zaszło wczesnym rankiem dziesiątego lipca w oborze na farmie Fisherów - powtórzyła. - A skoro ja nie mogę mieć żadnej pewności, to czy państwo mogą?

- Pani Hathaway ma rację, ale tylko pod jednym względem. Katie Fisher nie wie dokładnie, co wydarzyło się tej nocy, kiedy urodziła dziecko. - George powiódł uważnym wzrokiem po twarzach sędziów przysięgłych. - Nie wie i przyznała się do tego, że nie wie. Przyznała się także do zabicia swojego dziecka.

Wstał, zakładając ręce za plecami.

- Niemniej jednak do odtworzenia prawdy osobiste wspomnienia oskarżonej są nam zbędne, ponieważ w tym wypadku fakty mówią same za siebie. Wiemy, że Katie Fisher przez wiele lat okłamywała swoją rodzinę, potajemnie utrzymując kontakty ze światem zewnętrznym. Wiemy, że zataiła ciążę, urodziła w odosobnieniu, zamaskowała plamy krwi, które zostały na sianie i ukryła ciało noworodka. Możemy przejrzeć protokół autopsji, gdzie jest mowa o tym, że dookoła ust dziecka były siniaki

powstałe przy duszeniu, że głęboko w jego gardle znaleziono bawełniane włókna, możemy przeczytać orzeczenie lekarza sądowego, który stwierdził zabójstwo. Możemy zapoznać się z wynikami ekspertyzy sądowej - testy DNA wykazują, że na miejscu zbrodni nie było nikogo oprócz oskarżonej. Możemy wskazać motyw psychologiczny: panna Fisher obawiała się, że jeśli urodzi nieślubne dziecko, rodzina odsunie się od niej na zawsze, tak, jak spotkało to jej brata. Możemy nawet odtworzyć protokół z posiedzenia sądu i posłuchać, jak oskarżona sama przyznaje się do zabicia swojego dziecka. Zrobiła to z własnej woli, choć obrona po fackie usiłowała na wszelki sposób obrócić to wyznanie na swoją korzyść. George spojrzął na Ellie.

- Pani Hathaway chciałyby przekonać państwa, iż z racji tego, że jej klientka jest amiszką, zbrodnia tego rodzaju jest nie do po myślenia. Niemniej religia amiszów jest to wyznanie, nie zaś alibi. Widywałem już, jak skazywano gorliwych katolików, pobożnych żydów i wiernych muzułmanów oskarżonych o różne ohydne zbrodnie. Pani Hathaway chciałyby państwa również przekonać, że ten noworodek umarł z przyczyn naturalnych. Ale skoro tak było, to dlaczego zawinięto go w koszulę i ukryto pod derkami? To przecież sugeruje próbę zatuszowania faktów. Obrona nie potrafi tego wyjaśnić, może tylko mydlić oczy, powołując się na jakąś infekcję bakteryjną, o której nikt nie słyszał, a która podobno mogła doprowadzić do zaburzeń oddychania u noworodka. Powtarzam: mogła. Bo wcale nie musiała. Możliwe, że jest to tylko przykrywka, pod którą ma się schować prawda, taka mianowicie, że dziesiątego lipca nad ranem Katie Fisher w oborze swoich rodziców umyślnie, zamierzenie i z premedytacją udusiła dziecko, które urodziła.

Rzucił okiem na Katie i ponownie zwrócił się do ławników:

- Pani Hathaway chciałyby państwa przekonać o czymś jeszcze. Oto mają państwo myśleć, że jedynym świadkiem zdarzeń tamtego dnia była Katie Fisher. To nieprawda. Było tam też dziecko, którego nie ma dzisiaj pomiędzy nami. Nie stanie tutaj, a my nie usłyszymy jego zeznania, ponieważ zostało uciszone na zawsze przez własną matkę. - Powiódł wzrokiem po dwunastu twarzach mężczyzn i kobiet przypatrujących mu się z uwagą. - Niech państwo będą głosem w jego obronie.

Ojciec George'a Callahana, człowiek, który cztery razy z rzędu wygrał wybory na urząd prokuratora okręgowego w hrabstwie Bucks (dobrych kilka dekad wstecz), zawsze powtarzał swojemu synowi, że każdy prawnik ma w swojej karierze jedną taką sprawę, na której może jechać

aż do końca życia. Sprawę, którą już zawsze wymienia się jednym tchem z jego nazwiskiem, kiedy tylko zrobi coś godnego powszechnej uwagi. Dla Wallace'a Callahana był to proces trzech białych uczniów college'u, których wsadził za kratki za zgwałcenie i zamordowanie małej czarnej dziewczynki w czasach szalejących protestów na rzecz praw obywatelskich. Dla George'a miała to być Katie Fisher.

Przeczuwał to, tak samo jak potrafił wyczuć nadchodzący śnieg na dzień przed śnieżycą: dawały mu o tym znać naprężające się mięśnie. Ławnicy orzekną, że jest winna. Do diabła! Sama przecież uważa się za winną. George pomyślał, że wcale się nie zdziwi, jeśli werdykt zostanie ogłoszony tego samego dnia, jeszcze przed kolacją.

Narzucił na ramiona swój trenecz, wziął neseser i pchnął drzwi, wychodząc z sali sądowej na korytarz. Momentalnie osaczyła go ciżba dziennikarzy i kamerzystów z lokalnych sieci oraz z filii stacji ogólnokrajowych. George wyszczerzył zęby w uśmiechu, zwracając się lepszym profilem tam, skąd mierzyło najwięcej kamer i pochylił się do pęku mikrofonów podsuniętych mu pod nos.

- Można prosić o komentarz na temat sprawy?
- Jaki werdykt ławy przysięgłych pan przewiduje?

George uśmiechnął się i gładko wyrzucił z siebie wyćwiczoną kwestię: - Z całą pewnością sprawa zakończy się zwycięstwem oskarżenia.

- Nie mam cienia wątpliwości, że wygra obrona - oznajmiła Ellie niewielkiej grupce reporterów, którzy przycupnęli na parkingu sądu okręgowego.

- Czy nie uważa pani, że teraz, gdy Katie przyznała się do winy, ławnicy mogą mieć trudności z podjęciem decyzji o ułaskawieniu? - wrzasnął jeden z dziennikarzy.

- Absolutnie nie - uśmiechnęła się Ellie. - Przyznanie się Katie do winy miało mniej konsekwencji prawnych, niż może się wydawać. Było podyktowane przede wszystkim moralnymi wymogami jej religii.

Coop stał obok i czekał, a kiedy ta zorganizowana na poczekaniu konferencja prasowa dobiegła końca, ruszył wraz z Ellie w stronę niebieskiego sedana Ledy.

- Może lepiej zostanie tutaj - zastanowiła się adwokatka. - Jest szansa, że ława przysięgłych wróci na salę rozpraw, zanim skończymy jeść.

- Jeśli tutaj zostaniesz, to Katie nie będzie miała chwili spokoju. Przecież nie zamkniesz jej w jakiejś pustej salce.

Ellie przytaknęła i otworzyła drzwi samochodu. Leda, Katie i Samuel na pewno już dotarli do wejścia dla personelu sądowego i czekają na nich.

- No cóż - powiedział Coop. - Moje gratulacje.

Ellie prychnęła pod nosem.

- Na to jeszcze za wcześnie.

- Przecież sama przed chwilą powiedziałaś, że wygracie.

Potrząsnęła głową.

- Tak powiedziałam - przyznała - ale prawda, Coop, jest taka, że nie mam pojęcia, jak to się skończy.

Rozdział osiemnasty

ELLIE

Dwadzieścia cztery godziny później ławnicy wciąż jeszcze nie ogłosili werdyktu.

Ponieważ tam, gdzie mieszkałam, nie miałam telefonu, sędzina Le-dbetter wydała polecenie, żeby George pożyczył mi swój pager. Miała mnie wezwać, kiedy ławnicy skończą obrady. Tymczasem mogliśmy wrócić do domu i zająć się swoimi sprawami.

Przeżyłam już kiedyś takie sytuacje, kiedy ława przysięgłych utknęła w miejscu. Było to nieprzyjemne nie tylko z tego powodu, iż należało się wtedy spodziewać rozpoczęcia kolejnego procesu, ale również dlatego, że dopóki przysięgli nie ogłosili werdyktu, ja chodziłam po ścianach i rozkładałam swoją obronę na czynniki pierwsze. Do tej pory, kiedy obrady ławy przysięgłych zaczynały się przedłużać, radziłam sobie tak, że na przykład zmuszałam się do myślenia o innych sprawach, nad którymi pracowałam. Szłam do klubu fitness i katowałam się na stepie tak długo, dopóki mogłam ruszać nogami; głowy nie trzymały się już wtedy żadne myśli. Siadałam ze Stephenem, a on krok po kroku analizował ze mną cały proces i patrzyliśmy, co mogłam zrobić inaczej.

A teraz otaczała mnie rodzina Fisherów; każdego z nich werdykt ławy przysięgłych musiał obchodzić, tymczasem jakoś nikt chyba nie zauważył, że wciąż jeszcze go nie ogłoszono. Katie wróciła do swoich domowych obowiązków. Ja miałam pomagać Sarze w kuchni, pokazywać się w oborze na wypadek, gdyby Aaron potrzebował dodatkowej pary rąk do pracy - żyć dalej jak gdyby nigdy nic, nie zważając na to, że wszyscy czekamy na ogłoszenie tak istotnej decyzji.

Dwadzieścia osiem godzin po opuszczeniu sądu Katie i ja myłyśmy

okna u Annie King, która miała wypadek: spadła z wysokości i pękł jej staw biodrowy. Przyglądałam się przez moment Katie, która raz za razem zanurzała ścierkę w wiadrze z roztworem alkoholu i tarła szyby niezmordowanie, jak automat; nie mogłam zrozumieć, skąd ona bierze siły, żeby jeszcze komuś pomagać, kiedy z całą pewnością muszą nią targać potężne emocje.

- Jak ty możesz to wytrzymać? - zapytałam w końcu.

- Plecy? - odpowiedziała pytaniem. - Ja, trochę bolą. Ciebie też?

Odpocznij sobie przez chwilę.

- Nie mówię o plecach, tylko o tym, że cały czas nie wiadomo, jak skończy się proces.

Katie wrzuciła ścierkę do wiadra i przysiadła na piętach.

- To, że będę się martwiła, niczego nie przyspieszy.

- A ja nie mogę przestać o tym myśleć - przyznałam jej się. - Chyba bym nie potrafiła myć komuś okien, gdybym wiedziała, że mogę pójść do więzienia za morderstwo.

Katie odwróciła się do mnie, a jej oczy błyszczały takim czystym, niezmaconym spokojem, że wprost nie mogłam oderwać od nich wzroku.

- Dzisiaj Annie potrzebuje pomocy. - A jutro może przyjdzie twoja kolej.

Wyrzała przez rozmigotaną szybę. Na podwórku grupka kobiet wyciągała właśnie ze swoich bryczek torby wypchane środkami czystości.

- Jeśli tak się stanie, to jutro oni wszyscy nie zostawią mnie w potrzebie.

Nie wypowiedziałam na głos swoich wątpliwości; dla własnego dobra Katie byłoby lepiej, gdyby miała rację. Wstałam, zostawiając ścierkę wiszącą na ścianie wiadra.

- Zaraz wracam.

Katie odwróciła głowę, kryjąc uśmiech. Ostatnio zaczęłam biegać do łazienki tak często, że stało się to obiegowym żartem. Ale kiedy już tam dotarłam i usiadłam na sedesie, wesoły nastrój przyszył w jednej chwili, bo zobaczyłam krew.

Sara zawiozła mnie bryczką do szpitala rejonowego, tego samego, dokąd pogotowie zabrało Katie tego dnia, kiedy urodziła dziecko. Ja jechałam z tyłu, objijając się o ściany i powtarzając sobie raz po raz, - że wszystko idzie zgodnie z naturą, a takie rzeczy to w ciąży absolutna norma. Jechałam, przyciskając pięści do brzucha, w którym wyraźnie czułam już ukłucia skurczów, a Katie i jej matka siedziały na koźle, szepcząc do siebie w swoim dialekcie.

Zabrali mnie na izbę przyjęć, gdzie na moją głowę posypał się grad

pytań: czy jestem w ciąży? Czy wiem, który to tydzień? Przepytująca mnie pielęgniarka odwróciła się, spoglądając na” Katie i Sarę, wyglądające niepewnie zza parawanu.

- Panie z rodziny? - zapytała.
- Nie, znajome - odpowiedziała Katie.
- Proszę w takim razie poczekać na zewnątrz. Sara, zanim odeszła, pochwyciła moje spojrzenie.

- Nic ci nie będzie - powiedziała.
- Sprowadźcie tu Coopa - szepnęłam. - Proszę.

Lekarz miał dłonie pianisty, o długich białych palcach, tak delikatnych, że ich dotyk był niczym muśnięcie kwiatnych płatków.

- Zrobimy badanie krwi, bo trzeba się upewnić, że jest pani w ciąży - poinformował mnie - a potem pojedzie pani na USG i zobaczymy, co tam się dzieje.

Uniosłam się na łokciach.

- Co mi jest? - zapytałam rozkazującym tonem, chociaż sama siebie nie podejrzewałam o tyle siły. - Musicie już coś wiedzieć.

- Cóż, krwawienie jest dość obfite. Z podanej przez panią daty ostatniej miesiączki wynika, że jest pani najprawdopodobniej w dziesiątym tygodniu ciąży. Niewykluczone, że to ciąża pozamaciczna, bardzo niebezpieczna. Jeżeli nie, możliwe jest też, że pani organizm samorzutnie przerywa ciążę. - Uniósł głowę, spoglądając na mnie. - Zaczęła pani ronąć - wyjaśnił.

- Musicie to zatrzymać - oznajmiłam spokojnym tonem.

- Nie możemy. Jeśli krwawienie ustanie lub osłabnie samo z siebie, będzie to dobry znak. Jeśli nie... no cóż. - Wzruszył ramionami i zawiesił stetoskop na szyi. - Niedługo będziemy już co nieco wiedzieli. Proszę spróbować trochę odpocząć.

Skinęłam głową, układając się z powrotem i ze wszystkich sił powstrzymując łzy. Płacz nie mógł mi w niczym pomóc. Leżałam bez najmniejszego ruchu, oddychając płytko i powtarzając sobie, że nie mogę stracić tego dziecka. Nie mogę.

Coop patrzył ze zbielałą twarzą, jak operator ultrasonografu smaruje mi brzuch bezbarwnym żelem i przyciska do skóry urządzenie przypominające mikrofon. Na monitorze komputera wypełniony mgiełką zakłóceń wycinek koła pokrył się bąblami, które przelewały się z miejsca na miejsce, nieustannie zmieniając kształty.

- Tutaj. - Operator wskazał strzałkami maleńki okrąg.

- No, dobrze. Płód nie jest w jajowodzie - powiedział lekarz. - Powiększ.

Zaznaczony obszar urósł. To, co pokazywał obraz, nie przypominało dziecka ani w ogóle niczego; wyglądało jak kłębuszek ziarnistej bieli z

czarną plamką na samym środku. Spojrzałam na lekarza i na operatora USG, ale oni milczeli, wpatrując się bez słowa w monitor, na którym było chyba widać coś bardzo, bardzo nieprawidłowego.

Operator docisnął emiter, jeżdżąc nim tam i z powrotem po moim brzuchu.

- Aha - odezwał się wreszcie.

Czarna plamka pulsowała rytmicznie.

- Serce bije - objaśnił nam lekarz.

Coop ścisnął mnie za rękę.

- To chyba dobrze, prawda? To znaczy, że wszystko w porządku?

- Blisko jedna trzecia ciąży kończy się poronieniem we wczesnym stadium, doktorze Cooper, ale my nie wiemy, co je wywołuje. Zazwyczaj dzieje się tak dlatego, że płód nie jest zdolny do życia, więc to jest w sumie najlepsze rozwiązanie. Pańska żona wciąż mocno krwawi. W tej chwili możemy tylko odesłać ją do domu i mieć nadzieję, że za kilka godzin wszystko wróci do normy.

- Odesłać? Tak po prostu zwolnić do domu?

- Tak. Nie powinna pani wstawać z łóżka. Jeżeli do rana krwawienie nie ustanie albo jeśli skurcze się nasilą, proszę do nas przyjechać.

Nie odrywałam wzroku od monitora, od tego maleńkiego białego kręgu.

- Ale jest przecież puls. - Coop nie dawał się zbyć. - To dobry znak.

- Owszem. Niestety, jest też zły znak. Krwawienie.

Lekarz i operator USG wyszli z pokoju. Coop opadł na krzesło obok stołu do badań i położył rozwartą dłoń na moim brzuchu, a ja nakryłam ją swoją.

- Nie pozwolę odejść temu dziecku - oświadczyłam twardo.

A potem przestałam walczyć z łzami.

Coop chciał mnie zabrać do siebie, ale to było za daleko. Z kolei Sara bardzo nalegała, żebyśmy wszystkie wróciły na farmę, tłumacząc, że tam będzie mogła się mną opiekować.

- Pan, oczywiście, pojedzie z nami - powiedziała Coopowi, a jego to przekonało i przestał robić trudności.

Zaniósł mnie na rękach do pokoju, który Katie dzieliła ze mną i ostrożnie położył na łóżku.

- Proszę - powiedział, podkładając mi poduszki pod głowę. - Może być?

- W porządku. - Spojrzałam na niego, usiłując się uśmiechnąć.

Coop usiadł na skraju łóżka i splótł palce z moimi.

- Może to nic takiego.

Skinęłam przytakująco głową, przyglądając się, jak szarpie brzeg kołdry, jak ucieka wzrokiem, wodzi oczami od szafki nocnej do okna, błądzi nimi po podłodze - byle tylko nie patrzeć w moją stronę.

- Coop - poprosiłam - zrób coś dla mnie.
- Co tylko chcesz.
- Zadzwoń do sędziny Ledbetter. Poinformuj ją, co się dzieje, tak na wszelki wypadek.

- Na miłość boską, Elbe, nie powinnaś teraz nawet o tym myśleć.

- Ale myślę. I potrzebuję, żebyś zrobił to dla mnie. Coop potrząsnął głową.

- Nie zostawię cię samej.

Dotknęłam dłonią jego ramienia.

- W niczym mi nie pomożesz - szepnęłam, a były to dokładnie te słowa, których ani on, ani ja nie chcieliśmy słyszeć.

Odwrociłam głowę. Po chwili usłyszałam odgłos jego kroków. Wyseđł, ale drzwi niemalże natychmiast otworzyły się znowu. Otworzyłam oczy, myśląc, że to Coop - i zobaczyłam Sarę, nalewającą wodę do szklanki z trzymanego w rękach dzbanka.

- O - powiedziała. - Dziękuję.

Wzruszyła ramionami.

- Bardzo mi żal, że cię to spotkało, Ellie.

Podziękowałam jej skinieniem głowy. Nieistotne, co sobie myślała, mając znów pod swoim dachem matkę oczekującą nieślubnego dziecka - współczucie z jej strony w takim momencie było znakiem prawdziwej życzliwości.

- Po Katie straciłam trójkę dzieci, zanim urodziła się Hannah - poinformowała mnie Sara rzeczowym tonem. - Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego po angielsku mówi się „stracić dziecko”, tak jakby się mówiło „stracić z oczu”. Przecież wiesz, gdzie ono jest. I oddałabyś wszystko, żeby tylko tam zostało.

Nie mogłam oderwać oczu od tej kobiety, która potrafiła zrozumieć, co czuje ktoś skazany na łaskę i niełaskę własnego organizmu, kto nie posiada żadnej kontroli nad swoimi ułomnościami. Tak jak powiedziała Katie: nieważne, czy to był wypadek czy nie, wyrzuty sumienia są takie same.

- Ona już dla mnie istnieje - szepnęłam.

- Nic dziwnego - przytaknęła Sara. - I już teraz poruszyłabyś dla niej niebo i ziemię.

Zakrzatnęła się po pokoju.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, wystarczy zawołać, słyszysz?

- Zaczekaj.

Sara przystanęła w progu.

- Jak...? - Reszta pytania nie przeszła mi przez gardło, ale ona zrozumiała mnie i tak.

- Taka jest wola Pana - odpowiedziała cicho. - Można ją znieść. Nie można tylko przeboleć.

Chyba musiałam zasnąć, bo wydawało mi się, że zaraz potem słońce chyliło się już ku zachodowi, a pod drugą ścianą, na łóżku Katie, leżał wyciągnięty Coop. Kiedy tylko drgnęłam, wstał, podszedł i ukląkł obok mnie.

- Jak się czujesz?

- W porządku. Nie mam już skurczów.

Spojrzelśmy po sobie, zdjęci nagłym strachem, bo nie wiedzieliśmy, co to może oznaczać.

- Zadzwoń do sędziny - powiedział szybko Coop, żeby zmienić temat. - Powiedziała, że ławnicy wciąż jeszcze obradują, a ona, jeśli będzie trzeba, przetrzyma ich, dopóki nie staniesz na nogach. - Odchrząknął. - Mówiła też, że modli się za nas.

- Świetnie - odparłam spokojnym tonem. - Przyda nam się każda pomoc.

- Mogę cię o coś zapytać? - Coop wyciągnął nitkę z kołdry. - Wiem, że nie pora na to i że w ogóle obiecałem tego nie robić, ale i tak ci to powiem: chcę, żebyś za mnie wyszła. Z nas dwojga to nie ja jestem prawnikiem, nie powymyślałam żadnych argumentów, żeby cię przekonać. Ale musisz coś wiedzieć: kiedy Katie zadzwoniła dziś do mnie i powiedziała, że jesteś w szpitalu, ze strachu nie mogłem prawie oddychać. Bałem się, że miałaś wypadek. A kiedy już się dowiedziałem, że chodzi o dziecko, miałem w głowie tylko jedną myśl: dzięki Bogu. Dzięki Bogu, że to nie Ellie. I teraz mam przez to straszne wyrzuty sumienia. Wciąż się zastanawiam, czy w ogóle zasłużyłem na to szczęście, które mnie spotkało, skoro takie myśli przychodzą mi do głowy. Zacząłem sobie wyobrażać, jak bym się czuł, gdybym stracił to dziecko, ten dar od losu, którego absolutnie się nie spodziewałem. I wiem, że bardzo bym cierpiał, ale to jednak byłoby nic w porównaniu z tym, co bym przeszedł, gdyby zabrakło mi ciebie. Tego... - głos załamał mu się nagle - ...tego bym nie przeżył.

Uniósł moją dłoń do ust i zaczął całować kostki palców.

- Jeszcze będziemy mieli dzieci. Może nie teraz, może kiedyś. I to będą nasze dzieci. Możemy mieć ich nawet dziesiątkę, po jednym na każdy pokój w naszym wielkim domu. - Coop uniósł głowę. - Tylko powiedz mi, że tego chcesz.

Już raz od niego odeszłam; zrobiłam to dlatego, że chciałam sprawdzić, czy potrafię dojść na sam szczyt, chodzić po świecie własnymi

ścieżkami. Tymczasem te miesiące, które przeżyłam u Fisherów, ukazały mi, że warto, naprawdę warto mieć kogoś, na kogo zawsze można liczyć, gdyby człowiek na tej swojej własnej ścieżce nagle się potknął.

Za drugim razem odtrącałam go ze strachu. Bałam się, że jeśli powiem mu „tak”, to zrobię to tylko ze względu na dziecko, że będzie mną kierować wyłącznie poczucie odpowiedzialności. Ale teraz - teraz już nie było wiadomo, czy to dziecko w ogóle przyjdzie na świat. Pozostaliśmy sami: ja, Coop i ten straszliwy ból, który tylko on jeden potrafił zrozumieć.

Ile razy jeszcze muszę to odrzucić, zanim zrozumiem, że właśnie tego szukałam od samego początku?

- Dwanaście - odpowiedziałam mu.

- Co dwanaście?

- Dzieci. Planuję mieć dwunastkę. W dużym domu. Oczy mu zabłyśły.

- W olbrzymiej rezydencji - obiecał, całując mnie w usta. - Boże, jak ja cię kocham.

- Ja też cię kocham. - Parsknęłam śmiechem, kiedy zaczął gramolić się na łóżko, żeby położyć się obok mnie. - A jeśli pomożesz mi dojść do łazienki, pokocham cię jeszcze mocniej.

Błysnął zębami w uśmiechu i po chwili poczułam, jak jego ramiona oplatają mnie i dźwigają w górę.

- Poradzisz sobie? - zapytał, niosąc mnie korytarzem.

- Robię to od trzydziestu siedmiu lat. Mam wprawę.

- Wiesz, że nie o to pytam - powiedział łagodnie.

- Wiem. - Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, aż wreszcie musiałam odwrócić wzrok, nie mogąc znieść smutku w jego spojrzeniu. - Dam radę, Coop.

Zamknęłam za sobą drzwi i podciągnęłam koszulę nocną, szykując się na widok kolejnej ciemnej, napęczniałej podpaski. Spojrzałam w dół i zaczęłam płakać na głos.

Coop natychmiast wpadł do środka, trzaskając drzwiami o ścianę. W oczach miał dziki strach.

- Co jest? Co się stało?

Łzy płynęły po moich policzkach niepowstrzymanym, wszechogarniającym strumieniem.

- Niech będzie trzynaścioro - powiedziałam, a na mojej twarzy zakwitł słoneczny uśmiech. - Tego też się chyba doczekamy, mimo wszystko.

Rozdział dziewiętnasty

Dopiero kiedy w butelce zantaku, preparatu na wrzody, było już widać dno, George Callahan zrozumiał, że sprawa Katie Fisher wykańcza go psychicznie, dosłownie pożera żywcem. Ta łatwizna, ten jego pewniak, okazał się bardziej powikłany, niż można było przypuszczać. George zachodził w głowę, który z ławników blokuje pozostałych. Może ten facet z celtyckim tatuażem w kształcie pierścienia daddagh? Może tamta kobieta, która ma czwórkę dzieci? Potem prokurator zaczął się zastanawiać, czy zdąży po lunchu skoczyć do apteki - czy może telefon odezwie się dokładnie w momencie, kiedy zjedzie na autostradę. I czy Ellie Hathaway, tak jak on, przez ostatnie trzy noce nie zmrużyła oka.

- No, no - odezwała się Lizzie Munro, odsuwając od siebie talerz - pierwszy raz zdarzyło mi się zjeść więcej od ciebie.

George skrzywił się.

- Wychodzi na to, że mam delikatniejszy żołądek, niż mi się wydawało.

- Nie chcę ci zarzucać opieszałości zawodowej, ale gdyby tylko chciało ci się mnie spytać, to dowiedziałbyś się, że u nas każda ława przysięgłych będzie miała opory przed skazaniem amisz.

- Czemu?

Lizzie wzruszyła ramieniem.

- Na amiszów patrzy się tutaj jak na aniołów, którzy zstąpili z nieba. Kto powie głośno, że amisz oskarżony o morderstwo jest winny, zburzy cały porządek świata, zrobi piekło na ziemi.

- Tak szybko jej też nie uniewinnią. - George otarł usta serwetką. - Słyszałem od Ledbetter, że ławnicy poprosili o protokoły przesłuchań obu psychiatrów.

- To faktycznie ciekawe. Są niezgodni w kwestii stanu umysłu oskarżonej. To by wskazywało na to, że podejrzewają ją o coś złego.

George prychnął.

- Ellie Hathaway ujęłaby to zupełnie inaczej, zapewniam cię.
- Ellie Hathaway na razie nie będzie niczego ujmować. Nie słysza-
łeś?

- O czym?
- Leży w szpitalu. - Lizzie wzruszyła ramionami. - Krążą plotki, że podobno chodzi o komplikacje ciąży.
- Ellie Hathaway w ciąży? - Prokurator pokręcił głową. - Boże! Ona ma tyle instynktu macierzyńskiego co czarna wdowa.
- Tak... - powiedziała Lizzie w zamyśleniu. - Wszędzie ich pełno, tych czarnych wdów.

Ellie dostała awans: z łóżka w pokoju Katie na kanapę w dużym pokoju na dole. Pozwolono jej też wstać, ale tylko raz - kiedy miała pojechać z Coopem na badanie. Położnik stwierdził co prawda, że jej stan jest dobry, ale widać było, że nie jest zachwycony. Coop, nie odstępujący Ellie nawet na krok, zostawił ją pod czujną opieką Sary, a sam musiał wracać do pracy, gdzie czekał na niego pacjent o skłonnościach samobójczych. Gdy matka Katie wyszła po kurczaka na obiad, Ellie po raz pierwszy ucieszyła się, że nie jest w pełni sił.

Zamknęła oczy, ale nie chciała spać; była pewna, że jeśli prześpi jeszcze choćby jedną godzinę, to zapadnie w śpiączkę. Zaczęła przerzucać w myślach różne argumenty, starając się wybrać ten najskuteczniejszy, który miał przekonać Coopa, że powinna mimo wszystko siedzieć, a nie leżeć. Po namyśle na czele listy znalazło się krążenie krwi płodu, a tuż za nim odleżyny - i w tym momencie do drzwi pokoju podkrađła się na palcach Katie, starając się bardzo, żeby nikt jej nie widział.

- Nawet mi tego nie próbuj. Wracaj tutaj natychmiast - rozkazała Ellie.

Dziewczyna przestąpiła próg.

- Chcesz czegoś ode mnie?
- Tak. Pomóż mi wyjść na dwór.

Katie otworzyła szeroko oczy.

- Ale doktor Cooper...
- ...nie ma zielonego pojęcia, jak się czuje człowiek, który przez dwa dni musiał leżeć plackiem. - Ellie sięgnęła po rękę Katie i pociągnęła ją, tak że dziewczyna usiadła na kanapie obok niej. - Nie chcę zdobywać Everestu - powiedziała błagalnym tonem. - Tylko krótki spacer. - Katie obejrzała się w stronę kuchni. - Twoja mama poszła do kurnika. Proszę cię.

Katie skinęła głową i pomogła Ellie wstać.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest. Naprawdę. Możesz zadzwonić do mojego lekarza i zapytać. - Ellie wyszczerzyła zęby. - Gdybyś tylko miała telefon.

Dziewczyna objęła ją w pasie i razem ruszyły niepewnym krokiem do kuchni, a stamtąd tylnymi drzwiami na zewnątrz. Obok grządki z warzywami Ellie przyspieszyła kroku, przestępując nad pędami dyni rozpostartymi niczym ramiona ośmiornicy, a kiedy dotarły nad staw, opadła na ławkę pod dębem. Na jej policzkach płonął rumieniec, a oczy błyszczały jasno; dawno nie czuła się tak dobrze.

- Możemy już wracać? - zapytała Katie zbolalym głosem.

- Dopiero co tutaj przyszedłam. Nie wolisz, żebym trochę odpoczęła? Do domu jest daleko.

Katie obejrzała się w tamtą stronę.

- Wolałabym, żebyś wróciła, zanim ktoś zauważy, że cię nie ma.

- Nie bój się. Jeżeli ty się nie wygadasz, to ja też nie.

- Nikomu ani słowa - powiedziała Katie.

Ellie odchyliła głowę w tył i zamknęła oczy, wystawiając twarz i szyć na promienie słońca.

- No proszę - odezwała się po chwili. - I tak połączył nas jeden grzech.

- Grzech - zabrzmiał jak echo cichy głos Katie.

Jego drżący, smutny ton otrzeźwił adwokatkę w jednej chwili.

- Och, Katie, nie chciałam...

Katie uniosła rękę, uciszając ją syknięciem. Wstała powoli z ławki, nie odrywając oczu od stawu. Stado kaczek karolek ukrytych w kępach porastającej brzeg uschłej trawy moczarowej, nagle czymś spłoszone, zerwało się do lotu, skrzydłami rozpylając mgiełkę, która rozjaśniła lustro wody. Przebiły ją na tęczowo promienie zachodzącego słońca i przez jedną ulotną chwilę w samym środku tego obłoku Katie dostrzegła swoją siostrę, wirującą w piruecie, hologramową balerinę nieświadomą tego, że ma publiczność.

Zrozumiała, że za tym właśnie będzie tęsknić, jeśli trafi do więzienia. Za domem, za stawem, za tą bliskością.

Hannah zakreśliła. Na rękach trzymała niewielkie zawiniątko. Jeszcze pół obrotu, zawiniątko przekrzywiło się... i z powijaków wysunęła się maleńka, różowa rączka.

Mgiełka opadła, a nosowe głosy kaczek z wolna milkły w oddali. Katie usiadła obok Ellie, która ni stąd, ni zowąd mocno poblądła.

- Proszę cię - szepnęła dziewczyna - nie daj mnie stąd zabrać.

Przez szacunek dla Aarona Jacob zostawił swój samochód prawie cały kilometr od ojcowskiego gospodarstwa. Znał wielu chłopaków, którzy kupowali sobie samochody, kiedy weszli w zielone lata; chowali je za szopami na tytoń, a ich ojcowie udawali, że nic o tym nie wiedzą. On jednak nigdy nie miał samochodu - dopóki nie wyprowadził się na dobre.

Dziwnie się z tym czuł i tak samo dziwnie było iść pieszo tą drogą. Potarł w zamyśleniu podbródek, na którym nosił bliznę po upadku na rolkach; przewrócił się tutaj, na tym chodniku, trafiwszy kółkiem w szczelinę pomiędzy płytami. Spojrzał: wciąż jeszcze tam była, tak samo, mógłby przysiąc, jak i jego rolki, upchnięte gdzieś na strychu razem z resztką starych ubrań i kapeluszy, których nie oddano młodszym krewnym.

Kiedy stanął przed drzwiami do obory, serce waliło mu tak mocno, że aż echo grzmiało mu w uszach; musiał się zatrzymać i zrobić kilka głębokich wdechów, żeby odważyć się iść dalej. Cały problem polegał na tym, że stał się Sod już tak dawno temu, że z coraz większym trudem przychodziło mu myśleć jak prosty człowiek. Dopiero proces Katie - na którym powołano go w charakterze eksperta od spraw amiszów, jakby już nie było nikogo lepszego - uświadomił mu, że prosty człowiek żył w nim przez cały ten czas. Jacob należał teraz do innego świata, ale oglądał go oczami kogoś, kto wychował się poza nim, w odosobnieniu; oceniał go według systemu wartości zaszczerpionych mu dawno, dawno temu.

Jedną z pierwszych prawd, których uczył się młody amisz, była ta, że czyny mówią głośniejsz niż słowa.

W świecie Anglików ludzie składali sobie kondolencje, wymieniali e-maile i wysyłali walentynki. Wśród amiszów o współczuciu mówiły odwiedziny, miłość zawierała się w zadowolonym spojrzeniu rzuconym przy stole, na którym stał obiad, pomocy udzielało się własnymi rękami. Jacob przez tyle lat czekał, aż ojciec go przeprosi - tymczasem Aaron używał zupełnie innych środków wyrazu.

Odsunął ciężkie skrzydło drzwi i wszedł do środka. W powietrzu wirały drobinki kurzu, a zapach siana i słodkiego ziarna był tak mocny i tak znajomy, że Jacob przez chwilę po prostu stał bez ruchu, zamknięszy oczy, pogrążony we wspomnieniach. Krowy uwiązane do słupków poruszyły się, wyczuwając obecność człowieka i zakołysały ciężkimi łbami, odwracając je w jego stronę.

Tak jak to sobie zaplanował, zjawił się akurat w porze udoju. Stąpawszy w głównym przejściu pomiędzy zagrodami dla krów, Jacob zobaczył Leviego; chłopak ładował łopatą nawóz na taczki i widać było, że

nie jest tym zachwycony. Dalej, pod samą ścianą, przy rynnicy od silosu z paszą, stał Samuel, czekając, aż zacznie się sypać. Wśród krów uwijali się Elam i Aaron, wspólnie sprawdzając pompy i przecierając wymiona krowom ustawionym w kolejce do dojenia.

I to Elam pierwszy zobaczył Jacoba. Wyprostował się powoli, nie zdejmując z niego wzroku, a jego twarz z wolna rozjaśniła się uśmiechem. Jacob skinął mu głową, sięgnął do wiadra, które dziadek trzymał w rękach i wyrwał jedną kartkę ze starej książki telefonicznej. Potem wyjął mu z dłoni butelkę ze spryskiwaczem i już się zabierał do przemycia dójki najbliższej krowy, gdy nagle zza jej szerokiego zadu wychynął jego ojciec.

Aaron Fisher stanął jak wryty, sztywno, jakby połknął kij. Potężne mięśnie jego przedramion przeżyły się pod skórą. Samuel i Levi przyglądali się w milczeniu; nawet krowy jakby ucichły, czekając, co będzie dalej.

Elam położył dłoń na ramieniu syna.

- Es ist nix - powiedział mu. To nic.

Nie mówiąc ani słowa, Jacob pochylił się i zabrał do pracy, przesu- wając dłońmi po miękkim podbrzuszu krowy. W chwilę później poczuł obok siebie ojcowskie ramię. Ręce, które nauczyły go prawie wszystkiego, łagodnie odsunęły jego dłonie, zakładając końcówkę dojarki.

Jacob wyprostował się, stając pierś w pierś ze swoim ojcem. Aaron niespiesznie skinął głową, wskazując następną krowę.

- Proszę - powiedział po angielsku. - Czekam.

George wszedł na ganek Fisherów i tam się zatrzymał. Nie wiedział za bardzo, czego ma się tutaj spodziewać. Coś mu podpowiadało, że ludzie, którzy żyją w tak bezpośredniej bliskości Boga, bez problemu mogą załatwić, żeby w kogoś takiego jak on strzelił grom z jasnego nieba, kiedy tylko zdąży wysiąść z samochodu, ale cóż, na razie przecież jakoś mu szło. Poprawił na sobie marynarkę, wyrównał krawat i śmiało zapukał do drzwi.

Otworzyła je oskarżona. W pierwszej chwili miała na twarzy przyja- zny uśmiech, który momentalnie przybladł, a potem zgasł zupełnie.

- Tak? - zapytała.

- Chciałbym... zobaczyć się z Ellie.

Katie skrzyżowała ramiona na piersi.

- Ellie nie przyjmuje teraz gości.

- Nieprawda! - rozległ się krzyk z głębi domu. - Przyjmę każdego!

Kto to? Kurier z przesyłką? Dawaj go tu!

George uniósł pytająco brwi. Katie otworzyła zewnętrzne drzwi opięte siatką przeciw owadom i wpuściła go do środka. Ellie leżała na kanapie w dużym pokoju, a jej nogi okrywał wzorzysty afgan.

- No, no - mruknął George. - W piżamie wyglądasz zupełnie inaczej. Łagodniej.

Ellie zaśmiała się głośno.

- Dlatego rzadko kiedy pokazuję się tak na rozprawie. Wpadłeś z towarzyską wizytą?

- Niezupełnie. - George łypnął znacząco w stronę Katie, która spoglądała na Ellie, a potem wyszła do drugiego pokoju. - Chcę się z tobą dogadać.

- No, to mnie zaskoczyłeś - zakpiła. - Zaczynamy się bać, co też ławnicy wykombinują?

- Prawdę mówiąc, nie. Po prostu domyśliłem się, że ty już panikujesz i poczułem rycerską potrzebę.

- Prawdziwy Lancelot z Jeziora. No dobrze, słucham.

- Oskarżona przyznaje się do winy - wyrecytował George - i umawiamy się na cztery do siedmiu lat.

- Nie ma mowy. - Ellie zjeżyła się odruchowo, ale potem przypomniała sobie prośbę Katie nad stawem. - Mogę się zgodzić na nolo i cztery do pięciu lat maksimum, jeśli pozwolisz mi się ubiegać o mniejsze.

George odwrócił się do okna. Bardzo mu zależało na wygraniu tej sprawy; było to dla niego najważniejsze na świecie, bo dzięki wygranej miał szanse w nadchodzących wyborach. Jednakże nie uśmiechało mu się zbytnio pakować Katie Fisher za kratki na resztę życia, tym bardziej, że z tego, co usłyszał od Lizzie, wynikało, że nie zostanie to najlepiej odebrane przez lokalną społeczność. Oświadczenie nolo contendere, które zaproponowała Ellie, polegało na tym, że oskarżony akceptował wyrok sądu bez przyznawania się do winy. Zasadniczo znaczyło to tyle, że chociaż twierdził on, że nie popełnił danego czynu, to godził się z faktem, że na podstawie istniejących dowodów można go skazać i przyjmował wydany werdykt.

Katie dzięki temu mogła zachować twarz - i jednocześnie otrzymać karę, tak jak chciała.

Ellie korzystała na tym w taki sposób, że z protokołu znikało nieoczekiwane przyznanie się jej klientki do winy.

George zaś miał doprowadzić do skazania oskarżonej, na czym bardzo mu zależało.

Podszedł z powrotem do kanapy, na której leżała Ellie.

- Muszę się zastanowić. Jeśli ją skażą, to na długo. Dostanie cholernie wysoki wyrok.

- Jeśli ją skaza, George. Jeśli. Ławnicy obradują już piąty dzień. A jeśli wezmą naszą stronę, to Katie coś dostanie, ale na pewno nie wysoki wyrok. Wiesz, co dostanie. Nada. Nic.

Prokurator skrzyżował ramiona na piersi.

- Nolo i trzy do sześciu maksimum.

- Dwa i pół do pięciu i umowa stoi. - Ellie uśmiechnęła się do niego. - Rozumiesz też chyba, że będę musiała spytać o zdanie swoją klientkę.

- Odezwij się - rzucił George, ruszając do wyjścia. W progu przystanął jeszcze. - Ellie - powiedział - współczuję ci z powodu tego, co się stało.

Adwokatka zacisnęła palce na afganie, którym była przykryta.

- Teraz już jest dobrze i będzie dobrze.

- Aha. - George skinął głową. - Też tak sądzę.

Katie siedziała na ławce przed gabinetem sędziny Ledbetter, wodząc palcami po gładkich spojeniach desek. Wymyśliła sobie zabawę: kładła dłoń na płask na siedzeniu, a potem wycierała to miejsce do czysta fartuchem - i od nowa. Dzisiaj atmosfera sądu działała na nią znacznie mniej przygnębiająco niż kiedy musiała tu przyjeżdżać na rozprawy, ale i tak liczyła minuty, nie mogąc się doczekać, kiedy Ellie zabierze ją do domu.

- Szukałem cię.

Katie uniosła wzrok i zobaczyła Adama. Usiadł obok niej na ławce.

- Jacob powiedział mi, że zmieniliście oświadczenie.

- Tak. W końcu będzie po wszystkim - odpowiedziała cicho. I ona i on ważyli teraz słowa, które miały paść, obracali je w myślach niczym kamienie, pod które się zagłąda, gdy się czegoś szuka.

- Wracam do Szkocji - odezwał się wreszcie Adam i urwał z wahaniami. - Katie, mogłabyś...

- Nie - przerwała mu, potrząsając głową. - Nie mogłabym.

Przełknął z wysiłkiem, a potem przytaknął.

- Chyba od samego początku zdawałem sobie z tego sprawę. - Przesunął palcem po jej policzku. - Ale powiem ci coś jeszcze: kiedy ja byłem daleko, ty byłaś ze mną. - W odpowiedzi na jej zdziwione spojrzenie ciągnął dalej: - Czasami, kiedy się budzę, siedzisz na skraju mojego posłania. W płataninie rys na ścianie zamku odnajduję twój profil. Bywa, że przy dobrym wietrze słyszę, jakbyś wołała mnie po imieniu. - Wziął ją za rękę, obwiodł palcami kontur jej dłoni. - Żadnego ducha nigdy nie widziałem wyraźniej od ciebie.

Uniósł dłoń Katie do ust, pocałował w sam środek i kolejno pozagi-
nał palce. Zwiniętą pięść ułożył na jej brzuchu, przycisnął mocno.

- Pamiętaj o mnie - powiedział głuchym głosem, a potem wstał i
zostawił ją samą, tak jak wtedy.

- Miło mi słyszeć, że doszliście państwo do porozumienia -
uśmiechnęła się sędzina Ledbetter. - Jaki wymiar kary proponujecie?

George pochylił głowę.

- Uzgodniliśmy maksymalną długość wyroku żadaną przez oskar-
żenie, wysoki sędzie: dwa i pół do pięciu lat. Niemniej uważam, że nale-
ży pamiętać o jednym: każda decyzja podjęta w tej sprawie będzie sta-
nowić sygnał dla ogółu na temat, jak wymiar sprawiedliwości sądzi za-
bójców noworodków.

- Uzgodniliśmy, że moja klientka złoży oświadczenie nolo con-
tendre - uściśliła Ellie. - Panna Fisher nie przyznaje się do popełnienia
tego przestępstwa. Podczas rozprawy podkreśliła niejednokrotnie, że nie
wie, co się wydarzyło owej nocy, niemniej jednak z różnych przyczyn
jest skłonna przyjąć werdykt stwierdzający o winie. Przypominam
wszakże, że nie mamy tu do czynienia z zatwardziałą zbrodniarką. Katie
jest szczerze zaangażowana w życie społeczeństwa, a o recydywie w jej
przypadku nie ma mowy. Nie powinna odbywać kary nawet przez jeden
dzień, nawet przez jedną godzinę. Osadzenie w zakładzie karnym zrówna
ją z pospolitym przestępcą, chociaż jest jasne, że nie ma tutaj absolutnie
żadnego porównania.

- Coś mi mówi, pani mecenas, że ma pani już na myśli gotowe
rozwiązanie tego problemu.

- Owszem. Uważam, że Katie idealnie nadaje się do programu
nadzoru elektronicznego.

Sędzina Ledbetter zsunęła z nosa okulary do czytania i przetarła po-
wieki.

- Panie Callahan - powiedziała. - Przykład ogółowi już daliśmy.
Dość, że ta sprawa stanęła na wokandzie, a na sali sądowej zasiedli
przedstawiciele prasy. Nie widzę powodu, aby narażać społeczność
amiszów na dalszy wstyd, osadzając członkinię ich wspólnoty w za-
kładzie w Muncy. Wystarczył już sam rozgłos medialny, który pocią-
gnęła za sobą ta sprawa. Oskarżona odbędzie wyrok - ale w odoso-
bieniu. W ten sposób, jak sędzę, sprawiedliwości stanie się zadość.
- Nabazgrała nieczytelny podpis na leżących przed nią dokumentach. -
Wymierzam pannie Fisher karę roku noszenia bransolety elektronicznej -
oznajmiła. - Sprawa zamknięta.

Plastikowa obręcz opasywała kostkę, odbijając się pod pończochą; miała tam pozostać przez prawie osiem miesięcy. Była szeroka na siedem i pół centymetra, a w środku znajdowało się urządzenie lokacyjne. Ellie wytłumaczyła Katie, że gdyby opuściła granice hrabstwa Lancaster, natychmiast odezwie się sygnał, a kurator sądowy odszuka ją w przeciągu kilku minut. Mógł ją zresztą znaleźć w dowolnym momencie, gdyby tylko zechciał sprawdzić, czy podopieczna się pilnuje i nie próbuje wykręcić jakiegoś numeru. Oficjalnie Katie była więźniem władz stanowych, czyli nie przysługiwały jej właściwie żadne prawa.

Ale jednak, mimo wszystko, mogła zostać u siebie na farmie, żyć tak jak dotąd i robić swoje. Noszenie biżuterii, nawet czegoś tak drobnego, było grzechem, ale z całą pewnością można było przymknąć na niego oko, skoro grzesznica tak wiele otrzymywała w zamian.

Odgłos kroków Katie i Ellie rozbrzmiewał w cichych, pustych korytarzach.

- Dziękuję - odezwała się cicho dziewczyna.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła adwokatka. - To był uczciwy układ.
- Wiem.
- Pomimo tego, że uznano cię za winną.
- Nie przeszkadza mi to. Przecież wiesz.
- No, wiem. - Ellie uśmiechnęła się do niej. - I pewnie nawet jakoś to przyjmę do wiadomości, za jakieś dziesięć lat, mniej więcej.
- Biskup Ephram mówi, że nasza wspólnota na tym skorzysta.
- W jaki sposób?
- To będzie dla nas lekcja pokory - wyjaśniła Katie. - Zbyt wielu Anglików uważa nas za świętych. To im przypomni, że jesteśmy zwykłymi ludźmi.

Wyszły na zewnątrz. Było względnie ciche popołudnie, żadnych dziennikarzy, żadnych gapiów; zanim wieści o rozwiązaniu ławy przysięgłych i niespodziewanym zakończeniu procesu za porozumieniem stron przedostaną się do prasy, upłynie jeszcze kilka godzin. Katie zatrzymała się na najwyższym stopniu schodów, powiodła wzrokiem dookoła.

- Inaczej to sobie wyobrażałam.
- Co?
- Zakończenie. - Wzruszyła ramionami. - Wydawało mi się, że to, o czym będziesz mówić na rozprawie, pomoże mi chociaż trochę zrozumieć, co właściwie się stało.

- Mój zawód polega na czym innym - uśmiechnęła się Ellie. - Jeśli chcę go wykonywać jak należy, muszę jak najwięcej namącić.

Tasiemki od czepka Katie załopotwały, porwane podmuchem wiatru przetykanego lodowatymi igielkami zapowiadającymi nachodzącą zimą.

- Nigdy się nie dowiem, jak naprawdę umarł mój syn, prawda? - zapytała dziewczyna cichym głosem.

Ellie wsunęła jej dłoń pod ramię.

- Wiesz, jak nie umarł - odpowiedziała. - I to chyba będzie musiało ci wystarczyć.

Rozdział dwudziesty

ELLIE

Zabawne, ile rzeczy można zgromadzić w tak krótkim czasie. Przyjechałam do East Paradise z jedną walizką, ale teraz, kiedy zaczęłam się pakować, z ledwością udało mi się znaleźć miejsce na to wszystko, co miałam stąd zabrać. Nie licząc ubrań, byłam teraz właścicielką kołdry, wykonanej własnoręcznie po raz pierwszy i chyba raczej ostatni w życiu; pewnego dnia owo rękodzieło miało przyozdobić łóżeczko mojego dziecka. Był też słomiany kapelusz z szerokim rondem, kupiony w sklepie u Zimmermanna, rozmiar chłopięcy, ale na mnie w sam raz; chronił moją twarz przed słońcem, kiedy pracowałam w polu. Do tego jeszcze dochodziły drobiazgi: idealnie płaski kamyk, znaleziony na dnie strumienia, firmowe pudełko zapalek z restauracji, gdzie jadłam tamtą pierwszą kolację z Coopem, gratisowy test ciężowy z podwójnego opakowania, które kupiłam w aptece. No i wreszcie zabierałam stąd też takie rzeczy, których nie pomieściłby żaden bagaż na świecie: ducha tego miejsca, pokorę, spokój.

Katie była na dworze. Trzepała chodniki rączką długiej miotły. Pokazała już Sarze bransoletę zapiętą pod pończochą, a ja wyjaśniłam jej szczegółowo, jakie ograniczenia nakłada ona na jej córkę. W każdej chwili spodziewałam się Coopa, który miał przyjechać samochodem, żeby zabrać mnie do domu.

Do domu. Minie trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczaję. Ciekawe, jak długo będę się budzić o wpół do piątej rano i nasłuchiwać cichych kroków mężczyzn wychodzących doić krowy. Ile razy zapomnę nastawić wieczorem budzik, polegając na kogucie, który przecież na pewno zapieje, kiedy wzejdzie słońce.

Wyobraziłam też sobie, jak to będzie znów zasiąść przed telewizorem i skakać sobie po kanałach. Zasympać co noc w ramionach Coopa,

zakotwiczona jak statek w przystani. Ciekawe, kim będzie mój następny klient i czy często będę wspominać Katie. Ktoś delikatnie zastuka! do drzwi.

- Proszę.

Do pokoju weszła Sara, chowając dłonie pod fartuchem.

- Chciałam zapytać, czy nie potrzebujesz, żeby ci w czymś pomóc.

- Uśmiechnęła się, przesuwając wzrokiem po pustych kołkach w ścianie.

- Ale widzę, że dałaś już sobie radę sama.

- Pakowanie to małe piwo. Gorzej będzie zabrać się stąd i wyjechać.

Sara usiadła na łóżku Katie, wygładzając narzutę jedną dłonią wyjętą spod fartucha.

- Nie chciałam cię w moim domu - przyznała się cichym głosem. - Kiedy Leda, wtedy, w sądzie, po raz pierwszy wspomniała mi o tym, powiedziałam, że się nie zgodzę. - Uniosła twarz, wodząc za mną wzrokiem, przyglądając się, jak kończę sprzątać po sobie. - I nie chodziło tylko o Aarona. Wydawało mi się, że jesteś taka sama, jak ci, co zaglądają tu do nas od czasu do czasu i chcą udawać amiszów, bo myślą, że spokój duszy jest czymś, co można wyćwiczyć, tak jak trenuje się ciało. - Natrafiła dłonią na jakąś małą usterkę w narzucie, skubnęła ją palcami. - Bardzo szybko zdażyłam zauważyć, że nie jesteś taka, jak myślałam. I muszę przyznać, że chyba to my nauczyliśmy się od ciebie więcej, niż ty mogłabyś się nauczyć od nas.

Usiadłam obok niej.

- To jest kwestia dyskusyjna - uśmiechnęłam się.

- Dzięki tobie moja Katie mogła zostać tutaj, ze mną. Nigdy nie zapomnę, że zrobiłaś to dla mnie.

Słuchając tej cichej, poważnej kobiety, nagle poczułam łączącą nas więź. W tym momencie lepiej niż kiedykolwiek zaczęłam rozumieć, jak ogromnego zawierzenia musiało to od niej wymagać, że powierzyła mi swoją córkę.

- Straciłam Jacoba. Straciłam Hannah. Nie mogłam stracić jeszcze Katie. Wiesz, że matka zrobi wszystko, żeby ratować swoje dziecko.

Przesunęłam dłonią po brzuchu.

- Wiem. - Dotknęłam ramienia Sary. - Dobrze zrobiłaś, pozwalając mi bronić Katie. Zawsze o tym pamiętaj, cokolwiek usłyszysz od Aarona, od biskupa czy jeszcze od kogoś innego.

Sara skinęła głową, a potem wyciągnęła spod fartucha jakiś niewielki przedmiot zawinięty w bibułę.

- Chciałabym, żebyś to wzięła.

- Nie trzeba było, naprawdę. - Zrobiło mi się wstyd, że nie pomyślałam o jakimś pożełgalnym prezencie, w rewanżu za ich gościnność. Rozerwałam bibułę. Pod nią były nożyce.

Ciężkie, srebrnego koloru. Na jednym ostrzu wyraźny karb. Czyste, aż lśniące, ale krótki kawałek szpagatu przywiązany do jednego ucha był sztywny i czarny od zaschniętej krwi.

- Chciałam cię prosić, żebyś to stąd zabrała - powiedziała Sara po prostu. - Nie mogę już oddać Aaronowi.

Przypomniałam sobie, co zeznał lekarz sądowy, a przed oczami stały mi zdjęcia z autopsji, na których oglądałam pępowinę martwego dziecka.

- Och, Saro - szepnęłam.

Całą swoją obronę oparłam na założeniu, że kobieta należąca do amiszów nie jest zdolna zabić człowieka. Tymczasem oto amiszka sama wręczyła mi dowód, który obciążał ją winą za morderstwo.

W oborze o drugiej w nocy paliło się światło, ponieważ Sara wiedziała od samego początku, że jej córka jest w ciąży. Poplamione krwią nożyce, którymi przecięto pępowinę, zostały schowane. Dziecko zniknęło, kiedy Katie spała; nie mogła sobie przypomnieć, jak zawinęła je w koszulę i ukryła ciało, ponieważ zrobił to ktoś inny.

Otworzyłam usta i zamknęłam je z powrotem. Pytanie, które miałam na końcu języka, nie padło.

- Tego ranka słońce wstało bardzo szybko. Musiałam wrócić do domu, zanim Aaron się obudzi i wyjdzie doć krowy. Myślałam, że później będę mogła jeszcze tam zajrzeć, ale wtedy musiałam wracać. Po prostu musiałam. - Łzy błysnęły w jej oczach. - To ja posłałam ją do świata Anglików. Widziałam, jak się zmieniała. Nikt oprócz mnie tego nie zauważył, nawet Samuel, ale wiedziałam, co się stanie, jeśli się wreszcie wyda. Ja tylko chciałam, żeby Katie mogła żyć tak, jak to sobie zawsze wyobrażała - tutaj, z nami. Jacob nie zawinił nawet po części tak jak Katie, a Aaron i tak wypędził go z domu. Nie przyjąłby tego dziecka za nic w świecie... a Katie też musiałyby odejść. - Sara opuściła oczy, zapatrzyła się na mój brzuch, kryjący w bezpiecznej głębi moje dziecko. - Rozumiesz mnie, prawda, Ellie? Nie mogłam uratować Hannah ani Jacoba... To była moja ostatnia szansa. Tak czy inaczej, kogoś miałam stracić. Musiałam wybierać. Zrobiłam to, co trzeba było zrobić, żeby zatrzymać przy sobie moją córkę. - Zwiesiła głowę na piersi. - Ale i tak niewiele brakowało, a zostałabym bez niej.

Zza okna, z podwórka, dobiegł dźwięk samochodowego klaksonu, trzaśnięcie drzwiami i głos Coopa mieszający się ze śmiechem Katie.

- No dobrze. - Sara otarła oczy, wstała. - Nie pozwolę ci nosić tej walizy. Sama ją wezmę. - Uniosła mój bagaż na próbę i uśmiechnęła się. - Przywieź malutką do nas, dobrze? Chętnie ją zobaczymy. - Postawiła walizkę z powrotem na podłodze i przygarnęła mnie do siebie.

Zamarłam. Nie umiałam odwzajemnić jej uścisku. Byłam przecież adwokatką i powinnam postąpić zgodnie z prawem. Miałam obowiązek zadzwonić na policję, poinformować o wszystkim prokuratora okręgowego. Gdybym to zrobiła, Sara stanęłaby przed sądem, oskarżona o tę samą zbrodnię, za którą skazano już jej córkę.

A jednak, mimo wszystko, moje ręce uniosły się jakby z własnej woli i przyłgnęły do pleców Sary. Pod kciukiem poczułam jedną ze szpilek spinających jej fartuch.

- Trzymaj się - szepnęłam, ściskając ją mocno.

A potem zesłam szybko po schodach. Za drzwiami czekał na mnie cały świat.